

Rozmowy o Polsce i świecie

Bush / Blair / Koehler / Prodi
Kwaśniewski / Komorowski
Łętowska / Solana / Suchocka
Gusenbauer / Juszczenko
/ i inni

POLITYKA PRZEŁOMU WIEKÓW

Rozmowy o Polsce i świecie

Warszawa 2024

Spis treści

Aleksander Kwaśniewski
Słowo wstępne 11

Od Redaktora 14

Część pierwsza: Dylematy polskiej transformacji

Rozdział pierwszy: Państwo i demokracja. Od kompromisu do polaryzacji

O konstytucji, kulturze prawnej i politycznej, odpowiedzialności polityków i o polskich formacjach politycznych

Ewa Łętowska
Konstytucja powinna być jak tweedowa marynarka, wygodna, ciepła, w której dobrze się czuję
Rozmowę przeprowdził Stanisław Ćwik 19

Bronisław Komorowski
Zginiemy my i pchły nasze, ale zreformujemy Polskę
Rozmowę przeprowadził Michał Sutowski 37

Hanna Suchocka
Gdy się szuka konsensusu, to trudniej się rządzi
Rozmowę przeprowadziła Dominika Pietrzyk 45

Włodzimierz Cimoszewicz
Miałem wyobrażenie o demokracji jak o merytokracji, a nie partyjniactwie
Rozmowę przeprowadził Robert Smoleń 55

Stefan Niesiołowski
To cud był, że kompromis aborcyjny został uchwalony. A potem, przy pierwszej możliwości kościelni hierarchowie go złamali
Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski 71

Rozdział drugi: Ciągłość i zmiana. W poszukiwaniu strategii rozwoju

O sukcesach i niedostatkach polskiej transformacji, potrzebie myślenia strategicznego, rozliczeniach z historią, dylematach integracji oraz peryferyjności polskiej gospodarki

Adam Daniel Rotfeld
W Polsce ciągłość jest postrzegana jak coś negatywnego
Rozmowę przeprowadził Jan Ordyński 85

Janusz Steinhoff
Dla mnie polityka jest sposobem realizacji marzeń
Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski 99

Artur Balazs
Rachunki za populizm trzeba nieraz bardzo długo spłacać
Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski 119

Marek Belka
Jestem zwolennikiem zmian, nowoczesności,
ale nie lekceważę znaczenia tradycji
Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski 131

Jerzy Hausner
Nie potrafiliśmy skonsolidować systemu demokratycznego
Rozmowę przeprowadziła Aleksandra Fandrejewska-Tomczyk 139

Jerzy Kwieciński
W polityce gospodarczej trzeba mieć strategię i priorytety
i to państwo powinno je ustalać
Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski 149

Aleksander Kwaśniewski: Wyboista droga polskiej demokracji .. 163

Część druga: Polska i świat

Rozdział trzeci: Z europejskiej perspektywy

O globalnych wyzwaniach, dobrym sąsiedztwie, stosunkach polsko-niemieckich i europejskiej integracji

Javier Solana
Chciałbym, aby istniały globalne instytucje, które wszyscy akceptują, abyśmy mogli rozwiązywać najważniejsze problemy
Rozmowę przeprowadziła Krystyna Vlodek 205

Rita Süssmuth
Od polityki słusznie się oczekuje, by tworzyła rozwiązania, a nie budowała nowe góry problemów
Rozmowę przeprowadziła Alina Kurska 213

Romano Prodi
Odpowiedzialność za obecną sytuację nie jest w całości ani nawet w części nasza
Rozmowę przeprowadził Michał Górski 221

Tony Blair
Wierzę, że demokracja przetrwa napór populizmu
Rozmowę przeprowadził Marcin Antosiewicz 227

Alfred Gusenbauer
Powinniśmy dostrzec prawdę, że nasz model sprawdza się tylko w niektórych częściach świata
Rozmowę przeprowadziła Anna Skrzypek 233

Horst Köhler
Zachód musi odzyskać wiarygodność nie zaniedbując swojej twardej siły 245

Rozdział czwarty: Polska bezpieczna

O reformie armii i służb specjalnych, o sojuszniczej lojalności, naszym miejscu w NATO, partnerstwie z USA i udziale w misji w Iraku

George W. Bush
Francja i Niemcy były znużone naszymi wysiłkami pokonania Al-Kaidy. Nie przeszkadzało im wspieranie w ten sposób dążeń Putina
Odpowiedzi na pytania Aleksandra Kwaśniewskiego 261

Tony Blair
Nigdy nie będę żałował, że pozbyliśmy się Saddama
Rozmowę przeprowadził Marcin Antosiewicz 265

Bronisław Komorowski
Wysłanie wojsk do Iraku i Afganistanu spowolniło wyposażenie sił zbrojnych w sprzęt potrzebny dla naszej obrony
Rozmowę przeprowadził Michał Sutowski 271

Mieczysław Bieniek
Istniało niebezpieczeństwo, że stworzymy armię posłuszą, wobec polityków, która ma służyć rządzącej partii, a nie państwu
Rozmowę przeprowadził Jacek Ziarno 285

Adam Daniel Rotfeld
Sojusznicza lojalność buduje naszą wartość, jako członka Paktu Północnoatlantyckiego
Rozmowę przeprowadził Jan Ordyński 303

Rozdział piąty: Polska, Ukraina, Litwa – w obliczu rosyjskiego zagrożenia

O źródłach rosyjskiego ekspansjonizmu, ukraińskiej drodze do demokracji i partnerstwa z Zachodem i o polskiej rzekomej rusofobii

Stanisław Ciosek
Rosjanie nie popierali reform, nie widzieli korzyści z demokracji, płakali po utraconym imperium
Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski 309

Adam Daniel Rotfeld
Strategiczne myślenie Putina sprowadza się do dwóch elementów: przywrócić Rosji rolę jednego z najważniejszych graczy na świecie oraz utrzymać się u władzy
Rozmowę przeprowadził Jan Ordyński 319

Bronisław Komorowski
Byliśmy nieustannie podejrzewani o rusofobię oraz podsycanie niepotrzebnych lęków
Rozmowę przeprowadził Michał Sutowski 329

Włodzimierz Cimoszewicz
Przez stulecia, przez wiele pokoleń, przesiąkliśmy wyczuleniem na powtarzające się niebezpieczeństwo ze strony Rosji
Rozmowę przeprowadził Robert Smoleń 333

Valdas Adamkus
Zachód nie do końca rozumiał znaczenie Ukrainy dla bezpieczeństwa europejskiego 341

Leonid Kuczma
W Europie nie ma teraz narodu bardziej europejskiego duchem, niż nasz 349

Wiktor Juszczenko
Nasza pomarańczowa rewolucja zaczęła się od pragnienia wolności i demokracji
Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski 357

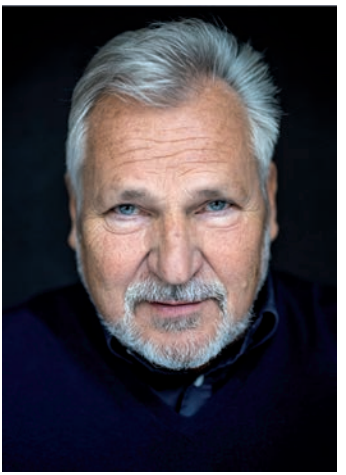
Julia Tymoszenko
Nie trzeba wymyślać dla Ukrainy niczego specjalnego
Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski 365

Aleksander Kwaśniewski: Polska racja stanu 373

Noty biograficzne 409

Indeks osób 423

Słowo wstępne



W mojej drodze przez polską i międzynarodową politykę towarzyszyła mi zawsze wiara w ludzi oraz otwartość na dialog. Los nie poskąpił mi przyjaciół, pozwolił również na zbudowanie dobrych, opartych na wzajemnym szacunku relacji z politykami oraz ludźmi nauki i kultury w Polsce i za granicą. Jako były polityk i prezydent Rzeczypospolitej czuję się człowiekiem spełnionym, jednak okrągłe rocznice – a w listopadzie 2024 roku kończę 70 lat – w sposób naturalny stają się impulsem do rozważań i wyciągania wniosków z minionych doświadczeń, tak przecież ważnych dla teraźniejszości. Stąd zrodził się pomysł tej książki, jako zbiorowej refleksji nad ścieżkami najnowszej historii i dylematami współczesności.

Przed kilkunastoma miesiącami zwróciłem się do wielu „świadków historii" z kraju i z zagranicy, z którymi dzieliłem czas wielkich przemian na przełomie XX i XXI wieku, abyśmy wspólnie, każdy ze swoje-

go punktu widzenia, podzielili się refleksjami o tym, co w tamtym czasie było najważniejsze. Które działania i decyzje uznajemy za twórcze i konstruktywne, zwieńczone sukcesem, a które traktujemy jako porażkę lub ślepą uliczkę. Nasze osiągnięcia, ale i niepowodzenia, których – przyznajmy się – też było niemało, to bowiem swoiste „dzieło zbiorowe", efekt współpracy, lecz i nieporozumień, wzajemnego szacunku i zaufania, ale często także ich braku.

Czuję się nie tyle współautorem tej książki, co jej – by tak rzec – współgospodarzem. Kiedy zapraszałem wybitnych polityków i uczonych do rozmowy, chodziło mi o coś innego niż rekonstrukcja historycznych wydarzeń. Chciałem, by ta publikacja była swoistą „księgą pamiątkową" epoki, w której przyszło nam współtworzyć historię, bez zamazywania różnic, które nas dzieliły w przeszłości i zapewne dzielą w wielu sprawach nadal.

Z satysfakcją mogę powiedzieć, że reakcja na moją prośbę przekroczyła wszelkie oczekiwania. Wśród osób, które zgodziły się podzielić swoimi wspomnieniami i refleksjami są: George W. Bush – były prezydent USA, Horst Köhler – były prezydent Niemiec, Valdas Adamkus – były prezydent Litwy, Leonid Kuczma i Wiktor Juszczenko – byli prezydenci Ukrainy, Tony Blair – były premier Wielkiej Brytanii, Romano Prodi – były premier Włoch i przewodniczący Komisji Europejskiej, Alfred Gusenbauer – były kanclerz Austrii, Julia Tymoszenko – była premier Ukrainy, Rita Süssmuth – była przewodnicząca Bundestagu, Javier Solana – były sekretarz generalny NATO oraz szef polityki zagranicznej Unii Europejskiej. Polskę reprezentują: Bronisław Komorowski – były prezydent RP, Hanna Suchocka, Włodzimierz Cimoszewicz i Marek Belka – byli premierzy RP, Ewa Łętowska – była Rzecznik Praw Obywatelskich i sędzia Trybunału Konstytucyjnego, byli ministrowie i parlamentarzyści – Artur Balazs, Stanisław Ciosek, Jerzy Hausner, Jerzy Kwieciński, Stefan Niesiołowski, Adam Daniel Rotfeld oraz Janusz Steinhoff.

Pytaliśmy naszych rozmówców o sprawy w moim przekonaniu najważniejsze dla polityki krajowej i międzynarodowej przełomu wieków, aktualne do dziś. Z ogromnym zainteresowaniem przeczytałem zgromadzone dla potrzeb tej książki refleksje i wspomnienia „świadków historii". Pokazują one, że nie tylko ja odczuwam potrzebę ponownego przemyślenia kluczowych momentów polskiej i europejskiej poli-

tyki na przełomie wieków, jak również oceny własnego udziału w jej kształtowaniu. Sam również do niektórych wątków staram się odnieść w moich rozważaniach o polskiej polityce i o miejscu Polski w Europie i świecie, które zamykają obydwie części książki.

Bardzo serdecznie dziękuję wszystkim, którzy zgodzili się podzielić swoimi wspomnieniami i refleksjami. Wyrażam również moją wdzięczność wszystkim osobom, które przyczyniły się do powstania niniejszej publikacji – w szczególności dziękuję Jackowi Kluczkowskiemu, druhowi na moich ścieżkach od czasów studenckich, współpracownikowi w Kancelarii Prezydenta, ambasadorowi RP w Kijowie, Astanie i Biszkeku, za trud redakcji tej książki i cierpliwość w doprowadzeniu projektu do końca.

Aleksander Kwaśniewski
30 września 2024

Autor fotografii Aleksandra Kwaśniewskiego – Marek Szczepański

Od redaktora

Książka składa się z dwóch części. Pierwsza poświęcona jest przemianom w Polsce i towarzyszącym im politycznym dylematom. Druga – naszemu międzynarodowemu otoczeniu. Całość tworzy obraz z pewnością nieskończony, ale może stać się przyczynkiem do dalszych rozważań o tym, jak udało się nam wszystkim sprostać wyzwaniom z przełomu stuleci.

Rozmowy zostały przeprowadzone w 2023 roku, tylko niektóre z nich nieco wcześniej lub później. Część rozmówców aktualizowała treść wywiadów wiosną i latem 2024 roku.

Rozmowa o politycznych dylematach mogłaby być w istocie rozmową o wszystkim. Aby tego uniknąć – osobom, które zaprosiliśmy do wypowiedzi, zaproponowaliśmy pewien wachlarz zagadnień. Publikacja książkowa ma jednak swoje wymagania. Dlatego w wersji papierowej, ze względów redakcyjnych, w niektórych wypadkach wywiady zostały podzielone na części, a inne nieco skrócone. Pełne teksty rozmów opublikowane są w wersji cyfrowej książki na stronie internetowej Fundacji *Amicus Europae* (www.fae.pl).

CZĘŚĆ PIERWSZA
DYLEMATY POLSKIEJ TRANSFORMACJI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Państwo i demokracja. Od kompromisu do polaryzacji

O Konstytucji, kulturze prawnej i politycznej, odpowiedzialności polityków i o polskich formacjach politycznych

Konstytucja powinna być jak tweedowa marynarka, wygodna, ciepła, w której dobrze się czuję

Rozmowa z Ewą Łętowską

Chciałbym, żebyśmy porozmawiali o polskiej transformacji. Jak do tego doszło, że staliśmy się – jak głosi Konstytucja – demokratycznym państwem prawnym?

Nasza transformacja to długa i wyboista droga. Wiele przyczyn złożyło się na to, że przebiegała ona – ba, nadal przebiega – w sposób momentami daleki od pierwotnych wyobrażeń i oczekiwań.

Zacznę od pewnej anegdoty mówiącej o fundamentalnym braku kompatybilności między Wschodem i Zachodem. Opisał ją w swojej książce poświęconej transformacji[1] wybitny polski socjolog Jan Sowa. Otóż chodzi o nieudany artystyczny eksperyment w 1996 roku w Sztokholmie, gdzie w galerii Färgfabriken, w ramach ocieplenia stosunków Szwedzi przygotowywali wspólnie z Rosjanami wystawę. Okazało się jednak, że strony nie mogły nijak uzgodnić zasad i przestrzeni współpracy. Górę wzięły gromadzone przez lata kulturowe stereotypy i uprzedzenia. Przy czym obie strony weszły niejako w swoje stare „buty": zarówno Wschód, prezentując swoje rozwiązania w sposób autorytarny, wykazując brak socjalizacji społecznej i niedojrzałość do dialogu, jak i Zachód, pozostając przy swoich tradycyjnych uprzedzeniach i wyobrażeniach dotyczących „nieokrzesanego" Wschodu.

Zaczęłam od tej historyjki, bo wydaje mi się, że z podobnymi problemami mieliśmy do czynienia w Polsce, także w okresie transformacji.

Czyli wiele polskich problemów może wynikać wprost z historii, z bycia częścią Wschodu…

Rzecz sprowadza się do tego, że jeżeli mówimy o samej Polsce, problemem był brak przyzwoitego wieku dziewiętnastego. W tym okresie kształtowały się zręby funkcjonowania nowoczesnego społeczeństwa. Jako aktorzy społeczni do głosu zaczęły dochodzić partie polityczne, rodziła się demokracja parlamentarna i nowe mechanizmy funkcjonowania państwa. Pojawiły się pierwociny państwa prawa jako konceptu politycznego. Umacniała się rola prasy i innych form komunikacji społecznej. No i przede wszystkim miało miejsce przejście od feudalizmu do rozwiniętej gospodarki rynkowej typu kapitalistycznego z całą towarzyszącą temu obudową społeczną. Tymczasem w Polsce ten okres był zdominowany przez naszą sytuację związaną z brakiem niepodległości. I to właśnie walka o niepodległość wysunęła się na plan pierwszy przed przemianami cywilizacyjnymi, które z natury rzeczy były związane z funkcjonowaniem państw zaborczych. To spowodowało, moim zdaniem, bardzo charakterystyczne przesunięcie w świadomości społecznej. Mnie w tej chwili interesuje tylko to, co miało wpływ na dalsze polskie przemiany ustrojowe. I wygląda na to, że zlekceważona została zarówno w publicznym dyskursie, jak i w życiu codziennym, możliwość korzystania z urządzeń nowoczesnego państwa. To wszystko było przesłonięte kurtyną walki o niepodległość.

Oczywiście nasza transformacja była silnie, jeżeli chodzi o elity, inspirowana wizją dobrze urządzonego i dobrze funkcjonującego państwa dobrobytu. Takiego, jakim wydawało się ono być, m.in. w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Wzorowaliśmy się przecież na Europie, tej najbardziej rozwiniętej jej części. Myśleliśmy po prostu, że jak odrzucimy dotychczasowy ustrój gospodarczo-polityczny i zaaplikujemy sobie demokrację parlamentarną, to reszta nam się sama zrobi. I to jest nasz problem. Krótko mówiąc: oktrojowana demokracja parlamentarna, oktrojowane państwo demokratyczne. Oktrojowane państwo prawa.

Mieliśmy wybór?

To dobre pytanie. Chciałabym jednak jeszcze wrzucić pewną uwagę pod adresem mojej specjalności, prawników. Jesteśmy wychowywani w takiej wizji, w takim przekonaniu, że to co niesie nam system prawa, Konstytucja, ma cudowną, magiczną moc przekuwania się w rzeczywistość. Innymi słowy: rzeczywistość normatywna przekuwa się niejako automatycznie w rzeczywistość realną. Tymczasem, żeby tak się działo, wymaganych jest mnóstwo różnych uwarunkowań zewnętrznych, a także wiele odważnych działań i celowej, systematycznej implementacji nowych rozwiązań. Tego właśnie uczył wiek XIX Europę i ona to wie, bo tego historycznie doświadczyła, a my nie. My tak trochę jak doktor Dolittle, który podróżując po Afryce, w kolonialnych czasach, korygował przekonanie tubylców, że po to, aby założyć pocztę wystarczy powiesić czerwone skrzynki, nie robiąc przy tym całej infrastruktury, to jest systemu odbierania, sortowania i roznoszenia listów. I myśmy sobie w ten sposób zafundowali transformację. Ot, peryferia Europy.

Jest taka teoria, że to nie rewolucje zwyciężają, tylko imperia, stare porządki się rozpadają.

Musi być jedno i drugie. Stary ustrój, stara formacja musi dostatecznie dojrzeć do takiego stanu, żeby ją się dało popchnąć, żeby ona upadła, ale jednocześnie musi być gotowy następca, nowy król; niech żyje król!

Oczywiście ważne, żeby na właściwym miejscu znalazł się właściwy człowiek, który mniej więcej wie co robi. W latach osiemdziesiątych powstało sądownictwo administracyjne, które przyzwyczaiło ludzi i establishment do tego, że władza jednak jest jakoś kontrolowana. Doskonale pamiętam, jak ten establishment partyjno-biurokratyczny dostrzegł, że poniósł klęskę. W roku 1986, świeżo powołany Trybunał Konstytucyjny rozpoznawał pierwszą sprawę[2], czym entuzjazmowali się wszyscy prawnicy. To była sprawa, w której rozporządzenie Rady Ministrów regulowało kwestie związane z opłatami od umów dzierżawy, a jego przepisy ingerowały w już istniejące umowy. Chodziło w niej o zakres ingerencji w umowę i zakres upoważnienia dla rządu – o to, co w stosunku do ustawy może regulować rozporządzenie Rady

Ministrów. Czyli coś, co obecnie mamy zafiksowane w Konstytucji. Trybunał uznał wtedy niekonstytucyjność badanych przepisów. Ile było emocji wokół tego postępowania i samego orzeczenia!

Działania Naczelnego Sądu Administracyjnego i Trybunału Konstytucyjnego przyzwyczaiły establishment, jeszcze przed rokiem 1989, że musi się tłumaczyć, że musi być transparentny, przyzwyczaiły go do krytyki – również medialnej. W to wszystko wkroczył rzecznik, powołany trochę jako kwiatek do kożucha. Nie miałam wtedy żadnych złudzeń, ani co do własnej pozycji, ani możliwości. Byłam powołana w nadziei, że niewiele zdziałam, wsiąknę w zaszczyty i honory. Krótko mówiąc, nieszkodliwie, z uśmiechem na ustach będę paprotką w tym całym ogrodzie. Ale sytuacja obsuwała się politycznie. Dotychczasowy establishment dosyć rozpaczliwie ratował się różnymi ustrojowymi koncesjami… I nieoczekiwanie to całe *imaginarium* nie okazało się atrapą, ale zafunkcjonowało.

Czy to była ta szansa na skokową transformację, którą wykorzystaliśmy?

Powiedziałabym inaczej. To była szansa na obranie właściwego kierunku i jego utrzymanie. Ten marsz jednak stawał się coraz bardziej marudny, powolny. Tabory się rozciągnęły, z tyłu zostali maruderzy. Przez maruderów rozumiem tych, którzy nie byli bezpośrednimi beneficjentami transformacji. Zabrakło czegoś w tej szpicy marszowej, co by dało albo więcej chleba, albo więcej igrzysk tym z tyłu. Ale nie mówię tu o czymś niełądnym i cynicznym, raczej o pewnym deficycie dystrybucji godności.

Nie jestem analityczką wielkich procesów społecznych i tylko wyciągam wnioski z tego, czego byłam świadkiem. Moim zdaniem zabrakło dzielenia się z innymi sukcesem, nadzieją na sukces, czy perspektywą sukcesu. Bardzo wyraźnie zabrakło też pracy organicznej na rzecz państwa prawa i zrozumienia jego mechanizmów.

Skutki tego widzimy dzisiaj. Gdy spojrzymy na obecną sytuację to widać, jakim gigantycznym wysiłkiem było zrozumienie przez ludzi, że jest jakiś związek pomiędzy Konstytucją i niezawisłością sędziów, a mizerią, która dotyka ludzi udręczonych, na przykład sprawami konsumenckimi. Zabrakło tych, którzy chcieli tłumaczyć. Przekładając to na język powinności elit, to myślę, że właśnie elitom zabrakło chęci do tej pracy organicznej. Dostaliśmy demokrację, ale zabrakło jej konserwacji i uspójnienia, organicznej pracy nad jej jakością.

Jednak tę swoją podmiotowość udało nam się w końcu zaznaczyć…

Ale ja mówię nie o podmiotowości całego państwa tylko tych taborów, które zostały z tyłu. I to właśnie bardzo mocno rzutowało na moją działalność zawodową. Rozumiałam, że jako rzecznik mam tłumaczyć ludziom, z którymi się kontaktuję, czym są imponderabilia, czyli co to są prawa człowieka i co z nich wynika. Że na przykład nie można w kryminale codziennie robić kipiszu ludziom i zaglądać im w otwory ciała, czy nie przemycają papierosów, bo niezależnie od tego, czy były takie podejrzenia, to po prostu godzi w ludzką godność i jest niezgodne z paktami praw człowieka. Jako rzecznik takimi sprawami się zajmowałam i pokazywałam związek pomiędzy przyziemnymi zdarzeniami i wzniosłymi hasłami konstytucyjnymi. Starałam się objaśniać chwiejną równowagę mechanizmu podziału władz, gdzie zawsze egzekutywa rozpycha się łokciami, stara się skolonizować judykatywę i trochę wypchnąć z siodła legislatywę. W zasadę podziału władz głęboko wierzę: ona jest podstawą dobrego funkcjonowania demokracji. To zresztą coś więcej, niż tylko podział na legislatywę, egzekutywę i judykatywę. To także podział na centralę i samorząd. To są te wszystkie podziały, które parcelują cały zasób władzy, jakakolwiek by ona nie była, władzy zarówno kontrolnej, jak i tej rzeczywistej czy operacyjnej.

Dobrze funkcjonujący podział władzy, z niezależnymi sądami i z wolnymi mediami ma to do siebie, że zło ujawnia się na stosunkowo niskim szczeblu i jest aparatura, za pomocą której można od razu tę muchę zabić, uruchomiając packę. Skumulowanie władzy w jednym ręku, w centrali – czego w ostatnich latach byliśmy świadkami – powoduje, że ten kto stoi na szczycie, nawet pełen dobrych chęci, jest niewydolny i nie ma sposobu, by sprawdzić, jak mu figlują poszczególni, desygnowani przez niego gubernatorzy na poszczególnych piętrach poniżej, aż do samego dołu. Obrazowo mówiąc, nie wie, że coś złego mu rośnie niżej. A jak się dowie, to jest to już tak wrośnięte, że nijak tego nie da się utłuc, zahamować. I to jest problem podziału władz. Nie to, że się zagarnia władzę rzeczywistą, tylko to, że się unieruchamia wszelkie instytucje kontrolne.

Tego właśnie nam zabrakło. Zadeklarowaliśmy podział władzy, ale nie uruchomiliśmy mechanizmów i narzędzi, które by rzeczywiście ten podział władzy uspójniły.

Na przykład?

Weźmy sądy. Poczuły się trzecią władzą, bo im Konstytucja powiedziała, że są trzecią władzą. Ale bycie władzą sądowniczą oznacza, że ma się władzę nad znaczeniem prawa. Do sądu idzie się po wyrok, ale przez to, że zawsze możliwy jest pewien sposób interpretacji przepisów, ten wyrok oznacza władzę nad sensem prawa.

Tego się w Polsce kompletnie nie rozumie. Odnosząc to do naszej sytuacji, jeżeli Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej na przykład nałożył na nas kary, to można z panią Ursulą von der Leyen, przewodniczącą Komisji Europejskiej, dyskutować do śmierci, ale ta pani nie jest w stanie tego odkręcić. Może zrobić wiele rzeczy, ale wyroku nie odmieni. A nasza mentalność, ukształtowana jeszcze przez Polskę Ludową, z pojęciem jednolitej, scentralizowanej władzy, przyzwyczaiła nas, że jest gdzieś jakiś jeden mocarny czynnik – nie wiem czy w komitecie partyjnym, czy w Białym Domu albo – teraz w Komisji Europejskiej – do którego wystarczy pójść, ładnie poprosić.

Dotychczas u nas nie zrozumiano mechanizmu funkcjonowania demokracji w warunkach podziału władz, transparentności i społecznej kontroli nad władzą. Przecież ani sądy, ani media w bardzo demokratycznych państwach nie są wszechwładne, ale dzięki temu, że mamy takie rozczłonkowanie i jeden patrzy drugiemu na ręce, możliwe jest ujawnianie różnych nieprawidłowości na takim etapie, że czyni możliwym zapobieżenie dalszemu rozprzestrzenianiu się zła. To jest skomplikowana i trudna materia, którą trudno wyjaśnić.

Sądy powinny były zrozumieć, że jeżeli zostały już trzecią władzą, to nie wystarczy wydać papier z orzełkiem „w imieniu Rzeczypospolitej". Trzeba jeszcze za pomocą tysięcy zachowań i słów za stołem sędziowskim tłumaczyć i umotywować, dlaczego się ten glejt wydało. Nie dlatego, że mogę, bo mam kompetencje, tylko co ja – sąd myślałem wydając ten glejt. Tego właśnie zabrakło.

Mówi pani o tym, co obecnie wprost wynika z Konstytucji. Mamy tam przecież określony trójpodział władzy, silną pozycję instytucji kontrolnych, zasady funkcjonowania demokracji, prawa i obowiązki obywateli…

Tyle, że chodzi o materię organiczną, a nie tylko deklaratywnie konstytucyjną. Nie znam takich konstytucji, w których ta materia byłaby

rozbudowana gwarancyjnie do tego stopnia, żeby mogła ustrzec przed tego rodzaju błędami, które popełniono. Nasza, moim zdaniem całkiem przyzwoita Konstytucja, dąży do wzoru konstytucji klasycznych. Tylko, że w ich przypadku społeczeństwo dojrzewało razem z tymi konstytucjami. U nas tymczasem konstytucja przyszła nagle i zabrakło tej wykształconej struktury, społecznej, organizacyjnej, czy mentalnościowej, w której powinna działać. A mentalności w konstytucji zagwarantować się nie da. To wymaga pracy, a nie udawania, że mamy konstytucję i już jest dobrze. Trzeba było wtedy zabrać się do roboty, ale żadna władza nie chciała tego robić.

Najbardziej widoczną pracę wykonały organizacje pozarządowe, które zaczęły orać na tym ugorze. Orać i siać, wałować i siać, strzyc i siać, zupełnie jak trawniki angielskie. To nie jest praca, którą się raz zrobi i gotowe. I ten trzeci sektor zawsze był niedoceniany, a wystarczy spojrzeć co się teraz dzieje. To wolontariusze, którzy są przepędzani, zasuwają, organizują, myślą co zrobić i jak pomóc uchodźcom.

Czyli w pewnym sensie nasza transformacja toczyła się siłą inercji historycznej? Była efektem chaosu, przypadkowości, może spisku elit…?

Tutaj dotykamy czegoś, co jest niesłychanie mocno obecne w ogóle w dyskursie politycznym i medialnym. Chodzi o rzekomy układ, spisek. Guzik prawda!

To powoduje, że ogromny nacisk trzeba kłaść na rzetelne, czasami niewygodne, trzymanie się zasad i procedur nawet, jeżeli uznajemy to za nadmierny formalizm. Tylko, że my przez formalizm rozumiemy zupełnie nie to, co jest naprawdę formalizmem. Jeżeli jakiś problem podzielimy na drobniutkie kawałki i potem powiemy, że każdy kawałek jest w porządku, a tylko całość się razem nie składa, to jest formalizm głupi. Natomiast ten, który precyzyjnie mówi, że dobre struktury powinny funkcjonować jak jeden mechanizm, jest mądry.

Czy możemy określić, w jakim stopniu nasze problemy biorą się z samego prawa, jego treści, sposobu powstawania, a w jakim z jego interpretacji?

Podam przykład obecny w Polsce od lat, a mianowicie protestów wyborczych, które mają być gwarancją, że wybory w naszym kraju są

sprawiedliwe i rzetelne. Ale pojęcie protestu wyborczego jest u nas bardzo wąskie. Można w nim podnosić zarzuty dotyczące liczenia głosów, dopisywania krzyżyków, nieprawidłowości w komisjach wyborczych. Ale protest wyborczy nie dotyka kwestii rzetelności wyborów. Na przykład tego, że cała kampania wyborcza była prowadzona nierzetelnie, podnosić nie można. Albo, że głosy zagraniczne ważą inaczej, niż krajowe. Albo, że od lat nie zmieniono podziału na okręgi, mimo że zmianom uległa ich liczebność. Protest jest obarczony jednym z największych grzechów, jakich można dopatrzeć się w systemie prawa: stwarza złudzenie, że coś mamy, a tak naprawdę nic nie mamy. Bo to nieprawda, że jeżeli zaprotestujesz, objawi się twoja sprawczość i coś się stanie.

Po każdych wyborach ludzie najbardziej skarżą się właśnie na brak rzetelności. I te niezliczone quasi-protesty idą do sądów, a sądy ich nawet nie rozpatrują, bo formalnie to nie jest protest, tylko jakieś pismo. I później Sąd Najwyższy wydaje uchwałę walidacyjną, stwierdzającą ważność wyborów, a w niej powiada, że cudu nad urną nie było, protestów było mało, były niezasadne i nie miały wpływu na wynik wyborów, a to na co ludzie się najbardziej skarżyli poszło do szuflady, jako nieistotne. Bo problem polega na tym, że Sąd Najwyższy w uchwale o ważności wyborów mówi, że problem rzetelności w ogóle go nie interesuje. I później obserwatorzy z OBWE mówią, że wybory, choć w pełni legalne, były nierzetelne. Na co my odpowiadamy, że mamy przecież uchwałę niezawisłego Sądu Najwyższego. Tylko, że temu sądowi była wyznaczona bardzo wąska kognicja, a co gorsza sam sąd w uchwale wypisuje łatwe do zweryfikowania prawdy, że na przykład zasada dostępu do mediów publicznych jest zachowana, ponieważ w Konstytucji jest zagwarantowany pluralizm mediów. Skutek jest taki, że sama ordynacja wyborcza sieje wśród społeczeństwa, wśród ludzi, poczucie niespełnienia i hipokryzji. A winni są prawodawcy, bo zbyt wąsko ujęli protest wyborczy.

Zresztą podobnych mechanizmów są dziesiątki. Ale jeżeli zapytać przeciętnego absolwenta wydziału prawa, albo kogoś takiego jak rządzący prawnicy, to oni powiedzą – ale o co chodzi, przecież wszystko jest w porządku: formalnie się wszystko zgadza z literą prawa.

Czyli jednak problem prawa i tych, którzy je piszą…

Politycy kompletnie nie rozumieją także tego, że konstytucje, prawo i procedury mają zawsze, nieuchronnie, niezależnie od tego, jakie same w sobie byłyby dobre, swój awers pozytywny, ale mają też swój rewers. Że są sytuacje, w których można je, to prawo, wykorzystać w złej wierze, opacznie. Zaniedbują ten aspekt. Tymczasem powinni być świadomi i przewidywać, co może pójść nie tak. Jak *advocatus diaboli w* procesie kanonizacyjnym. A u nas prawo robi się wyłącznie na dobrą pogodę.

Kodeks drogowy mówi o zasadzie ograniczonego zaufania do korzystających z drogi publicznej. Taka sama zasada ograniczonego zaufania powinna być w mózgu każdego decydenta. Tego właśnie brakuje. To jest taka naiwność i fasadowość, powodująca hipokryzję ustawodawcy.

Myśli pani o granicy jurydyzacji? Kiedy prawo przestaje działać lub traci swój pierwotny sens?

Nie do końca. Są od nas państwa mądrzejsze i dlatego między innymi my nie rozumiemy Unii Europejskiej. A wszyscy ci, którzy się pieklą, że Unia nas nie rozumie, zapominają, że to działa w obie strony. Zapominają, że to my wpisaliśmy się do tej Unii i przyjęliśmy różne zobowiązania w dobrej wierze. I nie widzą, że to nam wychodzą wiechcie z butów prawniczych. I że z kolei „my" nie rozumiemy „ich".

Czyli naszą transformację prawno-ustrojową ocenia pani w ogromnej mierze krytycznie?

Nie krytycznie, ale realnie. Transformacja to ewolucja, a ewolucja postaw i mentalności wymaga czasu. I reagowania na czas na zagrożenia. U nas doszło do tego, że w tej chwili mamy kryzys do sześcianu, mimo tego, że już wcześniej były alarmowe dzwonki.

Weźmy sprawę kopalni Turów. Pierwszy problem wyniknął przecież nie dlatego, że Komisja Europejska miała do nas pretensje, tylko Czesi, a więc sąsiedzi. Mechanizm jest taki, że jeśli sąsiadujące państwa nie mogą dojść do porozumienia w jakichś sprawach, które mają aspekt europejski, to wtedy pomocą służą im instytucje unijne. To właśnie zrobiły Czechy, kierując sprawę tego „sporu sąsiedzkiego" do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Był spór, a my szliśmy w zaparte. Ukrywano jakieś wypadki, że jednak myśmy tę wodę Cze-

chom zabrali, doszło do tego, że wywalono ambasadora w Czechach, bo powiedział, że zachowaliśmy się nie całkiem w porządku. Skończyło się na tym, że podpisaliśmy porozumienie i grzecznie zgodziliśmy się, że coś jednak trzeba zrobić. Potem znów nic nie robiliśmy. Powstał kolejny problem – przyszedł czas przedłużenia decyzji środowiskowej. Postępowanie się toczy. A my – nieprawdziwie – usiłujemy to przedstawić jako próbę siłowego zamknięcia kopalni. I powiadamy, że nie poddamy się procedurze sądowej. Jeżeli następuje tego rodzaju sytuacja jak Turów, to nie buduje się płotów, nie szuka usprawiedliwień, tylko sprawdza się fakty. U nas zbyt łatwo się mówi, że wszyscy wokół są źli, nie rozumieją i chcą nas zniszczyć.

Ewolucja, o której pani mówi, dotyczy wszystkich państw dawnego „bloku wschodniego". Jednak cokolwiek by nie mówić o naszej klasie politycznej, to w tym porównaniu wypadamy najlepiej.

Oczywiście! Dużo rzeczy się udało! Zbawieniem był plan Balcerowicza, choć problemem był brak przeciwwagi. Mieliśmy szczęście, że reformy dano w ręce kogoś, kto miał tyle siły i pary, że zwalił te skamienieliny, ten spiekły żużel i zrobił to, co trzeba było. Koszt tego był ogromny, ale to inna historia. I mówiąc o braku przeciwwagi mam na myśli to, że trzeba było pomyśleć wtedy o działaniach, które teraz tak ładnie się nazywa „tarczami osłonowymi". Tego zabrakło.

To było złudzenie liberalizmu gospodarczego, że przypływ podnosi wszystkie łódki. Ale to raczej pytanie nie do mnie, a do polityków, czy ekonomistów, którzy są liberałami, ale są znacznie bardziej niż Balcerowicz wyczuleni na różne inne okoliczności społeczne, tacy jak Hausner czy Kołodko. Balcerowicz miał ogromne zasługi, bo bez jego zapatrzenia w jeden cel, żeby nie mówić zaślepienia, usunięcie tych złogów nie było możliwe. Oddaję mu sprawiedliwość, bo był kimś, kto to wszystko pchnął do przodu.

Dojrzewanie państwa, jako organizmu prawnego, ekonomicznego i społecznego jest kwestią czasu?

W pewnej mierze tak. Psycholożka, z którą kiedyś rozmawiałam, mówiła, że jeżeli się podejmuje jakiekolwiek decyzje w życiu, to jeżeli z jednej strony mamy spokój, pewność, bezwysiłkowy rozwój, a z dru-

giej przepaść, wybieramy ścieżkę, która prowadzi blisko krawędzi, ale jednocześnie bezpieczną, żeby nie spaść, a z drugiej strony bez przesadzonej asekuracji. To jest kwestia podejmowania decyzji. Właściwych ludzi na właściwym miejscu. Demokracji nie zrobi się bez demokratów.

Kiedyś, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych z ust skądinąd światłego profesora usłyszałam, że przecież demokracja to rządy większości. Ale czy większość ma zawsze rację? Nowoczesne pojęcie demokracji, to rządy większości, jednocześnie zabezpieczające pewne *minimum minimorum* słusznych interesów mniejszości. Jeżeli słyszę od kogoś, kto w swoim czasie pełnił funkcję w bardzo odpowiedzialnym resorcie, że demokracja to rządy większości, to mi się zapala czerwona lampka w głowie. Jeżeli on tego nie rozumie, to jak on ma przekazać swoim podwładnym i innym decydentom, że muszą działać proporcjonalnie? Oceniając prawidłowość decyzji, czy jest ona zgodna z prawem czy niezgodna, wedle tego nowoczesnego rozumienia prawa, a nie w sensie zero-jedynkowym, jednym z najtrudniejszych problemów jest proporcjonalność.

My ciągle widzimy, że prawo jest abstrakcyjne i potencjalne, bo tak jest napisane na papierze. A to, z czego rozlicza nas Unia polega na tym, czy podejmowane decyzje trzymają się kupy. Oczywiście margines pewnych nietrafionych decyzji jest wszędzie. Tylko, że ten margines wybrakowanych decyzji, jest u nas za duży.

Odpowiedzialność większości za życie całości?

Odpowiedzialność za dobro wspólnie. To samo mówi Konstytucja. Ale rolę Konstytucji rozumie się u nas strasznie deklaratywnie. Konstytucja z 1952 roku nauczyła nas, że to jest taka szata odświętna, sztywna, usiąść nie można, ruszyć się nie można. Tymczasem dobra konstytucja powinna być jak tweedowa marynarka, wygodna, ciepła, w której dobrze się czuję. I twórcy naszej Konstytucji swoją pracę wykonali bardzo dobrze, rzetelnie, czerpali z dobrych wzorów. Liczyli się ze zdaniem innych. Przepraszam bardzo, ale jeśli teraz ktoś mówi, że Konstytucja jest do bani, bo nie przewidziała możliwości własnego nadużycia, to jest to rozumowanie takie, jak ci wesołkowie seksistowsko nastawieni, którzy powiadają, że kobieta to winna, że ją zgwałcono, bo miała sukieneczkę przykrótką. Tak nie wolno myśleć! Konstytucja jest dobra, tylko trzeba teraz do niej doczepić tych wszystkich decydentów

na różnych szczeblach. Ludzi rzetelnych, których wybiera się, dlatego, że mają kompetencje. Ale musi być również *incompatibilitas*, nieuleganie wpływom.

Takim dobrym przykładem są kancelarie syndykowskie, które krótko mówiąc korumpują sędziów w ten sposób, że sędziowie rzucają dla nich stan sędziowski. Niby formalnie wszystko jest w porządku, ale taki sędzia przez lata orzekał w sprawach upadłościowych, zna całą kuchnię, ma wiedzę insajderską. Na dobrą sprawę nie ma do czego się przyczepić, ale gwarancją tego jest *incompatibilitas*, żeby na przykład w jakiś czas po zakończeniu określonej funkcji nie wolno było podejmować pracy w określonym sektorze. Lecz tego do Konstytucji się nie wpisze.

Mamy do czynienia z turbulencjami etapu, czy zmianą kierunku?

Niepokojące jest to, co się dzieje w ostatnich latach. Nastąpiło zdecydowane przeorientowanie azymutu i mamy system, w którym rzeczywistość funkcjonuje w oderwaniu od Konstytucji. System głęboko dysfunkcyjny i pęknięty. A co gorsza – zakłamany. Bo Konstytucja jest omijana, łamana, wydrążana, naginana różnymi zwykłymi ustawami, interpretacją niegodną prawników, którzy jej dokonują. Sądy są w sytuacji schizofrenicznej, bo mówimy sędziom, że mają słuchać się Konstytucji, mają odrzucać wykładnię niekonstytucyjną i jednocześnie być sędziami unijnymi. Dochodzi do tego, że sędziowie albo będą słuchali ustaw zwykłych albo będą słuchali nacisków efektu mrożącego, który ich pcha ku temu, żeby orzekać zgodnie z interpretacją miłą decydentowi politycznemu.

Mamy system, w którym sędzia nie jest pewny ani dnia, ani godziny. I nie chodzi o to, że on się boi, że go wsadzą, tylko o to, że będą go ciągali. Przecież nie na tym polega zło ustawy dyscyplinującej sądownictwo, że karze się za rzeczywiste delikty dyscyplinarne, tylko że jeżeli sędzia ma 20 postępowań wyjaśniających, to zamiast pracować, musi jeździć po Polsce i zeznawać, a w końcu w tym wszystkim się poplącze i ma wszystkiego dosyć. Efekt mrożący nie polega na zagrożeniu wysokością jakiejś sankcji, tylko na umęczeniu, wymęczeniu decyzji o powstrzymaniu się od tego, co władzy politycznej niemiłe. To jest największy efekt mrożący. Jeżeli sędziowie mają taką schizofreniczną sytuację, to mają już wszystkiego dosyć. Oni chętnie pójdą praco-

wać do tego syndyka, bo mają tego wszystkiego po dziurki w nosie albo będą podejmowali decyzje najłatwiejsze. Znane jest pojęcie „medycyny defensywnej". Obawiam się, że można mówić o „orzekaniu defensywnym". Czyli takim, przy których można się nie urobić, być w miarę w porządku, ale nie wnikać w to, czego władza nie lubi.

Na początku transformacji byliśmy w łatwiejszej sytuacji, bo mieliśmy jasno określony cel i kierunek. Potem sprawy się zaczęły komplikować, do głosu zaczęły dochodzić różnice zdań. I stąd między innymi to zwiększone zapotrzebowanie na odwagę, pryncypialność…

Łatwiej jest być prorokiem, jeżeli ma się wielki cel. Jeśli widzimy ten cel i potrafimy go rozłożyć na elementy decyzyjne, wtedy dążąc do niego realizujemy jednocześnie tę całą drogę. Ale tutaj rzeczywiście pojawia się problem odwagi. Moim zdaniem, największą odwagą trzeba wykazać się wtedy, kiedy trzeba postawić się w opozycji do kolegów z tego samego pokoju, z sąsiedniego biurka, z tej samej placówki, czy może nawet partii politycznej. Tej odwagi u nas brakuje. Nie mówię, że trzeba od razu być bohaterem, tylko nie wolno za bardzo pobłażać. Dokładnie tak, jak z autorytetem u studentów. Jeżeli człowiek nie potrafi przyznać się do własnych błędów, że czegoś nie wie, to autorytetu nie wzbudzi. Autorytet buduje się własną postawą i to jest diablo niewygodne.

Zygmunt Bauman twierdził, że w procesie rozwoju cywilizacji nic nie jest dane raz na zawsze. Ani prawa człowieka, ani konstytucje, ani sama demokracja. Każda epoka, nowe pokolenia powinny w pewnym sensie definiować i budować swój świat na nowo, dostosowywać go do czasu i potrzeb. Można odnieść wrażenie, że mamy obecnie kryzys nowych idei, wizji następnego etapu…

Mnie wielkie romantyczne idee nie kuszą. Mam temperament pozytywistki. Jestem z usposobienia bardziej ewangeliczną Martą, niż Marią. Uważam, że jak idea jest za duża, to ona nie pociągnie ludzi. Weźmy na przykład problem ekologizmu. To jest wielka idea, ale chyba trochę zbyt duża. Przez zbytnią dywersyfikację poziomów życia nie do osiągnięcia jest, żeby to, co jest bliskie sytej Europie było bliskie głodnej Afryce. Ale ja nie jestem tu najlepszym prorokiem. Moja branża to

prawo: poznawanie mechanizmu powstawania jego dysfunkcji i jednocześnie poszukiwanie remediów.

Gdyby spojrzeć na to szerzej, to kwestią załamania naszej transformacji było być może to, że zbytnio zaufano tradycyjnym wzorcom, które opierają się na doborze kadr, jak to się mówi – po znajomościach. Zachodnie sposoby rekrutacji bywają dziwaczne – to rozpisywanie konkursów, opiniowanie kandydatur, cedzenie, dziwne kryteria, jedni na prawo, drudzy na lewo. Ale te sposoby w jakimś stopniu działają, bo poszerzają społeczną bazę rekrutacyjną. Może o to właśnie chodzi? Nie jestem specjalistką w tym zakresie, tylko raczej obserwatorem, ale z tego punktu widzenia, to naszej transformacji można powiedzieć „miałeś chamie złoty róg" i go straciłeś.

Nie traci pani wiary?

Oczywiście, że nie! Jeżeli dla mnie rozwój dziejowy jest sumą wykorzystania istniejących okazji i kreowania nowych okazji, to zawsze to odniesienie do *Wesela* jest na określoną datę. Musi tak być, bo wtedy to jest logiczne. Wierzę, że będzie, ponieważ było. Unia Europejska może drażnić. Ja też okropnie nie lubię tych europejskich biurokratów i ich języka. Ale jestem dla niech pełna podziwu, bo prawo europejskie pozwala uniknąć błędów. Jest miareczkowane, tak jak to było z budową wieży Eiffla. Jak w pewnym momencie trzeba było spasować te cztery pochylone nogi, to wykorzystano skrzynie wypełnione piaskiem, z których stopniowo ten piasek powoli usypywano, żeby je ze sobą połączyć. Miareczkowano. I właśnie takie jest prawo europejskie, miareczkowane, małymi krokami, żeby było dobrze. To jest kosztowne, ale jak się później spojrzy wstecz, to wzbudza szacunek, bo pozwala uniknąć dużych błędów. A jak już mówiłam, defektem nadmiernej centralizacji jest doprowadzenie do takiego błędu, do takich skutków, które są trudno usuwalne.

Jak mówił Aleksander Smolar, jest jedna rzecz gorsza od dyktatury, mianowicie anarchia.

Czasami wydaje mi się, że jesteśmy przykładem brania najgorszych rzeczy z jednego i z drugiego. Połączenie kultu formalizmu, takiego pedantyzmu formalnego z kompletnym anarchicznym niezrozumieniem zasad. Chodzi o umiejętność używania języka. Od tego trze-

ba zacząć, bo to jest u nas poważny problem, również problem mediów. I nie mam na myśli manipulatorstwa, tylko brak profesjonalizmu. Może to takie moje skażenie zawodowe, ale my powiadamy – demokracji nie da się zbudować z wygodnymi partaczami.

Demokrację można zbudować tylko z tymi, którzy są.

Trzeba mieć znacznie więcej zręczności w języku, w przekonywaniu się. W Japonii, w drażliwych społecznie kwestiach, gdy nie można się porozumieć, to decyzję się odkłada i nie robi nic na siłę, bo to się nie opłaca. Odpuścić na trochę, poczekać, drążyć i może za jakiś czas wrócić do tematu. U nas tej cnoty nie ma.

Czy urząd Rzecznika Praw Obywatelskich, w sensie ustrojowym i personalnym, miał owo dziejowe szczęście w czasie transformacji?

Unikam rozdawania cenzurek. Były w gronie rzeczników osoby, które bardziej szanowałam i takie, które szanowałam mniej. Każdy starał się w jakimś stopniu dopasować działalność urzędu do siebie. Jest jednak pewne niebezpieczeństwo, które wisi nad tym urzędem, a właściwe to już się zmaterializowało. Rzecznik Praw Obywatelskich to bardzo spersonalizowany urząd, który jednak tak naprawdę stoi jakością swojej kadry.

A inne instytucje przeżywające obecnie turbulencje?

No cóż. Nie zaskoczę, jeśli powiem, że Trybunał Konstytucyjny jest w tej chwili w stanie kompletnego upadku. Ostatnie orzecznictwo trybunalskie jest naprawdę bardzo niechlubne. Na przykład, kompletnie nietrafione orzeczenia, dotyczące pierwszeństwa prawa polskiego nad prawem unijnym. Trybunał przyznał sobie, zupełnie jak w swoim czasie uczynił to rosyjski TK, prawo oceny i wyboru, które i w jakim zakresie wyroki europejskich trybunałów uzna za możliwe do wykonania. Uzasadnił to oceną ich zgodności z polską Konstytucją. Albo wyrok antyaborcyjny. Stworzono tu „rozszerzony efekt mrożący"; dokonanie aborcji dozwolonej, dla ratowania życia i zdrowia matki, staje się dla lekarza wysoce ryzykowne ze względów zawodowych, i to nie tylko z uwagi na obawę samych lekarzy, ale dlatego, że kierownictwo szpitala lub administracyjny nadzór nad nimi – wolą „na wszelki wypa-

dek" nie mieć w statystykach żadnych zabiegów tego typu. Nawet tych, które są konieczne dla ochrony życia i zdrowia kobiet. Jednym słowem nastąpiła atrapizacja Trybunału Konstytucyjnego.

Jeżeli chodzi o sądownictwo administracyjne, to widzę tam ogromne niewykorzystane rezerwy, które mogłyby być użyte w celu zyskania społecznej legitymizacji dla sądownictwa w ogólności. Niewykorzystaniu możliwości winny jest nadmierny formalizm, brakuje wrażliwości aksjologicznej i interpretacyjnej, umożliwiającej osiągnięcie równości stron i poszanowanie ich podmiotowości.

W 2008 roku Naczelny Sąd Administracyjny w niedobry sposób przysłużył się rozszalałej fali reprywatyzacji. Jest pewną zasadą, że nie można było zreprywatyzować nieruchomości, jeżeliby to doprowadziło do naruszenia funkcji społecznych jej przeznaczenia. NSA w uchwale składu 7 sędziów uznał, że jeżeli ten, na czyją rzecz ma być przyznana nieruchomość po reprywatyzacji zobowiąże się do utrzymania tej funkcji, to wszystko jest w porządku. Problem jest taki, że gmina, której kosztem nastąpiła reprywatyzacja, wykonuje tu swoją ustawową kompetencję, zatem ma prawny obowiązek utrzymania takiej funkcji. Jeżeli nie wykonuje swoich kompetencji, to narusza prawo. Natomiast właściciel prywatny działa dla zysku i nie ma takiego prawnego obowiązku. Orzeczenie to zbiegło się w czasie z ogromnym poluzowaniem w Sądzie Najwyższym interpretacji prawa, mówiącego o możliwościach odszkodowawczych za działania władzy. Ta sytuacja napędziła falę wniosków reprywatyzacyjnych: w sądach administracyjnych obalano decyzje reprywatyzacyjne, a w cywilnych – dochodzono odszkodowania. Otworzono w ten sposób drogę do prywatyzacji ekscesywnej, nieproporcjonalnie uprzywilejowując dawnych właścicieli, a właściwie to nie ich, tylko kolejnych nabywców ich roszczeń.

No tak. A sytuacja Sądu Najwyższego?

Sąd Najwyższy jest w bardzo trudnym położeniu. Jest pęknięty, nie tylko na zewnątrz, ale i w środku. Mamy orzecznictwo zarówno Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu, jak i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, dotyczące utworzonych w 2018 roku nowych izb w tym sądzie, tych nadzwyczajnych i w tych orzeczeniach te nadzwyczajne izby nie są uznawane za sąd. I choć jedna z tych izb, Izba Dyscyplinarna, już została rozwiązana,

to geneza Izby Odpowiedzialności Zawodowej, którą powołano na jej miejsce ma takie same błędy, przez co również nie spełnia standardów właściwych dla sądu. Połowa składu osobowego tego sądu, ma wątpliwy status, również w kontekście międzynarodowym, to jest Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Jest więc podział na neosędziów i paleosędziów. Składy wspólne produkują albo są nakłaniane do produkowania orzeczeń, które w obrocie prawnym się nie ostaną, jeżeli taka sprawa trafiłaby do Strasburga. Stąd właśnie wzięło się oświadczenie 30 sędziów Sądu Najwyższego, że odmawiają orzekania z neosędziami. Powiem szczerze, ja im tej sytuacji nie zazdroszczę. Również tego, że oni nadal w tej chwili trwają na tej reducie.

A najbardziej paradoksalne jest to, że wśród tych neosędziów jest całe mnóstwo ludzi stosunkowo młodych – oczywiście niektórzy są arywistami – ale niektórzy po prostu uwierzyli, że otworzyła się przed nimi jakaś możliwość awansu. Oni rozumieją prawo europejskie, niektóre ich orzeczenia są całkiem przyzwoite. Żeby daleko nie szukać weźmy sprawy frankowe, w których orzecznictwo „starego" Sądu Najwyższego dobre nie było. Niestety w tej chwili cały system stał się niedrożny, wszystko tężeje. Panuje chaos.

A gdyby pani znalazła się dzisiaj na sali rozpraw?

Czasami rzeczywiście zastanawiam się nad tym, co ja bym obecnie zrobiła, gdybym jeszcze była czynnym sędzią. I nie mam łatwych recept.

Sędzia jest z natury rzeczy konserwatorem porządku prawnego i jednocześnie monterem, który w ramach tego porządku go uczłowiecza w postaci konkretnej decyzji. Obecnie sędziowie tej funkcji pełnić nie mogą. Stoją wobec diabelskiej alternatywy, bo przy niezmienionej Konstytucji zwykłe ustawy, a nade wszystko praktyka ich stosowania, umniejszają i podważają niezależność sądów. Sądy stają się celem działań, prowadzących do ich kolonizacji: absorpcji i neutralizacji przez władzę polityczną. Celem jest zniechęcenie sądów do kontroli i krytyki władzy politycznej i – w konsekwencji – wykorzystanie ich do realizacji programu tej władzy.

Pojawienie się schizofrenicznej sytuacji było do przewidzenia w miarę narastania i stabilizowania orzecznictwa Trybunału Sprawie-

dliwości Unii Europejskiej i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, stwierdzających w Polsce deficyt europejskich standardów niezależności sądownictwa i prawa sędziów do ochrony sądowej. W sędziach zbiega się ta cała schizofrenia i nie wiem, czy można wyobrazić sobie większą frustrację zawodową od tej, która jest ich udziałem. To jest bardzo głęboki kryzys.

Gdy ten kryzys będzie mijał to pani będzie jedną z pierwszych osób, które wielu obywateli zapyta, co robimy dalej…

Zdaję sobie z tego sprawę, ale przygotowywane są w miarę rozsądne projekty. Takie propozycje, żeby wszystko zaorać, wymieszać, benzyną polać i spalić, to oczywiście nonsens, ale moim zdaniem zdecydowanie należy ocalić sensowne orzecznictwo. Na pewno trzeba będzie postarać się o maksymalną transparentność takiego procesu i jego maksymalną zbieżność, na tyle na ile się da, z zasadami, które da się wywieść z ogólnych pryncypiów konstytucyjnych. To bez dwóch zdań. Bardzo wiele będzie zależało od tego, kto będzie podejmował konkretne decyzje. Ich wagi i umiejętności. Mam jedynie nadzieję, że będą to profesjonaliści.

Prawo daje ogromne możliwości bardzo uczciwego znalezienia rozwiązań, które trzymają się kupy i nie łamią zasad. Ale krótko mówiąc trzeba mieć do tego głowę na karku, trzeba umieć czerpać z wzorów. A tych w historii nie trzeba daleko szukać. Takie kryzysy zdarzały się w różnych krajach i w różny sposób z nich wychodzono.

Rozmowę przeprowadził Stanisław Ćwik

[1] J. Sowa, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*, Kraków: Universitas, 2011.

[2] Orzeczenie TK z 28 maja 1986 roku (sygn. U 1/86), OTK 1986/1/2.

Zginiemy my i pchły nasze, ale zreformujemy Polskę

Rozmowa z Bronisławem Komorowskim (część 1)

W latach dziewięćdziesiątych panował w Polsce szeroki konsensus elit w sprawie kierunku transformacji gospodarczej oraz integracji z Zachodem, przede wszystkim z Unią Europejską. Czy to znaczy, że liczne przecież partie polityczne ścierały się ostro, ale o kwestie drugorzędne? Że toczyły raczej konflikty zastępcze? Jeden z bliskich przyjaciół prezydenta Kwaśniewskiego powiedział mi, że „Olka do planu Balcerowicza nie trzeba było przekonywać".

Zgoda, wbrew obawom strony solidarnościowej, koalicja SLD z PSL po 1993 roku nie zmieniła zasadniczego kursu przemian. Aczkolwiek muszę podkreślić, że w pierwszych latach transformacji spór nie toczył się o kierunek rozwoju, lecz o to, czy można wykorzystywać politycznie ból społeczny związany z transformacją. I tutaj podział był wyraźny – na partie forsujące konieczne zmiany oraz te, które na skutkach ubocznych tych zmian, chciały pożywić się politycznie.

Ale skoro i tak – przy wszystkich różnicach retorycznych – na końcu wychodziła z tego, umownie rzecz biorąc, linia Leszka Balcerowicza, to znaczy, że w początkach III RP te spory naprawdę były zastępcze. Partii było w pewnym momencie bardzo dużo, ale alternatywy politycznej brakowało.

Bo alternatywy dla kapitalizmu i zachodniej orientacji obiektywnie nie było. Słusznie natomiast zwraca pan uwagę na mnogość partii: skoro zrobiło się ich w pewnym momencie tak dużo, to musiały jakoś wykazać, dlaczego są inne i lepsze od pozostałych. A sam podział, zwłaszcza obozu solidarnościowego na różne partie był nieuchronny, choć na pewno Wałęsa go przyspieszył przez hasło „wojny na górze", już w 1990 roku. A nieuchronny był dlatego, że tzw. obóz posierpniowy składał się ze środowisk i postaci nieprawdopodobnie zróżnicowanych pod względem poglądów. Od Jacka Kuronia, Karola Modzelewskiego czy Ryszarda Bugaja po lewej stronie, aż po Aleksandra Halla czy Janusza Korwin-Mikkego po prawej. Kiedy więc tylko skończył się nacisk na jedność polityczną jako warunek reform, oni wszyscy zaczęli się organizować wokół różnych haseł, idei i przede wszystkim liderów. Jedni wzięli sobie na sztandar polskie chrześcijaństwo i rozmaite lęki przed liberalizmem kulturowym i obyczajowym, inni z kolei wolny rynek. Ale przynajmniej część z nas starała się zachować jakiś umiar i nie zgubić się w tym gąszczu konfliktów, tylko skupić na tym, co najważniejsze. Myślę, że taka była geneza między innymi – Unii Wolności, słusznie określanej mianem partii reform.

Ale to często oznaczało porzucenie własnych przekonań.

Widzi pan, Jacek Kuroń, człowiek z biografią socjalistyczną czy wcześniej nawet komunistyczną, uczestniczył w budowaniu kapitalizmu. A ja, ze swoim bagażem konserwatywnym musiałem się zabrać za robienie rewolucji społeczno-gospodarczej. I dla każdego z nas to był problem – ale to wszystko wynikało z sytuacji, w której znalazła się ojczyzna i z naszego przekonania, że Polska potrzebuje radykalnej modernizacji.

Jaka była główna polityczna treść tego „umiarkowanego środka"? Co to było to „najważniejsze" – poza kierunkiem prozachodnim i kapitalizmem, które traktował pan jako oczywistości – w pana wypadku?

Dla mnie najważniejsze było odzyskanie, a potem umacnianie polskiej niepodległości w wymiarze politycznym, gospodarczym i militarnym.

Myślę, że Unia Demokratyczna, a potem Unia Wolności, z którymi byłem związany aż do roku 1997, były przykładem tego pójścia środ-

kiem drogi polskich reform. I chyba też dlatego ta formacja koncentrowała się na kwestiach ustrojowych: praworządne państwo, jakość demokracji i wolność słowa, ale też ogólna modernizacja ustroju, administracji, silny samorząd, wolnorynkowa gospodarka, prozachodniość jako konsekwencja ucieczki od uwikłań pojałtańskich.

A czy wyraziste partie „ideologiczne", z całościowymi projektami aksjologicznymi, ze spójną wizją urządzenia społeczeństwa, gospodarki, kultury – miały w jakimś momencie szanse na polityczny sukces? Czy, umownie, taka Unia Demokratyczna albo i ZChN mogłyby, w jakichś sprzyjających okolicznościach, zyskać takie poparcie, żeby próbować rządzić Polską i urządzać ją po swojemu? Tak jak to 20 lat później zaczęło robić Prawo i Sprawiedliwość?

Według mnie nie. Przede wszystkim dlatego, że dosyć szybko od fazy dzielenia i pączkowania obozu solidarnościowego, przeszliśmy do fazy wymuszonej konsolidacji.

Wymuszonej przez łomot, jaki prawica dostała w roku 1993? I to na własne życzenie, skoro nie wzięła pod uwagę, że zaczyna obowiązywać próg wyborczy?

Lewica też wyciągnęła wnioski z „łomotu" jaki dostała w czerwcu 1989 roku. My też po „łomocie" w 1993 roku zauważaliśmy nie tylko problem rozdrobnienia prawicowych głosów w wyborach, ale również ogólne skutki rozbicia partyjnego. Ono dramatycznie osłabiało rządy, rozdzierane sprzecznymi interesami kilku koalicjantów. Upadek rządu Hanny Suchockiej był sygnałem chyba dla wszystkich, że zmiana modelu polityki partyjnej jest niezbędna. Wprowadzenie w 1993 roku progu wyborczego i systemu d'Hondta przy liczeniu głosów, miało gigantyczny wpływ na konsolidację sił politycznych na polskiej scenie, bo zaczęło eliminować polityczny plankton, z którego łatwo było przeciągać posłów, przekupywać, manipulować nimi... Przezwyciężenie tamtego rozbicia partyjnego, nadmiernego rozdrobnienia to była ważna i pozytywna okoliczność dla poprawy jakości polskiej demokracji.

Warto jednak zaznaczyć, że wszystkie rządy solidarnościowe zasłużyły na miano reformatorskich. Pierwszym rządem, odkręcającym reformy, był rząd Leszka Millera. To odkręcanie zaczął na nieszczęście

Polski od wycofania reformy służby zdrowia. Później antyreformatorski kurs rozwinęło PiS.

Za sprawą nowej ordynacji, po 1993 roku skończyło się fatalne rozdrobnienie sceny partyjnej. Ale w zamian otrzymaliśmy polaryzację – podział na dwa wielkie obozy polityczne, dążące do wchłonięcia wszystkiego wokół. I czy taki ostry podział polityczny, w którym elektoraty zamieniają się we wrogie plemiona, musiał nastąpić?

Zgadzam się, że polaryzacja sceny politycznej była w jakiejś mierze efektem przezwyciężenia mechanizmów, sprzyjających rozdrobnieniu. Tyle, że alternatywą była kompromitacja demokracji poprzez niestabilność rządów. Tak wyszło – coś za coś…

AWS poniosła klęskę w wyborach 2001 roku, ale na jej gruzach – oraz gruzach koalicjantki, Unii Wolności, powstały partie, które do dziś organizują spór polityczny w Polsce, czyli Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska. Czy ta zmiana przyniosła nowy paradygmat w polityce, czy wyznacza granice politycznych epok w Polsce?

To do pewnego stopnia też są przemiany obozu solidarnościowego, wynikające z poczucia misji, jaką jest reforma państwa polskiego i przebudowa z państwa komunistycznego na państwo demokratyczne. A z tej misji wynikało między innymi to, że praktycznie wszystkie rządy solidarnościowe, jak już wspomniałem – a uczestniczyłem w czterech z nich – miały może wręcz nadmierną wolę reformowania. Czasami, aż po przegrane wybory...

Bez oglądania się na poparcie społeczne?

Dobrym przykładem jest Unia Demokratyczna, potem Unia Wolności, która ostatecznie straciła na znaczeniu nie tylko ze względu na „wojnę na górze", wywołaną przez otoczenie Jarosława Kaczyńskiego, ale także zapłaciła za bardzo trudne reformy, najpierw balcerowiczowskie, a później rządu Jerzego Buzka. Oczywiście można powiedzieć, że na początku lat dziewięćdziesiątych świadomość bankructwa PRL była powszechna, więc było społeczne przyzwolenie na reformy. Potem, mimo strat wyborczych, kolejne rządy solidarnościowe miały potrzebę uwiarygodniania siebie, jako już nie rewolucjonistów, lecz re-

formatorów. Mimo doświadczeń, że to szkodzi politycznie, ministrowie Jerzego Buzka prawie do końca ścigali się, kto jeszcze zdąży przeprowadzić reformę – administracji, ochrony zdrowia, edukacji, wojska, samorządu...

I zostali przekreśleni przez wyborców.

Tak samo jak partie rządzące w 1993 roku. Buzek też miał fatalne notowania w 2001 roku, a obóz solidarnościowy utracił władzę w sposób dramatyczny i dopiero po latach dochodziło do ludzi, że to byli wielcy reformatorzy. Tyle, że docenienie osoby po latach, a sukces formacji politycznej, to dwie różne rzeczy, bo formacje szły pod lód.

No właśnie – czy dzisiaj w ogóle można robić politykę w taki sposób? Rząd Mazowieckiego działał trochę w warunkach nadzwyczajnych, w zupełnie nietypowych okolicznościach.

Ale kolejne szły tą samą ścieżką – zginiemy my i pchły nasze, ale zreformujemy Polskę.

Może do pewnego momentu politycy nie wiedzieli, że to się zawsze tak skończy? I dopiero po klęsce AWS i Unii Wolności, Donald Tusk po 2005 roku się zorientował, że taki pęd reformatorski to jest recepta na utratę władzy?

Do pewnego stopnia ma pan rację, przy czym ta świadomość narastała stopniowo. Ale równolegle z nią przekonanie, że trudno, że taki jest nasz los, bo idziemy do polityki i do władzy nie dla niej samej, tylko żeby zmieniać Polskę. Klęska AWS-u i równoległa z nią katastrofa Unii Wolności na pewno zmieniły sposób patrzenia na misję sił politycznych w systemie demokratycznym. Bo one pokazały nie tylko, że reformatorzy przegrywają, ale że demagogiczni krytycy reform wygrywają – SLD zdobył ponad 40 procent bezustannie atakując reformy rządu Buzka. Na podobnej zasadzie PiS po latach likwidował gimnazja i prawie załatwił samorządy.

Tylko taka diagnoza warunków życia politycznego – że się inaczej nie da – musi prowadzić do zaniechań i administrowania tym, co jest lub do destrukcji działania poprzedników.

Tak, przy czym jak uważałem i do dziś uważam, po naszej stronie nigdy nie było pełnego wycofania się z zamysłów reformatorskich. Było uzyskanie świadomości, że należy je trochę chytrzej przeprowadzać. Zresztą wraz z członkostwem w Unii Europejskiej zyskaliśmy nowe możliwości – można było zmieniać Polskę w oparciu o fundusze strukturalne, które pomagały niezbędne reformy przeprowadzać mniej boleśnie.

A czy przed wejściem Polski do Unii Europejskiej można było robić reformy w innym modelu niż kamikadze? Czyli: wprowadzamy dużą zmianę w kraju, mimo, że za to idziemy pod lód?

Inaczej: robimy reformy nawet wówczas, jeżeli za to pójdziemy pod lód. Liczymy się z możliwością takiego ryzyka, że przegramy, że nas przekreślą wyborcy, bo to jest Polsce bardzo potrzebne. To nie jest postawa kamikadze. Ja zawsze miałem poczucie, że są rzeczy ważniejsze od karier politycznych i od sukcesów wyborczych poszczególnych środowisk, że taką sprawą jest interes kraju.

W polityce III Rzeczypospolitej był pan od samego początku. Jeśli przyjąć, że rok 2001 i klęska wyborcza formacji tworzących rząd Jerzego Buzka są istotną cezurą – to w której epoce pan czuł się lepiej? Abstrahując od faktu, że w tej drugiej został pan prezydentem.

Jestem politykiem już raczej starej daty. Byłem ukształtowany ideowo w takiej postawie, że służy się ojczyźnie bez względu na to, co to oznacza dla mnie osobiście. Tak mnie uformowała rodzina i opozycja w PRL, gdzie na żadne nagrody nie można było liczyć, raczej na więzienie. Bardzo wielu moich kolegów, przy braku wiedzy i doświadczenia urzędniczego, miało jednak silny fundament ideowości i postawę służby. Potem moją szkołą polityczną był rząd Tadeusza Mazowieckiego, któremu politycznie towarzyszyłem bardzo długo – aż do czasu prezydentury, kiedy był moim doradcą. A Mazowiecki to nie był jakiś naiwny ideowiec, tylko człowiek, który uważał, że zawsze jest pewna mądrość etapu, to znaczy, że w każdych okolicznościach można zrobić coś dobrego dla Polski. Dzisiaj myślę z satysfakcją o tym pierwszym etapie budowy nowej, suwerennej i demokratycznej Polski. Może dlatego też bardziej krytycznie patrzę na coraz większe upartyjnienie Polski.

Oczywiście rozumiem, że trzeba uwzględniać nowe okoliczności społeczne i polityczne, ale też nowe możliwości – związane na przykład z pieniędzmi europejskimi. Dlatego miałem nadzieję, że można w Polsce kontynuować reformy, realizować stare zadania już w nowych warunkach. Nie będę jednak ukrywał, że najlepiej mi było w sytuacji, kiedy wszystko było jasne – jest plan, co w Polsce zmieniamy i wiemy, w imię czego i czym ryzykujemy.

Rozmowę przeprowadził Michał Sutowski

Gdy się szuka konsensusu to trudniej się rządzi

Rozmowa z Hanną Suchocką

Zacznijmy od pojęć: kultura prawna i kultura polityczna. Uczestniczyła pani w tworzeniu prawa jako polityk, ma pani perspektywę akademicką. Jak ocenia pani kulturę prawną i kulturę polityczną Polaków?

To jest cały złożony kompleks zagadnień. W momencie, kiedy rozpoczynaliśmy proces transformacji, czyli na początku lat dziewięćdziesiątych, musieliśmy przejść z jednego „modelu prawnego" do innego. Po 1945 roku żyliśmy w systemie myślenia scentralizowanego, podporządkowania jednej rządzącej partii. Wtedy oficjalnie nazywano to zasadą jednolitości władzy. To kształtowało także określoną kulturę zachowań w sferze publicznej, którą nazwałabym kulturą podporządkowania. Podporządkowania nie do końca prawu, ale podporządkowania dyrektywom władzy. Prawo istniało i stanowiło system, wedle którego mieliśmy postępować, ale wiadomo było, że ostatecznym odnośnikiem dla oceny zachowań i konsekwencji podejmowanych działań, była jednak decyzja polityczna, decyzja partyjna, nie zaś takie czy inne zachowanie, zgodne albo niezgodne z prawem. I to dopiero rok 1989 był początkiem kształtowania nowej kultury prawnej.

Co się na nią składało?

Przede wszystkim umiejętność prowadzenia dialogu, bo w poprzednim systemie ten dialog był niezwykle ograniczony. W 1989 roku

wkroczyliśmy w kulturę dialogu, a kultura dialogu wymaga respektowania różnych reguł. Wymaga też przygotowania, bo nie jest tak, że wszystko nagle się zmienia z uwagi na to, że żyjemy w innym systemie. Przede wszystkim musieliśmy się uczyć parlamentaryzmu i dyskusji parlamentarnej. Pamiętam, że kiedy znalazłam się w Sejmie 1989 roku i zobaczyłam, co dzieje się na sali sejmowej – a miałam też doświadczenia z poprzedniego okresu w parlamencie – to odniosłam wrażenie, że obudziłam się w Sejmie przedrozbiorowym. Przepychanki, kłótnie, taka szlachecka swoboda. Na okres po 1989 roku przypada poszukiwanie sposobu na wprowadzenie ram klasycznego, tradycyjnego parlamentaryzmu, gdzie nie ogranicza się dyskusji, lecz prowadzona jest jakaś forma dialogu wyznaczanego pewnymi regułami.

Okres od 1989 do 1991 roku, czyli właściwie cała pierwsza kadencja parlamentu, to było uczenie się parlamentaryzmu, ale także uczenie się tego, co oznacza kultura prawna i uczenie się tego, że władza nie decyduje już z dnia na dzień i z godziny na godzinę, co ma być prawem, ale, że prawo jest rzeczywiście dyskutowane i są pewne reguły jego stanowienia; że prawo nie jest przynoszone w teczce, a strona, która w danym momencie nie sprawuje władzy, może przedstawiać swoje uwagi i wnioski, te zaś muszą spotykać się z dyskusją; że władza nie stoi ponad prawem, tylko prawo jest wyznacznikiem zachowań.

To było otwarcie drogi dla kształtowania kultury prawnej. Mam wrażenie, że myśmy całkiem dobrze tę lekcję przechodzili. Proszę zwrócić uwagę, że następowały wybory parlamentarne, zmiany większości rządzącej i zmiany rządu, co nie powodowało raptownych tąpnięć czy załamań w rozwijaniu się reguł demokratycznych i w tworzeniu parlamentarnego, zracjonalizowanego systemu rządów, prowadzenia dialogu i kształtowania kultury prawnej. Dlatego pamiętam, że było dla mnie dosyć szokujące, kiedy w roku 2001 – a wówczas zdecydowałam, że nie będę już startować w wyborach – do Sejmu weszła Samoobrona. Pamiętam oświadczenie Andrzeja Leppera, że w tym parlamencie „Wersalu nie będzie". To było bardzo uproszczone, nawet prymitywne, populistyczne hasło. Oznaczało ono, że skręcamy na bardzo niebezpieczną drogę. Drogę, na której nie będziemy szli w kierunku kształtowania i rozwijania kultury politycznej, tylko będziemy próbować znowu stosować jakąś „wolną amerykankę", podgryzanie, oskarżanie, używanie argumentów poniżej pasa. I dlatego mam wrażenie, że

to właśnie początek nowego stulecia – lata 2000 i 2001 – stał się punktem przełomowym, kiedy otwarto drogę dla zachowań, które powodują, że demokracja może zacząć pękać.

Relacje pomiędzy opozycją a partiami rządzącymi różnie się układały. Dialog i poszukiwanie wspólnego mianownika nieczęsto bywały priorytetem…

Zaczęliśmy obserwować – a już w sposób szczególny po roku 2015 – myślenie, które według mnie bardzo daleko odbiega od demokratycznej kultury prawnej, a mianowicie, że rządząca większość może wszystko. Tym samym zamknięto drogę dla ewolucji pozytywnej kultury prawnej, która pozwala podejmować pewne działania, które wprost nie wynikają z przepisów prawnych, ale są zakorzenione w głębokim poczuciu prawości postępowania. Obecnie – według moich obserwacji – metoda dialogu, tak ważna w demokracji, została zastąpiona w znacznym stopniu metodą wzajemnych oskarżeń. Brakuje merytorycznej dyskusji, za to podejmowane są próby oskarżenia czy uderzenia w drugą stronę przy równoczesnym posługiwaniu się w tym kontekście argumentami *ad personam*, a nie argumentami merytorycznymi. I tego mi niezwykle żal w tym naszym życiu politycznym, jeżeli oceniamy minione trzydzieści lat. Tego, że nastąpiło gwałtowne skręcenie w niepożądaną stronę, bo dalszym ciągiem może być – znowu – narzucanie przez większość, czyli przez władzę rządzącą, swojego sposobu myślenia i w konsekwencji traktowanie prawa w sposób instrumentalny. I to już jest niebezpieczne, bo jeżeli będziemy traktować prawo w sposób instrumentalny, to znaczy to, że proces kształtowania kultury politycznej nie następuje. A wtedy nie wytwarzają się też mechanizmy ocenne w społeczeństwie, nie ma ich w debacie publicznej. Wówczas wyborcy oceniają sprawy publiczne w sposób uproszczony, utrwala się polaryzacja ocen. Sięga się chętniej do argumentów populistycznych, aniżeli do argumentów merytorycznych. Jeżeli więc zastanawiamy się, skąd się wziął populizm, to jego źródeł upatrywałabym w skręceniu z tej trudnej, mozolnej drogi tworzenia prawa poprzez dialog, poszukiwanie wspólnych rozwiązań i tym samym kształtowanie określonej kultury prawnej w kierunku myślenia, zgodnie z którym „większość może wszystko". A żeby nie było problemów, to ta większość będzie dawała „ciastko", żeby społeczeństwo oceniało sytuację przez

pryzmat otrzymanych korzyści, a nie przez pryzmat destrukcji czy niszczenia instytucji publicznych.

Dlatego jestem poważnie zaniepokojona tym, że obecny okres stał się okresem – podkreślam raz jeszcze – zahamowania rozwoju kultury politycznej, a równocześnie niszczenia instytucji publicznych. Instytucji, które musieliśmy odtworzyć, i które z trudem na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku odtwarzaliśmy.

Czy źródeł polskiego populizmu można upatrywać w błędach czy zaniechaniach popełnionych w okresie transformacji gospodarczej?

Transformację w Polsce przeprowadzaliśmy pioniersko i bez żadnego doświadczenia w sensie szerszym. Nie było nigdzie modelu, który mówiłby, jak należy przeprowadzić transformację. Myśmy robili to dwupoziomowo. Przeprowadzaliśmy transformację polityczną, bo musieliśmy dokonać politycznej zmiany w systemie organów państwowych i zasad ustrojowych, ale musieliśmy także dokonać istotnej transformacji w sensie ekonomicznym. Przebudowy czy wręcz postawienia na nogi systemu ekonomicznego, który był kompletnie zawalony i postawiony na głowie przez gospodarkę centralnie sterowaną. Te dwa poziomy koniecznych zmian musiały odbywać się równolegle, co wywoływało określone trudności i niepokoje społeczne. Zmiany dotyczące systemu politycznego przebiegały łatwiej i z większą aprobatą społeczną, bo społeczeństwo poprzez te zmiany polityczne zaczęło odczuwać swój większy wpływ na to, co się dzieje w kraju. Natomiast znacznie gorzej – i trudno się dziwić – została przyjęta, czy też zaakceptowana, droga rozwoju ekonomicznego, bo ona wymagała ostrych cięć. Była pusta kasa, brak wzorców jak dokonać tego przekształcenia. Trzeba było od czegoś zacząć. Ktoś musiał się tego podjąć. Tak narodził się plan Balcerowicza. Bardzo trudny, bo rzeczywiście pociągał za sobą wiele wyrzeczeń. Ale ja będę tego planu bronić zawsze, bo uważam, że pozwolił nam stworzyć mocne fundamenty pod gospodarkę.

Gdyby nie plan Balcerowicza, to my byśmy szli taką miękką drogą, jak na przykład Ukraina, Białoruś, Rumunia – kraje, które nie tworzyły podstaw do aktywności gospodarczej, za to tworzyły warunki dla powstawania społeczeństwa oligarchicznego. Natomiast my, poprzez plan Balcerowicza, który był twardy, ale jasno zakreślony, stworzyliśmy co najmniej dwa pozytywy. Po pierwsze, stworzyliśmy podstawy

dla silnej gospodarki i dla silnego rozwoju, i po drugie, postawiliśmy tamę dla rozwoju systemu oligarchicznego. W Polsce rozwój takiego systemu nie nastąpił.

Zastosowane radykalne mechanizmy zmian wywołały bardzo silne konsekwencje społeczne i polityczne...

I teraz, jak wiemy, konsekwencje społeczne tego typu mają charakter długoterminowy. Dla przykładu – była duża awantura o likwidację PGR-ów. To były gospodarstwa kompletnie nieefektywne, opierające się na dotacjach. One nie mogły na dłuższą metę funkcjonować w zmienionym systemie, stąd podjęto decyzję o ich likwidacji. To spowodowało pojawienie się całej masy ludzi bez pracy. Te osoby nie były na to przygotowane, nie były wykształcone do znalezienia sobie innego miejsca pracy, innej możliwości zatrudnienia. Na tym tle łatwo było budować populistyczne resentymenty. I to się stało. Pojawiło się kluczowe hasło Leppera: „Balcerowicz musi odejść". Tak to wówczas wyglądało i to otworzyło drogę populistycznego myślenia.

„Samoobrona" była bardzo silnie antyeuropejska. Pamiętam, że wojowałam z Lepperem, kiedy jeszcze byłam w polityce, a jego partia nie była w parlamencie. Już wtedy był niezwykle aktywny, blokował drogi i tworzył bardzo silnie antyeuropejską narrację, że „jak wejdziemy do Unii, to nam wszystko Unia zabierze" itd. Środowisko rolnicze było nastawione bardzo antyunijnie. Jeździłam dużo po kraju, spotykałam się z różnymi przedstawicielami środowisk rolniczych. Pamiętam, że zaproszono mnie na duże spotkanie na Jasnej Górze z okazji dożynek. Pojechałam na ten zjazd z myślą: „zobaczymy, jak to wyjdzie". Sala była pełna ludzi, ale spotkanie przebiegło dobrze. Ksiądz tam obecny podsumował to tak: „poradziła sobie pani premier z rozszalałym żywiołem chłopskim. Premiera Bieleckiego musieliśmy bocznymi drzwiami wyprowadzać". Mówię o tym, bo jeżeli spojrzymy na te reakcje z perspektywy czasu, to widać, że one zniszczyły w kraju bardzo wiele z pozytywnego wizerunku transformacji. Z drugiej strony po latach widać też, że grupą, która najbardziej skorzystała na wejściu Polski do Unii Europejskiej, są właśnie rolnicy.

Przeprowadzenie takich przemian, jakich myśmy się podjęli na początku transformacji, było skokiem w nieznane. Muszę wyraźnie powiedzieć, że wtedy nikt nie liczył ani na profity, ani na pieniądze.

To byli naprawdę ludzie zaangażowani ideowo. Kiedy przypomnę sobie pierwszy Sejm, w którym byłam, czyli ten Sejm „okrągłostołowy", to przecież nam wszystkim chodziło o dobro Polski. To był zupełnie inny czas, kiedy nie chodziło o akcentowanie różnic, tylko poszukiwanie tego, co możemy określić wzniośle dobrem wspólnym. Później to się wykoleiło przez różne ugrupowania, które wiedziały, że poprzez ostre hasła, wygrywanie pewnych dramatycznych sytuacji, które powstały w wyniku transformacji, mogą zaistnieć politycznie. Prawo i Sprawiedliwość przejęło te mechanizmy „Samoobrony". W inny sposób, ale przejęło.

Skąd wzięła się skłonność do dzielenia?

Niektórzy uważają, że jak się podzieli, spolaryzuje debatę, to się łatwiej rządzi. Na pewno trudniej się rządzi w poszukiwaniu konsensusu. Czasami są pewne osoby, które mają taki charakter, że poprzez wyostrzanie różnic, mogą lepiej wykonywać swoją rolę polityczną. Prawo i Sprawiedliwość to ugrupowanie, które powstało na zrębach Porozumienia Centrum, a pamiętajmy, że Porozumienie Centrum od początku za swój cel miało dzielenie. Nie łączenie, ale dzielenie. Było to widoczne już w pierwszym Sejmie „okrągłostołowym", gdzie dosyć trudno pracowało się z tymi osobami. Oni już wtedy cały czas mówili, że przemiany idą za wolno. Tylko co to znaczy, że „za wolno"? W jakimś sensie było to już hasło populistyczne. Osoby związane z Porozumieniem Centrum zorganizowały się wokół Wałęsy, żeby przeciwstawić go drugiemu nurtowi. I wtedy nastąpił dosyć silny podział w łonie ruchu solidarnościowego, co było szkodliwe dla przyszłości. Potem metoda dzielenia pozostała w naszej polityce.

Czego zabrakło w debacie politycznej w III Rzeczypospolitej?

Mam takie przekonanie, że ilość wątków i bogactwo dyskusji było wtedy takie, że właściwie poruszaliśmy naprawdę wszystkie tematy. To był czas, kiedy permanentnie od 1989 roku przygotowywano Konstytucję, a wiadomo, że jak się przygotowuje Konstytucję, to przedmiotem rozmowy są dokładnie wszystkie tematy, wszystkie problemy, które trzeba było rozważyć – zarówno relacje dotyczące ustroju politycznego, ekonomicznego; to, jakie zasady ustrojowe dotyczące ekonomii

wprowadzamy do systemu konstytucyjnego. W związku z tym trzeba było dyskutować wszystko: kwestie własności, kwestie pracy i obowiązku pracy, pełnego zatrudnienia, niepełnego zatrudnienia, wolności pracy.

Kiedy sięgnie się do tamtych lat, to bogactwo problemów jest niezwykłe. I oczywiście od samego początku był problem przystąpienia do Unii Europejskiej. Zaczęły się dyskusje dotyczące tego, co my stracimy, a co zyskamy na członkostwie w UE. Te dyskusje były otwarte i było znacznie więcej pytań aniżeli odpowiedzi.

My, jako społeczeństwo, mieliśmy i mamy do dzisiaj takie przekonanie, że jesteśmy najlepsi ze wszystkich i powinniśmy w ogóle być kochani w świecie za to, że jesteśmy. Wtedy było też myślenie tego typu, że ponieważ myśmy zerwali z komunizmem jako pierwsi, to nas powinni wszyscy z otwartymi rękami przyjąć do Unii Europejskiej. No a tu się okazało, że niestety musimy także spełnić pewne kryteria, które musiały spełniać wszystkie państwa. I nie jest tak, że możemy przystąpić do Unii od razu. To jest zresztą ten problem, z którym boryka się obecnie Ukraina. Wejście do pewnych struktur jest łatwiejsze, do innych trudniejsze. Na przykład, wejście do NATO to była *stricte* polityczna decyzja, natomiast wejście do Unii Europejskiej to była zupełnie inna sprawa.

Jakie było spojrzenie Kościoła na zmiany społeczno-ustrojowe, które zachodziły w Europie Środkowej i Wschodniej po roku 1989?

Podejście Watykanu do zmian w tamtym czasie, to było podejście Jana Pawła II. A Jan Paweł II był przede wszystkim mężem stanu. On wspierał te przemiany i wiadomo było, że to dla niego ważne.

Już podczas swojego pierwszego spotkania z korpusem dyplomatycznym w Watykanie, po tym jak został wybrany papieżem, powiedział, że wita reprezentantów, ambasadorów różnych państw i dodał, że żałuje, że niestety nie może powitać wszystkich państw, które chciałyby tu być. To był rok 1978. I te słowa były wyraźnie skierowane do państw komunistycznych, które nie miały swoich reprezentacji w Watykanie. Od początku działania Jana Pawła II zmierzały w kierunku zburzenia muru, który dzielił Wschód i Zachód Europy. Papież podkreślał, że nie możemy budować murów. I stąd przemiany ustrojowe

w Europie Środkowej i Wschodniej były niezwykle pozytywnie oceniane w Watykanie.

Watykan w szerszym zakresie nie mieszał się zaś do organizacji wewnętrznej w państwach, poza kwestiami traktatowymi, które wymagały wówczas pewnego uporządkowania. Państwa zawierały z Watykanem umowy cząstkowe, dotyczące różnych zagadnień, które mogły wchodzić w zakres działania państwa i Kościoła.

Należy też pamiętać, że Watykan to jest bardzo polityczne miejsce. Zawsze uważałam, że Stolica Apostolska to jest rodzaj organizacji międzynarodowej. Przecież to jest instytucja, która działa na całym świecie, ma przedstawicieli na całym świecie, korpus urzędniczy, a w Watykanie są reprezentacje różnych państw. Dlatego tam też pojawiają się różne sprzeczności interesów, które trzeba brać pod uwagę. I mogę też zakładać, że nie wszyscy byli zadowoleni z polityki Jana Pawła II wobec państw komunistycznych.

Jaka była rola Kościoła podczas procesu transformacji w Polsce? Czy Kościół starał się wspierać władze w trakcie przemian gospodarczych i łagodzić napięcia związane z ich skutkami?

Na pewno nie było wtedy symbiozy polityczno-kościelnej. Absolutnie nie. Natomiast było poszukiwanie dialogu i punktu, w którym moglibyśmy się spotkać. Nam też zależało oczywiście na pewnym zaangażowaniu Kościoła we wspieranie inicjatyw proeuropejskich. Kościół podchodził dosyć wstrzemięźliwie do tego, żeby taki wyraźny głos wsparcia w tym procesie dać. Jednak gdyby nie wezwanie Jana Pawła II, to kto wie, w jakim kierunku potoczyłoby się referendum akcesyjne. Proszę zwrócić uwagę, że to właśnie w latach dziewięćdziesiątych pojawiły się inicjatywy organizowania konferencji pod tytułem „Kościół, Europa, Polska". Na te konferencje zapraszano najznamienitsze osobistości z całej Europy, żeby mówić o tym, jakie wyzwania stoją przed krajem, który stara się o członkostwo w Unii Europejskiej, i który ma większość katolicką, oraz jakie wiążą się z tym wyzwania dla Kościoła katolickiego.

Jako premier, wiedziałam, że prowadzę pewien dialog czy też współpracę z Kościołem, natomiast to nie była taka symbioza, z jaką mieliśmy do czynienia w latach rządów PiS. Trzeba było używać różnych argumentów, żeby przekonywać Kościół do pewnych kwestii.

Kościół zabierał głos bardziej „w sprawach", aniżeli z myślą o wspieraniu konkretnej partii, choć takie niebezpieczeństwo pojawiło się w momencie, kiedy na scenie politycznej pojawiła się Liga Polskich Rodzin. To była partia bardzo mocno katolicka – nie chrześcijańska w sensie szerszym, tylko katolicka. I wtedy istniała tendencja do dużego zbliżania się tej partii z Kościołem, ale w ostateczności nie uzyskała ona większego znaczenia na scenie politycznej. Zawsze możemy powiedzieć, że Kościół miał pewne partie, które były mu bliższe i pewne partie, które były mu dalsze.

Silna więź między władzą a Kościołem to coś dobrego dla Kościoła czy niekoniecznie?

Zawsze uważałam, że symbioza polityczna szkodzi Kościołowi. Mam czasami takie wrażenie, że Kościół obrywa obecnie za to, za co obrywa partia polityczna; że gdyby był większy dystans, to także krytyka Kościoła byłaby mniejsza. W połowie lat dziewięćdziesiątych widziałam, że były takie tendencje, że Kościół zmierzał w kierunku tej jednej partii i tego, żeby ją bardziej wspierać. I już wtedy pisałam, że jeżeli Kościół powiąże się z jedną siłą polityczną, to upadek tej siły politycznej może oznaczać także kryzys dla Kościoła.

Takie zjawisko było widoczne również w innych krajach europejskich?

Nie, bo w żadnym innym kraju europejskim Kościół nie był tak silny, jak u nas. I ta siła Kościoła w pewnym momencie paradoksalnie okazała się w jakimś sensie słabością.

Czy można powiedzieć, że lata 2015–2023 to okres największej symbiozy władzy i Kościoła po 1989 roku?

Obawiam się, że tak. I to była symbioza bardzo niebezpieczna, bardzo duża na szczeblach lokalnych. Często podkreślam, że Kościół był w 1989 roku największą „partią" opozycyjną w Polsce i wiadomo było, że oddawał tym głos na wyraźnie opozycyjne ugrupowania. W momencie, kiedy nastąpiła zmiana i zaczęliśmy budować normalne struktury partyjne, Kościół musiał wycofać się z tej roli. To było oczywiste, i to było też oczywiste dla Kościoła. Natomiast wtedy Kościół musiał odnaleźć swoją nową rolę i to było bardzo trudne wyzwanie. Gdzie ją

odnaleźć? Czy być kompletnie neutralnym, czy wspierać reformy, czy wspierać konkretnych polityków? Wiadomo, że każdy rząd miał pokusy, żeby poprosić Kościół o wsparcie swoich działań. Pamiętam, że w przypadku mojego rządu hierarchia biskupia nie chciała się tak bezpośrednio angażować we wspieranie konkretnych reform. Był pewien dystans. Natomiast obserwowałam ostatnio, że ta więź między rządem a Kościołem, jest dużo silniejsza. I widzę też, że istnieje w społeczeństwie odczucie, że Kościół jest bardziej osadzony po jednej stronie politycznej.

Rozmowę przeprowadziła Dominika Pietrzyk
Rozmowa nieautoryzowana

Miałem wyobrażenie o demokracji, jako o merytokracji, a nie partyjniactwie

Rozmowa z Włodzimierzem Cimoszewiczem (część 1)

Jak doszło do tego, że na przełomie wieków, najważniejsza polska partia lewicowa – SLD, stała się ugrupowaniem z bardzo silnym, wręcz dominującym, nurtem socjalliberalnym? Toczyły się poważne dyskusje, spory, o jej kształt ideowy?

Moim zdaniem to się stało w momencie, kiedy doszliśmy do władzy w 1993 roku. Dopiero wchodząc do rządu uzyskaliśmy pełną wiedzę o sytuacji w kraju, o realnych możliwościach i ograniczeniach polityki. Wcześniej opozycja nie dysponowała wystarczającą wiedzą, na przykład o realiach finansowych państwa, o tym, jakie zasoby i narzędzia są do dyspozycji. Kolejne rządy nie dzieliły się z opozycją tego typu informacjami.

Ta transformacja obozu lewicowego nie była efektem przemyśleń ideologicznych czy ideowych. Nie było tak, że zamknęliśmy się w klasztorze, medytowaliśmy trzy miesiące i w końcu doszliśmy do wspaniałych konkluzji. Uczyliśmy się krok po kroku. Pamiętam, jak rząd Hanny Suchockiej złożył wniosek w sprawie ratyfikacji kilku protokołów dodatkowych do Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności – ale bez protokołu nr 6, zakazującego stosowania kary śmierci. Gdy na posiedzeniu klubu parla-

mentarnego lewicy zaproponowałem, abyśmy wystąpili z postulatem ratyfikowania i tego protokołu, doszło do zupełnie zdumiewającej, długiej dyskusji zakończonej jawnym głosowaniem, w którym padł remis. To pokazuje, że nasze środowisko dochodziło do nowego myślenia stopniowo.

Gdy po wyborach czerwcowych w 1989 roku powstał klub sejmowy, przytłaczająca większość z nas była zupełnie nowa. Po raz pierwszy zostaliśmy posłami, bardzo duża część tych parlamentarzystów nie zajmowała się wcześniej działalnością polityczną czy partyjną. Było wielu ludzi z gospodarki – dyrektorów nawet bardzo dużych przedsiębiorstw typu Nowa Huta; było trochę naukowców ze świata akademickiego, prawników. I byli tacy „dziwacy", jak nieżyjący już Krzysztof Komornicki – absolwent nauk politycznych na Sorbonie, hodowca owiec z okolicy Bystrzycy Kłodzkiej, czy ja: z doktoratem z prawa międzynarodowego, hodujący świnie w Białostockiem.

Byli także twardogłowi przedstawiciele prowincjonalnego aparatu partyjnego, którzy zachowywali się ciągle buńczucznie, najwyraźniej nie rozumieli skali porażki politycznej i nieuchronności poważnych zmian. Sporo ludzi nie wyrobiło sobie jeszcze zdania, ale mieli otwarte głowy, słuchali argumentów. I była część przekonana, że – po prostu – przyszedł czas na innych, że w Polsce musi się wytworzyć nowy układ polityczny.

Ja osobiście, traktowałem politykę jako ważną działalność, linie podziałów politycznych miały dla mnie trzeciorzędne znaczenie. Miałem wyobrażenie o demokracji jak o merytokracji, a nie partyjniactwie.

Zrozumiałe, że przedmiotem sporu w tym parlamencie nie stała się kwestia transformacji demokratycznej państwa, bo praktycznie wszyscy się za nią opowiedzieli. Nie było jednak także większej debaty wokół modelu transformacji gospodarczej.

Okazało się bardzo szybko, że rząd, a konkretnie wicepremier Leszek Balcerowicz, przygotowuje cały pakiet fundamentalnych reform gospodarczych. Mimo, że jeszcze nie wiedzieliśmy, jakie to będą propozycje, już się o tym rozmawiało. Było naturalne, że w parlamentarnych pracach nad tymi projektami muszą uczestniczyć ci z nas, którzy albo byli z wykształcenia ekonomistami, profesorami ekonomii na uniwersytetach, albo byli szefami przedsiębiorstw z doświadczeniami me-

nedżerskimi. W grudniu 1989 roku powołano komisję nadzwyczajną do rozpatrzenia 11 projektów ustaw – trzeba było je przyjąć dosłownie w ciągu kilkunastu dni, żeby była szansa wprowadzenia ich w życie od 1 stycznia 1990 roku. Warunki były absolutnie nadzwyczajne. Wszyscy mieli świadomość tragedii gospodarczej, a zwłaszcza finansowej – mieliśmy inflację rzędu kilkuset procent w wymiarze rocznym. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to jest piekielnie odpowiedzialne wyzwanie, i że trzeba się z nim zmierzyć. Wiedzieliśmy też, jakie są społeczne oczekiwania – wobec władzy w ogóle, nie tylko obozu solidarnościowego.

Nie spieraliście się w klubie w tej sprawie? Nie było żadnej alternatywnej propozycji?

Nie, nie! Były różne dyskusje, ale nie było jakiegoś, powiedziałbym, politycznie motywowanego sprzeciwu. Wprost przeciwnie: były bardzo aktywne zaangażowanie i pomoc. Myślę, że złożyła się na to mieszanina dwóch czynników: po pierwsze świadomość porażki wyborczej i zrozumienie, że to nie od nas oczekuje się w tej chwili rządzenia. A po drugie, było to jednak poczucie odpowiedzialności. Moim zdaniem, wtedy ukształtowało się ono jako cecha identyfikująca lewicę tamtych czasów. Naprawdę przytłaczającą większość tego klubu stanowili ludzie z etosem państwowych aktywistów, działaczy społecznych, nauczycieli, osób zajmujących się pomocą społeczną i tym podobne. To nie byli partyjni politycy broniący jakichś racji grupowych, ideologicznych.

Jak wiadomo, reforma Balcerowicza zaczęła wywoływać szokowe skutki, między innymi w postaci zamykania nierentownych przedsiębiorstw i w konsekwencji – bezrobocia. Po pół roku mieliśmy milion osób poza rynkiem pracy. Wiosną 1990 roku rozpoczęły się brutalne ataki na rząd Tadeusza Mazowieckiego i to wychodzące, niestety, od Lecha Wałęsy i jego najbliższych ówczesnych współpracowników: braci Kaczyńskich.

Po wielu latach Alina Grabowska, dziennikarka Radia Wolna Europa, na zorganizowanym przez nią dużym publicznym spotkaniu, przypomniała moje wystąpienie w odbywającej się w tamtym czasie sejmowej debacie nad rządem Mazowieckiego. Byłem już wtedy przewodniczącym Parlamentarnego Klubu Lewicy Demokratycznej. *Nota-*

bene wybrano mnie, choć nie byłem członkiem stanowiącej jego trzon Socjaldemokracji RP. Otóż, występując w imieniu Klubu broniłem rządu Mazowieckiego przed populistycznymi atakami. Musiałem mieć poparcie moich koleżanek i kolegów – sam tak myślałem, ale nie mógłbym tego zrobić przeciwko Klubowi.

Po wyborach prezydenckich Tadeusz Mazowiecki – uważając, że przegrana oznacza brak społecznego zaufania – podał się do dymisji. Lech Wałęsa, niczym królika z kapelusza, wyciągnął Jana Krzysztofa Bieleckiego, który zachowując się z młodzieńczą, powiedziałbym, brawurą, wykazywał brak wyobraźni. Był bardzo pewny siebie i to raziło. Jednocześnie sposób traktowania przez Kongres Liberalno-Demokratyczny fundamentalnych już wtedy kwestii społecznych typu bezrobocie, bardzo nam nie odpowiadał. W związku z tym przed wyborami 1991 roku powiedzieliśmy: „Tak dalej być nie może". To hasło bardzo łatwo trafiało do ludzi na masową skalę. To był czas postępującej pauperyzacji społeczeństwa. Pojawiły się miliony niezadowolonych ze swojej sytuacji materialnej. Była też część ludzi, która jednak wierzyła w PRL i nie podobał im się ogólnie kierunek zmian. Byli i tacy, którzy nie rozumieli wszystkiego, co działo się w państwie i gospodarce. Wolny rynek stał się niezrozumianą obietnicą: wiele osób wiązało z nim nadzieję, ale nie rozumiało jego logiki – tego, że teraz trzeba będzie samemu zadbać o siebie. Taka była cena za reformy, które i dziś oceniam jako niezbędne. Skoro więc postanowiliśmy brać udział w tych wyborach, to musieliśmy nawiązać kontakt z tymi ludźmi. Robiliśmy to w taki – dość ofensywny – sposób. Nie byliśmy zwolennikami rządu Bieleckiego.

Po wyborach w 1991 roku zrobiło się jeszcze gorzej. Prawica dominowała – i to taka bałaganiarska. Na pozycje „świecznikowe" trafiali ludzie absolutnie nieudolni, niekompetentni. Rząd Olszewskiego był tragedią z punktu widzenia kompetencji.

Jakie znaczenie dla procesu formowania się lewicy – i szerzej: sceny politycznej – miało pana kandydowanie na urząd prezydenta RP?

W 1990 roku nie myślałem o kandydowaniu, do głowy by mi to nie przyszło. Koncentrowałem się na wykonywaniu funkcji przewodniczącego klubu parlamentarnego. Zresztą byłem wtedy politykiem zupełnie w Polsce nieznanym. Badanie opinii publicznej mierzące rozpoznawal-

ność sześciu ostatecznie zarejestrowanych kandydatów wykazało, że kojarzy mnie 3 procent respondentów. Absolutnie marginalny poziom.

Wymyślił to Aleksander Kwaśniewski. Jasne, że połechtało to moje ego, ale w tej propozycji był także sens polityczny. Miałem świadomość, że wygrać nie mogę, zbyt mało czasu upłynęło od 1989 roku. Udział w kampanii dawał jednak rozpoznawalność; po wyborach miałem ją na poziomie 97 procent! Otrzymałem trochę ponad 9 procent głosów, a wynik mógł być znacząco lepszy, gdyby nie pojawił się nie wiadomo skąd kandydat Stanisław Tymiński. Miało to swoje konsekwencje: uzyskałem poparcie kilkunastu rozmaitych lewicowych organizacji – partii, związków zawodowych, stowarzyszeń. Pół roku później, wspólnie z Aleksandrem Kwaśniewskim, zaproponowaliśmy utworzenie na tym fundamencie koalicji politycznej, nie partii, o nazwie Sojusz Lewicy Demokratycznej. Przyczyniło się to do wygrania wyborów w 1993 roku.

Jak po upływie ćwierćwiecza ocenia pan ład społeczny ukształtowany na fundamencie nowej Konstytucji?

Generalnie Konstytucja obroniła się w czasie bezprzykładnego na nią ataku ze strony niepraworządnej władzy. Przejściowo wydawała się bezbronna – bo jej formalny strażnik, którym jest prezydent Rzeczypospolitej, sam brał udział w jej łamaniu; dodatkowo Trybunał Konstytucyjny, który powinien jej bronić z prawnego punktu widzenia, został zdeformowany i zdeprawowany. Jednak tego typu władza nigdy nie trwa wiecznie.

Polska, gdzie – obok Niemiec wschodnich i Węgier – został zapoczątkowany ruch wielkiej zmiany w naszej części Europy, była ostatnim krajem tego regionu, w którym do 1997 roku nie przyjęto jeszcze nowej, demokratycznej konstytucji. A było to pilnie potrzebne. Nie tylko dla trwałego „zakotwiczenia się" w systemie demokratycznym, ale i ze względów zewnętrznych; na przykład w Radzie Europy oczekiwano potwierdzenia przemian ustrojowych w postaci spisanego prawa. Szybko na nowo przystąpiliśmy do pracy. Na szczęście udało się uniknąć bojkotu ze strony opozycji. Przypuszczam, że znaczenie miało to, że Aleksander Kwaśniewski, który został pierwszym przewodniczącym Komisji Konstytucyjnej, zaproponował bardzo otwarty i demokratyczny, niezwykle inkluzywny, system pracy. Skład Komisji

precyzyjnie odzwierciedlał układ sił w Sejmie i Senacie. Miała ona pracować bez nadmiernego pośpiechu, pozwalając na autentyczną, otwartą i pogłębioną dyskusję nad wszystkimi istotnymi kwestiami. Podczas omawiania zagadnień bezpośrednio dotyczących spraw różnych środowisk lub instytucji, uważnie i poważnie wysłuchiwano przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego, Kościołów i związków wyznaniowych, związków zawodowych itp.; a do tego – zawsze: naukowców i ekspertów. Zaczął się kształtować zarys ustroju. Byliśmy w stanie dokonywać wyboru, które rozwiązanie – zdaniem większości pracującej w tej komisji – najlepiej pasowało do naszych realiów, do aktualnego punktu w historii naszego kraju. Obok zapisania szerokiego katalogu praw politycznych, a także społecznych i ekonomicznych, chodziło o zagwarantowanie bardzo demokratycznego charakteru państwa.

Musieliśmy też dokonać bardzo precyzyjnego, nie tylko ogólnego, rozstrzygnięcia w kwestii kompetencji prezydenta Rzeczypospolitej. W tym czasie ogromna większość społeczeństwa przywiązała się już do jego elekcji w głosowaniu powszechnym. Rzecz nie tylko w tym, że to są wybory jasne i zrozumiałe dla każdego. W 1990 roku po raz pierwszy kandydatom – byłem wtedy jednym z nich – przyznano bardzo dużo darmowego czasu antenowego w mediach publicznych. Uważnie oglądano i słuchano tych materiałów. Obywatele poczuli się wciągnięci w mechanizm wyboru najwyższego przedstawiciela RP. Z tego faktu wynikał bardzo silny mandat polityczny prezydenta. Jeśli go dobrze wykonywał – a tak się stało w przypadku Aleksandra Kwaśniewskiego, to poparcie społeczne dawało mu dużą możliwość pozostawania w kontakcie z opinią publiczną, wykorzystywania tego do prezentowania swoich poglądów i sugestii, także w relacjach z rządem i parlamentem. Uwzględniając tę jego naturalną siłę, nie chcieliśmy jednocześnie dopuścić do pojawienia się jakichś ciągot autorytarnych. W gruncie rzeczy dlatego za najważniejszą część egzekutywy uznaliśmy Radę Ministrów. Jednak przyznając jej kompetencje do prowadzenia polityki w różnych zakresach, wyraźnie podkreśliliśmy – w przepisach – że i prezydent, i rząd mają obowiązek współdziałania. W ten sposób próbowaliśmy zachować główne elementy ustroju parlamentarno-gabinetowego: wyeksponowanie pozycji rządu i premiera, jednocześnie nie przyjmując rozwiązań, które by uchybiały owemu mocnemu mandatowi politycznemu, będącemu konsekwencją bezpośrednich wyborów prezydenckich.

Znam komentarze, że do 1995 roku, dopóki prezydentem był Lech Wałęsa, w tej komisji raczej chciano osłabić władzę prezydenta, a kiedy urząd objął Aleksander Kwaśniewski – wprost przeciwnie. Nie mogę oczywiście zagwarantować, że takie pomysły nikomu nie chodziły po głowie, ale na pewno to nie był czynnik dominujący. Nie miało to wpływu na ostateczne wyniki.

Konstytucja z 1997 roku otworzyła nam drogę do Unii Europejskiej.

Oczywiście pisząc ją, myśleliśmy o tym. Stąd jej artykuł 90., czyli upoważnienie do przekazania organizacji międzynarodowej lub organowi międzynarodowemu kompetencji organów władzy państwowej w niektórych sprawach.

Przed referendum konstytucyjnym odbyła się wielka debata już nie tylko w Sejmie i Senacie, ale wśród ogółu Polaków. Była ona nadspodziewanie ostra. Gdzie była przyczyna tej polaryzacji?

Kiedy tekst był już gotowy i miał zostać poddany pod powszechne głosowanie, pojawiły się niezwykle brutalne ataki na Konstytucję ze strony Akcji Wyborczej „Solidarność", Porozumienia Centrum, także Kościoła. „Targowica", „hańba", „zdrada"… Dzisiaj, niestety, przyzwyczailiśmy się do tak agresywnego języka i do demagogicznych argumentów, ale wtedy mocno to zaskakiwało. Trochę obawialiśmy się o wynik referendum. Robiliśmy, co było można dla popularyzacji treści projektu, choć wiadomo, że nawet najprościej sformułowany akt prawny tej rangi jest jednak trudny do powszechnego zrozumienia. Prezydent Kwaśniewski rozesłał wydrukowany egzemplarz do każdego gospodarstwa domowego; nie słyszałem o niczym podobnym gdziekolwiek na świecie. Wszystko to pewnie miało jakiś pozytywny wpływ na wynik głosowania: 53,5 procent za przyjęciem. Frekwencja nie była wysoka, wyniosła niecałe 43 procent. Z jednej strony było jakieś zniechęcenie, z drugiej – właśnie te brutalne ataki sprawiały, że część ludzi głosowała przeciw, a część stała z boku, nie chciała się w ten spór wtrącać.

Nowa Konstytucja nie była dla ludzi ważna?

Obawiam się, że nie… W środowiskach inteligenckich znaczenie Konstytucji było oczywiste, ale jeśli chodzi o jej powszechny odbiór, to

obawiam się, że nie. Najlepszym na to dowodem jest fakt, że przez kolejnych dwadzieścia lat nie toczyła się praktycznie żadna dyskusja konstytucyjna. W sporach politycznych prawie nigdy nie odwoływano się do Konstytucji. Promiennym paradoksem jest, że jej przeciwnicy – ci, którzy objęli władzę w 2015 roku i zaczęli ją brutalnie gruchotać – wywołali ruch oporu wśród obywateli i dopiero wtedy bardzo wiele osób zaczęło się nią interesować, wzięło ją do ręki i zaczęło ją czytać.

Na szczęście Konstytucja nie była zagrożona w tym sensie, że nie można było jej zmienić. Choć osobiście do naszych niedoróbek zaliczam zbyt łatwą procedurę jej nowelizacji. Dla stabilności ustrojowej byłoby bardzo ważne, aby poprawki do jej treści wymagały potwierdzenia także przez Zgromadzenie Narodowe kolejnej kadencji. Zmiana musiałaby więc być powszechnie akceptowana, niezależnie od układu politycznego w określonej kadencji parlamentarnej.

To pana rząd wydał jednostronną deklarację stwierdzającą, jak będzie stosować konkordat między Rzeczpospolitą a Stolicą Apostolską. Jak ocenia pan wpływ Kościoła katolickiego na polską politykę?

Konkordat został podpisany w 1993 roku przez Krzysztofa Skubiszewskiego, ministra spraw zagranicznych w rządzie Hanny Suchockiej. Rządy SLD-PSL – Pawlaka, Oleksego i mój – odziedziczyły tę umowę. Moi poprzednicy nie podjęli w jej sprawie żadnych kroków; przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Natomiast ja, ze względu na to, że jako prawnik zawodowo zajmowałem się prawem międzynarodowym, wiedziałem, że państwo ma obowiązek wszczęcia procedury ratyfikacyjnej podpisanego układu. To jest dowód działania w dobrej wierze. Nie musi takiego porozumienia ratyfikować – po to jest ta procedura, żeby na jej końcu powiedzieć „tak" lub „nie"; ale niedopuszczalne jest, by mijały lata bez jej uruchomienia. Dlatego postanowiłem podjąć działania w tej sprawie. Jednocześnie sam miałem sporo wątpliwości dotyczących kilkunastu punktów konkordatu. Na przykład zadawałem sobie pytanie, co będzie, jeśli ksiądz nie zarejestruje w urzędzie stanu cywilnego ślubu zawartego w kościele? Czy małżonkowie byliby wtedy pozbawieni prawa do rozwodu? Zwróciłem się więc do ministra spraw zagranicznych w moim rządzie, Dariusza Rosatiego, żeby przekazał Stolicy Apostolskiej, że mamy tego typu problemy interpretacyjne i proponujemy uzgodnić wykładnię niejasnych

przepisów. Niestety, kardynał Casaroli, ówczesny sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej, odpowiedział, że Watykan nie jest gotowy do podpisania dwustronnej deklaracji w tej sprawie; posiadałaby ona moc prawną. Ale jednocześnie zapowiedział, że jeżeli do naszego dokumentu ratyfikacyjnego dołączona będzie taka deklaracja polskiego rządu, to zostanie ona przez stronę watykańską przyjęta. Była w tym dorozumiana obietnica, że będą tę interpretację traktować bardzo poważnie. Przygotowaliśmy więc taki dokument, a ja spróbowałem zbadać, czy na tych warunkach Sejm uchwali ustawę, wyrażającą zgodę na ratyfikację konkordatu przez prezydenta. Zostałem jednak „zakrzyczany" przez Klub Parlamentarny SLD, bez którego ta decyzja oczywiście nie mogła zostać podjęta. Sejm następnej kadencji przegłosował ustawę, na tej podstawie prezydent Kwaśniewski konkordat ratyfikował, zaś rząd premiera Buzka nie dołączył deklaracji interpretacyjnej.

Czy dzisiaj Watykan byłby gotów wykonywać konkordat w taki sposób, jak to doprecyzował ówczesny rząd?

Tego nie wiem. Bezpośrednio po przemianach roku 1989 było rzeczą zrozumiałą, że jednoznacznie pozytywnie oceniana postawa Kościoła w latach osiemdziesiątych, gdy udzielał schronienia i pomocy osobom represjonowanym w czasie stanu wojennego, musi mieć jakieś konsekwencje. Moim zdaniem powinny one być symboliczne. Ale do tego się nie ograniczyły. Już rząd Tadeusza Mazowieckiego wprowadził na przykład religię do szkół publicznych, co zresztą dzisiaj mści się na Kościele, jeśli spojrzeć na skalę odchodzenia młodych ludzi od wiary i tempo laicyzacji. Właściwie jednak nie jest dziwne, że państwo nie potrafiło w tamtym czasie określić miejsca Kościoła w życiu społecznym. Musieliby to zrobić ludzie szeroko pojętego obozu „Solidarności" – i ze względu na to, że to oni cieszyli się wielkim poparciem społecznym, i ze względu na obopólne zaufanie między większością z nich a hierarchami. Lewica miała w gruncie rzeczy zasznurowane usta: wszelkie krytyczne oceny bardzo łatwo byłoby zakrzyczeć oskarżeniami o ciągotki do powrotu do przeszłości.

Kościół bardzo zdecydowanie przesadził w oczekiwaniu na dowody wdzięczności za swoją wcześniejszą rolę. Przybierało ono różne formy, ale w największym stopniu chodziło o sprawy majątkowe. Kościół odbierał coś, czego nigdy nie stracił, co nigdy do niego nie należało;

doszło tu do wielu nieprawidłowości. Nie w takiej skali, żeby to przewracało nasze państwo – tak naprawdę to przewraca Kościół. To niepohamowanie przyczyniło się bowiem do wywołania nastrojów antyklerykalnych.

Przyznam się do czegoś, co w moim środowisku politycznym może być mocnym powodem do krytyki: otóż, gdy pełniłem funkcję premiera, mimo że byłem przeciwnikiem religii w szkołach, doprowadziłem do tego, że katecheci zaczęli otrzymywać wynagrodzenia ze środków publicznych. Znowu odezwała się we mnie moja dusza prawnicza. Ci ludzie byli zatrudnieni w oparciu o przepisy kodeksu pracy i nie mieściło mi się w głowie, że nie dostawali zapłaty za wykonywaną pracę. W tej chwili to są pokaźne kwoty w budżecie, co jest pokazywane jako jeden z przejawów nadmiernego wsparcia ze strony państwa. Chociaż w moim przekonaniu o wiele bardziej skandaliczne są dotacje i darowizny, które nie wynikają z obowiązku prawnego. Dawanie pieniędzy po to, by potem móc wystąpić w jakiejś telewizji, jest bulwersujące.

Można byłoby mieć zastrzeżenia – także dotyczące osób z mojego środowiska – do nadmiernie bliskich relacji polityków z najwyższego szczebla z hierarchami, również kontrowersyjnymi. Natomiast w moim przekonaniu nie miały one wpływu na funkcjonowanie państwa. My rzeczywiście nie chcieliśmy wojny z Kościołem. I nikt z nas do tego nie zmierzał. Po pierwsze, nie chcieliśmy takiej wojny w ogóle. Ale po drugie, nie chcieliśmy się konfliktować z uwagi na inne ważne sprawy, którymi się zajmowaliśmy. Chociażby na kwestię Unii Europejskiej. Jako minister spraw zagranicznych jeździłem na posiedzenia Konferencji Episkopatu Polski, żeby tym ludziom wytłumaczyć, dlaczego do UE chcemy wstąpić i dlaczego powinniśmy to uczynić. Robiłem to nie tyle w nadziei, że staną się gorliwymi zwolennikami integracji, ale żeby w obliczu zbliżającego się referendum przynajmniej byli powściągliwi i nie atakowali tej polityki. Szalenie ważna była tu postawa, krytykowanego obecnie za inne kwestie, Jana Pawła II. W sprawie Europy „o dwóch płucach", „od unii lubelskiej do Unii Europejskiej", miał klarowny pogląd, gdy chodzi o interes polskiego państwa i narodu. Był otwartym zwolennikiem naszego przystąpienia do Wspólnoty. Oczywiście w znaczącym stopniu jego stanowisko przekładało się na to, że przeciętny ksiądz już nie ośmielał się krytykować tej perspektywy.

Polska obroniła się przed powstaniem oligarchii, ale miała też złe doświadczenia z korupcją. Na pewien czas potrafiliśmy uporać się z tym zjawiskiem, ale ostatnie lata przyniosły liczne przykłady korupcji, nepotyzmu, niekompetencji w zarządzaniu spółkami skarbu państwa. Jak się uchronić przed spadaniem w tę otchłań?

Właśnie! Powinniśmy być dalecy od samozadowolenia. To prawda, że na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy robiono rzeczy zupełnie nowe, chociażby takie jak prywatyzacja – z dużym prawdopodobieństwem dochodziło do przypadków korupcji, chociaż one często pozostały nieujawnione; albo, jeżeli były poważne podejrzenia, to nie sposób było je udowodnić. Kiedy w 1993 roku zostałem ministrem sprawiedliwości – prokuratorem generalnym, prokuratura prowadziła kilka dużych spraw z punktu widzenia wartości sprywatyzowanych przedsiębiorstw, gdzie dochodziło do, powiedziałbym, zaskakującego przebiegu całego procesu. W służbowych rozmowach mówiono mi, z dużym przekonaniem, że podejrzewane osoby dopuściły się jakiegoś przestępstwa – ale prokurator nie miał jak tego dowieść. Ci ludzie nigdy nie zostali skazani.

Najprawdopodobniej dochodziło też do nadużywania władzy w zakresie przyznawania jakichś dóbr. To, co się stało z majątkiem RSW Prasa-Książka-Ruch, woła o pomstę do nieba. Tyle tylko, że to wydarzenia sprzed ponad trzydziestu lat, nikt już do tego nie wróci. Gigantyczne przedsiębiorstwo, masa drukarni, wiele nieruchomości, zostało sprywatyzowane na takiej zasadzie, że te składniki majątku po prostu porozdawano.

We mnie narastało przeświadczenie, że zaczyna się coś złego. Że podskórnie mają miejsce procesy, które mogą doprowadzić do daleko idących, być może nieodwracalnych, konsekwencji. Dlatego postanowiłem coś w tej sprawie zrobić, zaczynając od rządzących – na różnych szczeblach: i centralnym, i w samorządzie lokalnym. Postanowiłem sprawdzić, skąd ci ludzie czerpią pieniądze. To było działanie trochę na zasadzie prawa kaduka, bo nie opierałem się na żadnej podstawie prawnej. Ale też nie robiłem tego w trybie nakazowym, po prostu skierowałem do mniej więcej dwudziestu tysięcy osób pismo z prośbą o wskazanie źródeł ich dochodów. Zareagowali różnie: jedni odpowiadali, inni nie; jedni pisali prawdę, inni pewnie kłamali. Chodziło

mi głównie o to, by w odniesieniu do osób z rządu – zarówno tego, w którym byłem ministrem i wicepremierem, jaki i poprzednich – ustalić, czy wysocy urzędnicy państwa respektują przepisy jeszcze PRL-owskiej ustawy o wynagrodzeniach osób pełniących stanowiska kierownicze. Na początku lat dziewięćdziesiątych powszechną praktyką było, że – ponieważ płace tej grupy nie były wysokie – dorabiano sobie, obejmując stanowiska członków rad nadzorczych. Wielu z pytanych przyznało się do tego procederu. Informację tę przedstawiłem w Sejmie, mówiąc jaka jest skala nieprawidłowości. W ogromnej większości przypadków nie było to zresztą korupcją. Nazwanie tej akcji kampanią antykorupcyjną w ścisłym znaczeniu tego terminu jest pewną przesadą. Ale w moim przekonaniu odegrała ona istotną rolę prewencyjną, ostrzegawczą: jak jesteś u władzy, to musisz przestrzegać obowiązującego prawa, znać je, wiedzieć, co ci wolno, a czego nie. Nawiasem mówiąc, jedną z konsekwencji tej akcji było wprowadzenie oświadczeń majątkowych, obowiązujących do dziś.

Myślę, że ta kombinacja działań ostrzegawczych z nagłaśnianiem przypadków przez media przez długi czas odgrywała pozytywną rolę.

Dlaczego wielki lewicowy obóz, którego jeden z liderów przez dziesięć lat pełnił urząd prezydenta, który sprawował rządy przez dwie kadencje, upadł? Stracił wpływ na państwo i znaczenie polityczne.

Spektakularna porażka SLD w 2005 roku, po jednej kadencji od okazałego zwycięstwa w 2001 roku, była w moim przekonaniu kombinacją trzech czynników. Po pierwsze, zastaliśmy rzeczywiście fatalną sytuację finansów publicznych. Żeby ją ratować, zdecydowaliśmy się zrobić coś niepopularnego: ciąć wydatki. Podjęliśmy się tego w poczuciu – znowu – odpowiedzialności za państwo. Z góry wiedząc, że to może nas sporo kosztować. Inna rzecz, że popełniliśmy przy tym błędy, których nie tylko można było uniknąć, ale których nie wolno było zrobić. Na przykład, próbując oszczędzać jakieś grosze na barach mlecznych i ulgowych przejazdach kolejowych studentów.

Po drugie, niestety, SLD zaczął kopiować zachowania Akcji Wyborczej „Solidarność" z okresu jej władzy. Do 1997 roku w Polsce nie było tak wielu nepotycznych zachowań czy szastania ludźmi na niepolitycznych stanowiskach w różnych instytucjach państwowych i struk-

turach publicznych. Za rządów i Waldemara Pawlaka, i Józefa Oleksego, i mojego, utrzymała się pewnie połowa wojewodów mianowanych jeszcze przez rząd Suchockiej – o zupełnie innej orientacji politycznej; ale nam to nie przeszkadzało. Po 2001 roku – może dlatego, że AWS poszła daleko w odwrotnym kierunku, może dlatego, że panowało powszechne poczucie konieczności odwrócenia, tego co zrobili nasi poprzednicy – nie ograniczono się tylko do przywrócenia normalnych procedur, tylko zastąpiono jednych drugimi.

Trzecia przyczyna – to te rozmaite skandaliki, które zaczęły wychodzić na jaw w końcówce kadencji. Wyborcy mogli czuć się rozczarowani. Mimo że na tle tego, co się dzieje w Polsce Prawa i Sprawiedliwości, były to śmieszne afery. Ale wtedy opinia publiczna jeszcze bardzo mocno reagowała na takie przypadki.

Pański wizerunek polityczny ukształtowany przez lata III Rzeczypospolitej, zwłaszcza zainicjowanie akcji „czyste ręce" sprawił, że w 2005 roku stał się pan kandydatem lewicy na urząd prezydenta. Czy miał pan szansę zwyciężyć?

Jesienią 2005 roku miały się odbyć w krótkim odstępie wybory prezydenckie i parlamentarne. Byłem wtedy marszałkiem Sejmu. Wiosną było już wiadomo, że rządzący SLD przegra z kretesem, cud się nie mógł wydarzyć. Pojawiła się nowa koncepcja polityczna zbudowana na totalnej, systemowej krytyce sytuacji w państwie. Odrzucano ideę III Rzeczypospolitej. Wiele wskazywało, że ta koncepcja zostanie zrealizowana – przez tak zwany PO-PiS, przyszłą konserwatywną, centroprawicową większość rządzącą, złożoną z Platformy Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości. Logika byłaby taka, że bardziej radykalne ugrupowanie – to ostatnie – będzie narzucało ton polityce tej koalicji. Zazwyczaj, jeżeli radykałowie są niezbędni do rządzenia, to zyskują silną dźwignię do realizacji swoich postulatów. Szantażują ugrupowanie bardziej umiarkowane.

Myślałem więc, że gdyby udało się wygrać wybory prezydenckie, to nawet przy ograniczonej ustrojowej roli prezydenta można byłoby, stosując instrumenty natury formalno-prawnej – mieliśmy prawdziwy Trybunał Konstytucyjny – chronić państwo przed ekscesami legislacyjnymi, polegającymi na przyjmowaniu ustaw sprzecznych z Konstytucją. A także spowalniać pewne negatywne procesy.

Z tych powodów zdecydowałem się kandydować. Pierwsze sondaże po tym, jak to ogłosiłem dawały mi ponad 40 procent poparcia. To było niezwykle zachęcające. Tyle, że potem Platforma Obywatelska zorganizowała haniebną prowokację. Haniebną pod wieloma względami. Z punktu widzenia intencji, ale także tych, którzy byli jej wykonawcami. Z punktu widzenia zachowań innych poza SLD ugrupowań politycznych, które w najlepszym razie udawały neutralność; w innych przypadkach po prostu próbowano wykorzystać okazję do osiągnięcia własnych korzyści. Niestety, powiedziałbym, że egzamin oblały polskie media, wszelkie, które absolutnie nie potrafiły dorosnąć do roli obrońców prawdy. Po prostu rozpowszechniały kłamstwa. Doszło do sytuacji, kiedy zaczęto publikować artykuły, atakujące nie tylko mnie, ale i moją rodzinę. Uznałem, że dość, że na to nie pozwolę. I zrezygnowałem z dalszego kandydowania. Tak, rzeczywiście to była pierwsza prowokacja o takich konsekwencjach, o takim poziomie deformacji jednej z najważniejszych procedur demokratycznych. Ale prawdą jest, że polityk, który nie odciął się od działania swoich partyjnych kolegów, czyli Donald Tusk, zapłacił równie wysoką cenę kilka tygodni później: „załatwiono" go inną prowokacją i innym kłamstwem – wymyślonym przez Jacka Kurskiego – „dziadkiem z Wehrmachtu". W dużej mierze przez to przegrał wybory. Karma wraca; musiał zmierzyć się ze skutkami niegodziwości podobnej do tej, jaką wcześniej uczynili ludzie z jego otoczenia.

Jaki z tego wniosek dla jakości polityki? Trzeba się pogodzić z tym, że to domena nieczystych zagrań?

Nie, absolutnie nie. Problem polega na tym, na ile skuteczne może być oczekiwanie od ludzi przyzwoitych, że będą się sprzeciwiali. Oczekiwanie od mediów, przynajmniej od niektórych, że będą broniły prawdy.

Czy populizm jest problemem lewicy? Wydaje się, że kradnie jej wyborców…

I tak, i nie. W moim przekonaniu populizm nie ma barwy ideologicznej. Jeśli popatrzeć na ostatnich dwadzieścia lat, to w Europie zaczęło się od Austriackiej Partii Wolnościowej Jörga Haidera – krańcowo populistycznej, antyimigranckiej, prawicowej. Jej wejście do cha-

deckiego rządu Wolfganga Schüssela było takim szokiem, że pozostałe państwa UE zerwały z nim jakiekolwiek relacje. We współczesnej Europie w większości mamy populistów prawicowych; choć zdarzają się i po drugiej stronie sceny politycznej. Populizm na pewno zabiera głosy także lewicy – zależy od haseł i od tego, w co uderza. Jeśli ma na przykład wymiar antyimigrancki, to lewica nie ma z nim punktu stycznego. W Polsce jest zdecydowanie prawicowy, narodowo-katolicki. Chociaż jak słyszę niektórych młodych radykałów lewicowych, to myślę sobie, że albo po prostu nie wiedzą i ich pomysły są wynikiem ignorancji, albo że są właśnie nieodpowiedzialni i obiecują gruszki na wierzbie.

Pewna część wyborców SLD z 2001 roku potem zaczęła popierać Prawo i Sprawiedliwość. Przy czym to przejście było trwałe albo dość trwałe, a zostało ugruntowane przez to, że PiS tym wyborcom bardziej pasuje, jak chodzi o stosunek do Kościoła. Lewica dawniej nie zrażała do siebie tego elektoratu, ponieważ zachowywała neutralny stosunek do Kościoła. Gdyby z nim walczyła, nie miałaby poparcia tych ludzi.

W kampanii wyborczej w 2023 roku można było mieć wrażenie, że wszyscy starają się rywalizować na populizm o to, kto ma najlepszy pakiet socjalny.

To jest pułapka. W paru krajach, najbliższym nam jest Grecja, licytujące się wzajemnie populizmy lewicowy i prawicowy doprowadziły do katastrofy.

Odpowiedzialni politycy stoją przed dramatycznym wyborem. Żeby odsunąć populistów od władzy, trzeba uzyskać poparcie tych grup, które zostały przez populistów wcześniej kupione, skorumpowane. Tylko jak to zrobić, skoro to są często wyborcy, do których argumenty typu racjonalnego, akademickiego nie trafiają? Populizm rozdawniczy kształtuje relacje o charakterze wiary, a nie wiedzy. Jeżeli część społeczeństwa została już przekupiona i uwierzyła, to ja nie widzę możliwości odzyskania tych głosów. Prawdopodobnie trzeba szukać kontaktu i poparcia z innymi warstwami, z innymi grupami społecznymi. Zdając sobie sprawę z tego, że na jakichś polach jest się przegranym.

Rozmowę przeprowadził Robert Smoleń

To cud był, że kompromis aborcyjny został uchwalony. A potem, przy pierwszej możliwości kościelni hierarchowie go złamali

Rozmowa ze Stefanem Niesiołowskim

Jak to się stało, że tak wiele znaczących politycznych formacji, nie przetrwało próby czasu, zniknęło ze sceny? Myślę o Unii Demokratycznej, o Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym, które pan współtworzył. Podobna jest sprawa z AWS i SLD. Wydawało się, że te formacje pociągają za sobą jakąś znaczącą część społeczeństwa, ale wszystko zakończyło się katastrofą. W czym pan widzi przyczynę ich porażek?

Każda z tych formacji z innych powodów zeszła ze sceny. One rzeczywiście przegrały. W 2023 roku, znaleźliśmy się w sytuacji, kiedy Polska stała się właściwie taką miękką dyktaturą, półautorytarnym reżimem. To nie było nic nowego w naszej historii. Przecież w okresie międzywojennym, po stu dwudziestu latach niewoli, rozbiorów, ta polityczna wolność już po ośmiu latach została obalona. Polska żyła właściwie pod dyktaturą wojskowo-cywilną Piłsudskiego, do wybuchu wojny. I wybory nic nie mogły zmienić… To nie jest dla mnie nic nowego.

A jednak wyborcy dwukrotnie – w 2015 i 2019 roku dali im samodzielną większość w Sejmie. Widocznie zaakceptowali ich program polityczny…

Dla mnie są to jakieś mity o wielkości naszego narodu wspaniałego… Jeśli ponad 30 procent wyborców głosuje na skorumpowaną szajkę, jest

to wyrażenie zgody na rodzaj wewnętrznej okupacji. Trudno nie zgodzić się z twierdzeniem, że Polacy to wspaniały naród, dowiedli tego… Ale gdy widziałem tych ludzi, którzy klękali przed Kaczyńskim, przed Rydzykiem, to nachodzą mnie jednak różne wątpliwości. No dobrze, to tylko część narodu… Przyczyn jest wiele, myślę, że to jest jednak przejściowa sytuacja.

Wróćmy do rozmowy o losach ważniejszych polskich formacji politycznych w okresie III Rzeczypospolitej. Może zaczniemy od Unii Demokratycznej, która grupowała znaczącą część inteligencji opozycyjnej i solidarnościowej…

Znaczącą część, ale nie całość! Na przykład – ja też byłem opozycjonistą, nikt ode mnie w czasach PRL dłużej w więzieniu nie był, poza Jackiem Kuroniem. No, niech będzie, że 80 procent tej prodemokratycznej inteligencji sympatyzowało z Unią Demokratyczną, bo właśnie Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe miało być partią nie tylko dla środowisk inteligencji. Myślę, że te ugrupowania przy wszystkich różnicach łączyło to, że wszystkie były prodemokratyczne i nie zrobiły niczego, żeby dla utrzymania swojej władzy obalić demokrację. Przegrały w 2015 roku z ludźmi, którzy nie mieli takich skrupułów, którzy po prostu brutalnie sięgnęli po władzę i wprowadzali mechanizmy, które miały nie dopuścić, żeby tę władzę utracili.

Czyli można powiedzieć cynicznie, że byliśmy za słabi, nie przewidzieliśmy, że pojawią się polityczni chuligani – oni nie stosują siły, ale stosują nieuczciwe i chuligańskie metody. Wszyscy razem przegraliśmy z tymi, którzy uczciwi nie byli. Oni nie mieli żadnych skrupułów w składaniu obietnic, wprowadzaniu rozwiązań, które okażą się na dłuższą metę zabójcze dla Polski i mało tego, oni są gotowi podpalić Polskę, żeby dalej rządzić. I z nimi przegraliśmy w 2015 i 2019 roku. Zawsze wierzyłem jednak w to, że demokratyczne ugrupowania obalą dyktaturę.

Wróćmy do lat dziewięćdziesiątych. Wtedy Unia Demokratyczna dominowała w debacie publicznej w Polsce. Chciała zrozumieć i reprezentować wszystkich, miała spójny program reform…

Była za miękka, za delikatna, po prostu na tę twardą, brutalną rzeczywistość. No, oni byli po prostu za słabi. I poza tym byli miejscami

doktrynerscy. Ktoś powiedział ironicznie, że partia nie może być dodatkiem do ministerstwa finansów. Unia akceptowała wszystko, co ministerstwo finansów proponowało. Oni po prostu przegrali z populizmem.

Z innych powodów przegrało ZChN, które od strony programowej po prostu w pewnym momencie stało się właściwie tym, czym później było PiS, tylko bez tej agresywności. Pamiętam taką scenę, w Sejmie – jest jakaś debata, już nie wiem o czym, a w loży dla gości siedział rozwalony biznesmen z Torunia, nazywany nie wiadomo dlaczego ojcem. Posłowie ZChN-u zaczynali swoje mowy słowami: „Panie Marszałku, Wysoka Izbo, Ojcze Dyrektorze". To jest coś niebywałego w demokratycznej Polsce kłaniać się jakiemuś biznesmenowi, oligarsze. Oligarchą jest bowiem ten, kto dzięki poparciu politycznemu zyskuje bogactwo. I wtedy w moim przekonaniu ZChN się skończył jako demokratyczna formacja. Stał się partią, której znakomita większość działaczy jest dziś w PiS. Czyli widać, że nie ma właściwie w Polsce miejsca, zresztą już przed wojną nie było, dla prawdziwej umiarkowanej chadecji. Byłem jednym z twórców tej partii. To miała być formacja, która nie będzie wchodzić w tradycje polskiego antysemityzmu i nacjonalizmu. W Unii Wolności nacjonalistów nie było. W ZChN ich było od cholery, no i teraz są oni wszyscy w PiS. Ja potem wystąpiłem ze Zjednoczenia. To ugrupowanie okazało się niezdolne do walki z nacjonalizmem. Do tego okazuje się, tylko siły ma Platforma. Platforma, która wyrosła z Unii Wolności, ale talent polityczny Tuska spowodował, że ona się utrzymała.

Jak Kościół patrzył w latach dziewięćdziesiątych na polską prawicę? Czy ponosi on odpowiedzialność za jej ewolucję w kierunku populizmu i nacjonalizmu w późniejszych latach?

Ponosi wielką odpowiedzialność, bo można powiedzieć, że w dużym stopniu wyhodował to środowisko. A Kościół, który nie mógł sobie poradzić z Rydzykiem, to jest w ogóle hańba! Jaką mają więc wartość dzisiejsze jego deklaracje o politycznej bezstronności?

Mam wrażenie, że Kościół obawiał się nadmiernej liberalizacji, obawiał się zeświecczenia społeczeństwa. Tak, jak to się stało wcześniej w zachodniej Europie, odczuwał to jako zagrożenie dla siebie, dla ładu społecznego.

Czyżby? Co polski episkopat niby widział, co czuł? Dostał przecież wszystko, co chciał! A co czuł, że jakie nadchodzi zagrożenie?

Może czuł, że ludzie nie są tak entuzjastyczni jak byli w latach osiemdziesiątych?

Teraz dopiero nie są entuzjastyczni! Kościół dostał wszystko, co chciał i doprowadził do tego, że na religię nie chodzi już większość młodzieży w liceum, że seminaria są puste, że się je zamyka, że wielu ludzi się po prostu nie identyfikuje z tą instytucją. To dopiero teraz jest to, czego się obawiali.

Przyznaję, że ja tego zupełnie nie rozpoznałem w tamtych latach. Adam Michnik miał rację, on ostrzegał przed tym, co grozi nam ze strony Kościoła, że właściwie będzie on podporą nacjonalizmu. Uważałem, że jest to wymyślone niebezpieczeństwo, walczyłem z tym poglądem, i za to obecnie przepraszam. I dzisiaj, kiedy żyjemy w Polsce, gdzie się święci więzienia, mosty, drogi, fotowoltaikę, frytkownicę jakąś tam, to widać, że jest to po prostu instytucja podła, zakłamana i szkodliwa dla Polski.

Może nie zawsze trzeba obwiniać Kościół, tylko na przykład konkretnych polityków lub samorządowców?

To dlaczego nie wyrzucą biskupi Rydzyka? Dlaczego tak długo najważniejszy był u nich Jędraszewski? Arcybiskup Gądecki, pan Gądecki mówił o tym, że Kościół nikogo nie popiera, a jednocześnie cała propaganda Rydzyka jest w tych mediach, które oni kontrolują. Tam nigdy nie ma innych poglądów.

„Tygodnik Powszechny" jest właściwie odseparowany od Kościoła, od właściwie całego episkopatu. Oni popierają tylko to, co jest propisowskie, to co Rydzyk mówi. I episkopat nic z tym nie robi. Gądecki mówi: my jesteśmy neutralni, nikogo nie popieramy… Co za obłuda! Na szczęście tego się nie da długo robić bezkarnie. Jak się kłamie, to się nie jest autorytetem, a kłamią mówiąc na przykład, że nikogo nie popierają.

Jak do tego doszło? Doszło do tego w taki sposób, że inni ludzie nie rozeznali tego. Ja też nie...

Sądzę, że dla wielu biskupów ten zwrot ku populizmowi i nacjonalizmowi był jakoś wyrozumowany. Najpierw byli oni długo w defensywie wobec modernizacji, laicyzacji i różnych nowinek z Zachodu. Mówili, że niestraszna jest Kościołowi perspektywa nawet powrotu do katakumb, bo jak będzie trzeba dać świadectwo, to oni są na to gotowi. Później jednak uznali, że trzeba podjąć ofensywę, realizować misję, cele wychowawcze, zwrócić się bezpośrednio do mas…

No to się zwrócili i mają dzisiaj puste kościoły, puste seminaria, puste klasy.

Mówiono w swoim czasie o podziałach w Kościele, o kościele łagiewnickim. Coś z tego pozostało?

To była pomyłka. Nie ma, niestety rozumnego Kościoła. Jest on zepchnięty do głębokiej defensywy, jest paru księży, których się prześladuje. Symbolem kościoła łagiewnickiego miał być kardynał Dziwisz. Dlaczego właśnie on miałby być przykładem jakiegoś dobra? Chyba mniej obrzydliwy jest kościół Rydzyka, który przynajmniej z grubsza mówi to, co myśli.

Czy nie sądzi pan, że na stanowisko Kościoła wpłynęła transformacja gospodarcza, która spowodowała wielką frustrację mas ludowych, ich nieufność wobec reform gospodarczych oraz utożsamianych z nimi elit?

Mogła wpłynąć. Ale czego oni chcieli w ogóle?

Chcieli zmienić politykę, zmienić ludzi u władzy.

Żądali konkretnych rzeczy; religia w szkołach – dostali, ulg finansowych – też. Są imperium finansowym, są bogaczami. Żądali dostępu do mediów – dostali, żądali ustawy o wartościach chrześcijańskich – wszystko dostali. Czego im jeszcze brakuje?

Oni się też upominali o los pokrzywdzonych przez transformację.

To nie tylko Kościół się dopominał, dużo partii na tym jechało. Tego się nie dało zrobić szybko. Polska się wspaniale rozwijała i doganiała Europę, nikt tego nie zrobił lepiej. Żeby zlikwidować całkiem biedę? Przecież wszystkie partie rządziły! Na krytyce reform zawsze

można coś ugrać u wyborców, ale ja przypominam, że każda z dużych partii rządziła Polską i żadna z nich nie zlikwidowała obszaru biedy, nędzy. Do władzy dochodziły kolejno, na przemian różne ugrupowania. I niewiele zmieniały. Nie były w stanie, bo to jest niemożliwe. To tak, jakby ktoś miał taki program, żeby ludzie nie umierali. No nie da się…

Kościół chyba szybciej zauważył wykluczonych, niż na przykład środowiska inteligenckie zapatrzone w wizjonerskich reformatorów.

Tego nie wiem. Ja też o tym mówiłem i to zauważyłem. Myśmy o tym mówili na naradach ZChN-u, ale do nas przychodzili ekonomiści, także Balcerowicz, i pytali czy macie jakąś inną propozycję, czy macie swoich ekonomistów?

Był na przykład profesor Kurowski…

Ale nie odegrał żadnej roli. Poszedł do KPN, stał się raczej pośmiewiskiem. Pamiętam taką rozmowę z Balcerowiczem. Ja mówię, że jego reformy są bardzo kosztowne społecznie, że jest wielkie bezrobocie. Na to słyszę: No tak, ale widzi pan, że sytuacja makroekonomiczna się poprawia, znikają kartki na benzynę, znikają inne deficyty. Moim zdaniem nie ma możliwości, żeby kraj w trudnej sytuacji bez kosztów społecznych stał się bogaty.

Moje pytanie nie dotyczy polityki gospodarczej, tylko tego, kto wygrał na frustracji społecznej? Kto ją dostrzegł i wykorzystał?

Ale co to znaczy, że Kościół chciał, żeby było dobrze? Każdy chyba chciał, ale nikt lepiej od pierwszych rządów po 1989 roku tego nie potrafił zrobić. W latach 2015–2023 rządzili Polską ci, co rzekomo zawsze chcieli dobrze. Kościół zauważył tę frustrację, ale niczego przecież nie mógł, a może nie chciał zrobić. Mógł przecież chociażby podzielić się swoim bogactwem z biednymi, miał przecież znakomitą okazję, przecież te hektary, te wszystkie budynki, te ogromne pieniądze, przecież mógł im dać! Nie zrobił tego, więc są skrajnie niewiarygodni w swojej krytyce. Żeby bogacz żądał, aby ktoś dał biednemu, niech sam najpierw zacznie od siebie. Kościół dzisiejszy, jako opiekun ubogich, jest skrajnie niewiarygodny.

Kościół zajmował stanowisko dosyć wyważone, jeśli chodzi o integrację europejską.

Jeśli chodzi o wejście do Unii, to pan ma tu trochę racji. Główną zasługą Kościoła jest to, że nie przeszkadzał. To prawda, Kościół mógł storpedować nasze wejście do Unii, a tego nie zrobił. Ta wypowiedź papieża o unii lubelskiej i Europejskiej – ładna, i tu generalnie są na plus. Ale w kręgach kościelnych cały czas te antyeuropejskie środowiska mają i miały poparcie. Te środowiska to jest taka sekta, niezwykle szkodliwa i wroga Polsce. Nic się nie zmieniło. W Kościele są liczni ludzie, którzy nienawidzą Unii, nienawidzą integracji, nienawidzą demokracji. Oczywiście, pan zawsze może wskazać jakiegoś księdza przyzwoitego. Dobrze, że się naucza: nie kradnij, nie zabijaj. Ale to mówi każdy, środowiska świeckie też nie kradną i nie zabiją. A ich kompromituje pedofilia i krycie pedofili. W tej sprawie nieodwołalnie uwikłany jest Jan Paweł II i nic mu już nie pomoże, a najmniej jego pomniki i kardynał Dziwisz. To jakaś paranoja: osiemset pomników Jana Pawła II, a na razie chyba jeden Mazowieckiego i nie wiem czy jest jakiś Geremka. Nadejdzie dzień, że będzie odwrotne i skończą się place i ulice pisowców, a będą pomniki Wałęsy.

Kiedy właściwie, pana zdaniem, Kościół postawił na PiS?

Nie wiem, to by trzeba było z nimi zrobić wywiad, ja nie potrafię na to odpowiedzieć, jaki był zamysł. Ja teraz z tą instytucją nie mam nic wspólnego. Kiedyś miałem rzeczywiście kontakty dobre. Ci wszyscy, z którymi miałem dobre kontakty albo są teraz na emeryturach albo umarli ze starości. Oni, zdecydowana ich większość, mieli poczucie, że są poza krytyką, że wszystko im wolno.

Kompromis aborcyjny, który ja negocjowałem… Nie ja jeden, byłem jednym z jego autorów i w Sejmie szukałem większości. Udało się jednym głosem to przegłosować. Prymas Glemp mi bardzo dziękował, oni mieli świadomość, że inaczej się nie da, nie było innej większości. Raczej było odwrotnie, to cud był, że ten kompromis został uchwalony. I potem, przy pierwszej możliwości oni go złamali.

To wywołało tę antyklerykalną falę i wywoła to, że z czasem przegrają całą sprawę, no idioci. Zapłacą tym, co Irlandia – puste kościoły,

seminaria… I gdzieś pomazane napisami pomniki. Z radością i głupią satysfakcją Kościół i nacjonaliści ten kompromis zburzyli, aż skakali z radości nad upodlonymi kobietami, doczekają się od kobiet zapłaty.

Wróćmy do losów polskich formacji politycznych. Mówiliśmy o Unii Demokratycznej i ZChN. Natomiast z AWS to chyba była trochę inna historia.

Sytuacja była chora, bo nie może związek rozwodowy rządzić państwem, to była sztuczna konstrukcja. Ona przestała działać, bo w pewnym momencie na czele manifestacji przeciwko rządowi szedł Marian Krzaklewski. Ale AWS nigdy by nie sięgnął po metody, które miały doprowadzić do złamania demokracji. Nacjonalizm wtedy coraz bardziej rósł w siłę. Nikt w AWS nie miał siły, żeby się mu przeciwstawiać. AWS był jak gdyby podminowany, połowa tych nacjonalistów przeszła przez AWS. To ugrupowanie nie miało formuły, nie mogło przetrwać.

A co pan powie na temat polskiej lewicy, kolejnej z tych formacji, co rządziły Polską. Oni są dzisiaj inni, niż ich poprzednicy z lat dziewięćdziesiątych i samego początku naszego stulecia, którzy byli większymi pragmatykami i może oportunistami. No i nie ciągną już za sobą dziedzictwa PRL…

Niektórzy w dzisiejszej lewicy, na przykład Adrian Zandberg – tak, to są chyba nawet rzeczywiści marksiści. Ale to jest ten sam problem, oni wszyscy byli i są demokratami. Demokracja w Polsce przegrała nie z postkomunistami, nie z marksistami, ale z nacjonalizmem. Byłem wobec tych lewicowych środowisk krytyczny, ale przyznaję, że oni absolutnie byli lojalni wobec demokracji. Wszyscy przegraliśmy z nacjonalizmem, który nie miał żadnych wahań, który uważał, że będzie rządzić do końca świata.

Mnie się wydaje, że politycy lewicy także nie mieli dobrego kompasu na przyszłość i niewiele w sumie programowo ich łączyło.

Zgadzam się. Z tym, że jak się z kolei wyostrza programowo, to się zawęża poparcie społeczne. Albo się tworzy szeroką programowo formację i ma się wtedy duże poparcie, a jak się zawęża to wtedy go nie ma. Lewica robiła jakieś błędy wewnętrzne, ale to każdy robi.

Ja Kwaśniewskiego uważam za najlepszego polskiego prezydenta, chociaż na niego nie głosowałem. Głosowałem na Lecha Wałęsę, brałem udział w jego kampanii. Wtedy myślałem, że nieszczęście się stało, że nie wygrał Wałęsa. Wałęsa nie był zły, nic by nie zrobił złego, ale Kwaśniewski miał w ogóle inną klasę, to jeden z najwybitniejszych polityków polskich, nie tylko lewicowych. On doskonale się czuł w demokratycznej Polsce. On się nawet lepiej czuł w Polsce demokratycznej, niż w Polsce komunistycznej, autorytarnej. Świetnie pamiętam te dyskusje, to była przyjemność spierać się z Kwaśniewskim i Oleksym w parlamencie.

Panowie sobie złośliwości też prawiliście...

Ale to były drobne złośliwości, takie nieszkodliwe zupełnie. Pamiętam tamtą ekipę. Lubiłem czasem tam w Sejmie usiąść w barze za kratą, gdy byli tam Kwaśniewski, Oleksy, Miller, Pastusiak, Sierakowska, Łybacka, Wiatr, Zemke. Sierakowska była taką miss tego pierwszego Sejmu, pamiętam.

Wspominam nasze spory z Kwaśniewskim. Była na przykład uchwała o „dąbrowszczakach". To było o historii. Kwaśniewski zabrał głos i powiedział mi, że ja się lepiej czuję w temacie historycznym, niż we współczesnym. Ja myślę, że coś w tym jest na rzeczy. I muszę się przyznać, że ten okres, kiedy z Kwaśniewskim byliśmy posłami i on był szefem swojego klubu parlamentarnego i ja byłem szefem klubu, to był jeden z najprzyjemniejszych dla mnie okresów w polityce.

Czy oni, myślę o środowisku lewicy, jako formacja polityczna byli podatni na korupcję bardziej, niż inne środowiska? Jak pan sądzi?

Nie wiem, nie jestem w stanie tego ocenić. Moim zdaniem Unia Wolności była absolutnie przyzwoita, jeśli chodzi o odporność na korupcję. ZChN też. SLD nie potrafię ocenić. Jednak, moim zdaniem po tym, co robił PiS, mówienie o jakiejś korupcji, gdzie indziej to jest odwracanie uwagi. Nie było wtedy żadnej większej korupcji, były rozmaite przypadki, chociaż niektóre dość żenujące.

Jedyne, co trzeba im rzeczywiście zarzucić, to nie wiem dlaczego oni te wewnętrzne wojny prowadzili, po co? Nie mogę tego pojąć, przecież ich to wykończyło, przecież mieli takich wybitnych polityków,

a oni się wszyscy jakoś pożarli. Kwaśniewski, Miller to były naprawdę postacie. Lewica powinna mieć teraz w zasadzie niewykorzystany potencjał, który pozwoli się jej utrzymać, jako znaczące ugrupowanie, tak sądzę. Ma jasny program socjalny, ale uczciwy, nie taki oszukańczy.

W Europie, a właściwie w całym świecie, tym cywilizacyjnie nam bliskim, notujemy ogromny wzrost nacjonalizmu i populizmu.

No tak. I to jest populizm z nacjonalistycznym takim zabarwieniem, nie lewicowy, co było kiedyś.

Skąd to się wzięło?

Z wyczerpania się dotychczasowej formuły uprawiania polityki. Przy globalnych zagrożeniach ludzie czują się niepewnie, czują nadchodzącą klęskę klimatyczną, widzą ogromną falę migracji. I nie ma jak tego rozwiązać. I bieda, która wiele środowisk niszczy, deprawuje. Problemy są realne, jak zawsze realne problemy najłatwiej się wydają rozwiązać prostymi receptami. Na tym wypłynął Hitler, na tym wypłynęli komuniści w Rosji. A potem, jak już dojdą do władzy, to już oczywiście trudno ich obalić.

Człowiek jest tak skonstruowany, przynajmniej dużo ludzi, że chcieliby tego, że znajdzie się taki polityk, który powie prosto – dajcie mi władzę, a ja dam wam bogactwo – i to jest ogromna taka pokusa, czy na końcu jest głupota, brak edukacji. Mądry się nie da uwieść Trumpowi, czy PiS, czy pani Le Pen. No, ale niestety tych mądrych nie zawsze jest wystarczająco dużo. Może pan też to pamięta, widziałem kiedyś taki program w telewizji – przeprowadzano sondaż na ulicy, podchodziła dziennikarka – nie wiem z jakiej stacji – i pytała przechodniów: co by pani zrobiła gdyby syn się okazał *homo sapiens* i 80 procent zapytanych odpowiadało – no nie, nie wyrzuciłabym z domu, trudno, to wielkie nieszczęście. Tylko jeden na iluś odpowiedział – to ja jestem *homo sapiens*!

To po co cała szkoła, to po co to wszystko? W Ameryce mało kto wymieni kilka państw w Europie, a są globalnym mocarstwem. Jest problem nieuctwa, 90 procent ludzi ani jednej książki nie przeczytało, to z tego się bierze, że potem głosują na oszustów i cwaniaków, wierzą nacjonalistom, prostym rozwiązaniom, którzy mówią tak – jesteś

doskonały, winni są obcy, Żydzi, LGBT, opozycja, Unia, tylko nie twoje nieuctwo i lenistwo.

Nie wiem jaką znaleźć formułę, żeby demagodzy, populiści nie dorywali się do władzy, jak montować bezpieczniki, żeby demokracja funkcjonowała dobrze. Mnie się wydawało, że Polska jest bezpieczna, że demokracja nigdy nie upadnie. A wszystko okazało się, po roku właściwie, że to jest proste. Trybunał Konstytucyjny – proszę bardzo. Sądy też, media publiczne – też. Właściwie wszystko, po roku prawie całą demokrację diabli wzięli.

Jednym z elementów konsolidujących siły populistyczne w Polsce jest fobia antyniemiecka, która przekształca się w fobię antyeuropejską.

Każda dyktatura i każdy autorytaryzm szuka jakiegoś wroga, to jest jego istota. Oczywiście, z punktu widzenia politycznego, gospodarczego to szaleństwo, ale żeby utrzymać się przy władzy, zrobią każde szaleństwo. Żeby szantażować, kto jest bardziej proniemiecki. No wyjątkowy cynizm, podłość…

Jakie były i są źródła sukcesów i popularności PiS, czym Jarosław Kaczyński tak zaczarował Polaków? Przecież to nie jest tylko manipulacja. Tam musi być coś pozytywnego…

Nie, nie zaczarował. Nie wiem, tymi obietnicami chyba, że będzie się troszczył. Ci, co ich popierają uważają chyba, że pieniądze się nie biorą z pracy tylko z tego, że władza przyjdzie i coś nam da. I Kaczyński to w gruncie rzeczy obiecuje, czyli tych innych opodatkuje, bo to nie jest nasz elektorat, a da tym, którzy są nasi.

Politycy chcą władzy, to jasne. Ale istotna część narodu pragnie, żeby władza była silna, żeby Polska demonstrowała swoją asertywną tożsamość wobec innych. Pragną, żeby z Polską się liczono.

Myślę, że zaczną się u nich procesy rozkładu i tracąc władzę, będą tracić poparcie, tak myślę. Walki z nacjonalizmem nie da się przeprowadzić siłą.

W krajach zachodnich wielkie stronnictwa demokratyczne umieją kooptować młode pokolenie, wypychają do kierownictwa młodszych

liderów, prowadzą dyskusje programowe, układają międzypartyjne koalicje. U nas mamy z tym problem…

Nie wszędzie jest tak różowo, jak pan mówi. Zgoda, w Niemczech po rozliczeniu z dyktaturą jest absolutne i powszechne przekonanie, że demokratyczne zasady to świętość. Także wśród elit kultywuje się wielki szacunek do demokracji. Oni wmontowali do swojego systemu różne bezpieczniki i nikt tego nie śmie ruszyć w Niemczech.

Być może trochę krzywdzę Platformę, ale rzeczywiście tam drugiego lidera na miarę Tuska nie ma. Jest to problem znalezienia przywódców politycznych w demokracji. W dyktaturze czasem się pojawia silny lider z charyzmą, w demokracji trudniej. To ciężka sprawa. Jak się pojawia polityk z charyzmą, to się go wszyscy boją.

A co z dyskusjami o programie rządzenia w Polsce, dlaczego właściwie ich nie ma?

Dzisiaj nikogo program nie obchodzi, jest tylko walka polityczna. Muszę przyznać, że mnie też to nie obchodzi, nie obchodzi mnie szczegółowy program. Bo co? Będę go pisał w PiS-owskim więzieniu potem? Co nas obchodzi program, jak będzie rządził dyktator?

Problem jest taki, że tak ostra jest ta walka polityczna i tak ważna, że dyskusje programowe są tylko takie: jak się da wykorzystać ten program, żeby wygrać, odbudować demokrację, czyli ocalić Polskę. I uratować wolność.

Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski

ROZDZIAŁ DRUGI

Ciągłość i zmiana.
W poszukiwaniu strategii rozwoju

O sukcesach i niedostatkach polskiej transformacji, potrzebie myślenia strategicznego, rozliczeniach z historią, dylematach integracji oraz peryferyjności polskiej gospodarki

W Polsce ciągłość jest postrzegana jako coś negatywnego

Rozmowa z Adamem Danielem Rotfeldem (część 1)

Jak można w tej chwili ocenić miejsce Polski w Europie?

O roli i miejscu państwa w środowisku międzynarodowym decydują w większej mierze czyny i fakty, niż deklaracje i werbalne zapewnienia. Największą zasługę dla utrzymania ważnego miejsca, które Polska nadal zajmuje w Europie, ma w tej mierze polskie społeczeństwo, które dało świadectwo większego politycznego rozumu, niż klasa polityczna. Okazało bowiem w 2022 roku spontaniczną i nadzwyczajną gościnność wobec milionów uciekających przed wojną Ukraińców, głównie matek z dziećmi i osób starszych. Nie zmieniła tej postawy przemilczana praktycznie przez dziesiątki lat zbrodnia na Wołyniu, ani gloryfikacja przez ukraińskie ruchy nacjonalistyczne „bohaterów" tej zbrodni. W społeczeństwie polskim ze zrozumieniem przyjęto fakt, że czas wojny i stawianie oporu agresji rosyjskiej nie sprzyja wyjaśnianiu prawdy historycznej. Sprawy te Polacy odsunęli na czas wojny na bok. Uznali, że priorytetem chwili jest udzielanie Ukrainie pomocy. Jest to swoista inwestycja w dobrą przyszłość polsko-ukraińskich relacji.

Czy możemy uznać, że Polska odniosła sukces w latach III Rzeczypospolitej?

Bezsprzecznie. Nowe miejsce Polski we współczesnym świecie określiła nie nasza historia, ale w istocie sukces polskich przemian po

1989 roku. Jak mówią Chińczycy, nawet najdłuższa podróż zaczyna się od pierwszego kroku. I właśnie ten pierwszy krok zdecydował, że Polska się rozwijała we właściwym kierunku. Było to dwadzieścia pięć lat – myślę o okresie przed 2015 rokiem – nadspodziewanie szybkiego rozwoju i to we właściwym kierunku.

U progu naszej transformacji uważano dość powszechnie, że Polska ze swoim zadłużeniem, zapóźnieniem i niedorozwojem cywilizacyjnym skazana jest na marginalizację i będzie krajem upadającym, prawie upadłym. Tymczasem okazało się, że Polska szybko zyskała pozycję pioniera przemian w procesie transformacji. Było to wielką zasługą tych przywódców, którzy stanęli na czele przemian w pierwszym momencie odnowy życia polityczno-społecznego. Byli to ludzie tej miary, co Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Krzysztof Skubiszewski, Władysław Bartoszewski, Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Andrzej Stelmachowski i wiele innych postaci bezgranicznie oddanych sprawom publicznym, którzy chcieli narodowi służyć, a swoje zaangażowanie traktowali jak naturalny obowiązek, a zarazem sens życia. To pokolenie bezpowrotnie odeszło.

Wielką zasługę dla Polski mają też wybitni myśliciele-intelektualiści, którzy na emigracji tworzyli odważną myśl polityczną. To Jerzy Giedroyć i Juliusz Mieroszewski, Włodzimierz Bączkowski. Mieroszewski wykazał się wielkim realizmem, Giedroyć bardzo dużą empatią wobec naszych sąsiadów na wschodzie – w Ukrainie, Litwie, ale też w Rosji, a zwłaszcza wśród rosyjskiej emigracji politycznej. Bączkowski uczulił Polskę na zagrożenia, które płyną z Rosji. Nie można więc powiedzieć, że po wojnie nie mieliśmy niezależnej myśli strategicznej. Wymieniłem te trzy nazwiska osób, których życie nie było zmarnowane, a ich dorobek myślowy zachowuje nadal swą żywotność. Z tego punktu widzenia, ci ludzie, którzy mieli odwagę być czasami niezrozumiałymi wśród sobie współczesnych, mają wielką zasługę przed następnymi pokoleniami Polaków. A trzeba wiedzieć, że koncepcje Giedroycia spotkały się na emigracji z najostrzejszą krytyką i wrogą reakcją, szczególnie ze strony emigracji londyńskiej, przez którą całe środowisko paryskiej Kultury było wyklęte.

Jednakże, z całym szacunkiem do wielkich nazwisk, przyzna pan chyba, że naszej transformacji daleko od ideału…

Zgoda. W mojej ocenie Polska dokonała przyśpieszonej modernizacji, jednak modernizacja ta była nierówna i niesprawiedliwa. Skutkowało to największą słabością, jaką była rażąca dysproporcja w dystrybucji dochodów między wąską klasą posiadaczy a pozostałą większością społeczeństwa. W efekcie, powiększyły się znacznie nierówności społeczne. Natomiast największym sukcesem w tych latach było to, że Polska była bodaj jedynym krajem w regionie, w którym nie dopuszczono do powstania oligarchii. To się nie udało w żadnym kraju środkowoeuropejskim – ani w Czechach i Słowacji – nie mówiąc już o Rumunii, Bułgarii, czy Węgrzech.

Potem, w 1993 roku do władzy powróciła lewica, która zachowała istotny, a czasem dominujący wpływ na polską politykę aż do końca 2005 roku…

Miała ona pewną skazę. Jej postrzeganie było naznaczone piętnem odpowiedzialności za PRL. Jej przywódcy nie mogli powiedzieć o sobie, że umywamy ręce – „to nie my, nas przy tym nigdy nie było…".

O dalszych losach tej formacji zdecydowało kilka przyczyn: drugie rządy lewicy – po wyborach w 2001 roku – wykazały się brakiem wrażliwości w realizacji ogłoszonego przez Leszka Millera programu liberalizmu gospodarczego. Skrajną ilustracją tego braku wrażliwości społecznej były podjęte decyzje odebrania studentom zniżek kolejowych i likwidacja dopłat do deficytowych barów mlecznych, uczęszczanych głównie przez ludzi najuboższych. Oszczędności dla budżetu państwa były znikome, ale rezonans społeczny podważył wiarygodność lewicowych wartości deklarowanych przez nowo powołany rząd.

Marek Belka miał odwagę na kilka dni przed wyborami wyraźnie powiedzieć, że ten przyszły rząd nie będzie rządem rozdawnictwa, będą to rządy podporządkowane rygorystycznym ekonomicznym regułom. Ta jego krótka wypowiedź sprawiła, że lewica nie uzyskała wtedy możliwości samodzielnego rządzenia. Ta publicznie wyrażona opinia była uczciwa i odważna, ale nie pozostała bez wpływu na ostateczny wynik wyborów i dalszy sposób sprawowania władzy. I chyba dobrze się stało, że sukces wyborczy tej formacji w 2001 roku nie był tak wielki jak wcześniej prognozowano…

Dlaczego?

Gdyby bowiem lewica rządziła samodzielnie, przez nikogo nieograniczana w swoich decyzjach, to jej postępowanie byłoby prawdopodobnie jeszcze gorsze niż to, które stało się pod koniec kadencji, w latach 2003–2005 przyczyną utraty społecznego poparcia. Przypomnijmy, że największym wstrząsem politycznym tamtych lat była afera Rywina. Dziś wydaje się to mało znaczące wydarzenie, bo jej istotą była zaledwie zapowiedź korupcji, do której ostatecznie nie doszło. Otóż w efekcie tej niedoszłej afery korupcyjnej, lewica dostała od wyborców, nie tyle czerwoną kartkę, czyli ostrzeżenie, ale na całe dekady zmieciona została ze sceny politycznej. Odbudowanie na nowo swej pozycji okazało się trudne zarówno wtedy, jak też ponad dwadzieścia lat później.

Zauważmy, że w istocie rzeczy, zawsze w Europie był podział między lewicą a prawicą. Socjaldemokracja vs. chadecja. Teraz socjaldemokracja i chadecja, w tym tradycyjnym rozumieniu, tracą na znaczeniu – zresztą nie tylko w Polsce. Jest to nowy proces, którego znaczenie i skutki klasa polityczna w Europie sobie dopiero uświadamia. Do władzy we Francji i w Niemczech mogą już niedługo dojść skrajnie populistyczne i nacjonalistyczne formacje. Jeśli do tego dojdzie, skutki dla całej Europy mogą być dramatyczne…

O współczesnej polskiej lewicy mam opinię krytyczną. Odnoszę wrażenie, że poczuła się bardzo dobrze w roli raczej marginalnego ugrupowania: ma swoją reprezentację w Sejmie, wygłasza tam wzniosłe apele i krytyczne opinie. Natomiast nie jest gotowa do przejęcia odpowiedzialności za państwo, za politykę gospodarczą czy międzynarodową. Świadectwem niskich notowań lewicy w polskim społeczeństwie były wybory do Parlamentu Europejskiego w czerwcu 2024 roku.

Skądinąd polska partia liberalna, czyli kiedyś Unia Demokratyczna, później Wolności, poniosły jeszcze większą porażkę i praktycznie całkiem zniknęły ze sceny politycznej.

Wróćmy do zagadnień międzynarodowych. Jak Pan ocenia polską politykę zagraniczną?

Polska polityka zagraniczna ostatniej dekady to rzecz trudna do zdefiniowania. Stawiane jest pytanie, czy w ogóle ona istnieje? Ktoś prosił mnie niedawno bym powiedział, kto w Polsce kształtuje politykę zagraniczną. Powiedziałem, że nie wiem, nie uczestniczę w procesie politycznym. Rzecz polega jednak nie na tym, że ja nie wiem, ale ja

nie wiem czy jest w ogóle taka osoba, która wie lub taki ośrodek władzy, który ją kształtuje.

To zresztą nie jest w ostatnim stuleciu rzecz nowa. W Buenos Aires, w 1964 roku ukazała się w wydawnictwie imienia Ignacego Domeyki książka *Dysproporcje polityki polskiej* autorstwa osoby mało znanej, Tadeusza Kozłowskiego, który przed wojną był polskim dyplomatą. Na podstawie swoich doświadczeń z okresu międzywojennego sporządził w swej monografii katalog pod tytułem *Błędy i wynaturzenia polskiej polityki*. Wymienił tam między innymi: brak realizmu, niechęć planowania, krańcowość zamierzeń, impulsywność decyzji, pozaczasowość założeń, subiektywizm postawy, wadliwość formy, niedbałość wykonania, urazy i kompleksy, wprowadzanie opinii narodu w błąd. Ten mało znany pracownik polskiej polityki zagranicznej pozostawił świadectwo, że pewne negatywne cechy polskiej polityki są elementem trwałym. Utrwalanie błędów i wynaturzeń to rzeczywiście dramat polskiego patriotyzmu.

Dlaczego tak jest?

Jest bowiem w Polsce niezwykle głęboko zakorzenione poczucie braku zaufania obywateli do państwa oraz państwa do obywateli i obywateli do siebie nawzajem. Więc pierwszym elementem mojej odpowiedzi jest destrukcyjne oddziaływanie nieufności wewnątrz wspólnoty. Sprawie tej Instytut Problemów Współczesnej Cywilizacji poświęcił wartościową monografię zatytułowaną *Nieufność: źródła i konsekwencje*[1]. Wspólnota narodowa okazuje swoją siłę w przypadku egzystencjalnego zagrożenia, ale na co dzień polska wspólnota, w warunkach pokoju jest bardzo nieufna wobec siebie. Dlaczego? Dlatego, że ta wspólnota nigdy nie wypracowała trwałych instytucji. Trwałe instytucje wszędzie zapewniają ciągłość. A w Polsce ciągłość jest postrzegana jako coś negatywnego. Każda nowa ekipa, która dochodzi do władzy ignoruje, usuwa na bok to, co było do tej pory. Brak ciągłości sprawia, że państwo coraz bardziej postrzegane jest „jak z tektury", czyli fasadowe, a nasi partnerzy nie bardzo wiedzą, co jest istotą polskiej strategii. A strategia powinna być realizowana w sposób ponadustrojowy, ponadideologiczny i ponadczasowy. Ona po prostu wynika z podstawowych uwarunkowań i elementarnych wymogów polityki zagranicznej państwa. Każdego państwa…

Podam przykład takiej ciągłości ponad podziałami. Polska po II wojnie światowej utraciła 48 procent terytorium na wschodzie i w zamian za to otrzymała 30 procent terytorium na zachodzie. Polska się zmniejszyła, stała się monoetniczna. Ale jej granice nie były przez nikogo prawie uznawane; nawet Czechosłowacja nie uznawała swej granicy z Polską do 1958 roku. Związek Radziecki dostrzegał w tym pewną korzyść, ponieważ jego gwarancje dla tych granic sprawiały, że Polska była swoistym zakładnikiem radzieckiej polityki, a to zwalniało Moskwę od poszukiwania innych narzędzi wymuszania zależności Polski od ZSRR.

Gomułka, który był autorytarnym przywódcą o bardzo słabym wyczuciu demokracji, uznał w 1969 roku, że – po dojściu do władzy w RFN Willy'ego Brandta – otwiera się szansa, by uzyskać prawne uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Złożył w maju 1969 roku propozycję bezpośrednich rokowań z RFN – „bez żadnych warunków wstępnych". Powiedział do wiceministra Józefa Winiewicza, którego mianował głównym polskim negocjatorem: „Proszę powiedzieć Niemcom, że jestem starym człowiekiem (miał wtedy 64 lata) i liczę się z tym, że przestanę pełnić funkcje publiczne w ciągu najbliższego roku. Zależy mi na tym, żeby uregulować raz na zawsze sprawę granicy i na nowo ułożyć stosunki z Niemcami. Willy Brandt jest kanclerzem, do którego mam zaufanie, ponieważ był antyfaszystą". Opozycyjna wtedy chadecja krytykowała Brandta, że jest renegatem, że przyszedł do Niemiec w 1945 roku w mundurze oficerskim obcego państwa (był w norweskim mundurze). Lider chrześcijańskich demokratów, Helmut Kohl, był wtedy przeciwny temu porozumieniu.

Wiele lat później uczestniczyłem w jednej z konferencji w Berlinie. W pewnym momencie wyszedłem z sali obrad do dużego holu, w którym nikogo nie było. Nagle dostrzegłem, że w rogu siedzi potężny mężczyzna o masywnej sylwetce. Pomyślałem sobie, że z tyłu jego sylwetka przypomina Helmuta Kohla. Podszedłem i zobaczyłem, że to rzeczywiście Helmut Kohl. Przedstawiłem się i powiedziałem, że cieszę się, że mam możliwość go osobiście spotkać, ponieważ przez znaczną część swego życia zawodowo przed laty zajmowałem się sprawami niemieckimi. Zapytałem, jaki był powód, że w listopadzie 1989 roku, mimo że premier Mazowiecki miał odwagę uznać prawo Niemiec do zjednoczenia i jako pierwszy udzielił poparcia tej idei, to Kohl opuścił

Krzyżową i nie potwierdził uznania tej granicy. A przecież wtedy właśnie padł mur berliński, co też było wspierane przez nowy polski rząd. Kohl zapytał: „Sądzi pan, że jestem rewanżystą, odwetowcem?". Odpowiedziałem, że gdybym tak sądził, to bym go o to nie pytał. Usłyszałem, że on nie mógł się nie liczyć z nastrojami społecznymi. Powiedział: jesteśmy na konferencji, która odbywa się w Belinie wschodnim, gdyby tutaj zrobiono wtedy referendum, to 90 procent mieszkańców NRD byłoby przeciwko uznaniu tej granicy, więc najpierw trzeba było oswoić tych ludzi z koniecznością.

Do czego pan zmierza?

Willy Brandt odszedł w niesławie, ze względu na aferę szpiegowską swego sekretarza w Urzędzie Kanclerskim, Guillaume'a. Gomułka odszedł w niesławie, ze względu na użycie broni palnej przeciwko protestującym robotnikom na Wybrzeżu. Jednak obydwaj stworzyli warunki do tego, by ich następcy mogli już zaczynać rozwijanie polsko-niemieckich relacji z „czystą kartą". Problem granicy został uregulowany raz na zawsze.

Chcę powiedzieć, że Polsce jest potrzebna ciągłość w polityce; potrzebne są wyraźnie wytyczone strategiczne cele i ciągłość oraz profesjonalnie zorganizowane instytucje, które sprzyjają realizacji długofalowych zadań.

Podam inny przykład. Giedroyć bardzo krytycznie oceniał ministra Skubiszewskiego. Uważał, że jest formalistą prawnym, biurokratą, nie rozumuje politycznie. Otóż z perspektywy obserwatora mogę stwierdzić, że oni się wzajemnie uzupełniali. Giedroyć był wizjonerem, dobrze rozumiał społeczny i historyczny kontekst, ale teksty tej polityki, jej treść i zawartość tworzył Skubiszewski. Uważał, że to co jest uzgodnione, zapisane, uregulowane w umowach, traktatach, ma swoje znaczenie zarówno prawne, jak i polityczne. Rosjanie mają takie powiedzenie: „napisanoje pierom, nie wyrubisz i toporom", czyli tego, co napisane piórem nie wyrąbiesz nawet siekierą. Nie chodzi o to, że oni siebie niespecjalnie lubili, ale każdy z nich na swój sposób oddziaływał niezwykle pozytywnie na rozwiązywanie problemów.

Polska przez cały chyba okres III Rzeczypospolitej miała i nadal ma w swojej polityce zagranicznej problem z Niemcami.

Niemcy oferowali Polsce Trójkąt Weimarski, z którego Polska właściwie się w ostatnich latach wycofała z uwagi na prowadzenie antyniemieckiej polityki. I to jest, moim zdaniem, nie tyle antyniemieckie, co niekorzystne dla Polski.

Skorzystam z okazji, żeby zrelacjonować pewne wydarzenie… W 2001 roku, kiedy już wiedziałem, że będę mianowany wiceministrem spraw zagranicznych, zorganizowałem w Sztokholmskim Międzynarodowym Instytucie Badań nad Pokojem[2] konferencję na temat rozszerzenia NATO i Unii Europejskiej i bezpieczeństwa Europy. Zaprosiłem na nią również wszystkich poprzednich dyrektorów SIPRI, żeby się z nimi pożegnać. W czasie przerwy w obradach poszliśmy z moim poprzednikiem do pobliskiego parku. Wtedy Walther Stützle, który był już wtedy sekretarzem stanu w niemieckim MON opowiedział mi, że ma problem. Bundeswehra zdecydowała się znacznie zredukować swój stan czołgów Leopard. Koszty ich utrzymania obciążają budżet, a w ówczesnej sytuacji politycznej uznano, że w tak wielkiej ilości nie są już niezbędne. Pytam: „Co zrobicie z tymi czołgami?". W odpowiedzi słyszę, że najprawdopodobniej podarują je Grecji. Zaskoczony zapytałem, czy pamiętają o tym, że Grecja ma napięte stosunki z Turcją. Przecież Turcja z pewnością nie pozostanie obojętna na taką decyzję.

Spojrzał na mnie z pewnym dystansem: „Czy ty masz na myśli inne państwo, które byłoby gotowe przyjąć od nas te czołgi?". Była sobota. Odparłem, że mogę mu odpowiedzieć w poniedziałek. Pojechałem w tej sprawie specjalnie do Polski. Zrobiłem notatkę „do rąk własnych" prezydenta. Prezydent Kwaśniewski obiecał, że ta propozycja będzie rozpatrzona na pierwszym posiedzeniu rządu. Reakcja ministra Szmajdzińskiego była bardzo pozytywna. Po moim powrocie na stałe do Polski, w 2002 roku, decyzja weszła w proces realizacji. Wtedy zadzwonił do mnie minister Szmajdziński i poinformował, że te czołgi muszą być poddane przeglądowi technicznemu, który jest bardzo kosztowny. W budżecie takich środków nie zaplanowano, ponieważ prezent z Niemiec pojawił się nagle i niespodziewanie. Jest problem: na przegląd techniczny środków w budżecie nie ma. Taki przegląd kosztowałby 16 do 20 milionów dolarów. Pytanie skierowane do mnie sprowadzało się do tego, czy jest możliwość żebyśmy otrzymali te czołgi po przeglądzie? Przypomniałem mu stare powiedzenie, że darowanemu koniowi

nie zagląda się w zęby. Sytuacja była dla mnie kłopotliwa i niezręczna. Zadzwoniłem do Berlina: „Walther, chciałem ci jeszcze raz serdecznie podziękować w imieniu Prezydenta i Rządu RP za ten gest dobrej woli ze strony Republiki Federalnej. Robię to w imieniu najwyższych władz i ministra obrony. O Twojej roli i inicjatywie nie zapomnimy. Mamy jednak pewien problem, mianowicie w budżecie, jak sam rozumiesz, nie ma środków na przegląd techniczny". On się zdziwił: „Myślisz, że ja mam te pieniądze? Przecież nie mogę tak znienacka podjąć w takiej sprawie decyzję". Zaproponowałem, aby rozważył w ramach współpracy polsko-niemieckiej następujące rozwiązanie: polskie warsztaty zrobią ten przegląd, a Bundeswehra za to zapłaci. I on to załatwił!

Wspólnie z ministrem Szmajdzińskim złożyliśmy wniosek do prezydenta o wysokie odznaczenie dla sekretarza stanu w MON RFN. Zadbaliśmy, żeby wręczenie odznaczenia odbyło się w Berlinie. W Warszawie nikogo to by nie zainteresowało, w Niemczech prasa o tym napisze, zwłaszcza, że uroczystość odbyła się w dniu najważniejszym dla demokratycznych niemieckich sił zbrojnych, a mianowicie w rocznicę zamachu na Hitlera, czyli 20 lipca. Prezydent Kwaśniewski wracał ze Stanów Zjednoczonych, po drodze wylądował w Berlinie i osobiście wręczył zasłużony order dla Walthera Stützle. Cała sprawa przez lata była utrzymywana w dyskrecji. Nikt w Polsce nie wie, że te czołgi, które przekazaliśmy niedawno Ukrainie, dostaliśmy przed laty za darmo od Niemców.

Przedmiotem politycznego sporu przez długi czas była w III Rzeczypospolitej polityka historyczna. Gdzieś w tle, jako jeden z obszarów sporu o przeszłość toczył się dialog polsko-żydowski. Z wielu względów nie był on łatwy…

Bilans tego dialogu jest taki, że wiele się w Polsce zmieniło w tej mierze *in plus*. Dorobek jest w sumie pozytywny. W Polsce Ludowej ten temat został całkowicie wyeliminowany z politycznej debaty. Niemal wszystko, nawet wspomnienie Holokaustu, było robione na użytek zewnętrzny. W latach III Rzeczypospolitej zrobiono dużo rzeczy pozytywnych, odbudowano stosunki z Izraelem. Podjęto wiele badań, ukazały się liczne publikacje. Otóż proces ten został w znacznym stopniu zakwestionowany po słynnych zmianach w ustawie o IPN. Jeden z polskich historyków związanych z IPN powiedział, że teraz mamy doko-

nać wyboru: czy wychować społeczeństwo na pamięci o Jedwabnem czy na pamięci o Westerplatte. Historia nie polega przecież na tym, że się wybiera jak rodzynki z ciasta, to co nam smakuje: teraz będziemy mówić, że stawialiśmy opór na Westerplatte, bohatersko walczyliśmy pod Monte Cassino i daliśmy dowód bezprzykładnej odwagi w Powstaniu Warszawskim; natomiast sprawy wstydliwe i haniebne będziemy przemilczać. Lekcja historii polega na tym, że trzeba powiedzieć prawdę i to całą prawdę. Mówić i pisać o rzeczach dobrych i złych. Wtedy ta prawdziwa historia kształtuje dojrzałe i odpowiedzialne podejście społeczeństwa do tego, co nazywamy prawdą historyczną.

O tych złych rzeczach mówiono otwarcie w Jedwabnem, w 2001 roku…

Udział prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w uroczystościach w Jedwabnem był wydarzeniem wielkiej wagi. Był to jedyny prezydent, który w tej sprawie wypowiedział się jednoznacznie. Pojechał nie tylko do Jedwabnego, ale także do Bełżca. Tam zginęło równie dużo – jeśli nie więcej – ofiar jak w Treblince, zginęło tam ponad 600 tysięcy ludzi, głównie z Galicji Wschodniej, ale też z Niemiec, Francji, Belgii i całej okupowanej przez III Rzeszę Europy. Niemcy poświęcili więcej czasu na zacieranie śladów, niż na budowę tej fabryki śmierci. W istocie rzeczy nie przeżyła ani jedna osoba wywieziona do Bełżca. Nie tylko prezydent Kwaśniewski, ale też jego ekipa, na przykład Marek Siwiec jako szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, bardzo dużo zrobili w tej sprawie. Aleksander Kwaśniewski wykazał się w tych złożonych i trudnych sprawach ogromną empatią. Powiem więcej, że gdyby nie on, to prawdopodobnie relacje polsko-żydowskie wyglądałyby znacznie gorzej. Po stronie izraelskiej i szerzej – po stronie żydowskiej – mieliśmy niekiedy dobrych partnerów, a niekiedy polityków trudnych, mniej sympatycznych i mniej nam życzliwych.

Czy można powiedzieć, że nastąpił przełom w relacjach polsko-żydowskich?

Nastąpił przełom, ale polskie społeczeństwo jest podzielone we wszystkich sprawach. W tej sprawie również jest podzielone. Pewne stereotypy mają bardzo silny wpływ na sposób myślenia, zarówno

poszczególnych ludzi, jak i całych grup społecznych. Obrazy, pamięć i wiedza przechowane w historii rodzin oraz instytucje pamięci zbiorowej (archiwa, muzea, uczelnie, społecznościowe fora, środki masowego przekazu), wszystko to ma fundamentalne znaczenie.

Każdego z nas kształtują z reguły trzy środowiska: rodzina, szkoła i społeczeństwo. Historycznie niestety negatywną rolę odegrał Kościół. Nie tyle teraz, co przez stulecia, a nawet – tysiąclecia. Jednak trzeba i warto pamiętać, że w Kościele byli również ludzie we wszystkich okresach, którzy mieli odwagę wyrażać inny pogląd, działali na rzecz dialogu, zbliżenia, tolerancji i otwartości. Przypomniałbym tu wielkie nazwiska polskiego Kościoła, jak Jan Paweł II, czyli Karol Wojtyła, jak ks. Józef Tischner, jak kardynał Franciszek Macharski, kardynał Grzegorz Ryś, biskup Józef Życiński, ks. Lemański i wielu innych. Również obecny prymas abp Wojciech Polak jest daleki od tego tradycyjnego zakotwiczonego w mentalności antysemickiego nurtu.

Jak pan ocenia wpływ Kościoła katolickiego na polską narodową tożsamość w wymiarze międzynarodowym, na przykład w procesie rozszerzenia Unii Europejskiej o Polskę?

Polska jednoznacznie – a po 1993 roku jednomyślnie – opowiadała się za przyjęciem do NATO. To była decyzja polityczna. Przyjęcie do Unii Europejskiej było decyzją nie tylko polityczną, ale też społeczną i ekonomiczną. Społeczny wymiar jest równie ważny jak gospodarczy. Stosunek do Unii stał się swoistym testem, a zarazem kamieniem węgielnym na drodze do transformacji, a zarazem jabłkiem niezgody między partiami w Polsce. Wtedy to Kościół odegrał istotną rolę pozytywną w przezwyciężaniu i rozwiązywaniu tego „węzła gordyjskiego". Gdyby nie było bezpośredniej interwencji i wpływu Jana Pawła II – być może nie byłoby Polski w Unii. Wyniki referendum mogłyby być zupełnie inne.

Wszystko to się dziś zmieniło. Dzisiejsze podziały są zbyt głębokie i dotyczą pryncypiów. Należę do tych, którzy uważają, że im mocniejsze będzie zakotwiczenie Polski w Unii Europejskiej – tym większą rolę państwo polskie będzie odgrywało w relacjach ze światem zewnętrznym i w ten sposób wzrośnie jego znaczenie w Europie i świecie.

Pojednanie z sąsiadami i współpraca regionalna stały się znakiem firmowym polskiej polityki zagranicznej w latach dziewięćdziesiątych i później. Czy Polska osiągnęła pozycję lidera regionalnego?

Po prezentacji *exposé* o zadaniach polskiej polityki zagranicznej w 2005 roku otrzymałem wiele pytań. Poinformowałem posłów, że otrzymają pisemną odpowiedź przygotowaną w poszczególnych departamentach MSZ – stosownie do zakresu konkretnych poruszonych spraw oraz kompetencji odpowiednich komórek Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Postanowiłem jednak na jedną krytyczną uwagę odpowiedzieć bezpośrednio. Było to pytanie posła Donalda Tuska, który odnotował, że nie było w moim *exposé* słowa o tym, że jest naszą ambicją odgrywanie roli lidera w naszym regionie. Stwierdziłem w odpowiedzi, że pan poseł celnie zauważył brak takiej konstatacji, jakkolwiek w pierwotnym projekcie informacji przygotowanej w MSZ takie sformułowanie było użyte kilkakrotnie. Przed prezentacją w Sejmie świadomie i starannie usunąłem je, ponieważ liderem nie jest ten, który mówi sam o sobie, że nim jest, tylko ten, kto prowadzi politykę, którą wszyscy uważają za atrakcyjną na tyle, że ją wspierają i zabiegają o względy państwa, które dba zarówno o interesy swoje, jak i swoich sąsiadów i całego regionu. Wtedy państwo zyskuje prestiż i sympatię w oczach sąsiadów i może stać się liderem w rzeczywistości, a nie tylko w wygłaszanych deklaracjach.

Polityka w regionie nigdy nie zależy od jednego państwa, nawet, jeśli jest pod każdym względem – demograficznym, terytorialnym, gospodarczym – państwem najsilniejszym, a jego potencjał jest większy od łącznego potencjału wszystkich pozostałych krajów tego regionu. Tak na przykład potencjał Polski jest większy od łącznego potencjału pozostałych członków Grupy Wyszehradzkiej. Znaczenie tej Grupy zależy jednak od wszystkich państw, które wchodzą w jej skład. Węgry uważały, że wspólne działanie ma znaczenie tylko wtedy, kiedy ich narodowe interesy i ich specyficzne postrzeganie tego, co jest kluczowe dla realizacji tych narodowych interesów będzie przyjmowane jako podstawa współdziałania całej Grupy. Przy tym polityka Węgier pod rządami Orbána jest odrębna, izolacjonistyczna. Jest to swoista ilustracja realizowania egoizmu narodowego, bez liczenia się z tym, co jest wspólnym interesem całej wspólnoty, który wyraża się powściągliwo-

ścią w demonstrowaniu egoizmów narodowych. Węgry nie podporządkowały się tej filozofii politycznej. Uznały, że tam gdzie interes wspólnoty przynosi im oczekiwane korzyści, to postulowane rozwiązania są dla nich akceptowalne, a tam gdzie korzyści są wspólne – ustalenia nie mają z ich punktu widzenia istotnego znaczenia. W efekcie, sprawia to, że instytucje Grupy Wyszehradzkiej okazują się słabe i mają często charakter deklaratoryjny.

Podam jeden konkretny przykład, w czym przejawiło się przywództwo w ramach grup regionalnych. Byłem z premierem Markiem Belką na posiedzeniu Rady Europejskiej w Brukseli w kwietniu 2005 roku. Byliśmy wtedy członkiem UE z bardzo krótkim stażem. Wysłuchaliśmy wszyscy wystąpienia prezydenta Jacques'a Chiraca, który oświadczył, że proces rozszerzenia Unii Europejskiej jest „zbyt szybki, zbyt kosztowny" i prowadzi do skutków odwrotnych do zamierzonych, co w praktyce osłabia Unię jako całość. Po nim zabrał głos Marek Belka. Nie prowadził polemiki z francuskim prezydentem. Powiedział, że rozumie wypowiedź Chiraca jako reakcję na potrzebę udzielenia pomocy finansowej tym państwom, które aplikują o przyjęcie do Unii. W tej sytuacji chciałby oświadczyć, że jest gotów w imieniu Polski przekazać 1 miliard euro na rzecz tych państw, które potrzebują takiej pomocy. W ślad za nim wystąpili przywódcy innych państw naszego regionu; wszyscy złożyli podobne deklaracje, oczywiście na mniejsze sumy. Były takie kraje, które zadeklarowały 500 milionów, inne 50 milionów, ale stosowne deklaracje złożyły wszystkie kraje. Do tej pory nie miałem okazji z Belką rozmawiać, czy to było między nimi uzgodnione, czy też wszyscy uznali, że jest to dla nich ważne, żeby poprzeć stanowisko Polski. Premier Belka wtedy zademonstrował, na czym polega regionalne przywództwo.

Na zakończenie ponownie zabrał głos Chirac. Powiedział: „Otrzymałem ważną, choć gorzką lekcję tego, co oznacza i z czym się wiąże prawdziwie europejskie myślenie. Nigdy tej lekcji nie zapomnę". W konkluzji, udzielił poparcia procesowi dalszego rozszerzenia Unii. Dwa dni później musiałem wrócić do Brukseli w związku z innymi sprawami. Miałem zaplanowane spotkanie z Javierem Solaną, który – gdy wszedłem do jego gabinetu – objął mnie, jak to ma w zwyczaju i mówi: „*Hombre* (hiszp. człowieku), to co się wydarzyło przedwczoraj to was Polaków ustawia w innej kategorii – na ławce, gdzie zajmu-

ją miejsca najważniejsze państwa Unii – jedno z nich będzie musiało zwolnić miejsce dla was albo przynajmniej się przesunąć. Jesteście teraz jednym z tych państw, które będą wpływały na przyszłość Unii".

Proszę powiedzieć, jaka powinna być pańskim zdaniem definicja istoty polskiej strategii na nadchodzące lata?

Stanisław Leszczyński opublikował w połowie XVIII wieku program reform pod tytułem *Głos wolny i wolność ubezpieczający***.** Filozofia tego traktatu zachowuje po dziś dzień swoją wartość.

Celem strategicznym Polski jest uczynić ją „państwem niezbędnym" zarówno w regionie Europy Środkowej i Wschodniej, jak i w całej Europie. Największym zagrożeniem dla Polski byłoby jej osamotnienie i marginalizacja. Aktywna obecność i zaangażowanie w Sojuszu Północnoatlantyckim i w Unii Europejskiej są gwarantami bezpieczeństwa i rozwoju państwa. Określenie „państwo niezbędne" oznacza w swej istocie takie postrzeganie Polski przez jej sąsiadów i wielkie mocarstwa, że istotne decyzje powinny być podejmowane zgodnie z zasadą „nic o nas – bez nas". We wszystkich sprawach Europy i świata nasz głos i nasze stanowisko powinny być brane pod uwagę. Członkostwo i aktywny udział w transatlantyckim sojuszu, jakim jest NATO i w Unii Europejskiej sprawiają, że podejmowane tam decyzje należą do suwerena, którym jest naród.

Rozmowę przeprowadził Jan Ordyński

[1] *Nieufność: źródła i konsekwencje*, red. Andrzej Eliasz, Krystyna Skarżyńska, Warszawa 2023.

[2] Stockholm International Peace Research Institute, SIPRI.

Dla mnie polityka jest sposobem realizacji marzeń

Rozmowa z Januszem Steinhoffem

Jak ocenia pan dzisiejszy stan gospodarki w Polsce?

Aktualną kondycję gospodarki, będącą efektem jej modernizacji i rozwoju w oparciu o realizowane po 1989 roku głębokie reformy, aktualnej koniunktury i obecności w Unii Europejskiej, oceniam generalnie pozytywnie. Trudne w społecznym odbiorze przeobrażenia polskiej gospodarki, prowadzone konsekwentnie w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, akcesja do Unii w 2004 roku przesądziły o tym, iż Polska od 1992 roku, z przerwą na konsekwencje covidowe, rozwijała się szybko, będąc liderem transformacji krajów Europy Środkowej i Wschodniej. O niebywałym sukcesie polskiej transformacji zdecydowały dwa czynniki – odwaga, konsekwencja i dalekowzroczność w myśleniu o przyszłości państwa twórców III Rzeczypospolitej oraz pracowitość i biznesowa aktywność polskich przedsiębiorców.

Tworząc po pamiętnych wyborach 4 czerwca 1989 roku rząd Tadeusza Mazowieckiego mieliśmy świadomość konieczności zmierzenia się tego rządu z problemem nie tyle naprawy będącego w zapaści postsocjalistycznego państwa, lecz budowy na jego gruzach suwerennego, demokratycznego państwa, w którym funkcjonuje gospodarka rynkowa. Większość najważniejszych reform przygotowano i wdrożono w latach 1989–2001. W tym czasie funkcjonowało osiem rządów i dwóch prezydentów, konsekwentnie realizujących program moderni-

zacji naszego państwa, o którego głównych wektorach zdecydowano w latach 1989–1991, w będącym pokłosiem okrągłego stołu, parlamencie kontraktowym.

Tak więc na pytanie o aktualny stan naszej gospodarki odpowiadam umiarkowanie pozytywnie. Zdecydowanie lepiej można ocenić przebieg jej transformacji, rozpoczętej w 1989 roku, większość wskaźników makroekonomicznych, które uzyskaliśmy w jej efekcie, ilustrujących radykalne zmniejszenie dystansu do krajów najbardziej uprzemysłowionych pozwala sformułować tezę, iż jesteśmy – jako państwo – w jednym z najlepszych okresów swojej historii.

Odnosząc się do przyszłości nie jestem już takim optymistą. Aby utrzymać dynamikę rozwoju gospodarki potrzebne są bowiem reformy, których wdrożenie wymaga odpowiedzialności, odwagi, determinacji aktualnych elit politycznych. A obserwując faktyczne i deklarowane priorytety programowe wiodących na politycznej scenie ugrupowań, trudno o optymizm.

Trudności, które w latach III Rzeczypospolitej napotykaliśmy i – jak pan mówi będziemy jeszcze napotykać nie raz – są źródłem społecznych frustracji. A te rodzą u polityków skłonność do haseł populistycznych.

Ubolewam nad faktem eksplozji populizmu na polskiej scenie politycznej. Uważam, iż jej prekursorem był w 2001 roku Leszek Miller, który jako przywódca SLD walczył o głosy w wyborach parlamentarnych. Wybory wygrał, uzyskując ponad 40 procent głosów, czyli odniósł spektakularny sukces. Ale ten sukces wyborczy nie przełożył się na sukces rządzenia. Znaczącym ograniczeniem programowym rządu stworzonego po wyborach były kleszcze populizmu, w jakich pozostawał od czasu kampanii wyborczej. Próbował się z niego wyrwać kolejny rząd tej formacji Marka Belki i Jerzego Hausnera. Opracował on tak bardzo potrzebny wówczas program sanacji finansów publicznych. Niestety, zaplecze polityczne tego rządu, mając w pamięci deklaracje wyborcze swojej formacji, nie było gotowe na poparcie tego programu. I chociaż minęło już prawie dwadzieścia lat, nikt z później rządzących nie podjął się wprowadzenia tego programu. Nie ze względu na jego ułomność czy niedoskonałość, lecz z wiodącego w obecnych czasach powodu, jakim są polityczne konsekwencje jego wdrożenia.

Wspominając realizację przez rząd Jerzego Buzka trudnego w społecznym odbiorze programu restrukturyzacji górnictwa i hutnictwa, konfrontując go ze stanowiskiem rządzących w naszym kraju przez ostatnią dekadę, podkreślić należy, iż prowadząc wówczas dialog z partnerami społecznymi, respektując prawa ekonomiczne, konsekwentnie likwidowaliśmy niemające perspektyw rentowności kopalnie i huty. Tylko w górnictwie w okresie czterech lat zredukowaliśmy zatrudnienie o ponad 100 tysięcy osób, co pozwoliło na likwidację – częściową i całkowitą – dwudziestu trzech kopalń. W efekcie realizacji tego programu już w 2002 roku górnictwo stało się rentowne.

A dzisiaj? Stosunek do problemów tej branży jest miarą odpowiedzialności współczesnych elit. Skrajnie nieodpowiedzialne są publiczne wypowiedzi polityków i instrumentalne traktowanie zatrudnionych w kopalniach górników. W niefrasobliwości dotyczącej tej części gospodarki, rządy wspiera prezydent, zapowiadając z właściwą sobie swadą, nie bacząc na aktualną ewolucję w energetyce osadzoną w realiach polityki klimatyczno-energetycznej, że „nie pozwoli zamordować polskiego górnictwa". Efekt – do polskich kopalń dopłacimy tylko w tym roku z budżetu ponad 7 miliardów złotych, nie przejmując się spadającym szybko zapotrzebowaniem na ten nośnik energii.

Niepokoić musi, z punktu widzenia przyszłości naszej gospodarki, brak dbałości rządzących o konkurencyjne rynki. Zamiast tego tworzy się, w efekcie inspirowanych przez administrację procesów konsolidacji, podmioty o dominującej, czy też nawet monopolistycznej pozycji na rynku. Niestety, przy całkowitej bierności Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Tak właśnie zdemolowano wręcz konkurencję na rynkach energetycznych. Efekt, to jedne z najwyższych w Unii Europejskiej ceny energii elektrycznej i gazu – w istotny sposób obniżające konkurencyjność naszej gospodarki.

Może inspirowano się południowokoreańskim wzorcem rozwoju gospodarczego, gdzie powstawały wielkie konglomeraty przemysłowe – czebole?

Konsolidacja powinna wynikać z uwarunkowań rynkowych, przy pełnej kontroli państwa w zakresie prawidłowości funkcjonowania rynków. Opowiadam się od lat za racjonalną rolą państwa w gospodarce – koncentracji na funkcjach regulacyjnych. Negatywnie oceniam, dość

często w ostatnich latach obserwowane w naszym kraju, próby zastępowania przynależnych państwu funkcji regulacyjnych dość prymitywnie traktowaną polityką właścicielską. Odnoszę wrażenie, iż mamy do czynienia z gospodarczą recydywą PRL-u, w którym wszechobecna administracja ręcznie sterowała państwowymi podmiotami z oczywistymi konsekwencjami, które objawiły się w pełnej rozciągłości w końcu lat osiemdziesiątych. O konkurencyjności gospodarki PRL-u niech świadczy porównanie wartości eksportu, ówczesnej – 17 miliardów dolarów w 1990 roku wobec ponad 350 miliardów euro w 2023 roku!

Odnoszę wrażenie, iż zapominamy, że rozwój w minionych trzydziestu pięciu latach polskiej gospodarki był efektem wprowadzenia, w tak zwanym planie Balcerowicza, mechanizmów rynkowych, konkurencji, odejścia od ówczesnej dominującej własności państwowej poprzez prywatyzację oraz otwarcia naszej gospodarki na inwestycje zagraniczne.

Czy była alternatywa dla planu Balcerowicza? I czy jego koszty społeczne nie były zbyt wysokie?

W 1989 roku, kiedy weszliśmy do parlamentu jako ludzie ówczesnej opozycji demokratycznej, nie mieliśmy świadomości, że w bardzo krótkim okresie przyjdzie nam wziąć odpowiedzialność za państwo. Na marginesie powiem, że pierwsze spotkanie ówczesnych posłów i senatorów z ramienia „Solidarności" na Uniwersytecie Warszawskim, zakończyło się awanturą. Przyjechał Lech Wałęsa i zaproponował skład kierownictwa Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Myśmy oczywiście wybrali to prezydium w składzie, jakiego oczekiwał Wałęsa, ale nie odbyło się to bez twardej dyskusji. Wtedy chcieliśmy nazwać się Opozycyjnym Klubem Parlamentarnym i chwała Bogu, że Bronisław Geremek zaproponował podkreślenie przymiotu obywatelskości. Dlatego powstał Obywatelski Klub Parlamentarny. A moje hasło wyborcze w 1989 roku brzmiało: „Będziemy przyczółkiem demokracji. Na razie bierzemy jej 35%".

Wtedy nikt z nas nawet nie marzył o tym, by tworzyć rząd, którego premierem będzie człowiek „Solidarności". Iskierka nadziei pojawiła się wraz z hasłem Adama Michnika: „Wasz prezydent, nasz premier". Lech Wałęsa, poprzez Jarosława Kaczyńskiego, dość szybko przystąpił do negocjacji koalicyjnych ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym

oraz Stronnictwem Demokratycznym. Powstała koalicja, dysponująca większością sejmową, która z inicjatywy Lecha Wałęsy powołała rząd Tadeusza Mazowieckiego. Wcześniej odbyły się prezydenckie wybory Wojciecha Jaruzelskiego w Zgromadzeniu Narodowym.

Jak większość członków OKP głosowałem przeciwko temu wyborowi. Pierwszy prezydent został wybrany przewagą jednego głosu, między innymi dzięki kilku głosom parlamentarzystów OKP. Sprzeciw wobec wyboru Jaruzelskiego wynikał z mojej wyjątkowo negatywnej oceny jego działalności w różnych okresach PRL-u. Nawet jak na standardy PRL-u!

Jego niewątpliwą zasługą było to, iż pokojowo oddał władzę. Okrągły Stół oraz zachowanie Jaruzelskiego jako prezydenta, czyli nieblokowanie reform, a w końcu ustąpienie z funkcji to, moim zdaniem, były jego zasługi dla Rzeczypospolitej.

Wróćmy do planu reform.

Rządzący już wtedy wiedzieli, iż nie dadzą sobie rady z wyjściem z kryzysu gospodarczego. Myślę, że znacząca ich część miała świadomość skali zapaści polskiej gospodarki i zmarnowanego czasu po stanie wojennym przez ekipę Jaruzelskiego. Powstały z końcem 1988 roku rząd Mieczysława Rakowskiego podjął próby reform – opracowano nowatorski, jak na socjalistyczne państwo, program konsolidacji gospodarki narodowej, którego wiodące regulacje stanowiła ustawa o działalności gospodarczej Mieczysława Wilczka oraz przepisy otwierające możliwość funkcjonowania spółek z udziałem kapitału zagranicznego.

To przecież premier Rakowski uwolnił ceny żywności! W jego rządzie zasiadało kilku reformatorów, ówczesna władza nie była jednak w stanie unieść konsekwencji politycznych tych reform. To było oczywiste. Ten ciężar mógł wziąć na siebie tylko rząd, który cieszyłby się, przynajmniej przez jakiś czas, poparciem społecznym. I tak powstał rząd Tadeusza Mazowieckiego. Leszek Balcerowicz, jako wicepremier i minister finansów, był odpowiedzialny za wszystkie bardzo trudne, ale konieczne reformy gospodarcze. Stan finansów państwa był tragiczny. Inflacja wynosiła na koniec 1989 roku ponad 600 procent, 100 procent miesięcznie, a gospodarka ukształtowana na miarę potrzeb tamtego systemu, okazała się być wyjątkowo trudna do reformowania. Część zakładów była trwale nierentowna i nie miała żadnych szans na rynku.

Dlatego też zetknięcie się z problemami, zwłaszcza przemysłu ciężkiego – ukształtowanego na potrzeby poprzedniego systemu z całkowitym lekceważeniem czy wręcz izolacją od zasad ekonomii – było niesamowicie brutalne w skutkach społecznych. Niestety, musieliśmy wprowadzić mechanizmy, które *de facto* likwidowały część polskiej gospodarki. Pojawiło się ponad sześcioprocentowe bezrobocie. W pierwszej połowie 1990 roku nastąpił spadek produkcji sprzedanej przemysłu o jedną czwartą. Spadek realnych dochodów również oscylował w pobliżu 25 procent.

Zetknięcie się z takimi warunkami gospodarczymi było bardzo trudne z politycznego punktu widzenia. Tadeusz Mazowiecki był popularnym, powszechnie szanowanym politykiem, ale nie minęło zbyt wiele czasu i przegrał w walce o drugą turę wyborów prezydenckich z nieznanym Stanisławem Tymińskim. Podjęcie skutecznych decyzji redukujących inflację oznaczało odejście od dotowanych kredytów i minimalnych cen w rolnictwie, co otworzyło drogę do konfliktu rządu Mazowieckiego i Balcerowicza z rolnikami. Pamiętam, jak Jacek Kuroń, jako popularny minister pracy i polityki społecznej, gasił pierwsze strajki na wsi. Na to nałożyło się odejście od wielu haseł „Solidarności", na przykład od indeksacji płac. Przy Okrągłym Stole zabiegaliśmy przecież o zapisy dotyczące tego mechanizmu waloryzacji. Odeszliśmy od dotowanych nośników energii i zostawiliśmy tylko kilka obszarów tak zwanych cen regulowanych. Obejmowały one paliwa, energię elektryczną, węgiel i transport, chociaż faktyczne ceny tych produktów poszły w górę o 300–600 procent. Pozostałe ceny, stanowiące około 90 procent, kształtował coraz lepiej funkcjonujący rynek.

Wewnątrz obozu solidarnościowego były programy odmienne od programu Balcerowicza. Ich autorami byli Ryszard Bugaj, Jerzy Osiatyński. Później profesor Stefan Kurowski pokazywał, że być może są inne drogi.

W czasie, gdy Balcerowicz rozpoczynał działalność w rządzie Mazowieckiego, nie pojawiły się alternatywne programy reformy gospodarki. Nie było nawet zbyt wielu chętnych do objęcia funkcji ministra finansów. Ekonomiści mieli wówczas świadomość tragicznego stanu gospodarki. Głównym problemem były: inflacja, zadłużenie w wysokości 42 miliardów dolarów w klubach paryskim i londyńskim oraz wspo-

mniane wcześniej deficyt budżetowy, wynoszący 12 procent produktu krajowego brutto oraz spadek realnych płac o 25 procent. Nie byliśmy w stanie obsługiwać naszego zadłużenia. Wstępny program stabilizacji gospodarki, prezentowany przez Balcerowicza Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu, uzyskał pozytywną ocenę, czego konsekwencją było udzielenie przez niego Polsce kredytu stand-by, wspierającego program stabilizacyjny w kwocie 720 milionów dolarów. Również kraje Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju przekazały Polsce na wsparcie programu stabilizacyjnego jeden miliard dolarów.

17 grudnia 1989 roku rząd przekazał Sejmowi opracowany w ministerstwie finansów pakiet jedenastu ustaw, które miały rozpocząć transformację gospodarki. Procedowano nad tymi ustawami pod kierownictwem profesora Andrzeja Zawiślaka, ponad politycznymi podziałami wyjątkowo szybko. 27 grudnia Sejm uchwalił dziesięć ustaw, pozostawiając do dalszego procedowania jedną – o demonopolizacji gospodarki. Przyjęte przed końcem roku ustawy uzyskały akceptację prezydenta i od 2 stycznia 1990 roku weszły w życie. Wspominając te wydarzenia należy podkreślić fakt przyjęcia tych ustaw w Sejmie znaczącą większością, co stanowiło dowód na ewolucję poglądów, również po stronie części ówczesnej PZPR. Pamiętam zaangażowanie Barbary Blidy i Marka Pola. Problemem Leszka Balcerowicza, a właściwie rządu Tadeusza Mazowieckiego były kadry, których potrzebowała administracja państwowa. W znacznej części bowiem kwalifikacje ludzi pracujących w niej dotychczas nie przystawały do nowej rzeczywistości. Leszek Balcerowicz nazywał je dowcipnie wiedzą ujemną.

Wspominam moją rozmowę z premierem Mazowieckim przed objęciem przeze mnie stanowiska prezesa Wyższego Urzędu Górniczego, by reformować nieprzystające do ówczesnej rzeczywistości prawo górnicze. Na moje wątpliwości związane z brakiem doświadczenia w administracji, Tadeusz Mazowiecki powiedział: wszyscy się uczymy, budujemy nowe państwo, doświadczenia nabyte w tamtej rzeczywistości są często nieprzydatne.

Leszek Balcerowicz praktycznie więc przesądził o kierunkach i o tempie polskiej transformacji, przyjął kurs, który konsekwentnie realizował. Nie szukał kompromisów, które kontestowałyby jego główny cel. Jako jego zaplecze polityczne nie byliśmy świadomi, że mechanizmy, które wprowadzamy z jednej strony tak szybko zmienią obraz pol-

skiej gospodarki, ale z drugiej strony przyniosą tak rozległe skutki społeczne. Oczywiście, pojawiły się inne koncepcje. Ryszard Bugaj, jeden z najbardziej uczciwych polityków, jakich poznałem na mojej drodze, miał do koncepcji Balcerowicza wiele uwag i zastrzeżeń, ale generalnie jej nie kontestował. Pojawiały się pomysły większej partycypacji pracowników w kierowaniu zakładami pracy i tak dalej. Czyli próbowano humanizować niektóre mechanizmy gospodarki rynkowej po to, aby w większym stopniu wprowadzić elementy prospołecznej polityki.

Osobiście, jako konserwatywny liberał z przekonania, uważałem, że trzeba stopniowo, ale konsekwentnie przyjąć bardzo trudne w społecznym odbiorze, ale konieczne z punktu widzenia przyszłości państwa, nowe regulacje. To dzięki temu ten okres bardzo trudnych reform był w Polsce dość krótki. Pamiętajmy o tym, że spadek PKB miał miejsce w Polsce tylko do 1991 roku, i że w czasach rządu Jana Olszewskiego, Jerzy Eysymontt jako minister do spraw gospodarczych ogłosił w Sejmie tak oczekiwany wzrost PKB i koniec recesji. Od tego czasu mieliśmy przez wszystkie lata wzrost produktu krajowego brutto. Myślę, iż cena, którą zapłaciliśmy w efekcie tych radykalnych zmian, biorąc pod uwagę czas trwania stagnacji czy recesji gospodarczej, była akceptowalna, zważywszy na skalę tej zapaści, jaka miała miejsce w Polsce.

Ministerstwo finansów w początkowych latach transformacji miało w rządzie mocną, wiodącą w kwestiach gospodarczych pozycję. I to było wówczas konieczne, bo program uzdrowienia finansów publicznych był wtedy niekwestionowanym priorytetem. Kolejne etapy transformacji już wymagały jednak bardziej zniuansowanej koordynacji polityki gospodarczej.

Uważałem, iż na kolejnych etapach transformacji ster koordynacji polityki gospodarczej w rządzie powinien przejść do ministra gospodarki. Namawiałem Marka Belkę, żeby przyszedł na moje miejsce i został podobnie jak ja ministrem gospodarki i szefem Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów. Belka nawet się zapalił do tego pomysłu, ale nie zgodził się prezydent Kwaśniewski, który mi o tym zresztą powiedział.

Rząd Jerzego Buzka podjął się przeprowadzenia równocześnie czterech wielkich reform społecznych i gospodarczych. Jak pan ocenia po latach tę decyzję?

Kiedy tworzyliśmy rząd Jerzego Buzka, przywiązywaliśmy dużą wagę do sprawnego funkcjonowania koalicji. Ówczesna prasa atakowała nas, że zbyt długo pisaliśmy program rządu, że prawie miesiąc trwały negocjacje na linii AWS – Unia Wolności dotyczące tego, czym i w jaki sposób będzie zajmował się koalicyjny rząd, jakie będą jego priorytety. Byłem w zespole negocjacyjnym. Uważaliśmy wówczas, że wszystko musi być zapisane, zaplanowane i tak dalej. Mieliśmy świadomość – my, AWS, Marian Krzaklewski i Jerzy Buzek, że realizacja tych reform nie przysporzy nam krótkoterminowo poparcia społecznego. Uważaliśmy jednak, że nawet jeżeli na ołtarzu tych reform na jakiś czas trzeba będzie położyć polityczną głowę, to trzeba to zrobić. Bo przyszłość Polski wymaga od rządzących dalekowzroczności, odwagi, determinacji i poczucia polskiej racji stanu.

Jednym z najistotniejszych wyzwań była gruntowna przebudowa systemu ubezpieczeń społecznych. Mieliśmy bowiem, podobnie jak poprzedni rząd Włodzimierza Cimoszewicza, świadomość wielkich zagrożeń dla funkcjonującego systemu. Podstawowym założeniem reformy było przejście od systemu redystrybutywnego do kapitałowego, czyli od zdefiniowanego świadczenia do zdefiniowanej składki. Wprowadzono powszechność systemu oraz trzy filary emerytalne oparte na Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, na otwartych funduszach emerytalnych oraz indywidualnych kontach emerytalnych. Reforma systemu była efektem coraz gorszych dla Polski prognoz demograficznych i zwiększenia średniej długości życia naszych obywateli. Zakładaliśmy, iż w przyszłości nieuchronną konsekwencją tego faktu będzie, obok pozytywnych skutków powszechności systemu, podniesienie wieku emerytalnego. Nasi następcy jednak nie podzielali tych poglądów. Nie bacząc na fatalne skutki dla finansów, zlikwidowano jego powszechność, przywracając przywileje grup zawodowych. Dopiero rząd Donalda Tuska z inspiracji Michała Boniego podniósł wiek emerytalny, którą to regulację uchyliło Prawo i Sprawiedliwość.

Mieliśmy też świadomość konieczności głębokich reform służby zdrowia. Uważam, że największym błędem, które popełnili nasi następcy, czyli rząd SLD, był demontaż kas chorych. Oczywiście to, co chciał po 2015 roku zrobić PiS, czyli wrócić do systemu finansowania służby zdrowia z budżetu, byłoby jeszcze gorsze. Lekarze, z którymi miałem okazję na ten temat rozmawiać, w tym byli ministrowie zdrowia,

profesor Marian Zembala, profesor Zbigniew Religa, mówili: „wasza reforma miała sens". Trzeba było to konsekwentnie realizować, doskonalić. Dzięki kasom chorych pojawił się element konkurencji, pieniądze zaczęły krążyć w sposób racjonalny, a nie patologiczny. Nie wymyśliliśmy tej reformy sami. Opieraliśmy się na programie, który tworzył wicepremier Paweł Łączkowski z profesorem Zbigniewem Woźniakiem w rządzie Hanny Suchockiej. Powstała wówczas, we współpracy z „Solidarnością", koncepcja systemu ubezpieczeń zdrowotnych wzorowana na doświadczeniach niemieckich. Spośród wszystkich krajów transformujących się po 1989 roku najlepiej służbę zdrowia zorganizowali Czesi. Zrobili to, co proponował rząd Jerzego Buzka. A u nas rząd Leszka Millera, decyzjami ministra Mariusza Łapińskiego, zablokował tę reformę. Służba zdrowia powinna podlegać zasadom konkurencji. Musi być służbą, która będzie miała zapewnione finansowanie. Ale ważne jest kto dysponuje środkami, które pochodzą ze składek! O tym nie mogą decydować beneficjenci. Natomiast populistyczne hasła przed wyborami w 2001 roku były takie: „Wygramy wybory, rozwiążemy kasy chorych". Mówiły to PiS, SLD i Platforma Obywatelska. I zrobił to rząd Leszka Millera.

Trzeci temat to reforma edukacji. Wszystkie badania dowiodły, że reforma opracowana przez Mirosława Handkego była potrzebna i racjonalna. Wszystkie wskaźniki obrazujące poziom nauczania dowiodły, że szczególnie w małych miasteczkach i niedużych aglomeracjach, powołanie gimnazjów sprawdziło się. Naruszenie tego systemu przez SLD i ostateczne zniszczenie koncepcji profesora Handkego przez PiS było – moim zdaniem – wielkim błędem.

I ostatnia już reforma, to reforma samorządowa. AWS mówiła o konieczności rozwoju samorządu terytorialnego już podczas kampanii wyborczej, a Jerzy Buzek w swoim *exposé* powiedział „bierzemy władzę po to, żeby oddać ją ludziom". Nasz pomysł miał na celu decentralizację państwa, decentralizację finansów publicznych, stworzenie regionów, samorządności województw i powiatów. Jednym z autorów tej reformy był Michał Kulesza. Co później zrobiono w ramach kontynuacji tej reformy? Nic. SLD i Platforma Obywatelska w okresie swoich rządów nie miały woli decentralizacji państwa. A przecież myśmy nie po to samorząd wojewódzki powołali, żeby tyle zbędnych kompetencji było w rękach administracji rządowej. PiS w czasie swo-

ich rządów nawet nie krył centralistycznych koncepcji funkcjonowania państwa. I wdrażał je konsekwentnie.

Do tych czterech reform należy dołączyć piątą, czyli restrukturyzację przemysłu ciężkiego. W ciągu czterech lat naszych rządów tylko z branży górniczej odeszło ponad 100 tysięcy osób, co umożliwiło likwidację całkowitą i częściową trwale nierentownych dwudziestu trzech kopalń. Zrobiliśmy to dwa razy szybciej, niż Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii, za zdecydowanie mniejsze środki. Uniknęliśmy przy tym znaczących niepokojów społecznych, jakie miały miejsce w Wielkiej Brytanii. Pani Thatcher zwalniała 15 tysięcy górników rocznie, my – 30 tysięcy i to w warunkach spokoju społecznego, który był konsekwencją permanentnego dialogu z partnerami społecznymi. Pamiętam, jak podczas kampanii wyborczej Marek Borowski oskarżał nas: „Wy chcecie likwidować kopalnie!". „Tak, będziemy likwidować, będziemy porozumiewać się z partnerami społecznymi, będziemy starali się objąć różnymi pakietami osłon socjalnych odchodzących pracowników" – odpowiadałem. Tolerowanie sytuacji, w której kopalnia generuje straty na poziomie 20–30 złotych na tonie węgla, nie ma najmniejszego sensu. Gdy obejmowaliśmy naszym programem górnictwo, średnia ujemna akumulacja na tonie węgla była na poziomie minus 23 złotych. Gdy odchodziliśmy przy bardzo stabilnych, niskich cenach węgla, mieliśmy akumulację dodatnią na poziomie 8 złotych. To był efekt ekonomiczny tej trudnej w społecznym odbiorze reformy. Podobnie działo się w hutnictwie. Musieliśmy zwolnić około 50 tysięcy osób. To się też udało w warunkach spokoju społecznego. Tym razem nasi następcy z rządu SLD kontynuowali tę reformę, sprywatyzowali hutnictwo i ono do tej pory dobrze funkcjonuje.

A co z dziurą Bauca, która położyła się cieniem na dziedzictwie rządu AWS?

Oczywiście dziura Bauca była fikcyjna. Byłem wtedy wicepremierem i kierowałem KERM-em. Jarosław Bauc obliczył skutki finansowe ustaw, które zaproponowali posłowie, zresztą ponad podziałami politycznymi. Tych ustaw nie uchwalono. I faktycznie ta wirtualna „dziura" wynosiła około 100 miliardów złotych. Jako wicepremier i minister odpowiedzialny za przygotowanie budżetu, za zgodą premiera Buzka, cały czas współpracowałem w tej materii z Kancelarią Prezydenta.

Na narady w sprawach budżetu przychodził, jako doradca prezydenta, Marek Belka. Nie mieliśmy żadnych tajemnic. Mało tego, żeby nikt nie zarzucił nam, że coś zamiatamy pod dywan, powołałem komisję złożoną z najwybitniejszych specjalistów od budżetu, z profesorami Andrzejem Wernikiem i Witoldem Orłowskim na czele. Chcieliśmy, aby kwestie związane z budżetem były całkowicie transparentne.

Niestety, trudno było przebijać się merytorycznymi argumentami w czasie trwającej dość brutalnej kampanii wyborczej. Królowały populizm i demagogia. Wyjątkową sprawnością wykazywał się lider SLD. Cóż, płacił za to cenę, gdy w efekcie zwycięskich wyborów przyszło mu kierować rządem. Jak wspomniałem wcześniej, trudności w sprawowaniu władzy w kleszczach populizmu kampanii wyborczej są proporcjonalne do wyniku.

Prawo i Sprawiedliwość w okresie swoich drugich rządów robiło to chyba skuteczniej, niż wcześniej SLD, bo nie odnotowało takiego spadku poparcia.

Rządy Prawa i Sprawiedliwości zapiszą się w historii fatalnie. Myślę, że w trzydziestopięcioleciu III Rzeczypospolitej – najgorzej. Demontaż wymiaru sprawiedliwości, zawłaszczenie publicznych mediów, dewastacja pozycji Polski na arenie międzynarodowej i zastępowanie funkcji regulacyjnych państwa prymitywną polityką właścicielską, czyli znanym z PRL-u ręcznym sterowaniem. Podsumowując politykę zagraniczną rządów Zjednoczonej Prawicy należy szczególnie doceniać uzyskane wcześniej członkostwo Polski w NATO i UE, bo trudno byłoby sądzić, że zrealizowalibyśmy te dwa priorytety polityczne pod rządami tej formacji. Rządy Zjednoczonej Prawicy nie wykazywały jakiekolwiek determinacji do podjęcia reform ubezpieczeń społecznych i zdrowotnych, zdemolowały wręcz funkcjonujący system edukacji.

Występowałem kilka lat temu w debacie podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy. Kołodko, Bielecki, Kwieciński i ja. I wtedy Jerzy Kwieciński, wówczas minister finansów w rządzie Mateusza Morawieckiego, bardzo się chwalił, że PiS ma najlepsze wyniki, to znaczy największy wzrost PKB za minione trzy lata. Grzegorz Kołodko oczywiście replikował, że największy wzrost gospodarczy za minione lata był za jego kadencji. A Jan Krzysztof Bielecki powiedział: „Wie pan, panie ministrze, ja i tak się cieszę, że już nie mówicie, że państwo jest

w ruinie". Ja zaś skomentowałem tę wymianę zdań uwagą, że przecież wzrost PKB jest funkcją koniunktury i wcześniej prowadzonych reform, na co rząd nie ma wpływu. Tak samo jak Kołodko odcinał kupony od tego, co zrobił wcześniej Balcerowicz, tak samo PiS odcinał kupony od reform przeprowadzonych piętnaście lat wcześniej.

Najgorsze jednak jest to, że Zjednoczona Prawica odcinając te kupony, rozdając pieniądze i będąc beneficjentem tych reform, jednocześnie dezawuuje ich autorów. To jeszcze można by im wybaczyć, ale oni jednocześnie kwestionowali samą potrzebę przeprowadzenia tych reform. I to jest najgorsze.

Jak Pan ocenia współpracę waszego rządu z ośrodkiem prezydenckim, z Aleksandrem Kwaśniewskim? Bo mimo wspólnego wtedy interesu politycznego Kwaśniewskiego z Millerem, w wielu wypadkach prezydent kroczył swoją drogą.

Relacje między Kancelarią Prezydenta i rządem były wtedy cywilizowane. Osobiście miałem dobre relacje z Kancelarią Prezydenta i z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. W Polsce nigdy relacje między rządem a prezydentem nie były sielankowe, bo rząd ma inne uwarunkowania i inny punkt widzenia, niż prezydent. Konstytucja niezbyt precyzyjnie i racjonalnie określa kompetencje tych dwóch organów władzy wykonawczej. Natomiast relacje w ramach kohabitacji w latach 1997–2001 oceniam jako dobre. Pomimo tego, iż pochodziliśmy z różnych obozów politycznych! Był to efekt odpowiedzialności obu stron za państwo oraz sposobu sprawowania władzy i uprawiania polityki. Mogę to powiedzieć z perspektywy czasu, analizując to, co działo się w czasach rządu Donalda Tuska i prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Tamte relacje były wrogie, co nigdy nie powinno mieć miejsca w demokratycznym państwie. Można się różnić, ale nie można generować konfliktów tak brzemiennych w skutki, również w polityce międzynarodowej.

W jakich kwestiach wasz rząd współpracował z urzędem prezydenckim, a w jakich się różniliście?

Priorytetami politycznymi dla Polski po 1989 roku było członkostwo w NATO i Unii Europejskiej. Rząd Jerzego Buzka zrealizował

ten pierwszy priorytet do końca, czyli staliśmy się członkiem NATO, w efekcie zgodnej współpracy zarówno prezydenta, rządu, jak i przedstawicieli Polonii amerykańskiej.

Jerzy Buzek ten wielki dzień dla polskiej historii świętował w towarzystwie wszystkich swoich poprzedników. Na spotkanie przybyło siedmiu byłych premierów – od Tadeusza Mazowieckiego po Włodzimierza Cimoszewicza. Podkreślając konsekwentną, zgodną pracę kolejnych rządów na rzecz zakotwiczenia Polski w zachodnich strukturach obronnych oraz dziękując za zaangażowanie w ten proces różnym środowiskom, Jerzy Buzek wykazał w tej materii klasę godną premiera RP. I w tym kontekście śmieszą mnie i irytują próby przypisywania tej czy innej formacji autorstwa tego politycznego sukcesu, jakim było złożenie przez Bronisława Geremka w Bibliotece Trumana w Independence podpisu pod protokołami akcesyjnymi Polski do NATO. To dla mnie przejaw małostkowości i politykierstwa.

Drugim politycznym priorytetem było członkostwo w Unii Europejskiej. Polski marsz do Europy zaczął Tadeusz Mazowiecki, nawiązując stosunki dyplomatyczne ze wspólnotami europejskimi i desygnując do nich pierwszego polskiego ambasadora – Jana Kułakowskiego. Po latach, już w rządzie Jerzego Buzka, objął on jakże ważną funkcję pełnomocnika rządu do spraw negocjacji akcesyjnych z Unią Europejską. Negocjacje, które prowadził rząd Jerzego Buzka, były bardzo trudne. Złożoność materii, która obejmowała nierzadko sprzeczne interesy państw członkowskich, wymagały z naszej strony wyjątkowej determinacji i odpowiedzialności. Dlatego też współpraca rządu z prezydentem była bardzo istotna. Oceniając ją z perspektywy czasu, który upłynął, myślę, iż dla obu ośrodków władzy wykonawczej fakt zamknięcia z sukcesem znaczącej części obszarów negocjacyjnych, dwudziestu pięciu z trzydziestu, przez rząd Jerzego Buzka, był milowym krokiem w drodze do Unii. Niestety, w tej materii tak pozytywnie ocenić współpracy z ówczesną opozycją nie można. Jak wcześniej wspomniałem, rozpoczynał się okres populizmu w polskiej polityce. W jego efekcie nasze stanowisko negocjacyjne było osłabiane na skutek domagania się przez ówczesną opozycję, by przyśpieszyć zamykanie kolejnych obszarów negocjacyjnych. A to mogło przecież mieć miejsce tylko w wyniku znaczącej modyfikacji koncepcji i celów negocjacyjnych. Różnice stanowisk między rządem i prezydentem objawiały się

wetowaniem niektórych ustaw przez prezydenta Kwaśniewskiego, których ówczesna koalicja AWS-UW w Sejmie nie była w stanie powtórnie przegłosować. Do najważniejszych należała ustawa o podatku dochodowym od osób fizycznych, ustawa wprowadzająca trójstopniowy podział terytorialny państwa, ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, o Prokuratorii Generalnej, czy też tak ważna ustawa odnosząca się do procesu reprywatyzacji.

Powinienem jednak zarazem dodać, że ówczesny prezydent wielokrotnie wspierał rząd w różnych kwestiach związanych z promocją polskiej gospodarki zagranicą, co leżało w moim zakresie odpowiedzialności. Miało to istotne znaczenie również dla promocji Polski, jako miejsca lokowania inwestycji. Bardzo często, jako minister gospodarki, towarzyszyłem prezydentowi w jego wyjazdach i myślę, że to było zawsze dobrze odbierane zagranicą.

Jak pan ocenia strategie rozwojowe autorstwa Grzegorza Kołodki, Jerzego Hausnera czy Michała Boniego, którzy w różnych okresach próbowali podporządkować politykę gospodarczą w Polsce pewnym wizjom długoterminowym.

Grzegorz Kołodko, wielka postać, erudyta, intelektualista. Grzegorz Kołodko niewątpliwie jest wybitnym ekonomistą, natomiast bliżsi koncepcyjnie są mi tacy ekonomiści, jak Leszek Balcerowicz, Marek Belka czy Jerzy Hausner. Nie potrafię powiedzieć, co byłoby, gdyby wszystkie reformy w Polsce po 1989 roku były realizowane w oparciu o teorie Kołodki. Obawiam się, że skuteczność tych reform byłaby zdecydowanie mniejsza niż tych, które przeprowadził Balcerowicz. On wziął na siebie wielką odpowiedzialność za naprawę państwa w najtrudniejszym okresie. Merytoryczne alternatywy, wyrażające się kontestacją tych jedenastu ustaw, które 1 stycznia 1990 roku inaugurowały ratowanie polskiej gospodarki i skierowanie jej na rynkowe tory w tych przełomowych tygodniach, nadmiernie się nie przebijały.

Oceniając dzisiaj te przyjęte wówczas kierunki reform należy osadzić je w ekonomicznych realiach tamtych czasów. Kołodko – jeszcze raz podkreślam – to wybitny intelektualista, świetny mówca, erudyta – chociaż ekscentryczny polityk. Natomiast Kołodko, jako minister finansów miał tendencję do zawłaszczania wszystkich decyzji gospodarczych w rządzie, podobnie zresztą jak Leszek Balcerowicz i więk-

szość ministrów finansów. Moja refleksja jest taka, że minister finansów w Polsce miał przesadnie duże kompetencje. Próbowałem je ograniczyć w czasach, gdy kierowałem Komitetem Ekonomicznym Rady Ministrów. Minister właściwy do spraw finansów wpisywał wówczas do większości ustaw konieczność uzgadniania z nim aktów wykonawczych do ustaw przygotowywanych przez innych ministrów. Myślę, iż minister finansów miał w rządzie większą władzę niż premier, dlatego, że to on decydował o ostatecznym kształcie aktów wykonawczych. A to nie jest potrzebne w Radzie Ministrów, która powinna funkcjonować przede wszystkim na zasadzie szukania kompromisu. Inny jest punkt widzenia ministra środowiska, a inny jest punkt widzenia ministra gospodarki. Premier Tusk, stwierdził kiedyś, że ma dość konfliktów pomiędzy ministrem gospodarki a ministrem środowiska w sprawach energetyki i remedium upatrywał w połączeniu tych ministerstw. Tę koncepcję zrealizowano w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy. A przecież to rozwiązanie jest irracjonalne. Jest ktoś, kto pilnuje środowiska i jest ktoś, kto pilnuje gospodarki. I ci ministrowie muszą szukać kompromisu. Z pożytkiem dla państwa.

W pierwszym rządzie Tuska, który był przeciwny tworzeniu politycznych wizji, znalazł się Michał Boni, który próbował stworzyć strategię dla Polski na długie lata.

To wizjoner, bardzo mądry człowiek. Stworzył w rządzie Tuska zaplecze intelektualne, które zaczęło myśleć o przyszłości Polski; które nie koncentrowało się na doraźnych sprawach i na przysłowiowej ciepłej wodzie w kranie, ale na tym, co będzie za dwadzieścia, trzydzieści lat. Nie można przecież koncentrować się na taktyce osadzonej w realiach nieznanej strategii. A my mamy dość często z tym zjawiskiem do czynienia w Polsce. Michał Boni stworzył ambitny program i *chapeau bas!* przed nim. Zawarł w nim bardzo wiele ciekawych przemyśleń, ale miał niestety niewiele sprawczości.

Polska w dalszym ciągu potrzebuje reform i wizjonerów. Zdecydowanie nie zgadzam się z Donaldem Tuskiem, który mawiał, że „ktoś, kto ma wizje, powinien iść do lekarza". Nie zgadzam się, że ważna jest tylko ciepła woda w kranie, a nie dalekosiężne koncepcje funkcjonowania państwa. Nie. Dla mnie polityka jest sposobem realizacji marzeń. Donald Tusk i ówczesna ekipa Platformy Obywatelskiej nie mie-

li wystarczającej motywacji do realizacji reform potrzebnych Polsce. Kiedyś przeciwstawiłem Mariana Krzaklewskiego i Donalda Tuska. Wspomniałem, że obaj są moimi przyjaciółmi, znam ich od lat. Mówiłem, że Marian Krzaklewski z pełną świadomością ceny, którą przyjdzie mu za to zapłacić, osłaniał trudne w społecznym odbiorze reformy. A częściowo demontował je liberał i konserwatysta Donald Tusk. Czy likwidacja OFE i zawłaszczenie 150 miliardów złotych było miarą odpowiedzialności? Nie… Mało tego, miałem pretensje do ówczesnego Trybunału Konstytucyjnego, że środki zgromadzone w OFE zaliczył do środków publicznych. A w oparciu o jakie przepisy Konstytucji?! Nie bardzo potrafię to zrozumieć.

Oceniam dobrze sztafetę ministrów i rządów, które zajmowały się gospodarką i szły korytarzem reform, nie zbaczając z niego i ustalając kolejne priorytety. Uważam, że zarówno Balcerowicz, Belka, jak i Hausner, Osiatyński czy Kołodko – cokolwiek by nie powiedzieć o ich różnicach zdań w pewnych obszarach – prowadzili polską gospodarkę w ramach strategii i mechanizmów, które przyjęliśmy w 1990 roku. Zmieniały się niektóre priorytety, ale generalny kierunek zmian był cały czas podobny: prywatyzacja, czyli zmiana struktury własnościowej, skoncentrowanie się na funkcjach regulacyjnych państwa, odejście od ręcznego sterowania, otwarcie na inwestycje zagraniczne, deregulacja, aktywność w Światowej Organizacji Handlu i Unii Europejskiej. Zmieniono to, zakwestionowano całą tę politykę i koncepcję funkcjonowania gospodarki w rządzie Prawa i Sprawiedliwości po 2015 roku.

Wracając przy okazji do obecności Polski w Unii Europejskiej uważam, że oceniać ten okres z punktu widzenia ekonomii należy nader pozytywnie. Dostęp do wspólnego rynku, transfery środków unijnych na modernizację naszej gospodarki, radykalnie zwiększyły konkurencyjność.

Trzeba jednak mieć świadomość, że w Unii Europejskiej, podobnie jak nasi partnerzy, musimy walczyć o swoje interesy. Należy jednak robić to profesjonalnie, przekonywać przedstawicieli innych krajów do swoich racji, budować koalicje. Natomiast to, co robiono w okresie rządów PiS w relacjach z Unią Europejską i najważniejszymi europejskimi partnerami, jest zaprzeczeniem wszystkiego, czego należy oczekiwać od polskiego rządu. Naruszanie prawa, które obowiązuje w Unii Europejskiej, permanentne konfliktowanie się z większością krajów

w wielu sprawach. Nie chodzi tylko o Niemcy. Przykładem są również relacje z Czechami. Skrajnie nieodpowiedzialna była na przykład wypowiedź premiera Morawieckiego sugerująca, że Norwegia „żeruje" na wojnie w Ukrainie, bo korzysta na wysokich cenach gazu! Trzeba być naprawdę dyletantem, aby w momencie, kiedy nie mieliśmy kontraktów na dostawę gazu z Norwegii, a o ten norweski zabiegali wszyscy, powiedzieć coś takiego.

Jeśli już mówimy o norweskim gazie, to trzeba chyba wspomnieć także o naszych wcześniejszych relacjach z rosyjskim Gazpromem. Trudno oprzeć się wrażeniu, że w relacjach ekonomicznych z Rosją kolejne polskie rządy parę razy wchodziły na te same grabie…

Mieliśmy w 2001 roku wielkie pretensje do ówczesnego SLD i do Leszka Millera, który pod wpływem Aleksandra Gudzowatego krytykował nas za kontrakt norweski. Robi to zresztą do tej pory. A przecież zablokowanie kontraktu norweskiego kosztowało Polskę co najmniej kilkanaście miliardów dolarów. W cenie gazu płaciliśmy bowiem Gazpromowi przez wiele lat rentę za brak alternatywy, która wynikała z niedostatecznej przepustowości ówczesnej infrastruktury przesyłowej na kierunkach zachodnim, północnym i południowym.

Podczas moich spotkań w czasie rządu Jerzego Buzka były też rozmowy z politykami rosyjskimi. Towarzyszyłem prezydentowi Kwaśniewskiemu nawet w jego rozmowach z Putinem.

Gdy mieliśmy już parafowany kontrakt norweski, który został wynegocjowany przy poparciu i dużym zaangażowaniu dwóch premierów, Jerzego Buzka i Jensa Stoltenberga, poleciałem wiosną 2001 roku do Moskwy i wicepremierowi Wiktorowi Christience powiedziałem, że musimy renegocjować kontrakt jamalski, bo naszym zdaniem jest nieaktualny. W 1995 roku Marek Pol, jako minister przemysłu i handlu w rządzie Waldemara Pawlaka, zapisał bowiem w umowie z Federacją Rosyjską bardzo precyzyjnie, z jakich punktów odbioru będziemy pozyskiwać gaz, oraz z której nitki gazociągu. Zgodnie z zapisami umowy większość gazu Polska powinna była odbierać z drugiej nitki gazociągu jamalskiego, która nie powstała, bo Rosjanie nie chcieli jej budować. W związku z tym wychodziłem z założenia, a podzielała tę opinię również Najwyższa Izba Kontroli, że nie jesteśmy zobowiązani do odbioru zakontraktowanych w 1993 i 1995 roku ilości gazu. Naszym zda-

niem zaistniały warunki do renegocjacji tak zwanego kontraktu jamalskiego. Ówczesna opozycja z nieznanych mi powodów kontestowała to stanowisko. Sytuację zdecydowanie zmienił rząd Mateusza Morawieckiego, który powrócił do koncepcji gazowego połączenia Polski ze złożami norweskimi na Morzu Północnym. Sukcesem też ówczesnego pełnomocnika rządu do spraw infrastruktury energetycznej Piotra Naimskiego, jest przygotowanie, realizacja i uruchomienie tej tak ważnej dla nas inwestycji. Czyli – proszę bardzo, kupujemy na zasadzie partnerskiej współpracy.

W tym kontekście równie pozytywnie należy ocenić decyzję o realizacji budowy Terminala LNG w Świnoujściu. Obie te inwestycje wpisały się w proces dywersyfikacji dostaw gazu ziemnego i zdecydowaną poprawę bezpieczeństwa energetycznego. Pozytywnie oceniam również zrealizowanie projektu przekopu Mierzei Wiślanej, umożliwiającej nam swobodny dostęp do Zatoki Gdańskiej. Ten dostęp przez Cieśninę Piławską, którą kontrolowała Federacja Rosyjska, był nam przez wiele lat ograniczany. W agendzie moich rozmów jako wiceprzewodniczącego komisji wspólnej polsko-rosyjskiej permanentnie pojawiał się ten problem. Bez rezultatu. Oceniając relacje Polski z Federacją Rosyjską w okresie minionych trzydziestu lat myślę, że można postawić tezę, iż nasze porażki w tej materii były w znaczącym stopniu efektem braku racjonalnej taktyki, wpisującej się w przemyślaną długofalową strategię realizowaną w sposób stabilny przez przygotowanych profesjonalnie do tej roli przedstawicieli naszego państwa. I oczywiście, znaczenie miała imperialna, nieskłonna do kompromisów, polityka Federacji Rosyjskiej.

Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski

Rachunki za populizm
trzeba nieraz bardzo długo spłacać

Rozmowa z Arturem Balazsem

Kiedy właściwie w Polsce zaczęła się transformacja? We wrześniu 1989 roku, gdy powstał rząd Tadeusza Mazowieckiego, w styczniu 1990 roku, gdy wystartował plan Balcerowicza, a może jeszcze kiedyś indziej?

Zacznę od momentu, kiedy w lutym 1989 roku po raz pierwszy siedliśmy do stołu z minioną władzą. Wtedy przy Okrągłym Stole bliżej poznałem Tadeusza Mazowieckiego. Poznałem wtedy także Olka Kwaśniewskiego. Byłem uczestnikiem „stolika" do spraw pluralizmu związkowego, któremu wówczas oni obydwaj przewodniczyli. Ja reprezentowałem nielegalną w tamtym czasie „Solidarność Rolniczą". Siedliśmy do wspólnego stołu, wydawało się, że o ile kwestia legalizacji „Solidarności" pracowniczej nie ulega żadnej wątpliwości, to kwestia legalizacji naszej „Solidarności Rolniczej" nie była przesądzona. Ówczesne władze uważały, że rolnicy są pracodawcami i nie mają prawa mieć związku zawodowego. W trakcie bardzo trudnych negocjacji i na skutek zrozumienia sprawy ze strony reprezentującego rząd Kwaśniewskiego, doszło do przełomu i uznano, że rolnicy też mają prawo do swojego związku zawodowego.

Mazowiecki był już człowiekiem bardzo doświadczonym. A ja byłem bardzo młody, podobnie jak Kwaśniewski. Muszę się przyznać, że podziwiałem ich obydwu. Miałem poczucie, że reprezentantom obu

stron zależy na tym, żeby się dogadać; nie konfrontować się, lecz szukać tego, co łączy. Obydwaj chcieli, żeby Polska była inna, niż była do 1989 roku. Podziwiałem determinację Mazowieckiego, który był dla mnie wielkim autorytetem, ale też podziwiałem otwartość Kwaśniewskiego, bo on musiał chodzić, konsultować; nie odpowiadał na postulaty od razu, ale z tego co mówił, było widać, że robi wszystko, aby doszło do porozumienia. I to właśnie ten moment bardzo mocno zaważył na moich późniejszych relacjach z Kwaśniewskim. Powstała relacja wzajemnej sympatii, a później przyjaźni, co spowodowało, że w rozwiązaniu bardzo wielu trudnych problemów Polski mieliśmy podobne zdanie.

Mimo tych wysiłków obu stron, żeby się dogadać, to do sukcesu negocjacji potrzebny był jeszcze życzliwy mediator...

Fakt, że doszło do Okrągłego Stołu i że szukaliśmy kompromisu, wiąże się z olbrzymią rolą Kościoła. Bez aktywnego udziału Kościoła – i po naszej i po tamtej stronie – pewnie by do tego nie doszło. To była wręcz determinacja Kościoła, żebyśmy się dogadali. Kiedy mieliśmy wątpliwości to konsultowaliśmy je z Kościołem, a stamtąd zawsze wychodziło przesłanie, że trzeba się porozumieć, często wsparte autorytetem Ojca Świętego Jana Pawła II. Przekonałem się o tym osobiście nieco później, jesienią roku 1989. Odbyła się wtedy jedna z pierwszych i najważniejsza wizyta nowego solidarnościowego rządu w Stolicy Apostolskiej. Premier Mazowiecki wziął ze sobą wówczas trzech czy czterech ministrów, w tym mnie. Byłem już wcześniej osobiście u Ojca Świętego dwa razy, jako działacz podziemnej „Solidarności". Byłem delegatem podziemnej „Solidarności" na Europejski Kongres Farmerów w Rzymie. Później Ojciec Święty był w Szczecinie i miałem wtedy z nim rozmowę, podczas procesji z darami.

Podczas tej rządowej wizyty w 1989 roku wyglądało to tak, że każdy członek delegacji miał osobistą rozmowę z Ojcem Świętym i z Tadeuszem Mazowieckim równocześnie. To było niesamowite przeżycie. Ta rozmowa „w sześć oczu" z Ojcem Świętym przy premierze Mazowieckim była jednym z najważniejszych wydarzeń w moim życiu.

O czym rozmawialiście?

O rzeczach najważniejszych. Ja o rolnictwie i kolektywizacji jego części przez komunistów, nawiązując jednocześnie do wcześniejszych rozmów z Ojcem Świętym na ten temat.

Potem był powrót do rzeczywistości.

Po zmianie ustroju parokrotnie byłem ministrem rolnictwa. W rządzie Tadeusza Mazowieckiego, w rządzie Jana Olszewskiego, w rządzie Jerzego Buzka.

Jakie było pana zdanie na temat planu Balcerowicza i rozpoczętych wtedy reform, ich skutków społecznych, zwłaszcza na wsi?

Od chwili powstania rządu Tadeusza Mazowieckiego nie było żadnej poważnej propozycji ani alternatywy – a przynajmniej ja takiej nie znam – dla planu Balcerowicza. To był wtedy jedyny pomysł. Dzisiaj, z perspektywy czasu mogę ocenić, że był on bardzo trudny, budził kontrowersje, ale był jedyny skuteczny i możliwy do realizacji. Mam takie poczucie, że w tamtym czasie cała klasa polityczna – także będące wówczas w opozycji SLD jak i PSL – gromadziła się wokół tego pomysłu. Oczywiście pojawiały się różne wątpliwości, uwagi i jest wiele prawdy w tym, że być może społecznie, koszty tego planu były zbyt wysokie. Równocześnie trzeba jednak powiedzieć, że chyba nie udałoby się przeprowadzić tego planu w inny sposób i Polska w takim krótkim marszu nie stałaby się państwem wolnorynkowym. To był jedyny zwarty program gospodarczo-polityczny, który mógł przynieść Polsce jakieś sukcesy. Może za mało pochyliliśmy się wtedy nad częścią społeczną, która byłaby pomostem dla najbardziej dotkniętych zmianami, ale takie były realia.

Plan Balcerowicza na pewno był bardzo bolesny dla rolników. Znaczna część tych, którzy mieli wtedy kredyty, z dnia na dzień stała się bankrutami. W oparciu o to powstał później ruch Leppera, który gromadził rolników w pułapce zadłużenia. Reformy były bardzo bolesne również dla byłych pracowników PGR-ów, którzy zderzyli się z rzeczywistością wolnorynkową. Na sto hektarów w PGR-ach było zatrudnionych 10–15 osób. Nagle okazało się, że na sto hektarów wystarczy jedna lub dwie osoby, a pozostałe trafiły na bezrobocie, mimo różnych zobowiązań nakładanych w tamtym czasie na przyszłych dzierżawców. Nie

było szans, żeby wszyscy ci ludzie odnaleźli się w nowej rzeczywistości, a alternatywne programy, które przyniosłyby rozwiązanie tego problemu, nie powstały.

Czy przyczyn „wojny na górze", czyli konfliktu Wałęsa – Mazowiecki, można też szukać w tych napięciach społecznych? Czy w tym konflikcie chodziło również o program gospodarczy?

Nie. Chodziło bardziej o program polityczny, niż o gospodarczy. Wtedy rozpoczęła się polaryzacja nurtów politycznych w poszczególnych ugrupowaniach postsolidarnościowych. Odczułem to na własnej skórze, bo w pewnym momencie doszło w moim środowisku politycznym do polaryzacji na zasadzie, kto poprze Mazowieckiego, a kto Wałęsę w wyborach prezydenckich. Generalnie obóz „Solidarności" poparł Wałęsę. Ja zostałem przy Mazowieckim. Musiałem zawiesić swój udział w Stronnictwie Ludowo-Chrześcijańskim, którego szefem był Józef Ślisz, bo oni poparli Wałęsę. Szczecin, z którego pochodzę i gdzie gościłem Mazowieckiego kilka razy podczas kampanii wyborczej, był jedynym miastem w Polsce, w którym premier wygrał głosowanie. To był początek konfliktu, który później dawał o sobie znać przez długie lata. Pamiętam moją rozmowę z Olkiem Hallem z tamtego czasu. Olek od początku poparł bardzo mocno Mazowieckiego i zachęcał do tego innych. Chciał, żeby wszyscy gromadzili się wokół Mazowieckiego. Wielokrotnie wracaliśmy do tego momentu i zastanawialiśmy się między sobą, co by było gdyby...

To był moment zwrotny.

Powiedziałem wówczas Hallowi, że oceniam, iż wybory wygra Wałęsa i że nie ma na to alternatywy, ale ze względów lojalnościowych i mojego poczucia wartości, zostaję przy Mazowieckim. To był dla mnie smutny moment, także jeżeli chodzi o spostrzeżenia dotyczące mentalności Polaków. Podczas kampanii, Mazowieckiego wpisano w antysemityzm, przypięto mu łatkę Żyda, co wielokrotnie wychodziło na różnych spotkaniach, konferencjach, czy podczas rozmów z księżmi, którzy niestety też podnosili to i czynili z tego zarzut. Dla mnie to było bardzo smutne i bolesne. W dużo późniejszym czasie rozwiązał go wspólny przeciwnik, ale przez długie lata obozy Wałęsy i Mazowieckiego nie mogły się ze sobą pogodzić.

W 1990 i 1991 roku pojawiły się w polskiej polityce liderzy ugrupowań populistycznych – Andrzej Lepper i Stanisław Tymiński. Skąd się bierze poparcie dla takich nurtów?

Jeśli chodzi o populizm, to zawsze w każdym momencie historycznym i społecznym jest znacznie większe zapotrzebowanie na to, co jest przyjemne, łatwe i dobrze wygląda od tego, co jest trudne, wymaga żmudnej pracy, aktywności, pokonywania problemów w dłuższym okresie. Populizm nie bierze pod uwagę realiów rzeczywistości. Zakłada, że można iść drogą na skróty i wystarczy tylko mówić o rzeczach mało realnych, ale za to przyjemnych i łatwych. I tak też wygrywa się często wybory. I tak też w naszej rzeczywistości bywało. Ja sam staram się być człowiekiem, który twardo stąpa po ziemi i trzyma się jak najdalej od populizmu. Uważam, że jest groźny, niebezpieczny. Kiedy populizm jest reprezentowany przez całe ugrupowania i formację polityczną, to jest dla państwa niezmiernie groźny. Rachunki za populizm trzeba nieraz bardzo długo spłacać i nie są one łatwe do spłacenia.

A lewica postkomunistyczna? Jak pan ocenia jej miejsce w procesie polskiej transformacji?

Uważam, że w polityce konkurencja, która ma swoje programy i poglądy, jest pożyteczna i powinna być. Nikomu nie odbierałem prawa do odnalezienia się w nowej rzeczywistości po roku 1989, jeżeli nie miał w swoim życiorysie czegoś, co by przekreślało jego dobrą wolę.

Jeżeli chodzi o tę ocenę, mogę być ewenementem, bo sam byłem skażony przynależnością do PZPR-u przed 1980 rokiem. Chociaż cały stan wojenny spędziłem w więzieniu, to miałem poczucie, że do odbudowy i zmian w Polsce potrzebni są wszyscy; że jeżeli ktoś ma autentycznie dobrą wolę i chce minioną rzeczywistość zmieniać na lepszą. Nawet, jeśli pochodzi z innego obozu politycznego, to powinno się dla niego znaleźć miejsce. Wydaje mi się, że obóz byłych postkomunistów był bardzo zróżnicowany. Byli w nim ludzie o różnych poglądach. Byli tacy, którzy do tego państwa, jakie ja tworzyłem, odnosili się wrogo, ale byli też tacy, którzy widzieli w tym wielką szansę dla Polski. Oceniałbym to w kategoriach indywidualnych i na pewno nikomu – poza jakimiś wyjątkami, które są naznaczone i znane – nie odmawiałbym prawa do aktywności w życiu publicznym.

Jak ocenia pan relacje rządów solidarnościowych w latach dziewięćdziesiątych z lewicową opozycją? Na ile była to ostra walka, a na ile można było liczyć na kooperację?

W okresie rządu Jerzego Buzka były obszary, w których można było liczyć na daleko idącą współpracę z prezydentem Kwaśniewskim. Na przykład, jeżeli chodzi o naszą integrację z NATO i z Unią Europejską. Były też obszary ideologiczne, w których stosunek do Kościoła często budził różne emocje. Były kwestie, które mocno nas różniły. Generalnie powiedziałbym jednak – zwłaszcza w kontekście tego, co działo się po 2015 roku, że wtedy panowało poczucie, że może się różnimy i mamy odmienne wizje drogi dojścia do celu, ale każdej formacji – czy to opozycyjnej, czy rządzącej – zależy na Polsce. Przesłaniem był interes państwa, którego nikt nie miałby odwagi nadwyrężyć dla jakichś partyjnych i politycznych interesów. Racja stanu była ponad podziałami politycznymi. To była linia demarkacyjna, która powodowała, że widzieliśmy, że spraw polityki zagranicznej nie można włączać do bieżącej walki politycznej. Jeżeli chodzi o klasę polityczną i możliwość współpracy między opozycją a rządzącymi, oceniam tamte czasy dużo lepiej niż te, który nastąpiły po 2005 roku. To duża różnica.

Jak ocenia pan bilans reform przeprowadzonych przez rząd Jerzego Buzka? Czy nie ponieśliście później zbyt wysokiej ceny za te reformy?

Uważam, że po rządzie Mazowieckiego rząd Buzka to był jedyny rząd, który miał odwagę, wolę i determinację, żeby dokonać kolejnych reform. Chyba najważniejsza była reforma samorządowa, budząca olbrzymie namiętności i emocje w związku z likwidacją części województw, ale niezmiernie potrzebna; tworząca fundamenty i podstawę państwa i – chyba po raz pierwszy – oddająca istotną część władzy obywatelom w postaci samorządu.

Pewnie zapłaciliśmy za te reformy przy wyborach w 2001 roku. To było widać. Ponieśliśmy olbrzymie koszty tych reform, ale taka była potrzeba czasu. Istotna była również determinacja samego Buzka, który uważał, że trzeba te reformy przeprowadzić i potrzebna jest nowa, inna wizja państwa. Uważam, że tak jak w przypadku planu Balcerowicza, tak tutaj można powiedzieć, że nie było alternatywy, innych pomysłów oprócz inicjatyw politycznych, na przykład większej centralizacji pań-

stwa itd. Mówię tu również o reformie edukacji i reformie zdrowia, które postawiły wszystko na nogach. Bardzo mocno tego bronię. Była też reforma górnictwa, której później już nikt po Januszu Steinhoffie nie potrafił domknąć. Zapadły też decyzje o wejściu do Unii Europejskiej i przystąpieniu do NATO. To był bardzo ważny okres.

Negocjacje w sprawie włączenia polskiego rolnictwa do unijnej wspólnej polityki rolnej były chyba najtrudniejszym zadaniem dla ministra rolnictwa w okresie negocjacji?

W rządzie Jerzego Buzka to moim obowiązkiem było przygotowanie stanowiska negocjacyjnego w obszarze rolnictwa. Rolnictwo budziło największe obawy w Unii Europejskiej. Były różne, różne momenty i różne okresy tych negocjacji. Po stronie Unii rozważano, żeby Polska weszła do UE z długim okresem przejściowym dla rolnictwa. Przez długi czas Bruksela utrzymywała, że polscy rolnicy nie dostaną dopłat od chwili wejścia Polski do Unii, ale dopiero stopniowo, po kilku latach. Nasze rolnictwo, zdaniem negocjatorów ze strony Unii, nie zostało adaptowane do wymogów europejskiego rynku, byliśmy na to nieprzygotowani. To stanowisko udało się nam zmienić w czasie rozmów.

Jak udało się ich do tego nakłonić?

Komisarzem do spraw rozszerzenia był wtedy Günter Verheugen, Niemiec. Nasze stanowisko negocjacyjne oczywiście opracowywałem tak, że od pierwszego dnia członkostwa w Unii mamy też pełne członkostwo w rolnictwie – przyjmujemy wszystkie zobowiązania i wszystkie przywileje oraz mamy pełne dopłaty. Uzgodniłem to zarówno z opozycją, czyli z SLD, ale przede wszystkim uzgodniłem je z prezydentem Kwaśniewskim. Odbyłem wtedy z nim dość długą rozmowę i otrzymałem pełną akceptację dla mojego stanowiska, co było dla mnie niezmiernie ważne. Rolnictwo było tak kontrowersyjne, że wiedziałem, że jeśli nie będę miał poparcia wszystkich sił politycznych i prezydenta, to trudno będzie się przebić z naszym stanowiskiem negocjacyjnym; gdzieś utknę i rząd polski utknie. Miałem poczucie, że mam bardzo silny mandat i muszę go wykorzystać.

Naszym partnerem negocjacyjnym była Komisja Europejska. Kiedyś zadzwonił do mnie premier Buzek i powiedział, że w Brukseli

odbędzie się półoficjalne spotkanie z komisarzem do spraw rolnictwa Franzem Fischlerem. Na spotkaniu miał być też Verheugen. Buzek powiedział, że ja też mam uczestniczyć. Było to spotkanie w restauracji Pod Białym czy Złotym Łabędziem. Podczas kolacji zaczęła się dyskusja o dopłatach bezpośrednich. Premier, komisarze, ministrowie dyskutują, a ja przysłuchuję się temu. Dyskusja trwa i w pewnym momencie komisarz Fischler mówi: „A pan minister Balazs, co ma nam do powiedzenia?". Odpowiedziałem, że nie widzę innej możliwości, jak dopłaty dla polskich rolników od pierwszego dnia członkostwa w UE, bo inaczej trudno byłoby mi się zgodzić i firmować coś takiego. I na to Verheugen mówi: „Wie pan, mamy takie sygnały z Polski, że jakby polscy rolnicy dostali te dopłaty, tyle pieniędzy od razu, to robotnicy by wyszli na ulice i protestowali przeciw temu i to jest argument, dla którego my nie możemy wam tych dopłat dać". Ja odpowiedziałem, że przy tym stole ten problem możemy rozwiązać, „ja załatwię z polskimi robotnikami, żeby nie wychodzili na ulice i nie protestowali przeciw dopłatom, a pan komisarz załatwi w Komisji, żebyśmy dostali te dopłaty". Nastąpiła długa cisza, czuję pod stołem kilka kopnięć za moją bezczelność i na to odzywa się komisarz Fischler: „No, z ministra Balazsa to niezły kawalarz". Jednak potem oni już nigdy nie podjęli tematu braku dopłat dla polskich rolników. Oczywiście później, po 2001 roku, negocjacje potoczyły się inaczej, kiedy mnie już nie było w rządzie. Uważam, że można było wynegocjować lepsze warunki. Na pewno jednak ta kolacja była przełomowych momentem, jeżeli chodzi o dopłaty.

Przydała się wtedy zgoda w Polsce wokół unijnych negocjacji…

Gdybym nie miał poczucia, że mam poparcie całej sceny politycznej, a w tym zwłaszcza prezydenta, to nie wiem czy bym wtedy tak twardo tę sprawę stawiał.

Miałem poczucie, że w swoich działaniach – nie tylko w sprawie stanowiska negocjacyjnego – ale generalnie, w tym co robię, że mam poparcie zarówno swojego szefa – premiera Jerzego Buzka, jak i prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. On także później – od czasu do czasu –zapraszał mnie na kawę i pytał szczegółowo o rolnictwo. Dla mnie osobiście było bardzo ważne, że ta relacja tak się zbudowała. Kiedy zaczynała się kampania przed referendum o przystąpieniu Polski do UE, prezydent Kwaśniewski szukał w obozie solidarnościowym osób

– zwłaszcza zajmujących się rolnictwem – które gotowe by były jeździć na wiece i zachęcać rolników do głosowania za naszym członkostwem w Unii. Nie było zbyt wielu chętnych do tych wyjazdów, ale ja się zgodziłem. Niektórzy mieli wtedy do mnie o to pretensje. Jeździłem z prezydentem na te wielkie wiece, występowałem obok niego i w ogóle miałem w sobie wielką determinację do działania na rzecz wejścia Polski do Unii. Bardzo mocno do tego zachęcałem. To były ważne dyskusje. Pamiętam, że zarówno w moim obozie, jak i w obozie prezydenta, budziło trochę emocji to, że my dwaj jesteśmy razem i mówimy jednym głosem. Ale ja wiedziałem, że w tym miejscu i w tym czasie trzeba było razem stanąć.

Pamiętam też moment kryzysu rządu Leszka Millera, którego następstwem było powołanie rządu Marka Belki. I pamiętam naradę na temat tego kryzysu u prezydenta. Uczestniczyła w niej cała klasa polityczna, łącznie z Kaczyńskim, Tuskiem i Millerem. Niedługo potem nastąpiła zmiana rządu. Podczas tej narady padały głosy, że kryzys rządowy w takim momencie nie służy Polsce.

Wróćmy do reformy rolnictwa oraz jego losów po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Jak ocenia pan zmiany, które się dokonały w naszym sektorze rolnym od tego czasu?

Miałem świadomość, że polskie rolnictwo nie było przed naszym wstąpieniem do Unii gotowe do integracji. Średnia powierzchnia gospodarstwa rolnego wynosiła wówczas około pięciu hektarów, z pewnym zróżnicowaniem w zależności od regionu, a średni plon zbóż z hektara trzydzieści kwintali. W województwie zachodniopomorskim było to około dziesięciu hektarów, a na Podkarpaciu niewiele ponad dwa hektary. Trzeba jednak powiedzieć, że rolnictwo, po tym jak zderzyło się z rzeczywistością, potrafiło się bardzo szybko zmieniać. Odwołując się do liczb, dzisiaj średnia powierzchnia gospodarstwa rolnego w województwie zachodniopomorskim to około trzydzieści dwa hektary, a średni plon sześćdziesiąt kwintali. To dobry wynik, na poziomie europejskim. Rolnicy są największymi beneficjentami wejścia Polski do Unii Europejskiej. To dobrze, że twardo walczyliśmy o rolnictwo podczas negocjacji z Komisją Europejską. Nie ma bowiem innej grupy społecznej, która skorzystałaby bardziej na członkostwie w Unii Europejskiej i obrazują to również liczby, od których nie można

uciec. Kiedy wchodziliśmy do UE, eksport rolny Polski był na poziomie dwóch-trzech miliardów euro. W 2021 roku było to już trzydzieści siedem i pół miliarda, a w roku 2023 – pięćdziesiąt trzy miliardy euro. To pokazuje niesamowity potencjał polskiego rolnictwa. Trzeba jednak powiedzieć, że to nie jest całe nasze rolnictwo. Mamy duże zróżnicowanie gospodarstw rolnych. Ten potencjał, który wyrażają przytoczone liczby, rozkłada się bardzo nierówno. Około 10 procent statystycznych rolników produkuje ponad 90 procent żywności na rynek. To ci rolnicy, którzy mają gospodarstwa o powierzchni od trzydziestu hektarów wzwyż. I uważam, że to polskie rolnictwo – w gospodarstwach powyżej trzydziestu hektarów – jest najlepszym rolnictwem w Europie. Wydaje mi się, że jest już akceptacja tego – może poza PiS-em – że rodzinne gospodarstwo rolne to gospodarstwo do trzystu hektarów i to jest prawdziwy potencjał polskiego rolnictwa. To rynek i życie rozstrzygnęły o sukcesie polskiego rolnictwa. Możemy mieć wielką satysfakcję, że w tak krótkim czasie zmieniło się tak wiele. To nie tylko moje zdanie. Świadczą o tym badania statystyczne, które pokazują, że największe poparcie dla członkostwa Polski w Unii Europejskiej jest właśnie na wsi i wśród rolników. To ponad 90 procent. To co miało być naszym największym problemem utrudniającym integrację europejską, stało się *de facto* naszym największym sukcesem.

Jednak mieszkańcy wsi nadal są biedniejsi, niż reszta społeczeństwa.

Wieś jest statystycznie biedniejsza, ale tak samo jak poziom bogactwa mieszkańców miasta jest mocno zróżnicowany, tak samo na wsi są ludzie zamożni i są ci, którym dużo gorzej się wiedzie. Nie wiem na ile to, o czym mówimy, jest poparte statystyką. Wydaje się, że obecnie, kiedy programy socjalne są adresowane zarówno do mieszkańców miast, jak i wsi, a oprócz tego istnieją programy dedykowane wsi, poziom ubóstwa na wsi bardzo mocno się zredukował. Chociaż nie jest idealnie. Myślę, że jeśli miałbym wskazać dziedziny, w których istnieje dość istotna różnica w dostępie do świadczeń między mieszkańcami miasta i wsi, to wskazałbym na ochronę zdrowia. To ważny problem, bo wieś ma rzeczywiście dużo gorszy dostęp do świadczeń medycznych. Druga dziedzina to edukacja. To dwa obszary, w których mamy jeszcze trochę do nadrobienia. Ale jeżeli chodzi o dostęp do kultury, jakość szkół, sal gimnastycznych czy boisk, to naprawdę jest zupełnie przyzwoicie.

Na polskiej wsi ciągle tliło się jednak niezadowolenie, chyba nawet trwa ono do dnia dzisiejszego, ze skutków transformacji i integracji europejskiej. Wyraziło się ono między innymi poparciem dla Prawa i Sprawiedliwości, które przed 2005 rokiem było tam raczej słabe. Gdzie leży przyczyna tego zjawiska?

Wspominając czasy transformacji, mówiłem, że nie wszyscy się odnaleźli w tym wielkim procesie zmian i przebudowy państwa. Nie wszystkim żyło się dobrze. Było sporo różnych grup, które się zagubiły, szukały swojego miejsca i nie potrafiły go znaleźć. Trzeba przyznać, że PiS – myślę, że na podstawie różnych badań socjologicznych – bardzo dobrze i dokładnie dookreślił te grupy i zaadresował do nich pomoc w postaci środków budżetowych. W ramach różnych programów pieniądze zaczęły trafiać do grup ludzi, którym najbardziej dokuczała niedola i którzy szukali swojego miejsca. To nie tyle jakieś przesłanie ideowe, ale poczucie tych ludzi, że żyje im się lepiej. Uważam, że PiS nieźle rozumie potrzebę ludzi w zakresie poczucia i potrzeby bezpieczeństwa bytu swojego i swojej rodziny. W ich programach wsparcia wsi głównym adresatem są małe gospodarstwa. Te duże nie otrzymują – zarówno w ramach pomocy unijnej, która przechodzi przez rząd jak i w ramach pomocy rządowej – takiej pomocy, jaką dostają małe gospodarstwa. Oprócz tego są one uwzględnione we wszystkich programach socjalnych, bytowych, emerytalnych itd.

Dlaczego jednak wieś jest bardziej niezadowolona z sytuacji w Polsce, niż mieszkańcy miast?

Odpowiedź na to pytanie przyniesie przyszłość. Nie do końca wiem, jak naprawdę to wygląda obecnie. PiS bardzo dobrze zdiagnozował biedniejsze grupy społeczne i dobrze adresował pomoc dla nich. Wydawało się, że to jest recepta na sukces. Podkreślam jednak wyraźnie, że tak się wydawało. Wydawało się aż do chwili, kiedy najpierw pojawił się covid, bo to był pierwszy moment zderzenia się z rzeczywistością, a później doszło do bandyckiego napadu Rosji na Ukrainę.

Wydawało się, że PiS może mieć niegasnące poparcie, zwłaszcza na wsi, ale i w mieście, wśród tych najbiedniejszych. Dzisiaj jednak, po wyborach do polskiego parlamentu w październiku 2023 roku, po wyborach samorządowych i po wyborach do Parlamentu Europejskie-

go, poparcie dla PiS-u zostało przez obywateli zweryfikowane. Okazało się, że zagrożenie dla demokracji, demolka Trybunału Konstytucyjnego, systemu sądownictwa i narastający konflikt z Komisją Europejską, spowodowały głęboką refleksję u obywateli i proste transfery do różnych grup społecznych już nie wystarczą do utrzymania większościowego poparcia. Na to też nałożyła się informacja o zorganizowanych patologiach obozu pisowskiego, o bezwzględnym łupieniu i zawłaszczaniu państwa.

Dzisiaj nastąpiła zmiana układu politycznego i niełatwo będzie nowej ekipie naprawiać błędy i patologie PiS. I można z nostalgią stwierdzić, że wielka szkoda, że w tej nowej rzeczywistości politycznej brak jest tak wielkich postaci, jak Tadeusz Mazowiecki, Jerzy Buzek czy Aleksander Kwaśniewski.

Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski

Jestem zwolennikiem zmian, nowoczesności, ale nie lekceważę znaczenia tradycji

Rozmowa z Markiem Belką

Czy zgodziłby się pan z poglądem, że transformacji dokonaliśmy pod presją z zagranicy? Najpierw była presja amerykańska za czasów Leszka Balcerowicza, a potem unijna w związku z dostosowywaniem się do wymogów akcesji?

Nie wiem jak to było za czasów Balcerowicza. W czasach, kiedy ja byłem w polityce, tego w ogóle nie odczuwałem. Może był nacisk na Kwaśniewskiego czy Millera, ale nie na mnie. No dobrze, jeżeli chcieliśmy być w Unii Europejskiej, trzeba się było stosować do norm europejskich.

Czy można uznać, że ścieżka, którą podążała nasza transformacja nie była obiektywnie rzecz ujmując zbyt trudna? I czy ona w konsekwencji nie spychała polskiej gospodarki na peryferie, zwłaszcza po roku 2004? Jej krytyka nie musi być tylko domeną populistów.

Nie, ona tak naprawdę tworzyła cywilizacyjne warunki dla funkcjonowania gospodarki. Wprowadziła regulacje, które są korzystne dla pracobiorców, stąd dla takich polityków, jak Janusz Korwin-Mikke czy Sławomir Mentzen, to jest socjalizm, ta Unia. Z punktu widzenia tych libertarian to jest czysta socjaldemokracja. Tak na marginesie – socjaldemokrata to jest taki facet, który uważa, że demokracja jest ważniejsza, niż niskie podatki, a libertarianin uważa, że niskie podatki są ważniejsze, niż demokracja.

Myślę, że polityka ekonomiczna w Polsce była generalnie słuszna, a nawet bardzo dobra. Natomiast zapomnieliśmy o tym, że trzeba jeszcze prowadzić aktywną politykę społeczną. I budowę, taką świadomą, sektora usług społecznych.

Jak to się stało, że rządy lewicowe w III Rzeczypospolitej, zarówno w latach 1993–1997, jak i w latach 2001–2005, wnosiły do polskiej transformacji gospodarczej tak niewielkie korekty?

Trzeba wziąć pod uwagę to, że politykę gospodarczą prowadzi się w określonych warunkach, chodziło zarówno o sytuację gospodarczą Polski, która była w dalszym ciągu krucha, a my w dalszym ciągu byliśmy krajem mało wiarygodnym. My dopiero co wyszliśmy z technicznego bankructwa. Po drugie, myśmy cały czas mieli jeden wielki cel, to znaczy wejście do Unii Europejskiej i to było tak oczywiste, że wszelkie działania gospodarcze musiały być temu podporządkowane. Stąd na przykład różnica między Kołodką i Balcerowiczem była bardziej, powiedzmy sobie, werbalna niż faktyczna. W swojej strategii dla Polski Kołodko obiecywał dużo, ale tak naprawdę to kontynuował dotychczasową politykę finansową. Ja tam nie widzę jakichś dramatycznych odstępstw.

Zapamiętałem taką sytuację z 1996 roku, to były pierwsze miesiące, kiedy byłem doradcą ekonomicznym u prezydenta Kwaśniewskiego. On mnie zapytał czy jak byśmy obniżyli z 45 na 40 procent stawkę PIT-owską, to doprowadziłoby to do krachu budżetowego? Oczywiście, że nie – powiedziałem. Bo oczywiście, że nie doprowadziłoby. A potem przyszedł do prezydenta premier Cimoszewicz i wicepremier Kołodko, i Kwaśniewski im mówi, że jeżeli chcemy wygrać wybory, to trzeba obniżyć stawkę podatkową, powołując się przy tym na mnie. Reakcja Cimoszewicza i Kołodki była nieprzychylna, bo to zakłócało ich narrację, którą przed Sejmem roztoczyli. Że mowy nie ma o żadnym poluzowaniu. To pokazuje, że populizmu tam za grosz nie było. Jak przyszła powódź w 1997 roku, to przecież oczywiście, że trzeba było spieszyć z pomocą, ale moją rolą, jako ministra finansów było, żeby tę pomoc dla powodzian w miarę możliwości ograniczać, zwłaszcza jeśli wiedziałem, że ona może być w większości zmarnowana albo przechwycona przez jakieś grupy interesu, zresztą tak dokładnie było. Gdzie tu jest populizm?

Zarzut populizmu dotyczy nie okresu rządzenia, tylko czasu, kiedy lewica przebywała w opozycji wobec koalicji AWS-UW.

Tu może niekiedy tak bywało. Zwłaszcza, gdy trwała kampania wyborcza. Ale oczywiście nic to nie miało wspólnego, nawet nie leżało blisko, z późniejszym populizmem PiS. Poczucie, iż dyscyplina finansowa jest absolutnie kluczowa, zostało nam z okresu balcerowiczowskiego. Polska była krajem wydobywającym się z czarnej dziury, który właśnie wyszedł z bankructwa i uważaliśmy, że nie czas na rozdawnictwo.

A zresztą, jeżeli chodzi o Leszka Millera to on był i jest chyba do końca, w gruncie rzeczy gospodarczym liberałem, o wiele większym, głębszym, niż ja. W końcu największym zmniejszeniem podatków w całym okresie transformacji było wprowadzenie za jego rządów takiego CIT-o/PIT-u, czyli, że w istocie każdy człowiek mógł się ogłosić przedsiębiorcą i płacić niski podatek liniowy.

Gdy powstał w 1997 roku rząd Jerzego Buzka nastąpiło ponowne przyspieszenie reform systemowych. Lewicowa opozycja nie miała wówczas nabożeństwa do żadnej z tych reform łącznie z samorządową.

Ja osobiście te reformy bardzo wysoko cenię z perspektywy czasu. Po pierwsze, bardzo dobra reforma samorządowa, chociaż z jednym wielkim błędem. Powiatów powinno być dwa razy mniej niż jest, bo to znacznie zwiększa koszty ich funkcjonowania. Reforma samorządowa sprawiła, że myśmy zaabsorbowali środki unijne nie tylko z centrum, ze stolicy, ale i z tych szesnastu województw, o wiele lepiej i sprawniej, niż gdybyśmy mieli to robić tylko z Warszawy. Zresztą Unia Europejska też tak chciała, bo nie wierzyła, że my umielibyśmy to zrobić centralnie.

Reforma szkolnictwa, druga bardzo udana reforma – wprowadzenie gimnazjów, które w 2016 roku w sposób dla mnie całkowicie niezrozumiały, to był chyba kaprys Jarosława Kaczyńskiego, zostały rozwalone. Reforma oświatowa była właściwa, tylko trzeba było więcej przeznaczyć na szkoły, na nauczycieli. Reforma zdrowia – powstały kasy chorych, których logiki ja nigdy nie zrozumiałem do końca. Została ona w końcu zmasakrowana przez ministra zdrowia w gabinecie Millera – Mariusza Łapińskiego. Rozumiem, jako ekonomista, że ta reforma była po to żeby stworzyć mechanizmy racjonalnego wydawania pieniędzy – myślę jednak, że była nie do końca udana.

No i wreszcie ostatnia, największa, która okazała się być w dużej części nieudana – to była reforma emerytalna. Ona jest udana z punktu widzenia finansów państwa, bo gdyby nie ona, to byśmy już byli bankrutami. Bo co to znaczy ta reforma? Ona w istocie obniżyła wysokość przyszłych emerytur o połowę. Z punktu widzenia indywidualnych emerytów to katastrofa, szczególnie dla młodych ludzi. Ale z punktu widzenia możliwości finansowych państwa, to było konieczne. Przy tym OFE okazały się być niepotrzebne. Zostały tak skonstruowane, że przyniosły pewien sukces tylko w pierwszych latach, pozwalając rozwinąć się rynkowi kapitałowemu. Część obligacyjna była bezsensowna; oni to zrobili, żeby dywersyfikować ryzyko inwestycyjne, tylko że to stwarzało nacisk na finanse publiczne. To wymuszało ciągłe oszczędności budżetowe i w końcu okazało nierealistyczne.

Można jeszcze dodać reformę górnictwa.

To jest ta ulubiona reforma Janusza Steinhoffa, to jest jego sukces osobisty. Bo gdyby nie było tej reformy, to mielibyśmy dziś dużo gorszą sytuację. On wiele tych trwale nierentownych kopalń zamknął, o co PiS potem miał wielkie pretensje. Kiedy w 2001 roku przejmowałem ponownie ministerstwo finansów i właściwie całą politykę gospodarczą od Janusza Steinhoffa, to było to przejęcie władzy w sposób niezmiernie przyjazny i cywilizowany.

Prezydent Kwaśniewski nie wszystko z tego pakietu reformatorskiego Jerzego Buzka podpisywał… Zapewne za pańską radą?

Dwóch rzeczy ważnych nie podpisał. Nie podpisał podatku liniowego pod moim wpływem wyłącznie, bo chciał podpisać. Uważałem, że to był bezsensowny i nieprzemyślany projekt, nieskuteczny ekonomicznie i niesprawiedliwy. Socjalista się we mnie wzbudził w tym momencie i uważam, że bardzo dobrze, że tego nie podpisał. Ale potem to się odwróciło, tak czy tak, gdy Miller z Hausnerem wprowadzili podatek liniowy dla przedsiębiorców.

Czego jeszcze nie podpisał? I tutaj był błąd, który tak naprawdę Kwaśniewski popełnił, w moim przekonaniu. Nie podpisał ustawy o reprywatyzacji. Nie dlatego, że był przeciwny reprywatyzacji, tylko że AWS tak tę ustawę skonstruował, żeby sprowokować Kwaśniew-

skiego do niepodpisania. Mianowicie tam wyłączono z reprywatyzacji mienie, do którego roszczenia mogli mieć nie tylko obywatele polscy, czyli mienie pożydowskie. To w warunkach polskich jest skandalem i zresztą łamie zwyczaje prawne w tym zakresie. Moim zdaniem prezydent powinien podpisać, a tę sporną część dać następnie do Trybunału Konstytucyjnego. I byśmy mieli jeden wielki problem mniej, gdyż do dzisiaj stanowi on trudność w rozwoju miast. Muszę jednak powiedzieć, że nie ja mu doradzałem w tej sprawie. Tę ustawę pilotował w Kancelarii Ryszard Kalisz. Więcej grzechów nie pamiętam.

Zostawmy na boku ówczesne podziały polityczne zwłaszcza, że dla przebiegu naszej transformacji nie były one – jak rozumiem – bardzo istotne. Ale w rezultacie wielu Polaków poczuło się zapomnianych i pozostawionych samym sobie. W wyborach w 2005 roku, a jeszcze bardziej w 2015 roku, pokazali, co o tym myślą i zmienili swoje polityczne preferencje.

Świat się zmienia i zmieniają się preferencje wyborców. Jak partia nie widzi, że to się zmienia tylko tkwi przy swoim programie, że tak powiem, założycielskim, no to przegrywa. Unia Wolności była partią reform, liberalnych reform, z tym rzeczywiście zawsze jest problem, żeby pociągnąć ludzi za takim programem.

Jest jeszcze jedna przyczyna, o której mało kto mówi. Polskie społeczeństwo przeżyło po 1989 roku masę zmian w każdej dziedzinie życia i część ludzi wpadła w chaos, bo było za dużo tych zmian. Ja jestem zwolennikiem zmian, nowoczesności, ale nie lekceważę znaczenia tradycji. No na przykład, sprawa Kościoła. Kościół nie odgrywał żadnej roli istotnej w moim życiu, ale tradycje tak. No i dlatego rozumiem, że dla wielu ludzi program polityczny odwołujący się do tradycji, ale i do potrzeby socjalnego bezpieczeństwa, może być atrakcyjny.

W przypadku SLD to jest głębsza sprawa, tam klasyczne postulaty lewicowe ustąpiły na dalszy plan rzeczy podstawowej – dążeniu do Unii Europejskiej, zapewnieniu stabilności wewnętrznej plus pragmatyce rządzenia. Do tego trzeba powiedzieć wyraźnie, że czołówka SLD nie była wcale lewicowa. To byli liberałowie wychowani na dziedzictwie pragmatyzmu w duchu Mieczysława Rakowskiego. Jacy to lewicowcy: Belka, Rosati, Hausner, Miller? Ja chyba z nich jestem najbardziej lewicowy.

Jaki jest pański pogląd na temat potrzeby strategicznego myślenia w polityce gospodarczej, może bardziej skuteczna jest ta filozofia „ciepłej wody".

Myślę, że Donald Tusk niepotrzebnie o tej wodzie powiedział. To jest trafne oczywiście, to jest mądre – tylko nie mówi się takich rzeczy! Przecież także to, co powiedział w 1997 roku Cimoszewicz o powodzianach, że powinni byli się ubezpieczyć, to też jest właściwie rzecz słuszna. Ale nie mówi się takich rzeczy po prostu publicznie.

Muszę powiedzieć, że już wolę taką bezprogramowość, kiedy alternatywą jest wizja, którą później próbował u nas wdrożyć PiS po 2015 roku, a dla jej realizacji trzeba, żeby wola ludu była przed prawem, żeby Polska przestała być krajem praworządnym i demokratycznym. To jest czysta bolszewia.

Rząd właściwie nie powinien więc ingerować w politykę gospodarczą i tylko przyglądać jak biegną procesy i od czas do czasu coś tam delikatnie korygować.

Nie, nie uważam tak. To był taki właśnie ówczesny liberalizm Tuska. Rząd jest po to żeby administrować, ale nie tylko. No nie jest niestety tak, że można się tylko przyglądać. Nie poszedłbym tak daleko, żeby powiedzieć, że rząd nie powinien mieć strategii, snuć wizji. Tylko one nie powinny być zanadto szczegółowe, na przykład nie powinny polegać na tym, żeby powiedzieć: będziemy rozwijać przemysł meblarski albo przemysł gier komputerowych, albo będziemy inwestować w start-upy. Jak coś takiego powiedział nie tak dawno nasz rząd, to od razu w środowisku start-upowców wybuchła panika.

Ale strategia energetyczna jest niewątpliwie potrzebna, nawet wtedy byłaby konieczna, jakby Unia Europejska nie miała polityki klimatycznej. Na pewno potrzebna jest strategia rozwoju miast.

Wróćmy do tego dylematu, do wyboru pomiędzy Polską liberalną a solidarną, którego postawienie przesądziło chyba o wyborczych sukcesach PiS.

W 2005 i 2006 roku to było tylko hasło, a nie żadna prawda. Najbardziej liberalną, prokapitalistyczną obniżkę podatku wprowadziła w 2006 roku wicepremier i minister finansów Zyta Gilowska, nad którą

przecież parasol roztoczył Jarosław Kaczyński. Wkrótce potem on jednak naprawdę zrozumiał, że można po naszym wejściu do Unii Europejskiej, zmienić filozofię polskiej polityki społecznej i gospodarczej. Uważam, że PiS w roku 2005 wygrał… No, właściwie nie wiadomo dlaczego, ale w 2015 roku to dlatego, że chociaż myśmy już wtedy byli krajem względnie bogatym i się wszystko w gospodarce ruszało, a Unia Europejska rzuciła pieniądze, to my nie wykorzystaliśmy okazji zbudowania wtedy aktywnej polityki społecznej. Konkretnie mówiąc, minister finansów w pierwszym rządzie Donalda Tuska, Jacek Rostowski, ciągle powtarzał: nie ma pieniędzy, nie ma pieniędzy. Przechwycił to i doskonale wykorzystał przeciwko Platformie prawdziwy mistrz populizmu Jarosław Kaczyński.

Bo do czasu wejścia do Unii Europejskiej myśmy nie byli normalną demokracją, w tym sensie, że pewne rzeczy były otoczone, no jakby tu powiedzieć, ochroną, nieformalnym milczącym konsensusem. Nie można było dyscypliny budżetu łamać, bo Unia Europejska, nie można było tego i owego, bo Unia Europejska.

Zmieniło się w drugą stronę, rządzącym dało w gruncie rzeczy wolne ręce…

Tak, byliśmy już w Unii. Hulaj dusza, piekła nie ma. Ale jest niebo, bo są pieniążki. Uznano, że pieniądze są po to, żeby je wydawać. Mówiąc krótko – nie inwestować, ale wydawać.

Gdy PiS w 2015 roku objął władzę i zaprezentował swój program społeczno-gospodarczy, można było usłyszeć ze strony jego autorów, że to nasz dotychczasowy model transformacji spowodował, że Polska znalazła się w obszarze peryferyjnego rozwoju, a Bruksela spycha nas do kąta.

Jest dokładnie odwrotnie! A gdzie, do cholery, polska gospodarka miałaby być, jak nie na peryferiach? Po pierwsze – my z tych peryferii się jednak właśnie wydostajemy, tylko to jest problem czasu. Uważam, że najbardziej dziś szkodzi Polsce i co ją utrzymuje na tych peryferiach to jest to, że my mamy niskie koszty produkcji, niskie płace. No i w konsekwencji, także niskie ceny… Hurra! Ale to sprawia, że polski przedsiębiorca nie musi się starać ponad miarę, w tym sensie żeby koniecznie, na przykład zastosować najnowsze technologie itd.

Krytycy polskiego modelu transformacji ubolewają też nad tym, że nie znaleźliśmy się w czołówce technologicznej.

Ale jak mieliśmy się znaleźć w czołówce technologicznej, jak? Jedyny kraj, który to zrobił po kilkudziesięciu latach, to Korea Południowa. Ale dlaczego Korea? Bo postanowiła zbudować sobie takie czebole – konglomeraty przemysłowe – i postawiła na pewne gałęzie, które świadomie dotowała. Sami Koreańczycy twierdzą, że popełniono przy tym masę błędów i masę pieniędzy zostało zmarnowanych. A po drugie, i to jest najważniejsze – jak się kogoś wspiera, to zawsze czyimś kosztem. Chińczycy rozbudowali swój wschód kosztem swojego interioru. Podobnie było w Korei, która zresztą rozwinęła się na skutek tego, że krajem przez pewien czas kierowali dyktatorzy, generałowie, których potem seryjnie skazywano na drakońskie wyroki za korupcję.

A co pan sądzi o nowej polityce gospodarczej, o strategii odpowiedzialnego rozwoju, która się pojawiła w 2015 roku w kontrze do polityki gospodarczej wszystkich poprzednich ekip?

To był wytwór czysto propagandowy. Dlatego, że on stawiał sprawy słuszne – więcej inwestycji, aktywizacja zawodowa ludzi, ale jednocześnie – a nawet jeszcze wcześniej – PiS wprowadzał instrumenty polityki, które obniżały zarówno inwestycje, jak i zawodową aktywność ludzi. Innymi słowy strategia odpowiedzialnego rozwoju była tylko zasłoną dymną, a nie czymś, co można byłoby realizować i nie jest realizowane, nie było nigdy realizowane.

Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski

Nie potrafiliśmy skonsolidować systemu demokratycznego

Rozmowa z Jerzym Hausnerem

Polska transformacja jest sukcesem?

Nie odpowiem „tak" lub „nie". Wiele się udało, szczególnie w wymiarze gospodarczym czy relacji międzynarodowych. Polska nie jest strefą buforową, jest częścią Unii Europejskiej, zachodniego bloku i to w kilku wymiarach: ekonomicznym, militarnym, ale też do pewnego stopnia – kulturowym. Lecz system demokratyczny jest nieumocniony. To powoduje, iż jest podatny na osłabianie i podważenie.

Zapytam inaczej: trzy sukcesy i trzy porażki transformacji, rozumianej jako zmiana od 1989 roku do teraz?

Wielkim sukcesem i osiągnięciem jest stworzenie w Polsce gospodarki rynkowej i to takiej, która jest silna przedsiębiorczością. Osiągnięciem jest także reforma samorządowa, szczególnie ustanowienie samorządowej gminy. Krytyczniej patrzę na drugi etap reformy samorządowej, na stworzenie słabych powiatów i samorządowych województw, które nie są *de facto* gospodarzami regionów. Trzecim takim wielkim dokonaniem jest wykorzystanie członkostwa w Unii Europejskiej i wyraźny skok cywilizacyjny, w tym stworzenie nowoczesnej infrastruktury, na przykład drogowej czy komunalnej.

Natomiast niepowodzeniem trzeba nazwać stan finansów publicznych. To nawet poważniejsze zjawisko: jesteśmy na ścieżce wyraźnej

degradacji finansów publicznych. Nie udało nam się też stworzyć systemu usług publicznych, które sprzyjałyby rozwojowi jednostkowemu i wspólnotowemu. Oczywiście są dziedziny, w których usługi publiczne funkcjonują lepiej, ale są też takie, w których jest miernie. Tak się dzieje w edukacji, słaba jest opieka zdrowotna. Widzę problemy związane z e-administracją, cyberbezpieczeństwem, stanem środowiska i usługami ekośrodowiskowymi. Nie udało się nam wkomponować polskiego rolnictwa w system gospodarki rynkowej z jednej strony i z drugiej – w system działania lokalnego i proekologicznego. Nasze rolnictwo pomnaża problemy z bioróżnorodnością i usługami ekosystemowymi.

Jeśli zaś popatrzeć szerzej na transformację ustrojową, to nie potrafiliśmy skonsolidować systemu demokratycznego w taki sposób, by z jednej strony istniał stabilny i stabilizujący układ instytucjonalny, a z drugiej, aby demokracja była podtrzymywana wysoką aktywnością obywatelską – społeczną energią.

Mówi pan o trzecim sektorze czy o indywidualnym zaangażowaniu w demokrację?

Zbyt mało osób na co dzień przejmuje się stanem demokracji w Polsce. Niewielu podejmuje działania, by demokracja nie była tylko demokracją kartki wyborczej. Nasz system jest przez to słaby i łatwo instytucjonalnie go zdeformować, co oczywiście PiS uczyniło. O demokracji więcej mówimy, niż potrafimy ją praktykować i to jest istotna słabość ustrojowa, którą wyraziście widać w tej chwili.

Jest to do poprawienia?

Pewnie tak, ale przez inne myślenie niż to, że wszystko można zmienić przez ordynację wyborczą czy samo ustawodawstwo. Organizacje pozarządowe, czy samorządy i ich działania mają znaczenie, ale jeśli nie ma energii społecznej, która się kumuluje, prowadzi do aktywizowania i usamodzielniania się lokalnych społeczności, to nie ma tlenu. Demokracja musi być zasilana energią społeczną, praktyką dialogu, respektowaniem reguł samoograniczania się władzy publicznej, a nie podporządkowania sobie wszystkiego. Łatwiej nam działać zamordystycznie, niż demokratycznie.

Czy był inny sposób na rozpoczęcie transformacji niż plan Leszka Balcerowicza?

Jeśli zastanawiamy się nad kierunkiem zmian – to innej drogi nie widzę. Natomiast sposób przeprowadzania pierwszego etapu transformacji, czyli tak jak się wtedy mówiło – szokowa terapia – był przedmiotem dyskusji i zasadniczych sporów. Sam przeciwstawiałem imperatywną metodę Leszka Balcerowicza metodzie interaktywnej. To faktycznie było wymuszenie nowego rynkowego systemu. I temu były podporządkowane wszystkie działania. Mnie się wówczas wydawało, że podejście, które często nazywano gradualnym, a ja określałem je jako interaktywne, czyli bardziej ewolucyjnie, byłoby właściwsze. Z dystansu uważam, że główne elementy planu Balcerowicza były konieczne, bo inaczej nie zapanowalibyśmy szybko nad rozkładem gospodarki z końcowej fazy PRL.

Uznaję zatem, że podejście szokowe było uzasadnione i przydatne w fazie inicjowania rynkowych reform, zwłaszcza gdy dokonuje się tego w warunkach makroekonomicznego kryzysu i utraty kontroli nad gospodarką, natomiast nie jest wystarczające dla ich zaawansowania i skonsolidowania.

Słabość metody imperatywnej polega zasadniczo na tym, że odgórnie przeprowadzona zmiana formalnych reguł, nie stanowi wystarczającego warunku formowania nowego instytucjonalnego porządku. O ile jest względnie skuteczna w przywracaniu makroekonomicznej równowagi, okazuje się zawodna w tworzeniu nowego społecznego ładu.

Metoda imperatywna implikuje postrzeganie państwa, jako wyłącznego instrumentu władzy, którego opanowanie i podporządkowanie sobie staje się samoistnym celem. Państwo jest ujmowane statycznie jako coś, co się urządza według przyjętego przez siebie wzorca i nadaje mu się tym samym cechy doskonałego instrumentu rządzenia. Ograniczenia wynikają tylko z tego, że się nie ma w pełni samodzielnej władzy. To rozumienie prowadzi do absolutyzacji państwa i władzy.

Metoda interaktywna implikuje widzenie państwa w płaszczyźnie obywatelskiego dyskursu i koordynacji działań zbiorowych, co stwarza możliwość podejmowania i realizacji przez państwo strategicznych przedsięwzięć. Państwo przestaje być przestrzenią, którą się okupuje i urządza, a staje się częścią szerszego porządku (ład konstytucyj-

ny), która tak czy owak jakoś ewoluuje, a zarazem musi być zdolne do mobilizowania i ukierunkowywania zborowych wysiłków, co odnawia społeczną legitymizację i nadaje mu tożsamość.

Radykalizm tych zmian wpłynął na to, że w tej chwili wolny rynek i liberalizm są traktowane jako największe zło przez część społeczeństwa?

Nie wydaje mi się, by rynek był traktowany przez większość obywateli, jako zło. Myślę, że się z nim oswoiliśmy. Gdybym zaś miał wskazać negatywne konsekwencje naszego sposobu urynkowienia, to jest nim niepodejmowanie działań, które reformowałyby różne dziedziny usług publicznych i społecznych. Państwo nie miało zdolności lub chęci do reformowania i finansowania różnych dziedzin. Jakby uznano, że rynek załatwi wszystko sam. Zabrakowało zrozumienia znaczenia edukacji, poza pomysłami prywatyzowania szkolnictwa. Zmarginalizowano kulturę. Osłabiając domenę państwa, osłabiono system finansów publicznych. Uporządkowano go przez wprowadzenie systemu podatkowego, ale potem nie zadbano o jego stabilność i przejrzystość.

Te wszystkie elementy doprowadziły do tego, że duża grupa ludzi została wyłączona z uczestnictwa w procesie transformacji. Była zepchnięta na margines. A to stanowiło podłoże do pojawienia się populizmu. W latach 1992–1993 napisałem dwie książki: *Kryzys finansowy państwa w procesie systemowej transformacji na przykładzie Polski* i *Populistyczne zagrożenie w procesie transformacji społeczeństwa socjalistycznego.* Przewidziałem w nich to populistyczne odbicie, choć w rzeczywistości pojawiło się ono później, niż myślałem.

Kolejny zryw reformatorski, to zmiany systemowe usług publicznych wprowadzone przez gabinet Jerzego Buzka, rząd stworzony przez „Solidarność". Dlaczego związki zawodowe odegrały taką rolę w naszej transformacji?

Nie wyłączałbym z czasu reform okresu, w którym rządził SLD i mieliśmy do czynienia z działaniem Grzegorza Kołodki i jego koncepcją strategiczną. Mówię o tym nie dlatego, że byłem w te działania zaangażowany. Wówczas lewica nie zakwestionowała wszystkiego, co się stało za sprawą Leszka Balcerowicza czy liberałów, a zaproponowała w polityce gospodarczej nowe zagadnienia, na przykład polity-

kę strukturalną, regionalną. Według mnie, mieliśmy przynajmniej cztery fazy transformacji gospodarczej: profesora Balcerowicza, profesora Kołodki, rządu AWS – w którym rola Leszka Balcerowicza była już dużo słabsza, oraz czwartą, kiedy ponownie rządziła lewica – do momentu wejścia do Unii Europejskiej.

„Solidarności" nie należy tratować jak związku zawodowego. Najpierw był to ruch społeczny, a potem trudniej ją zdefiniować. Formalnie miała statut związku zawodowego, ale była to formuła o wiele bardziej pojemna, niż tylko reprezentacja interesów pracowniczych. Stanowiła rodzaj skupienia polityczno-społecznego tych wszystkich, którzy chcieli jak najszybszego, i jak najdalszego odejścia od PRL. Później zaczęła się stopniowo dzielić na coraz bardziej zróżnicowane opcje i frakcje. Ale w okresie, o którym mówimy, czyli w drugiej części dekady lat dziewięćdziesiątych, to ciągle był w miarę spójny blok.

Rząd AWS zajął się zmianami związanymi z domeną państwa. Częściowo dopełnił reformę samorządu terytorialnego. Problem polega jednak na tym, że nigdy nie pojawił się trzeci etap reformy samorządowej – zmian, która czyniłaby z gminy faktycznie wspólnotę mieszkańców. Natomiast niektóre korekty, na przykład bezpośredni wybór prezydentów i wójtów, niekoniecznie umacniały samorządność, one umacniały władzę w terenie, ale nie samorządność.

Na czym powinien polegać trzeci etap reformy samorządowej?

Między innymi na zwiększeniu autonomii finansowej jednostek samorządu terytorialnego. Nie zrobiono tego i samorząd województwa w zasadzie nie ma własnych pieniędzy. W związku z tym wisi na pieniądzach unijnych, a to oznacza, że jest strukturą zdolną do rozdawania i rozliczania tych pieniędzy, ale nie jest zdolna do inicjowania procesów rozwojowych w układzie regionalnym.

Rząd premiera Buzka to cztery reformy…

Tak, tyle tylko, że koncepcja kas chorych i ubezpieczeń zdrowotnych pojawiła się i została uchwalona za poprzedniego rządu, kiedy premierem był Włodzimierz Cimoszewicz. Podobnie było z reformą emerytalną. Przypominam o tym, ponieważ do czasu pierwszego rządu PiS nie przerwano głównej transformacyjnej linii rozwojowej. Dopie-

ro PiS przestawia zwrotnice w innym kierunku, często doprowadzając nas do punktu wyjścia.

Która z tych reform pana zdaniem była całościowa, a nie przerwana.

Każda była tylko początkiem. Reforma edukacyjna była skoncentrowana głównie na ustroju, na organizacji szkolnictwa. Kluczowym momentem było powołanie gimnazjów. Czy to było najważniejsze? Dla mnie nie, bo najważniejsze było zmienienie modelu szkolnictwa poprzez to, co się dzieje w szkole. Potrzebne było stopniowe odchodzenie od modelu transmisyjnego do modelu relacyjnego. To nie nastąpiło. W przypadku reformy opieki zdrowotnej wprowadziliśmy skomplikowany instytucjonalnie model, który dodatkowo wymagał wysokiej trudnej kultury zarządczej, której nie mamy. Wydawało mi się wtedy, że nie mamy zaplecza intelektualnego i kadrowego dla takiego systemu. Uważałem, że będzie nieszczelny, będzie generował coraz wyższe koszty, przy umiarkowanym podniesieniu jakości usług. Zastąpienie kas jednym płatnikiem – co zrobił potem SLD – jeszcze pogłębiło wady konstrukcji, którym były kasy chorych.

Jak pan ocenia zryw reformatorski rządu Buzka i AWS?

Nie jest to jednoznaczna ocena. Po stronie plusów podkreśliłbym to, że zaczęto działać w obszarach, które były pomijane. Za minus uznałbym, że osiągnięcie celu było ważniejsze, niż włączanie różnych interesariuszy do tych reform. Jakby nie pomyślano, w każdym takim złożonym systemie musi wyłaniać się nowy układ relacji pomiędzy interesariuszami. Nie da się przeprowadzić tak głębokich reform, jeśli jest to jednorazowe posunięcie, władcze odgórne działanie, a brakuje refleksji, jakie to tworzy nowe relacje społeczne. Nie stworzono podstaw do zmiany relacji w szkołach. Ten rząd cechował się zapałem transformacyjnym, ale zabrakło programu naprawy finansów publicznych.

W efekcie cały wysiłek rządów SLD i PSL po 2001 roku był skoncentrowany na odbudowie wzrostu gospodarczego, poprawie sytuacji na rynku pracy – mieliśmy dwudziestoprocentowe bezrobocie – i na uporządkowaniu finansów publicznych. Uniknęliśmy katastrofy, która mam groziła, ale nie rozwiązaliśmy wszystkich problemów do końca.

A czy wyłoniła się u nas oligarchia kapitałowa?

Krajowy kapitał początkowo był w rękach ludzi, którzy zajmowali się działalnością gospodarczą jeszcze w czasach PRL. Nie jest tak, że nagle zbudowali swoje imperia. Oni je tworzyli krok po kroku. W czasie transformacji, chaosu zmian pojawiają się skłonności bratania się polityków i przedsiębiorców. I SLD był na to narażony. Pamiętam sylwestra u jednego z rodzimych przedsiębiorców, na którym była połowa rządu. To było skandaliczne. Moim zdaniem ci ludzie się jednak dalej nie przebili, ich wpływ na politykę i na gospodarkę był ograniczony. Klasycznym przykładem był pan Ryszard Krauze, który informatyzował ZUS w taki sposób, żeby jak najwięcej wyciągnąć od państwa, a jak najmniej zrobić. No, ale właśnie to była między innymi moja rola, by do tego nie dopuścić. W czasie rządów PiS niestety powstała w Polsce nowa oligarchia poprzez traktowanie spółek skarbu państwa, jako łupu wyborczego. I to jest faktyczne zagrożenie.

Ostatnie dwie dekady. Pewnie mało kto pamięta o koncepcji PO-PiS. Oba ugrupowania wzmocniły naszą transformację, czy raczej trwają dla własnej wygody?

Już pierwszy rząd PiS podjął wiele działań, które albo blokowały wcześniej podjęte reformy, albo zmieniały zwrotnicę zmian. Jednak trwał krótko i dopiero działania kolejnych rządów PO są okresem wyhamowania reform i transformacji, zgodnie z tezą, że najważniejsza dla obywateli jest „ciepła woda w kranie". Unikano wtedy dokonywania zmian systemowych. A jeśli już, to były to zmiany regresywne, jak w przypadku destrukcji OFE.

Strategicznego programu nie było i nawet świadomie przyjmowano, że ma go nie być. Donald Tusk, na pytanie o wizję strategiczną, mówił: „kto ma wizje niech idzie do lekarza". Rządy PO podzieliły problemy na dwa rodzaje: na samorozwiązywalne i nierozwiązywalne. Później zaczęła się „dobra zmiana" i to są już zmiany, które można nazwać wprost kontrreformatorskimi. O ile rząd SLD rozwiązał kasy chorych i wprowadził płatnika, który miał istotną autonomię, to dzisiejszy Narodowy Fundusz Zdrowia, jako płatnik, jest całkowicie poddany ręcznemu sterowaniu. I ręcznie steruje jednostkami opieki zdrowotnej. Wyłania się ustrój skrajnie scentralizowany, w którym kontrola jest podstawowym wymiarem demokracji.

Czy można uznać, że to za poprzednich rządów Platformy Obywatelskiej, czyli w latach 2008–2015 zaczęło się psucie finansów publicznych? Myślę na przykład o zabraniu pieniędzy z otwartych funduszy emerytalnych.

Nie, oczywiście, że nie. Praprzyczyną problemu była zmiana systemowa, która dokonała się na początku transformacji. Wtedy słusznie wycofaliśmy się z doktryny państwa-właściciela, ale nie w pełni stworzyliśmy sprawne państwo fiskalne. Wysoki wzrost gospodarczy, który zawdzięczamy domowej przedsiębiorczości, napływowi kapitału zagranicznego i sprawnemu rynkowi, łagodził napięcia w finansach publicznych. Jeśli jednak nasz potencjał wzrostu się wyczerpie, to będzie dramat.

Powiedział pan o czterech fazach transformacji, ostatnią jest nasz udział w Unii Europejskiej. Czy to, że zostaliśmy z własną walutą, to jest dla gospodarki i dla transformacji dobre, czy nie ma znaczenia?

Rozglądnijmy się. Niewiele jest krajów UE z nami sąsiadujących, które do tej pory nie weszły do strefy euro. To są jedynie Czechy. Wśród krajów unijnych, które są położone nieco dalej, niewiele jest też takich, które nie chcą przyjąć wspólnej waluty. Jesteśmy coraz bardziej osamotnieni. Mimo podpisania traktatu, który nas zobowiązuje do spełnienia kryteriów obecności unii walutowej i gospodarczej oraz do wejścia do tej Unii, zanegowaliśmy potrzebę takiego rozwiązania. Odrzuciliśmy tę perspektywę. Z jednej strony możemy posługiwać się walutą krajową i poprzez płynny kurs walutowy neutralizować negatywne oddziaływania płynące z gospodarki zewnętrznej – w tym z krajów ze strefy euro. Ale z drugiej strony to oznacza, że nie jesteśmy wystarczająco mocni we wspólnym obszarze jednolitego rynku. Czy powinniśmy zmierzać do tego by być także w strefie euro? Moja odpowiedź jest jednoznaczna – tak. Drugą sprawą jest to, jakie powinny być podjęte działania, które by do tego doprowadziły. Zostały zdefiniowane po raz pierwszy w latach dziewięćdziesiątych, jako pakiet, który zaproponował rząd lewicowy i personalnie Grzegorz Kołodko. Nie były to jednak konsekwentne działania. Później nigdy euro nie był priorytetem: ani rządu AWS, ani SLD, a później w ogóle temat zszedł z agendy.

Czy można rozwijać kraj, w którym, jeśli nawet powstały strategie i zostały spisane, to prawie nigdy ich nie zrealizowano?

Oddzielmy strategiczne myślenie, od dokumentu, który ujednolica na poziomie rządu, różne działania. Wyobrażam sobie rządzenie bez takich dokumentów, jednak bez myślenia strategicznego – nie. Myślenie strategiczne, rozumiane jako przyjęcie długofalowych priorytetów, charakteryzowało kolejne rządy. Choć niektóre z nich, jak gabinet Krzysztofa Bieleckiego czy Hanny Suchockiej, działały krótko. Jednak charakterystyczna była dla nich proaktywna, a nie tylko responsywna, postawa. Niestety przeciwieństwem dla poprzednich rządów były czasy Platformy Obywatelskiej. Wyraźnie nastawiono się na reaktywność, a nie proaktywność. Natomiast PiS myślenie strategiczne podporządkowało taktyce politycznej i walce o władzę. Mózgiem państwa była głowa Jarosława Kaczyńskiego, w której rodzą się różne pomysły, teorie, i im podporządkowane są rządowe działania. Nie wynikają ze sformułowania dalekosiężnych celów, koncentrują się na działaniach taktycznych, bieżących. To jest plan polityczny, w którym umocowaniem władzy politycznej ma być bezpośrednia kontrola gospodarki, głównie poprzez spółki skarbu państwa i zapewnienie im monopolistycznej pozycji.

To jest głęboka zmiana, którą trudno będzie odwrócić. I naprawdę będzie wymagała poważnej strategii i pakietu reform, polegających nie tylko na wyznaczeniu celów wewnętrznych, ale na usytuowaniu nas na arenie międzynarodowej. Tej zmiany nie da się przeprowadzić bez analizy usytuowania Polski w Europie, a Europy i Unii Europejskiej wobec dwóch skonfliktowanych mocarstwowych biegunów, czyli Stanów Zjednoczonych i Chin.

Rozmowę przeprowadziła Aleksandra Fandrejewska-Tomczyk

W polityce gospodarczej trzeba mieć strategię i priorytety i to państwo powinno je ustalać

Rozmowa z Jerzym Kwiecińskim

Patrząc z pańskiej perspektywy – eksperta, ekonomisty, polityka – proszę powiedzieć, co nam się udało, a co nie, w naszej polskiej transformacji w okresie III Rzeczypospolitej?

Po pierwsze, na samym początku udało nam się zmobilizować społeczeństwo do zmiany. Może to się dziś wydaje oczywiste, ale to wcale nie było oczywiste, jeżeli na przykład popatrzymy na naszych wschodnich sąsiadów, na społeczeństwo białoruskie czy nawet ukraińskie, jak tam te zmiany zachodziły i jak wyglądało poparcie społeczne dla nich. Zmobilizowanie społeczeństwa do zmiany wcale nie jest takie oczywiste. Nam się to udało.

Druga szalenie ważna rzecz, że udało nam się wszystkie strony sceny politycznej złączyć we wspólnym działaniu na rzecz wejścia Polski w struktury euroatlantyckie: do Unii Europejskiej i do NATO. To też wcale nie było oczywiste – choć dzisiaj takie się nam wydaje – że ówczesna lewica, która przecież wygrywała wybory parlamentarne i prezydenckie, będzie nas wprowadzała w te struktury. Przecież na początku transformacji coś takiego wydawało się absolutną abstrakcją. Ta lewica miała korzenie w Polsce komunistycznej i to, że lewica wpadnie na taki pomysł, że będzie orędownikiem tych zmian, też wydawał się absolutnie abstrakcyjny. Jak patrzymy na to z perspektywy czasu, to bardzo dobrze się stało, że w tym naszym społeczeństwie, które było

nastawione na zmiany, elity polityczne zgodnie potraktowały te dwie sprawy jako kluczowe dla naszej przyszłości. Oczywiście, reformy w Polsce zaczęły się wcześniej, zanim jeszcze zaczęliśmy myśleć o przystąpieniu do struktur świata zachodniego – reformy polityczne, społeczne i gospodarcze. One nabrały swojego biegu już pod koniec lat osiemdziesiątych i od początku lat dziewięćdziesiątych, ale przecież wiemy doskonale, że bez tego europejskiego i euroatlantyckiego wyboru nie byłoby pewnej przyszłości, nie byłoby szansy na trwały sukces. Wejście do NATO zapewniło bezpieczeństwo, a wejście do Unii Europejskiej zapewniło skok cywilizacyjny. Mówię skok cywilizacyjny, bo tu nie tylko chodzi o kwestie gospodarcze, rozwoju gospodarki, ale o dużo więcej.

Sukces Polski byłby zupełnie bezdyskusyjny, gdyby nie ogromne koszty społeczne reform…

Problemem głównym było wtedy bardzo wysokie bezrobocie, czego my w tej chwili już nie pamiętamy, bo sobie z nim w końcu poradziliśmy. Zazwyczaj bezrobocie jest jedną z największych bolączek makroekonomicznych. Bezrobocie faktyczne było pewnie niższe, niż to oficjalnie wykazywane, bo dużo osób pracowało na czarno, była szara strefa, ale tym niemniej dla życia społecznego była to rzecz szalenie uciążliwa. Dzisiaj nie pamiętamy, że Polska obok Słowacji – to były dwa kraje z największym bezrobociem, które wchodziły do Unii Europejskiej.

I jaki był wtedy pomysł na to, żeby to bezrobocie zmniejszyć?

Uważam, że tym pomysłem było włączenie Polski do wspólnego rynku Unii Europejskiej, co całkowicie przekierowało polską współpracę gospodarczą ze wschodu na zachód, przyciągając inwestycje zagraniczne do Polski, a także pobudzenie inwestycji, w tym inwestycji publicznych i też wykorzystanie do tego celu pieniędzy unijnych. Rosnące bezpieczeństwo Polski dzięki obecności w NATO, polepszająca się infrastruktura, świetne kadry, znacząca gospodarka w Środkowej i Wschodniej Europie, przyciągały inwestycje zagraniczne. Realizacja dużych inwestycji infrastrukturalnych przyciągała również kolejne inwestycje zagraniczne, przyciągała pieniądze prywatne, a to powodowa-

ło silny wzrost gospodarczy i tworzenie nowych miejsc pracy. Cały ten proces generował nowe miejsca pracy, zwiększał zatrudnienie i zwiększał produktywność. To niewątpliwie nam się udało.

U naszych wschodnich sąsiadów bezrobocie było niższe, ale zaznali oni zjawiska, które u nas w zasadzie się nie pojawiło. Mam na myśli oligarchizację państwa i gospodarki…

To nie jest tak, że w Polsce nie powstawały nowe ogromne majątki prywatne, że nie pojawiały się osoby, które potrafiły w tej nowej rzeczywistości odnieść finansowy sukces. Często były to osoby z różnymi korzeniami, nie zawsze z przejrzystymi, ale mimo wszystko, jeżeli popatrzymy na tamte czasy, to nie były to osoby z takimi majątkami i takimi wpływami na politykę i na media, jakie widzimy w Rosji czy Ukrainie, ani nawet to też nie są takie przypadki, które nawet dzisiaj widzimy w krajach sąsiednich, choćby w Czechach.

U nas się udało ten wielki biznes oddzielić od polityki…

No właśnie. Udało nam się nie dopuścić do tego, że ten wielki prywatny kapitał ma wpływ na politykę i również ma jakiś znaczący wpływ na media. To nie znaczy, że on w ogóle nie ma wpływu, to oczywiście nieprawda. Ale to nie jest tak, jak w typowych systemach oligarchicznych na wschodzie Europy, gdzie jest bardzo niewielki krąg osób, które mają ogromne zasoby finansowe, mają bezpośredni wpływ na politykę i kontrolują media. Nam w Polsce udało się nad tym procesem zapanować.

To istotne kryterium dla generalnej oceny polskich przemian, ale nie jedyne. Czy naprawdę umieliśmy wykorzystać czas i dobrze zaplanować reformy i dobrze je przeprowadzić?

Planowanie działań to jest właśnie to, czym ja się zajmowałem i co pamiętam jeszcze z czasów, kiedy pracowałem w latach dziewięćdziesiątych w Komisji Europejskiej. To weszło mi w krew. Jeżeli coś się robi, to na początku trzeba mieć wizję, jakiś pomysł, koncepcję i plan na jego realizację. Jak przygotowywaliśmy się do członkostwa w Unii Europejskiej, to też był oczywiście taki plan. Był związany z harmonizacją prawa, z tworzeniem nowych instytucji, z pilnowaniem finan-

sów publicznych. Były też plany, które wykorzystywały różnego rodzaju środki, środki budżetowe i środki unijne. Bardzo ważna dla Polski była reforma samorządowa zaraz na początku lat dziewięćdziesiątych, która stworzyła silne podstawowe jednostki samorządu, jakimi stały się gminy, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych stworzyliśmy silne samorządowe województwa. Na początku swojego istnienia, także na poziomie wojewódzkim, to właściwie nie były one jeszcze tak silne, bo nie miały znaczących źródeł finansowania, nie miały instrumentów prowadzenia aktywnej polityki regionalnej, inwestycyjnej. I dopiero dochody podatkowe i późniejsze pieniądze unijne dały im właśnie to narzędzie i tę siłę.

Chcę podkreślić, że udało nam się w Polsce stworzyć naprawdę bardzo sprawny system zarządzania państwem i gospodarką, który jest silnie zdecentralizowany. Uważam, że właśnie te dwie reformy samorządowe – najpierw na początku lat dziewięćdziesiątych, a później w tej drugiej fazie za rządów premiera Jerzego Buzka, miały bardzo duże znaczenie dla rozwoju Polski.

Mieliśmy jednak do czynienia z rosnącym sprzeciwem związków zawodowych przeciwko niektórym reformom, przeciwko ich skutkom. W czym dostrzega pan niedostatki i słabości transformacji?

Gdy wszedł do nas kapitalizm wraz z rozwojem transformacji, było takie dość powszechne mniemanie, oczekiwanie, że wolny rynek wszystko nam załatwi, że siły rynkowe będą powodowały to, że gospodarka jakby automatycznie będzie się lepiej rozwijać i dostosowywać do zmieniających się warunków, a państwo ze swoim aparatem administracyjnym będzie niepotrzebne. To było z naszej strony mocno naiwne. Dzisiaj widzimy, że działalność wielkiego biznesu, wielkich firm w krajach dobrze rozwiniętych, jest bardzo silnie powiązana z państwem i z polityką gospodarczą rządu. To nie jest tak, że wszystko można swobodnie zostawić, i że te mechanizmy rynkowe jakoś to wszystko w sposób optymalny ułożą. Byliśmy też trochę naiwni sądząc, że obecność kapitału, który przychodził do nas z zachodu i miał wcześniejsze doświadczenie z innych rynków, niesie wyłącznie pozytywne skutki. Kapitał ten naprawdę wiedział jak działać w sposób najbardziej dla siebie korzystny. Trochę, a może nawet nie tylko trochę, byliśmy wykorzystywani jako rynek, na którym łatwo i szybko można zarobić, gdzie

zwrot na kapitale jest solidny, gdzie można bardzo łatwo zainwestować i łatwo, tanio kupić firmy, tanio wejść na rynek i później przez wiele lat zarabiać. Nam łatwo teraz z perspektywy tak jest oczywiście mówić, ale wtedy faktycznie było tak, że początkowo ten zagraniczny kapitał wcale się tak mocno nie garnął do Polski. Najpierw byliśmy postrzegani jako część dawnego bloku sowieckiego i nie wiadomo przecież było, czy ten blok nie odnowi się w takiej czy innej formie i do nas nie przyjdzie lub nam nie zagrozi. Patrząc dzisiaj na to, co się dzieje na Białorusi czy na Ukrainie widzimy, jak słuszną wtedy decyzję podjęliśmy, wybierając silnie prozachodni, euroatlantycki kierunek.

Jednakże – my ze swej strony wtedy nie wiedzieliśmy, jak działa zagraniczny kapitał i jak ten system umiędzynarodowienia inwestycji faktycznie funkcjonuje. Więc na pewno prywatyzacja niektórych firm niepotrzebnie była przyspieszona. Ale to wiemy dzisiaj, a wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Ponadto bardzo wiele firm w naszym kraju było w latach dziewięćdziesiątych zagrożonych całkowitym upadkiem. Prywatyzacja mogła i powinna była następować, ale nie w tak radykalny sposób, a polskie państwo powinno – poddając te firmy presji rynkowej – zachować przynajmniej część kontroli.

Jest jeszcze może jeden ciekawy aspekt pokazujący, że nie wszystko da się wpisać w uproszczony, czarno-biały schemat. Otóż, warto sobie postawić pytanie, czy gdyby te firmy nie trafiły do inwestorów zagranicznych na taką skalę, to czy przypadkiem nie stanowiłyby bazy dla budowy dużych silnych oligarchicznych struktur, jak to się stało na Ukrainie.

I druga rzecz, którą uważam za słabość i niedostatek naszej transformacji i sądzę, że była szalenie ważna to fakt, że w początkowym okresie transformacji doszło do olbrzymiego zainteresowania inwestycjami, ale dotyczyło to głównie dużych miast. Skutkowało to zaniedbaniem rozwoju środowisk małomiasteczkowych i wiejskich. Uznano, że przyszłość jest w rozwoju w dużych miastach, a transformację reszty Polski zostawmy rynkowi, on to jakoś wyrówna, a wyrówna w ten sposób, że będziemy rozwijać duże ośrodki miejskie, z których rozwój będzie się potem „rozlewał" na otaczające obszary aglomeracyjne, a co zostanie poza nimi, to będzie musiało sobie jakoś poradzić. To tak zwany model polaryzacyjno-dyfuzyjny rozwoju.

Uważa pan, że to był podstawowy błąd polityki rozwojowej w Polsce?

Tak. To nowe, co nam udało się w Polsce stworzyć po 2005 i zwłaszcza po 2015 roku, to była właśnie polityka rozwoju zrównoważonego – obecnie bardzo mocno wspierana przez ONZ i przez Unię Europejską – oparta o rozwój regionalny, rozwój infrastruktury, rozwój innowacji, wykorzystująca potencjał samorządów i zdecentralizowany system podejmowania decyzji, również na niższych poziomach, nawet na poziomie gminy, i przekazanie samorządom narzędzi w postaci dochodów pochodzących z podatków i wsparcie działań funduszami unijnymi. Tutaj trzeba zresztą powiedzieć, że to właśnie Unia przyszła nam w dużym stopniu w sukurs z tego typu podejściem.

Czy można powiedzieć, że umieliśmy dobrze wykorzystywać środki europejskie po 2004 roku? Przecież nasze media zawsze znajdowały coś, co można skrytykować…

Środki te zaczęły napływać jeszcze przed naszym wstąpieniem do Unii. Zarządzałem takimi programami po stronie Unii Europejskiej jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Wtedy to były znacznie mniejsze pieniądze. To były środki rzędu 100 milionów euro rocznie z unijnego Programu Phare dla krajów stowarzyszonych z Unią Europejską. Środki były relatywnie małe, rozproszone, ale dawały jednak nowe możliwości działania, choć na niezbyt wielką skalę. Później, od 2000 roku pojawiły się już bezpośrednie środki przedakcesyjne, w wysokości miliarda euro rocznie. Był program ISPA, wspierający infrastrukturę, czy SAPARD dla rolnictwa[1]. To było przygotowanie do pracy z dużo większymi programami i projektami już po naszej akcesji w polityce spójności.

Najlepiej ocenić wykorzystanie środków europejskich poprzez porównanie się do innych krajów. Często narzekaliśmy na wykorzystywanie środków europejskich, ale wydaje mi się, że stworzyliśmy jeden z najlepszych, jeśli w ogóle nie najlepszy, system do zarządzania środkami europejskimi w Unii Europejskiej, system, który jest oparty na podejściu strategicznym do prowadzenia polityki społeczno-gospodarczej i wykorzystujący silnie zdecentralizowany model realizacji tej strategii. Najpierw wypracowujemy strategie średnioterminowe. Takimi strategiami były: Strategia Rozwoju Kraju 2007–2013, Strategia Rozwoju Kraju 2020 i Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

W ich ramach są wykorzystywane fundusze europejskie, jako narzędzie do ich realizacji. Ten system powstał w latach 2005–2006 i można powiedzieć, że z pewnymi modyfikacjami działa efektywnie do dzisiaj. Jest to system również bardzo silnie zdecentralizowany, bo mniej więcej połowa środków jest w rękach samorządów, czyli nie jest zarządzana bezpośrednio przez rząd, nie jest scentralizowana.

Czego nam pańskim zdaniem najbardziej brakowało w polityce społeczno-gospodarczej?

Myślę, że przede wszystkim podejścia, które by promowało zrównoważony rozwój w wielu obszarach i na wielu płaszczyznach. Przyznaję, że koncepcyjnie tym się zajmowałem wiele lat – to było moim prawdziwym konikiem, szczególnie po roku 2010. Udało się nam wypracować taką koncepcję w Polsce i nie ma powodu ukrywać, że to Prawo i Sprawiedliwość przyjęło ją, jako swoją główną koncepcję programową w 2014 roku i rząd od 2015 roku ją realizował. Zresztą, co też jest ciekawe, w tym samym 2015 roku Organizacja Narodów Zjednoczonych przyjęła Agendę 2030 i 17 Celów Zrównoważonego Rozwoju. Jeżeli mówimy o zrównoważonym rozwoju w Polsce, to był on zaprogramowany i realizowany w kilku płaszczyznach: w wymiarze gospodarczym, społecznym, terytorialnym i środowiskowym.

Mówił pan o zmianach zachodzących w myśleniu strategicznym w Polsce. Spróbujmy ocenić wagę i siłę tego dylematu w istocie politycznego – wyboru pomiędzy Polską solidarną a Polską liberalną. Przygotowywał pan wspólnie z Grażyną Gęsicką program społeczno-gospodarczy na lata 2005–2007, a później program gospodarczy dla rządu Prawa i Sprawiedliwości w 2015 roku. Czym program ten różnił się od koncepcji poprzedników?

W polityce gospodarczej było to faktycznie odejście od podejścia typowo liberalnego, typu –zostawmy wszystko siłom rynkowym w gospodarce, wszystko jakoś się ułoży, to jest absolutnie nietrafne. W polityce gospodarczej trzeba mieć wizję i strategię rozwoju, priorytety i to państwo powinno je ustalać. Jeżeli państwo źle ustawi te priorytety, to rynek też tego nie zrobi. Tu jest olbrzymia, a wcześniej może niedoceniana rola państwa. I te nowe priorytety były związane z tym,

że na początku nie mieliśmy rozwiniętej infrastruktury, a przecież sektor prywatny sam tej infrastruktury nie zbuduje. Trzeba było postawić na budowanie głównych korytarzy transportowych – drogowych, kolejowych, również na transport lotniczy i mamy tego doskonałe przykłady. Przez długi czas tego nie mieliśmy. Już niewiele osób pamięta, że jeszcze dwadzieścia lat temu mieliśmy trzysta czy czterysta kilometrów autostrad, z czego większość to były jeszcze autostrady w czasów niemieckich. Dziś mamy parę tysięcy kilometrów autostrad i dróg szybkiego ruchu i jesteśmy stawiani jako przykład dla innych krajów. Zaś model polaryzacyjno-dyfuzyjny rozwoju został zastąpiony modelem zrównoważonego rozwoju.

Rozumiem, że zarówno w 2005, jak i 2015 roku potrzebne było takie popchnięcie ze strony centrum politycznego, tak?

Potrzebne było ze strony centrum politycznego postawienie właśnie na pewne priorytety, ale jednocześnie szalenie ważnym aspektem była decentralizacja, o której już wspominałem. Bo możemy powiedzieć, że mamy trzy albo cztery poziomy: poziom państwa, poziom regionu – czyli województwa i niżej trochę niedoceniany poziom powiatu i gminy. Żeby to wszystko działało, to musi być pomiędzy nimi współpraca. Nie będzie współpracy, to nie będzie dobrego działania i efektów tego działania.

A jak ta zmiana wyglądała, jeżeli chodzi o politykę społeczną?

Kluczowa była walka z bezrobociem, bo zapewnienie ludziom dostępu do pracy to podstawowa sprawa. Dzisiaj o nim właściwie nie pamiętamy. Jesteśmy krajem o najniższym poziomie bezrobocia, obok Czech i Niemiec w Europie, i to inni mają problemy, a wtedy to był dla nas podstawowy problem. Ludzie często pracowali na czarno za marne pieniądze, żeby utrzymać rodziny. Więc to był kolejny bardzo silny dylemat, czy można pozostawić kwestię wynagrodzeń wyłącznie wolnemu rynkowi czy szukać innych rozwiązań. Można się oczywiście zastanawiać i dyskutować na temat poziomów.

Przypomnę, że to nie było coś wyjątkowego… Wtedy była w wielu rozwiniętych krajach lansowana i wprowadzana koncepcja minimalnej stawki godzinowej. Po to właśnie, żeby zapewnić ludziom minimalne

środki do właściwego życia. Więc możemy to nazywać koncepcją solidarności społecznej. Ona była związana z tym, że jeżeli myślimy o rozwoju kraju, to musimy myśleć o statusie i przyszłości każdego obywatela, nie tylko o jakiejś średniej. Bo średnia mogła być względnie wysoka, co mogło być powodowane na przykład rozpiętościami dochodów.

Głównym celem polityki gospodarczej, i to chyba udało nam się zmienić w porównaniu z poprzednim okresem, były nie tylko wskaźniki ekonomiczne typu wzrost gospodarczy czy PKB na mieszkańca, ale było zwrócenie się ku działaniom na rzecz polepszenia jakości życia. Jest ona związana z tym, ile pieniędzy zarabiamy, ale też do jakich usług publicznych mamy dostęp. Jest to takie podejście, gdzie państwo zaczyna w sposób aktywny, aktywniejszy niż dotychczas, dbać o swoich obywateli i chce zapewnić właściwy poziom i jakość życia obywatelom, także tym uboższym. I to staje się takim elementem centralnym polityki społeczno-gospodarczej.

Na przełomie 2015 i 2016 roku wypłynął do dyskusji o polityce gospodarczej temat rzekomej peryferyjności naszego rozwoju przez cały w zasadzie okres transformacji, ze szczególnym uwzględnieniem skutków ekonomicznej integracji z Unią Europejską. Czy to nie przesada, czy rzeczywiście mogliśmy zdobyć mocniejszą pozycję polskiej gospodarki w świecie?

To nie jest żadna przesada, że zwracaliśmy po 2015 roku uwagę na skutki peryferyjności. Naprawdę jesteśmy na peryferiach z punktu widzenia położenia Polski w Unii Europejskiej. Mamy też zjawisko peryferyjności w naszym kraju. I coś z tym trzeba robić.

Zacznę od tej pierwszej peryferyjności. Czy nam się to podoba, czy nie – jesteśmy na wschodniej granicy Unii Europejskiej i żebyśmy nie wiem co robili, to zazwyczaj krajom peryferyjnym znacznie trudniej prowadzić skuteczną politykę rozwojową. To było widać bardzo wyraźnie, i to miało wpływ na to, co widzieliśmy u nas w kraju. Na przykład – inwestycje chętniej lokalizowano bliżej granicy zachodniej. Dlaczego? Bo bliżej było do centrum gospodarczego Unii. Takie rzeczy w polityce państwa trzeba uwzględniać i moderować skutki problemów, które wtedy się pojawiają. A tym niewątpliwym problemem, który było bardzo widać na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat, było

zaniedbanie wschodniej części Polski. Ta peryferyjność jest niestety słabą stroną naszej transformacji.

To wiązało się z potrzebą aktywniejszej polityki infrastrukturalnej. Udało się rozmawiać na ten temat na poziomie międzynarodowym, angażować inne kraje do współpracy. To jest pewnego rodzaju rozwiązanie. Wykorzystywaliśmy do tego Grupę Wyszehradzką, później rozpoczęliśmy rozmowy w ramach Trójmorza, były też takie bardziej jeszcze regionalne inicjatywy jak „Europa Karpat" – to wszystko powodowało, że można było poprzez taką współpracę indukować, mobilizować dodatkowe siły do rozwoju tych terenów. Ale tego nie da się zrobić bez infrastruktury. Szalenie ważne było, żeby na tych terenach podnieść poziom i jakość infrastruktury, szczególnie infrastruktury transportowej.

Zajmijmy się jeszcze kwestią myślenia strategicznego w programowaniu polityki społeczno-gospodarczej, bo tutaj mieliśmy do czynienia z różnymi okresami i różnym podejściem poszczególnych rządów do tego zagadnienia. Sprawy doraźne, wyborcze wypierają albo nawet doprowadzają do zaniku debaty na ten temat.

Uważam, że myślenie strategiczne jest szalenie ważne. Jeżeli państwo nie będzie miało pomysłu na rozwój i będzie się rozwijało tylko poprzez przypadkowe decyzje, zarówno w sferze administracji, jak w sferze biznesu, to nie będzie to dla tego kraju dobre. W tej chwili konkurencja na świecie jest przede wszystkim związana z wysoką rolą tzw. *good governance*, czyli z jakością rządzenia.

My też jesteśmy przykładem kraju, który potrafił się zorganizować, myśleć strategicznie, i te strategie skutecznie wprowadzać w życie, wykorzystując pracowite i przedsiębiorcze społeczeństwo. Problemem jest to, że to nie jest *sexy*, to nie jest to, czego ludzie chcą słyszeć, bo często tego w ogóle nie rozumieją. To musi być więc raczej świadomość decydentów i elit politycznych, że myślenie i działanie strategiczne jest po prostu potrzebne, że będzie pozwalało nam w średnim i długim okresie lepiej się rozwijać. Strategiczne w tym sensie, że musimy mieć jakiś pomysł, jak przełożyć go na plan działań, ale jeszcze ważniejsza rzecz to jest realizacja tego planu działań. Niestety tak jest, że politycy bardzo różnie na to patrzą, niekoniecznie zawsze za tym przepadają. Wolą zajmować się jakimiś spektakularnymi, popularnymi przedsięwzięciami, które przynoszą im popularność i poparcie.

Ja jednak zawsze liczę na zdrowy rozsądek. Na to, że nawet te kluczowe osoby, które decydują w danym momencie o państwie – i chociaż wydaje się, że przede wszystkim myślą o sondażach i wyborach – będą przekonane, że myślenie strategiczne, że plan działań na dłuższą perspektywę jest potrzebny. Niekoniecznie muszą to kochać.

Proszę zwrócić uwagę, że za każdym razem, jeżeli lider odchodzi od takiego myślenia długoterminowego, to po pewnym czasie przegrywa politycznie. Zarówno druga kadencja Platformy Obywatelskiej pod kierownictwem premiera Donalda Tuska i później pani premier Ewy Kopacz były dla mnie doskonałym przykładem tego, że „odpuszczono" sobie właśnie to planowanie i działanie strategiczne. I podobnie było ostatnio, w drugiej kadencji PiS.

Mamy do czynienia, to już jest kwestia ostatnich lat, z ogromną polaryzacją. W gruncie rzeczy społeczeństwo podzieliło się na wrogie plemiona. Jak sobie z tym radzić? To z wielu powodów może jest korzystne dla partii politycznych, dla mobilizacji ich zwolenników, ale niesie ze sobą bardzo wiele negatywnych konsekwencji.

To prawda, polaryzacja daje wyrazistość partiom i lepiej mobilizuje elektorat, ale silnie dzieli społeczeństwo, czego my w Polsce teraz mocno doświadczamy. No właśnie, ale niestety odejście od tego myślenia i działania strategicznego, a przejście na takie działanie silnie polityczne i krótkotrwałe w drugiej kadencji PiS też uważam, że miało negatywny wpływ. Ciekawe, że rząd Mateusza Morawieckiego świetnie sobie poradził z bardzo ciężkimi bieżącymi problemami, jak pandemia, kryzys energetyczny, skutki agresji Rosji na Ukrainę, również walką z inflacją, natomiast niestety „odpuścił" sobie myślenie i podejście strategiczne.

No i druga, wspomniana kwestia – polaryzacja. Przyznaję, że jest dla mnie fenomenem, że nasze społeczeństwo cały czas to akceptuje. Oczywiście taka polaryzacja napędza emocje, przyciąga wyborców. Ale też widzimy bardzo dużo negatywnych stron tego, nie tylko w samym życiu politycznym, ale w życiu społecznym czy wręcz rodzinnym. Sam się zastanawiam, kiedy społeczeństwo wreszcie powie „nie" takiemu podejściu.

Co mnie najbardziej martwi – to fakt, że za każdym razem przy kolejnej zmianie władzy te napięcia są coraz większe i to „rozliczanie"

jednej strony przez drugą, staje się coraz bardziej agresywne, wręcz okrutne. Zastanawiam się, gdzie jest limit tego wszystkiego. Trzeba jednak wierzyć w mądrość społeczeństwa.

Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski

[1] ISPA – Instrument Przedakcesyjnej Polityki Strukturalnej; SAPARD – Specjalny Przedakcesyjny Program na Rzecz Rolnictwa i Rozwoju Obszarów Wiejskich (przyp. red.).

Aleksander Kwaśniewski

Wyboista droga polskiej demokracji

Próba bilansu

Z mojej osobistej perspektywy najważniejsze w polityce krajowej minionych trzydziestu lat były losy polskiej demokracji w jej praktycznym działaniu. Jako polityk, przewodniczący Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego i później prezydent RP, poświęciłem wiele czasu i wysiłków działaniom zmierzającym do uchwalenia i wdrożenia w Polsce demokratycznej konstytucji. Brałem też udział w rozstrzyganiu dylematów związanych z poszukiwaniem najwłaściwszej i akceptowanej społecznie strategii rozwoju społecznego i gospodarczego. Interesowały mnie ponadto wybory programowe oraz działania głównych środowisk i formacji politycznych.

Pamięci o wydarzeniach i procesach odbywających się w polityce towarzyszy zazwyczaj pewna specyficzna cecha: w miarę upływu czasu i zmieniających się okoliczności zmienia się ich społeczne postrzeganie i oceny. Nawet sami uczestnicy i bohaterowie tych wydarzeń po pewnym czasie weryfikują swe opinie i poglądy. Dotyczy to także naukowców i ekspertów. Ja zresztą również, przyznaję, posiadam skłonność do autorefleksji, czasem bardzo samokrytycznej. Niejeden już raz zastanawiałem się nad tym, co by było gdyby wydarzenia w Polsce i w jej międzynarodowym otoczeniu – te, na które miałem wpływ, pobiegły innym torem, gdybyśmy – my politycy, liderzy – podążyli za innym tokiem rozumowania i argumentacji. Jak wyglądałby wówczas nasz kraj i jego otoczenie?

Zdolność weryfikacji wcześniejszych ocen mają nie tylko byli politycy – ma ją także opinia publiczna. Nie od dzisiaj wiadomo, jak bardzo bywa ona zmienna. W gruncie rzeczy, jest to chyba pozytywne zjawisko – przyspiesza bowiem adaptację zbiorowości do nowych wyzwań. Przemiany w świadomości społecznej przekształciły Polaków

w latach dziewięćdziesiątych w bodaj najbardziej przedsiębiorczy naród w Europie, ku zaskoczeniu tych, którzy uważali, że dominuje u nas zachowawczy „homo sovieticus". Nasza zbiorowa świadomość i aspiracje wykazywały się skądinąd dużą zmiennością i klasa polityczna zazwyczaj za nimi nie nadążała. W każdym razie doprowadziło to parokrotnie do kardynalnych zmian na scenie politycznej, ku rozczarowaniu wielu ambitnych polityków, którzy musieli zwijać partyjne sztandary wcześniej niż planowali.

Bilans reform w latach III Rzeczypospolitej jest w moim przekonaniu jednoznacznie pozytywny, chociaż od lat towarzyszyły nam głosy o zbyt wysokich kosztach społecznych. Kolejne polskie rządy, niezależnie od swej politycznej barwy, kontynuowały główne założenia polityki społeczno-gospodarczej przyjęte w początkach transformacji, mając w gruncie rzeczy niewielkie możliwości dokonywania korekt. Po 1997 roku strategię rozwoju w znacznym stopniu definiowały uwarunkowania procesu akcesyjnego oraz – później, od 2004 roku – naszego członkostwa w Unii Europejskiej. Dostrzegaliśmy oczywiście także negatywne skutki społeczne transformacji, szukaliśmy – nie zawsze skutecznie – sposobów walki z biedą i wykluczeniem społecznym. W tej sferze sukcesów było jednak zbyt mało, a postęp nie odpowiadał szybko rosnącym oczekiwaniom Polaków, którzy mogli już bezpośrednio porównywać swój poziom życia – na przykład zarobki i usługi socjalne – z niemieckim, brytyjskim czy skandynawskim, dostrzegając różnice na naszą niekorzyść. Stworzyło to przestrzeń do działania dla populistów, którzy natychmiast znajdowali fałszywe, ale za to proste i łatwo zrozumiałe recepty naprawienia wszystkiego.

Moment konstytucyjny

Czasem wyrażana jest opinia, że w 1997 roku stworzyliśmy Konstytucję wyłącznie „na dobrą pogodę" oraz że w pewnym sensie to elity narzuciły ją Polakom, bo nie było silnej oddolnej presji na jej powstanie, nie było odpowiedniej tradycji, kultury prawnej i politycznej, a społeczeństwo obywatelskie było w powijakach. Mówiąc szczerze – nie wyobrażam sobie w naszych polskich warunkach ani oddolnego obywatelskiego ciśnienia konstytucyjnego, ani powszechnej zgody w tych kwestiach czy choćby nawet rzeczowej i apolitycznej ogólnonarodowej debaty. Boleję nad tym, ale kampania przed referendum kon-

stytucyjnym w 1997, podobnie zresztą jak późniejsza przed referendum europejskim, dowiodły tego chyba aż nadto dobitnie.

Najważniejsze, że umieliśmy w latach 1993–1997 wykorzystać moment konstytucyjny – jedyny, jaki Polska miała od 1989 roku. Można było wtedy zbudować w parlamencie blok, mający większość powyżej 2/3 głosów w Zgromadzeniu Narodowym, i stworzyliśmy go. Udało się przegłosować nową ustawę zasadniczą. Nie mieliśmy takiej sytuacji ani wcześniej, ani później. Mieliśmy natomiast za sobą doświadczenie szalonej politycznie kadencji lat 1991–1993. Wtedy uzgodnienie czegokolwiek było niemożliwe.

Dlatego, gdy okazało się, że po 1993 roku można uzyskać w obu izbach odpowiednią większość, nie było innego wyjścia – trzeba było podjąć się uzgodnienia i próby uchwalenia nowej ustawy zasadniczej, jeśli chcieliśmy mieć kiedykolwiek w dającej się przewidzieć perspektywie demokratyczną Konstytucję Rzeczypospolitej. To był obowiązek polskiej klasy politycznej.

Głównym problemem była wtedy niedostateczna reprezentacja w parlamencie środowisk prawicowych, które łącznie miały spore poparcie społeczne, ale na własne życzenie były rozproszone i żadne z nich nie przekroczyło wymaganego pięcioprocentowego progu w wyborach. Nasza odpowiedzialność za ich nieobecność była żadna, ale oczywiście było ważne, żeby procedura przygotowania i uchwalenia Konstytucji miała możliwie najszerszą polityczną legitymację. Podjęliśmy wtedy decyzję, która może nie do końca była zgodna z parlamentarnymi regułami, lecz była konieczna dla dobra prac nad Konstytucją – debatowaliśmy nad wszystkimi projektami, także tymi z poprzedniej kadencji, zgłoszonymi przez ugrupowania prawicy, których w Sejmie po wyborach 1993 roku nie było. W sumie pracowaliśmy nad ośmioma projektami. W tej debacie był też obecny projekt społeczny, tak zwany solidarnościowy.

Filozofia Konstytucji 1997 roku była wynikiem połączenia dwóch koncepcji. Jednej, że chcemy zbudować demokratyczne państwo prawne i drugiej, że chcemy się zabezpieczyć przed negatywnymi praktykami PRL. W tym sensie można ją dzisiaj nazwać konstytucją na „dobre czasy", bo była budowana w przekonaniu, że Polska idzie w dobrą stronę – w stronę demokratycznego państwa prawnego, a konstytucja ma otworzyć możliwości dla rozwoju wolności w społeczeństwie, go-

spodarce, w samorządności. Nawet zarzucano nam, że część dotycząca wolności i praw obywatelskich jest za szeroko i nazbyt detalicznie opisana, ale to była szczepionka po czasach PRL. Z drugiej strony, zwłaszcza po 2015 roku, zarzucano ustawie zasadniczej pewną naiwność, gdyż uważaliśmy kwestie demokratycznego państwa prawnego za bezdyskusyjne i podzielane przez całe spektrum polityczne w Polsce.

Praca była przeprowadzona bez nadmiernego pośpiechu, w sposób absolutnie odpowiedzialny i trwała całą kadencję – cztery lata. Komisja korzystała z bardzo szerokiego grona ekspertów – profesorów prawa konstytucyjnego. Nikt nie może powiedzieć, że brakowało czasu do namysłu. Następnie, Konstytucja była przyjęta w referendum, po szerokiej debacie w społeczeństwie. Była to, niestety – muszę przyznać – debata polaryzacyjna, niezbyt wyrafinowana. Hasła były proste, niekiedy prostackie. Część jej uczestników nazywała promotorów Konstytucji Targowicą, ale ostatecznie wygraliśmy tę Konstytucję także w takiej debacie, nie tylko wśród elit, ale także w szerokich kręgach społecznych. Chociaż trzeba przyznać, że frekwencja w tak ważnym dla przyszłości referendum konstytucyjnym była rozczarowująco niska.

Wiele dzisiejszych wątpliwości zgłaszanych wobec Konstytucji wynika trochę z doświadczenia nabytego po 2015 roku, kiedy zobaczyliśmy, jak łatwo rządzący mogą ustawę zasadniczą łamać, i że w sumie jest ona dość bezradna. Jeżeli piszemy w Konstytucji, że wyroki Trybunału Konstytucyjnego powinny być niezwłocznie opublikowane, to słowo *niezwłocznie* wydaje się na tyle jasne, że nie podlega interpretacji. Okazało się jednak, że może być interpretowane inaczej. Takich przepisów gwarancyjnych z dzisiejszej perspektywy na pewno tam nieco brakuje, ale z drugiej strony – Konstytucja to tylko litera prawa, do której trzeba dodać ducha jej interpretacji, niezbędną kulturę polityczną i prawną.

Przyjęta w 1997 roku Konstytucja obowiązuje do dzisiaj. Jak to często w Polsce bywa, nie miała ona w minionych latach lekkiego żywota, jednak swoją rolę spełniała, spełnia i dalej może spełniać. Nawet atak na nią po 2015 roku w jakiś sposób ją umocnił, dlatego że ludzie zaczęli się tą problematyką szerzej interesować i bardziej z konstytucją utożsamiać. Jej stabilność jest wartością samą w sobie, gdyż buduje kulturę konstytucyjną, a ludzie wiedzą, do czego mogą się odwoływać.

Nie jestem przeciwnikiem zmian konstytucyjnych, zdaję sobie sprawę, że życie idzie naprzód. Ale zmiany te muszą się odbywać w kraju, który nie jest w stanie politycznej „domowej wojny". Potrzeba do tego gotowości politycznych partii, także opozycji. I choćby minimum wzajemnego zaufania. PiS, jego szeroki elektorat i charakterystyczny dla tego środowiska sposób rozumienia prawa i ustroju państwa zostają z nami niezależnie od rezultatów wyborów w 2023 i 2024 roku. Ubolewam, że w myśleniu wielu polityków tej formacji traktuje się demokratyczne zasady dosyć lekko, żeby nie powiedzieć – lekceważąco.

Obawiam się, że obecnie w polskich warunkach spolaryzowanego społeczeństwa i bezwzględnej walki między głównymi aktorami sceny politycznej Konstytucja zostałaby pewnie potraktowana instrumentalnie, znacznie bardziej niż miało to miejsce podczas referendum konstytucyjnego w 1997 roku. Jeżeli więc ta Konstytucja spełnia swoją rolę – to rozsądnym wyjściem jest pozostanie przy niej i lepsze wykorzystanie jej atutów.

Ład instytucjonalny

W momencie rozpoczęcia prac nad nową Konstytucją RP mieliśmy wszyscy prawdziwy dylemat – czy w państwie ma obowiązywać system parlamentarno-gabinetowy, czy prezydencki. Mieliśmy bowiem za sobą doświadczenie niestabilnych rządów z lat 1991–1993, przy rozdrobnionym parlamencie oraz doświadczenie prezydentury Lecha Wałęsy.

Model prezydentury w Polsce kształtował się trochę spontanicznie od 1989 roku. Utworzenie urzędu prezydenta pociągnęło za sobą decyzję o dwuizbowym parlamencie, a także to, że do Sejmu wybieramy proporcjonalnie, a do Senatu – większościowo. W 1990 roku podjęto decyzję, że wybór prezydenta będzie się odbywać nie przez Zgromadzenie Narodowe tylko przez wybory powszechne. Uważam, że od tej regulacji nie ma odwrotu. Nasze społeczeństwo nigdy nie zgodziłoby się na powrót do sytuacji wcześniejszej. Wyborcy uznaliby to za odebrane im jednego z podstawowych praw. Wybory prezydenckie są najlepiej zaakcentowane, najwięcej ludzi w nich uczestniczy. Czyni to prezydenta, niezależnie od jego umocowań konstytucyjnych, figurą politycznie ważną, o najsilniejszym w państwie mandacie społecznym.

Lech Wałęsa i jego doradca prawny profesor Lech Falandysz bardzo optowali za systemem prezydenckim. Było widoczne, że Lech Wałęsa wyobrażał sobie sprawowanie urzędu jako prezydenturę jednoosobową. Uważał, że jego intuicja jest niezawodna i nie chciał, aby jakieś reguły czy zasady go ograniczały. To oczywiście od początku było nierealne. Chciałem jednak podkreślić, że – mimo moich niekiedy ostrych relacji i polemik z Lechem Wałęsą – doceniam to, że on pełniąc urząd prezydenta swoją rolę odegrał na ogół dobrze, zarówno w kraju, jak i zagranicą, szczególnie w najtrudniejszym okresie początkowym. Był postacią powszechnie rozpoznawalną, i był chyba jedynym człowiekiem, który mógł być swoistą tarczą osłonową dla działań podejmowanych przez rząd, w tym zwłaszcza dla reform gospodarczych.

System prezydencki oczywiście można było też rozpatrywać, ale nawet przedstawiciele solidarnościowych partii, jak Unia Wolności, Porozumienie Centrum czy Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe byli jak najdalsi od tego, żeby Wałęsie i jego ekipie dawać władzę z możliwością wydawania dekretów. Polski parlamentaryzm demokratyczny dopiero się rodził i posłowie chcieli poczuć wpływ i współodpowiedzialność. W konsekwencji – zgodnie uznaliśmy w Komisji Konstytucyjnej, że można w Polsce zastosować system mieszany. Władza ustawodawcza w Sejmie, władza wykonawcza w rządzie, a prezydent ma rolę arbitra, gwaranta Konstytucji i głowy państwa, ale także zwierzchnika sił zbrojnych. Przy niestabilnych rządach prezydent może odegrać rolę mitygującą. Ma możliwość wetowania ustaw poza ustawą budżetową. Ten wyjątek był ważny, bo bardzo wzmacniał rząd.

W Konstytucji jest wiele elementów, które umacniają władzę wykonawczą. Najistotniejszym z nich jest konstruktywne wotum nieufności, czyli że nie można rządu obalić bez równoczesnego przedstawienia kandydata na nowego premiera, i to oczywiście ostudziło zapał nadużywania tego instrumentu, tak jak to dzieje się na przykład z wnioskami o wotum nieufności dla poszczególnych ministrów. Istnienie konstruktywnego wotum nieufności bardzo ustabilizowało rząd Marka Belki w latach 2004–2005, typowy rząd mniejszościowy, który mógł przetrwać ponad półtora roku i całkiem dobrze zarządzać sprawami. W jakimś sensie to samo dotyczyło końcówki rządu Jerzego Buzka.

Jako prezydent miałem szczęście, bo u progu mojej pierwszej kadencji w 1995 roku cele strategiczne mojej prezydentury rysowały się

niezwykle jasno: przyjęcie Konstytucji, wstąpienie do NATO i Unii Europejskiej. Gdy przekazywałem w końcu 2005 roku urząd Lechowi Kaczyńskiemu, usłyszałem od niego, że jako prezydent byłem w szczęśliwym położeniu, bo miałem wielkie cele, które udało się zrealizować. Odpowiedziałem, że jego zadania nie brzmią może tak spektakularnie, ale każdy element tego co Polska osiągnęła po 1989 roku nadal trzeba wzmacniać, trzeba nadać mu jakość.

I *de facto*, aż do słynnej deklaracji Donalda Tuska w 2009 roku, że jemu „nie zależy na pilnowaniu żyrandola w Pałacu Prezydenckim", mieliśmy sytuację, że prezydentura w Polsce była kształtowana z ograniczonymi, ale jednak dosyć silnymi prerogatywami także poprzez dobór osób, które obejmowały ten urząd. W Pałacu urzędował zawsze któryś z liderów znaczącego obozu politycznego. Wałęsa w 1990 roku był niekwestionowanym liderem obozu „Solidarności". W 1995 ja byłem liderem obozu lewicy; w roku 2005 został prezydentem lider (współlider) obozu prawicy Lech Kaczyński; potem Bronisław Komorowski, wcześniej marszałek Sejmu, wśród osób wpływowych ówczesnej Platformy Obywatelskiej myślę, że mieścił się w pierwszej piątce jej liderów.

Bronisław Komorowski miał wszystkie dane, by wygrać także swoje drugie wybory prezydenckie, natomiast błędy popełnione przez jego sztab i przez Platformę Obywatelską doprowadziły do tego, że zwycięzcą został Andrzej Duda, co okazało się zupełnie nową sytuacją dla prezydentury, w istocie bardzo ją osłabiającą. Wybrany został kandydat, w którego zwycięstwo nie wierzyli nawet jego promotorzy. Ponieważ on nie wyszedł z układu hierarchicznego, jaki panuje na prawicy, to także jako prezydent państwa nie odegrał tej roli, którą powinien był odegrać. Nie stał się osobnym ośrodkiem władzy, w którym się kreuje koncepcje i wizje długoterminowe.

Być może był w Polsce moment, kiedy można było pomyśleć o wprowadzeniu ponadpartyjnej prezydentury. Gdybyśmy szukali takiego rozwiązania, był na to jedyny moment w roku 2010, po katastrofie smoleńskiej. Gdyby wtedy siły polityczne uznały i porozumiały się co do tego, że potrzebujemy jako prezydenta kogoś, kto uspokoi napięcia i emocje, może na jedną kadencję tylko, kogoś kto będzie czynił to w sposób kompetentny – tylko wtedy był jedyny moment, w którym na nastroju żałoby i traumy przeżywanej wspólnie można było odejść od polaryzacji, jaką generu-

ją powszechne wybory prezydenckie. Jednak nawet wtedy nie było to realne, ale na teoretyczne pytanie, czy możemy kiedyś pójść w stronę ponadpartyjności urzędu prezydenckiego odpowiem, że w pewnych szczególnych warunkach historycznych może tak stać się w przyszłości. Może już w roku 2025, jak będą odbywały się kolejne wybory prezydenckie, będziemy wszyscy już tak spolaryzowani i tak zmęczeni tą polaryzacją, że wyborcy będą szukać jakiejś postaci ponadpartyjnej?

Łagodzenie napięć

Uważam, że moja prezydentura była udana, nawet jeśli z powodu tej opinii będę uznany za osobę nieskromną. Przyznaję, że do dzisiaj spotykam ludzi, którzy mówią, że płakali, gdy ja w 1995 roku wygrałem wybory prezydenckie, gdyż byli przekonani, że wraz ze mną wróciła do Polski PRL i przygoda z demokracją się skończy. Mimo wyrażanych wtedy różnych obaw, polskie społeczeństwo się jednak w czasie mojej kadencji nie spolaryzowało, co więcej – wielokrotnie udawało się ludzi wokół niektórych najważniejszych tematów jednoczyć.

Drugie wybory w 2000 roku wygrałem z hasłem „Dom wszystkich – Polska", które dzisiaj prawdopodobnie byłoby w ogóle wyśmiane przez spin doktorów jako coś nie do przyjęcia. Wygrałem w pierwszej turze, co pokazało, że po pięciu latach mam za sobą ludzi z różnych stron i sympatyków różnych obozów politycznych.

Przećwiczyliśmy w latach 1995–2005 współpracę zarówno z rządami z własnego obozu politycznego, jak i z rządami utworzonymi przez obozy przeciwne. Premierów było w czasie mojej prezydentury sześciu. Okazało się, że współpraca z każdym była możliwa. Stworzyliśmy Radę Bezpieczeństwa Narodowego, w ramach której można zaprosić rządzących i opozycję do otwartych rozmów o kluczowych dla bezpieczeństwa Polski sprawach. Uważałem, że takie spotkania powinny odbywać się regularnie, przynajmniej raz w miesiącu. Na ich zakończenie można zaprosić tych ludzi na obiad, który może być kontynuacją rozmowy, łagodzeniem napięć między nimi, zamianą niektórych mocnych słów w żart, półżart i tak dalej. Chodzi o to, żeby oni wychodzili z Pałacu mniej najeżeni, mniej nastawieni przeciwko sobie. Prezydent ma tu rolę do odegrania i ja taką rolę starałem się odgrywać. Uważam, że Polacy też by dzisiaj chcieli, żeby prezydentura była miejscem, gdzie ludzie się spotykają i dogadują.

Miałem szczęście, że w latach 1997–2001 trafiłem na Jerzego Buzka, wyjątkowo dobrego partnera, z którym – jako premierem rządu RP – współpracowałem cztery lata. To człowiek wielkiej kultury, myślący w kategoriach interesu wspólnego. Nie jest egocentrykiem, nie uważa, że musi być koniecznie na każdym zdjęciu i co najważniejsze – jako polityk był zawsze bardzo odpowiedzialny. Rząd Buzka, z Marianem Krzaklewskim na tylnym siedzeniu, był odważny i zdeterminowany. Oni byli przekonani, że nie bacząc na to, iż mogą przegrać wybory, to trzeba Polskę zreformować, ruszyć z posad. Cenię taką postawę. Większość z reform przygotowanych przez tę ekipę weszła w życie, nie stosowałem wobec nich prezydenckiego weta jedynie po to, by rządowi udowodnić, że musi się on liczyć z ośrodkiem prezydenckim. Staraliśmy się współpracować merytorycznie, z mojej strony nie było nigdy intencji, żeby specjalnie utrudniać życie rządowi.

Prezydent nie jest całkowicie odseparowany od tego, co się dzieje w rządzie, jego rola polega nie tylko na tym, by wręczać nominacje czy dymisje. W Konstytucji mamy przepis, że „prezydent może zwołać Radę Gabinetową", której przewodniczy. Dodatkowo przyjęliśmy formułę poniedziałkowych czy wtorkowych spotkań prezydenta z premierem, ministrami spraw zagranicznych i obrony. To nie zawsze wychodziło z powodu terminowych kolizji, ale takie spotkania były dość częste. Informowaliśmy się wzajemnie o tym, co się dzieje, o swoich kalendarzach, żeby nie było dziur komunikacyjnych, wymienialiśmy się też opiniami. Według mnie, taka rozmowa w cztery oczy bardzo się sprawdzała,

W relacjach z premierami, zdarzały się oczywiście napięcia, szczególnie przy okazji planowania i przeprowadzania trudnych reform. Ze „swoimi" premierami dogadać się niby było łatwiej, ale nie zawsze. Znaliśmy się dobrze, więc te rozmowy były często bardzo szczere, mało dyplomatyczne i w związku z tym niekiedy trudne. Spotykałem się często z opinią, że lewica postkomunistyczna nie była w gruncie rzeczy siłą reformatorską tylko przystosowującą się do reform. Nie twierdzę, że akurat rządy SLD były najbardziej reformatorskie w dziejach III Rzeczypospolitej, ale też trafiły na momenty, że raczej trzeba było sprzątać po poprzednikach, niż zaczynać nowe rewolucje. Paradoksem historii jest, że reformy rządu Jerzego Buzka nie zostały zablokowane przeze mnie ani odwołane przez później rządzących

Leszka Millera i „spółkę", jednakże niektóre z nich zostały potem skasowane przez wywodzące się z obozu solidarnościowego rządy PiS.

Spór między prezydentem i rządem był w latach mojej kohabitacji z ekipą Jerzego Buzka najbardziej widoczny w kwestii podziału terytorialnego na województwa. Koncepcje, z którymi wychodził rząd, też ewoluowały w wyniku różnych wewnętrznych czy środowiskowych dyskusji. Na przykład, był pomysł, by stworzyć osiem makroregionów. Uważałem, że przejście od 49 województw do ośmiu makroregionów jest zbyt daleko idącą rewolucją. Już w ogóle rewolucją było, że ponad trzydziestu miastom odbierano status wojewódzki, zresztą zapłaciły za to dużą cenę, regres nastąpił w każdym z nich. Później zaczęła się batalia pod tytułem „ile województw". Najpierw uznano, że trzeba się zgodzić na województwo opolskie, bo chociaż małe, jest odrębne ze względu na mniejszość niemiecką, a my staramy się o wejście do Unii Europejskiej i chcemy pokazać, że jesteśmy otwarci na mniejszości. Za każdym pomysłem ocalenia dawnego województwa stały lokalne ruchy społeczne. Była też batalia o województwo świętokrzyskie, któremu pomogłem. Statusu wojewódzkiego dla środkowego Pomorza, skąd pochodzę, nie udało mi się obronić. Nie zastosowałem weta, bo nie chciałem, aby potraktowano to jako samolubne działanie w obronie swoich rodzinnych stron.

Jedyna reforma, której się sprzeciwiłem, w którą zresztą sam premier Buzek angażował się średnio, natomiast bardzo popierał ją Leszek Balcerowicz, to była reforma podatkowa, która miała doprowadzić do podatku liniowego. Ja wtedy nie uległem SLD bynajmniej, tylko moim doradcom ekonomicznym na czele z profesorem Markiem Belką, który dowodził, że jesteśmy do tego nieprzygotowani.

Miałem zwyczaj – uważałem, że wynika to z roli konstytucyjnej prezydenta RP – że raz na kwartał zapraszałem prezesa Narodowego Banku Polskiego, który też jest instytucją niezależną, ale z oczywistego powodu chciałem być poinformowany, jak wygląda sytuacja polskiej gospodarki, złotego, jak kształtują się trendy w światowej gospodarce i tym podobne. Te wizyty były bardzo interesujące, zarówno rozmowy z Hanną Gronkiewicz-Waltz, jak i z jej następcą Leszkiem Balcerowiczem.

Od liberalizmu do eklektyzmu

To nie rozbieżności programowe stworzyły główną oś podziału politycznego w III Rzeczypospolitej. Niestety, chodziło przede wszystkim o politykę, o zdobycie i utrzymanie władzy, o pokonanie politycznego przeciwnika, a nie o uzgodnienie jak najszerzej akceptowanego planu działania. Rozmaite kontrowersje najpierw wokół kosztów reform, później wokół miejsca Polski w gospodarce europejskiej, wyzwań wynikających m.in. z polityki energetycznej, klimatycznej, handlowej weszły do silnie spolaryzowanej debaty publicznej, która okazała się bardzo podatna na hasła populistyczne.

Takie „zero-jedynkowe" podejście do polityki prezentowanej swoim zwolennikom – nie jako konkurencję idei i strategii działania, ale jako walkę dobra ze złem – okazało się nadspodziewanie żywotne. W grudniu 1995 roku premier Józef Oleksy został niesłusznie oskarżony o zdradę stanu. W 2005 roku oskarżono bez żadnych dowodów Włodzimierza Cimoszewicza o sfałszowanie oświadczenia majątkowego, a wkrótce potem Donalda Tuska o „dziadka z Wehrmachtu". Z biegiem lat to dążenie do eliminacji politycznej konkurencji, jej oskarżenia nie tyle o błędne kalkulacje i prognozy, ale po prostu o zdradę, korupcję czy agenturalność stały się cechą kolejnych kampanii wyborczych. Cytując klasyka można powiedzieć, że w polskiej polityce „skończył się Wersal", otwarta została droga dla populizmu i polaryzacji sceny politycznej.

Szczególnie chętnie stosowano w walce politycznej klisze antyelitarne, antyinteligenckie. Ofiarą tego podejścia było zwłaszcza środowisko Unii Demokratycznej / Unii Wolności. Los tego środowiska obrazuje problem partii inteligenckich. Inteligencja była kiedyś, w okresie istnienia demokratycznej opozycji w PRL, taką w istocie „przewodnią siłą narodu", w okresie pierwszej „Solidarności", a potem podczas obrad Okrągłego Stołu tworzyła i prezentowała idee, programy, pchała nas do przodu. W wolnej Rzeczypospolitej, zwłaszcza po wdrożeniu radykalnych reform gospodarczych, to wszystko zaczęło się zmieniać niemal z dnia na dzień.

Oni wielokrotnie mówili, że nie chcą popaść w populizm, co jest cenne i wielce chwalebne, lecz w polityce płaci się za to cenę. Partia miała bardzo wiele racji, miała bardzo dużą siłę moralną i zarazem miała zasadniczy problem komunikacyjny, czyli kłopot z przekazem i wła-

czeniem szerszej grupy ludzi spoza swojego środowiska do tego nurtu. Był w tym środowisku duży stopień nieufności w stosunku do świata zewnętrznego. Tam nie otwierano szeroko drzwi dla innych, nawet programowo bliskich, pod hasłem „chodźcie z nami". Te drzwi były zamknięte. Uznawano, że ewentualnie można kogoś dokooptować do tego środowiska, ale tylko na określonych warunkach.

Oni rzeczywiście wzięli na siebie bardzo trudne reformy, a z tego popularności zrobić nie było łatwo. Mieli, co prawda, jednego człowieka, który przy trudnych reformach zdobył rzeczywiście kolosalną popularność i oddziaływanie społeczne. Był to Jacek Kuroń, ale nie umieli tego do końca wykorzystać.

Świat bardzo się zmienił od 1989 roku. Dzisiaj trudno mówić o inteligencji, jest wręcz trudno zdefiniować tę grupę. Nawet jeżeli uznamy, że inteligencja w tym dawnym rozumieniu pozostaje nadal siłą wiodącą w świecie idei, jako przykład, model zachowania, przyzwoitości, to zawsze dawało za mało głosów, żeby wygrywać wybory.

W 1989 i 1990 roku podjęta została przez to środowisko próba objęcia nie tylko duchowego przywództwa nad rządzącym już Polską obozem solidarnościowym, ale także stworzenia organizacyjnych form dla jego politycznej aktywności. Pamiętam, w końcu 1989 roku przyjechał do Warszawy Achille Occhetto, szef włoskiej partii lewicy demokratycznej, eurokomunistycznej. Mieczysław Rakowski zorganizował z tej okazji kolację, na którą zaprosił między innymi Bronisława Geremka i mnie. Wtedy Geremek wygłosił mowę, która bardzo zmroziła Occhetto. On uznał, że to są jakieś fantasmagorie. Geremek dowodził mianowicie, że oto nadchodzi koniec partii politycznych. Cała ta przemowa Geremka jak zwykle była bardzo erudycyjna i błyskotliwa. Mówił, że rola partii silnie zideologizowanych będzie słabła, natomiast rozpoczyna się czas ruchów, które są bardziej szerokie, pojemne. To była oczywiście opowieść o ówczesnym politycznym ruchu solidarnościowym. Każdy, kto znał polskie realia, wiedział, że Bronisław Geremek w ten sposób uzasadnia istnienie ogólnopolskiego wielonurtowego ruchu solidarnościowego pod przywództwem właśnie polskiej demokratycznej i antykomunistycznej inteligencji. Projekt ten nie wytrzymał próby czasu, gdy w 1990 roku nastąpiła tzw. wojna na górze, kiedy Lech Wałęsa na spółkę z Jarosławem Kaczyńskim domagali się, aby w obozie solidarnościowym było więcej pluralizmu.

Muszę jednak przyznać, że myślenie, iż przyszłość należy do czegoś bardziej eklektycznego niż partia polityczna nie jest wcale bez sensu, chociaż wtedy się nie udało. Takie myślenie było także dziesięć lat później, u zarania Platformy Obywatelskiej i to się im opłaciło. Trzeba oczywiście docenić talenty przywództwa Donalda Tuska. On był niewątpliwie zawsze bardziej nowoczesny, lepiej rozmawiał, lepiej się komunikował niż liderzy Unii Wolności. Natomiast, jeśli chodzi o stronę programową, to trudno było zarówno Tuska jak i innych założycieli PO oceniać, bo – powiem szczerze – tam wszystko było od Sasa do Lasa. Wystarczyło im solidarnościowe pochodzenie, dobry wizerunek, dobra komunikacja, młody energiczny lider, który się podoba – to zadziałało. Tusk budował na świeżości, na początku także na antyelitarności. Mówił – jesteśmy spragnieni sukcesu, poczucia obywatelskości, podmiotowości, decentralizacji. Od początku program Platformy był eklektyczny. I tak jest do dzisiaj. Gdyby obecnie definiować Koalicję Obywatelską, to trzeba ją definiować kawałkami. Nie da się ich wrzucić do worka ani prawicowego, ani lewicowego, ani liberalnego.

Kłopoty polskiej lewicy

Z dumą mogę powiedzieć, że formacja, którą współtworzyłem w 1990 roku, a później kierowałem, i która wspierała mnie, gdy pełniłem urząd prezydenta RP, czyli polska demokratyczna lewica nigdy się nie sprzeniewierzyła zasadom państwa prawnego. Nie podważyła zasad, na których oparto polską transformację polityczną i gospodarczą po 1989 roku, popierała wstąpienie Polski do NATO i Unii Europejskiej. Wszystkie te zasługi nie uchroniły jej jednak przed dotkliwymi porażkami wyborczymi, nawet przed wypadnięciem z parlamentu w latach 2015–2019.

Można sobie powiedzieć dosyć jasno, że jak patrzymy na historię III Rzeczypospolitej i na wszystkie wybory od 1989 roku to widać, że niewątpliwie Polacy byli w tamtych latach bardziej prawicowi niż lewicowi. Natomiast obecnie jesteśmy, jak mi się wydaje, coraz mniej prawicowym społeczeństwem. Rzecz jednak w tym, że wyborcy o lewicowej czy centrolewicowej orientacji politycznej niekoniecznie głosują dziś na lewicę. Ta kwestia wymagałaby szerszego rozwinięcia.

Jeśli chodzi o kryzys, w który polska lewica wpadła po 2005 roku, to myślę, że było parę czynników wartych zauważenia. Był czynnik

biologiczny, demograficzny. Uważam, że w latach dziewięćdziesiątych lewica postkomunistyczna była ruchem godnościowym dla ludzi, którzy byli w takim czy innym stopniu zaangażowani lub po prostu uwikłani w czasie PRL w działalność w różnych legalnych organizacjach społecznych, w administracji, w związkach zawodowych, w ruchu młodzieżowym i tym podobne. Do tego doszła także część tych, którzy uważali się za pokrzywdzonych przez transformację, chociaż nie wszyscy, bo istniała już wtedy Samoobrona. Także NSZZ „Solidarność" próbował siedzieć „okrakiem na barykadzie". Nie ulegało dla mnie wtedy wątpliwości, że tych ludzi, którzy popierali lewicę lub sympatyzowali z nią było z początku bardzo dużo. Jednakże, to był zasób wyborczy, który znikał. Należało to przewidzieć i lepiej się do jego ograniczenia przygotować.

Błędem taktycznym było, w moim przekonaniu, zbyt pospieszne przekształcenie się koalicji SLD w partię. To spowodowało, że jej różnorodność i wewnętrzny pluralizm tej koalicji zniknęły. Zwyciężyli aktywiści i aparat, i ten aparat zaczął dowodzić partią w sposób zdecydowany. W sytuacjach wyborczych to bardzo pomaga, ale już w rządzeniu niekoniecznie, bo okazuje się, że brakuje pomysłów, że nie docenia się potrzeby dialogu i poszukiwania wewnętrznego kompromisu.

Rządy SLD w latach 2001–2005 – i za to będziemy wdzięczni całe życie SLD i Leszkowi Millerowi – pomyślnie zakończyły negocjacje unijne i wprowadziły Polskę do Unii Europejskiej, co nie było proste. Ale poza tym wymienić osiągnięcia tego rządu będzie ciężko. Najtrudniej będzie określić, które z tych osiągnięć wiążą się z agendą lewicową, bo ani w sprawach kobiet nie uczyniono większego postępu, ani w sprawach ludzi biednych; po prostu zabrakło tam poważnych i odważnych działań. Oczywiście, oni trafili na tę słynną „dziurę budżetową Bauca". Zgadzam się, dyscyplina finansowa była koniecznością, bo była też dekoniunktura w gospodarce. To spowodowało, że „elektorat oczekiwań społecznych" w szybkim tempie odpływał. Niedostatek agendy lewicowej w programie rządowym przez cztery lata 2001–2005 odbierał identyfikację lewicową. Myślę, że to był również problem przywództwa – SLD stał się partią rządzoną twardą ręką przez lidera i to powodowało napięcie z tymi, którzy w takiej jednomyślnej partii nie czuli się najlepiej, myślę tu o Marku Borowskim na przykład, o tych wszystkich, którzy później stworzyli ruchy dezintegracyjne na lewicy.

Uważam, że ten okres pokazał także zasadniczą trudność środowisk lewicowych w dotarciu do młodego pokolenia. Hasło „Polska solidarna" zagospodarowało PiS; hasło „Polska obywatelska" – Platforma; hasło „Polska sprawiedliwa" też zagospodarowało PiS. Lewica tego wszystkiego nie umiała zrobić. Polska się zmieniała, kultura społeczna się zmieniała, mówienie na przykład o klasie pracującej stało się problematyczne dla lewicy na całym świecie. Do tego – ówczesna polska lewica była zbyt obciążona historią.

Na jej kryzysie skorzystała przede wszystkim Platforma Obywatelska, która przejmowała część, istotną część, jej dawnego elektoratu. To wszystko w sumie złożyło się na kryzys, spadek popularności, choć oczywiście nie musiały być one aż tak dramatyczne. Uważam, że istotny wpływ miało utrącenie kandydatury Cimoszewicza w wyborach prezydenckich 2005 roku. Platforma Obywatelska ma, niestety, na sumieniu wyeliminowanie go, co uważam za naprawdę poważne pogwałcenie zasad państwa demokratycznego. Bo prawdopodobnie Cimoszewicz nie wygrałby tych wyborów, ale jego wynik byłby znaczący.

Do tego doszły różnego rodzaju skandale. Pierwsza komisja śledcza i transmisje telewizyjne z obrad, to było wydarzenie na miarę najlepszego serialu. SLD był cały czas albo w centrum negatywnych wydarzeń, albo nie dopilnował czegoś, co budowało bardzo negatywny obraz. Partia okazała się całkowicie bezradna w tej sytuacji, nie umiała kontrolować jej szkodliwych skutków. A że można to było robić – wiemy po słynnej hazardowej aferze cmentarnej, gdzie premier Tusk, ucząc się na aferze Rywina, zachował się w sposób książkowy – natychmiast usunął kogo trzeba, zrobił porządek i temat po prostu znikł.

Odczuwam żal, że lewica straciła ważną polityczną pozycję, bo gdyby tak się nie stało, dzisiaj mogłaby być zdecydowanie częściej swoistym punktem odniesienia dla wielu wyborców. Może wtedy ta polska polityczna polaryzacja nie byłaby tak silna?

Źródła populistycznej prawicy

Zaskakujące dla mnie było, że w 2005 roku sztandar sprzeciwu wobec dziedzictwa obozu reformatorskiego został podjęty przez partię wywodzącą się z ruchu solidarnościowego – Prawo i Sprawiedliwość, które utworzyło nawet formalną koalicję rządową z partiami nieskry-

wającymi swojego populizmu, wrogości wobec Europy i modernizacji. Jakże to było odmienne od sytuacji z lat 1997–2001, kiedy politycy ugrupowań postsolidarnościowych zaangażowali się niezwykle mocno – być może nawet ponad miarę – w promowanie i przyspieszanie reform wszędzie tam, gdzie tylko się dało!

Jarosław Kaczyński z politycznego punktu widzenia zrozumiał, że wielka, ustrojowa transformacja, która w Polsce się dokonała, ma również istotną grupę rozczarowanych. W jakimś sensie on się z tą grupą utożsamiał i wtedy, i dzisiaj. Program konsolidowania przegranych okazał się skuteczny. Pokazał im dosyć proste przyczyny ich niepowodzeń – komuniści, liberałowie, elity, Zachód, prywatyzacja. To było łatwe do zrozumienia. On czuł, że istnieje znaczący niewykorzystany zasób polityczny wyborców, i znalazł im bardzo dobre wyjaśnienie ich położenia, ponieważ psychologicznie zazwyczaj dla każdego przegranego źródła jego porażki leżą poza nim.

Od strony programowej ważne dla PiS było zajęcie się kilkoma grupami społecznymi, które miały rzeczywiste problemy. Również wykorzystanie deficytu sprawiedliwości, który ludzie odczuwali. PiS, poza tym, że parę rzeczy dobrze zdefiniowało, to jeszcze miało dużo szczęścia, bo jak premier Belka odchodził z rządu to zostawił im komfortowe warunki na przyszłość, były pieniądze w budżecie. I to samo, po przejściu kryzysu finansowego, było w drugiej fazie ich rządów w 2015 roku, kiedy właściwie te najtrudniejsze pokryzysowe lata nieźle przeżyliśmy, podobnie jak cały kryzys finansowy, bo nie trzeba było ciąć budżetu, jak to było w innych krajach.

PiS jest partią, która przyjmuje założenie, że liczy się tylko zwycięstwo wyborcze niezależnie od tego, jakimi metodami zostaje osiągnięte. Nie kwestionuję tego, że Prawo i Sprawiedliwość miało, zarówno w 2005, jak i w 2015 roku, swoją wizję polityki społecznej i gospodarczej. Wizję skądinąd wartą rozważenia i uczciwej dyskusji. Nie chcę redukować programu tej partii do walki o władzę i wykluczenia innych środowisk i formacji z debaty publicznej. Partia ta koncentruje się jednak na działaniach taktycznych, bieżących. Socjotechniki i manipulacji też się w tym środowisku politycznym nie odrzuca. Państwo prawa i niezależność instytucji państwowych, praworządność nie są dla nich priorytetowe.

Kornel Morawiecki, który otwierał obrady Sejmu w 2015 roku, powiedział, że to nie może być tak, że jako naród zależymy od obowiązującego ładu prawnego. Bo przecież prawo zależy od woli narodu. A kto wyraża wolę suwerena? My, polska prawica, bo akurat mamy większość parlamentarną. A jeśli tej większości nie mamy, to zawsze możemy grozić wezwaniem swoich zwolenników do obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Oczywiście, to jest zupełnie inna koncepcja prawna, inna koncepcja ustrojowa niż demokratyczne państwo prawne. Zresztą to nie jest novum w prawicowej myśli politycznej. Pytanie „czyja będzie Polska?" po raz pierwszy postawił w Sejmie premier Jan Olszewski w 1992 roku. Nie chodziło tu o promocję własnych pomysłów na transformację, tylko o eliminację z życia publicznego, z administracji państwowej i samorządowej, z wojska i policji, z sądów i trybunałów osób, które zaczynały swoją drogę zawodową przed 1989 rokiem, także o ich moralną dyskredytację. Rząd Jana Olszewskiego odszedł w niesławie i nie udało się wtedy polskiej prawicy zakończyć w Polsce „zabawy w państwo prawa", jak to ujął ówczesny premier w jednym ze swych sejmowych wystąpień.

Dzisiaj takie podejście jest dla Polski dramatycznie niebezpieczne, bo to, co stworzyliśmy w Polsce od 1989 czy 1990 roku i zapisaliśmy w Konstytucji, prawicowi populiści zamieniają w swoje przeciwieństwo. PiS doprowadziło do regresu naszej demokracji. Nie chcę używać określenia, że to była droga do jakiegoś miękkiego czy bardziej twardego autorytaryzmu, jestem w sformułowaniach ostrożniejszy, ale osiem lat Polski pod rządami PiS to był regres, jeśli chodzi o instytucje demokratyczne, zasady państwa prawa, niezależność sądów, wolność mediów.

To jest głęboka zmiana, którą trudno będzie odwrócić. Zgadzam się z opinią, że będzie ona wymagała od demokratycznych stronnictw przyjęcia poważnej politycznej strategii i planu działań na kilka, może kilkanaście najbliższych lat. Na razie nie dostrzegam takiego planu ze strony nowego polskiego rządu. Nie można, w moim przekonaniu, poprzestać na rozliczeniach poprzedników i usuwaniu pozostałości po nich. Trzeba dalej zmieniać Polskę – umocnić samorządność i społeczeństwo obywatelskie, pracować nad formułą polityki społecznej i regionalnej.

Rola Kościoła w polskiej polityce

Kościół w Polsce to instytucja, która nie tylko towarzyszy polityce, ale w niej uczestniczy. Posiada w tej dziedzinie wieloletnie doświadczenie – pamięć II Rzeczypospolitej i lekcję przetrwania w Polsce Ludowej. Skupienie opozycji – także jej laickiej części – wokół haseł wolności i demokracji, współdziałanie z reformatorami w strukturach władzy PRL na rzecz pokojowego transferu władzy podczas obrad Okrągłego Stołu to ewidentne zasługi polskiego Episkopatu. Doceniam też zaangażowanie Kościoła w działalność charytatywną, zmierzającą do poprawy losu najbiedniejszych już w latach transformacji po roku 1989.

Pamiętając o tych zasługach, uważam także za nasz duży wspólny sukces to, że w relacjach z Kościołem dopracowaliśmy się jasnej deklaracji z jego strony popierającej nasze członkostwo w Unii przed referendum w 2003 roku, chociaż postawa większości kleru wobec integracji była sceptyczna, a nawet niechętna. Ale trzeba też pamiętać, że wtedy był w Watykanie Jan Paweł II. On osobiście miał także, w moim przekonaniu, duży pozytywny wpływ na wiele działań polskiego Kościoła służących pojednaniu polsko-ukraińskiemu.

Nie sposób jednak pominąć negatywnej, według mnie, roli Kościoła katolickiego w polskiej polityce wewnętrznej. Po 2005 roku nie zachował on dystansu wobec politycznej rywalizacji, czym pomógł polskiej prawicy, otwarcie przy tym popierając jej zwrot ku nacjonalizmowi i populizmowi, wspierając w istocie antyzachodnie fobie, zachowując przy tym po roku 2015 milczenie w kwestii naruszeń praworządności.

Osobiście mam w pamięci ogromny sceptycyzm, żeby nie powiedzieć sprzeciw hierarchii kościelnej wobec nowej Konstytucji RP w 1997 roku, a także bierność i negatywny wpływ na kształt współczesnych relacji polsko-żydowskich, czego doświadczyłem najbardziej w czasie uroczystości w Jedwabnem w 2001 roku. Po 1995 roku, kiedy już zostałem prezydentem RP, odnotowałem, że któraś z biografek kardynała Glempa zacytowała jego słowa, że rezultat tych wyborów to dowód, iż Polska wraca do pogaństwa.

Pierwszych kilkanaście lat III Rzeczypospolitej nie przyniosły jednakże tym politycznym zamysłom i aspiracjom Kościoła większych sukcesów. Bezskuteczny okazał się tak zwany Konwent Świętej Kata-

rzyny w latach dziewięćdziesiątych grupujący partie, które niemal afiliowały się przy Kościele, ale nie odnosiły sukcesów. Również Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, w istocie formacja przykościelna, okazało się pomysłem nietrafionym i nieprzemawiającym do wyobraźni Polaków.

Za życia papieża Wojtyły, pomysły polityczne polskich hierarchów były raczej skromne, potem jednak przyjęły zupełnie nowy wymiar, bo Watykan przestał być dla nich punktem odniesienia w kwestiach polityki wewnętrznej w Polsce. Biskupi uważnie obserwowali procesy laicyzacyjne, wiedzieli, ilu ludzi przychodzi do kościoła, ilu płaci na kościół, ilu przyjmuje komunię. Bywali w świecie i widzieli, jak wyglądają procesy laicyzacyjne w Hiszpanii, we Włoszech, we Francji. Przez pewien czas wyglądało na to, że polscy hierarchowie też się jakoś z tym godzą, ale gdy w 2005 roku otworzyła się przestrzeń do zaangażowania w politykę, postanowili ten ogólnoeuropejski trend ku zeświecczeniu państwa i społeczeństwa zatrzymać, nie dopuścić do jego zwycięstwa w Polsce.

Najpierw biskupi pogodzili się z Radiem Maryja i polskimi redemptorystami, z którymi ich wcześniejsze relacje nie były pozbawione kontrowersji. Imperium księdza Tadeusza Rydzyka już wcześniej bardzo mocno się zaangażowało we wsparcie prawicy. Jego radio dzieliło Polaków do tego stopnia, że zdecydowałem się w czasie jednej z rozmów z papieżem Janem Pawłem II zapytać, dlaczego ta rozgłośnia tak często używa języka nienawiści. To nie była jakaś filipika z mojej strony, to było takie bardzo dyplomatycznie sformułowane pytanie. Pamiętam odpowiedź: w tej sprawie to kardynał Sodano. To oczywiście był typowy dyplomatyczny unik, bo kardynał Sodano ani wielkiego pojęcia o Rydzyku nie miał, ani szczególnie go to nie zajmowało.

Wśród hierarchów, którzy zaangażowali się w politykę wyjątkowo mocno, szczególną pozycję zajmował arcybiskup Leszek Sławoj Głódź. Był on postacią, która nerw polityczny miała bardzo silnie rozwinięty. Miałem okazję dość dobrze go poznać i wiele razy z nim rozmawiać. On zawsze chciał w polityce uczestniczyć, mało tego, nie potrafił się tym nie chełpić. Arcybiskup Głódź zajął się wtedy, w 2005 roku, tą polityczną grą bardzo bezpośrednio. Koalicja Kaczyński, Giertych i Lepper została tak naprawdę utworzona w jego rezydencji biskupiej u Świętego Floriana na warszawskiej Pradze. On się tym publicz-

nie chwalił. Jego motywacją była potrzeba, żeby w obliczu laicyzacji nie uciekać z powrotem do katakumb niczym pierwsi chrześcijanie, co zresztą wcale Kościołowi nie groziło. Były to też po prostu zwyczajne interesy. Jako instytucja, Kościół był i jest zorientowany na sprawy, gdzie chce mieć władzę po swojej stronie i załatwiać sprawy z ministrem, wojewodą, premierem.

Przykładem pokazującym, jakie hierarchowie mają ambicje, był pochówek prezydenta Lecha Kaczyńskiego na Wawelu w kwietniu 2010 roku. Kardynał Stanisław Dziwisz miał wszystkie argumenty, żeby się na to nie zgodzić. Pamiętam, że kardynał Macharski po pochowaniu tam szczątków generała Władysława Sikorskiego – w czym sam uczestniczyłem w 1993 roku, pamiętam szedłem z Leszkiem Moczulskim w kondukcie – powiedział, że nekropolia wawelska jest zamknięta, że nie ma już miejsca na groby kolejnych przywódców. I trzeba się było tego trzymać. Ale kardynałowi Dziwiszowi zamarzył się nowy Zjazd Gnieźnieński, był przekonany, że przy okazji pogrzebu będzie miał w Krakowie 50 prezydentów, 20 premierów... I on, jako metropolita krakowski, będzie zarządzał tym wszystkim. Lecz w Islandii wybuchł wulkan i opatrzność zdecydowała, że wszystko spaliło na panewce.

Niezamierzona polaryzacja

Formacje rządzące w Polsce przed 2015 rokiem na pewno nie były idealne, jednak w wymiarze zasadniczym realizowały i budowały, może czasami nieporadnie, ten rodzaj kultury politycznej i prawnej, która wynikała z Konstytucji i zasad demokratycznego państwa prawa. Gdy w końcu 2005 roku kończyłem swoją dziesięcioletnią pracę w charakterze prezydenta Rzeczypospolitej uważałem, że większość dawnych historycznych podziałów między Polakami udało się przezwyciężyć. Nie sądziłem, że stoimy u progu nowej polaryzacji, może nawet bardziej dramatycznej, niż ta poprzednia. Przyznaję – nigdy nie sądziłem, że spór pomiędzy PO i PiS może dojść w następnych latach do tak dramatycznego napięcia.

Zawsze bylem przekonany, że różnice opinii są dla myśli politycznej czymś potrzebnym i ożywczym, a dialog między politycznymi adwersarzami może prowadzić do rozumnych kompromisów oraz być źródłem nowych pomysłów i nowych idei. Byłem też przeciwnikiem nadmiernej polaryzacji sceny politycznej. Uważałem, że sporom w de-

bacie publicznej musi towarzyszyć określona umiejętność jej uczestników – słuchać i słyszeć siebie nawzajem. Debata publiczna ma przecież sens tylko wtedy, gdy umiemy korzystać nawzajem ze swojej wiedzy, analizujemy opinie i propozycje programowe osób o innych niż nasz punktach widzenia i poglądach, czy o innych biografiach. Niestety, zapominamy o tym dzisiaj w 2024 roku, kiedy w zupełną niełaskę popadło samo pojęcie „pluralizm".

Mam przekonanie, że nie musiało tak być. Nie było żadnego zamysłu wprowadzenia w Polsce systemu dwupartyjnego czy doprowadzenia do polaryzacji sceny politycznej. Ponieważ w Konstytucji przyjęliśmy, że wybory do Sejmu mają być proporcjonalne, liczyliśmy się z tym, że przyniesie to duże rozdrobnienie w parlamencie i w konsekwencji może być problem ze stabilnością rządu. W ordynacji wprowadziliśmy więc kilka rozwiązań, które miały porządkować scenę polityczną – na przykład: bariera pięciu procent dla wejścia partii do parlamentu.

Dzisiaj uważam, że przy zabetonowanej scenie politycznej, kolosalnej różnicy możliwości finansowych partii, które są w Sejmie i otrzymują legalną dotację budżetową, nie mówiąc o nielegalnych czy takich dodatkowych wspomagaczach, anabolikach jak spółki Skarbu Państwa lub Fundusz Sprawiedliwości, to warto byłoby się zastanowić czy nie zmienić tego limitu, żeby już przekroczenie bariery trzech procent mogło pozwolić jakiejś nowej sile pokazać się i wejść do Sejmu. To byłby czynnik być może odświeżający. Również dla koalicji próg został ustalony za wysoko. Trzecim elementem, który niezwykle, moim zdaniem, polityczną scenę zabetonował jest ustawa o finansowaniu partii politycznych, bo ona doprowadza do dramatycznych nierówności. Sądzę, że teraz należy po prostu otworzyć trochę okno i przewietrzyć ten układ.

Czasem zastanawiam się, jak potoczyłaby się nasza historia, gdyby w 2005 roku, do czego nie było tak znowu daleko, jednak koalicja PO-PiS powstała, a dopiero potem się wewnętrznie zdezintegrowała, co było raczej nieuniknione. Premier Rokita pewnie miałby szanse dwa lata porządzić i pokazać wyborcom niewydolność tego układu, ale być może wtedy inni – lewica czy PSL – mogliby trochę urosnąć. Nie doszło do tego, bo już wtedy zaczęła się polityka polaryzacyjna. Jarosław Kaczyński i Donald Tusk zaczęli wtedy grę na polaryzację, która właściwie trwa do dziś. Kaczyński z Tuskiem prowadzą od dwudziestu lat

ten sam bój. To jest zasada: my – oni, patriota – zdrajca, swój – wróg.

Do końca XX wieku obowiązywał paradygmat – jeżeli chcesz wygrać wybory, musisz iść w stronę politycznego środka, czyli wygładzać kanty, uspokajać język. Mniej więcej od początku nowego wieku obowiązuje nowy paradygmat: jeżeli chcesz wygrać wybory, musisz polaryzować opinię publiczną. Musisz mieć wroga, musisz się do niego odnosić. Polaryzacja powoduje, że się w kleszcze bierze grupę tych niezdecydowanych, a jest ona coraz mniejsza. Na zasadzie polaryzacji od wielu już obrotów oparte są wybory amerykańskie, na tej samej zasadzie odbył się brexit i Macron wygrywał do czasu z Le Pen.

Czy jest jakieś wyjście z tej wyniszczającej polaryzacji? Obawiam się, że nie jest to proste. Obecny duopol w Polsce musi się w jakimś momencie skończyć z tego względu, że dzisiejsi liderzy odejdą i za nimi nie widać żadnych oczywistych następców tej samej jakości. To na pewno w którymś momencie będzie się zmieniać, natomiast czy metoda polaryzacyjna się skończy – bardzo wątpię. Moim zdaniem, pojawią się następni, którzy będą próbowali iść tą drogą. Wierzę jednak, że po tym chaosie informacyjnym i polaryzacyjnym nastąpi w Polsce kolejny etap rozwoju kultury politycznej i prawnej. Pytanie tylko, kiedy to nastąpi i jaką cenę za to zapłacimy?



Zgromadzenie Narodowe 2 IV 1997 r. Dzień uchwalenia Konstytucji RP, fot. Sławomir Kamiński, Agencja Wyborcza.pl



Upamiętnienie podpisania Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z 1997 r., fot. domena publiczna



Kampania przed referendum konstytucyjnym, Łódź, 23 IV 1997,
fot. Archiwum KPRP



Uroczystość powołania sędziego Trybunału Konstytucyjnego, 9 III 2001,
fot. Archiwum KPRP



Prezydencka kampania wyborcza, Rzeszów, 5 X 2000,
fot. Archiwum KPRP



Wiec przed referendum o przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej,
Głogów, 26 V 2003, fot. Archiwum KPRP



Konsultacje z premierem Jerzy Buzkiem i członkami jego rządu Bronisławem Geremkiem i Januszem Onyszkiewiczem, fot. K. Miller



Posiedzenie Rady Gabinetowej, 4 IX 2001, fot. Archiwum KPRP



Konsultacje polityczne z Arturem Balazsem, przewodniczącym Partii Konserwatywno-Ludowej, 10 VI 2003, fot. Archiwum KPRP



Leszek Miller i Danuta Hübner po ogłoszeniu wyników referendum o przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej, fot. W. Olkuśnik, Agencja Wyborcza.pl



Wizyta Papieża Jana Pawła II w Pałacu Prezydenckim, 11 VI 1999,
fot. Archiwum KPRP



Pierwszy po wielu latach uścisk dłoni Lecha Wałęsy i Aleksandra Kwaśniewskiego,
Watykan, 7 IV 2005, fot. Archiwum KPRP



Spotkanie Pary Prezydenckiej z Prezydentem Elektem Lechem Kaczyńskim i Małżonką Marią Kaczyńską, 15 XII 2005, fot. Archiwum KPRP



Zaprzysiężenie Bronisława Komorowskiego na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, 6 VIII 2010, fot. M. Chojnowski



Z wizytą u Redaktora Jerzego Giedroycia, 9 X 1997, fot. Archiwum KPRP



Odznaczenie Orderem Orła Białego Karola Modzelewskiego i Jacka Kuronia, 6 III 1998, fot. Archiwum KPRP



Po wręczeniu Janowi Karskiemu doktoratu Honoris Causa Uniwersytetu Łódzkiego, 27 VI 1996, fot. Archiwum KPRP



Uroczystości żałobne w 60. rocznicę pogromu Żydów w Jedwabnem, 10 VII 2001, fot. A. Sadowska, Agencja Wyborcza.pl



Hołd pomordowanym w Katyniu, 8 IV 1996, fot. Archiwum KPRP





Aleksander Kwaśniewski i Leonid Kuczma podczas obchodów 60. rocznicy tragedii wołyńskiej w Pawliwce (dawny Poryck), 11 lipca 2003, fot. Archiwum KPRP



Biskup polowy Sławoj Leszek Głódź nie stronił nigdy od polityki i polityków, fot. Archiwum KPRP



Odejście papieża Jana Pawła II zakończyło całą epokę w relacjach polskich polityków i biskupów, fot. Archiwum KPRP



Polityczny duopol PO i PIS ma swe początki w 2005 r. Donald Tusk
i Jarosław Kaczyński w Sejmie 2014 r., fot. S. Kamiński, Agencja Wyborcza.pl



Relacje władzy z hierarchami najbliższe były w okresie rządów
Prawa i Sprawiedliwości, fot. P. Droździk



Otwarcie nowej fabryki, Gliwice, 29 X 1998, fot. Archiwum KPRP



Konferencja „Narodowy Plan Rozwoju 2007–2013”, 20 I 2004,
fot. Archiwum KPRP



Janusz Steinhoff i Stanisław Ciosek. Debaty o rynkach wschodnich,
8 VIII 2015, fot. P. Droździk



Na tle inwestycji współfinansowanych przez UE chętnie fotografowali się
także eurosceptyczni politycy, źródło: www.dziennikzachodni.pl/GDDKiA

CZĘŚĆ DRUGA
POLSKA I ŚWIAT

ROZDZIAŁ TRZECI

Z EUROPEJSKIEJ PERSPEKTYWY

O globalnych wyzwaniach, dobrym sąsiedztwie,
stosunkach polsko-niemieckich
i europejskiej integracji

Chciałbym, aby istniały globalne instytucje, które wszyscy akceptują, abyśmy mogli rozwiązywać najważniejsze problemy

Rozmowa z Javierem Solaną

Które wydarzenia z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia miały pańskim zdaniem największy wpływ na kształt politycznego krajobrazu współczesnej Europy? Czy podejmowane wtedy decyzje były właściwe z dzisiejszego punktu widzenia?

Decyzje podjęte w latach dziewięćdziesiątych były bardzo istotne, ale proszę mi pozwolić najpierw powiedzieć parę słów o tym, co się stało w samym końcu lat osiemdziesiątych. Najważniejszym wydarzeniem, które przyniosło ze sobą niezwykle pozytywne konsekwencje, był bez wątpienia upadek muru berlińskiego. Było to coś naprawdę nieoczekiwanego. Ale ludzie wiedzieli, że to się wcześniej czy później musi wydarzyć. Niedługo wcześniej odbył się w Berlinie Wschodnim jeden z ostatnich szczytów Układu Warszawskiego. Dosłownie w przeddzień tego wydarzenia byłem w Polsce, towarzysząc królowi mojego kraju Juanowi Carlosowi I podczas jego wizyty[1]. Podczas kolacji posadzono mnie obok prezydenta waszego kraju, generała Wojciecha Jaruzelskiego. Odbyliśmy z nim bardzo szczerą rozmowę. Powiedział mi: „Jutro muszę jechać do Berlina Wschodniego, mamy tam spotkanie na szczycie Układu Warszawskiego i nie wiem, co się wydarzy. Trochę się tym niepokoję". Wie pani, co było dalej. Masowe demonstracje we wschodnich Niemczech i upadek muru.

Wcześniej, zanim odbyłem tę interesującą rozmowę z waszym prezydentem, rozmawiałem też z polskim premierem. W tym czasie mieliście już demokratycznie wybranego premiera, Tadeusza Mazowieckiego. Zaprosił on króla Hiszpanii, wraz z częścią delegacji, na lunch. Dobrze pamiętam jego konwersację z polskim premierem, który nam powiedział na wstępie: „No cóż, przede wszystkim muszę powiedzieć, że ciągle nie mogę uwierzyć, że tu jestem", bo został mianowany zaledwie kilka tygodni wcześniej. I po raz pierwszy, jako premier polskiego rządu, przyjmował wizytę zagranicznego gościa z zachodniej Europy. Może zatem pani sobie wyobrazić, jak intensywny był to okres.

Powołanie demokratycznego rządu w Polsce i upadek muru berlińskiego to były najważniejsze wydarzenia, które miały daleko idące przełomowe konsekwencje. Jak udało się uniknąć wtedy międzynarodowego kryzysu?

W kwestii zjednoczenia Niemiec, wydaje mi się, że negocjacje z Rosjanami prowadzili zasadniczo Niemcy z pomocą Amerykanów, Francuzów i oczywiście Brytyjczyków. I myślę, że te negocjacje były prowadzone bardzo skutecznie. Chciałbym tu zwłaszcza podkreślić sposób, w jaki prezydent Bush poradził sobie z tą sytuacją w 1989 i 1990 roku. Myślę, że załatwiał te rzeczy we właściwy sposób i szkoda, że sprawy nie były realizowane w tym duchu również później, kiedy nastąpił drugi wielki moment, jakim był rozpad Związku Radzieckiego. A to było, co do zasady, coś znacznie trudniejszego do przeprowadzenia, niż obalenie muru berlińskiego i zjednoczenie Niemiec. Ujmijmy to w ten sposób: dużo trudniej było sobie z tym poradzić.

Oczywiście, niektóre z podjętych wówczas decyzji zaowocowały dobrymi rozwiązaniami. Widzieliśmy jednak, jaki był problem z radziecką bronią jądrową i z niektórymi nowymi niepodległymi krajami, w których ujawniły się wewnętrzne podziały, szczególnie z Ukrainą i Gruzją.

Czy poznał pan już wtedy, w czasie swej pierwszej wizyty w Warszawie, w październiku 1989 roku, Aleksandra Kwaśniewskiego?

Aleksandra Kwaśniewskiego uważam za mojego bardzo, bardzo dobrego przyjaciela. Chyba na tej kolacji u prezydenta Jaruzelskiego

i lunchu u premiera Mazowieckiego w październiku 1989 roku go nie było. Poznaliśmy się nieco później, w roku 1992. W tym czasie przyjechał do Barcelony na igrzyska olimpijskie. Odbyliśmy tam kilka spotkań. Był on wtedy przewodniczącym polskiej socjaldemokracji, a ja byłem jednym z liderów PSOE, Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej.

A potem, kiedy Kwaśniewski został prezydentem, to ja podpisywałem dokumenty dotyczące wejścia waszego kraju do NATO jako sekretarz generalny sojuszu i parę lat później do Unii Europejskiej, gdzie pełniłem odpowiedzialną funkcję w Radzie Europejskiej. Byliśmy też razem w Kijowie w 2004 roku. Dlatego z moją osobistą relacją z tym polskim politykiem wiążą się dla mnie bardzo dobre wspomnienia.

Również w 2013 i w 2014 roku byłem w stałym kontakcie z Aleksandrem Kwaśniewskim, który był fantastycznie skuteczny, jeśli chodzi o wszystkie działania w Ukrainie. Potem zresztą kontynuowaliśmy naszą znajomość. Bardzo intensywną, bo razem działaliśmy w Fundacji YES i do 2014 roku widywałem go regularnie, spotykaliśmy się na Krymie. Teraz widujemy się rzadziej, obydwaj zakończyliśmy działalność polityczną. Jest on moim dobrym przyjacielem, bardzo go szanuję. Wywarł ogromny wpływ na stosunki między Polską i Ukrainą, Unią Europejską i Ukrainą. Jest nadal naprawdę bardzo zaangażowany w sprawy Ukrainy.

Miał pan na przełomie XX i XXI wieku swój osobisty udział w kształtowaniu się relacji NATO i Unii Europejskiej z Rosją i Ukrainą. Jak pan ocenia przebieg rozmów z tymi krajami? Dlaczego nie udało się zapewnić stabilnego pokoju we wschodniej części naszego kontynentu?

To ja negocjowałem dokument, który działał na zasadzie porozumienia między NATO a Rosją, zezwalającego na pierwsze rozszerzenie NATO. To były owocne negocjacje. Rozpoczęliśmy je w lutym 1997 roku, a w maju w zasadzie było po wszystkim...

Otworzyliśmy wtedy NATO dla trzech krajów. Jednocześnie stworzyliśmy dwie nowe instytucje. Jedną z nich była Rada NATO-Rosja, a drugą Komisja NATO-Ukraina[2]. Byłem bardzo zadowolony, kiedy to zakończyliśmy, ponieważ uważałem, że musimy rozwiązać najważniejszy problem: droga do rozszerzenia NATO zostanie otwarta, jeśli Rosja

zaakceptuje to na piśmie. Oprócz tego powinniśmy ustanowić nowe instytucje, o których wspomniałem. Wiedzieliśmy, że Rosja i Ukraina mają decydujący głos, a obydwa te kraje posiadały broń nuklearną[3]. Dlatego musieliśmy zbudować znacznie lepsze, bardziej rozwinięte relacje z obydwoma tymi krajami.

Jak pan ocenia skuteczność polityki NATO i całego Zachodu wobec Rosji przez te wszystkie lata?

Cóż, myślę, że początki były całkiem udane. Mieliśmy stale funkcjonującą Radę NATO-Rosja. Nie działała idealnie, ale jednak… Mieliśmy też działającą Komisję NATO-Ukraina. To było za czasów Jelcyna. Kiedy Jelcyn przekazał swoją władzę Putinowi, w pierwszym okresie, wtedy nie powiedziałbym, że Putin jest mordercą. Wydawał się kimś, z kim da się rozmawiać. Pamiętam, jak pierwszy raz spotkałem się z nim razem z premierem Finlandii, która sprawowała wtedy prezydencję w Unii Europejskiej. Odbyliśmy bardzo długą rozmowę i wyglądało na to, że możemy iść dalej w tym kierunku. I wtedy nadszedł bardzo ważny moment – nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich, a był to 11 września 2001 roku. Tragedia, która wydarzyła się 11 września była poważnym ciosem dla całej zachodniej wspólnoty i trzeba było wytyczyć kierunki dalszego działania. W tym momencie Stany Zjednoczone skoncentrowały swoją politykę wewnętrzną i zagraniczną, politykę militarną, na działaniach w Afganistanie, interwencji w Iraku, schwytaniu bin Ladena i tak dalej.

Prawdopodobnie dlatego nie kontynuowaliśmy rozmów z Rosjanami na takim poziomie, na jakim powinniśmy to robić. Nie twierdzę, że to wszystko tłumaczy, ale być może dlatego doznaliśmy takiego szoku w 2007 roku, kiedy podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa Putin wygłosił swoje przemówienie. Od tego momentu, aż do 2014 roku, relacje z Rosją tylko się pogarszały.

Czy NATO zareagowało na tę zmianę we właściwy sposób?

NATO zostało zbudowane w świecie, który wyglądał zupełnie inaczej, niż dzisiejszy. Byłem sekretarzem generalnym NATO w latach 1997–1998. Później byłem już w stu procentach zaangażowany w sprawy Unii Europejskiej i patrzyłem na międzynarodową politykę z jej

perspektywy. Pytanie o kolejne rozszerzenie zasadniczo pojawiło się zaraz po pierwszym, już w 1999 roku. Myślę, że te debaty, dyskusje o dalszym rozszerzeniu NATO w latach 1999, 2004 i 2008 były bardzo istotne, to były trudne, ale konieczne decyzje. NATO nadal jest organizacją bezpieczeństwa, która przecież nigdy nie zagrażała Rosji, z coraz większą liczbą członków, większą niż początkowo sądzono.

Konfrontacja Rosji z NATO zaczęła się od Ukrainy, po wyborach w tym kraju w 2004 roku. Jak pani pamięta, trzeba je było powtórzyć. Wyniki wyborów zafałszowano najpierw na korzyść kandydata prorosyjskiego – Wiktora Janukowycza. Było to dla Ukraińców nie do przyjęcia. I tu Aleksander Kwaśniewski, ja i prezydent Litwy Valdas Adamkus odegraliśmy bardzo istotną rolę. Dlatego wybory powtórzono. Wygrał je Wiktor Juszczenko. A my musieliśmy skłonić Rosjan do zaakceptowania powtórki wyborów. To było bardzo trudne. A potem do przyjęcia ich wyników. I to była najważniejsza zmiana w tym okresie, bo mieliśmy demokratycznie przeprowadzone wybory, a Ukraina zyskała możliwość wejścia na drogę prowadzącą ku demokracji. I to był dla Putina pierwszy cios, bo Putin był pewien, że prezydentem będzie Janukowycz, a od Ukrainy rozpocznie się odbudowa Związku Radzieckiego.

Dziesięć lat później, kiedy negocjowaliśmy traktat o stowarzyszeniu między Unią Europejską a Ukrainą i mieliśmy go podpisać, prezydentem był już Janukowycz. On z początku zamierzał podpisać tę umowę. Wtedy jednak otrzymał informację, właściwie zalecenie z Rosji, że nie może tego zrobić. A potem zaczęła się wojna między Ukrainą a Rosją na wschodzie Ukrainy. Zatem obecna wojna nie zaczęła się w lutym 2022 roku, to jest wojna, która trwa od 2014 roku, kiedy Rosja zajęła Krym.

Czy uważa pan, że państwa członkowskie NATO mogą dziś stworzyć jakiś wspólny mechanizm bezpieczeństwa zbiorowego? Jakie są pana prognozy dotyczące przyszłości Ukrainy w UE i NATO?

NATO gwarantuje bezpieczeństwo swoim członkom. Trudno przewidzieć ostateczny wynik tej rozgrywki z Rosją. Przypuszczalnie jej rezultatem będzie NATO z Ukrainą w swoich szeregach i Unia Europejska z Ukrainą, jako państwem członkowskim. W przypadku NATO będzie to trudne, ponieważ nie można zostać członkiem NATO w trakcie

prowadzonej wojny. Trzeba zatem znaleźć unikalne rozwiązanie tej sytuacji, którego dziś jeszcze nie widzimy. A jeśli chodzi o Unię Europejską, zamierzamy rozpocząć negocjacje, ale oczywiście po drugiej stronie stołu potrzebujemy stabilnego kraju. Musimy przecież negocjować umowy ekonomiczne, zapewnić przyłączenie gospodarki ukraińskiej do europejskiego jednolitego rynku. Fakt, że mamy do czynienia z konfliktem zbrojnym, bardzo utrudnia sprawę, ale jestem przekonany, że pewnego dnia powitamy Ukrainę w gronie członków Unii.

Żyjemy w świecie, w którym ONZ i inne organizacje międzynarodowe, mające zabezpieczyć przestrzeganie prawa międzynarodowego i zapewnić światu pokój, nie działają w sposób właściwy, bo niektóre kraje, na przykład Rosja, które są ich członkami, potrafią w sposób cyniczny i bezwzględny łamać zasady, na których zbudowano międzynarodowy ład. Jak pan myśli, w jakim kierunku zmierza globalna polityka?

To bardzo ważne pytanie. W najbliższych latach będziemy świadkami niezwykle istotnych zmian. Prawdopodobnie przez kolejne lata będziemy widzieć w Chinach rządy układu zbudowanego podczas ostatniego zjazdu Komunistycznej Partii Chin, który potwierdził władzę Xi Jinpinga. Mamy też kolejne wybory w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście kwestia tego, co wydarzy się w Stanach Zjednoczonych, jest dużo bardziej otwarta niż to, co może się stać w Rosji i Chinach. Ale wyniki wyborów amerykańskich w listopadzie 2024 roku będą miały fundamentalne znaczenie, ponieważ będą mieć ogromny wpływ na stosunki między tymi potęgami. Tak uważają ci, którzy podobnie jak ja wierzą, że powrót do protekcjonizmu, do izolacjonizmu oznaczałby demontaż globalnej gospodarki i byłby wielkim błędem ze strony zachodnich demokracji. Wielkie problemy świata, który jest domem całego gatunku ludzkiego, muszą być rozwiązywane w sposób pokojowy i potrzebujemy instytucji, które potrafią przekuć te dyskusje na konkretne działania. Takie instytucje są absolutnie niezbędne.

A jak pan uważa, dokąd zmierza świat? W stronę globalizacji, a może czeka nas proces odwrotny – zwrot ku regionalnemu protekcjonizmowi?

Gospodarcza globalizacja nie posuwa się z prędkością światła. Praktycznie rozwija się w stałym tempie. Jeśli spojrzymy na parametry, liczby dotyczące importu i eksportu, produktu światowego brutto, jest to praktycznie stała wartość. Odnotowano niewielki spadek gospodarczy. Globalna współpraca, która ekonomicznie być może trochę zwalnia, ale w zasadzie stale się rozwija, natomiast instytucje nie nadążają za tempem tego rozwoju. Mam nadzieję, że utrzymamy ten obecny poziom globalnej współpracy. I będziemy mieć polityczną zdolność budowy instytucji, które funkcjonują w taki sposób, że wszyscy zgadzają się, iż nie możemy rozwiązać problemów społecznych bez wielkich umów międzynarodowych – to dotyczy zmian klimatycznych, pandemii i tak dalej. Dlatego chciałbym, aby istniały globalne instytucje, w których wszyscy są zadowoleni i wszyscy je akceptują, abyśmy mogli zacząć rozwiązywać najważniejsze problemy. A do tego potrzebne są dobre relacje z dwoma wielkimi mocarstwami, Rosją i Chinami, które w tym momencie nie działają prawidłowo. Nie wiem, jak mogłoby to wyglądać, ale waga tych stosunków jest olbrzymia, bo globalnych problemów nie da się rozwiązać bez współpracy.

Wracając do współczesnej polityki: w dzisiejszych czasach widzimy, że w niektórych państwach Europy wybory wygrywają partie populistyczne i nacjonalistyczne. Co się zmieniło?

Nie wydaje mi się, aby w Unii Europejskiej było aż tak dużo nacjonalistycznych partii u władzy, ale myślę, że większość krajów będzie kontynuować obecną politykę. Kiedy dzisiaj patrzę na Niemcy, nie wiem, co się stanie, ale nie sądzę, żeby ktoś złamał zasady. Myślę, że nawet rządy w Węgrzech i w Polsce będą działać w harmonii z pozostałymi państwami, niedoskonałej harmonii, ale jednak. Nie sądzę także, aby globalne relacje między Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi uległy zmianie, chyba że Stany Zjednoczone pójdą w kierunku nowego izolacjonizmu. To byłby prawdziwy dramat.

Myślę, że Unia Europejska działa we właściwy sposób. Ciężko pracujemy wewnątrz Unii. Myślę więc, że z tego punktu widzenia Unia Europejska zmierza w kierunku głębszej integracji. Większość krajów chce się bardziej integrować, tylko kilka państw nie ma w tej sprawie wątpliwości. Myślę jednak, że w zglobalizowanym świecie, w którym żyjemy, musimy być bardziej zintegrowani energetycznie. Nie może-

my być tak bardzo uzależnieni od surowców z Rosji, co jest trudne do osiągnięcia. Dzisiaj jesteśmy jednak w innej sytuacji. Lekcja jest taka, że musimy zintegrować europejski rynek energetyczny. Musimy się integrować gospodarczo. Od czasu pandemii radzimy sobie bardzo dobrze. Jako Europejczycy wykonaliśmy bardzo dobrą robotę. Myślę, że teraz najważniejszą sprawą jest rozwiązanie kryzysu, który jest wynikiem wojny w Ukrainie. Ale jako Europejczyk myślę, że posuwamy się naprzód, i to w bardzo rozsądny sposób.

Rozmowę przeprowadziła Krystyna Vlodek

[1] Król Hiszpanii Juan Carlos I złożył wizytę w Polsce w dniach 3–4 października 1988 roku (przyp. red.).

[2] Na szczycie NATO w Paryżu 27 maja 1997 roku podpisano Akt Stanowiący o Wzajemnych Stosunkach, Współpracy i Bezpieczeństwie (NRFA), między NATO i Rosją, na mocy którego m.in. powołana została Rada NATO-Rosja (ang. NATO-Russia Council, NRC). Komisja NATO-Ukraina (ang. NATO-Ukraine Commission, NUC), powołana została na mocy *Karty Szczególnego Partnerstwa między Organizacją Traktatu Północnoatlantyckiego a Ukrainą*, 9 lipca 1997 roku. Na szczycie NATO w Wilnie w 2023 roku Komisja NATO–Ukraina została zastąpiona przez Radę NATO-Ukraina (przyp. red.).

[3] Ukraina zrezygnowała z niej na mocy *Memorandum Budapesztańskiego o Gwarancjach Bezpieczeństwa* z 5 grudnia 1994 roku (przyp. red.).

Od polityki słusznie się oczekuje, by tworzyła rozwiązania, a nie budowała nowe góry problemów

Rozmowa z Ritą Süssmuth

Zacznijmy rozmowę od polsko-niemieckiego dialogu politycznego i historycznego. Czy jest pani zadowolona z tego, co Polacy i Niemcy osiągnęli we wzajemnych relacjach?

Proszę mi pozwolić, że najpierw przede wszystkim opiszę moje ogólne wrażenia, dotyczące wojny i pokoju. Wynikają z moich własnych doświadczeń. W 1945 roku miałam osiem lat, urodziłam się w 1937 roku. Kiedy wojna się skończyła byłam więc ośmioletnim dzieckiem. Koniec wojny spotkał mnie w Münsterland, na wsi. Na początku wojny przyjechałam tam z mojego rodzinnego miasta Wuppertal. Ta przeprowadzka wynikała ze względów bezpieczeństwa i właściwie mogłabym powiedzieć, że zostałam tam ewakuowana. Pamiętam jeszcze dziś odgłos spadającej bomby. Śniło mi się, chyba kilka tysięcy razy, że leżę spalona i zwęglona na klatce schodowej. Nie mogłam pozbyć się tego snu. To zostało na zawsze w mojej pamięci.

Pamiętam, że dziękowałam Bogu, gdy wojna się skończyła. Ale nie skończył się jeszcze głód – konsekwencja wojennych zniszczeń. Pozostała we mnie i wrosła bardzo głęboko pamięć o brutalnej przemocy wojny, zarówno z powietrza, jak i z ziemi.

Pierwsze bardzo intensywne wrażenia i wspomnienia związane z Polską wywołały u mnie lektury w czasach szkolnych. Naturalnie czytałam dużo książek. Dochodziło do mnie, jak okropną niesprawie-

dliwością wobec Polski, taką obezwładniającą, była chęć zmiecenia przez nazistów tego kraju z powierzchni ziemi. To było coś, z czym jako młoda osoba nie mogłam się pogodzić... Zawsze byłam wrażliwa na doświadczenia wojny i przemocy, na ucisk oraz brak uznania i ochrony prawa każdego człowieka do życia. Wracam często do myśli Hannah Arendt, z którą kiedyś rozmawiałam, że to nieprawda, że jak raz zdarzyło się coś tak strasznego, to już nigdy się nie powtórzy. Zdarzyło się nie tylko w pierwszej wojnie światowej, zdarzyło się w czasie drugiej wojny.

To właśnie zainteresowanie się losami Polski było dla mnie głównym motywem do zajęcia się tymi strasznymi czasami. Myślę, że znam dość dobrze historię Europy Wschodniej. Ale wtedy nie wiedziałam, jakie to będzie miało konsekwencje przez wiele lat mojego życia i mogę powiedzieć aż do dzisiaj.

Czy w tej trwającej od dziesięcioleci rozmowie na temat polsko-niemieckiego sąsiedztwa był jakiś moment przełomowy?

Zastanawiałam się nieraz, czego chcą sąsiedzi od siebie nawzajem, co to znaczy „dobre sąsiedztwo". Nasze wschodnie sąsiedztwo to Polska, Czechy, Węgry, Słowacja. Ja na studiach spędziłam też dużo czasu w byłej Jugosławii i uważam, że kraje powstałe po jej rozpadzie też należą w jakiejś mierze do tego naszego wschodniego sąsiedztwa.

Jeśli chodzi o Polskę, to dla mojego pokolenia największa zmiana nastąpiła w czasie, kiedy w Polsce ogłoszono stan wojenny. Stan wojenny był decydujący dla bardzo wielu Niemców, jeśli chodzi o postrzeganie Polski. To wtedy zrodził się masowy odruch solidarności – my wam pomożemy, pomożemy. Z Niemiec i z całej Europy przesyłano do waszego kraju żywność, odzież, zabawki i tym podobne. I to spowodowało w moim przekonaniu większe zbliżenie Niemców do Polaków nawet, niż różne późniejsze i wcześniejsze traktaty.

Oczywiście, dla mnie również bardzo ważny był list polskich biskupów z 1965 roku. Można naprawdę powiedzieć, że był to list, który stanowił podstawę zbliżenia i pojednania. Polscy biskupi przeprosili za wzajemne krzywdy. Uważam, że także Niemcy powinni byli to zrobić, ale wtedy niemieccy hierarchowie tego nie uczynili… Może ten list polskich biskupów był przedwczesny? Niemcy nie wiedzieli, jak na niego zareagować. Tak było w tamtym czasie. Ale potem to się zmieniło. Już 10–15 lat później ten list odgrywał dużą rolę.

Kiedy ja do tego polsko-niemieckiego dialogu dołączyłam, mieliśmy wcześniej całe pokolenie ludzi zaangażowanych we współpracę w dziedzinie sztuki, w dziedzinie nauki. Moja osobista pamięć o relacjach polsko-niemieckich obejmuje również czas i kontekst moich uniwersyteckich studiów. Polska stała się naszym najważniejszym krajem sąsiedzkim, ale w tamtym czasie młodzi Niemcy jeździli za granicę na studia tylko do Francji. Ja także wtedy zdecydowałam się studiować we Francji. Mogłam studiować w Polsce, gdzie przecież kontrola studentów przez władze komunistyczne była znacznie łagodniejsza, niż w Niemczech Wschodnich. Ale jednak to były wtedy odrębne światy.

Oczywiście istniały też stowarzyszenia młodzieży, które pomagały ludziom pokrzywdzonym przez wojnę, rodzinom, które ucierpiały, czy osobom, które opiekowały się chorymi. Ale była także obawa, bo ludzie z Polski byli przecież bardzo skrzywdzeni, nie wiedzieliśmy czy podadzą nam rękę, czy będziemy mogli działać razem… Oczywiście, taka młodzieżowa działalność na rzecz pojednania nie wystarczy za cały naród, nie wystarczy też za polityków.

Później zaangażowałam się w politykę. Nigdy nie byłam zakochana w uprawianiu nauki, prowadzeniu badań i miałam szczęście, że mimo wszystko znalazłam na jakiś czas swoje miejsce na uniwersytecie. Pamiętam, że trudno mi było przejść z uniwersytetu do polityki. Ale uznałam, że powinnam to zrobić, jeśli chciałam naprawdę coś zmienić w rzeczywistości. To była długoterminowa decyzja.

Prawdziwy przełom w polsko-niemieckich relacjach nastąpił po roku 1989…

Polska chciała stać się w pełni niepodległym państwem, mieliście „Solidarność". Jestem pewna, że nie udałoby się nam doprowadzić do przełomu po 1989 roku, do zjednoczenia Niemiec bez pomocy naszych polskich sąsiadów. Oczywiście także bez Gorbaczowa. Można również nazwać kraje, takie jak: Litwa, Estonia, Łotwa, Ukraina. To wyzwolenie od Rosji w tym czasie, było zdecydowane przez samych ludzi. Ale Gorbaczow dał im tę wolność, możliwość jej uzyskania.

Chciałabym najpierw opowiedzieć o moim pierwszym spotkaniu z ministrem Aleksandrem Kwaśniewskim, które odbyło się nieco wcześniej, jeszcze przed tym rokiem przełomu. Pod tym terminem polsko-niemieckie pojednanie i zbliżenie widzę także moje relacje z Kwaśniewskim.

Pamiętam, jak w 1988 roku, po całym dniu trudnych rozmów[1], byliśmy już bardzo zmęczeni w porze wieczornego posiłku. Musieliśmy powiedzieć kuchni, że przyjdziemy na kolację dopiero wtedy, kiedy będziemy gotowi. Zgodziliśmy się, że najpierw praca, a później kolacja. I – przyznaję – coś naprawdę nam się wtedy udało, coś ważnego i pozytywnego wyszło z tej intensywności naszej pierwszej rozmowy. W końcu poszedł on bardzo daleko w czasie tych rozmów jako młody minister do spraw młodzieży i sportu, może nawet ryzykował. On bardzo chciał zintensyfikować współpracę młodzieży polskiej i niemieckiej. Tak szybko, jak to możliwe. I udało się. Pomimo wszystkich barier, które istniały w tamtym czasie dla Polaków i dla nas, wiele się ruszyło, co potem naprawdę doprowadziło do przełomu w 1989 roku.

Czy uważa pani, że oba kraje osiągnęły zakładane przez siebie cele tego zbliżenia, czy też jeszcze nie?

Ta historia najnowszych stosunków polsko-niemieckich jest naznaczona ruchami w przód i w tył. Po przełomie 1989 roku Polska mogła żyć na fali wznoszącej. Mieliśmy następnie bardzo dobre lata do 2015 roku, potem znowu nastroje się pogorszyły. Zobaczymy, co przyniosą następne lata.

Jako historyk twierdzę, że historia tworzy długotrwałe procesy. Czasami spoglądamy wstecz i widzimy te różne ruchy w górę i w dół. Następnie są dłuższe okresy stabilności, a także dłuższe okresy niestabilności. Ważny jest jednak długoterminowy trend. Jestem przekonana, że patrząc z tej perspektywy, uda się nam ustanowić trwałe dobrosąsiedzkie stosunki z Polską. Nawet, jeśli są w naszych krajach takie polityczne partie, które mówią „nie".

Czy udało się nam już przezwyciężyć dziedzictwo II wojny światowej?

Konsekwencji tego, co wydarzyło się podczas wojny nie da się szybko wyleczyć. To jest skażenie na dziesięciolecia, może nawet na stulecia. Ale powtarzam, trzeba myśleć w długiej perspektywie. Jeśli wiemy, że nie da się tego zrobić szybko, to po prostu musimy robić to, co można i czekać na rezultaty.

Najpierw musimy się wzajemnie lepiej zrozumieć. Na przykład zrozumieć los wypędzonych. Pamiętajmy, że pierwszymi wypędzony-

mi byli Polacy, potem Rosjanie, a w końcu wojny – także Niemcy. Więc ten wspólny los ludzi deportowanych i wypędzonych, nawet jeśli powstał z innej przyczyny, jest częścią tego procesu wzajemnego zrozumienia. Mówiłam już o współpracy młodzieży… Trzeba też wspomnieć o partnerstwie miast. Na początku przyjeżdżało się na krótko, zwykle tylko na jeden dzień. Następnie przedłużano te wizyty. To wszystko były dość długotrwałe procesy zbliżania się do siebie. I to odegrało bardzo ważną rolę. Mieliśmy optymalny okres, w latach osiemdziesiątych, związany z wieloma kontaktami polsko-niemieckimi, politycznymi i gospodarczymi. To dobrze, że postanowiliśmy być teraz dobrymi sąsiadami i przyjaciółmi.

Po 2015 roku pojawiły się trudności polityczne w naszych relacjach. W Polsce bardzo dużo się mówiło o roszczeniach reparacyjnych. Mogę odpowiedzieć, że problem oczywiście nadal istnieje. Możemy też powiedzieć, że to zostało oficjalnie zakończone 9 listopada 1990 roku, ale ta konkluzja dla wielu ludzi nie zamyka sprawy. Ważne jest, abyśmy nie rezygnowali z naszej woli osiągnięcia porozumienia.

Polacy są bardzo silnym krajem, największym spośród krajów Europy Środkowej i Wschodniej, który postawił na współpracę z zachodnimi sąsiadami, na integrację gospodarczą. Widzę, jak wielu z nich dziś pracuje w Niemczech, w Holandii, w Anglii. Spójrz na polskie ulice, spójrz na świeżo wykonane domy, jak są czyste i nowoczesne.

Kiedy Niemcy jadą dziś do Polski, wracają z pozytywnym obrazami tego kraju. To było ważne, że Polacy dostali możliwość wejścia do Unii Europejskiej w pierwszej kolejności. Kanclerz Kohl popierał to bardzo zdecydowanie, naprawdę zrobił to bardzo świadomie i bardzo skrupulatnie. A dlaczego to było takie ważne? Dlatego, żeby oba nasze państwa mogły wspólnie korzystać z członkostwa w UE.

Jak widzi pani przyszłość Unii Europejskiej i integracji europejskiej?

Przede wszystkim nie chodzi o to, jak ja to widzę, ale to, czego potrzebujemy, biorąc pod uwagę sytuację w Europie. A sytuacja europejska jest jednocześnie sytuacją globalną. Jeśli mówimy o różnych krajach europejskich, to każdy z nich zna przecież swoją zależność od innych. Ale każdy kraj ma również swoje interesy, także w zakresie bezpieczeństwa i rozwoju gospodarczego. Każdy kraj chce jednak zachować swoją odrębność, swoje cechy szczególne. Musimy zwracać na to

uwagę. Ale musimy też uważnie myśleć o tym, co jest wspólnotowe i europejskie. Chodzi mi o to, że interesy europejskie są nadrzędne.

Europejska wspólnota tak naprawdę powstała w wyniku trudności wywołanych przez II wojnę światową. To Churchill powiedział w swoim przemówieniu w Zurychu w 1946 roku: „Nie chcemy kontynuować tej niedoli. Musimy stanąć razem”[2].

Zapytałaś mnie, jak postrzegam Europę? Muszę to jasno powiedzieć. Europa zbyt wolno staje się wspólną Europą. Od roku 1945 do dziś upłynęło już bardzo wiele lat. Często spieramy się o drobiazgi, podczas gdy musimy skupić się na rzeczach zasadniczych, na przykład jak radzimy sobie z napływem imigrantów. To powinien być impuls do pracy i myślenia o nowych możliwościach. Jestem zdania, że każdy człowiek musi coś nazwać swoim. Czym różnię się ja od kogoś innego? Mamy wiele do zrobienia, aby nadrobić przeszłe niepowodzenia. To są procesy, które są trudne, także w Europie. Jeśli każdy ograniczy się do tego, że ja to ja, a ty to ty, to wtedy brakuje „my”. A potrzebujemy teraz więcej tego „my”. Zwłaszcza Niemcy i Polacy muszą pokazać, że nie jesteśmy w nastroju mroku, ale że przezwyciężamy ten przejściowy kryzys w naszych relacjach.

Dla mnie ważne jest słowo „mimo wszystko”. Zawsze widzę stół pełen piętrzących się problemów. Mimo to zobaczmy, dokąd możemy pójść. Od polityki słusznie się tego oczekuje. Aby działała, aby tworzyła rozwiązania, a nie budowała nowe góry trudności.

Czy uważa pani, że jednym z nośników tego tworzenia nowych problemów są prawicowe partie populistyczne w różnych krajach europejskich? Czy mogą one stanowić zagrożenie dla tej europejskiej jedności?

Tak. Myślę, że istnieje kilka niebezpieczeństw. A nie jeden kryzys o charakterze kulturowym. Jak chcemy iść dalej? Jeśli istnieje pewien sposób myślenia, że zagrożenie pochodzi od innych, to ja tak nie uważam. Niemcy, które nie będą akceptowały u siebie obcokrajowców, nie będą w stanie przetrwać. Ja tego nie chcę. To są stare klisze. Nawet samotni rodzice zdają sobie sprawę, jak bardzo potrzebują innych. Jesteśmy istotami społecznymi zależnymi od siebie nawzajem i mamy ogromny potencjał w naszych umysłach i w naszym emocjonalnym świecie. Możemy stworzyć więcej, niż mamy dzisiaj.

W stosunkach z Polską pojawiają się napięcia, gdy stawiamy na stole tylko zarzuty dotyczące tego, co Niemcy zrobili w przeszłości. Ja też nie mogę o tym zapomnieć. Ale jeśli będę myślała tylko o dniu wczorajszym, to nigdy nie dotrę do jutra. Jeśli będziemy troszczyli się tylko o siebie i mówili: „niech inni zobaczą, jak sobie bez nas poradzą", to już nie jest ta wymarzona Europa dnia dzisiejszego i jutrzejszego. Bez silnej Unii, ze wszystkimi różnicami, kulturowymi, społecznymi, nigdy nie osiągniemy spójności Europy. Jesteśmy Europejczykami. Ci Europejczycy nie są lepsi od innych narodów. Ale inni. Wiele małych miast może istnieć tylko wtedy, gdy się zjednoczą. Myślę, że to jasno pokazuje, dokąd chcę iść. Jesteśmy różni, ale nie odrębni.

Kolejne pytanie dotyczy niemieckiej polityki wschodniej w latach dziewięćdziesiątych. Jak ocenia pani niemiecką Ostpolitik tego okresu?

Często wspominam byłego polskiego ministra spraw zagranicznych Władysława Bartoszewskiego. Ten człowiek był przykładem dla innych. To był prawdziwe europejski polityk. On sam przeszedł wiele w życiu. Byli także inni, którzy chcieli polsko-niemieckiej współpracy pokojowej i produktywnej, budowania. Potrzebowaliśmy takich ludzi we wszystkich pokoleniach, we wszystkich warstwach społecznych. Czas „Solidarności" wspominam jako wspaniały czas.

A jeśli spojrzeć na niemiecką politykę wschodnią nie tylko wobec Polski, ale na przykład wobec Rosji, wobec Ukrainy?

Ta druga wojna na Ukrainie jest czymś, czego nie powinniśmy tolerować w żadnych okolicznościach. Ale nadal mam nadzieję, że nadejdzie czas, kiedy drzwi w Rosji zostaną ponownie otwarte i będą mogli nawiązać tam relacje.

Mówię przede wszystkim o latach dziewięćdziesiątych, wspominam tamte czasy. Zostały wtedy zainicjowane pozytywne zmiany. Gorbaczow dał ludziom w Rosji więcej wolności. Znasz taki region jak Niżny Nowogród? To był wtedy kwitnący region i tam było widać, że nawet mniejsze jednostki mogą, w warunkach demokracji i swobody gospodarczej, działać i rozwijać się. Na jego czele stał wtedy Borys Niemcow. Było wiele relacji z Rosją, które intensywnie utrzymywaliśmy. Widać również zbliżenie w dziedzinie kultury, w edukacji.

A wobec Ukrainy? Jak ocenia pani politykę Niemiec wobec Ukrainy, czy w latach dziewięćdziesiątych XX wieku i później, na początku XXI wieku była ona skuteczna?

Myślisz o polityce z czasów wojny przeciwko Ukrainie od 2022 roku?

Mam na myśli niemiecką politykę wobec Ukrainy poczynając od uzyskania przez ten kraj niepodległości w 1991 roku…

Teraz mamy jasne proukraińskie stanowisko, podejmujemy działania wspierające ją. I mówię, że tak nie może być, że nie można godzić się z agresją. Musimy pomóc Ukraińcom odnieść sukces. Ponieważ przeciwko Ukrainie została wszczęta agresywna wojna, mamy obowiązek, jako nie tylko Europejczycy, ale jako ludzie, bronić Ukrainy, umożliwić jej przetrwanie. I to musi być podstawowa postawa w polityce. Jednak nie każde żądanie jest dla nas do zrealizowania i do tego Ukraina też będzie musiała się przyzwyczaić. Każdy kraj ma swoje interesy i zobowiązania. Ale możemy wiele osiągnąć, jeśli pójdziemy razem.

Nie mogę teraz powiedzieć, jak będzie wyglądała polityka Niemiec i całego Zachodu wobec Ukrainy i innych krajów za 20 lat. Zmiany często zachodzą zbyt szybko. Trzeba uważać, by w miarę możliwości szły one w kierunku pozytywnym.

Rozmowę przeprowadziła Alina Kurska

[1] W latach 1985–1988 Rita Suessmuth była federalnym ministrem ds. młodzieży, rodziny, kobiet i zdrowia (przyp. red.).

[2] Mowa o przemówieniu wygłoszonym przez Winstona Churchilla (Zurych, 19 września 1946 roku), w którym francusko-niemieckie pojednanie i ustanowienie organizacji europejskiej określił jako warunki pokoju i wolności na całym kontynencie (przyp. red.).

Odpowiedzialność za obecną sytuację nie jest w całości ani nawet w części nasza

Rozmowa z Romano Prodim

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych oraz w pierwszej dekadzie XXI wieku był pan przewodniczącym Komisji Europejskiej oraz dwukrotnie premierem Włoch. Czy mógłby wskazać pan kluczowe dylematy polityki międzynarodowej tamtych czasów?

W latach dziewięćdziesiątych prawdziwym problemem było współistnienie dwóch zjawisk. Z jednej strony, trzeba było ponownie ułożyć świat po upadku Związku Radzieckiego. Z drugiej strony, zaistniał przesadny i nieuzasadniony optymizm, który powodował, że tak naprawdę nie było woli porządkowania ładu międzynarodowego. To poczucie końca historii to nie była tylko książka Fukuyamy, to było powszechne poczucie. Wydawało się, że zaczęło się wielkie stulecie Stanów Zjednoczonych i sprawy załatwią się same.

Właśnie w tamtym czasie, gdy po raz pierwszy byłem premierem Włoch, spotkałem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.Byłem nim bardzo zainteresowany ze względu na jego doświadczenie ministerialne przed rokiem 1989. Proszę postawić się w sytuacji Włochów, ze wszystkimi naszymi problemami z komunizmem. Spotkanie z Kwaśniewskim było bardzo interesujące. Proszę pamiętać, że doświadczenie koalicji, którą stworzyłem we Włoszech, czyli Drzewa Oliwnego[1], to doświadczenie współpracy z byłymi komunistami. Zawsze byłem

wierny atlantyzmowi i współpracy z Ameryką, ale uważałem, że konieczne jest połączenie środowisk progresywnych, jakiekolwiek nie miały pochodzenie polityczne przed rozpadem ZSRR. Dlatego polskie doświadczenie bardzo tak mnie interesowało, a jeszcze bardziej ówczesny polski prezydent, który był ministrem w byłym systemie komunistycznym. Wspominam nasze spotkanie jako bardzo ciekawe, utwierdziło mnie w moim wyborze, że w łączeniu idei i programów można jednoczyć społeczeństwa i różne polityczne nurty.

A jak pan wspomina swoje pierwsze spotkanie z Rosją po upadku komunizmu?

Moje pierwsze spotkanie, jeszcze ze Związkiem Radzieckim, to spotkanie z Gorbaczowem w 1988 roku, wtedy przyjechałem do Moskwy jako prezes Instytutu Odbudowy Przemysłowej[2]. Ówczesny premier Włoch, Luigi Ciriaco De Mita przedstawił mnie Gorbaczowowi jako profesora ekonomii. Wtedy Gorbaczow poprosił mnie, żebym pokrótce wyjaśnił, jaka jest różnica pomiędzy kapitalizmem i komunizmem. Ponieważ rozmowy toczyły się w dobrych nastrojach zapytałem go, czy on jako myśliwy wie dlaczego pies, który jest szybszy od zająca, nie potrafi go zazwyczaj złapać? Ponieważ Gorbaczow był zmieszany tym pytaniem, szybko wyjaśniłem mu, że dzieje się tak, ponieważ pies pracuje dla swojego pana, a zając na własny rachunek.

I właśnie ten sam Gorbaczow, dziesięć czy jedenaście lat później, poprosił mnie o rozmowę i powiedział mi, że do władzy w Rosji dochodzi właśnie polityk o niedobrym życiorysie, ponieważ wywodzi się z KGB, ale to jego zdaniem jedyna osoba, która może ocalić Rosję i zarazem utrzymać jej współpracę i przyjaźń z Europą. Nazywa się Władimir Putin. Wtedy pierwszy raz usłyszałem to nazwisko.

Wydaje mi się, że to był taki moment, gdy można było myśleć o pokojowym przeorganizowaniu świata. Nie wykorzystaliśmy tej sytuacji. Miałem wrażenie, pamiętam to dobrze, że wtedy nie przywiązywano do Rosji dużej wagi. Myślę, że po 1991 roku zostało popełnione wiele błędów, w ogóle nie brano z naszej strony pod uwagę roli, jaką chciała odgrywać Rosja, czy też jaką będzie chciała odgrywać w przyszłości.

Niestety potem bieg został wypaczony przez obsesję Putina, dotyczącą obecności NATO przy granicach Rosji. Dobrze pamiętam, że gdy dochodziło do poszerzenia Unii Europejskiej nie było problemów

z Rosją, problemem było NATO. Rosja miała obsesję tylko na punkcie NATO.

Włączanie byłych krajów bloku radzieckiego do struktur świata zachodniego zaczęto od NATO. Dlaczego?

Za czasów Jelcyna postanowiono zacząć od spotkań NATO-Rosja bardziej, niż Unia-Rosja. Wystarczy wspomnieć szczyt NATO w Paryżu w roku 1997[3], całkowicie zdominowany przez Amerykanów, z Rosją, która była pasywnym partnerem, dla której dodatkowym obciążeniem była osoba Borysa Jelcyna. Pamiętam takie zdarzenie z tego szczytu, gdy Chirac wygłaszał przemówienie powitalne, mówił jak bardzo sobie ceni kulturę rosyjską i wymienia nazwiska: Tołstoj, Dostojewski. Odpowiadał mu Jelcyn, który postanowił nawiązać do kultury francuskiej, i mówi: Rembrandt, Van Gogh – ani jednego Francuza w przemówieniu. Premier Holandii chciał zwrócić uwagę, że to wszystko są Holendrzy, ale powstrzymałem go, bo to nie miało znaczenia. Takie było podejście do Jelcyna, nie traktowano go zbyt serio. Ja jednak zawsze uważałem, że Rosja powinna być traktowana poważnie, dlatego chciałem wierzyć, gdy Gorbaczow gwarantował za Putina.

Czy pana zdaniem doszło w którymś momencie do takiego porozumienia pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Rosją w sprawie powstrzymania rozszerzenia sojuszu na Wschód?

Nie istnieją takie dokumenty, mam jednak wrażenie, że jakaś forma ustnego zapewnienia miała miejsce.

Pamiętam zdecydowany sprzeciw Moskwy przy rozszerzaniu NATO. Sprzeciw, który spotykał się z ostrożnością ze strony niektórych liderów europejskich. Proszę pamiętać, że ostatnim aktem mojego drugiego rządu we Włoszech, był szczyt NATO w Bukareszcie w 2008 roku. Głosowaliśmy przeciwko rozszerzeniu NATO o Gruzję i Ukrainę, pomimo, że prezydent George W. Bush, również osobiście, mnie przekonywał[4]. Powiedziałem mu, że państwa buforowe zawsze były gwarancją bezpieczeństwa na przyszłość. Jak pan wie, to rozszerzenie nie nastąpiło ani wtedy, ani później. Ale pozostał pewien rodzaj nieokreśloności co do przyszłości, co było pewnym kompromisem, aby nie narażać się na napięcia z amerykańskim sojusznikiem. Ale pamiętam

bardzo dobrze, że my Włosi podzielaliśmy z Niemcami, Francuzami i innymi krajami troskę o to, aby nie podnosić napięcia do zbyt wysokiego poziomu.

W swojej biografii wspomina pan spotkanie z Władimirem Putinem, który stwierdził, że Europa i Rosja mogą być jak wódka i kawior – w tym sensie, że mogą być komplementarne. Jak pan to teraz ocenia?

Gdy byłem przewodniczącym Komisji Europejskiej, mieliśmy z Rosją co roku konsultacje bilateralne, organizowane za zgodą wszystkich państw Unii. Na zakończenie takiego mojego ostatniego spotkania, pewien ważny rosyjski dziennikarz zapytał mnie, kiedy Rosja wejdzie do Unii Europejskiej. Ja szybko odpowiedziałem, że jest to niemożliwe, Rosja jest zbyt duża, ale będziemy mieli dobre stosunki, zażartowałem: jak whisky i soda. Wtedy Putin mi przerwał i zaproponował: lepiej kawior i wódka. Opowiadam o tym, żeby pokazać, że istniał dialog, ze wszystkimi napięciami i problemami, ale do roku 2005 dialog istniał.

Jak pan ocenia efekty i w ogóle sens tego dialogu, zwłaszcza widząc tę dramatyczną zmianę, która nastąpiła w lutym 2022 roku?

Sytuację oceniam tak, jak zrobił to Henry Kissinger. Jeżeli istnieją na świecie trzy wielkie potęgi nuklearne, to dopuszczenie do tego, by dwie z nich się połączyły, nie było aktem wybitnej inteligencji. Oczywiście odpowiedzialność za obecną sytuację nie jest w całości ani nawet w części nasza. Odpowiada za to rozwój „caryzmu" w mentalności Putina, czyli imperializmu bardziej odwołującego się do imperium carów, niż do Związku Sowieckiego. To jest silny problem starego schematu intelektualnego „Rosji-matki", związek państwa i Kościoła. Ja widziałem wzrastanie tych koncepcji w zadziwiający sposób. Wielkim błędem Putina w kwestii agresji na Ukrainę było to, że Putin chciał powtórzyć 1917 rok, nie licząc się z tym, że wtedy Rosja miała 176 milionów mieszkańców, którzy stanowili jedną dziesiątą ludzkości, dzisiaj ma 147 milionów mieszkańców i jest to jedna pięćdziesiąta ludzkości. Jemu wydawało się, że jego plan zostanie przyjęty przez większość mieszkańców Ukrainy z otwartymi ramionami i że będzie miał

siłę, żeby to przeprowadzić. To był historyczny błąd i będzie go bardzo dużo kosztował. Jakkolwiek nie skończy się ta sytuacja, jest to dowód braku właściwego rozumienia współczesnego świata przez niego i jego otoczenie.

Czy widzi pan Ukrainę w Unii Europejskiej? Jeśli tak – to kiedy?

Dzisiaj oczywiście nie ma szansy na akcesję, ponieważ toczy się wojna. W przyszłości – mam nadzieję. Ale – jeżeli chcemy pokoju, to musi się on odbudować w klimacie współuczestnictwa, może to być bardzo problematyczne. Dlatego w 2008 roku głosowaliśmy przeciwko członkostwu Ukrainy i Gruzji w NATO. Trzeba teraz powiedzieć: nie stwarzajmy nadmiernych napięć, dostrzeżmy, że po wojnie też będzie świat. Ale widzę możliwość znacznie bliższych i silnych dwustronnych stosunków gospodarczych z Ukrainą. Znacznie silniejszych, niż poprzednio. I zaangażowanie w jej odbudowę. W pomoc, aby Ukraińcy mogli odzyskać swoje państwo. Tę wizję wspieram.

Przejdźmy do innego wątku. Panie premierze, czy może pan powiedzieć mi, dlaczego pańskie zdanie o amerykańskiej interwencji w Iraku było w 2002 roku tak negatywne?

To było szaleństwo, widziałem to jako owoc tego, o czym wspominałem wcześniej – poczucia niekontrolowanej dominującej siły. Przekonania, że wojnę można wygrać w parę tygodni. Zresztą także my, którzy obserwowaliśmy wojnę, byliśmy przekonani, że będzie to krótka wojna. Wszystkie nasze źródła i wszystkie media tak przekonywały. Ale tym niemniej zarówno ja, jak i wielu innych polityków europejskich, uważałem tę wojnę za zupełnie nieusprawiedliwioną. *No purpouse*. Bez celu. Potem, gdy wojna się przedłużała, nurt antywojenny się wzmacniał, a ja byłem bardzo wsłuchany w atmosferę we Włoszech, gdzie wszyscy byli przeciwni, wszyscy wyciągali sztandar pokoju. Nie rozumieliśmy tej decyzji i moim zdaniem był to prawdziwy dramat, który doprowadził do wszystkich dalszych niepokojów w tym regionie.

Nie było tego widać z zewnątrz, ponieważ nigdy nie chcieliśmy tego upubliczniać, ale również podział w ówczesnej Komisji Europejskiej w związku z wojną w Iraku, był znacznie silniejszy, niż widać to było w mediach.

Powiedział mi pan, że obecnie Europa może albo pójść do przodu albo zacząć się cofać. Czy więc podstawowym krokiem do przodu powinno być zreformowanie polityki zagranicznej i obrony Unii Europejskiej?

Tak. I jest to bardzo proste. Francja powinna uwspólnotowić swoje *veto* w Radzie Bezpieczeństwa ONZ oraz swoją broń nuklearną. Jeżeli tego nie zrobi, to Unia Europejska nie stanie się czymś jakościowo innym.

Wojna w Ukrainie, a także naciski ze strony USA, doprowadziły do zmiany w wydatkach na obronność w Niemczech. Do tej pory mieliśmy silnik Europy z dwoma tłokami. Francuskim i niemieckim, jeden polityczny drugi gospodarczy. Jeżeli w Europie nie będzie prawdziwej wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony, obydwa tłoki będą niemieckie. W ciągu trzech – czterech lat. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że dzisiaj demokracja w Niemczech jest w znacznie lepszym stanie, niż we Włoszech. Ale jeżeli Niemcy staną się zbyt silni, powstaną pewne automatyzmy i stworzy się potężną branżę zbrojeniową w Niemczech, bo niemiecki budżet nie będzie przecież finansował produkcji broni we Francji czy też w Ameryce.

Rozmowę przeprowadził Michał Górski

[*] Drzewo Oliwne (L'Ulivo) – koalicja włoskich partii politycznych, powstała z istniejących wcześniej sojuszy partii lewicowych i centrowych (przyp. red.).

[**] Główny włoski państwowy holding, zarządzający mieniem państwowym i procesami prywatyzacji, którym Romano Prodi kierował w latach 1982–1989 (przyp. red.).

[***] Specjalny, 14. szczyt NATO z udziałem Federacji Rosyjskiej, przeprowadzony 27 maja 1997 roku w Paryżu, podczas którego podpisano Akt Stanowiący o Wzajemnych Stosunkach, Współpracy i Bezpieczeństwie (przyp. red.).

[****] W rezultacie 23. szczytu NATO w Bukareszcie (2–4 kwietnia 2008 roku), podjęto m.in. decyzję o zaproszeniu do Sojuszu Chorwacji i Albanii i braku zaproszenia dla Macedonii. Nie zaoferowano natomiast *Planu Działań na rzecz Członkostwa* (Memebership Action Plan, MAP) Gruzji i Ukrainie z powodu sprzeciwu Francji i Niemiec, mimo poparcia USA i także Polski (przyp. red.).

Wierzę, że demokracja przetrwa napór populizmu

Rozmowa z Tony Blairem (część 1)

Czy mógłby pan powiedzieć, jak postrzegał pan Polskę na przełomie XX i XXI wieku? Jak wtedy postrzegano Polskę w Wielkiej Brytanii?

Ludzie znający historię pamiętali tych Polaków, którzy na przykład stali się częścią Królewskich Sił Powietrznych podczas II wojny światowej i odegrali tam ogromną rolę. Ludzie szanowali to, że Polska wyrwała się spod władzy Związku Sowieckiego i odzyskała niepodległość, szanowali również większość Polaków, którzy tu do nas przybyli.

Panie premierze, bardzo mocno wspierał pan przystąpienie Polski do Unii Europejskiej. Czy to nie paradoks, że dziś Polska jest członkiem Unii Europejskiej, a Wielka Brytania znalazła się poza nią?

Tak, to bardzo niefortunne, ale tak się stało.

Czy dużo energii kosztowało was przekonanie brytyjskiego społeczeństwa, ówczesnej brytyjskiej opinii publicznej, do rozszerzenia UE o Polskę?

W tamtym czasie nie. Ludzie zapominają, że w tamtym okresie, to znaczy przed powiększeniem UE, między Partią Konserwatywną pod

rządami Johna Majora a mną jako liderem Partii Pracy, panował w tej sprawie konsensus. Rozszerzenie nigdy nie było dla mnie politycznym problemem. Jedyną kwestią, która była problematyczna, ale tak naprawdę stała się taką już po moim odejściu ze stanowiska, był napływ migrantów. Ale rozszerzenie? Istniały już wtedy jakieś ruchy brexitowe, nie pamiętam dokładnie, ale ogólnie rzecz biorąc torysi popierali rozszerzenie, prawda?

Pański rząd natychmiast otworzył brytyjski rynek pracy dla Polaków. Czy dziś podjąłby pan taką samą decyzję?

Myślę, że wówczas mieliśmy rację otwierając rynek pracy, ponieważ potrzebowaliśmy ludzi. Nie zrobiłbym jednak tego, gdybym wówczas zdawał sobie sprawę, że ich liczba tak znacznie przekroczy nasze oczekiwania.

Jakiej liczby migrantów się pan wtedy spodziewał? Jakie były prognozy?

Dostaliśmy informację, że to będą dziesiątki tysięcy, a przyjechały setki tysięcy. Czasami zdarza się, że po prostu otrzymujesz błędne rady. Jednak z drugiej strony, jak widać dzisiaj – ponieważ obecnie nie przyjeżdża do nas tak wielu Polaków – mamy duży problem, gdyż brakuje nam siły roboczej do pracy w hotelarstwie i podobnych branżach. Polacy, którzy tu przybyli, to niezwykle pracowici i dobrzy ludzie, a niektórzy z nich odnieśli duży sukces. Zatem ówczesna decyzja była słuszna, ale później zacząłem żałować braku pewnych działań – kiedy zdałem sobie sprawę z rosnącej liczby migrantów, a potem nadszedł kryzys finansowy, dlatego mieliśmy inną sytuację gospodarczą – ponieważ mogliśmy wprowadzić o wiele surowsze przepisy, a nie zastosowaliśmy niektórych zasad, obowiązujących w innych krajach europejskich. Mogliśmy to zrobić, a to zmniejszyłoby liczbę osób poszukujących pracy w naszym kraju. Teraz jednak ludzie zapominają, że Wielka Brytania była miejscem, do którego ludzie chcieli przyjeżdżać i pracować, a nasz rynek pracy potrzebował siły roboczej, i to był jeden z powodów, dla których nasza gospodarka odnosiła sukcesy. Podczas mojego urzędowania zatrudnienie znacznie wzrosło, bezrobocie zdecydowanie spadło, mieliśmy wysokie wskaźniki wzrostu

gospodarczego, a częściowo wynikało to z faktu, że jednak przyjęliśmy migrantów zarobkowych.

Jedna z opinii, nawet dość popularna, głosi, że Brytyjczycy głosowali za brexitem, ponieważ po 2004 roku do Wielkiej Brytanii przyjechało zbyt szybko zbyt wielu Polaków. Czy podziela pan ten pogląd?

Były społeczności i miejsca, gdzie nagle mieliśmy bardzo duży napływ Polaków i to powodowało napięcia. Z drugiej strony prawdopodobnie w całym kraju znajdziemy wiele okręgów wyborczych, w których powód głosowania za brexitem był inny. Tak, ludzie głosowali za brexitem, ponieważ martwili się z powodu imigracji. Jest jednak powód, dla którego Nigel Farage fotografował się z syryjskimi uchodźcami w tle. Nie pokazywał się z polskimi pracownikami hoteli, prawda?

Jeśli mielibyśmy się zastanawiać, którą część świata Brytyjczycy obwiniali za kłopoty z migracją, myślę, że do migracji z Polski większość ludzi była nastawiona dość pozytywnie. Sądzę, że jedynym problemem był masowy napływ bardzo wielu ludzi do bardzo konkretnych obszarów w kraju. Chodziło tu więc raczej ogólnie o imigrację, a nie o Polaków. Wpływ na głosowanie miało wiele innych czynników, między innymi to, że Partia Pracy była w tamtym czasie kierowana przez kogoś, kogo ludzie nigdy nie zamierzali szanować ani wybierać.

Wyborcom Partii Pracy zabrakło odpowiedniego przywództwa, a brexit nigdy by się nie wydarzył, gdyby nie głosowała za nim znaczna liczba wyborców Partii Pracy.

A czy UE, jej kraje członkowskie, mogły zrobić więcej, żeby utrzymać Wielką Brytanię w Unii Europejskiej?

Tak, prawdopodobnie powinny były złożyć lepszą ofertę, ale my nigdy nie powinniśmy byli przeprowadzać referendum. Poddanie tej kwestii pod referendum nigdy nie było rozsądną decyzją, ponieważ jest to niezwykle skomplikowana sprawa. Na pewnym poziomie wydaje się to bardzo proste, ale są tu liczne aspekty bardzo złożone. Mamy Irlandię Północną, mamy stosunki handlowe, mamy cały zestaw problemów. Owszem, ludzie powinni poznać wszystkie szczegóły, ale jednak nie to było decydujące.

Jednym z problemów w tej debacie było to, że w UE istnieje zasada swobody przemieszczania się, ale ludzie często sądzili, że jest to swoboda niczym nieograniczona. To nie jest prawda. Francja ma na przykład wiele sposobów kontrolowania napływu migrantów, jeśli chodzi o osoby przybywające z innych części Europy, podobnie jest w innych krajach UE. Oczywiście obowiązuje zasada swobody przemieszczania się, ale można poprzez, na przykład system świadczeń socjalnych i inne narzędzia upewnić się, że wszystko to działa bezpiecznie, w sposób kontrolowany. Ostatecznie jednak tragedia całej tej kłótni polega na tym, że swoboda przemieszczania się była zasadniczo czymś dobrym, a nie złym, a Wielka Brytania na niej skorzystała. Jeśli spojrzymy dziś na niektóre z najlepszych firm technologicznych, to okaże się, że zostały założone przez migrantów, w tym osoby z Europy Wschodniej.

Jedną z okropnych, bardzo negatywnych rzeczy, które wydarzyły się w zachodniej polityce w ciągu ostatniej dekady, jest wszechobecność argumentu o elitach, który jest po prostu totalnym nonsensem, ale faktycznie zawładnął powszechną wyobraźnią – wyszło więc na to, że elity chcą pozostać w Europie, natomiast nie-elity, lud, pragną z tej Europy wyjść. Niezależnie od tego, czy chcesz zostać w Europie, czy nie – to nie ma znaczenia. Ważne było, czy należysz do elity, czy nie. To nie był racjonalny spór o racjonalne rzeczy.

Dlaczego ta opowieść, ta narracja o elitach, wciąż działa? Jaka może być odpowiedź, nie tylko dla Wielkiej Brytanii, ale dla wielu innych krajów, w tym Polski?

To wciąż działa, bo straciliśmy mocne centrum. Coś, nad czym pracowali ludzie tacy jak Aleksander Kwaśniewski w Polsce i tacy jak ja w Wielkiej Brytanii. Ludzie tacy jak Clinton w Ameryce. Jeśli usunie się silne centrum, skończy się to bitwą między skrajnościami. I jeśli lewica nie będzie zakorzeniona w centrum, to prawica może wygrać, ponieważ prawicowy populizm zawsze pokona populizm lewicy. Przynajmniej w zachodniej demokracji.

Jaka będzie przyszłość relacji polsko-brytyjskich po brexicie i w obliczu agresywnej Rosji?

Ten związek, podobnie jak dobre relacje międzyludzkie, pozostanie silny. Pomimo brexitu mamy te same poglądy, mamy tę samą wizję

obronności w ramach NATO. Zdecydowanie jestem optymistą co do relacji Wielkiej Brytanii z Polską, one pozostaną silne.

„Trzecia Droga" i Nowa Partia Pracy[1] były inspiracją dla partii lewicowych w Polsce i innych krajach naszego regionu. Dziś niektórzy uważają, że ta polityka zrodziła populistów i zamknęła drogę dla powrotu lewicy do władzy. Jak zatem odpowiedzieć dziś na pytanie o równowagę między wolnym rynkiem a ingerencją państwa?

Najlepszym rozwiązaniem jest zawsze sytuacja, w której rząd robi to, co rząd potrafi najlepiej, a rynek robi to, co rynek robi najlepiej. Czyli rząd nie powinien próbować mieszać się do biznesu, ale musi zapewnić infrastrukturę, edukację, obronę, prawo i porządek, stworzyć przedsiębiorcom warunki do rozwoju, zaopiekować się najbiedniejszymi w naszym społeczeństwie i zapewnić im wsparcie. Moim zdaniem, „Trzecia Droga" jest nadal w pełni aktualnym kierunkiem rozwoju polityki europejskiej. A progresywna polityka wygrywa tylko wtedy, gdy jest zakorzeniona w centrum.

Jaka jest przyszłość demokracji, która jest zagrożona nie tylko w Polsce, ale w wielu krajach Zachodu?

Wierzę, że mimo wszystko demokracja przetrwa napór populizmu. Jedyną rzeczą, która może pokonać prawicowy ruch populistyczny, zwłaszcza bazujący na konserwatyzmie kulturowym, jest polityka zakotwiczona w centrum i rozwiązująca problemy, które sprawiają, że nawet całkiem umiarkowani ludzie popierają skrajną prawicę. Musisz przeciągnąć tych ludzi na swoją stronę. Nasz rząd działał właśnie w taki sposób: chociaż byliśmy liberalni w kwestiach społecznych, okazywaliśmy siłę w obszarach takich jak prawo i porządek oraz obrona, jednocześnie wprowadzaliśmy zmiany w społeczeństwie, w naszym systemie opieki zdrowotnej i edukacji, które wspierały najbiedniejszych, ale w sposób, który nie polegał tylko na dawaniu im więcej pieniędzy.

W niektórych systemach polityka jest bardzo rozdrobniona, wtedy trzeba zbudować koalicję partii i razem wypracować wspólny program. W Wielkiej Brytanii, szczerze mówiąc, istnieje wybór jedynie między Partią Pracy a Partią Konserwatywną. A powodem, dla którego Partia Pracy przegrywała wybory było to, że zapomnieliśmy, czego nauczyły

nas poprzednie zwycięstwa. Kiedy przypomnimy sobie, to wtedy znów będziemy wygrywać.

Czy pamięta pan swoje pierwsze spotkanie z Aleksandrem Kwaśniewskim?

Wydaje mi się, że poznałem go jeszcze zanim zostałem premierem. Myślę, że po raz pierwszy spotkaliśmy się między rokiem 1995 a 1997. A może to było na zjeździe Międzynarodówki Socjalistycznej? Później, kiedy objąłem urząd, poznałem go oczywiście bardzo dobrze, mieliśmy oficjalne spotkanie. Pamiętam nasze spotkanie na Downing Street w 1998 roku[2]. Ma on wielką osobowość polityczną, bo bardzo twardo stąpa po ziemi. On i jego żona zawsze byli wspaniałym towarzystwem, a poza tym był ucieleśnieniem tego, co Brytyjczycy zawsze cenią, czyli zdrowego rozsądku. Dlatego na spotkania zawsze przynosił coś w rodzaju wyważonego, ale rozsądnego wkładu. Starał się znaleźć kompromis, ale nigdy kosztem najważniejszych zasad.

Potem organizowaliśmy wspólnie spotkania w ramach „Trzeciej Drogi" i naprawdę mocno wspieraliśmy swoje działania polityczne, nie tylko w stosunkach między Wielką Brytanią a Polską. Oprócz tego, byłem gorącym orędownikiem członkostwa Polski w NATO i w Unii Europejskiej. To musiało stworzyć silną więź. Dlatego tak ważne były dla mnie stosunki brytyjsko-polskie. Uważałem, że Polska powinna zostać członkiem Unii Europejskiej, ponieważ uważałem, że po wejściu do Unii Europejskiej będzie istotnym graczem i naszym wiarygodnym sojusznikiem. Oprócz tego łączyła nas z Aleksandrem rzecz jasna polityka określana mianem „Trzeciej Drogi". Innymi słowy, centrolewicowa socjaldemokracja.

Rozmowę przeprowadził Marcin Antosiewicz

[1] „Trzecia Droga" – koncepcja systemu społeczno-gospodarczego, mającego łączyć idee wolnego rynku, konkurencji i własności prywatnej z wypełnianiem przez państwo obowiązków socjalnych. T. Blair jest autorem pracy *The Third Way. New Politics fort the New Century* (Fabian Society, 1998). Nowa Partia Pracy (New Labour) – doktryna polityczna, oparta o koncepcję „Trzeciej Drogi", sformułowana m.in. w manifeście „New Labour, New Life for Britain" z 1996 roku (przyp. red.).

[2] Spotkanie miało miejsce 26 marca 1998 roku podczas wizyty prezydenta A. Kwaśniewskiego w Wielkiej Brytanii (przyp. red.).

Powinniśmy dostrzec prawdę, że nasz model sprawdza się tylko w niektórych częściach świata

Rozmowa z Alfredem Gusenbauerem

Chciałabym zacząć naszą rozmowę od wspomnienia – a dokładniej – od powrotu na rozdroża, na jakich znaleźliśmy się przed trzema dekadami. Kraje Europy Środkowej i Wschodniej wybierały demokrację, pokój i obietnicę lepszego życia dla wszystkich. Jak pan myśli, dlaczego świat zawrócił z obiecanej ścieżki rozwoju? Dlaczego świat, w którym żyjemy, tak bardzo różni się od świata, do którego aspirowaliśmy?

Myślę, że to, co sprawdziło się w większości krajów Europy Środkowej i Wschodniej – czyli przekształcenie różnych typów społeczeństw i gospodarek komunistycznych w kraje liberalnej demokracji politycznej i gospodarki wolnorynkowej – nie sprawdziło się w skali globalnej. Innymi słowy, wszystko, co zostało zrobione w tym regionie Europy nie zakorzeniło się dostatecznie poza nim, nie zostało szerzej rozpowszechnione, na przykład wśród szeregu państw powstałych po rozpadzie ZSRR. Jeśli przyjrzymy się Rosji, dostrzeżemy bardzo chaotyczny proces, który doprowadził do ogromnej destabilizacji gospodarczej. W rezultacie mieszkańcy tego kraju zaczęli uważać, że nie potrzebują importu zachodnich polityk i strategii. Ta porażka przygotowała podatny grunt dla powstania zjawiska, które nazywamy nieliberalnym konserwatyzmem. To z kolei stało się motorem napędowym

najpierw dla wyboru Putina, a później ukształtowania jego stylu przywództwa i filozofii rządzenia.

W istocie globalizacja zachodniego rynkowego modelu gospodarczego wraz z jego demokratycznie zorientowanym systemem politycznym nie była chyba nigdy możliwa. Dlaczego? Cóż, ma to związek z faktem, że gospodarki rynkowe są na poziomie globalnym uznawane za pewnego rodzaju centrum, co wywołuje niejakie napięcie pomiędzy tymi, którzy w powszechnym mniemaniu tworzą ten rdzeń, a tymi, którzy czują, że znajdują się na peryferiach. W tym równaniu Europa była zawsze – a przynajmniej przez bardzo długi czas – częścią centrum systemu kapitalistycznego. Podobnie było ze Stanami Zjednoczonymi. Kraje centrum wykorzystywały peryferia, oferujące przede wszystkim nowe rynki dla eksportu ich towarów. W latach dziewięćdziesiątych zakładano, że do tego centrum mogą dołączyć nie tylko kraje Europy Środkowej i Wschodniej, ale także państwa byłego Związku Radzieckiego, w tym Rosja. To założenie było prawdopodobnie błędne, gdyż w toku przemian Europa Środkowa i Wschodnia zdołała utrzymać się w centrum, podczas gdy inne gospodarki poradzieckie pozostały odległymi peryferiami.

Dodatkowo wzrost znaczenia Chin zdecydowanie zmienił kontekst całej sytuacji. Ich gwałtowny rozwój jest historią sukcesu pod względem gospodarczym i społecznym – nigdy w dziejach ludzkości nie było procesu, który tak szybko i tak ostatecznie wydźwignąłby tak wielu ludzi z absolutnego ubóstwa. Tutaj historia zaczyna się komplikować, ponieważ Chiny w dużej mierze czerpią korzyści z otwarcia światowych rynków i, owszem, z podaży taniej siły roboczej. System polityczny przeszedł głębokie zmiany, a Chinom udało się ugruntować pozycję autorytarnego politycznie, alternatywnego – lub, jeśli wolimy, konkurencyjnego – modelu gospodarczego w stosunku do tego, czym w naszym rozumieniu jest Zachód.

To, co Francis Fukuyama nazwał końcem historii, obejmującym zwycięstwo gospodarki rynkowej i liberalnej demokracji, było iluzją. Mamy do czynienia z sytuacją, w której demokracja jest w odwrocie. Wiele krajów jest zafascynowanych Chinami i znajduje się pod ich przemożnym wpływem. Państwa globalnego Południa często postrzegają również model rosyjski jako atrakcyjną opcję.

Nasuwa się tu pytanie, które zwłaszcza siły postępowe powinny sobie zadać, i na które muszą znaleźć odpowiedź. Brzmi ono następująco: czy tradycyjny model kapitalistyczny można zuniwersalizować przy założeniu zapewnienia wszystkim równych szans? Być może powinniśmy jednak wziąć pod uwagę, że jeśli chcemy, aby gospodarka rynkowa i liberalne demokracje były filarami dominującego modelu, musimy ponownie przemyśleć globalną sytuację. Powinniśmy dostrzec prawdę, że nasz model sprawdza się tylko w niektórych częściach świata.

Rozmawiamy o modelu, ale czy nie tracimy z oczu wartości? W jaki sposób równolegle prowadzić dyskurs o prawach człowieka, praworządności i wolnościach obywatelskich? Co z sondażami, które pokazują, że obywatele naszych demokratycznych krajów czują się pozbawieni wpływu, sfrustrowani i zaniepokojeni, w konsekwencji często głosują na tych, którzy opowiadają się za modelami innymi niż demokratyczne?

No cóż, nie twierdzę, że demokracja jako ideał i idea nie zwyciężyła. Jestem pewien, że gdybyśmy spytali o to ludzi na całym świecie, większość opowiedziałaby się właśnie za nią, a nie za jakąkolwiek alternatywą. Ale tak, istnieje poczucie bezsilności – co nie dziwi, biorąc pod uwagę liczbę i skalę kryzysów, z którymi się mierzymy. Są one bezprecedensowe – nie tylko dla współczesnych, ale w całej historii ludzkości. Jeśli pomyślimy o zmianach klimatu, jeśli pomyślimy o migracji, jeśli pomyślimy o wszystkich wstrząsach, które wywołał kryzys finansowy i gospodarczy, jeśli pomyślimy o pandemii – i tak dalej, i tak dalej – zdamy sobie sprawę, że lista fundamentalnych wyzwań, stojących przed naszymi społeczeństwami, jest niemal nieskończona. To właśnie sprawia, że czasy, w których żyjemy, są tak niepodobne do przeszłości.

Bądźmy szczerzy, nawet jeśli spojrzymy na trudne lata po 1945 roku: co było wówczas naszym głównym problemem? Nasze umysły zajmowały następujące kwestie: jak usprawnić i odbudować gospodarkę, jak bardziej sprawiedliwie rozdystrybuować bogactwo, i jak uniknąć kolejnej wojny, tym razem być może nuklearnej, z państwami należącymi do Układu Warszawskiego? Mając to na uwadze, musimy zauważyć, że skala trudności, przed którymi stoimy obecnie, jest o wiele szersza. Sekwencja zdarzeń, ich rozmiary, kumulowanie i wzajem-

ne wzmacnianie się kolejnych kryzysów – te cechy sprawiają, że większość naszych społeczeństw nie ma pojęcia, jak sobie z nimi poradzić. A poza tym nakładają odpowiedzialność na klasę polityczną, która tak naprawdę nie jest w stanie przedstawić i wdrożyć odpowiednich rozwiązań. To wszystko ma miejsce w okresie, w którym także kanały masowej komunikacji ulegają coraz większemu rozproszeniu, a przekazy są nie zawsze prawdziwe i często przedstawiane w chaotyczny sposób. Można śmiało powiedzieć, że w tym kontekście przed siłami demokratycznymi stoi kolosalne wyzwanie.

Wcześniej uważano, że panaceum na taką sytuację kryje się w integracji europejskiej, która została powołana, aby zapewnić pokój i stabilność, łącząc państwa i gwarantując rozwój. Kiedy Rosja najechała Ukrainę, UE zjednoczyła się i zareagowała w prawidłowy sposób. Jednak teraz obserwujemy szereg tendencji odśrodkowych i wiele osób uważa, że ich źródłem są kraje, które przystąpiły do UE w 2004 roku. Jak oceniłby pan dzisiaj tamto szerokie powiększenie Unii, przypominające swoją skalą Wielki Wybuch?

To prawda, Europa jest projektem pokojowym, a integracja jest głównym narzędziem zapewnienia tego pokoju. Moim zdaniem nie powinniśmy też lekceważyć faktu, że integracja europejska umożliwiła przezwyciężenie fundamentalnych, ogromnych i okrutnych podziałów w Europie Zachodniej, głównie pomiędzy Niemcami i Francją. Dlatego uważam, że rozszerzenie Europy Środkowej i Wschodniej w dużej mierze umożliwiło pojednanie Europy i zakończenie podziału Wschód – Zachód, który charakteryzował dziesięciolecia zimnej wojny. W konsekwencji oznacza to również, że kolejny krok – którym powinna być akcesja krajów Bałkanów Zachodnich – pomoże zagoić rany wojenne w byłej Jugosławii. Podobnie otwarcie na Ukrainę oznacza spełnienie obietnicy, stanowiącej fundament zjednoczonej Europy. Dlatego też tak istotne jest dążenie do realizacji tego celu. Kiedy zatem myślę o roku 2004 pod tym kątem, uważam, że odnieśliśmy spory sukces. Gdyby jednak zapytano mnie, czy to znaczy, że udało nam się pokonać wszystkie przeszkody wynikające z historii oraz różnych tożsamości i kultur, musiałbym udzielić odpowiedzi negatywnej. To się nam jeszcze nie udało. Nawet jeśli, co trzeba przyznać, pomimo wszystkich trudności idea UE wraz z jej założeniami okazała się odporna na wstrząsy

– i chociaż była osłabiana oraz poddawana różnym próbom, szczególnie ostatnio, nie uległa implozji.

Dlatego kiedy zdecydowaliśmy się na rozszerzenie w 2004 roku byłem szczęśliwy i pełen nadziei, i teraz, biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się od tego momentu, nadal napawa mnie to radością. Jak powtarzam moim przyjaciołom, Polska odegrała w tym procesie kluczową rolę – bo tam zaczęła się cała historia. Gdyby nie protesty „Solidarności", Okrągły Stół i zmiana ustroju, sprawy mogły potoczyć się zupełnie inaczej. Były to kluczowe elementy tego, co okazało się być światową rewolucją, i co zmieniło historię dla milionów ludzi, nie tylko w regionie Europy Środkowej i Wschodniej, ale w całej Europie. To pozwala mi spojrzeć wstecz z poczuciem spełnienia i utwierdzić się w przekonaniu, że obraliśmy wtedy właściwy kierunek. Twierdzę tak, nawet jeśli nie zawsze zgadzałem się z decyzjami kolejnych rządów Polski i innych państw, które przystąpiły do UE w 2004 roku. Jestem pewien, że w historii istnieją kluczowe momenty i decyzje, które mają zasadnicze konsekwencje, a jeśli pojawiają się rządy, których się nie aprobuje – to demokracja pozwala je obalić, i tak się stało po raz kolejny także w Polsce, w październiku 2023 roku. Więc nie, nawet różne trudne wyzwania nie są w stanie zmienić moich fundamentalnych przekonań.

A co z wyzwaniami i napięciami, jakie spowodowały to wielkie rozszerzenie? W końcu od wielu lat mówi się, że było to wielkie, ale nie do końca przygotowane posunięcie?

Zasadniczym problemem było i jest to, że stosujemy wobec nowych państw członkowskich ten sam, już istniejący model. I szczerze mówiąc, w 2004 roku wszystkie nowe kraje członkowskie, które wdrożyły i faktycznie zakończyły sukcesem trudny proces akcesyjny – nie miały nic do powiedzenia w sprawach UE, jej przyszłości i kształtu integracji europejskiej. Musiały zaakceptować istniejący stan rzeczy.

Kraje przyłączające się do Unii miały swoją historię, doświadczenie, a także zdecydowane przekonanie, że nie chcą dłużej tkwić w jarzmie komunizmu, Moskwy czy Sowietów. Ale czy nawet wówczas ich mieszkańcy uważali, że wszystko przed 1989 rokiem było dla nich kompletną katastrofą? Najwyraźniej nie. Z drugiej strony my, Zachód, nigdy nie daliśmy im szansy na wyrażenie ich prawdziwych oczekiwań

odnośnie akcesji; nie pytaliśmy ich również, co pragną wnieść do zjednoczonej Europy. Oczywiście, gdy tylko zostaniesz członkiem UE, możesz poruszać istotne dla ciebie kwestie, możesz kształtować przyszły los integracji. Nie oszukujmy się jednak, od czasu rozszerzenia z 2004 roku nie nastąpiła tu żadna zasadnicza zmiana.

Nie oznacza to, że nie podejmowano żadnych kroków naprzód. Wręcz przeciwnie, Europejski Zielony Ład stanowi wspaniały przykład ścieżki transformacji. Niemniej jednak jest to zmiana w konkretnym obszarze polityki, a nie w szerszym kontekście konstytucyjnym. Główne wysiłki w tym zakresie zostały ujęte w Traktacie Lizbońskim, który został przyjęty po szoku związanym z fiaskiem głosowania nad Traktatem ustanawiającym Konstytucję dla Europy – już piętnaście lat temu!

Wszystko to razem wskazuje na poważny problem jakości demokracji i poważne braki jeśli chodzi o możliwość udziału w jej procesach. Proszę mnie źle nie zrozumieć – nie sugeruję, że gdybyśmy wdrożyli inne mechanizmy, otrzymalibyśmy całkiem odmienne wyniki. Ale fakty są faktami: albo jesteś częścią procesu, albo nie, a w pierwszej dekadzie tego stulecia niektórzy byli z tego procesu wykluczeni. Jest to ogromny problem obciążający nasze sumienia i musimy znaleźć nowe sposoby jego przezwyciężenia. Jasnym jest, że kwestia ta zostanie rozstrzygnięta w nadchodzących dziesięcioleciach, kiedy integracja europejska będzie kontynuowana, kiedy będziemy realizować nowe projekty, co do których wszyscy będziemy musieli się zgodzić, i kiedy zidentyfikujemy nowe sposoby wspólnego radzenia sobie z różnymi wyzwaniami. Być może jednak mentalnie wciąż znajdujemy się w okresie, który wciąż najlepiej opisuje niemiecki termin *Kinderkrankheit der Osterweiterung*[1]. Pomimo upływu tylu lat od akcesji wciąż potrzebujemy budowania wspólnej odporności i przezwyciężenia istniejących trudności.

Nie powinniśmy lekceważyć faktu, iż rozszerzenie z 2004 roku wiązało się z wejściem w nowy wymiar, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Zdecydowanie nie doceniliśmy Rosji, jej zdolności do odbudowy i stworzenia potęgi militarnej w ciągu zaledwie dekady. W dodatku w tym kraju zwyciężył nieliberalny konserwatyzm przejawiający bardzo, bardzo silne tendencje rewizjonistyczne. Oczywiście to wszystko sprawia, że bezpieczeństwo Europy ponownie staje się bardzo istotną kwestią – ale mówiąc „ponownie", nie mam na myśli „w ten sam sposób".

To kolejna trudna do przełknięcia prawda, bo po 1989 roku uważaliśmy, że pokój jest zagwarantowany i możemy korzystać z jego owoców. Nie chcieliśmy słuchać ani zrozumieć obaw krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Wraz z ostatnim atakiem Rosji na Ukrainę pojawiło się nowe zagrożenie, które w mojej opinii już prowadzi do zasadniczej zmiany spojrzenia na priorytety integracji europejskiej i polityki zjednoczonej Europy. Bo nawet jeśli, jak powiedziałem wcześniej, u podstaw europejskiego projektu zawsze leżał pokój, obecnie oznacza to, że Europa musi zmienić profil i stać się o wiele silniejsza, aby móc bronić siebie i swoich idei.

Stwierdził pan, że Unia Europejska powinna lepiej spełniać swoją misję, jaką jest utrzymanie pokoju. Założycielską obietnicą zjednoczenia było jednak również to, że integracja europejska sprawi, iż przyłączające się kraje zjednoczą siły, aby zagwarantować wszystkim dostatnią przyszłość i postęp społeczny. Kiedy słyszę, że pan, austriacki socjaldemokrata, kładzie nacisk na bezpieczeństwo, zastanawiam się, czy nie będzie to sprzeczne z dotychczasowym rozumieniem pacyfizmu? Czy nie stracimy przez to z oczu innych palących problemów?

Myślę, że niezależnie od warunków i okoliczności Europa pozostanie siłą pokojową. Obecnie jednak rzucono nam wyzwanie. To, co wydarzyło się na Ukrainie, może w przyszłości wydarzyć się w innych krajach. Nie widzę w tej chwili żadnych ograniczeń dla rosyjskiego ekspansjonizmu. A to oznacza, że musimy od nowa przemyśleć nasze priorytety.

Ja sam przez całe życie współtworzyłem ruch pokojowy i byłem jego działaczem. Nienawidzę wojny, nienawidzę broni nuklearnej. Jest to zatem dla mnie trudny krok, ale nie mam innego wyjścia, niż stwierdzić: musimy umieć się bronić. Oznacza to, że musimy przeznaczyć więcej środków na wszelkiego rodzaju militarne wydatki. Musimy zbudować w Europie własny przemysł zbrojeniowy, który nie może być całkowicie zależny od Stanów Zjednoczonych. Musimy być w stanie się bronić, ponieważ bez możliwości obrony wszystkie nasze wysiłki – te skupione na poprawie jakości życia naszych obywateli poprzez zapewnienie im lepszego dostępu do edukacji i dobrostanu – wszystko to pójdzie na marne, ponieważ bez zdolności obronnych ryzykujemy, że agresor odważy się wkroczyć do Europy.

To pokazuje, jak bardzo zmieniły się czasy i jak niepewna jest przyszłość. To wyraźny kontrast w stosunku do lat dziewięćdziesiątych. Zastanawiam się, czy to tylko nostalgia za romantyzmem czasów przełomu? Jak wspomniane działania oceniano z punktu widzenia austriackiej socjaldemokracji, którą wówczas pan reprezentował, ale także z perspektywy rządu Austrii?

Austria dobrze rozumiała znaczenie trudnych wyborów i głębokich podziałów politycznych. W 1955 roku decyzja o przyjęciu demokratycznego i neutralnego charakteru państwa była naszą jedyną szansą na odzyskanie suwerenności i niepodległości, dlatego też austriacki parlament i naród wybrali właśnie tę opcję. Szczerze mówiąc, był to jedyny słuszny wybór. Kraje Układu Warszawskiego, a zwłaszcza Związek Radziecki, nigdy nie zaakceptowałyby członkostwa Austrii w NATO. Z drugiej strony – NATO nigdy nie zgodziłoby się na to, aby Austria była częścią Układu Warszawskiego. Każdy inny scenariusz pozbawiałby Austrię, kraj z liczbą ludności równą jednej dziesiątej populacji Niemiec, jakiegokolwiek znaczenia. Jedynym sposobem na utrzymanie jedności Austrii i uniknięcie jej rozdarcia między Zachodem a Wschodem była zatem neutralność, która pozwoliła jej oddawać znaczne usługi społeczności międzynarodowej, odgrywać ważną rolę w Organizacji Narodów Zjednoczonych, pośredniczyć w stosunkach z globalnym Południem i wziąć aktywny udział w transformacji po zakończeniu zimnej wojny. Uważam, że właśnie na tym polegała wyjątkowa rola Austrii – także ze względu na historyczne powiązania Wiednia z wieloma innymi stolicami w Europie Środkowej i Wschodniej.

Nie można przeoczyć faktu, że do Austrii, która w wielu krytycznych momentach historii dawała schronienie uchodźcom, trafiło wiele osób z Europy Środkowej i Wschodniej. Tak było w 1956 roku, kiedy na Węgrzech wybuchł kryzys. Podobnie stało się także w 1968 roku, kiedy ludzie uciekali z Czechosłowacji. I w latach osiemdziesiątych, kiedy Polacy opuszczali swój kraj w czasie stanu wojennego i po jego zakończeniu. W austriackiej społeczności zawsze istniała znacząca grupa przybyszów z Europy Środkowej i Wschodniej – i to się nie zmieniło.

Czuliśmy się odpowiedzialni za losy tej części Europy, co znajdowało odzwierciedlenie w stanowisku Austrii, zawsze i wszędzie gdzie mogliśmy odgrywać istotną rolę. Zawsze działaliśmy w oczekiwaniu

i nadziei na demokratyczną transformację regionu. I tak na przykład wszystkie Komitety Helsińskie, które działały w wielu krajach Europy Środkowej i Wschodniej, nieustannie otrzymywały silne wsparcie ze strony austriackiego rządu i organizacji pozarządowych. Ponieważ Austria była mała i neutralna, „imperatorzy" na Wschodzie nie postrzegali jej jako groźnej czy niebezpiecznej. Myślę, że udało nam się skutecznie wykorzystać tę pozycję – byliśmy liczącym się graczem na poziomie społeczeństwa obywatelskiego i działań rządów, a później także na poziomie partii.

Na przykład, nowa partia polskiej lewicy została członkiem Międzynarodówki Socjalistycznej głównie dzięki silnemu wsparciu Socjaldemokratycznej Partii Austrii, SPOe. Przeprowadziliśmy wówczas bardzo zdecydowaną kampanię na rzecz takiego ruchu, nawiązaliśmy dialog i utrzymywaliśmy silne więzi oraz tradycję współpracy. Jestem przekonany, że był to słuszny krok.

Obecnie sytuacja jest inna. Neutralność austriacka ma inny kształt niż, powiedzmy, szwajcarska. Od 1945 roku przeszliśmy długą drogę. Austria została członkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych, podczas gdy Szwajcarzy uznali to za rażąco sprzeczne z ideą neutralności. Zostaliśmy też członkiem Unii Europejskiej, czego nie zrobili Szwajcarzy. Jesteśmy też, można powiedzieć, partnerami w ramach różnorodnych inicjatyw NATO – takich jak Partnerstwo dla Pokoju i innych.

Jest więc rzeczą naturalną, że obecnie bierzemy także udział w różnorodnych wysiłkach na rzecz budowy europejskich struktur obronnych. Neutralności Austrii w 2024 roku nie można porównywać z neutralnością z 1955 roku. Nie było to jednak efektem tylko naszych decyzji – świat jest dziś zupełnie inny. A jeśli miałbym to ująć w kilku zdaniach, to powiedziałbym, że w dawnych czasach neutralności było bardzo dużo, a solidarności niewiele. Obecnie jest odwrotnie. Solidarność musi być silniejsza od neutralności.

Kiedy objął pan przywództwo w austriackiej socjaldemokracji, sytuacja w pańskim kraju była trudna. Pamiętam protesty przed ambasadami Austrii w całej UE przeciw udziałowi w rządzie partii FPOe[2]. Udało się wyprowadzić SPOe z kryzysu, doprowadzić do zwycięstwa wyborczego. Działo się to w czasie, gdy w kilku krajach, gdzie do władzy doszli socjaldemokraci, istniało silne napięcie – po-

między zwolennikami „Trzeciej Drogi”[3] a tradycyjną lewicą. W jakim kierunku powinna dzisiaj zmierzać socjaldemokracja, aby odbić się od dna i ponownie stać się wiarygodną siłą?

Myślę, że jako socjaldemokraci musimy zaakceptować fakt, że lewica lub, jeśli ktoś woli, siły postępowe w naszych społeczeństwach myślą o progresywizmie w zupełnie inny sposób niż w wymiarze jednopartyjnym. Złudzeniem jest także myślenie, że jedna organizacja jest w stanie zmieścić w sobie różnorodność wszystkich tych poglądów. Potencjalnie może się to zdarzyć tylko w krajach, w których panuje większościowa ordynacja wyborcza – takich jak Wielka Brytania – ale nawet tam sytuacja jest złożona. Myślę, że w krajach, w których obowiązuje proporcjonalny system wyborczy, pojęcia takie jak: przytłaczające zwycięstwo, monopol na reprezentację itp. są zdecydowanie reliktem przeszłości.

Nasze społeczeństwa są bardziej heterogeniczne, mają inny zestaw wartości i priorytetów. Zatem sukces centrolewicy w przyszłości będzie zależał od innego zestawu elementów. Myślę przede wszystkim o dwóch z nich. Po pierwsze, należy szukać większej otwartości i strategicznych sojuszy, które mogłyby pozwolić na wspólne wdrożenie najbardziej potrzebnych reform. To wielkie wyzwanie, ponieważ wiele naszych siostrzanych partii charakteryzuje się pewnymi staromodnymi tradycjami i mechanizmami, które wciąż opierają się na zasadzie wyłączności – członkostwa, podejmowania decyzji i tym podobnych.

Zmiana, otwarcie się na nowe idee, nie jest zatem łatwą rzeczą – i faktycznie zmusza do wyjścia ze strefy komfortu. Jest to jednak niezbędne. Bez tego nie da się wziąć udziału w debacie o tym, jakie są rzeczywiste priorytety naszych społeczeństw.

Musimy także znaleźć sposób na uzgodnienie programu, który w pierwszej kolejności zajmie się kwestiami leżącymi u sedna aktualnych problemów zwykłych ludzi. Jak pani wie, jestem bardzo liberalną osobą. Jestem zdecydowanie za równością, a co za tym idzie, równymi prawami dla wszystkich, osób heteroseksualnych lub LGBTQI+. To bardzo ważne, że dyskusja na ten temat w końcu nabrała tempa. Jednak choć dziś poparcie dla tych kwestii stało się dominującą cechą naszego ruchu, przyćmiewa to inne sprawy, które można uznać za najważniejsze wyzwania wpływające na losy większości populacji. Mam na myśli to,

że żyjemy w czasie wojny i stoimy przed bezprecedensowymi wyzwaniami gospodarczymi. Nie możemy tracić głosu i politycznych kompetencji w tych obszarach.

Opowiadam się zatem za głęboką, otwartą i pozbawioną uprzedzeń rozmową, w celu uzgodnienia absolutnych priorytetów i rozszerzenia w ten sposób naszego profilu. Jeśli chcemy reprezentować nowy konsensus społecznego rozwoju, nie możemy sobie pozwolić na bycie partią jednej sprawy, również dlatego, że nie chcemy znaleźć się w sytuacji panującej w Stanach Zjednoczonych, której przyglądałem się z dużą uwagą. Tam partia nie jest partią, ale machiną wyborczą, która przed wyborami stara się zidentyfikować różne jednotematyczne inicjatywy i wziąć je pod swoje skrzydła. Jeśli jednak zapytacie dzisiaj, jaki jest temat przewodni wyborów, które odbędą się jesienią 2024 roku, wszyscy wam odpowiedzą: czy chcecie, aby Donald Trump był kolejnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. To nie jest stabilny projekt polityczny. Przynajmniej ja uważam, że to nie wystarczy.

Uważa pan, że lewica potrzebuje szerszej idei? Co to konkretnie oznacza? Patrząc na wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego w 2024 roku, socjaldemokratom uda się wrócić do gry tylko wtedy, gdy zapewni się priorytet progresywnej agendzie. Tyle, że w kluczowych kwestiach, które będą kształtować przyszłość integracji – jak handel, migracje, regulacje rynku pracy i usługi publiczne – europejska lewica nie może się wewnętrznie dogadać.

W odpowiedzi posłużę się przykładem. Jak pani wie, część życia spędzam w Hiszpanii – a dokładniej w Katalonii. Dlatego też dość uważnie śledzę hiszpańską politykę. Myślę, że nasz przyjaciel, premier Pedro Sánchez, wykonuje fantastyczną robotę, ponieważ udało mu się ożywić hiszpańską gospodarkę w bardzo trudnych okolicznościach. Przyjął prawdopodobnie najbardziej ambitny program reform społecznych w Europie. Zrobił wiele, aby usprawnić demokrację i wdrożyć prawa różnych mniejszości. Nigdy nie zrezygnował z praw kobiet, a jego polityka w zakresie zwalczania przemocy ze względu na płeć jest wzorowa, skuteczna i ratuje ludzkie życia. A Pedro Sánchez dokonał tego wszystkiego, jednocześnie zajmując się wielkim i nieustającym problemem w stosunkach pomiędzy Madrytem a poszczególnymi regionami, czyli napięciem wokół kwestii suwerenności narodowej.

Jeśli więc spojrzeć na Hiszpańską Socjalistyczną Partię Robotniczą[4] Pedro Sáncheza i jego rządy, myślę, że stanowią oni świetny przykład tego, jak może działać postępowa polityka w Europie. Aby zrozumieć, dlaczego odniósł taki sukces i obronił swoje zdobycze, biorąc pod uwagę zwycięstwo Partii Socjalistów Katalonii[5] w wyborach regionalnych w Katalonii po wielu latach sprawowania władzy przez nacjonalistów i konserwatystów, należy przyjrzeć się wytyczonej przez niego solidnej, ale prowadzącej naprzód drodze.

Innymi słowy, jeśli macie wątpliwości i chcecie dowiedzieć się, jak odnieść sukces, przyjrzyjcie się bliżej Madrytowi.

Rozmowę przeprowadziła Anna Skrzypek

[1] Choroba wieku dziecięcego rozszerzenia na Wschód (tłum. red.).

[2] Wolnościowa Partia Austrii (niem. Freiheitliche Partei Oesterreichs, FPOe); austriacka nacjonalistyczno-konserwatywna, eurosceptyczna partia polityczna, założona w 1955 roku (przyp. tłum.).

[3] „Trzecia Droga" – zob. przyp. 1, s. 226 (przyp. red.).

[4] Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza (hiszp. Partido Socialista Obrero Español, PSOE) (przyp. red.).

[5] Partia Socjalistów Katalonii (katal. Partit dels Socialistes de Catalunya), katalońska partia socjaldemokratyczna, skonfederowana z PSOE (przyp. red.).

Zachód musi odzyskać wiarygodność nie zaniedbując swojej twardej siły

Wywiad z Horstem Köhlerem

Czy uważa pan, że Niemcom i Polsce udało się zbudować dobrosąsiedzkie i przyjazne relacje? Czy proces pojednania polsko-niemieckiego zakończył się sukcesem?

Obecnie Polska staje się coraz ważniejsza dla przyszłości Europy. Pod wieloma względami jest to dla Polski „moment strategiczny". Jakie są polskie pomysły i propozycje na ten historyczny moment? Nie będę na ten temat spekulował, ale jestem przekonany, że potrzebujemy silnej Europy, aby zapewnić sobie wolność i dobrobyt. A silna Europa może istnieć tylko przy silnym partnerstwie polsko-niemieckim. To przekonanie powinno przyświecać decydentom zarówno w Warszawie, jak i w Berlinie.

Stosunki między Niemcami a Polską to wyjątkowo szczególna relacja – bardzo bliska i bardzo złożona. Pojednanie, a nawet przyjaźń, jaką wielu Polaków obdarzyło nas, Niemców, jest szczodrym darem, za który jesteśmy wdzięczni, który zobowiązuje i inspiruje nas do dalszej ciężkiej pracy nad naszymi stosunkami. Dziś mamy zawiązanych z Polską ponad 500 partnerstw na szczeblu miast i regionów, które okazały się bardzo skuteczne, jeśli chodzi na przykład o pomoc uchodźcom z Ukrainy. 25 października 2022 roku prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski zwrócili uwagę, że partnerstwa między miastami stanowią „podstawę aktywnej solidarności w obliczu wojny" i kładą „fundament wspólnej przyszłości".

Wiele pozytywnych przykładów niemiecko-polskich partnerstw na poziomie lokalnym pokazuje, w jaki sposób możemy uczyć się wzajemnego zaufania. Doświadczyłem tego podczas mojej ostatniej wizyty w Polsce w listopadzie 2022 roku, kiedy brałem udział w obchodach osiemdziesiątej rocznicy wypędzenia przez okupantów niemieckich mieszkańców Polski z domów i gospodarstw rolnych na Zamojszczyźnie. Tam spotkałem liderów i innych przedstawicieli miast: niemieckiego Schwaebisch Hall i polskiego Zamościa. Między obydwoma miastami istnieje ścisła współpraca na rzecz pomocy Ukraińcom dotkniętym wojną. Na przykład miasto Schwaebisch Hall już na bardzo wczesnym etapie wojny wysyłało przez Zamość agregaty prądotwórcze do Żółkwi w Ukrainie.

Dziś polska i niemiecka gospodarka są ze sobą ściśle powiązane, a handel kwitnie.

Jesteśmy partnerami w UE z wzajemnie uznanymi granicami, a także sojusznikami w NATO. To niewiarygodne osiągnięcie, biorąc pod uwagę traumę wojny, okupacji i zniszczeń, które naznaczyły poprzednie stulecie. Jak znaleźliśmy się w miejscu, w którym jesteśmy dzisiaj? Do kamieni milowych na naszej wspólnej drodze pojednania polsko-niemieckiego należą jak do tej pory: list pojednania biskupów polskich z 1965 roku, uklęknięcie Willy'ego Brandta pod Pomnikiem Bohaterów Getta w grudniu 1970 roku, traktat o dobrym sąsiedztwie, podpisany w 1991 roku, zawierający ostateczne uznanie zachodniej granicy Polski. Także – Deklaracja Gdańska prezydenta Polski Aleksandra Kwaśniewskiego i prezydenta Niemiec Johannesa Raua z 2003 roku oraz silne poparcie Niemiec dla członkostwa Polski w UE. Są to przełomowe momenty w trwającym procesie pojednania, na który składały się miliony małych kroków podjętych przez wiele, wiele osób w ciągu życia całego pokolenia.Możemy cieszyć się, że osiągnęliśmy już tak wiele. Ale dobre partnerstwo musi być stale podtrzymywane i monitorowane pod kątem nowych wyzwań. Wielu Niemców wciąż za mało wie o Polsce i jeszcze nie odwiedziło tego wspaniałego kraju. Z pewnością powinni wiedzieć więcej o przerażającej skali zbrodni niemieckich w Polsce w czasie II wojny światowej. Oczywiście Niemcy muszą także wywiązać się ze swojego obowiązku opieki nad żyjącymi jeszcze ofiarami wojny i zapewnienia im wsparcia. To jest coś,

nad czym musimy szczególnie mocno pracować. Cieszę się, że projekt stworzenia odpowiedniego miejsca pamięci i nauki w centrum Berlina wreszcie nabiera kształtu. Chociaż uważam, że pamięć jest ogromnie istotna, nie sądzę, aby przedstawianie nowych rachunków za stare rany było właściwym sposobem pielęgnowania naszych relacji. Jako sojusznicy i członkowie UE dla naszej obopólnej korzyści poszliśmy dalej.

Co powinniśmy dalej zrobić?

Ściśle współpracować, aby pomóc Ukrainie odeprzeć rosyjską agresję. Ponadto, moim zdaniem, nadszedł czas, aby Unia Europejska zbudowała prawdziwą Europejską Unię Energetyczną i Obronną. To czas próby dla relacji polsko-niemieckich, co do tego nie ma wątpliwości. Powinniśmy jednak zachować właściwą perspektywę. Władysław Bartoszewski stwierdził, że stosunki polsko-niemieckie należą do sfery „cudów politycznych". Myślę, że miał rację. I pozostaję optymistą co do przyszłości.

Piotr Buras, szef warszawskiego biura Europejskiej Rady ds. Stosunków Międzynarodowych, obserwuje zmianę nastrojów w Europie Środkowej i Wschodniej:

> „Od początku wojny Rosji przeciwko Ukrainie zachodni partnerzy UE tracą ogromnie wiele szacunku w Europie Środkowo-Wschodniej"[1].

Szczególnie surowo ocenia Niemcy:

> „Niemcy są nie tylko bezbronne ekonomicznie, ale także nie są w stanie ani militarnie, ani politycznie wnieść namacalnego wkładu w najważniejszy wysiłek Zachodu przeciwko agresywnej wojnie Putina: wojskowe wsparcie dla Ukrainy. Berlin robi w tym zakresie relatywnie mało i również z tego powodu utracił znaczną część swojej wiarygodności. (...) W obronie przed Putinem i jego imperialnym apetytem Niemcy okazały się nie tyle wzorem dla reszty Europy, co maruderem o chwiejnym kompasie moralnym. Wojna obnażyła podstawowe braki modelu niemieckiego; słabość sektora energetycznego i rozpaczliwa sytuacja Bundeswehry to tylko dwa przykłady. Rola Niemiec, jako przykładu do naśladowania, którą od dawna odgrywały w Europie Środkowej i Wschodniej, doznała poważnego uszczerbku, który nie będzie łatwy do naprawienia"[2].

Myślę, że Buras wyciągnął taki wniosek zaraz po rosyjskiej inwazji na Ukrainę 24 lutego. Tym niemniej, Niemcy nie powinny czuć się urażone tą analizą, zwłaszcza że autor udziela również konstruktywnych rad:

> „(...) w świetle ogromnych wyzwań, 27 państw członkowskich UE nie powinno tracić czasu na wzajemne oskarżenia, wrogie działania i rozliczanie starych rachunków. Kiedy nadejdzie pora, przywódców Unii Europejskiej, Wschodu i Zachodu, będzie się oceniać wyłącznie po tym, czy byli w stanie przeciwstawić się bardzo niebezpiecznym próbom ich podzielenia i zachować tak istotną jedność”[3].

Wojna Rosji w Ukrainie spowodowała przewartościowanie polityki bezpieczeństwa w Niemczech?

Dobrze znający sprawy NATO generał porucznik Bundeswehry (w stanie spoczynku) Heinrich Brauss, podsumował sytuację w następujący sposób:

> „(…) jeśli Europejczycy chcą zwyciężyć w bezwzględnie zmieniającej się sytuacji globalnej, muszą odpowiedzieć na cztery kluczowe pytania: Jakie siły zbrojne chcą mieć ogółem do dyspozycji w przyszłości, aby mogli zwyciężyć w poważnym konflikcie zbrojnym w obronie Europy? Co muszą zrobić, aby ich strategiczne działania jako gracza na scenie geopolitycznej były wiarygodne, czyli poparte potencjałem militarnym? Jaki wkład w zakresie sił zbrojnych mogą i muszą wnieść narody europejskie, w ramach działań, które będą wzajemnie skoordynowane i wystarczające do osiągnięcia celów sił zbrojnych NATO? W jaki sposób zamierzają stworzyć konkurencyjny i innowacyjny technologicznie przemysł zbrojeniowy obejmujący całą Unię, aby skutecznie wspierać tworzenie spójnego potencjału europejskich sił zbrojnych?”[4].

Brauss pisze dalej:

> „Zaawansowana militarnie i technologicznie europejska »pula sił zbrojnych« stanowi istotne uzupełnienie sił zbrojnych USA i będzie stanowić podstawę trwałego europejsko-amerykańskiego partnerstwa w zakresie bezpieczeństwa na równych warunkach, ponieważ umożliwi sprawiedliwy podział obciążeń w fundamentalnie zmienionych warunkach globalnych i pozwoli Europejczykom na przyjęcie wspólnej odpowiedzialności strategicznej”[5].

Dobrze widzieć, że Brauss nie ucieka od odpowiedzi na pytanie, co to oznacza dla Niemiec.

> „Położenie geograficzne Niemiec, ich możliwości i interesy w zakresie bezpieczeństwa uzasadniają cel (…) uczynienia z Bundeswehry trzonu konwencjonalnej obrony Europy. Tego też oczekują nasi partnerzy z NATO. Osiągnięcie tego celu będzie wymagało przywództwa, zaangażowania i wytrzymałości”[6].

Jestem wdzięczny za tak jasne postawienie sprawy przez niemieckiego eksperta i mogę mieć tylko nadzieję, że jego ocena zostanie wzięta pod uwagę w krajowej debacie politycznej w Niemczech.

Czy może pan wskazać te polityczne dylematy i decyzje lat dziewięćdziesiątych, które pana zdaniem ukształtowały krajobraz polityczny XXI wieku?

Mieszkańcy krajów Europy Środkowej i Wschodniej niecierpliwie wyczekiwali zarówno nadejścia wolności jak i poprawy warunków życia. Niemcy z NRD wyrażali to na przykład hasłem: „Jeśli wejdzie do nas zachodnioniemiecka marka, zostaniemy na terenie NRD; jeśli nie, my pójdziemy do niej!”[7]. Presja czasu – zarówno ze strony polityków, jak i opinii publicznej – była w kolejnych latach stałym towarzyszem procesu transformacji w krajach Europy Środkowej i Wschodniej, a także w Niemczech Wschodnich.

Pamiętam jak podczas światowego szczytu gospodarczego G7 w Londynie w lipcu 1991 roku rozeszły się wieści o zbliżającym się zamachu stanu przeciwko Michaiłowi Gorbaczowowi. Szefowie państw i rządów zgodzili się wtedy, że jeśli chodzi o państwa byłego bloku wschodniego, to nie można zwlekać z ich transformacją, z naszym wsparciem dla niej. Zamach stanu faktycznie nastąpił w sierpniu.

Pochopne decyzje były regułą, błędów nie dało się uniknąć. Dotyczy to w szczególności decyzji odnoszących się do prywatyzacji, które niemal z dnia na dzień stworzyły, na przykład w Rosji, oligarchów o wątpliwym stosunku do demokracji. Politolodzy Iwan Krastew i Stephen Holmes napisali książkę przedstawiającą społeczno-psychologiczny obraz procesu transformacji: *Światło, które zgasło. Jak Zachód zawiódł swoich wyznawców*[8]. Próbują w niej zdefiniować nową parę przeciwieństw w polityce po 1989 roku. Tam, gdzie kiedyś stały

naprzeciw siebie kapitalizm i komunizm, teraz, jak argumentują, istnieje opozycja liberałów i rozczarowanych naśladowców liberalizmu. W rozdziale *O duchu naśladownictwa* szczególną uwagę zwrócono na procesy zachodzące na Węgrzech i w Polsce. Ten duch, według Krastewa i Holmesa, ostatecznie wywołał poczucie niższości, złości i utraty tożsamości. To może wyjaśniać, dlaczego Viktor Orbán ukuł dla swojej polityki termin „demokracja nieliberalna".

Amerykański politolog Francis Fukuyama opisał upadek żelaznej kurtyny w latach 1989–1990 jako „koniec historii", oznaczający ostateczne zwycięstwo zachodniej demokracji i gospodarki wolnorynkowej. Stanowiło to wyraz triumfalizmu, a nawet pychy Zachodu i mogło mieć wpływ na decyzje o rozpoczęciu wojny w Iraku w 2003 roku i zbombardowaniu Libii w 2011 roku. Pierwsza decyzja opierała się na kłamstwie USA o broni masowego rażenia, w drugiej kluczowa była ogromna presja ze strony Europy. Oczywiście obu decyzjom zabrakło niezbędnej podbudowy w postaci planu zarządzania pokojem i odbudową. Stały się one akceleratorami dzisiejszej niestabilności politycznej na Bliskim Wschodzie i obecnego nieładu w Libii, którego konsekwencje sięgają aż do strefy Sahelu w Afryce. Wydarzenia te podważyły wiarygodność modelu zachodniego i umożliwiły powrót na światową scenę polityczną Rosji z jej bezwzględną siłą militarną.

Władimir Putin wykorzystuje rozszerzenie NATO jako pretekst do inwazji na Ukrainę…

To nie ma żadnego uzasadnienia. Rozszerzenie NATO opierało się na wolnych i historycznie uzasadnionych wyborach państw Europy Środkowej i Wschodniej, a jako sojusz obronny NATO nie stanowiło i nie stanowi zagrożenia dla Rosji, dopóki Rosja zachowuje pokojowe zamiary wobec jego członków. To pozostaje w mocy nawet dzisiaj. Jestem daleki od stwierdzenia, że rozszerzenie NATO doprowadziło do konfliktu, powiedziałbym za to, że uchroniło ono przed konfliktami stare i nowe kraje członkowskie.

Monachijska Konferencja Bezpieczeństwa zatytułowała swój raport z 2020 roku „Bez Zachodu", co należy rozumieć jako „powszechne uczucie niepokoju i nerwowości w obliczu rosnącej niepewności co do trwałego celu Zachodu. Wydaje się, że wiele wyzwań związanych z bezpieczeństwem stało się nierozerwalnie związanych z tym, co nie-

którzy określają jako upadek zachodniego projektu”[9]. Mój pogląd na sytuację jest taki: Zachód jest nadal potrzebny światu. Musi jednak odzyskać wiarygodność, unikając podwójnych standardów w swojej polityce i wzmacniając w ten sposób swoją miękką siłę, ale jednocześnie nie zaniedbując swojej twardej siły i opierając swoje możliwości obronne na wspólnocie, spójności i odstraszaniu. Zachód musi się także nauczyć, jak radzić sobie z odmiennym kulturowo podejściem do swoich wartości. Globalne wstrząsy są dla Zachodu wezwaniem do nauki na własnych błędach, odkrywania siebie na nowo i formułowania nowych celów.

Czy uważa pan, że świat nadal zmierza w kierunku globalizacji, czy też będziemy świadkami rosnącej tendencji do lokalizacji i fragmentaryzacji?

Proces, który nazywamy globalizacją, trwa od samego początku industrializacji. Przyspieszył jednak po upadku żelaznej kurtyny i integracji Chin z globalnymi łańcuchami produkcji i rynku. Zwiększył poziom dobrobytu na niespotykaną dotąd skalę i pomógł setkom milionów ludzi wyjść z biedy. Stworzył jednak również zależności i luki w zabezpieczeniach. W moich oczach punktem zwrotnym był kryzys finansowy 2007/2008 roku. To pandemia COVID-19 i globalne podziały pojawiające się w związku z wojną Rosji z Ukrainą, skłoniły niektórych do myślenia o deglobalizacji. Wiele krajów będzie gotowych zapłacić „cenę za bezpieczeństwo”, aby zmniejszyć podatność na zagrożenia i zwiększyć swoją odporność. Można powiedzieć, że współzależność ukazała swoje gorsze oblicze.

Protekcjonizm jest obecnie polityką realizowaną niemal zgodnie przez obie partie w USA, co zmienia również sposób funkcjonowania wolnego handlu na całym świecie. Dodatkowym problemem jest coraz bardziej agresywna postawa Chin na arenie światowej oraz brak wzajemności w zakresie zasad inwestowania. Musimy być jednak ostrożni w przywracaniu równowagi. Wahadło wraca teraz do poprzedniego położenia – ale nie powinno odchylać się zbyt daleko.

Musimy kształtować globalizację w taki sposób, aby była korzystna dla wszystkich ludzi i działała na równych dla wszystkich zasadach. Jest to również niezwykle ważne w kontekście walki ludzkości z egzystencjalnym zagrożeniem, jakim są zmiany klimatyczne. Były głów-

ny ekonomista Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Raghuram Rajan, w swoim niedawnym wykładzie organizowanym przez Fundację Pera Jacobssona[10], określił to wyzwanie w przekonujący sposób:

> „Próba przeciwdziałania zmianom klimatycznym przy jednoczesnym podziale świata na regionalne lub mniejsze bloki gospodarcze to niezawodny sposób, aby uczynić jeszcze trudniejszym zadanie, które już jest prawie niemożliwe do realizacji. Aby mieć największe szanse na łagodzenie zmian klimatycznych i przystosowanie się do ich konsekwencji, musimy podtrzymywać globalizację. Gdy narastają tarcia między narodami i ponownie nasila się rywalizacja supermocarstw, zadanie wydaje się bardzo trudne"[11].

Deglobalizacja w szerszym ujęciu „uczyni nas bezbronnymi w obliczu walki o ocalenie naszej planety, walki, której nie możemy przegrać. Działania na rzecz klimatu i ciągła globalizacja są ze sobą ściśle połączone"[12]. Opinie Raghurama Rajana mogły też stanowić kryterium negocjacji w sprawie kompleksowej umowy inwestycyjnej UE z Chinami. Dotychczasowy konsensus osiągnięty w tych negocjacjach obejmuje zakaz przymusowego transferu technologii, wymogi przejrzystości dotyczące dotacji państwowych, zobowiązanie do zrównoważonego rozwoju poprzez ułatwianie i zachęcanie do inwestowania w towary i usługi przyjazne dla środowiska lub klimatu, a także zastrzeżenie, że przedsiębiorstwa państwowe muszą postępować zgodnie z zasadami gospodarki rynkowej. Chiny zobowiązują się także do prac nad przyjęciem konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy dotyczącej pracy przymusowej. Stany Zjednoczone nadal dostrzegają istotne braki jeśli chodzi o wyniki dotychczasowych negocjacji. UE powinna potraktować te obawy poważnie, ale z drugiej strony musi powstrzymać się od całkowitej „separacji" od Chin. Powinna pozostać przy swoim pomyśle na porozumienie z Chinami, jednak z wyraźniej zarysowaną koncepcją wzajemności w zakresie inwestycji. W tym samym czasie krajom rozwijającym się i wschodzącym należy zaoferować znacznie bardziej sprawiedliwe warunki handlu i szeroko rozumiane „wyrównanie szans" w ramach Światowej Organizacji Handlu.

Wzmocnienie multilateralizmu, a w szczególności roli Organizacji Narodów Zjednoczonych, to droga do lepszego świata. ONZ jest powszechnie uznaną platformą do rozmów i znajdowania rozwiązań dla globalnych wyzwań, które wykraczają poza granice państw. Cieszy

fakt, że przyjęta przez ONZ Agenda na rzecz Zrównoważonego Rozwoju 2030 i Porozumienie Paryskie z 2015 roku, zapewniły nam już wspólne ramy działania i współpracy z precyzyjnie określonymi celami. Cele te muszą być realizowane z determinacją i odwagą. To największa nadzieja na lepszy świat dla wszystkich.

Obserwując procesy transformacji gospodarczej w krajach postsocjalistycznych z perspektywy ekonomisty, jak oceniłby pan te procesy? Czy można powiedzieć, że te przemiany zakończyły się sukcesem? Czy może uważa pan, że zapoczątkowały powstanie ruchów populistycznych w Europie?

Pełna odpowiedź na to pytanie wymagałaby kilku rozpraw naukowych; powinniśmy zresztą wystrzegać się uogólnień na temat tak wielu różnych, a czasem całkiem rozbieżnych doświadczeń związanych z transformacją. W sumie dostrzegam jednak wyraźny postęp gospodarczy i społeczny we wszystkich tych krajach. Fakt, że Estonia, Łotwa, Litwa, Polska, Węgry, Czechy, Słowacja, Słowenia, Rumunia, Bułgaria i Chorwacja są dziś członkami UE, sam w sobie świadczy o tym, że przemiany się powiodły, nawet jeśli poszczególne państwa nadal stają przed rozmaitymi wyzwaniami. Poza tym w świetle rosyjskiej agresji otwarcie drogi do UE także dla Ukrainy i państw Bałkanów Zachodnich jest oczywistą koniecznością.

Każdej transformacji do gospodarki wolnorynkowej musi towarzyszyć społeczna i polityczna liberalizacja, otwarcie możliwości i wzrost świadomości politycznej. Należy tu podkreślić, że procesy zmian społecznych często trwają dekady, a nie lata. Byłoby lekkomyślnością zakładać, że wszystkie te przemiany są już zakończone, i że postępu nie można cofnąć. Nasze podejście wymaga ciągłej pracy i zaangażowania. Liczne ruchy populistyczne, które pojawiały się (a czasami znikały) w ostatnich latach, chociaż miały odmienny charakter, w większości miały u swoich podstaw poczucie utraty tożsamości i perspektyw ekonomicznych, gwałtowne i odbywające się w krótkim czasie przemiany społeczne, lub rozczarowanie rządami w poszczególnych krajach. Nie powinniśmy również lekceważyć skutków innowacji technologicznych, które zmieniły nasze codzienne życie bardziej gruntownie, niż w przypadku któregokolwiek z poprzednich pokoleń. To przynosi nowe możliwości, ale też niepewność i niezadowolenie.

Z całą pewnością mieszkańcy krajów przechodzących transformację nabyli dużych kompetencji w zarządzaniu zmianą. Ta wiedza powinna być teraz udokumentowana, zbadana i wykorzystana w ramach nowej Wielkiej Transformacji związanej ze zmianami klimatycznymi i wykorzystaniem sztucznej inteligencji. Taka mogłaby być rola nowego „Centrum Przyszłości Europejskiej Transformacji". We wschodnich Niemczech od jakiegoś czasu trwają prace nad utworzeniem „Centrum Przyszłości na rzecz Jedności Niemiec i Transformacji Europejskiej". Z wielkim zadowoleniem przyjąłbym utworzenie „Centrum Przyszłości Europejskiej Transformacji" – z filarami w Niemczech i w Polsce.

Głęboko wierzę, że edukacja, odporność na dezinformację i propagandę, szczera komunikacja między elitami politycznymi a społeczeństwem oraz poprawa warunków pracy, są kluczowymi czynnikami okiełznania tendencji populistycznych. Warto jednak pamiętać, że wiele ruchów populistycznych powstało w krajach Europy Zachodniej, a także w Stanach Zjednoczonych, więc ich korzenie nie mogą wyrastać wyłącznie z postkomunistycznych przemian.

Czy wierzy pan w pomyślną przyszłość Unii Europejskiej i dalszą integrację Europy?

Dla mnie, jako Niemca, projekt zintegrowanej Europy jest nadal właściwą odpowiedzią na dzisiejsze wyzwania geograficzne i historyczne Niemiec. Przypuszczam, że gdybym był Polakiem, myślałbym całkiem podobnie – pomimo zupełnie różnych doświadczeń.

Przez ostatnie dziesięć lat Unia Europejska znajdowała się w stanie ciągłego kryzysu. Mieliśmy kryzys bankowy i finansowy w latach 2007/2008, kryzys uchodźczy z 2015 roku, pandemię COVID-19, a teraz kryzys energetyczny i bezpieczeństwa. Wszystko to zasadniczo zmienia nasz światopogląd. Unia stoi przed ciągłym wyzwaniem dostosowywania się do nowych okoliczności. Teraz musi dostosować się do nowej ery konfliktów i konfrontacji na świecie. W obliczu tej nowej ery, a także globalnego wyzwania, jakim jest zmiana klimatu, potrzebujemy pilniej niż kiedykolwiek silnej Unii Europejskiej. Wierzę też, że Europa wciąż ma coś do zaoferowania światu. Co więcej, jeśli uda nam się udowodnić, że dobrze prosperujące i stabilne społeczeństwo może osiągnąć neutralność klimatyczną, możemy w znacznym stopniu przyczynić się do zapewnienia zrównoważonej przyszłości naszej planety.

Aby jednak osiągnąć tak ambitny cel, musimy działać razem jako państwa członkowskie.

Uważam, że aby odzyskać utracone zaufanie obywateli Europy i pomyślnie kontynuować rozwój Unii Europejskiej, należy nadać „zasadzie pomocniczości" bardziej systemowe i na wskroś praktyczne znaczenie. Teolog katolicki Oswald von Nell-Breuning, żyjący w latach 1890–1991, opisał zasadę pomocniczości w swojej pracy społeczno-filozoficznej *Baugesetze der Gesellschaft* z 1968 roku:

> „Nadrzędna (...) wspólnota powinna służyć pomocą podległym sobie wspólnotom w tym, czego te ostatnie, pozostawione samym sobie, nie są w stanie zrobić same; czego natomiast wspólnota podległa może dokonać sama, tego wspólnota nadrzędna (…) nie może jej odebrać"[13].

Z tej logiki katolickiej filozofii społecznej wynikają zarówno zadania Unii Europejskiej, jak i ograniczenia zakresu jej kompetencji. Dla mnie jasne jest, że zadaniem priorytetowym jest teraz utworzenie europejskiej unii obronnej.

Jak ocenia pan politykę wschodnią Niemiec oraz szerzej – całej wspólnoty europejskiej – w okresie po upadku ZSRR? Dlaczego okazała się ona tak mało skuteczna, dlaczego nie zapobiegła rosyjskiej agresji na Ukrainę i wojnie na wschodzie Europy?

Z perspektywy czasu powiedziałbym, że wystarczająco wiele uwagi poświęciliśmy nowym demokratycznym i niepodległym państwom w naszym sąsiedztwie, w Europie Środkowej i Wschodniej, natomiast zdecydowanie za mało skutkom rozpadu sowieckiego imperium.

Uważam, że wysiłki Niemiec w kierunku wsparcia państw Europy Środkowej i Wschodniej okazały się skuteczne. W latach dziewięćdziesiątych Polska, Czechy i Węgry weszły do NATO, a następna grupa nowych członków wstąpiła do Sojuszu w 2004 roku. Równolegle trwały już wówczas przygotowania do rozszerzenia UE na Wschód, co nastąpiło w 2004 i 2008 roku. Tego okresu, czyli lat dziewięćdziesiątych sięgają bliskie więzi gospodarcze Niemiec z Polską, Czechami, Słowacją, Węgrami i innymi, dodatkowo pogłębione przez przystąpienie tych krajów do wspólnego rynku.

Unia Europejska udzieliła również krajom byłego Związku Radzieckiego ogromnej pomocy gospodarczej i technicznej w ramach programu TACIS, zapoczątkowanego w 1991 roku i obejmującego aspekty bezpieczeństwa jądrowego, które dziś ponownie stały się bardzo istotne. W pewnym stopniu to pragnienie integracji objęło także Rosję, czego efekty widać w programie Partnerstwa dla Pokoju, przyjętym w 1994 roku, czy powołaniu Rady NATO-Rosja i Akcie Stanowiącym o Wzajemnych Stosunkach, Współpracy i Bezpieczeństwie między NATO a Federacją Rosyjską z 1997 roku. Instrumenty te niestety zawiodły.

Dlaczego?

Przyczyny i konsekwencje tego niepowodzenia będą przedmiotem badań naukowców przez wiele lat. Oczywiście, Niemcy też muszą ponieść swoją część odpowiedzialności za tę błędną kalkulację. Inwestowaliśmy we współzależność z Rosją w nadziei na ustabilizowanie stosunków, uczynienie ich bardziej przewidywalnymi i kontrolowanymi.

Z perspektywy czasu można stwierdzić, że po aneksji Krymu przez Rosję i wojnie w Donbasie, było to zdecydowanie zbyt optymistyczne założenie. Musimy zaakceptować krytykę ze strony naszych partnerów ze wschodu odnośnie głupoty naszej decyzji o budowie Nord Stream 2 w obliczu coraz bardziej agresywnej i niepohamowanej Rosji.

Czy można było uniknąć tych błędów?

Dążenie do poprawy stosunków z Rosją nie było błędem. Zignorowaliśmy jednak zbyt wiele znaków ostrzegawczych i zaniedbaliśmy inwestowanie we własne siły, zarówno w naszą armię, jak i w nasze bezpieczeństwo energetyczne. Teraz płacimy za to cenę.

Jestem jednak przekonany, że w końcowym rozrachunku świat zachodni odniesie sukces. Pogardzając wolnością osobistą i prawem do samostanowienia, prezydent Putin nie docenił siły naszych demokracji. On przegra tę konfrontację, a zwycięży wolność. Ukraina stanie się zaś częścią naszej wspólnoty wolnych narodów.

Tłumaczenie Arkadiusz Czerwiński

[1] Piotr Buras, *Der andere Blick. Die osteuropäischen Perspektiven und ihre Bedeutung für das Gleichgewicht innerhalb der EU*, w: *Wende in Europa: Ausblick auf eine neue Zeit. Berichte zur Lage der Nation*, red. T. Mirow, Hamburg: Murmann, 2022, s. 139–162.

[2] Ibidem, s. 153f.

[3] Ibidem, s. 162.

[4] Heinrich Brauss, *Der große Epochenbruch. Neue Weltlage, neue Erfordernisse: die Stärkung der strategischen und militärischen Handlungsfähigkeit Europas*, w: *Wende in Europa: Ausblick auf eine neue Zeit. Berichte zur Lage der Nation*, red. T. Mirow, Hamburg: Murmann, 2022, s. 110.

[5] Ibidem, s. 110.

[6] Ibidem, s. 111f.

[7] W wersji oryginalnej, tekst jest rymowany: „Wenn die D-Mark kommt, so bleiben wir; kommt sie nicht, geh'n wir zu ihr!". Hasło pojawiło się podczas poniedziałkowej manifestacji w Lipsku, 13 stycznia 1990 roku.

[8] Iwan Krastew, Stephen Holmes, *The Light that Failed: A Reckoning*, London: Penguin Books, 2019. Wydanie polskie: *Światło, które zgasło. Jak Zachód zawiódł swoich wyznawców*, Warszawa: Krytyka Polityczna, 2020.

[9] Munich Security Conference (ed.), Munich Security Report 2020: Westlessness, [dostęp: 2.09.2024], <https://securityconference.org/en/publications/munich-security-report-2020/>.

[10] Raghuram Rajan: Climate Action and Continued Globalization Joined at the Hip (2022 Per Jacobsson Lecture), [dostęp: 2.09.2024], <https://www.imf.org/en/News/Podcasts/All-Podcasts/2022/10/19/raghuram-rajan-per-jacobsson-lecture>.

[11] Ibidem.

[12] Ibidem.

[13] W oryginale: „Die übergeordnete (…) Gemeinschaft soll ihren Gliedgemeinschaften hilfreichen Beistand leisten in dem, wozu diese, auf sich allein gestellt, aus eigenen Kräften nicht imstande sind; was dagegen die Gliedgemeinschaften selbst leisten können, darf die übergeordnete (…) Gemeinschaft ihnen nicht abnehmen", zob. Oswald von Nell-Breuning, *Baugesetze der Gesellschaft: Solidarität und Subsidiarität, durchgesehene Neuausgabe*, Herder: Freiburg/Basel/Wien, 1990, s. 83.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bezpieczna Polska

O reformie armii i służb specjalnych,
o sojuszniczej lojalności, naszym miejscu w NATO,
partnerstwie z USA i udziale w misji w Iraku

Francja i Niemcy były znużone naszymi wysiłkami pokonania Al-kaidy. Nie przeszkadzało im wspieranie w ten sposób dążeń Putina

Odpowiedzi George'a W. Busha na pytania Aleksandra Kwaśniewskiego

Drogi Aleksandrze,

na potrzeby Twojej książki z przyjemnością odpowiem na kilka pytań dotyczących stosunków polsko-amerykańskich w okresie pełnienia przez nas urzędu prezydentów naszych krajów.

W roku 1999 Stany Zjednoczone odegrały kluczową rolę w rozszerzeniu Paktu Północnoatlantyckiego o pierwsze trzy kraje Europy Środkowej, w tym Polskę. W tamtym czasie ta decyzja wydawała się mieć głównie wymiar polityczny. Czy przypuszczałeś wówczas, że rozszerzenie NATO będzie miało w przyszłości praktyczne, militarne znaczenie?

Wspierałem rozszerzenie NATO, ponieważ miałem mocne poczucie, że zachęci to narody, takie jak twój, do umocnienia ich młodych demokracji. Z początku była to wizja polityczna, której towarzyszyła nadzieja, że wojskowy aspekt sojuszu nie będzie nigdy potrzebny. Wówczas nastąpił 11 września. NATO uruchomiło Artykuł 5, co połączyło nas politycznie i militarnie.

Niektórzy spośród tych, którzy nie popierali powiększenia NATO, obawiali się, że może to sprowokować Putina. W oczywisty sposób okazało się to błędnym przekonaniem, ponieważ my zaprosiliśmy Putina do uczestniczenia w Radzie NATO-Rosja, co przez jakiś czas czynił.

Na początku XXI wieku Polska była nowym członkiem NATO, jednak dopiero wspólne polsko-amerykańskie misje bojowe zamieniły „klub dyskusyjny" w „braterstwo broni". Od początku członkostwa w NATO Polska aspirowała do roli skutecznego partnera Stanów Zjednoczonych. Wojna przeciwko terroryzmowi nieoczekiwanie stała się polem pierwszej bitwy nowych sojuszników. Jak oceniasz podejście i działania Polski w tych nowych warunkach?

Postrzegałem Polskę pod twoim przywództwem jako wiarygodnego i niewzruszonego partnera w wojnie przeciwko terrorowi i w obronie demokracji. Kiedy zadeklarowałeś swoje poparcie dla tej sprawy, nie wycofałeś się. Dotrzymałeś swojego słowa – co było kluczowe dla zaplanowania obrony naszych krajów. Bardzo dobrze pamiętam, w jaki sposób twój rząd powitał mnie i moich współpracowników podczas wizyty w Warszawie w 2001 roku. Amerykańska i polska flaga powiewały obok siebie jako symbol naszej przyjaźni. Jak pewnie pamiętasz, była tam obecna również flaga NATO. To był symbol szerszego sojuszu.

Polska podjęła aktywne starania, aby włączyć szereg państw Europy Środkowej i Wschodniej, w tym Ukrainę, do współpracy ze Stanami Zjednoczonymi w celu przeprowadzenia operacji stabilizacyjnej w Iraku. Te działania, jak pamiętamy, były prowadzone w opozycji wobec największych krajów „starej" Europy. Jak wtedy postrzegałeś tę sytuację?

Mam wrażenie, że po pewnym czasie, niektóre z tych starszych państw Europy, przede wszystkim Francję i Niemcy, znużyły nasze wysiłki zmierzające do pokonania Al-Kaidy i jej popleczników. Wydawało mi się wówczas, że tym państwom nie przeszkadzało wspieranie w ten sposób dążeń Putina do osłabienia wpływów Stanów Zjednoczonych na świecie. I w ten sposób podkopywały one nasze sojusze z Wielką Brytanią, Polską i wieloma innymi krajami. Beneficjentami tej cynicznej dyplomacji byli Putin i wrogowie demokracji.

Prezydent Władimir Putin, wraz z innymi rosyjskimi oficjelami, nieustannie okłamywali Stany Zjednoczone oraz ich europejskich partnerów, ukrywając swoje prawdziwe intencje. Kiedy zdałeś sobie sprawę, że w rzeczywistości Rosjanie dążą do odbudowy imperium, za wszelką cenę?

W czasie Igrzysk Olimpijskich w 2008 roku Rosja napadła na młodą demokrację Gruzji. To był pierwszy jasny znak, że Putin marzy o budowie nowego rosyjskiego imperium przy użyciu siły. Przy okazji, dałem mu wówczas wyraźnie do zrozumienia, podobnie jak inni urzędnicy mojej administracji, że Rosja powinna zatrzymać swój marsz na Tbilisi, albo czekają ją poważne konsekwencje. Nie tylko my mówiliśmy wtedy tym językiem. Putin się zatrzymał, ale później oczywiście wznowił swoją ekspansję.

Dzisiaj trwa wojna w Ukrainie, a rosyjska agresja zagraża całej Europie. Stany Zjednoczone raz jeszcze stanęły na czele wolnego świata. U boku Ameryki, w pierwszym rzędzie, stoją kraje Europy Środkowej. Początek tej więzi to okres trwania twojej prezydentury. Jakie to uczucie?

Polska reakcja na inwazję Rosji na Ukrainę była nadzwyczajna. Jej zapowiedzią były już wasze działania po 11 września 2001 roku, kiedy przewodziliście wysiłkom, zmierzającym ku zacieśnieniu współpracy w walce z terroryzmem wśród krajów Europy Środkowej i Wschodniej.

Stany Zjednoczone nie mogą porzucić Ukrainy. Jestem pewien, że Polacy także nigdy tego nie zrobią.

Tłumaczenie Arkadiusz Czerwiński

Nigdy nie będę żałował, że pozbyliśmy się Saddama

Rozmowa z Tony Blairem (część 2)

Kiedy został pan premierem, negocjacje w sprawie członkostwa Polski w NATO szły pełną parą. Czy przypomina pan sobie to, co od lat twierdzą Rosjanie – Zachód obiecał Moskwie, że w Polsce ani w nowych krajach członkowskich NATO nie będzie rozmieszczonych wojsk NATO ani sprzętu wojskowego. Rosjanie wciąż to powtarzają.

Dlaczego mielibyśmy obiecywać coś takiego?

Tak od lat mówi Putin.

Aleksander odegrał tu bardzo ważną rolę, ponieważ wielokrotnie wyraźnie twierdził, że członkostwo Polski w NATO i członkostwo Polski w UE nie jest wymierzone w Rosję. A my zapraszaliśmy Rosję na szczyty NATO, chcieliśmy współpracy. Grupa G7 była wtedy G8, Rosja też brała udział w tych spotkaniach. Mitem, który Putin starał się zbudować, jest to, że NATO było wrogie wobec Rosji. Dołożyliśmy wszelkich starań, aby rozwiać wszystkie rosyjskie obawy. Problem polegał jednak na tym, że Putin był zdeterminowany, by odtworzyć rosyjską strefę wpływów.

Kiedy zdał pan sobie sprawę, że taki jest cel Putina?

Mniej więcej w latach 2002–2003 stało się bardzo jasne, że zmienia się w rosyjskiego nacjonalistę. Że zdecydował się, co stało

w sprzeczności z nastawieniem z początków jego rządów, przejść na pozycję antyzachodnie, rozpocząć walkę z Zachodem. Mówiłem mu: Władimirze, ludzie chcą tylko, żeby Rosja była stabilna i dobrze sobie radziła. Wszyscy będziemy bardzo szczęśliwi, jeśli do tego doprowadzisz. Dlaczego mielibyśmy z tobą walczyć?

Jaka była jego odpowiedź?

Powtarzał „Dlaczego nas okrążacie?", pomimo naszych zapewnień, że nikt nie próbuje Rosji osaczyć. Ci wszyscy nowi członkowie NATO i UE próbują tylko jakoś sobie radzić, budują swoje gospodarki, podnoszą swój standard życia. Czego chcą? Nie chcą z tobą walczyć. A ja mu mówiłem, spójrz na Ukrainę, niech Ukraińcy zdecydują, czy chcą z wami zostać i nie wchodzić do UE i NATO – jeśli tak, w porządku. To ich decyzja. A Putin odpowiadał: decyzja nie należy do nich. Powiedziałbym, że to właśnie stanowi różnicę między nami. Ja uważam, że powinni mieć wolność wyboru swojej przyszłości, a on nie.

Rozmawialiśmy o tym kilka razy. Polski prezydent Aleksander Kwaśniewski naprawdę dołożył wszelkich starań, aby zbudować dobre relacje z Rosją, ale żeby było jasne, Polska jest krajem niepodległym, prowadzi niezależną politykę. Myślę, że za jego czasów handel między Polską a Rosją się rozwijał. Niestety, to nie Polska się zmieniła, ani Wielka Brytania. Zmienił się Putin.

Czy Zachód zrobił wszystko co możliwe, aby powstrzymać imperialną politykę Putina?

Cóż, nigdy nie myśleliśmy, że to zajdzie tak daleko. Z pewnością nigdy nie sądziłem, że Putin zaatakuje Ukrainę w taki sposób i będzie próbować obalić demokratycznie wybranego prezydenta. Kiedy zaatakował Krym i najechał Donbas, rozmawiałem z wieloma ekspertami, którzy twierdzili, że musimy się uniezależnić od rosyjskiej energii. Jednak nawet ja nigdy nie wyobrażałem sobie, że sytuacja rozwinie się w ten sposób. Nie sądzę, aby wielu ludzi przewidziało coś tak irracjonalnego i destrukcyjnego.

Wielu rosyjskich oligarchów osiedliło się tutaj, w Wielkiej Brytanii. Czy nie byliście naiwni pozwalając im na to?

Kiedy ludzie mówią o oligarchach, mają na myśli bogatych Rosjan, prawda? Niektórzy z nich dorobili się majątku po upadku Związku Radzieckiego. Niektórzy z nich przyjeżdżają tutaj, również ludzie bardzo bliscy Putinowi, ale czy to są prawdziwi oligarchowie? Nie wiem, czy któryś z nich mieszka w Wielkiej Brytanii. Więc szczerze mówiąc myślę, że jest w tym sporo przesady. Oczywiście jest u nas kilku bardzo znanych ludzi, takich jak Abramowicz.

W 2004 roku na Ukrainie wybuchła pomarańczowa rewolucja. Czy współpracował pan wtedy z Aleksandrem Kwaśniewskim? Jak postrzegał pan Ukrainę w tamtym czasie, w 2004 roku, czy widział pan Ukrainę w UE i NATO, czy raczej w rosyjskiej strefie wpływów?

Myślę, że ludzie postrzegali Ukrainę, jako kraj starający się podjąć decyzję w sprawie swojej przyszłości. Myślę, że Aleksander popierał pomarańczową rewolucję, ja zresztą też, bo jak moglibyśmy jej nie wspierać? Chodziło w niej po prostu o to, że ludzie pragnęli innej przyszłości. Fundamentalnym problemem było jednak zawsze to, że Polska zdecydowała się dołączyć do wspólnoty krajów europejskich, do świata Zachodu, który uważa, że jako kraj masz prawo samodzielnie decydować o swojej przyszłości. A zasadnicza różnica polega na tym, że Putin tego nie akceptuje. Uważa, że o strefach wpływów decyduje ten, kto jest silniejszy. Tym się różnimy.

Jakie jest rozwiązanie dla Ukraińców?

Cóż, rozwiązaniem dla Ukrainy jest zakończenie konfliktu na akceptowalnych dla niej warunkach, a następnie odbudowa kraju jako członka Unii Europejskiej i uzyskanie od Zachodu kompletu gwarancji bezpieczeństwa na przyszłość. Nie ulega wątpliwości, że ostatecznie Ukraina wyjdzie z tego silniejsza, a Rosja słabsza. To wielkie nieszczęście, na razie sytuacja jest koszmarna, ponieważ niesie ze sobą tak wiele śmierci i zniszczenia. To było również zupełnie niepotrzebne.

A czy widzi pan w przyszłości Ukrainę w UE i NATO?

Z pewnością widzę Ukrainę w UE. NATO – zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja.

Jak będą się teraz kształtować relacje między NATO i Rosją? Czy tym razem nastąpi powrót do zimnej wojny, wyścigu zbrojeń, wojny szpiegów, zagrożenia wybuchem trzeciej wojny światowej i konfliktem nuklearnym? Czy boi się pan, że Rosja może użyć broni atomowej?

Wszystko zależy od tego, co się stanie, gdy odejdzie Putin. Kluczem jest zatem następny przywódca Rosji. Dopóki rządzi Putin, nikt na Zachodzie nie będzie ufał Rosji ani zawierał z nią umów, chyba że z konieczności. Jeśli jednak następny przywódca będzie miał jaśniejszy obraz przyszłości Rosji i zrozumie, że prawdziwym wyzwaniem dla kraju jest modernizacja gospodarki i społeczeństwa, to zdecydowanie nie musimy być wrogami. Nikt tego nie chce.

A czy Zachód jest w stanie obronić nasze wartości?

Putin może nam grozić, ale prawda jest taka, że jego armie miały problem z pokonaniem Ukraińców. Nie mógłby pokonać całego Zachodu. Gospodarka Rosji ma rozmiary dwóch trzecich gospodarki Wielkiej Brytanii. Rosja to nie Chiny.

Panie premierze, chciałem nieco cofnąć się w czasie i zapytać o wojnę w Iraku. Czy konsultował się pan wtedy z polskimi politykami, władzami i prezydentem Kwaśniewskim?

Tak, oczywiście. Ściśle ze sobą współpracowaliśmy. Ludzie zapominają, że zamachy z 11 września były ogromnym szokiem dla całego świata. Ameryka zawarła sojusz z około 40 krajami. Szczerze mówiąc, nigdy nie było wątpliwości, że Wielka Brytania będzie uczestniczyć w tym sojuszu, podobnie jak Polska. Polska była głęboko lojalna wobec sojuszu transatlantyckiego. Była dumnym i godnym zaufania członkiem NATO. Nigdy nie było możliwości, aby po 11 września kraje, takie jak Wielka Brytania i Polska, nie stanęły do walki razem z Ameryką, u jej boku.

Czy uważa pan Irak za swój największy błąd polityczny i czy można było tego błędu uniknąć podczas trwającej walki z międzynarodowym terroryzmem?

Jeśli chodzi o mnie, nigdy nie będę żałował, że pozbyliśmy się Saddama. Prawda jest jednak taka, że po 11 września 2001 roku

Ameryka całkowicie zmieniła pogląd na swoje bezpieczeństwo. I my wszyscy byliśmy jej zdecydowanymi sojusznikami.

Nadal uważam, że to była słuszna decyzja, wynikała z naszego sojuszu z Ameryką. Czy jednak popełniliśmy błędy w Iraku? Tak, mówiłem o nich bardzo wyraźnie. Największym z nich było to, że nie doceniliśmy stopnia, w jakim brak instytucji w kraju i dążenie sił w regionie do destabilizacji procesu demokratyzacji bardzo go utrudnią. Z drugiej strony uważam, że powinniśmy byli kontynuować nasz kurs. Istnieje tu kontrast z działaniami Putina w Syrii, który konsekwentnie wspierał tamtego dyktatora. Dlatego Baszar al-Asad nadal jest u władzy. Myślę, że trzeba było kontynuować działania w Iraku i w Afganistanie, ale miejmy nadzieję na lepszą przyszłość dla Iraku. Nadal działa tam system demokratyczny.

Czy podjęliście z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim decyzję o wysłaniu wojsk do Iraku pod naciskiem prezydenta Busha, czy też była to wasza własna, jak wielu dziś uważa – błędna decyzja?

Cóż, jeśli chodzi o Polskę to Aleksander musi sam odpowiedzieć na to pytanie. Ja uznałem, że Wielka Brytania bierze udział w tej walce razem z Ameryką, wierzę też nadal, że Saddam Husajn stanowił wówczas zagrożenie dla świata. Ludzie zapominają teraz o historii sprzed 2003 roku i o rozpoczętych przez niego dwóch wojnach w regionie, o użyciu broni chemicznej i tak dalej. Dla mnie zawsze było jasne, że staniemy u boku Ameryki.

Czy pomógł pan prezydentowi Bushowi zorganizować koalicję państw europejskich i przekonać do udziału w niej Aleksandra Kwaśniewskiego?

Nie przypominam sobie, żebym musiał go namawiać. Zawsze było jasne, że Polska weźmie w tej walce udział wraz z Ameryką. Myślę, że tak jak wszyscy inni, nie doceniliśmy problemu, który leżał nie w pozbyciu się dyktatury, co zrobiliśmy stosunkowo łatwo, ale w tym, co przyszło później, i w siłach, które chciały zakłócić proces demokratyzacji. Sądzę jednak, że Aleksander Kwaśniewski podjął tę decyzję z tych samych powodów, co ja.

Rozmowę przeprowadził Marcin Antosiewicz

Wysłanie wojsk do Iraku i Afganistanu spowolniło wyposażenie sił zbrojnych w sprzęt potrzebny do naszej obrony

Rozmowa z Bronisławem Komorowskim (część 2)

W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych nie było w Polsce zgody w sprawie dążenia do włączenia się do NATO. Skąd się brały te rozbieżności?

Akurat w kwestii integracji z NATO, różne siły polityczne dojrzewały do tego w różnym tempie. W obozie postkomunistycznym długo pokutowało przekonanie, że po zakończeniu zimnej wojny potrzebne są jakieś nowe, ogólnoeuropejskie rozwiązania w zakresie bezpieczeństwa, a Polska powinna być raczej pomostem między Wschodem a Zachodem. W praktyce znaczyło to tyle, że zamiast przystępować do zwycięskiego bloku zachodniego, sprzyjajmy zupełnie nowej, wspólnej architekturze bezpieczeństwa poza logiką bloków. Dopiero po zwycięstwie wyborczym w 1995 roku prezydent Aleksander Kwaśniewski zadeklarował, że jego formacja jednoznacznie popiera wejście Polski do Sojuszu Północnoatlantyckiego.

To samo można powiedzieć o ministrze Krzysztofie Skubiszewskim, Tadeuszu Mazowieckim, a nawet Lechu Wałęsie. Oni też początkowo nie zgłaszali takich aspiracji czy sugerowali rozwiązania alternatywne.

Oni tych aspiracji nie wyrażali wtedy, kiedy i na Zachodzie nikt nie zakładał możliwości rozszerzenia. Być przekonanym, że coś jest nie-

osiągalne w danym momencie to nie to samo, co uważać, że jest to niepotrzebne czy niepożądane. Na tym polega różnica.

Do pomysłu integracji Polski z NATO część elit politycznych musiała dojrzeć, również stanowisko samych państw NATO ewoluowało w tej kwestii. Czy to był proces, na który Polska miała jakiś wpływ, a może zwroty polityczne w takiej sprawie dokonywały się zupełnie poza naszym zasięgiem?

Mieliśmy na to ograniczony wpływ, ale polski lobbing w tej sprawie okazał się bardzo skuteczny. Przy czym dopiero w sytuacji, kiedy w Polsce zapanował w tej sprawie pełen konsensus, a równocześnie kolejne kraje dojrzewały do tego, by poszerzać NATO na Wschodzie. Wtedy też ich elity zaakceptowały fakt, że rozpoczyna się batalia o poglądy opinii publicznej w ich krajach na temat poszerzenia NATO.

W pierwszej kolejności pomagała nam zgoda naszych elit i społeczeństwa. Trzeba podkreślić, że u nas w kraju to obóz solidarnościowy był autorem wyznaczenia politycznego celu, jakim było członkostwo Polski w NATO. Wielką rolę w przeprowadzeniu swego środowiska do obozu zwolenników NATO odegrał Aleksander Kwaśniewski. Od 1995 roku konsensus w Polsce można było uznać za powszechny – jadąc gdziekolwiek na Zachód mogliśmy zgodnie z prawdą głosić, że wszystkie siły polityczne i społeczeństwo są „za". To robiło duże wrażenie, bo potwierdzało ten pozytywny stereotyp o Polakach jako narodzie, który od zawsze rwał się do wolności i na Zachód.

Niemniej, największą rolę z perspektywy Zachodu odegrały wcześniejsze wydarzenia w Moskwie – konkretnie pucz Janajewa w 1991 roku.

To jeszcze jest czas, kiedy Amerykanie o rozszerzeniu NATO nie myślą.

To prawda, ale próba obalenia reformatorów na Kremlu wstrząsnęła nie tylko Polską, ale całym światem zachodnim. Z czasem zaczęto go interpretować w taki sposób, że potwierdzało to polską tezę o Rosji jako źródle niestabilności i zagrożenia. Tym bardziej, że wtedy wojska rosyjskie stacjonowały jeszcze w NRD, Czechosłowacji, no i w Polsce – i były wątpliwości, czy na przykład nie zechcą pójść przez nasze terytoria Janajewowi na pomoc. Amerykanie potraktowali to bardzo serio.

Czym to się objawiało?

Pamiętam jednego z szefów wywiadu USA, który w czasie wizyty w Polsce określił to jako sygnał, że Europa jest niestabilna, a stabilizację można uzyskać właśnie przez przyjęcie krajów Europy Środkowej i Wschodniej do NATO. I to poszło w świat. Zaczęli w ten sposób myśleć również Niemcy. Szef ich MON-u, Volker Rühe, na moje pytanie, zadane już po latach: dlaczego wspomagają Polskę w jej staraniach o wejście do sojuszu, odparł, że to proste: – Masz tutaj mapę? – Mam. – No to popatrz, ja biorę moich kolegów z CDU czy innych i mówię: patrzcie, powiedzcie sami, czy lepiej mieć Rosję i jej przestrzeń operacyjną, skąd potencjalnie może wyjść uderzenie, na Odrze czy lepiej, żeby na Bugu? No to każdy Niemiec powie, że to jasne, że lepiej na Bugu, więc trzeba Polskę przyjąć do NATO.

Warunkiem przyjęcia nas do sojuszu była w pełni cywilna kontrola nad armią – za Jaruzelskiego jej nie było. Na początku III RP zresztą też...

Kiedy w Polsce wprowadzano cywilną kontrolę nad siłami zbrojnymi, w ogóle nie było perspektywy wejścia do NATO, więc nikt nam tego warunku nie stawiał. Była wola wejścia do sojuszu po stronie obozu solidarnościowego, w związku z tym musieliśmy rozpocząć reformy, które by nam tę drogę ułatwiały, a nie utrudniały. I tym czymś była między innymi cywilna kontrola nad siłami zbrojnymi, która rozpoczęła się wraz z tym, że dwóch cywilnych wiceministrów – Janusza Onyszkiewicza i mnie – Tadeusz Mazowiecki skierował do roboty u generała Siwickiego, *notabene* jednego z autorów stanu wojennego i dowódcy operacji „Dunaj”[1]. To było jeszcze w kwietniu 1990 roku. Potem jednak kluczową sprawą było to, kiedy będzie cywilny minister.

Pierwszym był Piotr Kołodziejczyk. Ale też admirał, tylko w stanie spoczynku.

Tadeusz Mazowiecki w 1990 roku mianował pierwszego cywilnego ministra, tyle że był to były szef kontrwywiadu marynarki wojennej. *Notabene*, lansował on – i tu był widoczny wpływ lewicy na wojsko – powiązanie polskiego przemysłu obronnego z firmami z krajów neutralnych, przede wszystkim ze Szwecji. Zakupy granatników

pancernych Carl Gustaf to miał być jeden z pierwszych zakupów sprzętu zachodniej proweniencji. Tak czy inaczej, ta nominacja to była pośrednia forma ucywilniania resortu obrony – potem był Jan Parys, już zupełny cywil w ministerstwie, w rządzie Olszewskiego i po nim Janusz Onyszkiewicz. Kwestią sporną było, ile dokładnie władzy ma ten cywilny minister, a ile szef sztabu generalnego.

To przywodzi na myśl sprawę tak zwanego obiadu drawskiego, kiedy prezydent Wałęsa omawiał z generałami kwestię, czy minister obrony dalej powinien sprawować tę funkcję. Czy pana zdaniem, to była realna próba odwrócenia procesu ucywilnienia kontroli nad armią?

Na pewno był to jeden z jego zabiegów wyborczych i dalszy ciąg starań Lecha Wałęsy o umocnienie swojej pozycji w wojsku. Celem było przyciągnięcie generałów, wojskowych i ich rodzin. Dobrze pamiętam, jak przed wyborami parlamentarnymi 1993 roku – obiad drawski był rok później – przyszedł do mnie generał Tadeusz Wilecki, szef sztabu generalnego i wygłosił mniej więcej taką mowę: – Polska jest w chaosie i są tylko dwa filary, na których to wszystko się trzyma. To jest wojsko i to jest Kościół. Musimy Polskę uporządkować, a ty możesz iść z nami. To „my" to był Wałęsa i jego Bezpartyjny Blok Wspierania Reform, taki średnio udany pomysł na partię prezydencką.

Odpowiedziałem: – Tadeuszu – bo byliśmy na ty – wybacz, ale ja się na takie numery nie piszę. Jest demokracja, a w demokracji wojsko nie ma prawa się politycznie angażować.

A jednak wojsko się zaangażowało?

Tak, w postaci generałów, z których kilkunastu startowało do Sejmu z listy BBWR. Liczyli, że to generalicja będzie rządziła i sprzedawała swoje poparcie, komu chce – w tym wypadku Wałęsie, a za to cywilna kontrola nad armią będzie fasadą. Tylko tym startem wyborczym generałowie się skompromitowali we własnych szeregach. Zresztą to była powtórka z roku 1989, bo w czasie wyborów czerwcowych PZPR też wystawiała generałów na listach. I oni wszyscy, co do jednego też zostali wycięci, nawet w obwodach zamkniętych, czyli takich, gdzie głosowali głównie wojskowi i milicja obywatelska. A sam BBWR oka-

zał się politycznym kapiszonem Wałęsy, dostali niewiele ponad 5 procent głosów.

Obiad drawski wydarzył się już po tym, jak powstało Partnerstwo dla Pokoju, odbyły się pierwsze manewry z udziałem państw NATO na naszym terytorium. Czy takie wydarzenie – i kontrowersje wokół cywilnej kontroli nad armią – mogło nam zaszkodzić w procesie akcesji?

Mogło, ale było widać, że to były takie... ostatnie podrygi zdychającej ostrygi. Generalicja dostała przecież świeżą lekcję w wyborach 1993 roku – że i żołnierze, i opinia publiczna, i żadna partia polityczna sobie nie życzy wprowadzania wojska z powrotem do polityki. Inaczej mówiąc, spotkanie Wałęsy z generałami na poligonie i nieszczęsne „głosowanie" w sprawie ministra obrony, to był łabędzi śpiew tendencji do emancypacji wojska. Wałęsa chciał wyborczo zagrać na tej nucie autonomii wojska w systemie politycznym. I jednocześnie jakoś ukarać Kołodziejczyka za jego relacje z rządem Waldemara Pawlaka.

Ale to się nie miało prawa udać.

A zatem cywilną kontrolę nad armią mieliśmy, pana zdaniem, załatwioną stosunkowo wcześnie?

Obiad drawski przyspieszył wypracowanie konsensusu polskiej sceny politycznej w kwestii wdrożenia cywilnej kontroli nad wojskiem i służbami w praktyce. Ja wtedy byłem wiceprzewodniczącym sejmowej Komisji Obrony Narodowej, której szefem był Jerzy Szmajdziński z SLD. I myśmy zawarli taki nieformalny pakt, że nie tylko rozliczymy ten cały obiad drawski i ustalimy dokładnie, co tam się wydarzyło, ale też umówiliśmy się, że bez względu na to, kto będzie rządził, ludzie odpowiedzialni za to muszą z wojska zniknąć. To był bardzo istotny moment polityczny, w którym pomiędzy Unią Wolności a SLD doszło do zbliżenia na gruncie porządkowania spraw wojska. I to było wyraźnie motywowane tym, że ten nieszczęsny obiad kompromitował nas w NATO i że był elementem utrudniającym naszą drogę do sojuszu.

Budowanie cywilnej kontroli nad armią wywoływało zrozumiałe napięcia, bo to była walka o władzę i wpływy. A czy inne reformy wojska, związane z wejściem do NATO, budziły opór?

Czasami był to bierny, a czasami chytry opór, to znaczy pozorowanie pewnych ruchów przy wykorzystaniu faktu, że te elity polityczne, które miały się zajmować wojskiem, były pozbawione większego doświadczenia i znajomości sprawy. Inaczej być zresztą nie mogło, bo nawet PZPR nie miała cywilnych specjalistów od wojska, to wojsko było w kierownictwie PZPR. To było dla nas pewne zaskoczenie, że nawet w SLD nie było zbyt wielu ekspertów w temacie – musieli korzystać z ludzi związanych ze służbami, choć nominalnie cywilów, jak Andrzej Karkoszka. Tak czy inaczej, to była nasza wielka słabość. A jednocześnie wojskowi bardzo umiejętnie dbali o własne, środowiskowe interesy. Z tym, że to już nie miało charakteru ideologicznego, czy nawet politycznego – chodziło o miejsca pracy, o przywileje emerytów, żeby te wszystkie przyziemne sprawy zostały załatwione.

I jak reagowali na to politycy?

Po stronie obozu solidarnościowego, ale częściowo lewicy też, świat polityczny dzielił się na tych stosunkowo nielicznych, którzy uważali, że trzeba prawie wszystko w Wojsku Polskim zmienić oraz na tych, którym wystarczało składanie deklaracji, że kochają polski mundur. Ewentualnie, że trzeba przeprowadzić dekomunizację, ale poza tym niczego od wojska nie chcieli. A takich, którzy znaliby się choć trochę na rzeczy, można było na palcach jednej ręki policzyć.

Kiedy sam został pan szefem MON-u, za rządów AWS – też tak źle to wyglądało?

Kiedy jako minister – od 2000 roku, po Januszu Onyszkiewiczu – zabierałem się do bardzo głębokiej reformy Sił Zbrojnych RP – nie opierałem się na ekspertach cywilnych, nie na wiceministrach, tylko na generalicji. Mimo, że jednym z elementów reformy były głębokie cięcia w liczbie garnizonów, które były zbędne i gdzie już często wojska nie było. Nadmiarowego sprzętu po PRL, to tak na marginesie, pozbyliśmy się wcześniej, na początku lat dziewięćdziesiątych. Wtedy na podstawie konwencji paryskiej zezłomowaliśmy kilka tysięcy czołgów. Ale przede wszystkim zredukowaliśmy stany osobowe i w efekcie tak zwane ukompletowanie w wielu miejscach było na najniższym poziomie. To znaczy, że było wielu oficerów, ale żołnierzy już nie, a jed-

nocześnie w jednostkach bojowych brakowało oficerów konkretnych specjalności. Dlatego właśnie likwidacja niefunkcjonalnych, a drogich w utrzymaniu garnizonów, była konieczna.

A co ich przekonało do zmian? Likwidacja garnizonów to nie jest coś, na co kadra oficerska chętnie się godzi.

Udało mi się im uzmysłowić, że jedziemy na wspólnym wózku – że albo te zmiany przeprowadzimy, albo będzie postępowała degeneracja wojska i w efekcie nastąpi kompromitacja w NATO. To już przecież było po wejściu do sojuszu i przyjęciu konkretnych rozwiązań co do kierunku i tempa modernizacji armii. A dla nich wiarygodność sojusznicza była jednak istotna, bo to przecież przekładało się na szanse karier w NATO. To wszystko było połączone z obietnicą, że wojsko dostanie dużo więcej pieniędzy.

Bo, jak rozumiem, reforma nie polegała tylko na cięciu...

Oczywiście pojawiła się konieczność wywiązania się ze zobowiązań, którymi wcześniej szermowali i prezydenci, i premierzy, i szefowie MSZ, i ministrowie obrony. A one dotyczyły przede wszystkim zakupów nowoczesnego sprzętu na wielką skalę. Do rangi symbolu urosła kwestia samolotów wielozadaniowych, które były obiecywane przez co najmniej dwie głowy państwa i trzech szefów rządów RP. I kiedy w 2000 roku zostałem ministrem obrony narodowej, to właśnie moim zadaniem było wywiązanie się z tych obietnic. Problem polegał na tym, że miałem to zrobić bez pieniędzy, co oczywiście byłoby niewykonalne...

A pieniądze skąd się znalazły? Bo przecież samoloty wielozadaniowe w końcu kupiliśmy.

To wtedy powstały, mniej więcej równocześnie, plan sześcioletni modernizacji technicznej sił zbrojnych i ustawa o wydatkowaniu 2 procent PKB na obronność. A doszło do tego między innymi w wyniku szarży z mojej strony, włącznie z zapowiedzią wycofania się w sytuacji, jeśli nie dostaną szansy realizacji naszych zobowiązań sojuszniczych. To było możliwe tylko na dwa sposoby: albo dzięki dodatkowym środkom z budżetu na obronność, albo bardzo głębokim oszczędnościom i cięciom wydatków MON.

Oszczędności były, jak rozumiem, z wydatków na te zlikwidowane garnizony. To było dużo pieniędzy?

Dużo, bo zlikwidowaliśmy ich aż siedemdziesiąt dwa, oczywiście nie bez kosztów społecznych. Ale razem z likwidacją różnych hub, jakichś spółek czy agend, którymi obrastało wtedy wojsko, udało się dzięki temu uzyskać około czterdzieści procent środków na modernizację techniczną. Resztę pieniędzy dostaliśmy z budżetu, ze środków, które dotąd były przeznaczane na spłatę długów gierkowskich. Koszty ich obsługi zaczynały już spadać, więc udało się z tego finansować zwiększony budżet obronny. Na taką możliwość wskazała mi ówczesna wiceminister finansów. Chyba bez wiedzy swego szefa.

Były jakieś opory polityczne? Poza naturalnym oporem kadry oficerskiej?

Oczywiście. Nie tylko wojsko nie chciało cięć, ale też rząd nie chciał likwidować garnizonów, bo nadchodziły wybory 2001 roku. Równocześnie nie chciał zwiększać wydatków na zbrojenia. Ministrowie najpierw chcieli raczej oskubać MON, żeby dołożyć sobie, a potem – jak już się okazało, że zwalniają się miliardy z puli na spłatę długów – żebym się podzielił z nimi. A ja się nie podzieliłem.

A co ten opór w rządzie przełamało?

Tu ciekawy paradoks, że sojuszników przeciwko niektórym ministrom zyskałem wśród związkowców z „Solidarności", z sekcji przemysłu obronnego. Bo oni woleli, żeby pieniądze z budżetu, zamiast na pensje w tych garnizonach, szły na zamówienia dla polskiego przemysłu – i faktycznie na tym skorzystali, bo na przykład MESKO produkowało potem rakiety Spike. W rządzie moim sojusznikiem okazał się wicepremier Janusz Steinhoff. A co do drugiej strony, wówczas idącego po władzę SLD, to byliśmy dogadani z Jurkiem Szmajdzińskim, że zrobimy tę reformę razem, że on, jako następny minister obrony, będzie realizował kolejne punkty planu.

Plan poparł też prezydent Aleksander Kwaśniewski. Dzięki temu udało się przegłosować – miażdżącą większością w Sejmie – ustawę o przeznaczeniu 2 procent PKB na obronność. A dzięki niej mogliśmy wyrobić NATO-wską normę, w której jedna czwarta część budże-

tu obronnego idzie na modernizację techniczną, a ja mogłem już zupełnie uczciwie, jako dysponent środków finansowych z przyszłości, rozpisać przetargi na samolot wielozadaniowy, rakiety przeciwpancerne i transporter opancerzony. Pieniądze mieliśmy zagwarantowane, więc i zamówienia były składane na poważnie.

Mówi pan o przetargach, ale to słowo sugeruje, że różni oferenci realnie konkurują o zamówienie. Czy nie było z góry wiadomo, że w przypadku samolotu wygrają Amerykanie?

Kontroferty – szwedzka z Gripenem i francuska z Mirage – były bardzo poważne. Amerykanie z F-16 od początku mieli największe szanse, ale nie bez znaczenia był całokształt umowy, czy będzie z nią związany offset – głównie inwestycje w polski przemysł zbrojeniowy – czy nie. Amerykanie bardzo nie lubią tego rozwiązania, nam na nim zależało, więc Europejczycy proponowali bardzo przyzwoite warunki. Konkurencja w przetargu to nie były pozory, poza tym próbowaliśmy w ten sposób wydusić od Amerykanów lepsze warunki. Bo oni, jak to oni, uważali, że to jest wielkie wyróżnienie i zaszczyt, że zgodzą się nam coś sprzedać. My staliśmy na stanowisku, że skoro dajemy dobre pieniądze, to oczekujemy dobrej oferty.

Dobrze ten przetarg rozegraliśmy?

Zrealizował go już mój następca, minister Jerzy Szmajdziński. Acz była na mnie wywierana presja z kręgów rządu AWS, żebym rozstrzygnął przetarg jeszcze przed wyborami. Nie zgodziłem się, bo chodziło o wiarygodność jego wyniku, także dla ówczesnej opozycji, która miała przejąć władzę. A zrobiłem to również dlatego, że wcześniej udało mi się z wielkim trudem zbudować porozumienie wszystkich liczących się sił politycznych w parlamencie, w tym SLD i PSL, wokół planu sześcioletniego i tych 2 procent PKB. Byłoby idiotyzmem zniszczyć taką tkankę porozumienia tylko dlatego, żeby rząd mógł zabłysnąć przed wyborami zakupem samolotów. Tym bardziej, że w tym porozumieniu był także prezydent Kwaśniewski, a wspierał mnie ówczesny sekretarz generalny NATO, George Robertson.

Ostatecznie zmiany w siłach zbrojnych były kontynuowane. Czy to dlatego, że akurat w tej sprawie SLD i prezydent Kwaśniewski mieli te same priorytety co wasz obóz polityczny?

Na pewno podzielali przekonanie, że nie ma tu alternatywy, bo jak nie przeprowadzimy modernizacji sił zbrojnych, to się skompromitujemy w oczach NATO. Tutaj konsensus był bardzo szeroki. Tak na marginesie, Jarosław Kaczyński też głosował za planem sześcioletnim, choć potem PiS krytykował PO za likwidację różnych garnizonów. Ale to nie zmienia faktu, że w sprawę unowocześnienia i dozbrojenia armii zaangażowani byli niemal wszyscy.

A jak się ma do tego wysłanie wojsk polskich do Iraku w 2003 roku? Przecież to też decydowało o kierunku rozwoju armii.

Do pewnego stopnia tak. Nasz sześcioletni plan modernizacji armii został po 2001 roku wypaczony w związku z tym, że Aleksander Kwaśniewski i lewicowy rząd zdecydowali się wysłać żołnierzy polskich do Iraku i Afganistanu. Generalicja uzyskała znowu większy wpływ na decyzje ministra, no i zadziałała zasada, że młócącemu wołu pyska się nie zawiąże. Trudno było wymuszać na generałach cięcia w resorcie i w siłach zbrojnych, kiedy właśnie pojechali na wojnę. Dlatego też mój następca wyhamował moje zapędy reformatorskie bardzo zdecydowanie, także w obszarze szkolnictwa wojskowego czy resortowej ochrony zdrowia. To samo dotyczyło kwestii modernizacji technicznej. Mój plan oryginalnie przewidywał realizację jako priorytetowych, programów ważnych z punktu widzenia obrony naszego własnego terytorium, a na drugim miejscu było osiągnięcie celów ekspedycyjnych. Zaangażowanie w Iraku i Afganistanie odwróciło częściowo krajową logikę reformy.

A bagna Biebrzy to nie to samo, co pustynia w Iraku?

No właśnie. Inny sprzęt wojskowy jest potrzebny do działania w naszym krajobrazie i przy naszym ukształtowaniu terenu, a inny na pustyni czy w wysokich górach, kilka tysięcy kilometrów od Polski. To wyhamowało modernizację armii w pożądanym kierunku. Dobrym przykładem mogą być kołowe transportery opancerzone, które trzeba było, przez wzgląd na misję w Afganistanie, przebudowywać, wzmacniać ze względu na ryzyko wjazdu na minę. W efekcie zostały mocno dociążone, a to znaczyło, że na polskim teatrze działań, pełnym bagien i rzek one miały gorszą zdolność do działania. Ta misja wyssała

dużą część środków na obronę – kilka miliardów złotych, to były wtedy ogromne pieniądze.

To jest bardzo poważny argument dla krytyków udziału Polski w tak zwanej „misji stabilizacyjnej" w Iraku. A jednocześnie w tej sprawie również panował niemal pełny konsensus sił politycznych w parlamencie – przeciw były tylko Samoobrona i Liga Polskich Rodzin.

Tak, tylko trzeba spojrzeć na kwestię wysyłania wojsk do Iraku i do Afganistanu jako pewną konieczność polityczną. A jednocześnie nie udawać, że ta konieczność nie spowolniła wyposażania sił zbrojnych polskich w sprzęt potrzebny do obrony naszego terytorium. Jeszcze inna kwestia, to czy to było konieczne na taką skalę i na tak długo. Przecież my tam byliśmy jeszcze wtedy, jak ja zostawałem prezydentem!

Pamiętam mój spór z sekretarzem generalnym NATO Rasmussenem, który był bardzo zaskoczony, że stawiam sprawę wycofania żołnierzy polskich z Afganistanu. Przewidywał, że będę miał kłopoty z Amerykanami: zobaczysz, mówił, jak ci będą wykręcali ręce. Inni faktycznie bali się ten temat ruszyć. Ja uważałem, że to był najwyższy czas na zakończenie, a przynajmniej radykalne zmniejszenie liczebności misji w Afganistanie. I do tego też doprowadziłem, oczywiście nie sam, tylko udało się to przeforsować w NATO. Ale to za czasów mojej prezydentury NATO jako całość podjęło decyzję o radykalnym zmniejszeniu liczebności kontyngentów sojuszu w Afganistanie. Zostali tam – aż do lata 2021 roku – głównie *specjalsi* i instruktorzy do szkolenia tamtejszej armii.

Oczywiście, obecność polskiej armii w Iraku i w Afganistanie miała masę pozytywnych efektów dla szkolenia, nauki języka, poznania w praktyce procedur NATO-wskich. Ale w moim przekonaniu można było podobne efekty uzyskać za mniejsze pieniądze, przy mniejszym kontyngencie i na pewno przy krótszej obecności w tych krajach.

A czy wówczas – kiedy decydowano o wysłaniu wojsk do Iraku – nie panowało aby przekonanie, że armia do obrony terytorium nie

jest nam szczególnie potrzebna? I że dopiero po wojnie w Gruzji w 2008 roku to myślenie zaczęło się zmieniać?

Może, ale ja zawsze byłem zwolennikiem traktowania obrony własnego terytorium, jako priorytetu dla sił zbrojnych. Jednak tamta wojna na pewno dała wielu do myślenia, że nie można się zapędzić w budowie armii ekspedycyjnej i że są coraz pilniejsze zadania związane z narastającą agresywnością Rosji wobec sąsiadów. Ale to przekonanie, że w naszym regionie na pewno nie będzie wojny, że możemy być już spokojnymi beneficjentami końca ZSRR i jego klęski w zimnej wojnie – ono nigdy, na szczęście, nie znalazło odbicia w planach rozwoju sił zbrojnych. Plan sześcioletni z 2001 roku był nakierowany na obronę granic polskich i zwiększenie naszych zdolności w ramach NATO – wtedy także uzyskaliśmy zdolność do udzielenia wsparcia innym członkom sojuszu, ale nie kryły się za tym wyprawy na inne kontynenty, tylko potencjał udzielenia wsparcia sąsiadom. Warto jednak pamiętać, że gdy Polska podnosiła poziom finansowania własnych sił zbrojnych do 2 procent PKB, większość krajów natowskich budżety obronne ograniczała. I to pomimo tego, że wszyscy wiedzieli, że Rosja już się zbroi na potęgę.

Czyli poza wyposażeniem na dalekie pustynie kupowaliśmy to, co faktycznie było niezbędne do obrony kraju?

Plan modernizacji z 2001 roku wypływał między innymi z doświadczenia misji w Kosowie, dokąd latem 1999 roku udał się polski kontyngent KFOR z Romanem Polko, wtedy podpułkownikiem na czele. Oni tam jechali pociągiem, bez transportu lotniczego, ze starym sprzętem, który nieśli, prawie że na plecach, razem z namiotami. Wyszło wtedy na jaw, że w porównaniu z innymi armiami NATO jesteśmy strasznymi dziadami.

I jak nasze państwo na to zareagowało?

Pierwszym większym kontraktem modernizacyjnym był zakup przez MON, kiedy byłem jego szefem, samolotów transportowych CASA. Kupowaliśmy je „z wolnej ręki" od Hiszpanów i robiłem to z dużymi obawami, bo zakup bez przetargu to jest ogromna odpowiedzialność. Ale nie było wyjścia, bo brak transportu dla żołnierzy to była

po prostu kompromitacja Wojska Polskiego – to było jeszcze przed planem sześcioletnim. A potem były trzy kolejne, poważne zakupy modernizacyjne – na samolot wielozadaniowy, transporter opancerzony i rakiety przeciwpancerne.

Ostatecznie kupiliśmy F-16 od Lockheed Martin, Rosomaka na licencji fińskiej Patrii i izraelskie rakiety Spike – do czasu ich zakupu byliśmy w zasadzie bez możliwości wojskowego przeciwdziałania Rosji, bo oni zawsze mieli przewagę w broni pancernej.

Rozmowę przeprowadził Michał Sutowski

[1] Interwencja Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 roku (przyp. red.).

Istniało niebezpieczeństwo, że stworzymy armię posłuszną, wobec polityków, która ma służyć rządzącej partii a nie państwu

Rozmowa z gen. Mieczysławem Bieńkiem

Panie generale, jak wyglądała przebudowa polskich sił zbrojnych w drodze do NATO?

Kiedy przystępowaliśmy do sojuszu w roku 1999, mieliśmy armię z niemal 226 tysiącami stanowisk wojskowych, ale tylko 198 500 z nich było obsadzonych. W dekadzie poprzedzającej ubyło prawie 170 tysięcy „dusz"; kolejna znaczna redukcja przypadła na lata 2000–2001: zlikwidowano wówczas prawie 50 tysięcy etatów.

To był trudny czas: wchodziliśmy na wypatrywany latami, ale nieznany ląd. U wielu oficerów – mimo zachodniego już nawigowania armią – dominowała dawna wiedza, nawyki i styl dowodzenia. Kadra dowódcza wysokiego szczebla w zdecydowanej większości ukończyła, rzecz jasna, jedynie wojskowe akademie radzieckie.

Zmieniać należało wiele. Właściwie wszystko. Do priorytetów należała przemiana mentalności i sposobu myślenia dowódców. Zmiany po 1999 roku naturalnie nabrały jeszcze tempa. Najwyraźniej były widoczne w strukturze organizacyjnej i charakterze naszej armii, uzbrojeniu i sprzęcie wojskowym, systemie szkolenia, doktrynach, regulaminach i procedurach czy wreszcie w realnym stanie poszczególnych rodzajów sił zbrojnych.

Utrzymywała się archaiczna struktura, rodem z Armii Czerwonej: wojska lądowe tworzyły okręgi wojskowe z dywizjami; taki pierwszy rzut strategiczny frontu. Działały dowództwa: wojsk lotniczych i obrony powietrznej kraju oraz marynarki wojennej, ale nie było jeszcze ani dowództwa rodzajów wojsk, ani dowództwa wojsk lądowych. Dopiero w dobie Partnerstwa dla Pokoju – w latach 1993–1994 – coś w tej mierze zaczęło się zmieniać. A finanse? Było chybotliwie. Zasadniczą zmianę – stabilizację finansowania sił zbrojnych – wniosła dopiero ustawa uchwalona w 2001 roku: zagwarantowała wydatki obronne na poziomie nie mniejszym niż 1,95 procenta PKB.

Dla laika ta skala redukcji liczebności polskiego wojska jest szokująca.

To były lata tak zwanej *dywidendy bezpieczeństwa*. Przypomnę: Układ Warszawski się rozwiązał, mur berliński – runął, a NATO zaczęło zmieniać doktrynę strategiczną, gdyż osłabiona Moskwa przestawała tak mocno zagrażać demokratycznej Europie; stopniowo rozwijane stosunki gospodarcze miały Moskwę jeszcze „ucywilizować" i stępić jej agresywne ciągoty militarne. W naszym kraju dodatkowo krucho było z pieniędzmi budżetowymi.

Jesienią 1992 roku wszedł w życie traktat o konwencjonalnych siłach zbrojnych w Europie, który przewidywał ograniczenia, a w rezultacie – redukcję liczby czołgów, artylerii, bojowych wozów piechoty, samolotów i śmigłowców.

Sadowiliśmy się powoli w Europie po zachodniej stronie. Jeśli chcielibyśmy spełnić natowskie standardy, to trzeba było przygotowywać się do interoperacyjności, pracować nad zmianą struktur dowodzenia, a także umocnieniem cywilnej kontroli nad armią.

Nie obyło się tu bez wyrw i wybojów. W pamięć zapadł zwłaszcza tak zwany obiad drawski we wrześniu 1994 roku – i jego konsekwencje.

Faktycznie, część generalicji niechętnym okiem patrzyła na zmiany. Opór materii. Jego przejawem była między innymi wcześniejsza próba obalenia ówczesnego ministra obrony narodowej Janusza Onyszkiewicza w Wesołej pod Warszawą, skutecznie przez niego jednak przecięta. Generał Tadeusz Wilecki, szef Sztabu Generalnego cywilną kontrolę rozumiał jako prosty układ: niech politycy się zajmą budżetem, a resztą załatwię sam – z grupą zaufanych oficerów.

W Drawsku Pomorskim, kiedy ministrem był już Piotr Kołodziejczyk, pierwsze skrzypce grał właśnie generał Wilecki, mając oparcie w belwederskiej szarej eminencji Mieczysławie Wachowskim, a zwłaszcza prezydencie Lechu Wałęsie. Tajemnicą poliszynela była też aktywność i zaangażowanie w ten „bunt" mocno prowałęsowskiego generała Konstantego Malejczyka, wtedy szefa Wojskowych Służb Informacyjnych.

Scenariusz był ukartowany. W czasie obiadu Lech Wałęsa poprosił wyższych dowódców o „szczere opinie" o stanie armii. I usłyszał to, co chciał: katalog win, dotyczący cywilnego zwierzchnictwa na wojskiem. Kołodziejczyk uniósł się chyba honorem i poprosił o natychmiastowe rozstrzygnięcie, po czym prezydent zarządził głosowanie. Nikt z generalicji nie poparł ministra, jedynie dwóch z obecnych wstrzymało się od głosu. Wkrótce potem premier Waldemar Pawlak się ugiął i odwołał wiceadmirała ze stanowiska.

Wolta generałów, wciągniętych dodatkowo w gry polityczne, przyniosła efekty. Zastopowała reformę?

Przyhamowała. Jak mi później opowiadał uczestnik tego obiadu, dowódcy wyszli z tego spotkania zniesmaczeni, bo nawet wielu z głosujących „za" odwołaniem ministra rozumiało, że nadchodzi czas nieuchronnych zmian: reorganizacji sił zbrojnych, przednatowskiego wzmożenia cywilnej kontroli nad wojskiem, a w sprawach szczegółowych – między innymi utraty dominującej roli okręgów. Wilecki kompletnie tego nie pojmował.

Byłem wtedy podpułkownikiem. Za mało wiedziałem o kulisach opisywanych rozgrywek, ale – podobnie jak wielu innych oficerów – to przedstawienie przyjąłem z niesmakiem, nawet z oburzeniem. Przebywałem wtedy w Drawsku i na własne oczy widziałem ożywiony ruch wokół „obiadowego" namiotu, nerwowe odbieranie telefonów…

Wywyższenie Wileckiego przyjmowało dość groteskowe przejawy. Podczas brukselskich rozmów w ramach Partnerstwa dla Pokoju, polska strona złamała protokół przewidujący, że przy owalnym stole w pierwszym rzędzie zasiada minister, a za nim szef sztabu generalnego. Tymczasem Wilecki usiadł tuż przy blacie, a za nim minister obrony Zbigniew Okoński, który wyraźnie grał drugie skrzypce. Symboliczny obrazek. Dopiero organizatorzy przywrócili właściwy porządek.

Kiedy Danuta Waniek, ówczesna wiceminister obrony narodowej przyjechała do sztabu generalnego, to Wilecki nie chciał się z nią nawet przywitać…

W wojsku też rzucała się w oczy polaryzacja opinii i kształtowanie nieformalnej strefy wpływów?

Nie byłem bezpośrednim obserwatorem ani – broń Boże! – uczestnikiem takich gier. Pracowałem w jednostkach powietrzno-desantowych albo przebywałem za granicą – na Bliskim Wschodzie, potem na Saharze. Wiem, że wtedy rzeczywiście w Warszawie uformował się salon polityczno-wojskowy, w którym rej wodził biskup Sławoj Leszek Głódź. Organizował między innymi „obiady czwartkowe", na które zapraszał wysokich rangą oficerów, zwłaszcza z grona sztabu generalnego i okręgów wojskowych. Nawet specjalnie nie ukrywano, że uzgadniano tam między innymi awanse generalskie, które typowali Wilecki i dowódcy okręgów wojskowych. Minister formalnie akceptował kandydatów, których mu przedkładano, z rzadka dodając swoich faworytów. Zdarzało się, że bardzo zdolnych ludzi – znam przykłady – ta koteria eliminowała. Decydowała tak zwana brutalna reguła zip-u – „znajomości i plecy".

Kiedy te zdecydowane różnice polityczne w kadrze oficerskiej, podsycane przez polityków, zaczęły płowieć?

Prezydent Aleksander Kwaśniewski po objęciu urzędu właściwie ocenił niezdrową sytuację i – ewolucyjnie – zaczął ją zmieniać. Do nowoczesnego szkolenia trafiła młodsza część korpusu dowódców. Prezydent wyszedł z założenia, że przyszli szefowie sztabu generalnego bezdyskusyjnie muszą na wskroś znać się na nowoczesnym wojsku i na czysto profesjonalnym poziomie umiejętnie ułożyć sobie stosunki z zachodnimi sojusznikami. To był jeden z przejawów długofalowej polityki w kształtowaniu kadry dowódczej Wojska Polskiego – z niewątpliwym priorytetem wiedzy merytorycznej i uzdolnień dowódczych. Taka strategia stopniowo schodziła do niższych szczebli.

Wymiana pokoleniowa odbywała się na zasadzie „starsi do lamusa"?

Żeby to było takie proste! W modelowym ujęciu istotnym kryterium – merytorycznym – jest też podatność na zmiany, w dobrym tego

słowa znaczeniu. Nie przypadkiem użyłem słowa „ewolucyjnie". Wymiana pokoleniowa to normalna sprawa, ale musi następować w sposób zbilansowany.

Obowiązkiem starszej kadry – tak to pojmuję, wcale nie sloganowo czy idealistycznie, lecz do bólu praktycznie – pozostaje ciągłe kształcenie siebie samych i podwładnych, przygotowujące do coraz poważniejszych zadań. Luka pokoleniowa wśród dowódców nie powinna być zbyt duża. Nie może kapitan zostać dowódcą batalionu, bo do tego trzeba doświadczenia i wiedzy podpułkownika – zdobytej w pewnym okresie, a nie metody „kangura", przeskoczenia dwu stopni awansowych.

Nowa rewolucja technologiczna w świecie i w armii wymaga dziś bezustannego podnoszenia kwalifikacji – także nowych technik i taktyk w działaniu na polu walki. Nikt z nas trzydzieści lat temu nie siadał za biurkiem, otwierał laptopa i miał łączność z całym światem, bądź uzyskiwał zobrazowany system pola walki na swoim stanowisku dowodzenia.

Wykształcenie, doświadczenie, dojrzałość intelektualna i emocjonalna, poczucie odpowiedzialności za obowiązki to zasady uniwersalne?

W tamtych latach tym bardziej były jak znalazł. Jeśli ktoś w okresie poprzedzającym nasze wejście do NATO głosił, że w wojsku powinni być tylko oficerowie, którzy wstępowali do sił zbrojnych po roku 1990, to się głęboko mylił! Niestety, przemyślana wymiana pokoleniowa w ostatnich latach od 2015 roku została zachwiana i dawało się wtedy awansować na przykład od razu o dwa szczeble, bez określania wyraźnych wymogów wyznaczania na stanowiska. Tym samym stwarza się wrażenie, ale i niebezpieczeństwo, że tworzymy armię posłusznych, uzależnionych od polityków ludzi; armię, która ma służyć jakiejś partii czy systemowi, a nie państwu. Jeden z ministrów obrony – na szczęście to już niechlubna przeszłość – przedstawił to publicznie tak: „zwalniamy kadrę, która została nominowana przez Platformę Obywatelską".

Taka retoryka uwłacza godności żołnierza. Ja otrzymywałem kolejne generalskie gwiazdki od prezydentów Kwaśniewskiego i Komorowskiego, a dojście od stopnia generała brygady do „pełnego generała" zajęło mi piętnaście lat. I nie uważam, że to był nazbyt długi czas, lecz dystans, gdy nabierałem doświadczenia, rozwagi i doskonaliłem umiejętności w kraju i za granicą.

Czy służyłem SLD, AWS-owi, PO, PSL, PiS? Nie. Służyłem – nie boję się wielkich słów, bo dla mnie to rzeczywisty i codzienny fundament, „codzienny chleb" – państwu, ojczyźnie. I kropka, panowie politycy.

12 marca 1999 roku w Independence w stanie Missouri byliśmy świadkami uroczystości oficjalnego przyjęcia Polski, Czech i Węgier do NATO. Wiedza polskiej generalicji czy w ogóle wyższych oficerów nabyta w rosyjskich uczelniach wojskowych to był balast czy atut?

Pod wieloma względami to nie był żaden balast! Przeciwnie. (…) Mogę potwierdzić, że wiedza wyniesiona z rosyjskich źródeł wielokrotnie mocno się później przydawała w mojej pracy w strukturach NATO. A przepraszam – gdzie miał się szkolić na przykład polski dowódca marynarki wojennej? Na Zachód nie można go było posłać, a gdyby nawet ktoś o tym zdecydował, to nikt go by tam nie przyjął.

Poziom naszej Akademii Sztabu Generalnego był przez wiele lat całkiem dobry. Tyle, że z natury rzeczy, trudno było w niej szkolić w działaniu dużych związków operacyjnych. (…) Ja na przykład pojechałem na czteromiesięczne szkolenie w Riazaniu – z bojowego użycia transporterów opancerzonych w czasie desantu z Iła-76. To były na wskroś fachowe kursy, a nie indoktrynacja.

Inna znamienna data: 17 września 1993 roku dowódca Północnej Grupy Wojsk, generał Leonid Kowalow zameldował prezydentowi Lechowi Wałęsie koniec wycofywania wojsk radzieckich z Polski. Czy to było preludium w drodze do NATO?

Ten meldunek był symbolem końca pewnej epoki, ale też realnym przełomem – oficjalnym przypieczętowaniem polskich starań i nacisków. Pełnomocnikiem rządu ds. wojsk radzieckich był generał Zdzisław Ostrowski, który kierował też – od strony polskiej – wycofaniem Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Zabawne, że zameldował premier Suchockiej wykonanie zadania „w imieniu PRL", którego już nie było… Tak, niektórzy mieli jeszcze w głowach Polskę Ludową – w korpusie oficerskim dworowano sobie z tego lapsusu długo.

A jak na średnim szczeblu dowódczym przyjmowano te zmiany?

Wojsko to organizacja hierarchiczna: przyjmuje rozkazy do wykonania… Naturalnie wielu dowódców w związkach z NATO upatrywało dużej szansy – dla Polski, ale i dla siebie. Oficerowie powszechnie zaczęli się uczyć angielskiego. Spora grupa była też na różnego rodzaju misjach pokojowych. Oficerowie liniowi mieli jednak żal i pretensje, że na owe misje jeździli najczęściej oficerowie ze służb specjalnych.

Słychać było wtedy, że ludzie ze służb mocno alienują się od korpusu oficerskiego, że chcą też odgrywać szczególną rolę, wręcz polityczną.

Z jednej strony mieli własne interesy, emancypowali się, ale z drugiej – co zresztą z sobą niesprzeczne – byli czytelnym narzędziem Wachowskiego, a przede wszystkim Wałęsy – silnej postaci politycznej, także konstytucyjnego zwierzchnika sił zbrojnych. W przygotowaniu obiadu drawskiego służby specjalne miały udział, lecz przecież także i na co dzień w jednostkach wojskowych oficerowie kontrwywiadu byli aktywni. To zresztą długa historia…

W rządzie Jana Olszewskiego szefem WSI został generał Marian Sobolewski, blisko powiązany z ówczesnym ministrem spraw wewnętrznych Antonim Macierewiczem. Raptus. Razem z patronem chcieli zrobić rewolucję, czyli „wszystkich – nieswoich – powymiatać". Dobrana para, bez skrupułów wykorzystująca materiały z Zarządu II Sztabu Generalnego. Upadek rządu Olszewskiego przeszkodził w tej destrukcji.

„Rewolucjoniści", na czele z Macierewiczem, po latach powrócili. Powinien być on rozliczony, także sądownie – chociażby za białą księgę opublikowaną w 2006 roku, w której ujawniono nazwiska osób powiązanych z polskimi działaniami operacyjnymi za granicą.

Nie da się tej kompromitacji, tego strzału w polską stopę zapomnieć!

Wróćmy do drogi do NATO… Jak to w pana przypadku wyglądało?

To nie była banalna ścieżka. Od 1997 roku byłem dowódcą Brygady Nordycko-Polskiej w stopniu generała brygady.

Ta brygada to był rodzaj poligonu przed NATO?

Można tak powiedzieć. Stworzenie brygady było dziełem wojskowym, ale też na wskroś politycznym. Pomysł wykiełkował w prezydenckim Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, którym kierował wtedy Marek Siwiec. A że w MON byli wtedy sensowni ludzie, między innymi wiceminister Robert Mroziewicz, szef Sztabu Generalnego generał Henryk Szumski czy dowódca wojsk lądowych – wtedy już się tworzyły – generał Zbigniew Zalewski, to pomysł na forum międzynarodowym wytrwale forsowano i w końcu dobrze zrealizowano. Nasza brygada znalazła się później w składzie międzynarodowej dywizji amerykańskiej w Bośni. Na mocy układu z Dayton wojska serbskie i bośniacko-chorwackie rozpoczęły demilitaryzację.

Nad ścisłym przestrzeganiem porozumienia czuwać miały – z mandatu ONZ – tak zwane Siły Implementacyjne, IFOR pod zwierzchnictwem NATO. Procedury i systemy łączności w brygadzie, w skład której wchodzili Duńczycy, Norwegowie, Szwedzi, Finowie i my dostosowano do standardów z NATO. I tam dopiero, w Bośni, wyraziście zobaczyłem – na tle sił natowskich – czego nam brakuje do standardów Paktu: systemów łączności, wyposażenia, procedur, systemu planowania czy myślenia – na poziomie taktycznym. Nabywaliśmy doświadczeń nie do przecenienia i dowodziliśmy zarazem, że jako wojskowo nie jesteśmy w żadnej ariergardzie.

Dlaczego Polska wzięła udział u boku Amerykanów i Brytyjczyków w tak zwanej stabilizacji w Iraku po pokonaniu przez nich Saddama Husajna? Jacques Chirac wypowiedział o Polakach słynne zdanie, że „straciliśmy okazję, by siedzieć cicho". Czy ta „nadgorliwość" była nam wtedy potrzeba?

Czy byliśmy nadgorliwi? Być może. Francuska zachowawczość była powodowana tradycyjnym poczuciem niezależności i niechęcią do angażowania się w konflikt militarny, ale dostrzec też trzeba, że interesy Paryża w Iraku były mocne i rozgałęzione.

Nie przypadkiem to we Francji Saddam Husajn kupił w latach siedemdziesiątych reaktor badawczy typu „Ozyrys" z laboratoriami. Czy Irak mógł tam produkować wzbogacony pluton do celów militarnych? Zdania były podzielone, ale Izrael w 1981 roku, w ramach operacji „Babilon", i tak zbombardował ten jądrowy kompleks nieopodal Bagdadu.

Brytyjczycy dołączyli do koalicji, jeszcze raz akcentując sojusz z mocnym bratem zza Wielkiej Wody – Tony Blair zdecydowanie wsparł tu Waszyngton.

Polska chciała się uwiarygodnić: jesteśmy w NATO lojalnym sojusznikiem. Fakt, byliśmy wtedy relatywnie militarnie słabi, nasze wsparcie w Iraku nie mogło być decydujące dla powodzenia operacji, ale oczywiście liczyła się tu przede wszystkim polityka.

I na konferencji w Londynie, gdy Amerykanie poza ONZ – bo Rada Bezpieczeństwa nie podjęła żadnej decyzji – montowali tak zwaną „koalicję dobrej woli", zadeklarowaliśmy – za zgodą prezydenta i konsensu całej klasy politycznej – gotowość do organizacji i dowodzenia dywizją; w naszej dywizji mieliśmy później dwadzieścia trzy kraje. Amerykanie propozycję przyjęli i zagwarantowali nam przerzut, pomoc finansową, wyposażenie, paliwo, wyżywienie i wsparcie logistyczne na miejscu.

Pokreślę tu jednak coś, co niekiedy umyka uwadze: wynegocjowaliśmy udział jedynie w tak zwanej fazie IV – stabilizacji i bezpieczeństwa. Ale gdy przyszło do realizacji planów, realia się niespodziewanie zmieniły. Wojna niby już się skończyła, ale nikt nie pomyślał, że jedna idiotyczna decyzja diametralnie przekreśli przewidywania.

Jedna?

Bezpośrednio jedna, choć była składową szerszych, błędnych koncepcji. Lewis Paul Bremer od maja 2003 roku, przez okres nieco ponad dwunastu miesięcy, był faktycznie głową państwa irackiego – jako szef tymczasowej, przejściowej administracji centralnej. To on zdecydował o tak zwanej „debaasyfikacji"[1] opartej na wzorcach denazyfikacji. Obejmowała ona rozwiązanie sił policyjnych i armii, co było kolosalnym błędem!

A należało pojmać i z całą surowością skazać wszystkich, którzy mieli ręce unurzane we krwi, od dowódców do żołnierzy, zwłaszcza ludzi ze służb specjalnych, ale rozpuszczenie wspomnianych sił mundurowych sprowokowało dla aliantów w Iraku duże kłopoty. Do tych wałęsających się ludzi bez zajęcia i pieniędzy, dołączyły też rzesze pospolitych przestępców, wypuszczonych przez administrację Husajna z więzień.

Colin Powell, sekretarz stanu USA, zademonstrował w ONZ fiolkę z wąglikiem i rysunki ciężarówek do produkcji broni biologicznej. Później okaże się, że między innymi wywiad brytyjski raportował też – niezgodnie z prawdą – o broni jądrowej w dyspozycji Saddama Husajna.

Wiemy dziś, że generał Powell został wprowadzony w maliny przez CIA. Ale – z drugiej strony – wystarczającą przesłanką było to, co Saddam Husajn zrobił między pierwszą a drugą wojną w Zatoce: wymordowanie osiemdziesięciu tysięcy szyitów w Karbali i An-Nadżafie, no i ludobójstwo na Kurdach. Zbrodniarz na wielką skalę, *notabene* z chorobliwym zamiłowaniem do blichtru i luksusu. Miał między innymi osiem pałaców do dyspozycji; szukaliśmy tam w podziemiach broni chemicznej. Zasiadłem na chwilę na jego tronie w bagdadzkim Pałacu na Wodzie[2]; ten krwawy dyktator czuł się jak monarcha absolutny.

Aleksander Kwaśniewski powiedział w pewnym momencie, że „zwiedziono nas w sprawie broni masowego rażenia". Nawet jeśli przyjąć teorię o manipulacji, to jednak decyzja o interwencji miała daleko głębsze uzasadnienie.

Racja. Przyczyny ataku na Irak i przewodniej w tym roli USA były złożone. Mówiłem już o zbrodni Husajna na własnym narodzie. Swoją rolę odegrało tu także zwalczanie terroryzmu, w tym doniesienia o powiązaniach dyktatora z Al-Kaidą. Też były to wieści fałszywe – Al-Kaida pojawiła się w Iraku później. Ale i rząd, i społeczeństwo amerykańskie – po dramacie 11 września 2001 roku – było szczególnie wyczulone na zwalczanie tych zbrodniarzy-radykałów. Atak prewencyjny w wojnie z terroryzmem, w tym na Irak, zyskał tam prawo obywatelstwa.

Istotne stały się rzecz jasna przyczyny gospodarcze: przede wszystkim przejęcie kontroli nad irackimi złożami ropy i gazu, a zatem dostawy, stabilizacja cen na rynkach międzynarodowych, militarny przykład dla innych producentów.

A polityka?

Amerykanie nadzwyczaj dbali o stabilizację: nie chcieli, by się wszystko wywróciło do góry nogami na Bliskim Wschodzie. W koalicji znalazły się też kraje arabskie, na przykład Egipt czy Jordania, któ-

ra była też hubem logistycznym, z ośrodkiem szkolenia arabskich sił antyterrorystycznych pod Ammanem, całkowicie wyposażonym przez Amerykanów.

Polska miała jeszcze jedną, tym razem praktyczną, „kupiecką" motywację. Sposób, w jaki zostały przez amerykańskich gigantów ograne między innymi nasze firmy zbrojeniowe, można uznać za modelowy. Wyszła na wierzch polska naiwność?

Fiasko to tutaj dobre słowo. Czy zostaliśmy oszukani? Narosło tu wiele mitów, cierpiętnictwa. Oczywiście Zachód był przede wszystkim zainteresowany interesami i zarobkiem własnych firm, ale trudno też było oczekiwać, że będzie nas ciągnął za uszy. Tymczasem – taka jest brutalna prawda – po prostu nie mieliśmy dobrej oferty, a czasami w ogóle jej nie mieliśmy – w kontekście realizacji prac i dostaw dla Iraku. To były raczej pojedyncze propozycje, a nie przemyślany, systemowo wspierany wielki projekt. Fakt, sytuacja była tam trudna.

Stanisław Smoleń – w latach 2004–2005 doradca polityczny przy Dowództwie Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe w Iraku, potem polski *chargé d'affaires*, a jeszcze później ambasador w Bagdadzie – silnie się starał, aby stwarzać szanse polskim przedsiębiorstwom. Ale był raczej osamotniony – ani resort przemysłu, ani same polskie przedsiębiorstwa tak naprawdę nie były tym zainteresowane albo na to gotowe. Dowodnie ukazał to między innymi przykład odbudowy cementowni pod Karbalą, *notabene* wzniesionej kiedyś przez Polaków.

Jak było w Iraku tuż po tym, gdy czołgi Husajna były już tylko spalonymi wrakami, a działa umilkły?

Panował totalny chaos, ale – o dziwo! – z początku nie było specjalnie niebezpiecznie. Szok po tak szybkiej porażce militarnej okazał się paraliżujący. Dowódcy Gwardii Republikańskiej? Zabici, ukrywający się albo przekupieni.

Absolutny, samoistny rozpad struktur państwa: administracji, policji i wojska, dodatkowo „zadekretowany" nieszczęsną decyzją Bremera. W środku tej próżni, spowodowanej rozwiązaniem wojska, policji, *de facto* administracji oraz kryzysem gospodarczym, znaleźli się pozbawieni pracy sunnici, którzy dotychczas zarządzali krajem; zostali bez pieniędzy,

lecz z licznymi rodzinami na głowie. Zaczęło się organizowanie bojówek, często za swego rodzaju żołd, oraz nastąpiły walki z szyitami.

Koalicyjne wojsko musiało natychmiast tworzyć system administracji – zarządzania państwem i bezpieczeństwa w całym kraju – do czego nie było przygotowane. Marek Belka najpierw został szefem koalicyjnej rady koordynacji międzynarodowej, a potem dyrektorem do spraw polityki gospodarczej w tymczasowych władzach koalicyjnych – zajmował się reformą walutową, systemem bankowym i w ogóle reformami gospodarczymi; zorganizował też dwie konferencje pomocowe – w Madrycie i Bagdadzie.

Ideologia, nacjonalizm, religia…W końcu walczyli sunnici z szyitami, z Amerykanami czy z koalicją, wybuchło powstanie Muktady as-Sadra[3], do czego przyczyniło się apodyktyczne postępowanie Bremera. Swoje trzy grosze dokładała Al-Kaida. W Al-Falludży – po powieszeniu żołnierzy amerykańskich – doszło do zdecydowanej w formie reakcji aliantów i eskalacji przemocy, *de facto* pacyfikacji tego miasta. A to podsyciło jeszcze powstawanie kolejnych milicji i bojówek w Iraku. I tak się to toczyło przez następne pięć–sześć lat…

My, Polacy, tkwiliśmy w tym wszystkim z międzynarodową dywizją – tylko teoretycznie w fazie IV. A musieliśmy sprawnie dowodzić, utrzymywać system łączności i wsparcia logistycznego.

Dowódcy w drugiej z wojen w Zatoce sprostali?

Druga wojna w Zatoce – w sensie działań zbrojnych armia przeciw armii – potoczyła się bardzo szybko: Irakijczycy zostali zmiażdżeni. Ale to nie wojsko stało się głównym owym problemem, lecz cywile – na czele z amerykańskim szefem tymczasowej koalicyjnej administracji cywilnej. Zogniskował w swoim ręku – nierzadko ze złym skutkiem – rozmaite wymiary odradzania się demokratycznego Iraku, z polityką i gospodarką włącznie. W mojej ocenie opóźniał też przekazanie władzy w ręce Irakijczyków – i stopniowo w oczach dużej części miejscowej ludności zanikał nasz nimb oswobodzicieli, zyskiwaliśmy zaś – zwłaszcza Amerykanie – piętno okupantów. Ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Panie generale, czy w tej krytyce nie przemawia przez pan osobista niechęć? Bremer mocno krytykował działania polskich wojsk

w Iraku, akcentując nasz brak przygotowania do takiej operacji, niewywiązywanie się z roli sił szybkiego reagowania czy niezapewnienie dostatecznej ochrony siedziby Koalicyjnej Władzy Tymczasowej.

Nie, nie ma w tym nic osobistego. A czy tak nie było z jego strony? Trudno powiedzieć. Ani departament stanu, ani inni przedstawiciele amerykańskiej administracji, ani też – tym bardziej – moi dowódcy w Iraku, takich przygan czy negatywnych ocen nigdy nie formułowali. Jako wojskowy nie obnosiłem się oczywiście z zastrzeżeniami do decyzji Bremera, ale – zapytany, w wąskim kręgu – tymi opiniami się dzieliłem. Zresztą nie były to oceny odosobnione, bo z reperkusjami wszyscy musieliśmy walczyć na co dzień. Może któraś z tych „recenzji" mimo wszystko do niego dotarła?

Te niepochlebne oceny polskich wojsk Bremer formułował dopiero po zakończeniu swojej dymisji – jako cywil, „publicysta". Myślę, że to nie efekt rzetelnej oceny faktów, lecz ogromnej frustracji, wynikającej z ostrej, ale trafnej oceny, nacechowanych arogancją i nieporadnością zarazem, jego poczynań w Iraku przez polityków, wojskowych, historyków czy dziennikarzy. Szuka się wtedy „źdźbła w cudzym oku, nie widząc belki we własnym".

W dużej mierze kłopoty Bremera brały się ze słabej orientacji w sprawach wojskowych i zarazem w specyficznych, miejscowych warunkach, w tym w kulturze i zwyczajach arabskich. Marek Belka (…) na miejscu, widział tego opłakane skutki. Bremer był głównym winowajcą tego kompletnego bałaganu – mówiono o nim: „master of disaster". Ale oczywiście wina nie jest jednostkowa, bo przecież Waszyngton akceptował te poczynania. Kiedy się siedzi w gabinecie, no to się nie wie, co muszą – a także mogą – robić żołnierze na pierwszej linii. My – podobnie jak oddziały wielu innych krajów – uczestniczyliśmy jedynie w misji stabilizacyjnej, ze ściśle określonymi kompetencjami, których nie mogliśmy przekraczać. Trudno myśleć, że Bremer o tym nie wiedział, ale było mu wygodniej, wybielając się i krytykując polskie wojsko, o tym „zapomnieć".

Zadzwonił do mnie w pewnym momencie pierwszy dowódca sił amerykańskich w Iraku generał Ricardo Sanchez, który później określił „iracką" strategię amerykańskiej administracji jako „koszmar bez wyjścia". Poprosił, abym zajął się gościem specjalnym – był to dwu-

krotny laureat nagrody Pulitzera Thomas E. Ricks, autor między innymi fundamentalnej pracy *Generałowie*, opisującej dowódców armii USA. Gość przeprowadził ze mną wywiad – w środku walk. Cytuje mnie w swej książce o irackiej wojnie: na dość naiwne pytanie, dlaczego nie używamy ciężkiego sprzętu, podkreśliłem, że nasze zadania to była faza IV, ale – wbrew naszej woli – znaleźliśmy się w środku walk. Mimo tego nic się nie zmieniło: parlamenty krajów, z których żołnierskie kontyngenty pochodziły, nadal zabraniają operacji ofensywnych. I muszę sobie poczynać tak, by wrogowie nie pozabijali moich żołnierzy.

Polska militarna obecność w Iraku w misji stabilizacyjnej: jakaś próba bilansu po latach?

Szczególnie trudny był moment, gdy rząd hiszpański ogłosił wycofanie swego kontyngentu. Najdotkliwsze i chyba najtrudniejsze były dla mnie proceduralne zawiłości tej operacji. Polskie jednostki były pod moim dowództwem taktycznym – miałem prawo do wydawania rozkazów bezwzględnie do wykonania. Planowane zaś operacje innych oddziałów, które miałem pod kontrolą w dywizji, musiały być uzgodnione z poszczególnymi rządami narodowymi – zgodne z bardzo różnymi dyspozycjami i uprawnieniami, między innymi odnośnie do prawa użycia broni w zupełnie różnych sytuacjach. Krzyż Pański!

Kontyngent z Tajlandii na przykład, z nakazu swoich władz mógł się zajmować jedynie pomocą humanitarną, w zakres której wchodziły: szpital, wozy mobilne, laboratoria, zestawy dentystyczne. Żołnierze jeździli po wioskach wprawdzie z bronią, ale… nie mogli jej wykorzystywać nawet w obronie życia, więc musiałem dawać im ochronę! Amerykanie nie mieli zaś żadnych ograniczeń w użyciu uzbrojenia.

Zaplanowanie i realizacja operacji wymagały olbrzymiej mobilizacji i skomplikowanego używania sił, dostosowanego do możliwości poszczególnych oddziałów dywizji. Tym bardziej okazało się to trudne, że byliśmy odpowiedzialni za pięć prowincji, czyli prawie trzecią część terytorium Iraku. By nie sprowokować dowódczego paraliżu i szybko reagować na zmienną sytuację, musiałem dać dużą samodzielność dowódcom poszczególnych sektorów, a ci z kolei – dowódcom batalionowych grup bojowych. Ale oczywiście stale łączyłem się z moimi dowódcami – przekazywałem im wytyczne, przedstawiałem obraz sytuacji, często jeździłem do stref brygadowych grup bojowych. Dzień

i noc miałem w terenie dwieście dwadzieścia patroli i dziesięć tysięcy trzysta żołnierzy. Właściwie dzień w dzień musiało się wydarzyć coś dramatycznego, a już szczególnie, gdy wybuchło powstanie as-Sadra: śmierć, zasadzki, wymiana ognia, najechanie na minę. To prosta „statystyka"…

Potrafił pan sobie układać stosunki ze starszyzną plemienną, co wpływało na uspokojenie sytuacji.

Miałem znakomitego doradcę politycznego, znawcę irackich stosunków, Ryszarda Krystosika ambasadora RP w Iraku w latach 2004–2007. Z dużym wyczuciem poruszał się w tym plemiennym i religijnym *patchworku* – sunnici, szyici, wahabici. Sporo mi dały też rozmowy z generałem Jamesem Mattisem, którego teren operacyjny graniczył z moim od strony Al-Falludży. Jakież kariery robiło się w USA po Iraku! Mattis został w późniejszych latach sekretarzem obrony Stanów Zjednoczonych. Miałem również, rzecz jasna, kontakt z Davidem Petraeusem, potem naczelnym dowódcą sił koalicyjnych w Iraku.

Konsultowaliśmy, co najbardziej potrzebne w odbudowie ze starszyzną i płaciliśmy za miejscową siłę roboczą. To wyraźnie ocieplało atmosferę, a lokalni przywódcy często starali się ograniczać agresywne postawy ludzi pod swoją kontrolą.

Z tymi przywódcami spotykałem się w różnych regionach kontrolowanego przez moje wojska terenu co najmniej raz na dwa tygodnie. Wykształcały się też więzy czysto międzyludzkie; poszła fama, że rozmawiamy, negocjujemy, nie wywyższamy się i idzie się z nami dogadać. To bardzo pomogło.

Jako jedyny generał sił koalicyjnych spotkałem się też z ajatollahem Muhammadem Bakirem al-Hakimem, przywódcą irackich szyitów – w jego siedzibie, bez broni i bez ochrony. Omawiałem między innymi kwestie szyickiej pielgrzymki z Karbali do An-Nadżafu. Dla bezpieczeństwa szyci zapewnili tak zwaną policję religijną, bo nie mogliśmy przeszukiwać nikogo pod dżalabiją; my zaś – posterunki zewnętrzne i zabezpieczenie medyczne. Wszystko poszło bez zakłóceń. Ten duchowny był przeciwnikiem amerykańskiej obecności militarnej w Iraku, wzywał jednak, by nie atakować alianckich żołnierzy. Zginął niestety później w An-Nadżafie – w zamachu zorganizowanym prawdopodobnie przez Al-Kaidę.

Trudności było co niemiara, między innymi: problemy z sojusznikami, braki sprzętowe i niedostosowanie wyposażenia do irakijskich warunków, szczupłość sił na rozległym terytorium.

Fakt, dość bezwzględnie wymagałem wykonywania zadań, ale między innymi po to, by nie mnożyć z własnej winy trudności, dramatów czy ofiar. Bułgarzy formułowali pretensje, ale w rzeczywistości nie wykonali rozkazu, by lepiej zabezpieczyć swój obóz. Węgrzy nie chcieli zaś wyjeżdżać z zaopatrzeniem, choć mieli do dyspozycji świetne wozy i transportery opancerzone. Najechali jednak jednym na minę i – po prawdzie – się wystraszyli; musiałem interweniować w węgierskim ministerstwie, bo przestali cysternami dostarczać paliwo, co było raczej kluczowe.

Szczupłość naszych sił dawała się we znaki zwłaszcza przy rozminowywaniu ogromnych składów amunicji. Saddam Husajn miał siedem dywizji Gwardii Republikańskiej – każda po trzysta czołgów, a to minimum „na bieżąco" po pięćdziesiąt cztery sztuki amunicji plus materiały logistyczne. Plus amunicja artyleryjska, moździerzowa, bomby lotnicze. To były gotowe składy dla terrorystów – bunkry z reguły na obszarze czterech na pięć kilometrów. Amerykanie atakowali te obiekty podczas pierwszej i drugiej wojny w Zatoce, ale nie zawsze skutecznie: bomby tego betonu nie przebijały. Nie byliśmy w stanie wszystkiego pilnować. A terroryści w nocy zaopatrywali się w amunicję i robili z niej ładunki wybuchowe.

Jednym z naszych licznych zadań stało się rozminowywanie i wysadzanie tej amunicji, ale było jej po prostu za dużo. Podczas jednego z takich rozminowań zginęło kilku żołnierzy...

Jakie były militarne nauki z operacji w Iraku?

Przede wszystkim nauczyliśmy się działań asymetrycznych w rejonach zurbanizowanych. Ponadto, przerzutu sił na duże odległości, zabezpieczenia logistycznego dużych operacji, rotacji i współdziałania z sojusznikami – nie tylko z naczelnym dowództwem, ale i z formacjami z podobnymi nam zadaniami.

Na szczeblu taktycznym zdobyliśmy doświadczenie w planowaniu operacji wspólnych i połączonych z udziałem lotnictwa, wojsk lądowych i specjalnych. Cenna była praktyka w procedurach ewakuacji

rannych z pola walki, organizacji szpitali polowych, wykorzystywania telemedycyny; na przykład, podczas operacji prowadziliśmy telekonsultacje ze specjalistami z Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi – w 2003 roku!

W czym jeszcze poczyniliśmy postęp nie do przecenienia? W zakresie wiedzy o współczesnym polu walki, w systemach łączności i dowodzenia, procedurach w natowskich systemach interoperacyjności i kompatybilności. W sprawnym i trafnym wzywaniu wsparcia powietrznego; samoloty startowały z Zatoki Perskiej i w dwadzieścia minut były nad polem walki. W wykorzystywaniu systemu łączności satelitarnej. I tak dalej, i dalej…

Doświadczenia kumulowały się w wiedzę. Uczyliśmy się bardzo szybko na błędach. Każda polska kolejna zmiana była przygotowywana przez kierownictwo poprzedniej. Ćwiczyliśmy elementy dowódczo-sztabowe w kraju – i to ewidentnie powodowało mniejszą liczbę strat.

Z perspektywy czasu i w pana ocenie: czy politycy zmarnowali militarne zwycięstwa w Iraku czy Afganistanie?

Ewidentnym błędem było bezrefleksyjne, „odgórne" wprowadzanie reguł liberalnej demokracji w stylu zachodnim. Jest z tym wielki problem w krajach, w których mamy do czynienia ze skomplikowanym konglomeratem religijno-narodowościowym, z wielowiekową, specyficzną historią, odmiennymi obyczajami, dumą, ugruntowaną władzą plemienną, czy klanową...

Rozmowę przeprowadził Jacek Ziarno

[1] Od nazwy partii Baas, Partii Socjalistycznego Odrodzenia Arabskiego w Iraku (przyp. red.).

[2] Mowa o Pałacu Al-Faw w Bagdadzie, przez pewien okres siedzibie amerykańskich sił zbrojnych i centrum dowodzenia operacji w Iraku (przyp. red.).

[3] Przywódca Ruchu Sadrystowskiego i tzw. Armii Mahdiego, który stał na czele wystąpień przeciwko wojskom amerykańskim i ich koalicjantom w okresie kwietnia – czerwca 2004 roku w Iraku centralnym i południowym, oraz powstania w An-Nadżafie w sierpniu 2004 roku (przyp. red.).

Sojusznicza lojalność buduje naszą wartość, jako członka Paktu Północnoatlantyckiego

Rozmowa z Adamem Danielem Rotfeldem (część 2)

Jak pan ocenia rolę Stanów Zjednoczonych w rozszerzeniu NATO w 1999 roku? Czy to ich głos był decydujący?

O tym dużo już powiedziano i napisano. Decyzja administracji Billa Clintona o otwarciu drogi do NATO dla Polski nie była tam przyjęta jednoznacznie. Nie było sprawą łatwą przeprowadzenie procesu ratyfikacji rozszerzenia sojuszu w amerykańskim Senacie. Była tam grupa wpływowych amerykańskich kongresmenów przeciwna rozszerzaniu NATO. Senatorzy ci cieszyli się wysokim autorytetem, a ich stanowisko miało wpływ na politykę amerykańską, nie tylko w partii republikańskiej, ale także znajdowało zrozumienie w gronie demokratów. Rzecz wymagała pozyskania wahających się. Znaczącą rolę odegrali ówczesny ambasador Polski Jerzy Koźmiński, „kurier z Warszawy" Jan Nowak-Jeziorański, że nie wspomnę o cieszącym się w Stanach Zjednoczonych wielkim autorytetem Zbigniewie Brzezińskim. Byłem na kilku konferencjach, podczas których z krytyką akcesji Polski do NATO występowało wielu badaczy i wpływowych politologów amerykańskich, na przykład John Mearsheimer, skądinąd zdolny, ale kontrowersyjny badacz i politolog. Na jednej z takich konferencji, gdzie byli głównie amerykańscy zwolennicy „polityki realnej", przeważała opinia, że dla Stanów punktem determinującym ich stanowisko wobec NATO powinno być nadanie najwyższej rangi relacjom z Rosją.

W skrócie, takie podejście przybrało nazwę „Russia first", czyli priorytet mają relacje z Rosją. Otóż oznaczało to, że Rosja powinna być traktowana w sposób nie tyle partnerski, co uprzywilejowany, wyjątkowy, priorytetowy.

Podziały występowały nie tylko w Stanach?

Wątpliwości miały także niektóre kraje europejskie. I gdy je wyrażano, to wtedy Amerykanie nas popierali. Przypominam sobie z nieco późniejszego czasu, z roku 2010 zdarzenie, które ilustruje stosunek niektórych europejskich państw do tej sprawy. Pracowałem wtedy w ramach międzynarodowego zespołu, którego zadaniem było wypracowywanie strategicznej koncepcji NATO, obowiązującej w latach 2010–2020. Wtedy moi partnerzy z Europy Południowej reagowali bardzo negatywnie na to, że chciałem by nasze postulaty umacniały znaczenie artykułu 5. Traktatu Waszyngtońskiego. Wspólnie z Ronem Asmusem, byłym zastępcą sekretarza stanu USA, przygotowaliśmy stosowny zapis. To, co jest niejednoznaczne w artykule 5. Traktatu Waszyngtońskiego, w nowej strategii było powiedziane klarownie i jednoznacznie. Byłem osobą odpowiedzialną za ten fragment tekstu.

Na posiedzeniu zatwierdzającym ostateczną wersję dokumentu odnotowałem, że w przedstawionej wersji nie widzę tego, co zaproponowałem i co wstępnie uzgodniliśmy: „Jeśli tekst nie będzie przywrócony w uzgodnionej formie, to jutro w czasie uroczystej prezentacji projektu strategii Sojuszu Północnoatlantyckiego zgłoszę *votum separatum*. Pomijam to, że jest to postępowanie nie fair, a zarazem sprzeczne z zasadami dobrego wychowania. Przecież nikt nie uzgadniał wprowadzanych zmian z osobą odpowiedzialną za ten rozdział. Nagle okazuje się, że tekst jest zmieniony". Rozpoczęła się ostra wymiana zdań. Włoch nawet podniósł głos. Zaproponowałem obniżenie temperatury debaty. Akceptuję to, że ktoś może mieć inne zdanie niż ja, ale nie akceptuję by narzucać opinię, która jest sprzeczna z moim zdaniem. Wtedy zabrała głos Madeleine Albright. Powiedziała: „Moi drodzy, reprezentuję tu Stany Zjednoczone, ale jestem urodzona w Czechach, w Pradze, i myślę kategoriami europejskimi, a dokładniej – środkowoeuropejskimi. Chcę powiedzieć, że Daniel wie, co mówi. Na jego miejscu mówiłabym to samo. Otóż, ja ze swego miejsca jako reprezentantka

USA, myślę podobnie, bo to co on mówi jest w interesie całej Europy i Stanów Zjednoczonych". Po tym wystąpieniu wróciliśmy do koncepcji w takim brzmieniu, jakie wcześniej uzgodniliśmy.

Bez wątpienia byliśmy przez te lata godnym zaufania sojusznikiem Amerykanów. Czy nie mogliśmy jednak skorzystać z prawa do milczenia w sprawie interwencji w Iraku, co nam radził pewien europejski prezydent?

Kiedyś, w 2002 roku miałem kontakt z panią Condoleezzą Rice. Na to spotkanie *notabene* posłał mnie prezydent Kwaśniewski. Było to waszyngtońskie spotkanie szefów rad bezpieczeństwa narodowego, ja pojechałem zamiast Marka Siwca. Po raz pierwszy uczestniczyłem w zamkniętym posiedzeniu tego gremium. Było to spotkanie ośmiu najważniejszych państw Europy i Ameryki Północnej, w którym wzięli udział między innymi Brytyjczycy, Francuzi, Niemcy, Hiszpanie, Polacy. Wszyscy mówili jak słuszna jest polityka Stanów Zjednoczonych wobec Iraku.

Kiedy Condoleezza Rice udzieliła mi głosu, wyraziłem taką mniej więcej opinię: „Jestem jedynym, który w tym gronie jest po raz pierwszy. Słuchałem uważnie swoich przedmówców. Wszyscy opowiedzieli się są za interwencją w Iraku, jakkolwiek publicznie mówią, że są przeciwni, ponieważ takie są w ich krajach nastroje społeczne. W Polsce też jesteśmy »za«, bo i rząd i społeczeństwo są »za«, ale ja prywatnie uważam, że ten sposób interwencji USA jest błędem. Jest to moja prywatna opinia. Publicznie mówię, że jestem »za«. Dlaczego tak mówię? Bo traktuję to, jako inwestycję w stosunki polsko-amerykańskie w tym rozumieniu, że powinniśmy solidarnie poprzeć Stany Zjednoczone nawet wówczas, kiedy uważamy, że popełniają błąd. Liczymy na to, że kiedy Amerykanie będą mieli wątpliwości, czy Polska słusznie postępuje w sprawach swego bezpieczeństwa, to wykażą się takim samym zrozumieniem i zaufaniem do nas, jak my teraz demonstrujemy wobec nich i będą się starać zrozumieć motywy, dlaczego my tak postępujemy. Uważam, że ta sojusznicza lojalność buduje naszą wartość, jako członka aliansu. Polska jest jednym z nielicznych krajów na świecie – nie tylko w Europie – gdzie zjawisko antyamerykanizmu praktycznie nie występuje. Jest to nasz wkład w dowartościowanie Sojuszu Atlantyckiego.

Bezpieczeństwo Polski – powiedziałem na zakończenie spotkania w Waszyngtonie - zależy od relacji z USA i spójności Sojuszu Północnoatlantyckiego. To jest także zasługa tej ekipy, która kierowała wtedy naszą polityką zagraniczną- dodałem. Doceniamy i uznajemy wyjątkową rolę, jaką rządy Stanów Zjednoczonych odgrywają w polityce świata. Z całą pewnością podejście to będzie kontynuowane również w przyszłości" – zapewniłem słuchaczy.

Dzisiaj w tej sprawie jestem tego samego zdania.

Rozmowę przeprowadził Jan Ordyński

ROZDZIAŁ PIĄTY

Polska, Ukraina, Litwa – w obliczu rosyjskiego zagrożenia

O źródłach rosyjskiego ekspansjonizmu, ukraińskiej drodze do demokracji i partnerstwa z Zachodem i o polskiej rzekomej rusofobii

Rosjanie nie popierali reform, nie widzieli korzyści z demokracji, płakali po utraconym imperium

Rozmowa ze Stanisławem Cioskiem

W 1989 i 1990 roku Lecha Wałęsę postrzegano na świecie niczym nowego Mahatmę Gandhiego czy Nelsona Mandelę. A jak postrzegano go w Rosji, gdzie był pan polskim ambasadorem przez cały okres jego prezydentury?

W Rosji Wałęsa był traktowany podejrzliwie. Przyglądano mu się z dużą dozą nieufności. Rosjanie w tym czasie chyba niezbyt dużo o nim wiedzieli. I naraz, pod koniec 1989 roku, jest już po zwycięstwie rewolucji „Solidarności", którą wcześniej strasznie czarno tam malowano – miała ona diaboliczny wizerunek – a na jej czele stoi nie wiadomo kto, nie wiadomo było co on myśli. Podejrzewali, że na tego robotnika wpływają jakieś kręgi intelektualne. Byłem przepytywany o to w niemal wszystkich moich rozmowach w 1989 i 1990 roku. I to nie było tylko zainteresowanie urzędowe, formalne. Ludzie z elity władzy chcieli mieć jakieś przekonanie, żeby zrozumieć sytuację w Polsce. Każdy mnie o to pytał, a tych rozmów miałem bardzo wiele.

I zobaczyłem, że chociaż w Polsce zwyciężyła ta „straszna" – według radzieckiej propagandy – rewolucja „Solidarności", to Rosjanie patrzyli jak gdyby nigdy nic z dużym spokojem na nowe władze w Warszawie. Patrzyli pod swoim kątem. Odnosiłem wrażenie, że zmiana władzy u nas była im w istocie na rękę. Oni byli przecież wtedy w okropnej opresji. Przegrali zimną wojnę, przegrali wyścig zbrojeń. To położyło ich na łopatki, biorąc pod uwagę niewydolny system, któ-

ry tam panował. Długo rozmawiałem na ten temat z Walentinem Falinem, który był jednym z twórców myśli, żeby dogadać się z Zachodem, zgodzić się na zjednoczenie Niemiec i wycofać się z Europy Środkowej i Wschodniej. Dlaczego? Bo oni nie chcieli płacić pieniędzy na utrzymanie całego obozu socjalistycznego, chcieli wyjść stamtąd z wojskiem i skoncentrować się na Rosji. Rosjanie uważali, że to oni tracą na utrzymywaniu bloku socjalistycznego, dotując tańszą ropę i gaz dla krajów RWPG.

W 1990 roku Rosjanie zażądali, żebyśmy płacili za wszystkie ich towary w dolarach.

Oni nie rozumieli, o co chodzi. Wydawało im się, że są niezastąpionym partnerem gospodarczym i że bez trudu rzucą nas gospodarczo na kolana. No, i chcieli zawrzeć sojusz z Zachodem po wycofaniu się od nas. Rosjanie po prostu przegrywali. Chcieli się jakoś dogadać z Zachodem. Rzecz się działa ponad naszymi głowami, poza naszą świadomością. Ten scenariusz nie przewidywał jednak wielu zdarzeń, choćby samego rozpadu Związku Radzieckiego.

Czy można powiedzieć, że w początkach lat dziewięćdziesiątych Rosjanie akceptowali naszą drogę na Zachód?

Dla nich kolor ideowy i polityczny nowych władz w Polsce był mało ważny. Pogodzili się już wcześniej z myślą, że to nie będzie ich kolor. Sami też już w przyspieszonym tempie zmieniali barwy. Chcieli oczywiście zagwarantować sobie wpływy w Polsce. Kiedy Tadeusz Mazowiecki został premierem, z pierwszą zagraniczną wizytą przyjechał do niego szef KGB Władimir Kriuczkow. Przyjechał „powąchać", co tu się będzie działo. Nie byłem przy tej rozmowie, ale przecież Mazowiecki to był mądry polityk, rozumny. Miał racjonalną ocenę sytuacji.

W tym czasie wojska radzieckie stacjonowały jeszcze w Polsce. My się przecież ich baliśmy. Na marginesie, to ten strach był powodem sukcesu, naszego kompromisu. I władza, i „Solidarność" bały się tego, że przyjdzie do nas przysłowiowy leśniczy i wypędzi nas z lasu z tymi naszymi walkami wewnętrznymi.

Mazowiecki obiecał, że strategiczne interesy ZSRR nie zostaną tutaj naruszone; że zagwarantujemy i obecność wojsk radzieckich, i swo-

bodny dostęp do jednostek w Niemczech. Rosjanie doszli do wniosku, że z tą nową władzą da się dogadać i to nie naruszy ich strategicznych interesów. A po niedługim czasie we wszystkich krajach socjalistycznych nastąpił efekt domina. Ruszyła lawina zmian.

Gdy Polska pogłębiała swoją współpracę z Zachodem, ze Stanami Zjednoczonymi, z NATO, z Unią Europejską, Borys Jelcyn zgodził się na to, że Polska może wybrać.

No, niezupełnie. To był właśnie Wałęsa i jego sposób działania. W 1993 roku przyjechał do nas Jelcyn z wizytą oficjalną. Swoją drogą był już w bardzo złym stanie fizycznym. Przypominam sobie, że wypowiedział słowo „przepraszam" za Katyń, ale kamer przy tym nie było i nie zostało to zapamiętane.

Wałęsa postanowił wtedy wydobyć z Jelcyna zgodę na wstąpienie Polski do NATO. Wedle mojego rozumowania obietnicę, że nie będzie rozszerzenia NATO na Wschód, wcześniej uzyskał Gorbaczow, ale nie miał tego w postaci dokumentu. Wałęsa o tym wiedział i wiedział, że to jest trudna sprawa. Postanowił upić Jelcyna i wymusić na nim taką zgodę. No, i rzeczywiście upił go. Rozmawiałem z oficerami BOR-u, którzy obsługiwali spotkanie, że on sam pił herbatę, a Jelcyna poił whisky. Następnego dnia byłem w Belwederze. Ochrona musiała otworzyć okno – a okna były z przyczyn bezpieczeństwa pozamykane – bo Jelcyn nie mógł złapać powietrza. Tak źle się czuł, wyraźnie był na kacu, no taki był zniszczony totalnie. Rozmowy plenarne odbyły się w większej sali. Był projekt komunikatu, wcześniej wspólnie przygotowany, który pomijał kwestie możliwości członkostwa Polski w NATO. W nocy Wałęsa wydobył z pijanego Jelcyna zgodę na nasze ewentualne przystąpienie. Ale w komunikacie nie było tego sformułowania. Oburzył się Wałęsa, a już byli na „ty" z Jelcynem, mówi więc: „Słuchaj Borys, nie ma tu tego, cośmy wczoraj uzgodnili. Przecież zgodziłeś się na to. Albo jesteś prezydentem, albo nie jesteś. Zobacz, jeśli ja coś powiem mojemu ministrowi obrony czy spraw zagranicznych, to oni to wykonują, a ci twoi kombinują coś. Pokaż, że potrafisz być prezydentem". Dokładnie tak mówił.

Na to Jelcyn się wkurzył, burczał, mruczał, ale przerwę zarządzono i dopisano w komunikacie zgodę na starania Polski o członkostwo w NATO. No, sensacja. Rosjanie wrócili z tym do domu i odkręcili to

wszystko w postaci listu Jelcyna do przywódców państw NATO, w którym napisał, że wycofuje tę zgodę.

Czy to nam bardziej pomogło, czy zaszkodziło, jeśli chodzi o nasze dążenia i relacje międzynarodowe?

Ani to nam nie zaszkodziło, ani nie pomogło.

Czy Rosjanie wiązali jakieś nadzieje z prezydenturą Aleksandra Kwaśniewskiego i klęską obozu solidarnościowego?

Oczywiście, że tak. Lewica wygrała. Lewicowy prezydent, wygrane przez SLD wybory parlamentarne. Ale Rosjanie nie widzieli potrzeby, żeby to wykorzystywać. My nie byliśmy im do niczego potrzebni. Oni sami prowadzili tę grę.

Oni nas nie dostrzegali, ale równocześnie szukali przecież partnera w Europie Środkowej. To mogły być Czechy, Węgry. Dlaczego to nie mogła być Polska?

To były przede wszystkim Niemcy. Twoje pytanie wynika z takiego polonocentryzmu.

Jasne, że Rosjanie widzieli przede wszystkim silne kraje. Szukali jednak również innych partnerów w regionie. Kilkanaście lat później, takim uprzywilejowanym partnerem stały się dla nich Węgry. Czy zwycięstwa wyborcze polskich postkomunistów rozbudziły nadzieje Rosjan, że zrobią z Polski takiego swojego regionalnego życzliwego sobie partnera?

Nie, to było im niepotrzebne. Oni cały czas prowadzili taką grę, że ze wszystkimi mieli kontakty i w sumie nas lekceważyli. W tej grze, o której mówimy, Polska się nie liczyła. Rosjanie zostawili nas w spokoju. Dogadywali się z Amerykanami, z Niemcami, nawet z Francuzami.

Czy Rosjanie, pańskim zdaniem, mieli w ogóle jakąś koncepcję polityki wobec Polski na lata 1995 i późniejsze, czy też po prostu nas ignorowali?

Nie mieli żadnej koncepcji. Nie budowali żadnej alternatywy ani programowej, ani personalnej. Ani z Aleksandrem Kwaśniewskim, ani

z lewicą, ani z prawicą. To nie miało dla nich żadnego praktycznego znaczenia. Uważam, że nie było próby wykorzystywania Aleksandra Kwaśniewskiego, czy całej lewicy w Polsce dla rosyjskich celów. Były jedynie jakieś wieczne wojny różnych wywiadów. To są jednak rzeczy naturalne.

Jednakże w wyniku tych „wojen" wywiadów w Polsce upadł rząd, oskarżono premiera o zdradę stanu.

Zamieszanie było! Lewica jednak, żeby nie być posądzoną o to, że mają rację ci, którzy biegali z hasłami „SLD równa się KGB", odcinała się od Rosji. To było moje rozczarowanie, że po zmianie rządu na rząd lewicowy stosunki z Rosją wcale się nie poprawiły, jeśli nawet nie pogorszyły. Myślę, że ta afera z Ałganowem, to był rodzaj małej rosyjskiej zemsty za najprzeróżniejsze zawiedzione nadzieje. Byłem ambasadorem do 1996 roku i nie odczułem żadnych zmian w polityce wobec Rosji. Nikt mi nie nakazywał ocieplać stosunków. Lewica, jeśli chodzi o stosunki z Rosją, była trochę sparaliżowana tymi podejrzeniami o agenturalność. I wcale nie zmieniła stosunku do Rosji w porównaniu z poprzednikami. Prezydentura Kwaśniewskiego to było zbliżenie się do Amerykanów. To był przecież strategiczny cel.

W późniejszych latach Rosjan doprowadzały do furii dobre relacje polsko-ukraińskie. Dlaczego?

To kwestia cywilizacyjna. To jest ta bardzo głęboka sprawa. Żeby pojąć zafiksowanie Kremla na punkcie Ukrainy, to w moim przekonaniu trzeba sięgnąć bardzo głęboko w przeszłość.

Obecnie odżyła na przykład sprawa granic między prawosławiem i katolicyzmem. Popatrz, Rosjanie chcą zabrać Ukrainie wszystko to, co w ich przekonaniu należy do nich z racji językowych, religijnych itp. Dzisiaj te granice znowu odżyły. To ciągle jest żywe. Takie procesy trwają całe wieki. Popatrz, jak zachowuje się Kościół prawosławny w Rosji.

W Rosji, to jak zwykle w Rosji – na usługach dyktatora. Ale w Ukrainie zachowuje się pozytywnie.

Na szczęście ukraiński Kościół prawosławny „zachował się", odcinając się od przemocy i agresji. To było rozumne. Ale te struktury ukra-

ińskiego prawosławia, które podporządkowane są moskiewskiemu patriarchatowi to już niekoniecznie, prawda?

W moim przekonaniu, trudno jest osądzać te konflikty, awantury między Polską, Białorusią, Rosją, Ukrainą bez uwzględnienia podłoża cywilizacyjno-historycznego. To jest decydujące. Oczywiście trzeba było wcześniej budować mosty gospodarcze między tymi cywilizacjami. I nie tylko gospodarcze. Najprzeróżniejsze.

Wojna na Ukrainie zmieniła absolutnie wszystko. Nie starcza mi wyobraźni, żeby wyobrazić sobie, jak to wszystko poukładać – te rozwalone klocki – gdy ten konflikt się skończy. Ale on się w moim przekonaniu nie skończy. Zostanie tylko zamrożony, a Rosja będzie zbierać siły, żeby znowu uderzyć i podbić Ukrainę. Chyba, że Putinowi życia nie starczy.

Partnerstwo z Zachodem im nie wyszło przez Ukrainę, Polskę i cały region środkowoeuropejski, który szybko uciekł do Unii Europejskiej i NATO. Rosjanom nie wyszła też demokracja.

Byłem świadkiem tego, jak Rosja po 1989 roku po raz drugi w swej historii chciała się dać zreformować, przyjąć cywilizację zachodnią. Odbyłem setki, jeśli nie tysiące, bardzo głębokich rozmów, takich do dna duszy. Rosyjskie elity chciały reform. Miały świadomość tego, że ich cywilizacja przegrała. To było całkowite zaprzeczenie tego, co teraz gada Putin. Oni mieli świadomość, że pod koniec zimnej wojny dostali w skórę, że nie tylko ustrój, ale cała cywilizacja jest na Zachodzie wyższa aniżeli u nich.

Jelcyn robił to nie tyle intelektualnie, co instynktownie, ale chciał zmian. Przecież wziął do rządu Jegora Gajdara, który świadomie dążył do zbudowania w Rosji cywilizacji zachodniej. Ile razy ja z nim rozmawiałem i z tymi wszystkimi ludźmi… Ściągnęli Jeffrey'a Sachsa. Ale w odróżnieniu od Polaków, Rosjanie brali teorie zachodnich ekonomistów w ciemno, bezmyślnie. U nas była inna sytuacja. Plan Balcerowicza został z początku tak jednomyślnie poparty dlatego, że dziesięć milionów ludzi było w „Solidarności", a jak policzysz z rodzinami, to był cały polski naród. Jak ten naród wziął władzę, to się przeciw niej nie buntował.

A Rosjanie nie popierali reform, nie widzieli korzyści z demokracji, płakali po utraconym imperium. I tam te reformy dużo więcej kosz-

towały. Zaczął panować głód. Kiedy nie płaci się ludziom przez pół roku emerytury ani wynagrodzenia w pieniądzu, to zaczynają obsiewać kartoflami co się tylko da. No, upodlenie pełne. Morda na bruku i to spoglądanie na Zachód, który kwitnie i daje ludziom żyć, jako winnego rosyjskich nieszczęść.

Rosyjskie elity były gotowe do zmiany i reform, ale Jelcyn się wahał. Zachód nie pomógł. Absolutnie nie pomógł. Nie wiem, dlaczego. Rosjanie naprawdę chcieli wtedy demokracji i tej cywilizacji zachodniej. Autentycznie chcieli.

Dlaczego jednak nie umieli do niej dojść? Jawliński i Gajdar byli wykształconymi ekonomistami, ale uważali, że wszystko w gospodarce samo się naprawi, właściwie jedynie poprzez mechanizmy rynkowe. Przecież w istocie rzeczy ani Balcerowicz w Polsce tak nie uważał, ani Klaus w Czechach, ani Németh na Węgrzech.

Oni wzięli bez żadnych poprawek tę całą neoliberalną koncepcję ekonomiczną, która doprowadziła ich przecież do katastrofy. Diabeł im to podpowiedział. Rosyjscy ekonomiści byli zafascynowani neoliberalizmem. Jeffrey Sachs siedział w Rosji i im tak dyktował. Potem zresztą wyraził samokrytykę, ale szkody narobił co niemiara.

My byliśmy mądrzejsi w implementacji reform. Mieliśmy grubszą skórę i więcej zasobów w rodzinach. Mieliśmy wcześniej prywatną ziemię. Rosjanie tego nie mieli. Zbuntowali się przeciwko demokratom, ale w efekcie do władzy doszli złodzieje i łapownicy, i przeciwko nim się nie buntują. I żadni bolszewicy, czy rewolucjoniści się nie podnieśli przeciwko tym oligarchom.

W Polsce było jednak trochę inaczej. To zasługa Leszka Balcerowicza. Chwała mu za to. W Rosji mogli się temu przyglądać i uczyć od nas.

Rosjanie nie umieli się przyglądać i uczyć od innych?

Nie dokończono rozpoczętych reform. Nie wyznaczono Rosjanom warunków do spełnienia, takich jak na przykład Polsce postawiła Unia Europejska, kiedy staraliśmy się o członkostwo. Spełnialiśmy je w sposób katorżniczy przez kilkanaście lat, dostosowując organizm gospodarczy Polski do tych wymogów. Można było takie warunki postawić też Rosji. Ale widać nie chciano.

W dodatku Rosjanie kradli. Pojawiła się korupcja. Zamiast reformować, kradli. Skąd się wzięły gigantyczne majątki oligarchów? Właśnie z surowców. Uważam, że trzeba było pomóc Rosji zreformować się. Reformy musiałyby trwać lata...

Pamiętam moje podróże pociągiem po Rosji w tamtych czasach. Te tłumy ludzi przy oknach na stacjach. Oni nawet nie żebrali. Oni sprzedawali, co mogli, nam, „Europejczykom z Zachodu". Gdzieś pierożki, a gdzieś indziej kryształy, bo obok była fabryka kryształów i wypłacali ludziom wynagrodzenia w tych kryształach. A na drugiej stacji garnki emaliowane, bo płacili ludziom garnkami. Honor nie pozwalał im na żebranie, to wyprzedawali różne rzeczy z domów. To był obraz Rosji, który wyniosłem.

Słuchałem kiedyś wykładu Billa Browdera, niegdyś amerykańskiego inwestora w Rosji[1]. Opowiadał, że wyceniono rosyjski majątek państwowy za śmieszne pieniądze. „Nic tylko kupować". Potem im to wszystko władze zabrały w chamski sposób, przy pomocy zakwefionych funkcjonariuszy. Zamordowano w więzieniu w brutalny sposób Siergieja Magnickiego. Udziały w majątku państwowym zaczęto wymieniać na vouchery. Dostawali je pracownicy firm, a później sprzedawali te vouchery za pół litra. Co bardziej przebiegły, chytry przedsiębiorca zaczął skupować te vouchery. To się odbywało masowo, gwałtownie. I tak się zrodziła oligarchia. Do tego trzeba dołożyć jeszcze fakt, że niektóre rzeczy robiono celowo, żeby wzbogacili się konkretni ludzie. Tak powstawały fortuny. I tak powstał system oligarchiczny w Rosji.

W 1996 roku siedmiu najpotężniejszych oligarchów zawarło sojusz na rzecz ponownego wyboru Borysa Jelcyna. Grupa ludzi, którzy okradli Rosję i Rosjan z majątku narodowego…

Tak. Z dwuprocentowego poparcia naraz okazało się, że Jelcyn wygrał. Oni wchodzili na Kreml, po prostu kopiąc drzwi. Oni decydowali, mieli większość majątku. Ich decyzja mogła zatrzymać rozwój Rosji w minutę.

Nikt się temu nie przeciwstawiał? Ani Jelcyn, ani Gajdar?

Nie, nikt. Rosja była wtedy w szoku. Dopiero Putin złapał oligarchów za mordę. Sam jest zresztą częścią tego układu. Oni wszyscy się

nakradli. Putin to wykorzystał. To facet ze służb. Zobaczył, że w tych szafach jest pełno trupów. Miał coś na każdego i w każdej chwili mógł odebrać oligarchom wszystko. Chwycił oligarchów za pysk i przez oligarchów rządził tym krajem i tyle. To cała koncepcja. Teraz już ich od dawna nie potrzebuje. Rosja wcale nie zmieniła się wewnątrz. Nie zmodernizowała się ani w sposobie zarządzania, ani w technologii. Dalej tłuką to aluminium, czy tę ropę i gaz. Surowce są wydobywane tak samo prymitywnie jak niegdyś, bo już nie kupią sobie zachodnich technologii.

Jak ocenia pan z dzisiejszej perspektywy zbrojne złamanie opozycji antyjelcynowskiej w 1993 roku? Wtedy armia i służby specjalne poparły władzę. Beneficjentem wprowadzenia w Rosji „prezydentury absolutnej" szybko okazał się były funkcjonariusz KGB Władimir Putin, który zaraz potem zaczął robić błyskawiczną karierę. Najpierw w bezpiece, a później w polityce.

W Rosji musi być silna prezydentura. W przypadku wydarzeń z 1993 roku uważam, że to była powtórka nieudanego puczu Janajewa.

Tylko kto inny strzelał. I kto inny wprowadził dyktaturę.

Oni, ci buntownicy, w istocie chcieli powrotu starego systemu. Oni chcieli obalić Jelcyna. Wiele razy rozmawiałem o tym z Rusłanem Chasbułatowem i z Aleksandrem Ruckojem. Ile wódki z nimi wypiłem... Ruckoj miał zresztą polskie pochodzenie, jego babka była Polką. Swoją drogą cudowny człowiek. Później był gubernatorem w okręgu, chociaż po tym całym „zamachu" siedział w więzieniu. Jelcyn ułaskawił jednak puczystów.

I chociaż pucz przegrał, to demokracja odchodziła w przeszłość. To wtedy skończyły się w Rosji wolne wybory, a później wolność prasy. Pojawiła się twarda prezydentura, system prezydencki, jedynowładztwo, które Putin doprowadził do perfekcji.

Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski
Rozmowa nieautoryzowana

[1] Bill Browder – współzarządzał funduszem inwestycyjnym Hermitage Capital Management w Moskwie, którego prawnikiem był S. Magnicki.

Strategiczne myślenie Putina sprowadza się do dwóch elementów: przywrócić Rosji rolę jednego z najważniejszych graczy na świecie oraz utrzymać się przy władzy

Rozmowa z Adamem Danielem Rotfeldem (część 3)

Panie profesorze, proszę mi wytłumaczyć, dlaczego my, w Polsce i na Zachodzie, tak długo nie zrozumieliśmy tego, co się działo w Rosji na przestrzeni ostatnich dwudziestu-trzydziestu lat, dlaczego nie przewidzieliśmy tej sytuacji, że Rosja rozpocznie agresywną wojnę przeciwko Ukrainie?

Z różnych powodów, nie byliśmy jedynymi, którzy nie do końca zrozumieli, co się dzieje w Rosji. Można powiedzieć, że nie zrozumiał tego cały świat, ale co jest ważniejsze nie zrozumiała tego także sama Rosja. To nie było przewidywalne. Nie byliśmy w stanie, bo to jest irracjonalne. Irracjonalnych zachowań nie jesteś w stanie przewidzieć.

Proszę pozwolić, że to rozwinę. Putin miał i ma różnych doradców – zarówno ze strony skrajnie konserwatywnego i nacjonalistycznego skrzydła, ale i takich, którzy byli liberałami w swoim czasie, jak na przykład Gleb Pawłowski albo Aleksiej Kudrin. Przedstawicielami drugiej strony byli na przykład tacy ludzie, jak Władisław Surkow, jego zaufany człowiek wysyłany w różnych delikatnych misjach, który niezależnie od tego przejawiał też ambicje do pewnego teoretycznego uogólnienia. W 2007 roku, po słynnym wystąpieniu Putina na forum Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, w którym on w istocie zapowiadał nowy kurs i zasygnalizował fundamentalną zmianę, Surkow powie-

dział, że Rosja kieruje się całkiem innymi zasadami, normami i wartościami, niż państwa zachodnie. Że od czasu oświecenia państwa zachodnie kierują się racjonalizmem, logiką, przewidywalnością, a Rosja kieruje się takim myśleniem spontanicznym, podyktowanym emocjami, irracjonalnym. Zachód jest rzeczowy i konkretny, a Rosja koncentruje swoją energię na rozmaitego typu ideach, na formułowaniu generalizacji wynikających z widzenia całościowego. To była ze strony Surkowa próba wyjaśnienia Putinowskiego sposobu myślenia o polityce. Opinie te wygłoszone zostały podczas wykładu w Rosyjskiej Akademii Nauk. Wtedy wzbudził on znaczne zainteresowanie, ale później został zapomniany. Chodziło mu o to, że ludzie, którzy są kontynuatorami epoki oświecenia, renesansu i w ogóle myślenia logicznego, nie są w stanie wczuć się, zrozumieć rosyjskiego myślenia emocjonalnego, reaktywnego. Ja bym powiedział, że wbrew temu, co sądzi bardzo wielu ludzi, którzy formułują bardzo często opinie na temat Rosji, że Rosja ma od początku jakąś ideę, Rosja ma bardzo dużo idei, ale chodzi o to, że w większości one są pustosłowiem.

Czy pan naprawdę wierzy w to, że za rosyjską polityką stoi jakaś ideowość?

Prawdę powiedziawszy, dobudowuje się w Moskwie te idee i teorie *post factum*. Fundamentem, jądrem działania rosyjskiego było to, że Putin miał ambicję przywrócić Rosji pozycję, jaką ona miała za czasów Związku Radzieckiego, kiedy ukształtował się bipolarny porządek międzynarodowy.

Przypomnę przyjazd Putina do Polski na 70. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej w 2009 roku, do Gdańska. Pojechał na Westerplatte, wygłosił tam przemówienie. W artykule, który opublikował dzień wcześniej w „Gazecie Wyborczej" pod tytułem *Karty z historii*, czy coś takiego, użył takiego zdania, że lekcją historii jest to, że nie powinniśmy nigdy poniżać wielkich mocarstw, że poniżanie wielkich mocarstw doprowadziło Hitlera do władzy i druga wojna światowa wybuchła dlatego, że wtedy ci którzy narzucili traktat wersalski pragnęli rzucić na kolana Niemcy, powinni pamiętać o tym, że mocarstw nie należy rzucać na kolana. Więc ja potem, w czasie obiadu powiedziałem, że to jest w ogóle sensowna opinia, ale średnich i małych państw też nie należy rzucać na kolana, że równe bezpieczeństwo oznacza, że trze-

ba brać pod uwagę interesy wszystkich. Ja sobie zdaję sprawę z tego, że potencjał wielkich mocarstw będzie brany pod uwagę, że jak przemawia przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, czy Rosji to niezależnie od tego, co mówi, wszyscy uważnie tego słuchają. Kiedy przemawia przedstawiciel Polski, albo innego małego państwa to tylko wtedy słuchają, jeśli mówi coś ważnego, ciekawego i intelektualnie inspirującego. Chciałem powiedzieć w eleganckiej formie, że jeśli państwo, wielkie mocarstwo jest reprezentowane przez idiotę i on mówi prymitywne rzeczy, to i tak go słuchają, natomiast żeby nas słuchano trzeba mądrze mówić.

Czy jednak Kreml nie sięga głębiej, do czasów imperium rosyjskiego?

Dopiero z czasem Putin zaczął do tego dorabiać nawiązanie do czasów carskich. Powiesił u siebie w gabinecie zamiast portretu Lenina, którego najwyraźniej nie lubi, chociaż odnosi się z respektem do Stalina, portret cara Piotra I. To był pierwszy namacalny dowód, że on uważa, że spadł na niego obowiązek, żeby przywrócić Rosji wielkość. Dla wielkoruskich nacjonalistów istotne było to, że Rosja ma powołanie dane przez los, przez wolę Boga i misję do spełnienia. Rosja w ich przekonaniu jest wznoszącym się mocarstwem, podczas kiedy Stany Zjednoczone i demokratyczny Zachód są na pozycji schyłkowej, schodzą ze sceny politycznej, a na to miejsce pojawiają się nowe mocarstwa. W rozumieniu Putina są to Rosja, Chiny, Indie. Wcześniej był gotów Amerykę poprzeć i próbował uzyskać od prezydenta George'a W. Busha uznanie, że Rosja jest najważniejszym partnerem Stanów Zjednoczonych. Po 11 września 2001 roku, Putin był pierwszym, który zadeklarował prezydentowi USA poparcie w zwalczaniu międzynarodowego terroryzmu i oczekiwał teraz od Busha uznania tego specjalnego partnerstwa. Bush bardzo pozytywnie się odniósł do Putina, ale żadnych przyrzeczeń nie składał.

Rosja przez lata pozostawała jednak dla Zachodu nadal kluczowym partnerem…

W 2004 roku pięć razy byłem w Waszyngtonie, trzy razy byłem z prezydentem Kwaśniewskim i brałem udział w jego rozmowach z amerykańskim prezydentem. Pamiętam spotkanie, które odbywa-

ło się w czasie, gdy w Ukrainie zapowiedziano wybory prezydenckie. A jeszcze wcześniej były wybory prezydenckie w Rosji. Kiedy Bush nas przyjął, to Kwaśniewski postanowił poinformować go o tym, jak ważne dla przyszłości obszaru poradzieckiego będą wybory w Ukrainie. Bush, kilka razy, ze zniecierpliwieniem powiedział – no dobrze, ale co Rosja, co Rosja? Kwaśniewski mówi, pozwól, że ja ci powiem George najpierw, co się dzieje na Ukrainie. On mówi – ale dobrze Ukraina Ukrainą, ale co będzie w Rosji? I na to Kwaśniewski, żeby uprzytomnić Bushowi jak jest istotne to, co się dzieje w Ukrainie powiedział, jeśli chcesz mojej opinii, to powiem ci najprościej, na czym polega różnica między Ukrainą a Rosją. I tu, i tu będą wybory. Co się tyczy wyborów ukraińskich, to my nie wiemy kto wygra, co się tyczy rosyjskich z całą pewnością wiemy kto wygra, dlatego chcę wytłumaczyć co się dzieje na Ukrainie.

Więc innymi słowy – Polska miała taką wiedzę na temat naszych wschodnich sąsiadów, która także dla Amerykanów okazała się dość ekskluzywna?

To była wiedza wynikająca z faktu, że my jesteśmy odwiecznym sąsiadem Rosji, i że były okresy, kiedy to Polska była silniejsza, niż Ruś Moskiewska, i Polska była jej głównym konkurentem. Rozmawiamy u mnie w mieszkaniu, przy ulicy Orlej. Trzeba wiedzieć, że niedaleko od ulicy Orlej jest Senatorska, a na Senatorskiej kiedyś było szesnaście pałacyków. Dzisiaj jest tylko jeden, w którym obecnie znajduje się ambasada belgijska. Ten budynek należał w osiemnastym wieku do rodziny Maryny Mniszchówny, która chciała osadzić na tronie samozwańczego Dymitra. Wtedy Polska dla Moskwy stanowiła główne zagrożenie, była przez kilka wieków głównym rywalem. Potem, gdy Polska stała się słaba, na carskim dworze pojawia się myślenie, że państwa słabe mają być uzależnione od Rosji, albo przestać istnieć. Obecnie, w wieku dwudziestym pierwszym Rosjanie bardzo promowali ideę, że Ukraina jest państwem upadłym, albo będzie w najbliższym czasie państwem upadłym. I w związku z tym Rosja jest w stanie zaproponować zachodnim sąsiadom Ukrainy, żeby wspólnie dokonać rozbioru tego kraju. Jako współprzewodniczący polsko-rosyjskiej grupy do spraw trudnych, otrzymałem w 2014 roku kopię listu Władimira Żyrynowskiego, przewodniczącego partii, której nazwa brzmiała: Liberal-

no-Demokratyczna Partia Rosji, ale nie była ona ani liberalna, ani demokratyczna tylko parafaszystowska, skrajnie nacjonalistyczna, powołana przez służby specjalne jeszcze za czasów istnienia Związku Radzieckiego. Jej przewodniczący pełnił rolę swojego rodzaju klauna i w takim charakterze próbował sondować, jaka będzie reakcja w Polsce na tego rodzaju balony próbne. W połowie marca 2014 roku wysłał list do pięciu najważniejszych osób w państwie polskim. Ja otrzymałem kopię tego listu. Żyrynowski złożył tę notatkę z listem przewodnim do polskiego ambasadora w Moskwie, którym był wtedy Wojciech Zajączkowski. Zapytano mnie, jak należy reagować na ten list. Moja sugestia była taka, żeby nie reagować w ogóle. On napisał tam, że Ukraina jest jakoby sztucznym tworem i w istocie rzeczy jest to państwo upadłe, i że on nie ma żadnych wątpliwości, że odwieczne polskie ziemie zostały Polsce odebrane przez Stalina, gdyż w specjalnej sytuacji, po napaści Hitlera na Polskę, zostały przekazane Związkowi Radzieckiemu i włączone do Ukrainy, Białorusi i Litwy. Na obecnym terytorium Ukrainy znajduje się pięć województw przedwojennych i te województwa Polska może odzyskać, proponował w tym liście. Na terytorium tych województw: wołyńskiego, rówieńskiego, lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego należy przeprowadzić referenda. I następnie on wyraża opinię, jako Władimir Żyrynowski, że ma na to dowody rodzinne, ponieważ jego ojciec miał fabrykę w Równem i on ma akt własności tej fabryki z białym orłem, czyli to jest polskie. Innymi słowy on wie, o czym mówi.

Do tego dzisiaj bardzo często w rosyjskiej propagandzie powracają. Mianowicie, byłoby dla Rosji najbardziej pożądane, ażeby rozbudzić w nacjonalistycznych środowiskach polskich takie tendencje, rewanżystowskie, żeby krótko mówiąc wystąpić w roli hieny, że skoro jest jakieś państwo upadłe, to my chcemy przy tej okazji coś uzyskać, zagarnąć.

Wracam do pierwszego pytania, dlaczego ta ewolucja rosyjskiej polityki nie zaalarmowała nas, nie zaalarmowała Zachodu?

Dalszy rozwój wypadków, był trudny do przewidzenia, chociaż myśl, która Putina nakierowała na ten sposób działania była dość czytelna. Najpierw chciał uzyskać od Stanów Zjednoczonych uznanie jako równoprawny partner, sukcesor Związku Radzieckiego. W pierwszym

okresie on chciał po dobremu. Kilkakrotnie mówił o tym, że nie wyklucza sytuacji, że Rosja będzie chciała wstąpić do NATO, ale on chciałby zmienić NATO, czyli przyjęcie Rosji do NATO oznaczałoby koniec NATO. Byłaby to organizacja bez znaczenia, jak OBWE.

Chciałem wspomnieć pewną sytuację, kiedy wspólnie z prezydentem Kwaśniewskim po raz pierwszy spotkałem się z Putinem. Było to w styczniu 2005 roku, kiedy byłem na uroczystościach 60. rocznicy wyzwolenia obozu koncentracyjnego Auschwitz. Putin demonstrował wobec Kwaśniewskiego swoje głębokie niezadowolenie i w zasadzie unikał jakichkolwiek kontaktów, do tego stopnia, że wymierzył moment wejścia na salę, gdzie odbywały się główne uroczystości w Krakowie, w teatrze Słowackiego. Wszedł tam dopiero w momencie, kiedy miano mu według programu udzielić głosu. Specjalnie nieco spóźnił się, żeby wejść bezpośrednio na mównicę i nikomu nie podać ręki. Był niezadowolony tym, co zrobił Kwaśniewski w Ukrainie w 2004 roku, ale najbardziej był niezadowolony wypowiedzią Kwaśniewskiego w rozmowie z tygodnikiem „Polityka". Był to bodajże pierwszy numer w 2005 roku. Posłużył się tam Kwaśniewski formułą, której autorem był Zbigniew Brzeziński, że Rosja bez Ukrainy nie będzie imperium. Putin jeszcze przed przyjazdem do Polski zareagował na to w taki sposób, że na konferencji prasowej powiedział, że „nasz przyjaciel, dawny działacz komsomolski Aleksander Kwaśniewski, którego kadencja dobiega końca rozgląda się za nową posadą, za stanowiskiem międzynarodowym, stąd taka jego wypowiedź". Po tej, nie tylko uszczypliwej, ale i obraźliwej uwadze złożonej publicznie, ich stosunki nie były dobre.

W Balicach pod Krakowem, w takim małym pałacyku, spotkaliśmy się potem z delegacją rosyjską na rozmowach. Putin demonstrował tam swój niechętny stosunek do Kwaśniewskiego w taki sposób, że kiedy Kwaśniewski coś mówił to on wyraźnie wykazywał brak zainteresowania, rozglądał się, nie odpowiadał na pytania. Po raz pierwszy uczestniczyłem w tego typu spotkaniu. Uważałem, że moją rolą jest to, żeby w jakiś sposób rozładować tę atmosferę i powiedziałem: – Panie prezydencie, czy mogę zadać pytanie? Rozmawialiśmy po rosyjsku, Putin mówi: – Ależ oczywiście. Odpowiedziałem, że ja pytam się mojego prezydenta o zgodę. Kwaśniewski roześmiał się i powiedział: – Ależ bardzo proszę. Powiedziałem wtedy Putinowi, że śledzę od pewnego czasu politykę rosyjską i muszę powiedzieć, że pewne rzeczy mnie zastanawiają. Rosja, jako Związek Radziecki, była inicjato-

rem procesu zapoczątkowanego w Helsinkach i podpisania aktu końcowego KBWE, natomiast dzisiaj w rosyjskiej propagandzie i wystąpieniach jest demonstrowany stosunek wobec OBWE raczej lekceważący, natomiast z powagą traktuje się NATO, że stosunek do NATO jest o wiele lepszy niż do OBWE. Na to Putin mi przerwał i mówi, że to bardzo trafna uwaga, bo NATO to jest polityczno-wojskowy sojusz i to jest poważna organizacja, my traktujemy NATO z powagą, natomiast OBWE to organizacja, która nic nie znaczy, ma bardzo słaby budżet i gdybyśmy chcieli to wstrzymamy swoje składki i ona w ogóle przestanie funkcjonować. Zaczął wymieniać bardzo dużo szczegółów dotyczących rozmaitych organów, które zostały powołane na podstawie decyzji podjętych na szczycie w 1992 roku w Helsinkach i rozwijał swój pogląd, dlaczego nie zasługuje OBWE na poważne traktowanie. Zapytał, czy jestem zadowolony z odpowiedzi. Powiedziałem, że jestem pod wrażeniem. – A co takiego wywarło na panu wrażenie? Mówię, że wrażenie wywarło to, że jest pan prezydentem wielkiego mocarstwa o ogromnych wpływach i ma pan czas, żeby zapamiętać takie szczegóły dotyczące tej organizacji, gdzie ja obawiam się, gdybym zapytał się urzędnika w polskim MSZ, to nie byłby w stanie tak dokładnie i tak precyzyjnie powiedzieć. On się na to roześmiał, potraktował to chyba jako komplement.

A to nie był komplement?

Ależ nie! Ja uważałem, że człowiek, który pamięta takie detale, ma mentalność osoby nawykłej do zapamiętywania szczegółów, ale brak mu szerszej wizji, strategicznego myślenia.

Mówiliśmy wcześniej, że Rosja uważa, że myśli strategicznie o polityce…

Bo strategiczne myślenie Putina sprowadza się do dwóch elementów. O jednym już powiedziałem, żeby przywrócić Rosji wpływ, jako jednemu z najważniejszych graczy na świecie, jednemu z trzech graczy, bo on Europę uważa za bardzo słabą, która jest satelicka wobec Stanów Zjednoczonych, więc ani Unia Europejska, ani żadna inna organizacja nigdy nie będzie w jego pojęciu odgrywać roli mocarstwa. Mocarstwami są Stany Zjednoczone, Rosja i Chiny. W polityce wewnętrznej jego celem jest utrzymanie się u władzy. Początkowo miał koncepcję żeby

Rosję modernizować. I słowo modernizacja przenikało wszystkie jego wystąpienia, podobnie jak później jeszcze w większym stopniu w wystąpieniach Miedwiediewa, który czasowo pełnił funkcję prezydenta, chociaż wszyscy wiedzieli, że pełnia władzy przeniosła się wtedy do gabinetu premiera, którym został Putin. Po jednej kadencji on uznał, że trzeba powrócić do normalnej sytuacji, kiedy prezydencka władza spoczywa w jego rękach. Rosyjska mentalność nie zna, nie ma tradycji demokratycznego państwa.

Dziedzictwo totalitaryzmu?

W 1917 roku, w momencie, kiedy Lenin stwierdzając, że władza leży na ulicy, postawił pytanie, czy jest taka partia, która jest gotowa przejąć odpowiedzialność za państwo? I odpowiedział, że jest taka partia, to jesteśmy my, bolszewicka partia. Ta partia przejęła władzę i sprawowała ją przez niemal siedemdziesiąt pięć lat. Dokonała przemiany społeczeństwa i nadała Rosji charakter totalitarny. To Stalin dokonał przemiany państwa, z państwa autorytarnego, jakim była carska Rosja, w państwo totalitarne. Okres po śmierci Stalina był okresem powolnego rozmontowywania totalitaryzmu z powrotem w kierunku autorytaryzmu. Stalinowski totalitaryzm stanowił zagrożenie dla elit. Nikita Chruszczow w obawie o własne życie dokonał tej fundamentalnej, ja bym powiedział wolty, którą była zapoczątkowana w 1956 roku, ale nie zmienił istoty systemu.

Jako dyrektor sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem SIPRI poznałem kiedyś Gorbaczowa. Zaprosiłem go, jako laureata nagrody Nobla, żeby wygłosił wykład dla upamiętnienia Olofa Palme. Miałem wtedy możliwość przez dwa, trzy dni towarzyszyć mu, rozmawiać z nim. Po pewnym czasie Gorbaczow mnie zaprosił na konferencję naukową w 100-lecie urodzin Chruszczowa. W przerwie tej konferencji, która się odbyła w Fundacji Gorbaczowa w Moskwie, zaprosił mnie do gabinetu i zapytał o opinię na temat tej konferencji. Powiedziałem, że mnie intryguje, dlaczego on jako jedyny uznał, że trzeba upamiętnić stulecie Chruszczowa. W odpowiedzi usłyszałem, że bez Chruszczowa nie byłoby Gorbaczowa. Stwierdziłem, że prawdę powiedziawszy Chruszczow, co prawda dokonał destalinizacji, ale nie zmienił istoty systemu i się zatrzymał. Na to Gorbaczow, że Chruszczow się obawiał, że to się obróci przeciwko niemu, ponieważ miał ręce umaczane we krwi. A ja, i pokazał mi tak swoje dłonie,

ręce – ja mam czyste ręce – ja nigdy nie wydałem rozkazu użycia siły. Zapytałem go – a w Wilnie i w Baku? Odpowiedział, że nie, że nigdy nie wydał żadnego zarządzenia, żeby użyć broni przeciwko demonstrującym, które by legitymizowało użycie siły.

Tak to wspominam, bo było to sygnałem, że między polityką, którą zapoczątkował Gorbaczow, której w jakimś sensie zarówno kontynuatorem, jak i przeciwnikiem był Jelcyn, a rosyjską polityką czasów Putina, nie ma ciągłości. Jelcyn był kontynuatorem Gorbaczowa w tym sensie, że uważał, że ten nie miał siły żeby radykalnie zmienić Rosję. Jelcyn na początku chciał dokonać zdecydowanej dekomunizacji Rosji, nawet urządzić proces norymberski dla odpowiedzialnych, nawet gdyby to miało dotyczyć ludzi, którzy już nie żyją.

Jego idea, żeby w sposób formalny rozwiązać Związek Radziecki, też świadczy o tym. Związek został powołany w 1922 roku na wniosek trzech państw – Rosji, Ukrainy i Białorusi. I w grudniu 1991 roku Jelcyn jedzie do Puszczy Białowieskiej po stronie białoruskiej, do miejscowości, która nazywa się Wiskule. Tam było miejsce wypoczynku dla dygnitarzy, dla nomenklatury partyjnej. I jako prezydent Federacji Rosyjskiej zwraca się do przywódcy Białorusi, profesora Szuszkiewicza, zwraca się do prezydenta Ukrainy Krawczuka i wspólnie podejmują tam decyzję o rozwiązaniu Związku. A następnie Jelcyn dzwoni do prezydenta Stanów Zjednoczonych informując go. Gorbaczowa nie informuje i ten nie wie, że zapadła taka decyzja.

Czyli to w istocie Rosja, Federacja Rosyjska, zadecydowała o tym, że Związek Radziecki przestał istnieć w końcu 1991 roku, o czym rosyjska propaganda dziś nie mówi, przerzucając winę na Zachód. Ale może wystarczy tej prehistorii.

Jakie jest miejsce rosyjskiej ideologii i mitologii w polityce człowieka, którego demokrata Jelcyn uczynił prezydentem Rosji – Władimira Putina?

Rządy Putina zdyskredytowały kilka mitów, które wokół Rosji narosły. Jeden mit jest taki, że Rosja jest niezwyciężona, to nie jest prawda, Rosja była wielokrotnie zwyciężana i tym razem też Rosja będzie zwyciężona. Rosja postanowiła pokonać Ukrainę, nie tyle rzucić ją na kolana, co zniszczyć, bo uznała, że nie tyle ukraiński naród, a raczej jego przywódcy i elity, są przeciwko Rosji. Kiedy oni zaczynali tę wojnę to byli przekonani, że Ukraińcy ich będą witać kwiatami, chlebem

i solą. I to jest drugi mit, mianowicie, że Rosja ma świetne służby specjalne, które wszystko wiedzą i rozpoznały wszystko. Gdyby wiedziały, to on nie dokonałby tej napaści. Trzeci mit jest taki, że Rosja przewiduje, wszystko przewiduje na lata do przodu. Ale to nie jest prawda. Rosja jest nieprzewidywalna nawet sama dla siebie. A najbardziej w Rosji nieprzewidywalna jest historia, jak głosi rosyjskie powiedzenie.

A co w przeszłości może być nieprzewidywalne?

Sens tego powiedzenia polega na tym, że dla potrzeb teraźniejszości trzeba historię ciągle dopasowywać, żeby zostać u władzy. Za każdym razem jest pisana na nowo. Michaił Heller napisał w sześciotomowej historii Rosji, na samym początku, że w Rosji historia była pisana zawsze pod panującego władcę i wszystko, co car robił, było oczywiście uświęcone przez Boga.

Proszę mi powiedzieć, jak to wszystko się skończy? Mam na myśl konflikt rosyjsko-ukraiński.

Chodzi o to, że to się nie skończy, nigdy się nie skończy. Nie to, że nie skończy się teraz, za rok, za dwa, za dziesięć. To się nie skończy ani za tego pokolenia, ani za następnego. W przeszłości Rosja uważała, że Ukraina się zruszczy. Podejmowała różne kroki przeciwko Ukraińcom od kilkuset lat i to się nie udało. Po 24 lutego 2022 roku rosyjska propaganda zapowiedziała, że w ciągu tygodnia zostanie zajęty Kijów i cała Ukraina. Już dzisiaj Rosja wie, że całej Ukrainy sobie nie podporządkuje. Otóż ta wojna będzie miała przerwy, będą zawieszenia broni, będą rozejmy, ale obawiam się, że ona będzie trwała przez pokolenia.

Dobrze, przez pokolenia, ale kiedy to się skończy?

Wtedy, kiedy się Rosja zmieni. Rosja rozpoczęła tę wojnę nie z powodu Ukrainy, tylko z powodu wewnętrznych problemów, że problemem było to, że Putin i jego otoczenie musi się utrzymać u władzy. Po to żeby się utrzymać u władzy, Rosja musi być w stanie permanentnej wojny, bo nadzwyczajny stan ma legitymizować przez pokolenia rządy policyjno-wojskowej dyktatury. Uważa się, ja też tak uważam, że w Rosji społeczeństwo jest nawykłe do podporządkowania się, do posłuszeństwa. Ale to posłuszeństwo ma swoje granice.

Rozmowę przeprowadził Jan Ordyński

Byliśmy nieustannie podejrzewani o rusofobię oraz podsycanie niepotrzebnych lęków

Rozmowa z Bronisławem Komorowskim (część 3)

Od którego momentu, pana zdaniem, przekonanie o zagrożeniu militarnym ze strony Rosji, przebiło się na trwałe do naszych elit politycznych?

Na to pytanie nie da się odpowiedzieć jednym zdaniem. Ja tę świadomość miałem zawsze, bo urodziłem się w rodzinie z doświadczeniem Polski kresowej, gdzie co do agresywnych zamiarów rosyjskich nikt nigdy nie miał złudzeń. Podobnie też nikt nie miał wątpliwości, że warunkiem wolności, niepodległości i suwerenności jest opuszczenie terytorium państwa polskiego przez wojska sowieckie, które zawsze będą chciały tu wrócić.

A od kiedy polska elita polityczna, decydenci – podzielają ten pogląd

Nie potrafię uczciwie odpowiedzieć na to pytanie. Wiem tylko, że na tle innych krajów, nie tylko starego NATO, ale i „nowego" NATO, krajów przyjętych w 1999 czy w 2004 roku, polskie elity polityczne zawsze uchodziły za najbardziej antyrosyjskie. Byliśmy nieustannie podejrzewani o rusofobię oraz podsycanie niepotrzebnych lęków, co nam zresztą szkodziło w kontaktach ze światem zachodnim – uważano, że ich wciągamy w jakąś niepotrzebną awanturę z Rosją.

Czy nasza perspektywa przebiła się do zachodniego mainstreamu?

Wydaje mi się, że dopiero wraz z inwazją Rosji na Krym i wojną w Donbasie, a i to jeszcze nie w pełni. Wcześniej oczekiwania poszerzenia NATO zgłaszane przez kraje sojuszu, w tym część polskich elit uzasadniano raczej w ten sposób, że Rosja jest obszarem niestabilnym wewnętrznie – odwoływaliśmy się do doświadczenia puczu Janajewa i tym podobne. Nawet w Polsce były opory przed powiedzeniem wprost, że chcemy poszerzyć NATO, żeby osłabić Rosję i zmniejszyć ryzyko jej inwazji na wolny świat.

To się zaczęło powoli zmieniać w momencie ataku na Gruzję w 2008 roku, aczkolwiek nawet wtedy świat zachodni uważał, że to się da zaklajstrować jakimś kompromisem. Otrzeźwienie przyszło dopiero w 2014 roku, acz także wtedy niepełne – pamiętam, że w Europie Zachodniej panowało przekonanie, że może przetrzymamy ten moment kryzysu, że w oparciu o porozumienia mińskie wygasimy te punkty zapalne, jakimi były Donbas i Krym.

Gdzie w tym wszystkim byli Amerykanie? Bo jeszcze między atakiem Rosji na Gruzję a inwazją na Krym wydarzyła się próba „resetu" w relacjach z Rosją...

To prawda, ale po zajęciu przez Rosjan Krymu następowała już daleko idąca korekta ich stanowiska, czemu dał wyraz między innymi prezydent Obama w czasie wizyty na 25-lecie wyborów czerwcowych 1989 roku. W czasie spotkania z głowami państw i szefami rządów świata zachodniego, którzy do nas wtedy przyjechali, powiedział u mnie, w siedzibie prezydenta: „Wy, Polacy, mieliście rację". Bo dobrze znamy Rosję, ale też mamy wysoki poziom finansowania własnej obronności – stawiał Polskę za przykład. Wcześniej był u nas wiceprezydent Biden i mówił bardzo jasno o zagrożeniach, jakie stwarza Rosja, a rok później w rozmowie ze mną wyraźnie się dystansował do formatu normandzkiego i porozumień mińskich. To wszystko potwierdzało słuszność naszego dotychczasowego myślenia i postępowania.

A czy w kwestii bezpieczeństwa na Wschodzie mogliśmy zrobić coś więcej, lepiej? Nie tylko wobec Rosji, ale przede wszystkim Ukrainy?

Polska oferowała Ukrainie bardzo daleko idącą pomoc polityczną. Byliśmy nie tylko adwokatami Ukrainy w jej dążeniach do kontynu-

owania kursu zachodniego, ale wręcz ciągnęliśmy tę Ukrainę za uszy, ile mogliśmy... Za czasów Janukowycza Ukraina prowadziła jednak politykę: idziemy z tymi, którzy dadzą więcej. Chcieli mieć korzyści i od strony Rosji putinowskiej, i od Unii Europejskiej, nie deklarując się w sposób jednoznaczny. Tyle, że to się skończyło w Wilnie w 2013 roku, kiedy ustami Janukowycza Ukraina odrzuciła perspektywę stowarzyszenia z UE.

I kiedy Putin wymusił na nim jednoznaczne opowiedzenie się po jednej stronie, bez lawirowania między wschodem a zachodem?

On wymusił na Janukowyczu, co ten sam mi potem powiedział – taką antyeuropejską deklarację, bo Rosjanie się zorientowali, że nawet z prezydentem, który był ewidentnie uzależniony od Rosji, z roku na rok rośnie procentowy udział Ukraińców popierających członkostwo Ukrainy w Unii Europejskiej. Tylko w latach 2010–2015, za mojej prezydentury, ten wskaźnik urósł z dwudziestu kilku do ponad pięćdziesięciu procent – choćby dlatego oceniam, że mimo wszystko było warto ciągnąć do Europy nawet Janukowycza. On potem okazał się oczywiście zdrajcą sprawy ukraińskiej, ale na tamtym etapie, właśnie poprzez dwuznaczność swego stanowiska, umożliwił wzrastanie tej roślinie... Za tych jego czasów przybywało Ukraińców zorientowanych na Zachód.

A czy była jakaś alternatywna polityka, którą moglibyśmy prowadzić, a która by zmieniła ten nieszczęsny bieg wydarzeń – z wojną na końcu?

Gdybyśmy mieli tyle pieniędzy, co cała Unia Europejska razem wzięta, to moglibyśmy Ukrainę wziąć na barana i choćby zanieść na Zachód – ale nie mieliśmy. Natomiast w sprawie członkostwa w NATO, odmówiono go Ukrainie na szczycie w Bukareszcie w 2008 roku, co dziś okazuje się błędem. Ale wówczas łatwo było znaleźć powody tej odmowy – niedrażnienie Rosji, anachroniczność armii ukraińskiej, jej daleko idące zrusyfikowanie, niedemokratyczny charakter rządów itd. Kluczowe zmiany w wojsku przyspieszyły dopiero po porażce w 2014 roku, już za czasów prezydentury Piotra Poroszenki. Wtedy nastąpił gwałtowny skok, jeśli chodzi o samoświadomość wojska jako

ukraińskiej siły narodowej, jak również wymiany kadr i modernizacji technicznej. Co prawda, ta ostatnia długo była dość powolna, ze względu na ogólny stan finansów Ukrainy.

W kwestii: czy można było zrobić więcej, odpowiedź jest prosta. Owszem, można było, gdyby w 2014 roku świat zachodni nie myślał tylko o tym, jak ten stan zapalny na wschodzie Ukrainy załagodzić – w innym przypadku można by wcześniej rozpocząć zbrojenie Ukrainy. My sami byliśmy na to za słabi.

Rozmowę przeprowadził Michał Sutowski

Przez stulecia, przez wiele pokoleń, przesiąkliśmy wyczuleniem na powtarzające się niebezpieczeństwo ze strony Rosji

Rozmowa z Włodzimierzem Cimoszewiczem (część 2)

Chyba największym osiągnięciem polityki zagranicznej RP, już jako członka Unii Europejskiej i NATO, było doprowadzenie do rozwiązania bardzo poważnego kryzysu politycznego w Ukrainie w 2004 roku, w czasie wydarzeń, które przeszły do historii jako pomarańczowa rewolucja?

To był nasz oczywisty sukces. Doceniono go w Europie, wiadomo było, że tak naprawdę to dzięki Polakom udało się uniknąć najstraszniejszego scenariusza, włącznie z rozlewem krwi, i nie dopuścić do dryfu Ukrainy od demokracji. Tamte czasy w ogóle były złotymi latami polskiej aktywności na scenie międzynarodowej. Po roku 2001, dzięki poparciu dla Stanów Zjednoczonych i polityki prezydenta George'a W. Busha, byliśmy zaliczani do niezwykle wąskiego kręgu czterech, pięciu najważniejszych sojuszników USA. Ważną rolę odgrywał Trójkąt Weimarski z Niemcami i Francją. Mieliśmy dobre relacje ze wszystkimi sąsiadami.

Ale po napaści Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 roku zacząłem się zastanawiać, czy to właśnie nie zdarzenia, które miały miejsce siedemnaście lat wcześniej, nie spowodowały swoistego wstrząsu u Władimira Putina. Czy nie były pierwszą trąconą kostką domina, która uruchomiła łańcuch zdarzeń i w ostatecznej konsekwencji – po „drugim Maj-

danie" na przełomie roku 2013 i 2014, aneksji Krymu i rozpętaniu walk w Donbasie – doprowadziła do okrutnej wojny na wielką skalę.

Putin doznał osobistej porażki. Zrobił wszystko, by w umysłach Ukraińców utrwaliło się przekonanie, że ich przyszłość wiąże się z Rosją, a Wiktor Janukowycz, z jego świetnymi relacjami z rosyjskim prezydentem, jest gwarantem tej przyszłości. Dał temu przekazowi swoją twarz. W okresie kampanii trzykrotnie był w Ukrainie. I mimo tego ogromnego zaangażowania, demonstracyjnego poparcia, przemawiania bezpośrednio do wyborców – człowiek, na którego postawił cały swój autorytet, w uczciwej procedurze przegrał. Mam wrażenie, że wtedy u Putina pojawiła się fobia wobec „kolorowych rewolucji". Później wielokrotnie powracał do tezy, że Zachód rzekomo dąży do wywoływania takich rewolucji i w Rosji, i w Azji Środkowej, i w innych krajach. Stało się to rodzajem jego obsesji. Prawdopodobnie też sprowokowało go to do myślenia o innym sposobie osiągnięcia politycznego celu, jakim było podporządkowanie Ukrainy. Bo do czego był mu wtedy potrzebny Janukowycz? Do tego, żeby mieć swojego namiestnika w Kijowie i dzięki temu kontrolować sąsiednie państwo.

Przypomnijmy, jak przebiegały tamte wydarzenia.

Polska sprawowała wówczas prezydencję w Radzie Europy, jako minister spraw zagranicznych byłem przewodniczącym jej głównego organu – Komitetu Ministrów. Kiedy po pierwszej turze rozległy się głosy, że ukraińskie wybory zostały sfałszowane, przedstawiałem plany naszego przewodnictwa i wprowadziłem do mojej prezentacji punkt dotyczący roli, jaką Rada Europy powinna odegrać w zagwarantowaniu uczciwości drugiej tury. Nikt nie zaprotestował, więc uznałem, że mam mandat do reprezentowania tej organizacji i od razu poleciałem do Kijowa. Miałem tam umówione spotkania, ale na miejscu okazało się, że nie zobaczę się ani z ustępującym prezydentem Leonidem Kuczmą, ani z Janukowyczem, ponieważ przyleciał Putin i oni obaj rozmawiają z nim gdzieś na Krymie. Za to w sztabie Juszczenki przedstawiono mi bardzo szczegółowe informacje na temat metod fałszowania wyborów. Po powrocie przekazałem Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, która wysyłała obserwatorów do Ukrainy, sugestie, na co zwrócić szczególną uwagę. Oprócz wielu innych drobniejszych

nieprawidłowości, w tym – powiedzmy wprost – prymitywnych, największym polem do oszustw był system transmisji danych.

Jednocześnie stanowisko zajęła Rada Europejska, składająca się z premierów lub prezydentów państw UE. Wcześniej, podczas dwukrotnych spotkań z moim niemieckim odpowiednikiem Joschką Fischerem, przy ognisku w Puszczy Białowieskiej i podczas prywatnego śniadania w hotelu w Nowym Jorku, gdzie znaleźliśmy się w związku z sesją Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, uzgodniliśmy wspólną inicjatywę wpisania do konkluzji tego posiedzenia Rady oczekiwania, że wybory prezydenckie w Ukrainie zostaną przeprowadzone w uczciwy i demokratyczny sposób. Po pierwszej turze stało się jasne, że jest z tym problem. Niestety, władze ukraińskie parły do przodu, zorganizowały turę drugą w ten sam sposób i sfałszowały jej wynik. Doszło do protestów na Majdanie Nezależnosti.

Przy takim zaangażowaniu Rosji i także prezydenta Kuczmy na rzecz popieranego przez nich kandydata wydawało się, że może dojść do bardzo ostrej konfrontacji. I wtedy Aleksander Kwaśniewski wystąpił ze swoją inicjatywą. Przekazał prezydentowi Litwy Valdasowi Adamkusowi pomysł, żeby zorganizować rodzaj okrągłego stołu w Kijowie. Kuczma się na to zgodził. W związku ze wspomnianym zapisem w konkluzjach Rady Europejskiej zgodził się przyjechać Javier Solana, który był wtedy szefem unijnej dyplomacji. Przyjechał sekretarz generalny OBWE Ján Kubiš. Obecny był szef parlamentu Wołodymyr Łytwyn. Postanowiliśmy zaprosić przedstawicieli Rosji – ściągnięto przewodniczącego Dumy Borysa Gryzłowa, uczestniczył także ekspremier Wiktor Czernomyrdin, w tamtym czasie ambasador w Ukrainie. Z Aleksandrem Kwaśniewskim pojechałem też ja. Oczywiście udział brali również obaj kandydaci. Odbyły się trzy rundy rozmów. Początkowo wydawały się beznadziejne, ale stopniowo udawało się przekonać głównych graczy do szukania politycznego rozwiązania. Najważniejsza rzecz odbyła się w zupełnym cieniu. Aleksander Kwaśniewski odciągnął na stronę Kuczmę i powiedział mu w cztery oczy – a świetnie się znali i teraz ich znakomite relacje personalne przyniosły owoce – że kończąc prezydenturę ma wybór tego, z jakim wspomnieniem przejdzie do historii swojego kraju: przywódcy, który pomógł wyjść z trudnego kryzysu – czy jako człowiek z krwią na rękach. W tym czasie na kijowskich dworcach stały pociągi wypełnione, jak mówiono, górnika-

mi z Donbasu. Przywieziono ludzi z ewidentną intencją wypuszczenia ich na ulice, żeby doszło do walk z protestującymi; dałoby to prezydentowi podstawę do wezwania armii i krwawego stłumienia sprzeciwu. W tej krótkiej rozmowie Aleksander Kwaśniewski powstrzymał Kuczmę i ostatecznie udało się przekonać wszystkich przy tym stole, żeby to Sąd Najwyższy orzekł, czy drugą turę należy powtórzyć – bo w jej trakcie były, delikatnie mówiąc, nieprawidłowości – czy też nie. Ważne, że przeforsowaliśmy telewizyjną transmisję na żywo z posiedzenia Sądu. Sędziowie poczuli na sobie wzrok milionów Ukraińców i wydali uczciwy werdykt. Że wybory były sfałszowane i wymagają powtórzenia. Powtórzone głosowanie wygrał Juszczenko. Cały plan Putina upadł.

Gdy w 2000 roku na czele Federacji Rosyjskiej stanął Władimir Putin, jak szybko zorientowaliśmy się w Polsce, że nad Europę Wschodnią nadciąga cień Rosji, że wraz z odejściem Borysa Jelcyna kończy się pewna era? Czy ostrzeżenia płynące z Polski w tej kwestii były na Zachodzie traktowane poważnie?

Jeszcze trochę wcześniej, na początku lat dziewięćdziesiątych, wielu polskich polityków, ja także, mówiło, że nasz kraj chce stać się „pomostem" między Wschodem a Zachodem. Że znamy i rozumiemy ten *Wschód*. Jednak te nasze deklaracje były kompletnie lekceważone. Kompletnie. W tamtym czasie Polska nie odgrywała żadnej poważnej roli w tych relacjach.

Mieliśmy wtedy odczucie, że Rosja w ogóle się nami nie interesuje. Że swoje relacje zewnętrzne chce prowadzić ponad naszymi głowami – nie tyle w sprawach dotyczących nas, byliśmy po prostu marginesem z punktu widzenia celów i zainteresowań jej przywódców. Dla nich partnerem byli Amerykanie, Niemcy.

Początkowo bardziej baliśmy się „zapadnięcia się", implozji Rosji, niż jej ekspansji. Baliśmy się słabości, a nie siły Rosji. Nasz wschodni sąsiad był państwem rozkradanym. Władza polityczna ulegała degeneracji. Przeprowadzona tam prywatyzacja kuponowa okazała się katastrofą – stała się sposobem na przefiltrowanie majątku narodowego do rąk bardzo nielicznych. Świat to widział i tego typu niepokój narastał.

Wszystko zmieniło się wraz z przejęciem władzy przez Putina. Na kilka kolejnych lat Polska zyskała dla Zachodu pozycję państwa, mającego w tej materii sporo ciekawego do powiedzenia. Początkowo ob-

serwowaliśmy posunięcia nowego prezydenta Rosji odnosząc nawet wrażenie, że może mu się udać uporządkowanie i zmodernizowanie państwa – i to przy zachowaniu podstawowych zasad demokratycznych, choć pewne od nich odstępstwa można było zrozumieć jako uzasadnione dążeniem do tego, aby cała państwowa maszyneria zaczęła w miarę normalnie funkcjonować. Podczas wizyty w Polsce w 2002 roku zaprezentował się jako bardzo pragmatyczny polityk z otwartą głową, zdolny do wykonania symbolicznych gestów.

Momentem, który mną wstrząsnął, było jego przemówienie po tragedii w Biesłanie w 2004 roku. Mówiąc o zagrożeniach dla Rosji wskazał, że największe pochodzi z zachodu. Myślałem, że się przesłyszałem. Ale nie. To dało wiele do myślenia, wtedy zaczęliśmy się uważniej przyglądać polityce rosyjskiej. Tyle, że udział mojej formacji politycznej w sprawowaniu władzy skończył się kilka miesięcy później i na dalszy bieg wydarzeń patrzyłem już z pozycji kibica.

Stosunki polsko-rosyjskie zaczęły się gwałtownie pogarszać. Można było odnieść wrażenie, że w gruncie rzeczy Kremlowi ten stan także odpowiadał. Na Zachodzie opinie płynące z Warszawy zaczęto postrzegać, słusznie czy nie, jako mogące być motywowane po prostu rusofobią. Wypowiadane przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego oceny były odbierane jako przesadne. Mocno wypowiadał on to, co było słabo widać. W historii nie ma żadnego automatyzmu, ale przez ostatnie stulecia, przez wiele pokoleń, przesiąkliśmy wyczuleniem na ciągle powtarzające się niebezpieczeństwo ze strony Rosji. Niewykluczone więc, że nasze wewnętrzne termometry wskazują nadchodzącą gorączkę szybciej, niż termometry w świecie zachodnim.

Po paru latach okazało się, że sprawy idą w kierunku najgorszym z możliwych. Jednak nawet wtedy odpowiedzią Zachodu było nieomal modlenie się, żeby Rosja nie zaczęła podejmować jakichś awanturniczych działań. Żeby ta nowa polityka nie przerodziła się w konflikt wojskowy. Nie podejmowano żadnych zapobiegawczych czy zaradczych kroków. Wszyscy mieli sygnały – jak choćby przemówienie Putina na konferencji bezpieczeństwa w Monachium w 2007 roku, kiedy frontalnie zaatakował Zachód. Mimo to wciąż łudzono się, jak przed drugą wojną światową, że rozwijanie współpracy gospodarczej zapobiegnie konfliktowi. Nie zapobiegło.

Jesienią 2013 roku uczestniczyłem w spotkaniu tak zwanego Klubu Wałdajskiego – grona zagranicznych polityków, ekspertów i intelektualistów raz do roku dyskutujących z Putinem. Było coś niezwykle wymownego w jego wystąpieniu; mówił, że jak się patrzy na burzliwą, pełną wojen historię Europy, to były tylko dwa momenty, kiedy – dzięki porozumieniu Zachodu z Rosją – otwierała się epoka pokoju i stabilności: po Kongresie Wiedeńskim i po konferencji jałtańskiej. Pomyślałem: Boże drogi, jak niezwykle się różni spojrzenie historyczne w zależności od tego, czy się takie porozumienia zawierało, czy też było się jego przedmiotem! To wszystko składało się na atmosferę, kontekst, sposób kształtowania się myślenia Putina. Jeśli nie opowiadał po prostu bajek, tylko odzwierciedlał swoje poglądy, to znaczy, że był przywiązany do idei stabilności – ale takiej, której współautorem jest Rosja i na której będzie korzystać. Na mocy takich układów musi mieć zagwarantowaną zwierzchność nad państwami, narodami i ludami, nad którymi wcześniej uzyskała kontrolę.

Wygląda na to, że rozpoczęta w lutym 2022 roku wojna była realizacją takich właśnie marzeń.

To miał być ostateczny etap, bezpośrednio już podporządkowujący Ukrainę Moskwie. Różnie interpretuje się motywy decyzji o agresji, począwszy od zagłębiania się w psychikę Putina, przez fantasmagorie ideologiczne spod piór Dugina czy Iljina. Ja jednak założyłbym, że ludzie rządzący Rosją nie zachowują się całkowicie irracjonalnie i rozumieją, że historyczny spadek wagi Rosji w stosunkach międzynarodowych jest nieuniknioną konsekwencją braku konkurencyjności jej gospodarki. Świat podlega głębokim przewartościowaniom. Trwa przebudowa układu geopolitycznego w skali globalnej. Walka ze zmianami klimatu, wielkie projekty rozwoju zielonej gospodarki uniezależniają Europę od rosyjskich surowców energetycznych. Zaatakowanie Ukrainy mogło być desperacką próbą wykorzystania jedynego atutu, jakim Kreml zdawał się dysponować – wojska. W siłę tej armii, intensywnie modernizowanej po wojnie w Gruzji w 2008 roku, wierzył zarówno Putin, jak i Zachód.

Ukraińcy sprawili niespodziankę – wszystkim, ale z pewnością najbardziej zaskoczony musiał być rosyjski przywódca. Nie spodziewał się, że od czasu wywołania wojny w Donbasie w 2014 roku siły zbroj-

ne Ukrainy przeszły tak skuteczną reorganizację. Że stała się ona armią zorganizowaną, wyszkoloną i dowodzoną w stylu NATO-wskim, a nie radzieckim. Nie docenił znaczenia morale obrońców, gotowych ginąć w obronie ojczyzny, bohaterstwa i patriotyzmu całego społeczeństwa. Zachodzące nad Dnieprem przeobrażenia zostały przeoczone lub niedocenione przez odpowiednie struktury i decydentów większego sąsiada. Zaatakowali w głębokim przekonaniu, że powtórzy się scenariusz sprzed ośmiu lat. To miała być szybka i łatwa operacja, zdobycie Kijowa, obsadzenie w nim swojego człowieka. Putin wpadł w pułapkę, jaką sam na siebie zastawił.

Dzięki ogromnej pomocy Zachodu – powiązanej z postawionymi warunkami służącymi poprawie ukraińskiego państwa, w każdym wymiarze: walki z korupcją, niezależności wymiaru sprawiedliwości, reform demokratycznych utrwalających system zdecentralizowanej władzy i tym podobne – szeroko otwierają się drzwi do pełnego zespolenia się ze strukturami euroatlantyckimi. Przystąpienie do Unii Europejskiej, a być może w przyszłości i do NATO, definitywnie przesądziłoby o miejscu Ukrainy w świecie. To państwo o przeogromnym potencjale intelektualnym, ma zdolności do produkcji kosmicznej, posiada poważne zasoby gazu, surowców niezbędnych dla gospodarki przyszłości i przemysłu 4.0, albo i 5.0, na przykład pierwiastków ziem rzadkich. Mogłoby też wyżywić cały kontynent.

To zespolenie bardzo by też zmieniło Europę i wspólnotę demokratyczną Zachodu. Oczywiście będzie musiała się zmienić Unia Europejska.

Jeśli tak się stanie byłaby to dla mnie, pewnie też dla Aleksandra Kwaśniewskiego i innych polityków naszej generacji, symboliczna klamra. Niepodległa, z wielkimi perspektywami Ukraina była zdefiniowanym celem polityki zagranicznej Rzeczypospolitej od kilkudziesięciu lat. W 1991 roku Polska, jako pierwsze państwo, uznała jej niepodległość. My także, od 1993 roku, kontynuowaliśmy tę strategiczną linię. Uważaliśmy ją za polską rację stanu. Byliśmy przekonani, że Ukraina będzie się rozwijać podobnie, jak nasz kraj. Robiliśmy wszystko, aby temu dopomóc.

Rozmowę przeprowadził Robert Smoleń

Zachód nie do końca rozumiał znaczenie Ukrainy dla bezpieczeństwa europejskiego

Wywiad z Valdasem Adamkusem

Panie prezydencie, które polityczne dylematy i decyzje z przełomu XX i XXI stulecia wywarły największy wpływ na kształt współczesnego krajobrazu politycznego?

Często wspominam ten przełomowy okres w historii. Dzisiejsza Europa w bardzo dużym stopniu została ukształtowana i jest definiowana przez to, co wydarzyło się w tamtych historycznych latach – 1988–1991. Narodziny Litewskiego Ruchu Niepodległościowego Sąjūdis w 1988 roku, zwycięstwo „Solidarności" w Polsce, upadek muru berlińskiego i zjednoczenie Niemiec w 1989 roku, proklamacja niepodległości Litwy w 1990 roku, upadek Związku Radzieckiego w grudniu 1991 roku – to wstrząsy tektoniczne, które zmieniły strukturę Europy i całego świata. U podstaw tych historycznych przemian leży jedna bardzo ważna idea – idea wolności. Przez długie dziesięciolecia okupacji niemieckiej i radzieckiej towarzyszyła nam, Litwinom, pamięć o naszej państwowości i niepodległości. Kierowaliśmy się i inspirowaliśmy także wartościami zachodnimi – Stanami Zjednoczonymi, demokratycznym, dostatnim i pokojowym przykładem Europy Zachodniej, polską „Solidarnością" i ponadprzeciętną osobowością papieża Jana Pawła II.

Na początku lat dziewięćdziesiątych zaczęła nabierać kształtów idea wolnej i pokojowej Europy. Szybko odrzuciliśmy koncepcję neutralności, mając pełną świadomość, że potrzeba nam ponownego pełnego włączenia się do europejskiej rodziny narodów. Szereg nowo niepodległych krajów europejskich zadeklarował zamiar przystąpienia do

NATO i Unii Europejskiej, naprawiając w ten sposób ponurą niesprawiedliwość wyrządzoną im w wyniku II wojny światowej. Zarówno partnerzy amerykańscy, jak i zachodnioeuropejscy przyjęli tę ideę i zapoczątkowali dwa równoległe procesy rozszerzenia NATO i UE.

Jakie widział pan główne cele polityczne niepodległej Litwy w tym czasie?

Dla Litwy imperatywem geostrategicznym stała się ścisła współpraca zarówno z USA, jak i z Polską.

W tym samym czasie narodziła się kolejna fundamentalna zasada – zasada dobrosąsiedzkich stosunków. Wszyscy na Litwie, podobnie jak w pozostałych krajach Europy Środkowej i Wschodniej, głęboko wierzyliśmy, że aby nowy układ europejski i transatlantycki był bardziej zrównoważony i aby uniknąć powtarzania błędów z przeszłości, potrzebne są dobre stosunki między ponownie niepodległymi narodami, między NATO a Rosją, między Unią Europejską a Rosją i tak dalej. Niestety, Rosja wybrała inną drogę – autokratyczne jarzmo w kraju, niesprowokowana agresja i niesprawiedliwa wojna za granicą. Zwiastuny tego ujrzeliśmy bardzo szybko – w Naddniestrzu, Abchazji, Osetii Południowej, potem znowu w 2008 roku w Gruzji, w 2014 roku na Krymie i w Donbasie, w 2015 roku w Syrii. Teraz, od 2022 roku, mamy brutalną wojnę szalejącą na Ukrainie, w Europie. Nie sposób zrozumieć i usprawiedliwić rosyjskich działań. Krwawa i barbarzyńska wojna rozpętana w Ukrainie, to niewyobrażalna rzeź i zniszczenie ukraińskich miast. To niemożliwe do pojęcia, jak ktoś może być tak okrutny i brutalny. Na litość boską, mamy XXI wiek!

Dzisiaj, niestety, te ponad trzydzieści lat naszych wspólnych wysiłków i współpracy w tworzeniu bardziej zjednoczonej, zamożnej, pokojowej i demokratycznej Europy, jest w wielkim niebezpieczeństwie. Jeśli nie powstrzymamy Putina, porządek europejski, porządek światowy może zostać zburzony.

Co pan sądzi na temat wyników rozszerzenia Unii Europejskiej na Wschód w 2004 roku, kiedy między innymi przystąpiły do niej Polska i Litwa? Nie uważa pan, że było to przedwczesne?

Dokładnie pamiętam rok 2004, to prawdziwie historyczny rok dla Europy i społeczności euroatlantyckiej. Mieliśmy rozszerzenie NATO,

jak i UE. Czasami marzenia się spełniają. Nasza odważna wizja strategiczna stała się rzeczywistością. Z pewnością była to jedna z najbardziej znaczących i śmiałych decyzji w historii UE. Trudno przecenić znaczenie tego członkostwa dla krajów takich jak Litwa – polityczne, gospodarcze, finansowe, społeczne, a nawet cywilizacyjne. To dosłownie jak powrót do domu po wielu latach przymusowego wygnania. Rozszerzenie przyniosło korzyści również tak zwanym „starym" członkom. Moim zdaniem to był prawdziwy sukces, sytuacja win-win. Wszyscy wygrali.

Od 2004 roku wspólnie przeżywaliśmy wiele kryzysów – kryzys finansowy z 2008 roku, rosyjską agresję na Gruzję w 2008 roku i na Ukrainę w 2014 roku, kryzys migracyjny z 2015 roku, wojnę Rosji z Ukrainą oraz kryzys energetyczny w tym roku. Nie sądzę, aby wszystkim tym wyzwaniom można było stawić czoła osobno. Musimy też pamiętać, że Unia Europejska jest przede wszystkim wspólnotą wartości. Praworządność, demokracja, prawa człowieka, poszanowanie godności ludzkiej – to określa Europę. Fundusze odbudowy, fundusze spójności i cała reszta, wynikają po prostu z tych podstaw.

W tym kontekście – jak obecnie widzi pan przyszłość UE i dalszej integracji europejskiej?

Moim zdaniem, które jest podzielane powszechnie na Litwie i w przeważającej większości innych krajów europejskich, Unia Europejska jako projekt pokoju i dobrobytu jest wielkim sukcesem. Po prostu nie ma dla niej realnej alternatywy. Albo Unia, albo chaos i niezgoda. Kolejne fale rozszerzania Unii postrzegam jako sukces polityczny i poszerzanie strefy stabilności, postępu i dobrobytu. Unia Europejska jest geopolitycznym domem Litwy. To także geopolityczny dom Polski. Jest równie istotny, a nawet kluczowy dla wszystkich dwudziestu siedmiu państw członkowskich. Unia jest światowym graczem, jeśli chodzi o handel, gospodarkę, pomoc rozwojową i prawa człowieka. Rozszerzenie Unii Europejskiej było i nadal jest prawdziwym sukcesem. Tylko razem jesteśmy w stanie konkurować i odnosić sukcesy na arenie światowej. Jesteśmy jednolitym rynkiem, obejmującym około czterysta pięćdziesiąt milionów ludzi. To brzmi poważnie i jest poważne – mamy znaczącą siłę regulacyjną, mamy znaczną siłę negocjacyjną. Jednak z perspektywy globalnej ten ogromny jednolity rynek

obejmuje mniej niż sześć procent całej światowej populacji. Niech pan sobie wyobrazi, że decydujemy się podążać własną drogą, każdy naród z osobna, proszę sobie wyobrazić Europę bez strefy Schengen, bez wspólnej waluty – czy chcemy żyć w takiej alternatywnej rzeczywistości? Chodzi mi o to, że UE jest po prostu koniecznością, zarówno politycznie, jak i gospodarczo. Uważam też, że nadszedł czas, aby Unia Europejska stała się wiarygodnym aktorem w innych dziedzinach polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, aby dorosła geopolitycznie. Obecnie dla Europy koniecznością geostrategiczną jest dorośnięcie i przyjęcie odpowiedzialności wraz z naszymi amerykańskimi przyjaciółmi i partnerami. Nie mogę tego mocniej podkreślić – Europa musi wzmocnić swoją siłę geopolityczną we współpracy z USA i NATO. Zaangażowanie Ameryki w Europie jest dziś ważniejsze niż kiedykolwiek, musimy wzmocnić więź transatlantycką. Aby to jednak osiągnąć, Europa musi poważnie podejść do własnego budżetu obronnego, inwestycji w zdolność do prowadzenia działań militarnych, podziału obciążeń w ramach NATO i tym podobne.

Od momentu powstania Unia Europejska wielokrotnie ewoluowała i definiowała się na nowo. Rozwinęła się, zreformowała, powiększyła i zmieniła swoje podstawy ustrojowe. Przeżywała liczne kryzysy i wychodziła z nich silniejsza i bardziej odporna. Niczego nie można jednak brać za pewnik. Obecnie Europa, Ameryka, cały świat stoją przed wieloma wyzwaniami geopolitycznymi. Potrzebujemy zarówno głębszej integracji europejskiej, jak i dalszego rozszerzenia Europy. Głęboko wierzę, że Ukraina należy do Europy. Droga może być długa i trudna, ale na jej końcu widzę Ukrainę wraz z Mołdawią, Gruzją i krajami Bałkanów Zachodnich jako pełnoprawnych członków Unii.

Jak ocenia pan politykę UE i NATO wobec Rosji na przełomie wieków i w chwili obecnej? A polityka w stosunku do Ukrainy? Jakie są pana prognozy dotyczące przyszłego miejsca Ukrainy w polityce UE i NATO?

W przeszłości Zachód popełnił wiele błędów i poszedł na zbyt wiele ustępstw wobec Rosji, co doprowadziło do wojny Rosji z Ukrainą. Dziś Zachód musi pozostać zjednoczony w poparciu dla Ukrainy i wyciągnąć wnioski z tej wojny, aby w przyszłości nie popełniać błędów w postrzeganiu Rosji. Moim zdaniem ciągłe gadanie o negocjacjach

z Rosją Putina jest oznaką słabości. Ważne jest, aby Zachód zdecydowanie stał na stanowisku, że jest to grabieżcza wojna Rosji, a Ukraina musi wygrać i odzyskać swoje terytoria.

Chciałbym również zauważyć, że przez dość długi czas myślenie strategiczne na Zachodzie było zdominowane przez zasadę „Rosja przede wszystkim", co oznacza, że wszystkie wysiłki na Zachodzie były koncentrowane na uspokojeniu wszelkich możliwych rosyjskich obaw, z niewielkim uwzględnieniem uzasadnionych interesów narodów leżących „pomiędzy" Zachodem a Rosją – Ukrainy, Mołdawii, Gruzji i innych. Ten brak równowagi przyniósł wiele katastrofalnych skutków, których jesteśmy świadkami dzisiaj.

Prawdopodobnie byliśmy zbyt naiwni, pokładając tak wielką wiarę w transformacyjną siłę współzależności handlowej, gospodarczej i energetycznej w stosunkach z Rosją. Stopniowo wszyscy uświadamiamy sobie, jak życzeniowe było nasze myślenie.

Przed tą brutalną wojną Zachód nie do końca rozumiał znaczenie Ukrainy dla bezpieczeństwa europejskiego. Ukraina była przez wielu postrzegana jako coś w rodzaju rosyjskiego podwórka lub w najlepszym razie szarej strefy. Spotykałem się ze zdziwieniem oraz irytacją w wielu zachodnich stolicach, ilekroć poruszałem kwestię Ukrainy. Na przykład w maju 2002 roku rozmawiałem w Berlinie z ówczesnym kanclerzem Niemiec Gerhardem Schröderem. Wiedzieliśmy już, że Litwa zostanie członkiem Unii Europejskiej, więc podziękowałem kanclerzowi za wsparcie, ale jednocześnie poprosiłem o wsparcie Ukrainy i jej aspiracji do członkostwa w Unii w przyszłości. Pamiętam jakby to było dzisiaj. Kanclerz powiedział zirytowanym tonem: „Trudno mi było przekonać Niemców do członkostwa krajów bałtyckich w Unii, a wy jednak naciskacie na tę Ukrainę. Zdecydowanie radzę wam zapomnieć i nie poruszać w ogóle kwestii Ukrainy, bo jeśli będziecie na to nalegać, również o waszym członkostwie może być trudno rozmawiać".

Teraz Ukraina stała się centralnym punktem polityki USA, UE, Wielkiej Brytanii, NATO. Musimy bronić ukraińskiej państwowości, suwerenności, integralności terytorialnej. Rosyjska agresja musi zostać powstrzymana. Obecnie musimy skoncentrować wszelkie niezbędne wysiłki militarne, finansowe, humanitarne i polityczne na samoobronie Ukrainy. To wyczerpujące zadanie, ale musimy zwyciężyć. Po wojnie będziemy musieli skupić się na odbudowie Ukrainy. To kolejne

gigantyczne zadanie, które będzie wymagało wielu lat i trwałych zobowiązań finansowych. Obecnie trzeba też pomyśleć o tym, jak zapewnić funkcjonowanie infrastruktury krytycznej Ukrainy – energii elektrycznej, wody, ogrzewania.

Podczas pańskiej kadencji jako prezydenta republiki, Litwa aktywnie promowała demokrację w byłych wschodnioeuropejskich republikach Związku Radzieckiego, w szczególności w Ukrainie. Jak pan ocenia przemiany w tych krajach od tego czasu?

Rzeczywiście, zawsze głęboko wierzyliśmy, że cała wspólnota euroatlantycka nie może czuć się bezpiecznie, dopóki nie dojdzie do pełnej transformacji polityczno-demokratycznej w krajach Partnerstwa Wschodniego. Udana transformacja polityczna z państwa poradzieckiego do społeczeństwa demokratycznego może zostać osiągnięta jedynie dzięki kompleksowym reformom gospodarczym i społecznym. Jak wszyscy wiemy, jest to bardzo bolesny proces. Ale zaniechanie tego jest znacznie bardziej kosztowne. Zarówno Litwa, jak i Polska przeszły reformy, mając perspektywę członkostwa w UE i NATO. Tę samą zasadę należy zastosować wobec Ukrainy, Mołdawii, Gruzji i Bałkanów Zachodnich. Musimy w pełni zrealizować projekt jednej, wolnej i pokojowej Europy, tworząc w naszym wschodnim i południowym sąsiedztwie obszar stabilności, bezpieczeństwa i dobrobytu. W przeciwnym razie ten obszar stanie w ogniu.

Momentem przełomowym dla dziejów naszej części Europy stała się tak zwana pomarańczowa rewolucja w Ukrainie.

Pamiętam siebie i prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego w Kijowie w 2004 roku, kiedy staliśmy u boku Ukraińców i prezydenta Juszczenki w ich obronie podczas pomarańczowej rewolucji. Swoją drogą, już wtedy w Kijowie odniosłem wrażenie, że Moskwa bardzo starała się utrudnić rozwiązanie kryzysu i była to całkiem brutalna ingerencja. W tamtym czasie nie byliśmy nawet w stanie w pełni pojąć, jak złowrogie i dalekosiężne były rosyjskie plany wobec Ukrainy. Cieszę się, że udało nam się w tym czasie znaleźć wyjście, które dało Ukrainie trochę czasu na regenerację.

Od 2004 roku, kiedy wszystko się zaczęło dla Ukrainy, przebyliśmy daleką podróż. Od tego czasu kraj bardzo szybko się zmienia. Moim zdaniem, jego największym dotychczasowym osiągnięciem

i największą siłą, było niewątpliwie ukraińskie społeczeństwo obywatelskie – wolne, demokratyczne, rozwijające się i pragnące, aby jego ojczyzna stała się częścią Europy. Jestem pod ogromnym wrażeniem narodu ukraińskiego. Oczywiście od 24 lutego 2022 roku Ukraińcy pokazują, kim naprawdę są, z jakiej gliny są ulepieni. Nie można tego po prostu odrzucić jako aberracji historycznej lub czegoś w tym rodzaju. Ukraina to Europa. Teraz naszym zadaniem jest pomóc Ukrainie wygrać wojnę. Po wojnie – odbudowa. Kolejnym wielkim wyzwaniem, z którym będziemy musieli się zmierzyć, jest korupcja. Sukces w walce z korupcją jest kluczem do ostatecznej transformacji politycznej i gospodarczej Ukrainy. Putin doskonale o tym wie i czuje się zagrożony sukcesem Ukrainy. Fakt, że zaatakował Ukrainę w 2014 roku i rozpoczął kolejną wojnę, jest prawdopodobnie najlepszym dowodem na to, jaki sukces odniosła demokratyczna Ukraina.

Niedawno Ukrainie przyznano status kandydata do Unii Europejskiej. Rozpoczęły się rozmowy akcesyjne. Jak pan widzi europejskie perspektywy tego kraju?

Ukraina musi być członkiem Unii Europejskiej i NATO. Cieszę się, że stanowisko Litwy zawsze było konsekwentne, a Litwa zawsze była jednym z państw najmocniej wspierających Ukrainę. Coś panu powiem. Kiedy w 1999 roku stwierdziłem publicznie, że Litwa wejdzie do NATO, niewielu wierzyło, że jest to możliwe. Moim zdaniem Ukraina musi przystąpić zarówno do Unii Europejskiej, jak i do NATO. Ukraińcy wielokrotnie udowodnili, że należą do euroatlantyckiej rodziny. Stanowisko Litwy zawsze było w tej kwestii jasne – na szczycie NATO w Bukareszcie w 2008 roku musiałem osobiście przekonywać niektórych przywódców innych krajów NATO do wzmocnienia wymowy deklaracji Sojuszu w sprawie perspektywy członkostwa Ukrainy, a także Gruzji, w NATO.

Europa i cały demokratyczny świat muszą dziś mówić jednym głosem. Historia uczy nas, że podziały w Europie zawsze rodziły poważne problemy i prowadziły do wybuchu wojen światowych. To prawdziwe nieszczęście, że nawet dzisiaj są państwa europejskie, które wspierają Putina. Wartości i zasady, dla których Europa i cały świat dokonały wielkich poświęceń, powinny być szanowane, a błędy nie mogą się powtarzać. Dlatego jedność europejska ma kluczowe znaczenie.

Opracował Jonas Grinevicius
Tłumaczenie Arkadiusz Czerwiński

W Europie nie ma teraz narodu bardziej europejskiego duchem, niż nasz

Wywiad z Leonidem Kuczmą

Co było najważniejszego w latach dziewięćdziesiątych XX wieku dla ukształtowania się krajobrazu politycznego XXI wieku?

Najważniejszym wydarzeniem lat dziewięćdziesiątych była dla mnie oczywiście niepodległość Ukrainy i to ona ostatecznie uczyniła nieuniknionym kolejny proces tektoniczny – upadek ZSRR i niepodległość byłych republik radzieckich. To położyło podwaliny pod współczesną Europę. W obecnym kształcie pojawiła się ona w 1993 roku, wraz z wejściem w życie traktatu o Unii Europejskiej z Maastricht.

Równie ważne jest to, że w tamtej dekadzie Europa rozpoczęła powrót na Wschód. Dawne komunistyczne autokracje obozu sowieckiego weszły na drogę budowania demokratycznych, humanistycznych, tolerancyjnych społeczeństw. Mam nadzieję, że będzie to nieodwracalne, choć rozwój sytuacji w Rosji budzi wątpliwości i ogromne obawy... Coś z lat dziewięćdziesiątych, co dawało wielką nadzieję, niestety się nie ziściło. Mam na myśli demokratyczne i rynkowe reformy w Rosji. Nie doszło też do światowego rozbrojenia i zbliżenia Zachodu i Rosji, co zaczynało się podczas prezydentury Borysa Jelcyna. Wszystko to zostało zniszczone przez jego własną decyzję, podjętą w ostatnich godzinach 1999 roku, kiedy ogłosił Władimira Putina swoim następcą. Niestety, jeśli jakiś czynnik pochodzący z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku naprawdę ma znaczący negatywny wpływ na obecne czasy, to nazywa się on Putin.

Mógłbym długo wymieniać te decydujące o naszej teraźniejszości wydarzenia i procesy ostatnich lat XX wieku. Nawiasem mówiąc, nie wszystkie z nich były polityczne: uważam, że „rewolucja cyfrowa", technologie komunikacyjne i medialne, które dosłownie spowodowały „Wielki Wybuch" w latach dziewięćdziesiątych, stworzyły nową jakość kontroli społecznej nad życiem politycznym i zaangażowania obywatelskiego.

Gdzie są przyczyny braku konsekwencji polityki Zachodu wobec Ukrainy i Rosji w ciągu ostatnich dekad?

Jeśli chodzi o politykę wschodnią, to mamy w istocie do czynienia z dwoma różnymi sojuszami północnoatlantyckimi. I dwiema różnymi uniami europejskimi. Proszę sobie przypomnieć, że do połowy lat dziewięćdziesiątych nie było strefy Schengen. Do 2002 roku nie było euro. Unia Europejska nie prowadziła własnej polityki zagranicznej. Jeśli chodzi o NATO, to wtedy sojusz po prostu nie rozumiał, czym jest teraz i co ma robić. Nawiasem mówiąc, wynikiem tej niepewności był głęboki kryzys wojskowego komponentu organizacji, tak oczywisty w obecnych czasach. Niezwykle ważne było, aby NATO „obudziło się" i przypomniało sobie, dlaczego powstało – by chronić wartości wolnego świata przed militarnym zagrożeniem ze strony reżimów totalitarnych.

Byłem zwolennikiem członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej i NATO w latach dziewięćdziesiątych, jestem za tym i teraz. Ale znowu, z różnych powodów. W latach dziewięćdziesiątych dla prawie wszystkich postkomunistycznych państw Europy, Unia Europejska była tak zwanym „klubem cywilizowanych państw", do których trzeba było się dołączyć, aby uzyskać zarówno standardy pomyślnego rozwoju, jak i pomoc. Na NATO, może z wyjątkiem Polski i krajów bałtyckich, które już wtedy ostrzegały przed potencjalnym zagrożeniem ze strony rosyjskiego imperializmu, z kolei my patrzyliśmy jako na rodzaj „bramy" w drodze do Unii Europejskiej. Kiedy wraz z Radą Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony podejmowałem decyzję o członkostwie Ukrainy w NATO jako celu strategicznego na 2002 rok, nadal w dużej mierze wierzyłem, że Sojusz jest tak zwaną „przepustką do Europy". Ale od 2014 roku – a przede wszystkim od 24 lutego 2022 roku – wiem, że jest to wspólna „twierdza cywilizacji".

Mówię o ewolucji mojej postawy wobec NATO i UE tylko po to, by podkreślić tę samą ewolucję w stosunku instytucji europejskich i euroatlantyckich do Ukrainy. Tutaj różnica między końcem lat dziewięćdziesiątych a teraźniejszością jest zasadnicza. A najbardziej retorykę europejskich polityków wobec Ukrainy zmieniła wojna. Dotyczy to nawet tych, którzy tak długo wzywali Zachód do uznania nas za rodzaj „strefy interesów" Kremla i udawali, że nie rozumieją prostej rzeczy: Ukraina to nie Rosja. Nasz opór sprawił, że nasza podmiotowość stała się oczywista dla wszystkich. Czy można uwierzyć w to, że Rosja próbuje zniszczyć ludzi, podobnych do siebie w tak okrutny sposób? Dzisiaj obalamy mit nie tylko o wielkiej armii rosyjskiej, ale także o jakiejś wielkiej Rosji. Która podobno jest większa, niż jest na politycznej mapie świata.

W 1997 roku NATO podpisało ważne traktaty z Ukrainą i Rosją. Dla Ukrainy była to Karta szczególnego partnerstwa z NATO, którą miałem zaszczyt podpisać w Madrycie, dla Rosji – Akt Stanowiący o Wzajemnych Stosunkach, Współpracy i Bezpieczeństwie między NATO i Rosją. Oznacza to, że warunki wyjściowe współpracy z NATO dla obu krajów były mniej więcej porównywalne. Co więcej, format współpracy z Moskwą był jeszcze głębszy, następnie otrzymała ona status „partnera strategicznego" sojuszu. Ale dwadzieścia lat później w Madrycie odbył się kolejny szczyt NATO[1], na którym stwierdza się, że „silna i niezależna Ukraina jest kluczem do stabilności wspólnoty euroatlantyckiej", podczas gdy Rosja została uznawana za najpoważniejsze i najbardziej bezpośrednie zagrożenie dla sojuszu. Co więcej można tu dodać?

Czy wierzy pan, że Sojusz naprawdę potrzebuje obecnie Ukrainy?

Bezwzględnie! Ale w tym jest paradoks i pewna sprzeczność. Nasza euroatlantycka perspektywa zależy od tego, co dominuje w samym Sojuszu, jakiego typu myślenie – taktyczne czy strategiczne. Ukraina to ogromne wyzwanie, którego Sojusz wciąż nie ośmiela się podjąć, chociaż czas już nie czeka. Ukraina byłaby najcenniejszym nabytkiem dla niektórych członków NATO. Ale dla innych – najbardziej ryzykownym. Z jednej strony, biorąc pod uwagę nasze unikalne doświadczenie, położenie geograficzne i zdolności militarne, jesteśmy o wiele bardziej potrzebni NATO, niż niektórzy z jego członków. To nie przesada.

Z drugiej strony – niektóre państwa członkowskie NATO żywią obawy, zdając sobie sprawę z patologicznej obsesji na punkcie Ukrainy ze strony Kremla i Putina.

Myślę, że wszyscy rozumieją to, że akceptując Ukrainę, NATO wzmocni się bardzo. Ale sama wojna w tych warunkach staje się bardziej możliwa – tak przynajmniej myślą ci, którzy są przyzwyczajeni do strachu przed szantażem Putina. Oczywiście, ja tak nie uważam. Jestem pewien, że Ukraina w NATO jest instrumentem strategicznego odstraszania Kremla. Ale będziemy musieli jeszcze wielu w tym przekonać.

Jak widzi pan przyszłość Unii Europejskiej i dalszej integracji europejskiej?

Zacznę od najważniejszej rzeczy dla siebie i dla moich współobywateli. Integracja europejska ma realne znaczenie i perspektywę tylko wtedy, gdy Ukraina stanie się członkiem Unii Europejskiej.

Nie jest to przejaw narodowego egoizmu czy przeceniania własnej roli. Tylko zrozumienie, że Unia Europejska może być tak skuteczna, jak jest to możliwe tylko wtedy, jeśli zajmie największą przestrzeń, gdzie będą najbardziej rozbudowane łańcuchy produkcyjne, sieci transportowe i energetyczne, najbardziej dochodowe obszary rolne, najbardziej obiecujące zdolności tranzytowe, w tym wybrzeża morskie. Ale wszystkie kraje w jednej przestrzeni geograficznej Europy powinny być nie tylko zintegrowane gospodarczo, ale także w wymiarze kulturowym, politycznym oraz wartości.

„Szare strefy", zarówno na zewnętrznych granicach UE, jak i wewnątrz Unii w postaci enklaw, we współczesnych warunkach są podatne na zagrożenia. Aby uporządkować przestrzeń polityczną, Rosja zawsze będzie próbowała je zaatakować.

Członkostwo Ukrainy w Unii Europejskiej jest najważniejszym czynnikiem dla jej przyszłej stabilności, bardzo ważna jest również europejska perspektywa dla Mołdawii i Bałkanów Zachodnich: Serbii, Czarnogóry, Macedonii Północnej, Bośni i Hercegowiny. Proszę też zwrócić uwagę na to, że w prawie wszystkich tych krajach, ze względu na ich niepewność w wymiarze geopolitycznym i wartości, istnieje groźba rewanżu sił antyeuropejskich. To, co umknie z oczu Brukseli, przygarnie Moskwa. Nawiasem mówiąc, dlatego nadal chciałbym wie-

rzyć, że w końcu, po ostatecznym wybraniu wartości europejskich, Turcja również zostanie członkiem wspólnoty europejskiej.

Kolejne zagrożenie dla stabilności Unii Europejskiej widzę w zasadzie jednomyślności głosowania. Hybrydowa geopolityka pozwala Kremlowi postawić na czele jednego z państw jakiegoś skorumpowanego lub zwerbowanego polityka, aby spowolnić lub storpedować najważniejsze decyzje w UE, niszcząc system wartości i strukturę bezpieczeństwa całego Zachodu. Kiedy na początku integracji europejskiej było tylko sześć krajów członkowskich, każdy z nich był przejrzysty i zrozumiały, a działania jednego z zachodnich przywódców w interesie Moskwy nie można było sobie wyobrazić – wtedy ta zasada była kluczem do jedności i kompromisu. Ale dziś jest to czynnik ryzyka i potencjalnego zagrożenia.

To jest swoistym zaproszeniem dla Moskwy, aby rzuciła wszystkie swoje zasoby na osłabienie jednego ogniwa i tym samym przełamała europejską obronę w jednym kierunku, zdobywając przewagę strategiczną. Jak widać, wojna jest nie tylko kontynuacją polityki, ale także jej lustrem.

Czy proces integracji Ukrainy z Unią Europejską ma szansę zakończyć się sukcesem?

Mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że w Europie nie ma teraz narodu bardziej europejskiego duchem, niż nasz. Wśród Ukraińców w rzeczywistości nie ma eurosceptyków, których, jak wiadomo, jest wystarczająco w każdym z krajów UE. Ukraińcy w pełni udowodnili, że są wierni wolności, demokracji i podstawowym wartościom europejskim. I zapłacili za to cenę, której na szczęście nie musiał płacić żaden z krajów UE. Jest nią cierpienie najsłabszych, życie najlepszych, zniszczenie najdroższego, łzy i krew.

Jestem przekonany, że Ukraina będzie członkiem Unii Europejskiej, bo Unia potrzebuje Ukrainy. Po wejściu do UE znacznie zwiększymy jej potencjał i konkurencyjność, i to w różnych dziedzinach. Sama natura zapewniła nam unikalne zasoby i możliwości logistyczne, które są w stanie ostatecznie złożyć puzzle zwane „europejską przestrzenią". Nasi ludzie są wykształceni, wykwalifikowani, pracowici – właściwie już należą do wspólnoty europejskiej kulturowo i mentalnie.

Odbudowa zniszczonych przez rosyjskich barbarzyńców miast jest niezwykle dużym i obiecującym wyzwaniem, które może dać potężny impuls gospodarce i biznesowi w całej Unii Europejskiej.

Jak ocenia pan proces reform na Ukrainie? Jakie są, pana zdaniem, największe osiągnięcia, a czego jeszcze na tym etapie brakuje?

To zbyt szerokie pytanie. Tylko ja poświęciłem dziesięć lat mojej prezydentury na całkowitą reformę wszystkich sfer życia Ukrainy. Następnie każda nowa administracja uruchomiła własny mechanizm reform. Dlatego analiza, jak przebiegał ten proces w ciągu trzech dekad, nie jest zadaniem na krótką odpowiedź podczas wywiadu, lecz na duże badanie naukowe.

Jeszcze trudniej jest odpowiedzieć na to pytanie teraz, kiedy prawie wszystkie procesy w moim kraju są zdeterminowane przez wojnę i kiedy nikt nie wie, co stanie się nawet jutro. Wojna zamienia każdy program reform na cząstki projektów, prognoz i priorytetów. Pamiętam, jak wiele nadziei wiązaliśmy z projektem Wielkiej Budowy, który miał radykalnie polepszyć infrastrukturę Ukrainy – ale wielka praca, prowadzona przez lata na Wschodzie i Południu, w rezultacie rosyjskiej inwazji przekształciła się w ruinę. I odwrotnie: pamiętam, jak wszyscy żartowali z ambitnego projektu ministerstwa cyfryzacji „Państwo w smartfonie". A dzisiaj, liczne usługi komunikacyjne, informacyjne i cyfrowe pomagają naszym obywatelom otrzymywać ważne informacje, od których często zależy ich życie – w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Przewidywanie reform dzisiaj – to planowanie remontu i zamiany instalacji w domu, który jest pod ostrzałem wroga. Najpierw trzeba zrobić tak, aby nas przestali ostrzeliwać. Następnie należy ocenić zniszczenia. I dopiero wtedy coś proponować. Przez jakiś czas na pierwszym planie będą nie reformy, tylko odbudowa. Z jednej strony, jest to dobra okazja. Historia pokazuje, że nowoczesne techno-państwo można zbudować od zera nawet w pustyni, jak zrobił to Izrael.

Ale ja nie chcę, by Ukraina została pustynią. Chcę, aby okupanci zostali wyrzuceni z naszej ziemi tak szybko, jak jest to możliwe. Dlatego na koniec odpowiem na to pytanie w następujący sposób: do tego, aby skutecznie przeprowadzić reformy na Ukrainie potrzebujemy przede wszystkim broni. Po drugie – broni. I po trzecie – także broni. Naj-

ważniejszą reformą, która ma zostać przeprowadzona na wyzwolonej Ukrainie ma być stworzenie najnowszego przemysłu wojskowego, a główną rolę w tym powinni odgrywać ukraińscy specjaliści przemysłu zbrojeniowego, unikalni pod względem doświadczenia i potencjału. Oni byli gotowi zaoferować państwu swoje osiągnięcia jeszcze przed rozpoczęciem wojny, a dziś są gotowi do pracy z potrójną siłą. Będąc osobą, która poświęciła jedną trzecią swojego życia technologiom wojskowym i kosmicznym, wiem, o czym mówię.

Jak ocenia pan rozwój stosunków polsko-ukraińskich w minionych dziesięcioleciach?

W tym historycznym okresie przeszliśmy długą drogę ku sobie. To nie przypadek, że we wszystkich sondażach Ukraińcy niezmiennie wymieniali Polskę wśród najbardziej przyjaznych państw. Nie tylko w Kijowie, ale dosłownie na całym kontynencie Polska była nazywana „adwokatem Ukrainy w Europie". Cieszę się, że to właśnie za mojej prezydentury położono podwaliny pod najściślejszą współpracę gospodarczą, polityczną i wojskową naszych państw.

To wszystko jest ważne i oczywiste. Proszę pozwolić, że podejdę do tej kwestii z innej strony. Przez pewien czas po uzyskaniu niepodległości naród ukraiński był tak czy inaczej podzielony. Dzielił nas język, którym się posługujemy na co dzień, religia, preferencje kulturowe i różnice regionalne. Te konflikty, drugorzędne w istocie, ale bardzo wrażliwe emocjonalnie, były celowo podsycane przez Moskwę. Dopiero rosyjska inwazja na nasz kraj odsunęła te wszystkie podziały. Straszne wyzwanie, które zagraża samemu istnieniu naszego narodu, połączyło go. Wspólny wróg zjednoczył nasz naród.

O czymś takim możemy mówić i w odniesieniu do naszych relacji z Polakami od początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Oczywiście, oprócz osiągnięć, mieliśmy również odmienne punkty widzenia. Dotyczyły one przede wszystkim stosunku do historycznej przeszłości. Te podziały również były celowo prowokowane i podsycane przez Rosję. Wołyń, UPA, cmentarz Orląt Lwowskich, inne nieporozumienia z jeszcze dawniejszych czasów... Ja, wraz z moim prawdziwym przyjacielem Aleksandrem Kwaśniewskim, staraliśmy się zrobić wszystko, co możliwe dla pojednania i pełnego porozumienia naszych narodów.

Coś wyszło lepiej, coś gorzej. Zmieniały się administracje, dorastały pokolenia, mijał czas, ale spory dotyczące przeszłości pozostały. Wraz z agresją Putina, te sprzeczności w jednym momencie odeszły nawet nie na drugi, a na jeszcze dalszy plan.

Nie wiem, czy można znaleźć słowa, aby wyrazić naszą wdzięczność tym państwom i tym narodom, które były z nami od pierwszych godzin tej barbarzyńskiej inwazji. Nigdy nie zapomnimy pomocy polskiego rządu – naprawdę nieocenionej. Nigdy nie zapomnimy gościnności Polaków – prawdziwie braterskiej.

Tłumaczenie Krystyna Vlodek

[1] 35. szczyt NATO odbył się w Madrycie, w dniach 29–30 czerwca 2022 roku (przyp. red.).

Nasza pomarańczowa rewolucja zaczęła się od pragnienia wolności i demokracji

Rozmowa z Wiktorem Juszczenką

Czy pana zdaniem w ponad trzydziestoletniej historii niepodległej Ukrainy istniała kiedykolwiek szansa na ustanowienie normalnego partnerstwa w relacjach ukraińsko-rosyjskich?

Relacje ukraińsko-rosyjskie mają dużo więcej niż trzydzieści lat. Ukraina stała się pierwszą kolonią Rosji trzysta siedemdziesiąt lat temu. Była największą jej kolonią. Przez te 370 lat mieliśmy bardzo trudne relacje. Rosja tłumiła przejawy ukraińskości i świadomości narodowej. Język ukraiński był zakazywany ponad 170 razy. Chodziło o to, by podzielić nasz naród na ukraińsko- i rosyjskojęzycznych.

Pierwszy prezydent Ukrainy Leonid Krawczuk opowiedział mi kiedyś o rozmowie, którą odbył z Jelcynem w 1991 lub 1992 roku, kiedy nasz kraj formalnie uzyskał niepodległość. W tym czasie Rosja miała trudną sytuację wewnętrzną i skomplikowane stosunki zewnętrzne. Mimo to, Jelcyn zapytał wtedy Krawczuka, czy ten naprawdę wierzy, że ukraińska niepodległość przetrwa przez co najmniej kilka miesięcy. Z jego strony to wyglądało jako pewien sarkazm: Czy uświadamiacie sobie za co się bierzecie? Nigdy wam się nie uda.

Nasze stosunki z Rosją już od samego początku wskazywały na kontynuację prób kolonizacji naszego kraju. Pod każdym względem. W pierwszej dekadzie niepodległości dominacja Rosji pogłębiała się. W tamtym czasie nie było jeszcze idei „ruskiego miru", ale Kreml

aktywnie dążył do przywrócenia swojej dominacji w przestrzeni poradzieckiej.

Rosjanie mieli dwa narzędzia. Pierwszym była ropa i gaz, ściślej mówiąc, cała ich polityka energetyczna. Pod względem bezpieczeństwa energetycznego nasz kraj był bardzo słaby i zależny od Rosji. Na przykład, wszystkie nasze elektrownie jądrowe były zasilane ich paliwem. Sektor energetyczny był źródłem rosyjskiej korupcji, dzięki której finansowano „piątą kolumnę". To było ich drugie narzędzie. Tworzono enklawy, zwłaszcza na wschodzie Ukrainy. Jeśli spojrzymy na pierwsze dziesięć lat, to w naszym parlamencie nigdy nie było proukraińskiej większości. W takich uwarunkowaniach pracowali zarówno prezydent Krawczuk, jak i prezydent Kuczma. Kiedy w 2004 roku demokratyczna opozycja odniosła zwycięstwo, jako nowy prezydent, również nie miałem większości parlamentarnej.

Zdecydowałem jednak wtedy, że to najlepszy czas na odejście od polityki prorosyjskiej na rzecz proeuropejskiej. Nie było to łatwe. Większość mediów pracowała na prorosyjskie grupy interesów. Udało mi się jednak przed wyborami zebrać kilkanaście partii i inicjatyw obywatelskich – przedstawicieli sił liberalnych i demokratycznych. Postawiliśmy sobie za zadanie odwrócenie polityki kraju o sto osiemdziesiąt stopni. To było trudne. Wygrana niewielką przewagą nie oznaczała radykalnej zmiany w społeczeństwie, a raczej stwarzała potrzebę ciągłego balansowania. Była to codzienna praca, ze zmieniającą się dynamiką. W 2005 roku tylko 14 procent obywateli poparło deklarację przystąpienia do UE i NATO. Ostatecznie doszliśmy do punktu, w którym po dwóch i pół roku pracy 31 procent obywateli popierało euroatlantycką politykę bezpieczeństwa. Tych, którzy byli przeciwni, było 29 procent. W 2007 roku liczba zwolenników integracji z UE wynosiła 43–47 procent.

W polityce wewnętrznej musieliśmy przekonać miliony ludzi i zaszczepić im wartości demokracji i wolności, chociaż często nasza polityka była postrzegana jako przejaw słabości. W tamtym czasie społeczeństwo bardziej popierało ideę tak zwanej „silnej ręki", która mogłaby uporządkować wszystkie sfery życia. Przekonaliśmy jednak ludzi, że demokracja i wolność niosą ze sobą prawo i sprawiedliwość. Ogólnie rzecz biorąc, zmiana koncepcji nowej polityki wewnętrznej i zagranicznej oraz przekonania do tego ludzi zajęła nam trzy-cztery lata. Dziś

mam satysfakcję z powodu tych osiągnięć. Nikt już później nie zaryzykował zawrócenia kraju na prorosyjską ścieżkę.

Czy strategiczne partnerstwo Polski i Ukrainy za prezydentury Leonida Kuczmy oraz pana współpraca z kolejnymi polskimi prezydentami – Aleksandrem Kwaśniewskim i Lechem Kaczyńskim, miały wpływ na tę ewolucję postrzegania międzynarodowego otoczenia Ukrainy przez obywateli waszego kraju?

Rzeczywiście, w tamtym czasie Polska była największym partnerem Ukrainy w Europie. Mam na myśli prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, z którym współpracowaliśmy jeszcze wcześniej, gdy byłem premierem. Kiedyś powiedziałem Putinowi, gdy nasza rozmowa zeszła na ten temat, że pomimo naszych skomplikowanych relacji z Polską na przestrzeni wieków, polskie i ukraińskie elity doszły do zrozumienia, że powinniśmy wspólnie przyjąć deklarację, przeprosić za wydarzenia historyczne, uścisnąć sobie ręce i wspólnie pracować nad przyszłymi zadaniami. To jest ta polityka, która odpowiada naszemu narodowemu interesowi. I możemy pokazać Europie strategię budowania wspólnych relacji. Szczerze mówiąc, także budując argumenty na temat koncepcji rozwoju społecznego i gospodarczego najczęściej posługuję się przykładem Polski.

Dlaczego przykład sukcesu polskich reform nie zadziałał w praktyce? Czy zdecydowały o tym przyczyny subiektywne, czy obiektywne? Przecież ich sukces mógłby zagwarantować większą siłę wewnętrzną Ukrainy. Dlaczego reformy gospodarcze nie powiodły się u was w takim stopniu jak to miało miejsce w Polsce?

Z zawodu jestem finansistą i ekonomistą. Ale nie chciałbym w odpowiedzi na to pytanie mówić o transformacji gospodarczej. Kiedy dokonuje się oceny politycznej, to widać, że wszystkie sukcesy, zarówno gospodarcze, jak i w dziedzinie bezpieczeństwa, opierają się na idei narodowej. Polacy nie tylko zawsze czuli się narodem, ale przede wszystkim stworzyli nowoczesny naród. Polacy historycznie nie postrzegają siebie jako byłej kolonii niemieckiej czy rosyjskiej – choć byli częścią obu państw – i żadne „ponowne zjednoczenie" nie jest możliwe. Jako zjednoczony naród Polacy nie reagują na zewnętrzne prowokacje,

tak jak Ukraińcy na przykład w kwestiach językowych. A na pytanie „co za różnica?" należy odpowiedzieć jednoznacznie, że wspólny język i kultura wszystko sklejają w całość. A będąc całością, jesteś gotowy na wszelkie wyzwania, jesteś gotowy na wszelkie reformy i na wszelki opór. Ja zawsze byłem pozytywnie zazdrosny o to, jak w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat udało się wam Polakom dojść do narodowej świadomości, poczucia własnej wartości, co stworzyło podstawy dla wizji tego, dokąd należy zmierzać dalej.

My nie mieliśmy takiego samego dążenia do reform jak w Polsce, gdzie były one popierane przez opinię publiczną, reprezentowane przez nowoczesny ruch społeczny i przez partie polityczne, które nie miały chęci, by wrócić do Związku Radzieckiego. W Ukrainie siły lewicowe, komuniści lub socjaliści, którzy właściwie też byli komunistami, tak czy inaczej były odpowiedzialne za rządy. Także nieoficjalnie, poprzez rosyjskie wpływy na najwyższych szczeblach władzy. Za czasów Leonida Krawczuka i Leonida Kuczmy byliśmy krajem z systemem prezydenckim, gdzie władza była skoncentrowana w jednych rękach i od prezydenta zależał skład rządu. Ale przez długi czas utrzymywał się ogromny wpływ sił politycznych i biznesowych zorientowanych na Rosję. Nie było demokratycznej większości w parlamencie, która była niezbędna do przeprowadzenia tych reform. Była większość administracyjna stworzona różnymi metodami, w tym poprzez zastraszanie. To byli najemnicy. Więc o jakich reformach może być mowa?

Dlatego nie było możliwości zreformowania strategicznych gałęzi przemysłu, takich jak gazowy, chemiczny, rafineryjny, przetwórczy czy innych. Wszystkie one opierały się na rynku rosyjskim lub działały z otwartą preferencją dla Rosjan. Należy pamiętać, że w tamtym czasie kraj kupował 71 miliardów metrów sześciennych gazu z Rosji.

I uważa pan, że to były stracone lata?

Z perspektywy czasu, nie odważyłbym się powiedzieć, że lata dziewięćdziesiąte były stracone. Oczywiście, z punktu widzenia historii i późniejszych wydarzeń chcielibyśmy, żeby polityka ukraińska, w tym – wewnętrzna, była bardziej skuteczna. Ale musimy wziąć pod uwagę poziom wsparcia, jakie mieliśmy w społeczeństwie dla sił reformatorskich. Nasz ówczesny pierwszy wicepremier Wiktor Pynzenyk to jeden z najmądrzejszych ludzi, świetny minister finansów, człowiek, który ro-

zumiał reformy, w tym reformę fiskalną i monetarną. Więc wiedzy nam nie brakowało. Często politycy, wywodzący się z dawnej nomenklatury, śmiali się z nas, bo my reformatorzy nie byliśmy wcześniej dyrektorami wielkich przedsiębiorstw i jakoby nie rozumieliśmy ukraińskiej gospodarki. Utrzymywali nas w rządzie, w instytucjach finansowych, powiedziałbym – w celach wizerunkowych. A my, przeprowadzając reformy, „ciągnęliśmy diabła za ogon". Dwie trzecie naszych propozycji odrzucano.

Przez wiele lat na Zachodzie uważano, że należy być cierpliwym i wyrozumiałym wobec Rosji. Jaki błąd popełniła Europa? Czego nie doceniła?

Prędzej czy później, musimy odpowiadać na takie pytania. Jak to się stało, że w ciągu ostatnich piętnastu–siedemnastu lat pojawił się *putinizm*, odmiana agresywnego faszyzmu? Jak mogło do tego dojść, że stały członek Rady Bezpieczeństwa ONZ może prowadzić wojnę w Abchazji, Osetii, na Krymie, w Naddniestrzu, Donbasie i prowadzić pełnowymiarową wojnę z Ukrainą? Jak możemy dać temu krajowi prawo weta, gdy klonuje on terroryzm, agresję i okupację? Prędzej czy później musimy przyznać, że to dzięki polityce europejskiej *putinizm* rozprzestrzenił się nie tylko na Rosję, ale także na część Europy. Mam na myśli stosunki rosyjsko-niemieckie i sytuację na europejskim rynku energetycznym w ciągu ostatnich dziesięciu–dwudziestu pięciu lat.

Przypominam sobie konferencję w Monachium w 2007 roku, kiedy Putin wystąpił z bezczelną retoryką i po raz pierwszy ogłosił podstawy obecnej polityki rosyjskiej. Chyba ze wszystkich krajów Zachodu, to Niemcom najtrudniej było otworzyć oczy na tę zmianę. Półtora miesiąca później firmy z Niemiec, Francji i Gazprom podpisały umowę Nord Stream 1. A zaraz potem, Putin dokonuje inwazji na Gruzję. Następnie Rosja, robiąc „prezent" dla swoich strategicznych partnerów, zawarła największy kontrakt na dostawy gazu do Europy od czasów Breżniewa. Sześć lat później sytuacja się powtarza. Rosja anektuje Krym i Donbas, a półtora miesiąca później podpisuje umowę w sprawie Nord Stream 2.

Angela Merkel twierdziła, że to nie polityka, tylko handel. To wstyd, gdy były kanclerz Gerhard Schröder idzie pracować dla Gazpromu. W Bukareszcie w 2008 roku, podczas szczytu NATO, rozmawiałem z Angelą Merkel i Nicolasem Sarkozym i zdałem sobie sprawę,

że rosyjskie wpływy są znacznie silniejsze, niż zainteresowanie Europy zmianą statusu bezpieczeństwa dla Ukrainy czy Gruzji. Odmówiono nam perspektywy członkostwa w NATO. Putin zinterpretował tę odmowę jako „zaproszenie" do agresji. Po bezkarnej inwazji na Gruzję Putin zdał sobie sprawę, że może kontynuować politykę anektowania terytoriów. W latach 2013–2014 Putin doszedł do brutalnej części swojej polityki. I znów po aneksji Krymu nie było żadnej reakcji ze strony społeczności międzynarodowej. Podobnie jak po aneksji Donbasu.

W pewnym momencie Zachód nie wysuwał żadnych żądań dotyczących rosyjskiej demokracji, wolności słowa. Reżim Putina ustanowił swój porządek, naruszając rosyjską konstytucję. Cały świat śmiał się z machinacji Putina, które miały mu przedłużyć sprawowanie władzy. Nie ma tam żadnej siły opozycyjnej, a wszyscy niezależni dziennikarze albo uciekli, albo zostali zabici, albo są w więzieniu. W Rosji szeroko zakrojona propaganda wewnętrzna stworzyła społeczeństwo, które nie szanuje demokracji i zakochało się w autorytaryzmie, który przerodził się w reżim dyktatorski.

Putin jest otoczony przez miliarderów wzbogaconych na korupcji. Wewnętrzna polityka korupcyjna Rosji jest korzystna dla państwa, ponieważ każdy obszar jest wyraźnie kontrolowany. I oni chcieli, aby ta polityka obowiązywała też w Ukrainie. Rosja zainwestowała dużo pieniędzy w zniszczenie ukraińskiej wolności i demokracji, a także w korumpowanie społeczności międzynarodowej, zwykle są to siły skrajnie prawicowe lub lewicowe.

Putin stworzył agresywny, autorytarny system, a Europa zapłaciła ogromne środki, w istocie wspierając go jako polityka. Rosja dostawała od Europy płatności w wysokości wielu miliardów dolarów. W ciągu jednego roku Rosja otrzymała ze współpracy z Europą 365 miliardów. Rosja jest państwem, które nie tylko wspiera, ale także rozwija terroryzm, a jedna osoba może podjąć dowolną decyzję w parlamencie w ciągu dwudziestu czterech godzin, w tym prawo do wysłania wojsk na obce terytorium i aneksję. To wsparcie finansowe było podstawą, zachęciło Putina do demonstracji idei „ruskiego miru", w którym przywrócenie stref wpływów poza terytorium Federacji Rosyjskiej stało się dla Putina zadaniem numer jeden. I w ten sposób Putin odniósł sukces w swojej polityce. Czy naprawdę można powiedzieć, że Zachód nie jest odpowiedzialny za to?

W 2022 roku oficjalna polityka Zachodu wobec Kremla zmieniła się.

Oczywiście, polityka europejska musiała się wtedy zmienić, podobnie jak polityka energetyczna oraz skala rozbudowanych stosunków niektórych krajów z Rosją.

23 lutego Putin złożył oświadczenie o denacjonalizacji i demilitaryzacji Ukrainy, otwarcie kłamiąc na temat ofensywy Zachodu rzekomo zagrażającej Rosji. Ale przecież to nie NATO rozszerzało się na Wschód, tylko Wschód zbliżał się do NATO w obawie przed rosyjskim zagrożeniem. Dopiero wtedy doszło na Zachodzie do otrzeźwienia.

Kraje takie jak Szwecja i Finlandia, które były neutralne przez sto lat, złożyły wnioski o członkostwo. Ukraina jest uzbrojona na największą skalę w swojej współczesnej historii. Naród ukraiński stał się bardziej skonsolidowany, niż kiedykolwiek. Fakt, że naród jest gotowy do wielkich poświęceń, był zaskoczeniem dla Putina. Ukraina przetrwała i walczy, nie tylko o swoją, ale także o waszą wolność.

Czy można powiedzieć, że Ukraina odnalazła swoje miejsce w świecie?

Wracamy do domu, do Europy. Tam, gdzie zawsze byliśmy i zawsze będziemy. Mieliśmy jedyny sposób na przezwyciężenie konsekwencji rosyjskiej polityki denacjonalizacji Ukrainy i Ukraińców – poprzez wartości narodowe. Udało nam się wymazać dziewięćdziesiąt procent sowieckiej spuścizny. Ukraińcy są dziś zjednoczonym narodem. Podsumowaniem lat naszej niepodległości jest to, że dziś nie boimy się już Rosji. Świat rozumie nas i to, czego chcemy. Naród ukraiński ma wiele do zaoferowania dla świata. Przecież nasza pomarańczowa rewolucja zaczęła się od pragnienia wolności i demokracji, a moim zdaniem to właśnie one, a także świadomość narodowa, dają krajowi wieczność. Na tych zasadach polega Polska, podobnie zresztą jak każda demokracja, która niesie także do nas Ukraińców przesłanie: bądźcie narodem, bądźcie demokratyczni, traktujcie ludzi sprawiedliwie, szanujcie praworządność.

Mogę z całą pewnością powiedzieć, że teraz rozumiemy, że nie jesteśmy sami. Mamy wiele kłopotów i problemów, które niewątpliwie z czasem znikną, zostaną usunięte. Polacy nie muszą mówić wielu słów. Rozumieją naszą wizję Ukrainy, naszą otwartość, nasze zagroże-

nia – zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne. I rozumiemy, że możemy dołączyć do nowego porządku europejskiego.

Podobało mi się to, co prezydent Zełenski powiedział pod koniec stycznia 2023 roku, kiedy dwie trzecie ukraińskiego sektora energetycznego nie działało. Zwrócił się do mieszkańców Kijowa, Zaporoża, Chersonia, Charkowa, Mikołajowa i powiedział: „Przetrwamy bez prądu, wody i ciepła. Oby nie było tu was – Rosjan".

Jeśli chodzi o naszą wolność, państwowość i niepodległość, to nie ma ryzyka, którego nie podjęlibyśmy się, aby je obronić.

Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski
Tłumaczenie Krystyna Vlodek

Nie trzeba wymyślać dla Ukrainy niczego specjalnego

Rozmowa z Julią Tymoszenko

Często można spotkać się z opinią, że Ukrainie nie udało się w latach dziewięćdziesiątych z sukcesem przeprowadzić transformacji gospodarczej. Jakie były główne wyzwania w reformowaniu ukraińskiej gospodarki? W jakim stopniu sytuacja, w której znajdywała się Ukraina różniła się od sytuacji Polski?

Po upadku systemu komunistycznego każdy kraj w Europie Wschodniej miał szansę zbudować silny, sprawiedliwy, rynkowy i europejski system życia. Na początku tych przemian Ukraina miała znacznie lepszą sytuację wyjściową, niż Polska, we wszystkich obszarach. Analitycy i eksperci twierdzili, że Ukraina ma wyjątkowe możliwości gospodarcze ze względu na rozwinięte strategiczne gałęzie przemysłu i wysoce technologiczne obszary, takie jak kosmonautyka czy budowa samolotów, rozwinięty przemysł maszynowy i świetny sektor rolniczy. Nawiasem mówiąc, miała też świetną armię i broń atomową. Polska miała znacznie gorszą sytuację wyjściową i przewidywano, że trudno jej będzie osiągnąć poziom Ukrainy. Ale stało się odwrotnie. Polska zbudowała doskonały system życia społecznego i politycznego oraz opracowała sprawny system zarządzania państwem. W efekcie – Polska stała się zamożniejsza, bardziej sprawiedliwa i odniosła większe sukcesy. Ukraina z kolei, w ciągu ostatnich trzydziestu lat zmarnowała prawie cały swój potencjał od czasu uzyskania niepodległości. To jest bardzo przykre.

Dlaczego tak się stało?

Myślę, że powodów było kilka. Po pierwsze, zaczynaliśmy z różnych punktów startowych, jeśli chodzi o budowanie czynników napędzających gospodarkę, w tym demokracji. Pomimo tego, że startowe wskaźniki gospodarcze Polski były gorsze, wcześniej zostały założone tam elementy gospodarki rynkowej, wdrożono nowoczesne trendy w zarządzaniu i, co najważniejsze – było tam silne i konsekwentne przywództwo ze strony klasy politycznej. Umożliwiło to zbudowanie europejskiego państwa, zorientowanego na społeczeństwo, z odpowiednią kombinacją prezydenckiego i parlamentarnego systemu rządów oraz potężnej klasy średniej, co dla Polski było priorytetem. I to zadziałało. W przypadku Ukrainy była to transformacja scentralizowanego systemu w oligarchię, a nie w prawdziwą gospodarkę rynkową. Kilka osób w sposób korupcyjny otrzymało niezwykłą fortunę w sferze produkcji i energetyki. A klasa średnia, jako siła napędowa każdej gospodarki, stała się w zasadzie outsiderem. Innymi słowami, u nas cały model rozwoju gospodarczego był od początku wypaczony.

Czy wynikało to z uwarunkowań obiektywnych, czy z czynników subiektywnych?

Zdecydowanie miało to charakter subiektywny. Dlatego wspomniałam o roli przywódcy w systemach przejściowych. Przywództwo w Polsce było inteligentne, wybitne, demokratyczne, nowoczesne. Jednym z przywódców, który prawidłowo zrozumiał wyzwania tamtych czasów, pomimo swojej komunistycznej przeszłości, był Aleksander Kwaśniewski, którego bardzo cenię. A przywódcy Ukrainy doprowadzili do całkowitego zniszczenia jej gospodarki. Do takich skutków doprowadziły oligarchia, korupcja i zniszczenie klasy średniej. Ale oprócz przywództwa jest jeszcze jeden czynnik, który wpływa na proces rozwoju państwa, czyli budowanie instytucji. Gdyby Ukrainie udało się przełamać model oligarchiczny w pierwszej dekadzie niepodległości i przejść do prawdziwej gospodarki rynkowej wolnej od korupcji, z klasą średnią, z prawidłową transformacją wszystkich sektorów gospodarki, mielibyśmy dziś zupełnie inną sytuację. Kiedy po raz pierwszy zostałam wicepremierem, próbowałam złamać kręgosłup oligarchii w sektorze energetycznym, gdy całkowicie zlikwidowaliśmy operacje

barterowe, zdemonopolizowaliśmy rynek i zbudowaliśmy prawdziwy rynek energii. Gdyby można było kontynuować te procesy we wszystkich innych dziedzinach, kraj byłby inny. Ale niestety moje wysiłki na rzecz deoligarchizacji i ograniczenia korupcji skończyły się w więzieniu, gdzie trafiłam trzy miesiące po reformie. Nikt w kraju nie chciał budować przejrzystej, zdemonopolizowanej gospodarki opartej na rozwoju klasy średniej.

A dlaczego pani zdaniem nie udało się tego zrobić po pomarańczowej rewolucji?

Pomarańczowa rewolucja była drugim duchowym zrywem narodu ukraińskiego po 1991 roku. Mieliśmy wielkie nadzieje, że rewolucja wszystko zmieni i postawi na swoim miejscu. Ale niestety właśnie tutaj brak instytucji stał się problemem. Ukraina, od 1996 roku aż do dzisiaj, ma wyraźną prezydencką formę rządów. Zgodnie z konstytucją cała władza znajduje się w rękach jednej osoby – prezydenta. Dlatego każdy prezydent, który dochodzi do władzy, czuje się autokratą. I później nie słyszy ani społeczeństwa, ani polityków, elit czy mediów. U takiej osoby zanikają uczucia, które powinien mieć prawdziwy przywódca. Ponieważ nikt nie czuje ani kontroli, ani odpowiedzialności. Jak wiemy ze słynnego cytatu, „władza absolutna demoralizuje absolutnie". I dlatego kraj zawsze przechodzi przez cykl rewolucji, wybierając lidera i rozczarowując się tym, co robi ta osoba. Ukraina nie zmieniła swoich instytucji po rewolucji pomarańczowej, nie uczyniła ich funkcjonalnymi i zdolnymi do zapewnienia rozwoju. Nie zrobiła tego również po Rewolucji Godności. Dlatego jeśli teraz, po wojnie i zwycięstwie oraz niezwykle krwawych ofiarach za prawo do stania się krajem, o którym marzyli Ukraińcy, nie zostanie stworzona nowa Konstytucja oparta na umowie społecznej i przemyśleniu tego, jak powinny funkcjonować wszystkie rodzaje władzy, ryzykujemy, że ponownie dojdzie do tych samych konsekwencji i rozczarowania społeczeństwa. Wasz prezydent, Aleksander Kwaśniewski, odczuwał wystarczająco dużą odpowiedzialność przed Polakami, aby zmienić Konstytucję, nawet nieco ograniczyć kompetencje urzędu prezydenta i zapewnić Polsce bardziej zrównoważony system rządzenia. Instytucje zostały przeformatowane tak, aby polska gospodarka, sfera społeczna mogły działać z sukcesem.

Szukam odpowiedzi na pytanie, dlaczego Ukrainie się nie udało...

Ukrainie nie udało się tego zrobić, dlatego że każdy prezydent, który objął urząd, począwszy od pierwszego, nie pozwolił na ograniczenie swojej władzy dla dobra społeczeństwa. I to jest nadal duży problem dla naszego kraju. Władza zmonopolizowana w rękach jednej osoby jest dużą wadą naszego systemu ustroju państwa i może sprowadzić kraj na złą drogę.

Co jest źródłem nienawiści Kremla, nie tylko Putina osobiście, ale także większości rosyjskich elit, do Ukrainy, jej państwowości i demokracji?

To nie jest dzisiejszy problem. Dziś jest już któryś z rzędu dzień tej ponad dziesięcioletniej agresji przeciwko nam, w kontekście wielu stuleci tej konfrontacji. Problemem jest nie tylko Putin. Problem jest w Rosji, która zawsze miała imperialne ambicje, która uważała imperialne cele i ich osiągnięcie za swoją misję historyczną i która przez wiele stuleci zastraszała nie tylko Ukrainę, ale także wielu innych swoich sąsiadów. A ostatnia, siedemdziesięcioletnia kolonizacja Ukrainy w ramach Związku Sowieckiego wyczerpała nasz kraj. Polska miała nieco więcej szczęścia, nie była tak długo w systemie tego terroru. Rosja nigdy nie zrezygnuje ze swoich imperialnych planów i realizacji swojej polityki poprzez przemoc. Ważne, aby to zrozumieć. Rosja nie zaakceptuje porządku i zasad systemu międzynarodowego. Ponieważ życie zgodnie z porządkiem międzynarodowym oznacza zapomnienie o imperium i przemocy wobec innych krajów. A to, co dzieje się teraz, jest kolejnym etapem polityki przemocy. Należy pamiętać, że odkąd Ukraina uzyskała niepodległość w 1991 roku, Rosja nigdy nie zgodziła się na wytyczenie granicy. Mieliśmy dziesiątki umów o przyjaźni, współpracy i nienaruszalności terytoriów. Jednak nawet w wielkiej górze fałszu zawsze jest coś prawdziwego.

Fakt, że Rosja nie zgodziła się na wyznaczenie granicy, oznaczał, że nie akceptowała niepodległości Ukrainy, nie szanowała tych granic i przygotowywała się do użycia instrumentów politycznych, wojskowych lub hybrydowych w celu przywrócenia swojego imperium kosztem Ukrainy. Proszę popatrzeć jak łatwo rosyjskie społeczeństwo zaakceptowało ideę, że Ukraińcy nie istnieją. Przez dziesięciolecia im

to wmawiano, aby mieć synergię społeczną dla wsparcia każdej agresji, której chcą dokonać przeciwko swoim sąsiadom. Demokratyczny wolny świat nie chciał tego dostrzec i odpowiednio na to zareagować. Skończyło się to Naddniestrzem, okupacją części Gruzji i Ukrainy oraz od lutego 2022 roku pełnowymiarową wojną przeciwko nam. Ten płomień zniszczył znaczenie międzynarodowych porządków i zasad, stabilność granic międzypaństwowych, przepisy, na których opiera się i działa ONZ. Będzie to oznaczać, i widzimy to dzisiaj, że działa prawo siły, a nie prawo.

Dziś rozumiemy, że Rosja miała takie plany od samego początku. Ale dla Zachodu lata dziewięćdziesiąte i dwutysięczne były kontynuacją polityki odprężenia. Życzliwa współpraca z Rosją wydawała się niezbędna. Czy uważa pani, że ta strategia od początku była błędna? A jaką inną drogę należałoby wybrać?

Ta strategia nie była błędna. Była po prostu niewystarczająca. Budowanie relacji po drugiej wojnie światowej, w oparciu o rozładowanie napięcia, zrozumienie, handel międzynarodowy i wzajemnie korzystne interesy, nie było błędem. Ale było niewystarczające, ponieważ przeoczono wiele rzeczy. Po pierwsze, sprawiedliwość można zbudować tylko częściowo w oparciu o prawo międzynarodowe i wolny handel. Resztę trzeba było zbudować na fundamentalnej i niekwestionowanej obronie tych wartości. A kiedy zaczęto budować nowy pozimnowojenny porządek, to właśnie ta druga część nie została wykonana. Popełniono trzy błędy. Z jakiegoś powodu wierzono, że konflikty na peryferiach nie wpłyną na pokój i stabilność tych krajów, które odniosły większy sukces i są chronione przez system zbiorowego bezpieczeństwa i obrony. To, co wydarzyło się w Gruzji w 2008 roku, było pierwszym sygnałem. I nikt na to nie odreagował. Próbowano takimi kryzysami zarządzać, zamiast zapobiegać im. Drugim powodem było to, że wszyscy uznawali, że broń nuklearna może być skutecznym i jedynym środkiem odstraszającym. Tak się jednak nie stało. Dzisiejsza wojna w Ukrainie pokazała, że takim środkiem odstraszającym powinien być szeroki i kolektywny system bezpieczeństwa, który odpowiedziałby na każdy element agresji, w tym agresję silnych państw przeciwko słabym. Finlandia i Szwecja na szczęście wyciągnęły odpowiednie wnioski. Dlatego też, gdyby nie popełniono tego błędu, a NATO nie byłoby „prywat-

nym klubem dla elit", lecz potężnym systemem bezpieczeństwa i obrony dla wszystkich krajów, które wyznają wspólne wartości, i które muszą być chronione, dzisiejsze konsekwencje nie miałyby miejsca. Imperialistyczne aspiracje dyktatorów nie zostałyby zrealizowane. A trzeci błąd polegał na tym, że nie powinniśmy byli pozwalać na monopolistyczną pozycję krajów, takich jak Federacja Rosyjska w żadnej dziedzinie. Nie wolno „karmić" takich reżimów technologią, pieniędzmi, bronią, dopóki rządzony przez nich kraj nie przyjmie cywilizacyjnych wartości demokratycznego, wolnego świata. Bo inaczej, taki kraj zacznie wykorzystywać wszystkie te narzędzia jako broń.

Dlatego teraz, po zakończeniu wojny zwycięstwem Ukrainy, musimy wyciągnąć z tego wnioski. Dziś świat musi być niezawodnie chroniony przed agresorami. Zapewniają to systemy bezpieczeństwa zbiorowego. Nie powinno być „szarych stref", „finlandyzacji", „mostów" – to terminy, które były używane, aby zapobiec przystąpieniu Ukrainy do NATO. Ta filozofia nie może być stosowana w odniesieniu do żadnego kraju, takiego jak Ukraina. System bezpieczeństwa i obrony powinien być kompleksowy. A te kraje, które są dyktaturami, agresorami i nie są wolne, powinny pozostać poza nim. I na koniec – żadne państwo autorytarne nie może mieć monopoli na rynkach światowych.

Jakie znaczenie dla ukraińskiej drogi na Zachód miała współpraca z Polską?

Jestem wdzięczna narodowi polskiemu za to, że od samego początku niepodległości Ukrainy jego elity, przywódcy starali się być adwokatami i obrońcami Ukrainy. I teraz jest to kontynuowane. Dzisiejsze trudne dni pokazują, że Polska stała się najpoważniejszym, najbardziej zmotywowanym, stabilnym przyjacielem i partnerem Ukrainy. Wasz głos jest dziś głośniejszy na świecie, niż jakikolwiek inny, podobnie jak wasze wsparcie, mimo że nie macie takich samych możliwości, jak na przykład Stany Zjednoczone czy Wielka Brytania. Ale wasza siła leży w głębokiej szczerości wobec wojny w Ukrainie i całkowitym zaangażowaniu w jej zakończenie zwycięstwem dobra nad złem.

Rozmawialiśmy o znaczeniu demokracji i o międzynarodowym systemie bezpieczeństwa. Jaka jednak powinna być przyszłość Ukrainy pod względem gospodarczym? Jak powinna rozwijać się ukra-

ińska gospodarka po wojnie? Według jakich zasad? Jak skończyć z oligarchizacją? Jak wyjść z gospodarki wojennej?

Myślę, że nie trzeba wymyślać dla Ukrainy niczego specjalnego. Ponieważ wszystkie odnoszące sukcesy i rozwinięte gospodarki stosowały mniej więcej te same metody, żeby zapewnić sobie rozwój. Są to równe szanse dla wszystkich, co oznacza, że nikt nie ma „przyspieszonego dostępu" do władzy, systemu podatkowego czy przepisów celnych. Dziś w Ukrainie ta zasada jest głęboko i fundamentalnie naruszana. Drugą rzeczą jest klasa średnia. Jeśli sytuacja klasy średniej na Ukrainie pozostanie w tak złym stanie, nigdy nie staniemy się stabilną gospodarką. Po trzecie, Ukraina nie może polegać wyłącznie na eksporcie surowców, obawiam się bowiem, że Ukraina może pozostać centrum surowcowym dla Europy. Uważam, że Ukraina powinna rozwijać przetwórstwo surowców i robić wszystko, aby systematycznie przetwarzać wszystkie dostępne surowce. Musimy wykorzystać możliwości tranzytowe, które obecnie nie są realizowane nawet w piętnastu procentach. Są to też podstawy kredytowe i finansowe. Nie możemy być dziś w Europie, jeśli koszt pożyczki wynosi dwadzieścia pięć procent, inflacja przekracza dwadzieścia procent, a kredyty są całkowicie niedostępne. Tym wszystkim należy się zająć. I oczywiście członkostwo w Unii Europejskiej i NATO jest odpowiedzią na naszą identyfikację i utożsamianie się z zasadami w gospodarce, sferze społecznej i opiece zdrowotnej.

A jeśli mówimy o globalnych procesach po wygranej wojnie, głównym zadaniem jest trwały pokój, powrót międzynarodowych porządków i zasad oraz ukaranie tych, którzy je naruszają. Brak takiej kary będzie oznaczał to, że tracą one swoją ważność. Ale wierzę, że zostaną wyciągnięte odpowiednie wnioski.

Rozmowę przeprowadził Jacek Kluczkowski
Tłumaczenie Krystyna Vlodek

Aleksander Kwaśniewski

Polska racja stanu

Droga na Zachód – budowanie pozycji Polski

Po przełomie ustrojowym 1989 roku, jako kraj musieliśmy znaleźć swoje nowe miejsce w systemie międzynarodowej współpracy, zarówno w wymiarze regionalnym, środkowoeuropejskim, jak i całego kontynentu. Uważałem, że moim obowiązkiem jako lidera polskiej lewicy, a potem prezydenta Rzeczypospolitej, jest dążenie do zapewnienia trwałych gwarancji naszej niepodległości, bezpieczeństwa oraz społeczno-ekonomicznego rozwoju. Odczuwam satysfakcję, że brałem udział, wraz z innymi demokratycznymi i proeuropejskimi polskimi partiami politycznymi, w budowie pozycji międzynarodowej naszego kraju.

Najważniejsze w polskiej polityce międzynarodowej w tamtych latach było wstąpienie do Sojuszu Północnoatlantyckiego, co nastąpiło w 1999 roku oraz do Unii Europejskiej w 2004 roku. Można być wdzięcznym Lechowi Wałęsie, że stosunkowo szybko doprowadził do wyprowadzenia wojsk radzieckich z Polski w 1993 roku. Zaraz potem została podjęta strategiczna decyzja na szczeblu rządowym, że będziemy dążyć do przystąpienia do NATO. Oczywiście, trzeba pamiętać, że debata na temat polskich opcji bezpieczeństwa toczyła się wśród polityków i ekspertów już wcześniej, głównie w nurcie postsolidarnościowym.

Nasza akcesja do Unii Europejskiej i NATO nie polegała jedynie na wyrażeniu przez nas na nią zgody. Warte szczególnego podkreślenia jest to, że w obydwu przypadkach nie chodziło tylko o podjęcie decyzji przez polskich polityków. Nic tu nie było oczywiste, nic nie przebiegało w sposób automatyczny. Musieliśmy przebyć wyjątkowo trudną drogę transformacji polskiej gospodarki, później – dostosowania jej do wymogów europejskiego rynku, a jeśli chodzi o politykę obronną, dokonać głębokich zmian w armii i służbach specjalnych. Chodziło nie tylko o wprowadzenie cywilnej kontroli, przezbrojenie i modernizację.

Najważniejsze było zdobyć zaufanie zachodnich partnerów, przekonać ich do naszej wiarygodności i sojuszniczej lojalności.

Zdobywanie zaufania w dobie narastających napięć globalnych i wojny z terrorem to była niezwykle trudna próba. Skłamałbym, gdybym powiedział, że udało nam się uniknąć błędów i potknięć na tej drodze. Szczególnie krytycznie postrzegana jest dzisiaj decyzja – w tym moja – o udziale Polski w interwencji zbrojnej i stabilizacji Iraku w 2003 roku. Niezależnie jednak od błędów, bilans naszego udziału w integracji europejskiej i obecności w transatlantyckiej wspólnocie obronnej jest jednoznacznie pozytywny. Polska jest zamożniejsza i bezpieczniejsza niż kiedykolwiek w swej historii.

Gdy zastanawiam się nad dorobkiem polskiej polityki zagranicznej w okresie III RP bez wahania powiem, że największym sukcesem Polski w tej dziedzinie było zapewnienie trwałości jej prozachodniego kursu, którego nie udało się nikomu odwrócić, także politykom rządzącym naszym krajem w latach 2015–2023. Ważne było również zbudowanie regionalnych więzi z Czechami, Węgrami i Słowacją, z krajami bałtyckimi, zwłaszcza z Litwą, a także z Rumunią, Słowenią i Chorwacją oraz innymi regionalnymi partnerami.

Z mojego punktu widzenia, niezwykle ważne były w tym okresie nasze relacje z Ukrainą, której pomagaliśmy reformować się i zbliżać do Zachodu. Ukraina to wielki kraj. Polska jako pierwsza uznała w 1991 roku jej niepodległość. Znaczenie relacji polsko-ukraińskich zawsze, w moim odczuciu, wykraczało poza kwestię stosunków między dwoma sąsiadami. Pytanie, co tam się będzie działo, było i jest niezwykle istotne dla naszego kontynentu, dla świata. Wielokrotnie temat ukraiński pojawiał się w naszych rozmowach z Amerykanami i innymi zachodnimi sojusznikami. Doceniali oni naszą wiedzę na temat Ukrainy, nasze kontakty z przedstawicielami różnych sił politycznych. Ukraina – to był także temat ogromnej większości moich rozmów z Janem Pawłem II.

Nigdy nie uważałem, że nasze wsparcie dla ukraińskiej demokracji jest działaniem wymierzonym w Rosję. Chcieliśmy zresztą, by Rosja także stała się krajem demokratycznym, partnersko współpracującym z Zachodem. Staraliśmy się budować mosty dialogu i porozumienia z Rosją, rosyjskim społeczeństwem, jej elitami.

Trudny początek

Przed objęciem przeze mnie urzędu prezydenta RP, nie zajmowałem się bezpośrednio polityką zagraniczną i zagadnieniami bezpieczeństwa. Co oczywiście nie znaczy, że nie interesowałem się tymi kwestiami. Jako minister, szef PKOL i wreszcie szef partii i klubu parlamentarnego odbywałem liczne spotkania i wizyty zagraniczne, zbudowałem sieć własnych kontaktów i międzynarodowych znajomości.

Od roku 1995, kiedy zostałem prezydentem RP, najważniejsze było dla nas takie reformowanie wojska i służb specjalnych, żeby Polska w wyobrażalnym czasie paru lat mogła stać się pełnoprawnym członkiem Sojuszu Północnoatlantyckiego. Dochodzenie do demokratycznych standardów cywilnej kontroli nad siłami zbrojnymi i służbami specjalnymi było bowiem podstawowym warunkiem do rozpoczęcia realnej współpracy z naszymi zachodnimi partnerami i przyszłymi sojusznikami. Okazało się w praktyce, że w naszych polskich realiach jest to dosyć skomplikowany proces. Nie wystarczyło ich odpartyjnienie – co nastąpiło jeszcze na przełomie 1989 i 1990 roku – i wprowadzenie do kierownictwa odpowiednich ministerstw i urzędów cywilnych polityków wywodzących się z antykomunistycznej opozycji. Trzeba było sformułować na nowo całą filozofię polskiej polityki bezpieczeństwa, postawić armii i służbom nowe zadania, wprowadzić nowe zasady polityki kadrowej, zmienić ich strukturę organizacyjną.

Najtrudniej było jednak zmienić styl i nawyki działania odziedziczone po poprzednim systemie, kiedy „struktury siłowe" były właściwie państwem w państwie. Duża część kadry dowódczej nie mogła, nie chciała i zapewne nie umiała pogodzić się z tym, że ich relacje ze światem polityki będą mieć teraz zupełnie inny charakter.

Nałożył się na to kontekst polityczny lat 1994 i 1995. Niewątpliwie w otoczeniu Lecha Wałęsy byli wtedy ludzie, którym bardzo zależało, żeby nadal był on prezydentem. W tym układzie, który powstał pod koniec kadencji mojego poprzednika, oni czuli się dobrze, zależało im więc na tym, żeby to utrzymać. Osobą, która chciała być silnym ramieniem Wałęsy w wojsku był generał Tadeusz Wilecki, ówczesny szef Sztabu Generalnego. Podobna sytuacja była w Urzędzie Ochrony Państwa, gdzie czołowi oficerowie chcieli tę swoją pozycję utrzymać, nawet – świadomie czy nie – wpisując się w oczywistą grę rosyjskiego wywiadu.

Jestem dziś przekonany, że tak zwana „sprawa Olina" była intrygą rosyjską. Uważam, że Rosjanie bardzo precyzyjnie to poprowadzili. W Moskwie uznano, że należy uderzyć bezpośrednio w polskiego premiera i skompromitować go. Zwyciężyłem wtedy właśnie w wyborach prezydenckich. W Moskwie uważano więc zapewne, że w ten sposób uda się zniechęcić Amerykanów do współpracy z nami, jako ludźmi rzekomo uwikłanymi w powiązania agenturalne.

Dlaczego polscy oficerowie, z Zacharskim na czele, podchwycili ten wątek? Sądzę, że chcieli w ten sposób doprowadzić do usunięcia premiera i unieważnienia wyborów prezydenckich. Jestem przekonany, że Lech Wałęsa nie był pomysłodawcą tego wszystkiego, ani nawet głównym wspierającym. Ale już Mieczysława Wachowskiego bym z taką pewnością nie wykluczył. Nie zapomnę momentu, kiedy dowiedziałem się o tej sprawie. Moją tymczasową siedzibą, jako prezydenta-elekta był wtedy pałacyk MSZ przy ulicy Foksal, gdzie przyjmowałem ambasadorów, gości z gratulacjami, przygotowywałem się do inauguracji.

W dniu moich imienin, 12 grudnia 1995 roku, poprosił mnie o spotkanie minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski. Przyszedł do mnie razem z ministrem spraw zagranicznych Władysławem Bartoszewskim, który nie był zapowiadany. To był jedyny raz, kiedy w rozmowie, która trwała półtorej godziny, może dwie, Władysław Bartoszewski w ogóle nie zabrał głosu, nie powiedział ani słowa. Milczanowski przyszedł do mnie z dokumentami na premiera Józefa Oleksego. Przeczytałem je. Najbardziej druzgocący był finał. Minister Milczanowski powiedział mi wtedy, że te dokumenty są wystarczającymi dowodami na stwierdzenie, że doszło do zdrady stanu i że można Oleksego zidentyfikować jako rosyjskiego agenta „Olina" oraz oskarżyć o szpiegostwo na rzecz Federacji Rosyjskiej. Odpowiedziałem, że nie zgadzam się z wnioskiem, iż na podstawie dokumentów, które zostały mi przedstawione można go oskarżyć o szpiegostwo. Milczanowski poprosił mnie o podpisanie oświadczenia, że zapoznałem się z tym dossier. Odmówiłem. Odpowiedziałem, że nauczyłem się od podziemnej „Solidarności", że niczego takiego nie należy podpisywać. Pamiętam, że Milczanowski mówił: „Pan sobie nie zdaje sprawy, to będzie afera od Bałtyku po Karpaty, od Bałtyku po Karpaty, od Bałtyku po Karpaty" – trzy razy to powtórzył. Podobno później, już w szatni, Wła-

dysław Bartoszewski głośno irytował się na Milczanowskiego, kiedy zrozumiał, że podczas tej rozmowy był tylko przyzwoitką jako świadek rozmowy.

W takich właśnie okolicznościach zacząłem budować relacje z wojskiem i służbami.

Nasza determinacja w drodze do NATO

Prezydent RP jest, jak wiadomo, zwierzchnikiem sił zbrojnych i ma swoje instrumenty wpływu na kształt polityki bezpieczeństwa narodowego w postaci Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Gdy objąłem swój urząd, na czele tej instytucji postawiłem ponownie, zdymisjonowanego wcześniej przez mojego poprzednika, Jerzego Milewskiego, znanego działacza „Solidarności", który w latach stanu wojennego był szefem zagranicznych struktur Związku. Miałem do niego zaufanie, gdyż był to człowiek, który przeciwstawiał się patologiom w wojsku i służbach oraz otwarcie demonstrował swoje przekonanie o potrzebie wprowadzenia tam cywilnej i demokratycznej kontroli, co powodowało, że w otoczeniu Lecha Wałęsy był w drugiej części jego kadencji raczej osamotniony. Była to także z mojej strony nominacja, mająca na celu podkreślenie ciągłości polityki obronnej państwa i mojego uznania dla działań środowisk postsolidarnościowych na rzecz zbliżenia Polski do NATO. Po śmierci Jerzego Milewskiego w 1997 roku nowym szefem BBN został Marek Siwiec, jeden z moich bliskich współpracowników, postać wyrazista, człowiek bardzo kreatywny.

Nasze działania na rzecz przystąpienia Polski do NATO realizowane były w trzech płaszczyznach.

Płaszczyzna dyplomatyczna – to rozmowa o naszych aspiracjach i możliwych terminach ich spełnienia ze wszystkimi zagranicznymi partnerami – ze Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią, Niemcami, Francją, których najpierw należało przekonać, że rozszerzenie NATO na wschód ma sens, że Polska będzie wiarygodnym sojusznikiem i wniesie do paktu jakąś wartość dodaną. Robiłem to ja, robili kolejni ministrowie spraw zagranicznych i obrony. Odbyliśmy wiele wizyt i spotkań, by pokazać rozmówcom, że Polska już się do NATO nadaje. Moja współpraca z ministrami spraw zagranicznych i obrony była naturalna, niemal codzienna. Mieliśmy mnóstwo wspólnych tematów.

Była też płaszczyzna druga – reform politycznych, aby pokazać, że Polska jest demokratyczna, wprowadza standardy demokratycznego państwa prawnego, szanuje wolności polityczne, prawa człowieka, prawa mniejszości. Zaliczam do tego także rozwój dobrosąsiedzkich relacji z naszymi sąsiadami, w tym dialog związany z niełatwymi kartami naszej historii. To także element budowania pozycji i wizerunku naszego kraju, jako odpowiedzialnego, poważnego partnera.

Trzecia płaszczyzna naszych działań dotyczyła reform w armii, także jej modernizacji. Chodziło nie tylko o to, by się dokonywała wymiana pokoleniowa, ale aby nowi ludzie, którzy obejmowali stanowiska dowódcze, przechodzili już praktykę zachodnią i mieli możliwość ukończenia szkół wojskowych zagranicą. W ten sposób pokazywaliśmy partnerom swoją determinację w sprawie przystąpienia do Sojuszu, a także, że będziemy mieli kadry, umiejące współpracować podczas ćwiczeń, misji pokojowych i na ewentualnym polu walki. Kadra oficerska dostrzegła swoją szansę. Pomogła w tym czytelna polityka kadrowa i bezwzględnie przestrzegana kadencyjność. Szefem Sztabu Generalnego został generał Henryk Szumski, bardzo dobry oficer, świetny dowódca i przy tym bardzo dobry człowiek, który cieszył się zaufaniem wojska, korpusu oficerskiego. Wojsko, Sztab Generalny szybko „dogoniły" standardy NATO.

Jeśli chodzi o służby cywilnego wywiadu i kontrwywiadu – muszę przyznać, że mój stosunek do nich był i pozostał przez lata bardzo powściągliwy i krytyczny ze względu na ich rolę w sfabrykowaniu „sprawy Olina". Straciłem zaufanie zwłaszcza do tej części służb, nazwijmy przechrzczonej. Do tych oficerów, którzy jakoby dobrze się spisywali w PRL na różnych stanowiskach i placówkach, a następnie zostali w 1990 roku pozytywnie zweryfikowani przez nową władzę. Okazało się bowiem, że pochodzący z tego środowiska tacy oficerowie, jak generał Bogdan Libera czy pułkownik Marian Zacharski, uczestniczyli w tej politycznej intrydze, *de facto* spisku, fabrykując materiały przeciwko premierowi Oleksemu. Nie brał udziału w tym wszystkim Gromosław Czempiński, ówczesny szef UOP, ale mam żal do niego, że tego nie zatrzymał.

Chociaż miałem mocno ograniczone zaufanie do służb, to muszę powiedzieć, że ci ludzie w niektórych sprawach sprawdzali się. Gdy 11 września 2001 roku porwane przez terrorystów samoloty uderzy-

ły w wieżowce WTC w Nowym Jorku, nikt nie wiedział, co się dzieje. Wspólnie z premierem Buzkiem zwołaliśmy wtedy specjalny sztab kryzysowy. Na to spotkanie przyszedł szef zarządu wywiadu generał Libera i jeszcze kilku specjalistów od terroryzmu i Bliskiego Wschodu. Pamiętam, że ich wypowiedzi były sensowne, bardzo merytoryczne.

Uznałem, w odróżnieniu od czasów prezydentury Lecha Wałęsy, że praca ze służbami jest domeną rządową. Premierzy, z którymi współpracowałem w okresie mojej kadencji, szukali różnych rozwiązań. Leszek Miller, na przykład, mianował Zbigniewa Siemiątkowskiego i Andrzeja Barcikowskiego, czyli ludzi ze swojego bliskiego otoczenia. Premier Marek Belka poszedł w zupełnie inną stronę, bo zaproponował na stanowisko szefa Agencji Wywiadu Andrzeja Ananicza, czyli osobę niezależną, zdystansowaną do bieżącej polskiej polityki.

Partnerstwo z Ameryką

Nie mam żadnych wątpliwości, że rozszerzenie NATO na wschód, w tym o Polskę, to była przede wszystkim decyzja USA, chociaż przemiany roku 1989 niewątpliwie Amerykanów zaskoczyły, podobnie zresztą jak dwa lata później rozpad ZSRR. USA to mocarstwo, które nigdy nie ukrywało swojego zainteresowania Europą Wschodnią, choć Amerykanie nie zawsze dokładnie dostrzegali i dobrze rozumieli, co naprawdę się u nas odbywa. Prezydent Gerald Ford, w czasie debaty z Jimmym Carterem w 1976 roku powiedział, że Europa Wschodnia nie jest pod dominacją sowiecką i że ani Rumuni nie są pod dominacja sowiecką, ani Polacy. Był po kontaktach z Nicolae Ceaușescu i Edwardem Gierkiem, którzy go zapewne o tym mocno przekonywali.

Po roku 1990 obecność polityczna Stanów Zjednoczonych w Polsce, wsparcie dla reform były czymś naturalnym i decydującym dla naszej przyszłości. Jednym z trudniejszych momentów w relacjach z USA była sprawa pułkownika Kuklińskiego. Pamiętam, że prezydent Clinton zapytał mnie o nią wprost w czasie naszej rozmowy w 1997 roku.

Prawdziwym dla nas wyzwaniem była sytuacja z 2002/2003 roku, kiedy Polska, wbrew stanowisku naszych głównych partnerów europejskich, zaangażowała się po stronie amerykańskiej, uczestnicząc w inwazji a następnie misji stabilizacyjnej w Iraku. To była jedna z naszych najtrudniejszych decyzji. Podejmowaliśmy ją w obliczu otwartej polemiki na linii Polska – Stany Zjednoczone, Francja i Niemcy. Unia Euro-

pejska w krytyce polityki USA nie była jednolita. Tony Blair był „za", premierzy Włoch Silvio Berlusconi i Hiszpanii José María Aznar także byli w tej koalicji.

Z naszego punktu widzenia problem wyglądał następująco: nasi sojusznicy Amerykanie zwrócili się do nas, jako do nowego sojusznika, członka NATO, o udzielenie im pomocy, Oczywiście, mieliśmy świadomość, że jesteśmy im potrzebni bardziej ze względów wizerunkowych, niż praktycznych. Chodziło o to, żeby ta koalicja była szersza i żeby w jej skład wszedł ktoś z naszego regionu. Wiedzieliśmy też, że nie będzie to wysiłek, którego nie jesteśmy w stanie unieść. Dylemat został rozstrzygnięty, nie tylko przeze mnie, bo przecież w tym uczestniczyły i rząd, i ministerstwo obrony; odbywały się dyskusje z opozycją. Polska administrowała jedną z prowincji irackich, a nasze wojsko dowodziło wielonarodową dywizją sił stabilizacyjnych. Uznaliśmy, że jest to test wiarygodności sojuszniczej Polski.

Na szczęście, te negatywne europejskie reakcje na temat naszego zaangażowania w Iraku u boku USA i Wielkiej Brytanii nigdy nie miały w stosunku do Polski charakteru warunkowego, ultymatywnego. Ani Schröder ani Chirac nie stwierdzili, nie było nawet cienia takich sugestii, że jeżeli my się włączymy do tej misji stabilizacyjnej, będziemy musieli zapomnieć o członkostwie w Unii Europejskiej. Wtedy bylibyśmy, oczywiście, w poważnym politycznym kłopocie.

Francja miała swoje własne interesy na Bliskim Wschodzie, a w Niemczech kanclerz Gerhard Schroeder szykował się do kampanii wyborczej i dla niego ten, nazwijmy amerykano-sceptycyzm był bardzo istotny. Miałem okazję oglądać w telewizji jego debatę z Edmundem Stoiberem, premierem Bawarii, który był jego głównym chadeckim rywalem do stanowiska kanclerza Niemiec. Na dole ekranu były wykresy obrazujące poparcie dla obu polityków. To poparcie było bardzo wyrównane, momentami szło w stronę Stoibera, aż do pytania o solidarność z Amerykanami w sprawie irackiej. Stoiber wypowiedział się bardzo proamerykańsko, a Schroeder – zdecydowanie przeciw. I w tym momencie było widać, jak ta krzywa poparcia dla Schroedera idzie do góry. On lepiej niż chadecy odczytał nastroje niemieckich wyborców. Wielka Brytania popierała interwencję w Iraku, ale tamtejsza opinia publiczna była przeciwna. Tony Blair do dziś się tłumaczy z tej decyzji. Uważam, że są takie momenty w historii, kiedy pytanie o strategiczne partnerstwo zaczyna nabierać treści. Bo łatwo powie-

dzieć na konferencji prasowej, że mamy strategiczne partnerstwo z USA. Trudniej, kiedy strategiczny partner zwraca się do ciebie o udzielenie pomocy w akcji, i to nie takiej wymyślonej bez powodu, tylko jednak walki z międzynarodowym terroryzmem, z realnym zagrożeniem dla świata.

Tym, co kładzie się cieniem na sprawie irackiej z dzisiejszej z perspektywy, jest główny motyw podjęcia działań wojskowych, czyli rzekoma obecność broni masowego rażenia w Iraku, co nie zostało potwierdzone. I dodatkowo – całkowicie błędny plan Donalda Rumsfelda dotyczący Iraku powojennego. W tej sprawie mam czyste sumienie, bo wspólnie z Jerzym Szmajdzińskim, ówczesnym ministrem obrony, tłumaczyliśmy Rumsfeldowi, że jego pomysł, by przeprowadzić w Iraku pacyfikację na wzór denazyfikacji w Niemczech, nie trzyma się kupy. Irak przecież wojny światowej nie wywołał, kraj nie był wyniszczony, istniały struktury państwa, istniały struktury partii rządzącej. Pytaliśmy, dlaczego nie pójść drogą przykładów transformacji w Europie Środkowej i Wschodniej. Przecież to mogło być bardziej użyteczne.

Rumsfeldowi, jako Amerykaninowi niemieckiego pochodzenia, zapewne przykład niemiecki był bliższy. Amerykanie ze względu na swoją potęgę militarną w gruncie rzeczy są w stanie wygrać każdy konflikt militarny. Ale z drugiej strony, zatracili chyba w dzisiejszych czasach skuteczność w budowaniu demokracji i wygraniu pokoju. Tego nie da się zaprowadzić przez swoich ludzi, przez agentury, trzeba się oprzeć na siłach miejscowych, zbudowaniu zaufania i oparciu się na istniejących zasobach, ludzkich i instytucjonalnych. Wiedział o tym generał Douglas MacArthur, który odpowiadał za powojenną demilitaryzację i odbudowę Japonii; w Iraku Amerykanie poszli zupełnie inną drogą.

Oczywiście, ciągle mogą chwalić się, że udało się im w Niemczech, udało się w Japonii, co jest prawdą, ale to było dawno, i rzeczywiście po strasznej wojnie, całkowicie wyniszczającej. Myślę, że w Iraku to była ze strony USA, ze strony przede wszystkim Donalda Rumsfelda, taka typowa *misscalculation,* jak oni to mówią.

Wiedzieliśmy, że nasze wsparcie dla Ameryki w Iraku jest testem wiarygodności. Po latach spotkałem się ze Zbigniewem Brzezińskim, który był przeciwny tej wojnie i krytykował Busha za nią. Usłyszałem, że on cały czas był przeciwko interwencji, ale akurat stanowisko Polski rozumiał; to znaczy rozumiał, że z punktu widzenia Polski w takim momencie powiedzieć „nie" Amerykanom byłoby prawdopodob-

nie dużym politycznym błędem. Dzisiejsza sytuacja Polski, gdy Rosja prowadzi agresywną wojnę przeciwko Ukrainie w naszym bezpośrednim sąsiedztwie pokazuje, że okazanie w 2002 roku naszej solidarności z USA to była trafna decyzja.

Nasz udział w amerykańsko-brytyjskiej próbie stabilizacji sytuacji w Iraku stosunkowo najwięcej korzyści przyniósł samemu wojsku. Chodzi o kwestie dowodzenia, praktyki współdziałania z sojusznikami. Dlatego też byłem krytyczny, kiedy prezydent Komorowski zapowiedział w 2011 roku, że w wojskowych działaniach zagranicznych, „ekspedycyjnych" nie będziemy uczestniczyć. Odłóżmy nawet na bok kwestie solidarności z naszymi sojusznikami, ale rzeczywiście z punktu widzenia wojska to są poligony najwyżej wartości, to są niekończące się ćwiczenia, to jest zetknięcie się z realną sytuacją konieczności współdziałania, mówienia w obcym języku, nauczenia się sprawnej obsługi nowego sprzętu. To mobilizuje żołnierzy i oficerów do nauki i rozwoju, pozwala im krytycznie weryfikować krajowe wzorce i procedury, budować realne „esprit de corps" w sojuszniczym wymiarze.

Także z punktu widzenia dowództwa, było to doświadczenie wyjątkowe i budowało Polską pozycję w NATO. Na miejscu w warunkach bojowych żołnierze i oficerowie uczyli się od armii amerykańskiej. Nasi sojusznicy widzieli, że ci polscy generałowie czy polscy pułkownicy, oficerowie to rzeczywiście dobrze wykształceni, oddani, profesjonalni ludzie. W sumie to wzmocniło pozycję Polski, przynajmniej w strukturach wojskowych NATO.

Nasza akcesja do Unii Europejskiej nie było oczywista

Warto pamiętać, że przyjęcie Polski i naszych sąsiadów do Unii Europejskiej, to wcale nie była oczywista i łatwa decyzja. Pamiętam, jak często podczas moich negocjacji przedakcesyjnych pojawiało się pytanie: gdzie Europa ma granice. Prezentowano na przykład koncepcję karolińską, odwołującą się do czasów Karola Wielkiego, wedle której Europa kończy się na wschodzie Niemiec, co najwyżej z uwzględnieniem byłej NRD. Tak postrzegali wschodnie granice Europy nawet światli ludzie. Na szczęście dla nas, zwyciężyło myślenie bardziej otwarte.

Ale powinniśmy zdawać sobie sprawę, że podobne wątpliwości dotyczące granic Unii towarzyszyły kolejnym rozszerzeniom, między innymi, o Bułgarię i Rumunię. I pojawiają się teraz w dyskusjach o przy-

jęciu do UE Ukrainy oraz Mołdawii oraz krajów bałkańskich. Uważam, że we współczesnej debacie o rozszerzeniu UE, my Polacy, powinniśmy być ambasadorami tych krajów. Ich przyjęcie do europejskiej wspólnoty, aby kraje NATO i UE graniczyło z nami także od wschodu, leży w naszym interesie.

Unia Europejska podjęła dwie historyczne decyzje w czasach, kiedy jeszcze można było je podjąć. Pierwsza to utworzenie strefy euro w 2002 roku. Druga – rozszerzenie UE na wschód. Obie były, moim zdaniem, mądre, dalekowzroczne i odważne, chociaż dla Unii bardzo kosztowne. Polska na tej odwadze ówczesnych unijnych liderów skorzystała. Zaryzykuję tezę, że gdybyśmy nie weszli do UE w 2004 roku, prawdopodobnie do dzisiaj siedzielibyśmy w poczekalni. Bo w 2008 świat, w tym Europę, dotknął naprawdę ciężki kryzys finansowy. Potem nadszedł kryzys migracyjny. W 2020 zapanowała nad światem pandemia. Teraz z kolei mamy agresję Rosji w Ukrainie.

Czy można wyobrazić sobie, że politycy w Madrycie, Lizbonie, Rzymie czy Dublinie zgadzają się dzisiaj, żeby otworzyć UE dla krajów Europy Środkowej i Wschodniej? Jakie moglibyśmy im przedstawić argumenty, kiedy wschód kontynentu jest w ogniu, a przyszłość stała się tak nieprzewidywalna?

Oczywiście, Unia również skorzystała na przyjęciu naszych krajów. Przede wszystkim znacząco poszerzył się europejski wspólny rynek. Poza tym kraje zachodnioeuropejskie, którym z powodów demograficznych dokuczał brak rąk do pracy, uzupełniły swoje deficyty dzięki dobrze wykształconym Europejczykom ze wschodu.

Kilkanaście lat temu, w Polsce po prawej stronie sceny politycznej zupełnie nieoczekiwanie pojawiła się eurofobia. Nie eurosceptycyzm, ale otwarta wrogość wobec europejskiej integracji i w ogóle całego systemu wartości zachodniej cywilizacji. Okazało się, że rozmaici polscy prawicowi intelektualiści nie znoszą świata zachodniego i podrzucali Jarosławowi Kaczyńskiemu, który i bez tego ma skłonność do różnych spiskowych teorii, pogląd, że cała Unia Europejska to jakiś tajny plan niemiecki. Ma on spowodować, że Niemcy dysponując przewagą ekonomiczną i demograficzną mają drzwi szeroko otwarte, by opanować całą Europę. To jest, w moim przekonaniu, absurd.

Myślę, że w ostatnim okresie, nawet po zmianie rządu w końcu 2023 roku, Niemcy nie wykazali zbyt dużo empatii wobec nas. Rachunków

krzywd jest po naszej stronie bardzo dużo i właśnie na tych resentymentach jest budowana obsesja antyniemiecka. Uważam, że nadal należy formułować wobec Niemców postulaty, dotyczące sprawiedliwego zadośćuczynienia Polsce i Polakom za czas II wojny światowej. Róbmy to, by moralnie zawstydzać naszych partnerów, przypominać im o winie za przeszłość. Mamy tytuł moralny, żeby to czynić, tylko tego tytułu nie można rozmieniać na drobne w potyczkach, które nie mają najmniejszego sensu.

Powinniśmy docenić fakt, że po stronie niemieckiej poczucie winy za przeszłość ciągle jest obecne. Niemcy po 1945 roku przerobili tę wojnę bardzo poważnie, i trzeba powiedzieć, że w dużej mierze zostało to wymuszone przez Amerykanów, aby oni o tej wojnie nie zapominali. Ten bagaż historyczny wpływał także na stosunek Niemców do Izraela, jak również do Rosji, przez długi czas, może nawet aż do 2022 roku.

Były gesty niemieckie wobec nas. Mamy podpisanie uznania granicy w 1970 roku, co było wielką zasługą Gomułki, że do tego wbrew oporowi Breżniewa doprowadził, bo bał się, i słusznie, że Breżniew go wykiwa. Był Brandt klęczący przed pomnikiem Bohaterów Getta. Mogła się komuś nie podobać wypowiedź kanclerza Helmuta Schmidta w grudniu 1981 roku, że oni się w sytuację Polski po wprowadzeniu stanu wojennego wtrącać nie będą. Trzeba jednak pamiętać 1982 rok i tę ogromną, wręcz niesamowitą pomoc humanitarną, którą otrzymaliśmy wtedy od Niemców, przede wszystkim od zwykłych ludzi. Były słowa na Westerplatte i wspólna deklaracja gdańska z Prezydentem Johannesem Rauem. Były odszkodowania i dla uczestników pracy przymusowej. Było niezwykle ważne oświadczenie kanclerza Gerharda Schrödera, że rząd federalny nie będzie zgłaszał i wspierał w sądach międzynarodowych roszczeń restytucyjnych wobec Polski ze strony niemieckich wypędzonych; te doktrynę podtrzymują wszystkie kolejne niemieckie gabinety. Trzeba też pamiętać o poparciu rządu Schrödera i Niemiec dla polskiego członkostwa w NATO i Unii Europejskiej w kluczowych fazach negocjacji.

Skąd więc te antyniemieckie fobie czy lęki dzisiaj, 79 lat po wojnie? Niemcy, jak wspomniałem, starają się w sprawach polskich działać z wrażliwością i świadomością swoich dawnych grzechów. Jednakże niemieckie społeczeństwo się zmienia, przychodzi młode pokolenie, tam wojna jest wspomnieniem już nawet nie dziadków tylko pradziadków. Społeczeństwo jest multikulti, jest bardzo wiele rodzin mieszа-

nych, gdzie poczucie odpowiedzialności za przeszłość może słabnąć. Słabnie także kondycja gospodarcza, wydolność Niemiec jako głównego płatnika netto w UE, szczególnie na tle bardziej dynamicznie rozwijającej się gospodarczo Polski, największego beneficjenta unijnych funduszy. Dodatkowo ta nieznośna, prawicowa antyniemiecka propaganda, antyniemiecka retoryka w Polsce umacnia to myślenie. Jest to bardzo ryzykowne.

Wyzwania ze wschodu

Putin zarzuca, że wszystko co demokratyczne, prozachodnie, co wydarzyło się w Ukrainie po 1991 roku *de facto* było zmanipulowane, spowodowane działaniami amerykańskich służb, przy współpracy z Polską. To jest oczywista bzdura. To rosyjski prezydent Borys Jelcyn, a nie Waszyngton czy Bruksela, motywowany głównie chęcią usunięcia Gorbaczowa i zdobycia pełni władzy, zdecydował się rozwalić Związek Radziecki. Zachód próbował ten rozpad zatrzymać, a przynajmniej opóźnić. Przypomnijmy – latem 1991 roku prezydent Bush, przebywający wtedy z wizytą w Kijowie, chcąc ratować Gorbaczowa i pieriestrojkę, zachęcał Ukraińców do powściągliwości. Do tego samego wzywał wówczas francuski prezydent François Mitterrand.

Jesienią 1991 roku niepodległość Litwy, Łotwy i Estonii była już przesądzona. Ale jeśli chodzi o pozostałe republiki radzieckie, to – w gruncie rzeczy – samo kierownictwo Federacji Rosyjskiej, sam Jelcyn w walce o władzę z Gorbaczowem wywianował te kraje na niepodległość, popierał ich aspiracje.

Referendum ukraińskie w grudniu 1991 było szokiem dla wielu Rosjan, lamentowano, jak oni mogą „ci słowiańscy bracia nasi najbliżsi i siostry" chcieć niepodległości. Ale przecież ówczesne władze Federacji Rosyjskiej nie tylko zaakceptowały wyniki ukraińskiego referendum, lecz również wykorzystały je – doprowadzając do upadku struktury władzy centralnej ZSRR. Zgodziły się przy tym na oddanie Ukrainie połowy Floty Czarnomorskiej i wycofanie z Krymu jej drugiej połowy jeszcze przed 2017 rokiem. Oczywiście, Moskwa tych porozumień nie dotrzymała, podobnie zresztą jak i tych późniejszych z 1994 roku gwarantujących Ukrainie bezpieczeństwo i nienaruszalność granic w zamian za rezygnację z broni atomowej. O tym wszystkim nikt na Kremlu dziś nie pamięta.

Głosowanie za niepodległością w 1991 roku było prawdziwym wyrażeniem woli przez Ukraińców. Później, w 2004 roku, pomarańczowa rewolucja rzeczywiście była spontanicznym wybuchem społecznym, niezmanipulowanym z zagranicy. Ludzie upomnieli się o uczciwe wybory i o demokrację. Podobnie było w latach 2013 i 2014.

My, jako Polska, zawsze z Rosjanami mieliśmy tematy gorące i trudne, ale prawdziwa konfrontacja miała miejsce podczas pomarańczowej rewolucji w listopadzie 2004 roku i w następnych miesiącach. Kreml narzucił wtedy narrację, którą potem twórczo rozwinął Putin w swoich mowach i artykułach, że promowanie demokracji na obszarze byłego ZSRR to cios w Rosję, że Ukraina, Białoruś, Kazachstan to w gruncie rzeczy część Rosji, że świat musi zaakceptować dążenie Moskwy do odbudowy dawnego imperium, zamknąć oczy na fałszerstwa wyborcze czy łamanie praw człowieka na obszarze jej zainteresowania.

Podkreślam z całym zdecydowaniem – na to nie mogło być naszej zgody, mieliśmy obowiązek podać rękę naszym sąsiadom w 2004, w 2013 i w 2022 roku w obliczu pochodzącej z Moskwy groźby odwrócenia siłą tego wszystkiego, co stało się na naszym kontynencie po 1989 roku.

Już w 2002 roku Władimir Putin w rozmowie ze mną nie ukrywał, że jednym z jego celów jest odbudowa wielkiej Rosji. Wielkiej Rosji nie odbuduje się bez Ukrainy. A Ukraina, jeśli będzie demokratyczna, nigdy dobrowolnie nie zgodzi się być pod rosyjskim protektoratem. Ale my wtedy, wszyscy w Europie i w USA, potraktowaliśmy te wypowiedzi rosyjskiego lidera jako marzenie nie do spełnienia, a już na pewno nie do spełnienia w formie najazdu i próby podboju Ukrainy, jak to się stało w 2022 roku.

Pamiętam, że Putin wielokrotnie, także w rozmowach ze mną mówił, że jeśli chodzi o Ukrainę, to Rosja nie zaakceptuje jej członkostwa w NATO, bo to jest jakoby kwestia ich bezpieczeństwa, ale jeśli chodzi o dążenie Kijowa do Unii Europejskiej – to oni nie zgłaszają żadnych uwag.

Zwróćmy na ten aspekt uwagę – Zachód przecież w istocie dostosował się do oczekiwań Moskwy. W 2008 roku NATO na szczycie w Bukareszcie odmówiło Ukrainie przyjęcia planu działania na rzecz jej członkostwa w Sojuszu, a w 2009 roku rozpoczęły się negocjacje na temat jej stowarzyszenia z UE. I co się stało w 2013 roku? To wła-

śnie pomyślne zakończenie negocjacji dotyczących umowy stowarzyszeniowej z Unią stało się sygnałem do pierwszego rosyjskiego ataku na Ukrainę.

Byłem blisko tego procesu w latach 2012–2013, kiedy wspólnie z Patem Coxem byliśmy wysłannikami Parlamentu Europejskiego na Ukrainę i spotykaliśmy się często z Janukowyczem. Opowiadał nam wtedy, jak przekonywał swoją partię, że trzeba iść do Unii Europejskiej. On oczywiście o Unii niewiele wiedział, bardziej motywowało go to, że to się ludziom podoba, że dzięki swojej proeuropejskiej pozycji zyska na popularności. Patrzył na to absolutnie utylitarnie, wizerunkowo. Z jednej strony, był prorosyjski, przecież wszyscy to wiedzą, z drugiej zaś, ponieważ jest zdecydowany podpisać umowę stowarzyszeniową, nie jest antyzachodni. Paul Manafort, późniejszy szef kampanii wyborczej Trumpa, przygotowywał go już wtedy do kampanii prezydenckiej w 2014 roku. Gdyby to poszło w tym kierunku, to Janukowycz wygrałby te wybory, nawet bez specjalnych fałszerstw.

W pewnym momencie główna przeszkoda na drodze podpisania porozumienia o stowarzyszenie Ukrainy z UE, czyli kwestia uwięzienia Julii Tymoszenko, została usunięta. Otrzymaliśmy oświadczenie Tymoszenko na piśmie, które przekazaliśmy liderom zachodnim, że niezależnie od tego, czy ona jest w więzieniu, czy nie, prosi, by umowa stowarzyszeniowa została podpisana. Wyszła z tego z wielką klasą i z godnością. Rosjanie byli zaskoczeni. Sądzili, że dopóki Julia jest w więzieniu, do porozumienia z Unią nie dojdzie. A wina będzie po stronie Europy.

Wiktor Janukowycz, jak wspomniałem, podczas naszych spotkań w Kijowie opowiadał ~~nam~~ wszystko, co mu do głowy przyszło, uwielbiał monologi i zagadywał nas po prostu. Kolejne nasze spotkanie w sierpniu 2013 roku było zupełnie inne. Odbywało się parę miesięcy przed szczytem Unii w Wilnie, gdzie miało dojść do podpisania stowarzyszenia Ukrainy z Unią. Tym razem ukraiński prezydent nagle stał się niezwykle lapidarny w rozmowie z nami. Jakiś niepewny, dziwny. Ponieważ niedawno odbył dłuższą rozmowę z Putinem w Soczi, zapytaliśmy go, co się tam stało. W odpowiedzi usłyszeliśmy, że w Soczi były trudne rozmowy i nic więcej. Nie mówił o żadnych szczegółach. Później trochę więcej zdradził nam premier Mykoła Azarow, który powiedział, że ze stowarzyszeniem z Unią może być problem, „bo Putin ich udusi".

Stowarzyszenie było zaledwie rozbudowaną umową handlową z regulacjami dostosowawczymi. Putin się przestraszył nie tyle samego stowarzyszenia, ile że wywoła ono entuzjazm wśród Ukraińców, szczególnie w młodym pokoleniu. Rozumiał, że umowa stowarzyszeniowa będzie miała dalszy ciąg i Ukraina będzie mu nieodwracalnie odpływała, nawet pod rządami Partii Regionów, nawet nie wchodząc do NATO. A celem Putina pozostawało utrzymanie jej w całości w swojej strefie wpływów. Uważam, że z jego strony mówienie przed 2013 rokiem o zgodzie na integrację gospodarczą Ukrainy z Zachodem było kłamstwem i grą na czas, żeby nie konfliktować się przedwcześnie z Unią Europejską.

W moim przekonaniu, w czasie tej rozmowy w Soczi Janukowyczowi zostały postawione warunki. Jeśli podpisze – zero pomocy gospodarczej, szczególnie jeśli chodzi o niższe ceny gazu i ropy, zero pomocy w wyborach, a nawet groźba znalezienia własnego kandydata, którego Kreml będzie wspierać. I kolejny, najbardziej dla Janukowycza, który był przecież niesamowicie skorumpowany, bolesny – groźba ujawnienia wszystkich informacji na temat jego pieniędzy, ulokowanych w różnych miejscach na świecie. I te groźby okazały się skuteczne.

Europejscy przywódcy jeszcze w Wilnie próbowali namówić Janukowycza, żeby zmienił zdanie. Między innymi Angela Merkel, także Bronisław Komorowski. Chodziło też o prestiż Unii Europejskiej. Umowa stowarzyszeniowa to nie członkostwo, jeszcze wiele może się zmienić. Przeczuwałem, że decyzja Janukowycza może wywołać w Ukrainie oburzenie społeczne i poważne konsekwencje. W czasie naszej ukraińskiej misji z Patem Coxem, pracowaliśmy razem z młodymi ludźmi; całe nasze otoczenie to byli młodzi Ukraińcy. Oni po prostu płakali, gdy się dowiedzieli o tej decyzji, gdy waliły się ich marzenia.

Decyzja o ucieczce Janukowycza z Kijowa w lutym 2014 roku, też była osobistą decyzją Putina, a nie ukraińskiego prezydenta. Wiem to z dobrego źródła. Jego rozmowy z zachodnimi mediatorami, którymi byli ministrowie spraw zagranicznych: Niemiec – Frank-Walter Steinmeier, Francji – Laurent Fabius i Polski – Radosław Sikorski, były bardzo trudne, bo Janukowycz był bardzo uparty, nie chciał iść na żadne ustępstwa. W pewnym momencie, gdy któryś z jego współpracowników podszedł do niego, poprosił o przerwę. Wszyscy się domyślili, że ma ważny telefon – nie było trudno odgadnąć, że pewno od Putina.

Mediatorzy bardzo długo czekali, gdy wreszcie powrócił, był blady i na wszystko się zgadzał. W ogóle nie miał żadnych zastrzeżeń. I jeszcze tej samej nocy uciekł z ukraińskiej stolicy.

O co chodziło Putinowi? W obliczu oczywistej porażki siłowego rozwiązania konfliktu w Ukrainie podczas „rewolucji godności" chciał mieć rozwiązane ręce dla podjęcia bezpośredniej rosyjskiej interwencji zbrojnej na Krymie i w Donbasie, tworząc z Ukrainy obraz upadłego państwa, jakoby bez legalnych władz. Zdaje się, że tego samego dnia, kiedy z Kijowa uciekał Janukowycz, w Moskwie zostały podpisane rozkazy interwencji i przekazane siłom zbrojnym.

Reset z Rosją – przewaga naiwności nad ostrożnością

Ameryka była w latach dziewięćdziesiątych zainteresowana transformacją Ukrainy, tak samo zresztą jak i rozwojem nurtów demokratycznych, antyimperialnych na obszarze byłego ZSRR. Demokratyczna i prozachodnia transformacja w Rosji okazała się jednak niemożliwa, natomiast w Ukrainie – głównie dzięki skutecznej oddolnej presji społecznej i konsekwentnemu poparciu Zachodu – było to realne.

Na początku XXI wieku nie tylko USA, ale cały świat zachodni zadawał sobie pytanie: co dla nas z punktu widzenia strategicznego jest ważniejsze, współpraca z Rosją czy z Ukrainą. I bardzo wielu Amerykanów, także wielu zachodnich Europejczyków wskazywało Rosję. Stąd pojawił się reset. Gdyby nie to, że Ukraina była przedmiotem presji, a potem od 2014 roku otwartej agresji ze strony Rosji, można by przyjąć, że to jest racjonalny punkt widzenia, że Rosja z przyczyn strategicznych, na przykład w kwestii rywalizacji gospodarczej z Chinami, jest bardzo ważna.

Ten cały reset z Rosją to była, w moim przekonaniu, przewaga naiwności nad ostrożnością. Mnóstwo naiwności, złego rozpoznania, błędnego założenia, przeszacowywania szans, niedoszacowania ryzyka. Rosja szanuje siłę, boi się siły, ale jak widzi, że partner ma swoje słabości czy interesy, bezwzględnie je wykorzystuje, nie czuje się związana ani prawem, ani żadnymi zobowiązaniami. Po zimnej wojnie i rozpadzie ZSRR, Stany Zjednoczone uważały, że prowadzą konsekwentną politykę wobec Rosji i Ukrainy. Ale ta konsekwencja dotyczyła jedynie strategii. Natomiast w sensie realizacyjnym ta polityka była niespójna, związana z cyklami wyborczymi, zmianami na stano-

wiskach i zmieniającą się taktyką wobec Moskwy. Ta praktyczna polityka USA miała swoje wahania, miała okres Baracka Obamy, który przyszedł na urząd prezydenta z pomysłem uszczęśliwienia całego świata. Później się okazało, że on uszczęśliwia świat jedynie swoimi oracjami, a już działaniami – niekoniecznie,

Moim zdaniem, polityka Tuska i Sikorskiego wobec Rosji w latach 2008–2013 nie miała jakiegoś szczególnego zamysłu, odrębnego od ówczesnego stanowiska Unii Europejskiej, USA i NATO. Jednakże oświadczenie Tuska, że będziemy współpracować z Rosją taką, jaka ona jest, to po rosyjskiej interwencji w Gruzji był już kredyt ponad wszelką miarę. Ograniczone zaufanie w relacjach z Rosją było już wtedy wręcz obowiązkiem. Można było znaleźć inne słowa. Ale nie sprowadzajmy polityki do słów!

Uważam, że Polska w okresie III Rzeczypospolitej nigdy polityki prorosyjskiej nie prowadziła, chociaż niekiedy towarzyszyły nam błędne kalkulacje czy złudzenia, które zresztą były w duchu ówczesnej rosyjskiej polityki Zachodu. To był taki moment historyczny. Cały Zachód, ze względu na swoje interesy, chciał pokojowej współpracy z Rosją, nikt oczywiście jej nie groził ani nie zagrażał, jak dzisiaj mówi się na Kremlu. Było wręcz przeciwnie, czego Niemcy były najlepszym przykładem. Świat wykazał się naiwnością, brakiem konsekwencji i niedocenianiem publicznych oświadczeń Putina, włącznie z jego geopolitycznymi czy historiozoficznymi esejami. Putina traktowano jako polityka, który mówi i pisze na użytek wewnętrzny, by utrzymywać poparcie społeczne i wygrywać wybory, a nie po to, by grozić zagranicy i toczyć wojny z sąsiadami. W Polsce o dialogu z Kremlem po 2008 roku myślała nie tylko Platforma Obywatelska. Przecież to nie był tylko i wyłącznie odruch serca ten adres do „braci Rosjan" po katastrofie smoleńskiej ze strony Jarosława Kaczyńskiego wypowiedziany w duchu pojednawczym, wręcz pełnym miłosierdzia. To także była z jego strony jakaś polityczna kalkulacja związana z myśleniem o przyszłości relacji polsko-rosyjskich.

Putin skądinąd wiele różnych politycznych gier prowadził, oczywiście, jak dziś rozumiemy – w złej wierze. Podam przykład. Miał jakoby stosunek szczególny do Niemiec. Deklarował, że chce z nimi mieć dobre układy. Gdy jednak dowiedział się, że Angela Merkel panicznie boi się psów, nie przeszkadzało mu to w trakcie spotkania z nią wpuścić

do swojego gabinetu labradora. Podobno to była najtrudniejsza rozmowa w jej życiu.

W 2014 roku okazało się, że Putin nie dba o reset i dokonał aneksji Krymu, a następnie zaatakował Donieck i Ługańsk. Coraz starszy i coraz bardziej, jak myślę, oderwany od rzeczywistości postanowił doprowadzić do całkowitego zerwania relacji między Stanami i Zachodem a Rosją. Rosyjska propaganda zaczęła powtarzać „Świat zachodni chce nam narzucić swój model życia. Jeśli tak to życie miałoby wyglądać, to lepiej w ogóle nie żyć".

Nowe linie demarkacyjne

Żyjemy w epoce zmian w dotychczasowej architekturze geopolitycznej. Rosjanie rozpoczęli wojnę, by odbudować swoje dawne, w istocie kolonialne, imperium. Światowym mocarstwem pragną być Chiny. Amerykanie nie chcą stracić swojej dotychczasowej pozycji, swoje ambicje mają też Indie. Moim zdaniem, te fakty za słabo docierają do społeczności europejskiej. Dlatego tak ważne jest utrzymanie spójności naszego Sojuszu, przede wszystkim utrzymanie amerykańsko-europejskiej solidarności.

Na pytanie, jak ta polityka wyglądałaby w przyszłości, gdyby tej transatlantyckiej spójności i solidarności zabrakło, odpowiem w ten sposób – wystarczy, że tylko o połowę zmniejszyłaby się pomoc USA dla Ukrainy, ~~to~~ Kijów byłby w strasznych kłopotach. Kto mógłby załatać tę dziurę, która powstałaby po ewentualnym zmniejszeniu pomocy amerykańskiej? Moja odpowiedź brzmi: tylko Unia Europejska. Ale czy jesteśmy gotowi, żeby wziąć na siebie ten ciężar?

W ciągu ostatniej dekady Rosja dwukrotnie napadła na Ukrainę – w 2014 i w 2022 roku. Zgodnie z prawem międzynarodowym, Ukraina ma prawo do obrony, ale także prawo do zwrócenia się o pomoc do innych państw w celu odparcia agresji.

Agresja ta ciągle trwa, spowodowała już ogromne ludzkie cierpienie i zniszczenia na Ukrainie. Nie ma żadnych wątpliwości, że jest ona wyraźnym pogwałceniem Karty Narodów Zjednoczonych, a także gwarancji bezpieczeństwa składanych przez Rosję wobec Ukrainy. Zauważmy – podział ZSRR w 1991 roku nastąpił na podstawie Konstytucji tego państwa, a istniejące granice administracyjne między Rosją i Ukrainą zostały uznane za granice międzypaństwowe.

Jeśli Rosja miałaby odnieść sukces na polu bitwy przeciwko Ukrainie, stworzyłoby to niebezpieczny precedens. Agresywne reżimy na całym świecie przekonałyby się, że atak militarny i szantaż nuklearny są skuteczne. Podważyłoby to fundamentalną zasadę, że suwerenne kraje mają prawo do posiadania bezpiecznych granic, wyboru własnej drogi rozwoju, demokratycznego wyboru władz oraz sojuszy wojskowych, co jeszcze bardziej osłabiłoby porządek międzynarodowy. Nie trzeba już chyba powtarzać, że także bezpieczeństwo Polski zależy od tego, czy Ukrainie uda się odeprzeć agresję.

Osobiście nie wierzę, że Putin będzie chciał wywołać wojnę z NATO. Rosja nie jest w stanie jej wygrać i Putin o tym wie; nie widzę także w rosyjskim establishmencie motywacji, aby wojnę z Ukrainą poszerzyć na całą Europę. Nie znaczy to oczywiście, że Rosja nie będzie wykorzystywać szans, jakie mogą się dla niej pojawić: jakiegoś konfliktu w Azji, wycofania się USA z Europy. Tę niepewność i niestabilność otoczenia geopolitycznego trzeba w naszej strategii odpowiednio doszacować. Niedawno podpisałem wraz z gronem byłych prezydentów, premierów, ministrów spraw zagranicznych i wojskowych raport dotyczący przyszłości naszej transatlantyckiej wspólnoty obronnej[1]. Stwierdziliśmy tam, miedzy innymi, że przywódcy NATO muszą zademonstrować swoje zbiorowe zaangażowanie na rzecz Ukrainy zapraszając ten kraj do rozpoczęcia rozmów akcesyjnych i przystąpienia do Sojuszu. Uznaliśmy, że członkostwo Ukrainy w NATO musi być częścią strategii Zachodu na rzecz zakończenia wojny, a nie czymś, co można rozważać dopiero po jej zakończeniu.

Temu zaproszeniu towarzyszyć powinno opracowanie zestawu zapewnień o defensywnym charakterze przyszłego członkostwa Ukrainy w NATO. Perspektywa taka będzie wtedy środkiem do przekonania Rosji, że nic nie zyska na kontynuowaniu wojny. Przeciwnie – może wywrzeć presję na nią, aby tę wojnę zakończyła. Byłby to sygnał dla Rosji, że zachodni przywódcy są zaangażowani w obronę Ukrainy w długoterminowej perspektywie, w istocie – na zawsze.

Członkostwo w NATO pozostaje najskuteczniejszym sposobem zagwarantowania bezpieczeństwa i suwerenności oraz odstraszenia agresora. Polska przystąpiła do Sojuszu dwadzieścia pięć lat temu. W obliczu ponownego zagrożenia ze strony agresywnej i imperialistycznej Rosji, Szwecja i Finlandia doszły do takiego samego wniosku.

Uważam, że dalsze zwlekanie z zaproszeniem Ukrainy do NATO nie przyspieszy pokoju. Miałoby, jak sądzę, odwrotny skutek. Zachęciłoby Moskwę do nasilenia agresji, zignorowania potencjalnych inicjatyw pokojowych i sprawdzenia determinacji sojuszników w innych

Polska racja stanu wymaga mocniejszej Unii

Dzisiaj to oczywiste, że Sojusz Północnoatlantycki jest gwarantem polskiego bezpieczeństwa. Pomyślność gospodarczą może nam zagwarantować aktywna obecność w Unii Europejskiej. Pamiętajmy jednak, że jeśli nasz kontynent ma mieć swoje znaczące miejsce w szybko zmieniającym się świecie, to Europa musi być nie mniej, tylko bardziej zintegrowana. Żaden pojedynczy kraj europejski, nawet Niemcy, Francja czy Wielka Brytania, nie ma szansy włączyć się indywidualnie do światowej konkurencji. Udowodnił to brexit. Możemy coś znaczyć, jeśli będziemy zjednoczeni, jeżeli będziemy mieli mandat do reprezentowania około pół miliarda wykształconych ludzi, jeśli dobrze sprzedamy swoje przewagi cywilizacyjne w postaci powszechnych systemów ochrony zdrowia i opieki społecznej czy bezpłatnej i wysokiej jakości edukacji. A im bardziej my, Europejczycy, będziemy skłóceni i rozdrobnieni, tym mniejsze mamy szanse, aby w globalnej rywalizacji coś znaczyć.

Nie ulega wątpliwości, że Unia Europejska to wielki projekt. Dzisiaj każdy myślący Europejczyk powinien poczuwać się do odpowiedzialności za los kolejnych pokoleń w Europie, powinien zabiegać, żeby ten projekt przetrwał i mógł się nadal rozwijać. A stoją przed nim poważne zagrożenia: imperialna polityka rosyjska, katastrofa klimatyczna, starzejące się społeczeństwa, nasilająca się imigracja z południa i wschodu, globalna wojna konkurencyjna w świecie nowych technologii. Jestem jednak przekonany, że Europa ma potencjał, ma siłę, żeby sobie z tymi wyzwaniami poradzić. Ale to nie oznacza, że nie powinniśmy wzmacniać naszej europejskiej wspólnotowości w tych obszarach, które będą kluczowe dla globalnej pozycji Europy. Szczególnie teraz ma to głęboki sens.

Dziś główna linia podziału w Unii Europejskiej, także w Polsce przebiega pomiędzy tymi, którzy chcą więcej polityk wspólnotowych, wzmacniających Unię i tymi, którzy nie dostrzegają zagrożeń i krzyczą, że trzeba tę wspólnotowość osłabiać.

W moim przekonaniu, polską racją stanu w naszej polityce europejskiej jest obecnie, po ośmiu latach rządów eurosceptycznej prawicy, przemyślenie na nowo koncepcji polskiej obecności w Unii i przekonanie rodaków, że nasz interes narodowy wymaga dzisiaj jej wzmocnienia. Wymaga także stworzenia realnej zdolności obronnej, umacniającej Europę w scenariuszach, w których nie będziemy mogli liczyć na zaangażowanie Stanów Zjednoczonych, które coraz więcej uwagi i zasobów poświęcają obszarowi Pacyfiku.

[1] Ukraine's Euro-Atlantic Future: Paving the path to peace and security, 14th May 2024. Wśród sygnatariuszy, oprócz Aleksandra Kwaśniewskiego, są między innymi: Anders Fogh Rasmussen, Dalia Grybauskaitė, Sanna Marin, Marek Belka, Mikuláš Dzurinda, Carl Bildt, Boris Johnson, Hillary Clinton, Peter MacKay, Michèle Alliot-Marie, lord William Hague, Kurt Volker, Wesley Clark, Heinrich Brauss.



Prezydent Aleksander Kwaśniewski i minister spraw zagranicznych Bronisław Geremek, Waszyngton, IV 1999, fot. Piotr Janowski, Agencja Wyborcza.pl



Günter Verheugen, główny negocjator rozszerzenia Unii Europejskiej w 2004 r., fot. P. Droździk



Szczyt Trójkąta Weimarskiego, Poznań, 21 II 1998,
fot. Archiwum KPRP



O stosunkach polsko-niemieckich po 15 latach od podpisania traktatu.
Rita Süssmuth i Władysław Bartoszewski, 2006,
fot. W. Olkuśnik, Agencja Wyborcza.pl



Przewodniczący Parlamentu Europejskiego Jerzy Buzek
i przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso,
8 IX 2010, fot. P. Droździk



Prezydent Niemiec Horst Köhler w Gdańsku, 15 VII 2004,
fot. Archiwum KPRP



Uroczystości 60. rocznicy wybuchu II wojny światowej.
Prezydenci Aleksander Kwaśniewski i Johannes Rau,
Westerplatte, 1 IX 1999, fot. Archiwum KPRP



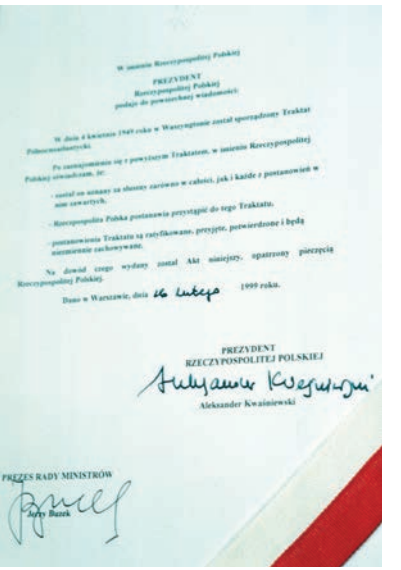
Sesja inauguracyjna Szczytu Waszyngtońskiego NATO, 24 IV 1999, fot. Archiwum KPRP



Prezydent Aleksander Kwaśniewski i minister obrony narodowej Bronisław Komorowski na poligonie wojskowym w Wicku Morskim, 31 VIII 2001, fot. Archiwum KPRP



Prezydent Bill Clinton przemawia na Placu Zamkowym w Warszawie, 10 VII 1997, fot. Archiwum KPRP



PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Aleksander Kwaśniewski

PREZES RADY MINISTRÓW
Jerzy Buzek

Akt ratyfikacyjny Traktatu Północnoatlantyckiego, 26 II 1999, fot. Archiwum KPRP



Ćwiczenia wojsk NATO „Strong Resolve 2002”, 9 III 2002, fot. Archiwum KPRP



Wyjazd polskiego kontyngentu do Iraku. Pożegnanie z córką, I 2004,
fot. Piotr Ulamowski, Agencja Wyborcza.pl



Polscy żołnierze z bydgoskiego batalionu logistycznego w bazie Charlie
w Al Hillal w Iraku, III 2005, fot. Krzysztof Szatkowski, Agencja Wyborcza.pl



Spotkanie prezydentów, Moskwa, 11 IV 1996, fot. Archiwum KPRP



Warszawskie debaty o Ukrainie. Konferencja „Ukraina w Europie”,
Belweder, 16 X 2002, fot. Archiwum KPRP



Rozmowy prezydentów, Biały Dom, Waszyngton, 11 X 2005,
fot. Archiwum KPRP



Złożenie kwiatów na grobie matki Józefa Piłsudskiego, Cmentarz na Rossie, Wilno, fot. Archiwum KPRP



Czesław Miłosz podczas spotkania z prezydentem Polski i premierem Litwy, fot. Archiwum KPRP



Spotkanie z Polonią, Żytomierz, Ukraina, 22 V 1997, fot. Archiwum KPRP



Ukraińska pomarańczowa rewolucja, Majdan Niezależnosti, Kijów, grudzień 2004, fot. R. Kowalewski, Agencja Wyborcza.pl



Aleksander Kwaśniewski, Wiktor Juszczenko i Leonid Kuczma po ostatnim posiedzeniu okrągłego stołu w Kijowie, noc 6/7 XII 2004, fot. Agencja Wyborcza.pl



Mediatorzy Aleksander Kwaśniewski, Valdas Adamkus, Javier Solana podczas pomarańczowej rewolucji w Kijowie, listopad 2004, fot. D. Kramski, Agencja Wyborcza.pl



Ukraiński okrągły stół, Kijów, 1 XII 2004, fot. Archiwum KPRP



Relacje polsko-ukraińskie pozostawały w centrum uwagi kolejnych przywódców Polski i Ukrainy, fot. S. Kamiński, Agencja Wyborcza.pl



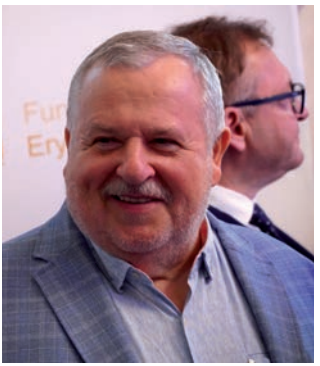
Spotkania premierów Grupy Wyszehradzkiej i Ukrainy próbowano w Polsce kontynuować w 2016 r. mimo sprzeciwu Węgier, fot. P. Droździk

Noty biograficzne



Valdas Adamkus – ur. 3 XI 1926 r. w Kownie jako Voldemaras Adamkavičius. Prezydent Republiki Litewskiej (1998–2003, 2004–2009). Podczas II wojny światowej uczestniczył w antyniemieckim ruchu oporu. Od 1949 r. w Stanach Zjednoczonych. Absolwent Illinois Institute of Technology (1960). Aktywny uczestnik życia społecznego i politycznego litewskiej społeczności emigracyjnej. W 1997 r. wziął udział w wyborach prezydenckich na Litwie jako kandydat niezależny. Ponownie wybrany na urząd prezydenta Litwy w przedterminowych wyborach 2004 r. Wspólnie z A. Kwaśniewskim i J. Solaną uczestniczył w procesie mediacji między władzą i opozycją (obrady okrągłego stołu), podczas pomarańczowej rewolucji w listopadzie i grudniu 2004 r. w Ukrainie.

fot. Baltic Development Forum



Artur Balazs – ur. 3 I 1952 r. w Ełku. Absolwent Akademii Rolniczej w Szczecinie (1985). Działacz opozycji antykomunistycznej w PRL. Współzałożyciel struktur NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych w Szczecinie (1980), sygnatariusz porozumień rzeszowsko-ustrzyckich (1981). W stanie wojennym internowany i więziony. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. Członek Komitetu Obywatelskiego „Solidarność". Wieloletni parlamentarzysta, poseł na Sejm kilku kadencji, senator, członek rządów Tadeusza Mazowieckiego, Jana Olszewskiego i Jerzego Buzka. Podczas negocjacji akcesyjnych z Unią Europejską główny negocjator w obszarze rolnictwa i polityki rolnej.

fot. Mateusz Gieryga, domena publiczna



Marek Belka – ur. 9 I 1952 r. w Łodzi. Absolwent Uniwersytetu Łódzkiego (1972). Prof. dr hab. nauk ekonomicznych. Naukowo związany z Katedrą Ekonomii UŁ (od 1973 r.) i z Instytutem Nauk Ekonomicznych PAN (od 1986 r.). Członek Komitetu Nauk Ekonomicznych PAN (2011–2015). Autor ponad 100 prac naukowych, poświęconych głównie teorii pieniądza oraz polityce antyinflacyjnej w krajach rozwijających się. Specjalizuje się w zakresie ekonomii stosowanej oraz współczesnej myśli ekonomicznej. Wicepremier i minister finansów w rządach Włodzimierza Cimoszewicza i Leszka Millera. W latach 2003–2004 był m.in. odpowiedzialny za pozyskiwanie międzynarodowej pomocy dla Iraku oraz za politykę gospodarczą w tym kraju. Premier RP w latach 2004–2005, następnie sekretarz wykonawczy Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ oraz dyrektor w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Prezes Narodowego Banku Polskiego (2010–2016), poseł do Parlamentu Europejskiego (2019–2024).

fot. Narodowy Bank Polski, domena publiczna



Mieczysław Bieniek – ur. 19 VI 1951 r. w Krapkowicach. Generał Wojska Polskiego w st. sp., doktor nauk o obronności. Absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych (1973), oraz polskich i zagranicznych akademii wojskowych. Brał udział w wojskowych misjach pokojowych w Syrii i Saharze Zachodniej. Dowódca 6. Brygady Powietrzno-Desantowej w Krakowie, współtwórca Dywizji Kawalerii Powietrznej w Tomaszowie Mazowieckim. Szef pionu w Dowództwie Sojuszniczych Sił Zbrojnych NATO w Europie, zastępca dowódcy międzynarodowego Korpusu Armijnego NATO w Turcji. Dowódca II zmiany Wielonarodowej Dywizji Sił Stabilizacyjnych w Iraku w 2004 r. Był także dowódcą Korpusu Zmechanizowanego w Krakowie. Polski Przedstawiciel Wojskowy przy Komitetach Wojskowych NATO i UE (od 2009 r.). Z-ca dowódcy strategicznego w Sojuszniczym Dowództwie Transformacyjnym NATO w Norfolk w USA. W stanie spoczynku od 2014 r. Autor publikacji na temat bezpieczeństwa i obronności.

fot. Cancre, domena publiczna



Tony Blair – ur. 6 V 1953 r. w Edynburgu. Absolwent prawa na St. John's College w Uniwersytecie Oksfordzkim oraz City Law School. Członek Partii Pracy (od 1975 r.) i jej lider (1994–2007). Członek Izby Gmin z okręgu Sedgefield w latach 1983-2007. Minister w gabinecie cieni od 1987 r., lider opozycji (1994-1997). W rezultacie wyborów 1997, 2001 i 2005 r. był najdłużej urzędującym laburzystowskim premierem Zjednoczonego Królestwa (1997–2007). Prowadził prorynkową politykę, był twórcą doktryny politycznej „New Labour". Poparł działania NATO podczas konfliktu w Kosowie w 1999 r., a po 11 IX 2001 r. operacje USA w Afganistanie i Iraku. W 2007 r. ustąpił z funkcji lidera Partii Pracy, złożył rezygnację z urzędu premiera i członka Izby Gmin.

fot. The Wolr Affairs Council, domena publiczna



George Walker Bush – ur. 6 VII 1946 r. w New Haven, syn prezydenta George'a H.W. Busha. Absolwent Uniwersytetu Yale (1968) i Harvard Business School (1975). Kontynuator polityki prezydenta Ronalda Reagana i swego ojca. Związany z Partią Republikańską. Gubernator stanu Teksas (1995–2000), prezydent Stanów Zjednoczonych (2001–2009). Orędownik wojny z terroryzmem po zamachach na World Trade Center i Pentagon z 11 IX 2001 r. Za prezydentury G.W. Busha przeprowadzone zostały m.in.: „Operation Enduring Freedom" (Afganistan, 2001–2002), oraz „Operation Iraqi Freedom" (Irak, 2003–2005), z udziałem polskich kontyngentów wojskowych w siłach międzynarodowej koalicji. W latach 2001, 2003 i 2007 złożył oficjalne wizyty w Polsce. W pamiętniku *Decision points* (2010), o ostatnich tygodniach swej prezydentury pisze: „W tym samym czasie Rosja najechała i okupowała Gruzję, huragan Ike uderzył w Teksas, a Ameryka toczyła wojnę na dwóch frontach w Iraku i Afganistanie. To był jeden z najbardziej paskudnych sposobów na zakończenie prezydentury" („Los Angeles Times", 10 XI 2010).

fot. Eric Draper, domena publiczna



Włodzimierz Cimoszewicz – ur. 13 IX 1950 r. Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego (1972), doktor nauk prawnych (1978). Po 1989 r. parlamentarzysta wielu kadencji, przewodniczący Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, wicemarszałek (1995–1996) i marszałek Sejmu (2005), senator (2007–2015). Wicepremier oraz minister sprawiedliwości w rządzie Waldemara Pawlaka, inicjator programu antykorupcyjnego pod nazwą „Czyste ręce". Premier w latach 1996–1997. Minister Spraw Zagranicznych w rządach Leszka Millera i Marka Belki (2001–2005). Sygnatariusz, razem z premierem w imieniu Polski, traktatu o przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej (Ateny, 16 IV 2003). Poseł do Parlamentu Europejskiego IX kadencji (2019–2024).

fot. Adam Nurkiewicz, domena publiczna



Stanisław Ciosek – ur. 2 V 1939 r. w Pawłowicach, zm. 18 X 2022 r. w Warszawie. Absolwent Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie (1961). Działacz organizacji młodzieżowych, m.in. prezes Rady Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich, oraz PZPR, m.in. członek Biura Politycznego KC (1988–1989). Poseł na Sejm PRL (1980–1985), minister do spraw związków zawodowych oraz minister pracy (od 1983 r.). Współinicjator oraz uczestnik rozmów władz PRL z przedstawicielami Kościoła i opozycji, a następnie wiosną 1989 r. obrad polskiego Okrągłego Stołu. Ambasador PRL i RP w ZSRR i Federacji Rosyjskiej (1989–1996), następnie doradca prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego ds. międzynarodowych i polityki wschodniej. Autor książki *Wspomnienia (niekoniecznie) dyplomatyczne* (2014).

fot. Piotr Droździk



Alfred Gusenbauer – ur. 8 II 1960 r. w Sankt Poelten. Absolwent nauk politycznych i filozofii Uniwersytetu Wiedeńskiego (1987), doktor nauk politycznych. W Socjaldemokratycznej Partii Austrii, SPOe, był m.in. przewodniczącym organizacji młodzieżowej, członkiem zarządu partii w Dolnej Austrii i jej sekretarzem generalnym (2000–2008). Kanclerz Austrii w latach 2007–2008. SPOe pod jego kierownictwem aktywnie wspierała Polskę i inne państwa regionu Europy Środkowej w procesie przygotowań do członkostwa w Unii Europejskiej, zakończonych akcesją w 2004 r. W wyniku wyborów parlamentarnych 2006 r. utworzył koalicyjny rząd Socjaldemokratycznej Partii Austrii i Austriackiej Partii Ludowej, OeVP. Podczas oficjalnej wizyty w Polsce (czerwiec 2007), podkreślał rolę solidarności europejskiej. Po wyjściu austriackich ludowców z koalicji ogłosił rezygnację z ubiegania się o reelekcję na stanowisko kanclerza (VII 2008). Po odejściu z polityki w 2009 r. wchodził w skład nadzorczych firm i prowadzi działalność konsultingową.

fot. Manfred Werner, domena publiczna



Jerzy Hausner – ur. 6 X 1949 r. Świnoujściu. Absolwent Akademii Ekonomicznej w Krakowie. Profesor dr hab. nauk ekonomicznych. Członek Komitetu Nauk Ekonomicznych PAN. Autor i współautor ponad 600 publikacji naukowych. Założyciel Katedry (obecnie Kolegium) Gospodarki i Administracji Publicznej Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Szef doradców wicepremiera Grzegorza Kołodki w rządzie Włodzimierza Cimoszewicza, pełnomocnik rządu ds. reformy zabezpieczenia społecznego (1996–1997), następnie społeczny doradca prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Minister pracy i polityki społecznej oraz minister gospodarki (2001–2004), wicepremier w rządach Leszka Millera i Marka Belki. Autor planu naprawy finansów publicznych. Członek Rady Polityki Pieniężnej (2010–2016). Twórca koncepcji międzynarodowego kongresu ekonomicznego Open Eyes Economy Summit, przewodniczący jego rady programowej.

fot. Adam Mikołajczyk, domena publiczna



Wiktor Juszczenko – ur. 23 II 1954 r. we wsi Chorużiwka, w obwodzie sumskim. Absolwent Instytutu Finansowo-Ekonomicznego w Tarnopolu (1975). Dr nauk ekonomicznych. W latach 1993–1999 prezes Narodowego Banku Ukrainy. Za jego kadencji wprowadzono w Ukrainie hrywnę, walutę narodową. Następnie, do kwietnia 2001 r., premier rządu Ukrainy. Realizował stosunkowo niezależną od prezydenta i nowatorską politykę ekonomiczną: dyscypliny budżetowej, egzekwowania należności od sektora paliwowo-energetycznego i likwidacji podatkowej „szarej strefy" wielkiego biznesu. Lider centroprawicowego bloku Nasza Ukraina, który w 2002 r. wygrał wybory parlamentarne, lecz pozostał w opozycji. Ofiara zatrucia dioksynami przed wyborami prezydenckimi 2004 r., w których był głównym konkurentem W. Janukowycza. Wybrany na urząd prezydenta w wyniku powtórzenia II tury wyborów, uznanej przez Sąd Najwyższy za sfałszowane. Jako prezydent Ukrainy blisko współpracował z kolejnymi prezydentami Polski – Aleksandrem Kwaśniewskim i Lechem Kaczyńskim. Opowiadał się za pełnoprawnym członkostwem Ukrainy w NATO i UE. Bez sukcesu uczestniczył w wyborach prezydenckich 2010 r.

fot. Secretariat of the President of Ukraine, domena publiczna



Horst Köhler – ur. 22 II 1943 r. w Skierbieszowie na Zamojszczyźnie w rodzinie Niemców pochodzących z Besarabii. Absolwent ekonomii i politologii Uniwersytetu Eberharda Karola w Tybindze (1969), gdzie przez pewien czas pracował naukowo, doktor nauk ekonomicznych. Był wieloletnim wyższym urzędnikiem administracji państwowej, pracownikiem federalnych ministerstw gospodarki oraz finansów. Przygotowywał unię walutową między NRD a RFN w 1990 r., negocjował finansowe warunki wycofania Armii Radzieckiej z Niemiec, prowadził wiele gospodarczych negocjacji międzypaństwowych. Od 1998 r. kierował Europejskim Bankiem Odbudowy i Rozwoju, a w latach 2000–2004 był dyrektorem zarządzającym i przewodniczącym Rady Wykonawczej Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

W 2004 i 2008 r. dfcxs został wybrany prezydentem Republiki Federalnej Niemiec. Horst Köhler był pierwszym prezydentem w historii Niemiec, który za cel swej pierwszej podróży zagranicznej w lipcu 2004 r. wybrał Warszawę. Potępiał także działalność tzw. Powiernictwa Pruskiego. Był obecny w Krakowie w kwietniu 2010 r. podczas pogrzebu Marii i Lecha Kaczyńskich na Wawelu.

fot. Roosewelt Pinheiro/ABr, domena publiczna



Bronisław Komorowski – ur. 4 VI 1952 r. w Obornikach Śląskich. Absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego (1977). Działacz opozycji demokratycznej w PRL. Zatrzymywany, aresztowany, a w okresie stanu wojennego internowany. Był członkiem NSZZ „Solidarność" od 1980 r. Po utworzeniu rządu Tadeusza Mazowieckiego został dyrektorem gabinetu ministra Aleksandra Halla. Następnie, w latach 1990–1991 i 1992–1993 był wiceministrem obrony narodowej. W latach 2000–2001 minister obrony narodowej. Był członkiem Unii Wolności i jej sekretarzem generalnym (1995–1997). Od 1997 r. w Stronnictwie Konserwatywno-Ludowym – sekretarz generalny i wiceprezes, a od 2001 r. w Platformie Obywatelskiej, od 2006 r. – jej wiceprzewodniczący. Poseł na Sejm wielu kadencji, wicemarszałek, a w latach 2007–2010 marszałek Sejmu. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej (2010–2015). W kampanii pod hasłem „Zgoda buduje", pokonał Jarosława Kaczyńskiego w II turze. W wyborach prezydenckich 2015 r., występując pod hasłem „Wybierz zgodę i bezpieczeństwo", przegrał z popieranym przez Prawo i Sprawiedliwość Andrzejem Dudą w II turze.

fot. Wojciech Grzędziński, domena publiczna



Leonid Kuczma – ur. 9 VIII 1938 r. w Czajkynem w obwodzie czernihowskim. Absolwent Dniepropietrowskiego Uniwersytetu Państwowego (1960). Doktor (kandydat) nauk technicznych. Po ukończeniu studiów był zawodowo związany z radzieckim przemysłem kosmicznym, w przedsiębiorstwach produkcji i projektowania rakiet w Dniepropietrowsku w Ukrainie oraz na kosmodromie Bajkonur w Kazachstanie. Deputowany do Rady Najwyższej Ukrainy od 1991 r., głosował za przyjęciem Deklaracji Niepodległości. Premier rządu (1992–1993), prezydent Ukrainy (1994–2005). Za jego prezydentury powstał system klanów oligarchicznych, za pomocą których sprawował kontrolę nad ukraińską gospodarką. Realizował strategię wielowektorowej polityki zagranicznej. Nawiązał bliskie relacje z polskim prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim, angażował się w proces historycznego pojednania z Polską. W wyborach prezydenckich jesienią 2004 r. poparł Wiktora Janukowycza, ale podczas pomarańczowej rewolucji uczestniczył w negocjacjach mających zakończyć kryzys, związany ze sfałszowaniem wyników wyborów prezydenckich. Autor książki *Ukraina to nie Rosja* (2004).

fot. Archiwum KPRP



Jerzy Kwieciński – ur. 16 X 1959 r. w Stalowej Woli. Absolwent Politechniki Warszawskiej. Doktor nauk technicznych (1991). Nauczyciel akademicki i pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej. Pracował w przedstawicielstwie Komisji Europejskiej w Polsce (1993–2004), był prezesem Europejskiego Centrum Przedsiębiorczości i doradcą Banku Światowego. Od 2005 r., jako wiceminister rozwoju regionalnego w rządach Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego, przygotowywał m.in. Strategię Rozwoju Kraju 2007–2015 i Narodową Strategię Spójności 2007–2013. Członek Rady Programowej Prawa i Sprawiedliwości. Od 2015 r. sekretarz stanu w Ministerstwie Rozwoju, pełnomocnik premiera ds. funduszy europejskich i rozwoju regionalnego. Minister inwestycji i rozwoju, jednocześnie minister finansów (2018–2019) w rządzie Mateusza Morawieckiego. Zajmował się m.in. przygotowaniem i realizacją strategii na rzecz odpowiedzialnego rozwoju i realizacją polityki spójności.

fot. Adrian Grycuk,domena publiczna



Ewa Łętowska – ur. 22 III 1940 r. w Warszawie. Absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego (1962). Profesor dr hab. nauk prawnych, specjalizująca się w zakresie prawa cywilnego, konstytucyjnego, administracyjnego oraz praw człowieka. Wykładowczyni na Wydziale Prawa i Administracji UW, członkini Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności. Rzecznik Praw Obywatelskich (1988–1992), pierwsza osoba sprawująca ten urząd w Polsce. Sędzia Naczelnego Sądu Administracyjnego (1999–2002), sędzia Trybunału Konstytucyjnego (2002–2011). Autorka wielu prac naukowych z zakresu prawa cywilnego, konstytucyjnego i ochrony konsumentów, a także esejów i artykułów publicystycznych o tematyce prawniczej.

fot. Adrian Grycuk, domena publiczna



Stefan Niesiołowski – ur. 4 II 1944 r. w Kałęczewie. Absolwent Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Łódzkiego (1966), nauczyciel akademicki tej uczelni. Profesor dr hab. nauk biologicznych, entomolog. Działacz opozycji demokratycznej w PRL. Współzałożyciel konspiracyjnej organizacji „Ruch" (1965), aresztowany, skazany i więziony (1970–1974). Działacz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, NSZZ „Solidarność". Internowany po wprowadzeniu stanu wojennego. Współzałożyciel (1989) i członek kierownictwa Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, po 2005 r. członek Platformy Obywatelskiej. Poseł na Sejm wielu kadencji i senator. Wicemarszałek Sejmu VI kadencji (2007–2011).

fot. Piotr Drożdzik



Romano Prodi – ur. 9 VIII 1939 r. w Scandiano. Absolwent Katolickiego Uniwersytetu Najświętszego Serca w Mediolanie (prawo) i London School of Economics. Nauczyciel akademicki Uniwersytetu Bolońskiego (1963–1999), wykładowca Uniwersytetu Harvarda i Stanford Research Institute. Wydawca, właściciel firmy konsultingowej, prasowy i telewizyjny publicysta ekonomiczny (1974–1992). Członek Chrześcijańskiej Demokracji, minister w rządzie Giulio Andreottiego (1978–1979). Inicjator powołania centrolewicowej koalicji „Drzewo Oliwne", która zwyciężyła w wyborach parlamentarnych w 1996 r. Dwukrotny premier Republiki Włoskiej (1996–1998, 2006–2008), przewodniczący Komisji Europejskiej (1999–2004). Podczas jego przewodnictwa w Komisji Europejskiej przeprowadzono rozszerzenie Unii Europejskiej o dziesięć państw (1 v 2004 r.). Od 2005 r. lider Unii, szerokiej koalicji opozycyjnej wobec S. Berlusconiego, a po wygranych przez nią wyborach, ponownie premier Włoch (17 V 2006–24 I 2008 r.). Po wycofaniu się z działalności politycznej specjalny wysłannik sekretarza generalnego ONZ w misjach pokojowych w Afryce (2008–2014).

fot. Niccolò Caranti, domena publiczna



Adam Daniel Rotfeld – ur. 4 III 1938 r. w Przemyślanach. Uratowany przed Zagładą dzięki opiece Klemensa Szeptyckiego, archimandryty klasztoru w Uniowie pod Lwowem, prowadzonego przez greckokatolickich duchownych z zakonu studytów. Profesor dr hab. nauk humanistycznych. Absolwent Szkoły Głównej Służby Zagranicznej w Warszawie (1960), Uniwersytetu Warszawskiego (1962). Pracownik naukowy Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (1961–1989). Dyrektor Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem, SIPRI (1989–2002). Członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego RP (od 2000 r.). Wiceminister i minister spraw zagranicznych (2002–2005). Przewodniczący kolegium doradczego Sekretarza Generalnego ONZ do spraw rozbrojenia, współprzewodniczą-

cy polsko-rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych (2008–2017). Członek Grupy Ekspertów NATO do przygotowania nowej koncepcji strategicznej paktu, a także think tanków, zajmujących się kwestiami rozbrojenia i bezpieczeństwa, w tym Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych, ECFR. Autor ponad 400 publikacji naukowych, w tym ponad 10 książek, oraz współautor blisko 20 monografii. Członek Polskiej Akademii Nauk, a także rad naukowych polskich i zagranicznych uczelni i ośrodków badawczych.

fot. Grzegorz Gołębiowski, domena publiczna



Javier Solana – ur. 14 VII 1942 r. w Madrycie. Absolwent wydziału fizyki Uniwersytetu Complutense w Madrycie (1965), University of Virginia (doktorat, 1971). Członek Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, PSOE (od 1964 r.). Poseł do Konstytuanty (1977), następnie członek Kongresu Deputowanych, izby niższej Kortezów. Minister edukacji i spraw zagranicznych w czterech rządach Felipe Gonzāleza (1982–1995). Sekretarz Generalny NATO (1995–1999). Wysoki Przedstawiciel do Spraw Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa i Sekretarz Generalny Rady Unii Europejskiej (1999–2009). W czasie jego kadencji utworzono Radę Partnerstwa Euroatlantyckiego, rozszerzono Sojusz o Polskę, Czechy i Węgry (1999), przeprowadzono operacje pokojowe i stabilizacyjne w Bośni oraz w Kosowie. Doprowadził do przyjęcia Europejskiej Strategii Bezpieczeństwa Unii Europejskiej. Negocjator wielu umów stowarzyszeniowych UE, jak też autor projektów, mających na celu rozwiązanie najważniejszych konfliktów międzynarodowych, w tym izraelsko-palestyńskiego. Razem z prezydentami Litwy – Valdasem Adamkusem oraz Polski – Aleksandrem Kwaśniewskim, brał udział w misji międzynarodowych mediatorów podczas pomarańczowej rewolucji w Ukrainie w listopadzie i grudniu 2004 r.

fot. R. D. Ward, domena publiczna



Janusz Steinhoff – ur. 24 IX 1946 r. w Gliwicach. Absolwent Wydziału Górniczego Politechniki Śląskiej (1974), dr nauk technicznych. Członek NSZZ „Solidarność" (od 1980 r.), zaangażowany w działalność opozycyjną i podziemną (1981–1989), ekspert w zakresie górnictwa i ochrony środowiska z ramienia „Solidarności" podczas obrad Okrągłego Stołu. Prezes Wyższego Urzędu Górniczego (1990–1994). Minister gospodarki (1997–2001), wicepremier (2000–2001). Poseł na Sejm kilku kadencji. W wyborach w 1989 r. kandydował z ramienia Komitetu Obywatelskiego, w 1991 r. – z Partii Chrześcijańskich Demokratów, a w 1997 r. – Akcji Wyborczej Solidarność. Członek Narodowej Rady Rozwoju, przewodniczący Rady Regionalnej Izby Gospodarczej w Katowicach i Rady Krajowej Izby Gospodarczej.

fot. Piotr Droździk



Hanna Suchocka – ur. 3 IV 1946 r. w Pleszewie. Prezes Rady Ministrów (1992–1993). Dr hab. nauk prawnych, profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracownik naukowy i nauczyciel akademicki w: Centrum Praw Człowieka Instytutu Państwa i Prawa PAN w Poznaniu, Krajowej Szkole Administracji Publicznej, Papieskiej Akademii Nauk Społecznych. Posłanka na Sejm w latach 1980–1985 oraz 1989–2001. Minister Sprawiedliwości i Prokurator Generalny w rządzie J. Buzka (1997–2000). Przedstawicielka Polski (1991–2016), pierwsza wiceprzewodnicząca (2015–2016), następnie honorowa przewodnicząca Komisji Weneckiej. Ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej (2001–2013). Autorka książki *Rzymskie pasje. Kościoły Stacyjne Wiecznego Miasta* (2013).

fot. autor nieznany, domena publiczna



Rita Süssmuth – ur. 17 II 1937 r. w Wuppertalu. Absolwentka romanistyki i historii na uczelniach w Münster, Tybindze i Paryżu (1961). Doktor nauk w zakresie pedagogiki i psychologii (1964). Nauczyciel akademicki uniwersytetów w Bochum, Dortmundzie, Getyndze, a także dyrektor Instytutu „Frau und Gesellschaft" w Hanowerze (1963–1985). W CDU od 1981 r., członek prezydium partii (1987–1998), przewodnicząca Związku Kobiet CDU (1986–2001). Minister ds. młodzieży, rodziny, kobiet i zdrowia w rządzie H. Kohla w latach 1985–1988. Zyskała popularność za otwarte i niekonwencjonalne podejście do kwestii kobiet, aborcji i AIDS. Przewodnicząca Bundestagu (1988–1998). Kierując Bundestagiem, zainicjowała jego reformę, niezbędną po zjednoczeniu Niemiec. Członkiem Bundestagu pozostała do 2002 r., angażując się m.in. w działalność Komisji Imigracyjnej, wbrew stanowisku CDU i CSU. Przewodnicząca Rady ds. Imigracji i Integracji (2002–2004). Prezes Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich, DPI w Darmstadt. Autorka wielu publikacji, w tym książki *Nie zostawiaj świata szaleńcom: list do wnuków* (2020).

fot. Archiwum KPRP



Julia Tymoszenko – ur. 27 XI 1960 r. w Dniepropietrowsku (obecnie Dnipro). Absolwentka Wydziału Ekonomii Dniepropietrowskiego Uniwersytetu Państwowego (1984). Doktor nauk ekonomicznych (1999). Założycielka i liderka partii Batkiwszczyna (1999), wcześniej współpracowała z Partią Hromada b. premiera Pawła Łazarenki. Siedmiokrotnie wchodziła do Rady Najwyższej Ukrainy. Wicepremier do spraw energetyki w rządzie Wiktora Juszczenki (1999–2001), następnie w opozycji. W 2002 r., po ujawnieniu zabójstwa krytycznego wobec władz dziennikarza Heorhija Gongadze, przystąpiła do ruchu „Ukraina bez Kuczmy". W wyborach prezydenckich 2004 r. poparła W. Juszczenkę, należała do liderów pomarańczowej rewolucji. Trzykrotnie kandydowała w wyborach prezydenckich (2010, 2014, 2019). Premier rządu Ukrainy (2005, 2007–2010). Zwolenniczka integracji Ukrainy z UE i NATO.

fot. Archiwum KPRP

Indeks osób

Abramowicz Roman 267

Adamkus Valdas 9, 12, 209, 335, 341–347, 407, 411, 421

Albright Madeleine 304

Alliot-Marie Michèle 394

Ałganow Władimir 313

Ananicz Andrzej 379

Andreotti Giulio 420

Arendt Hannah 214

Asad-al Baszszar 269

Asmus Ron (Ronald Dietrich) 304

Azarow Mykoła 387

Aznar José María 380

Balazs Artur 6, 12, 119–130, 189, 411

Balcerowicz Leszek 28, 37, 40, 48–49, 56–57, 76, 102–106, 111, 113, 115, 119, 121, 124, 131–133, 141–143, 172, 315

Barcikowski Andrzej 379

Barroso José Manuel 397

Bartoszewski Władysław 86, 219, 247, 376–377, 396

Bauc Jarosław 109, 176

Bauman Zygmunt 31

Bączkowski Włodzimierz 86

Belka Marek 6, 12, 87, 97, 100, 106, 110, 113, 115, 127, 131–138, 168, 172, 178, 296–297, 379, 394, 412, 414, 415

Berlusconi Silvio 380, 420

Biden Joe (Joseph Robinette) 330

Bielecki Jan Krzysztof 49, 58, 110, 147

Bieniek Mieczysław 8, 285–301, 412

Bildt Carl 394

Blair Tony 7, 8, 12, 227–232, 265–269, 293, 380, 413

Blida Barbara 105

Boni Michał 107, 113, 114

Borowski Marek 109, 176

Brandt Willy 90, 91, 246, 384

Brauss Horst-Heinrich Reinhard 248–249, 257, 394

Bremer Lewis Paul 293, 295–297

Breżniew Leonid 361, 384

Browder Bill 316, 317

Brzeziński Zbigniew 303, 324, 381

Bugaj Ryszard 38, 104, 106

Buras Piotr 247–248, 257

Bush George W. 8, 12, 206, 223, 261–263, 269, 321–333, 381, 385, 413

Buzek Jerzy 40–42, 63, 101, 106–107, 109, 111–112, 116, 121, 124, 126, 130, 133–134, 142–144, 152, 168, 171–172, 188, 379, 397, 411, 422

Carter Jimmy 379

Casaroli Agostino 63

Ceaușescu Nicolae 379

Chasbułatow Rusłan 317

Chirac Jacques 97, 223, 292, 380

Christienko Wiktor 116
Chruszczow Nikita 326
Churchill Winston 216, 220
Cimoszewicz Włodzimierz 5, 9, 12, 55–69, 107, 112, 132, 136, 143, 173, 177, 333–339, 412, 414, 415
Ciosek Stanisław 8, 12, 199, 309–317, 414
Clark Wesley 394
Clinton Bill (William Jefferson) 230, 303, 379, 400
Clinton Hillary 394
Cox Pat 387, 388
Czempiński Gromosław 378
Czernomyrdin Wiktor 335
Dymitr Samozwaniec 322
Dostojewski Fiodor 223
Duda Andrzej 169, 417
Dugin Aleksandr 338
Dzurinda Mikuláš 394
Dziwisz Stanisław 75, 77, 182
Eysymontt Jerzy 106
Fabius Laurent 388
Falandysz Lech 168
Falin Walentin 310
Farage Nigel 229
Fischer Joschka 335
Fischler Franz 126
Ford Gerald 379
Fukuyama Francis 221, 234, 250
Gajdar Jegor 314–316
Gandhi Mahatma 309
Gądecki Stanisław 74
Geremek Bronisław 77, 86, 102, 112, 174, 188, 395
Gęsicka Grażyna 155
Giedroyć Jerzy 86, 91, 192
Gierek Edward 379
Giertych Roman 181
Gilowska Zyta Janina 136
Glemp Józef 77, 180
Głódź Sławoj Leszek 181, 196, 288
Gogh van Vincent 223
Gomułka Władysław 90, 384
Gongadze Heorhij 423
González Felipe 421
Gorbaczow Michaił 215, 219, 222–223, 249, 311, 326–327, 385
Grabowska Alina 57
Gronkiewicz-Waltz Hanna 172
Grybauskaitė Dalia 394
Gryzłow Boris 335
Gudzowaty Aleksander 116
Gusenbauer Alfred 7, 12, 233–244, 415
Haider Jörg 68
Hague William Lord 394
Hakim-al Muhammad Bakir 299
Hall Aleksander, Olek 38, 122, 417
Handke Mirosław 108
Hausner Jerzy 6, 12, 28, 100, 113, 115, 134, 135, 139–147, 415
Heller Michaił 328

Hitler Adolf 80, 93, 320, 323
Holmes Stephen 249–250, 257
Hübner Danuta 189
Husajn Saddam 269, 292–295, 300
Iljin Iwan 338
Jan Paweł II 51–52, 64, 77, 95, 120–121, 180–181, 190, 196, 341, 374
Jacobsson Per 252, 257
Janajew Giennadij 272, 317, 330
Janukowycz Wiktor 209, 331, 334, 387–389, 416, 418
Jaruzelski Wojciech 103, 205, 206, 273
Jawlinski Grigorij 315
Jelcyn Boris 311–312, 314–317, 327, 336, 349, 357, 385
Jędraszewski Marek 74
Johnson Boris 394
Juan Carlos I 205, 212
Juszczenko Wiktor 9, 12, 209, 334, 336, 346, 357–364, 406, 416, 423
Kaczyńska Maria 191, 417
Kaczyński Jarosław 40, 57, 72, 81, 102, 127, 133, 137, 147, 174, 178, 181, 183, 280, 383, 390, 417–418
Kaczyński Lech 57, 111, 169, 182, 193, 337, 359, 409, 416–418
Kalisz Ryszard 135
Karkoszka Andrzej 276
Karol Wielki 382
Karski Jan 193
MacKay Peter 394
Kissinger Henry 224
Klaus Václav 315
Kluczkowski Jacek 13
Köhler Horst 7, 12, 245–256, 397, 416–417
Kohl Helmut 90–91, 217, 423
Kołodko Grzegorz 28, 110, 111, 113, 115, 132, 146
Kołodziejczyk Piotr 273, 275, 287
Komornicki Krzysztof 56
Komorowski Bronisław 5, 8, 9, 12, 37–43, 169, 191, 271–283, 289, 329–332, 382, 399, 417
Kopacz Ewa 159
Korwin-Mikke Janusz 38, 131
Kowalow Leonid 290
Koźmiński Jerzy 303
Krastew Iwan 249–250, 257
Krauze Ryszard 145
Krawczuk Leonid 327, 357, 358,
Kriuczkow Władimir 310
Krzaklewski Marian 78, 107, 115, 171
Krystosik Ryszard 299
Kubiš Ján 335
Kuczma Leonid 9, 12, 195, 334–346, 349–356, 358, 359, 360, 406, 418, 423
Kudrin Aleksiej 319
Kukliński Ryszard 379
Kulesza Michał 108
Kuroń Jacek 38, 72, 86, 104, 174, 192
Kurowski Stefan 76, 104

Kurski Jacek 68
Kwaśniewski Aleksander 5, 6, 8, 9, 11–13, 37, 59, 60, 61, 79, 80, 92, 93, 94, 106, 111, 113, 119, 120, 124, 125, 126, 130, 132, 134, 163–184, 190, 195, 196, 206, 207, 209, 215, 221, 230, 246, 261, 266, 267, 268, 269, 271, 272, 278, 279, 288, 289, 294, 305, 312, 313, 321, 322, 324, 325, 326, 336, 339, 346, 355, 359, 366, 367, 373–394, 395, 398, 399, 406, 407, 411, 414–416, 418, 421
Kwieciński Jerzy 6, 12, 110, 149–160, 418
Laden bin Osama 208
Lemański Wojciech 95
Lenin Władimir 321, 326
Le Pen Marine 80, 184
Lepper Andrzej 46, 49, 121, 123, 181
Leszczyński Stanisław 98
Leyen von der Ursula 24
Libera Bogdan 378, 379
Łapiński Mariusz Piotr 108, 133
Łazarenko Pawło 423
Łączkowski Paweł 108
Łętowska Ewa 5, 12, 19–36, 419
Łytwyn Wołodymyr 335
Macharski Franciszek 95, 182
Macierewicz Antoni 291
Macron Emmanuel 184
Magnicki Siergiej 316, 317
Major John 228
Malejczyk Konstanty 287
Manafort Paul 387
Mandela Nelson 309
Marcinkiewicz Kazimierz 418
Marin Sanna 394
Mattis James 299
Mazowiecki Tadeusz 41, 42, 57, 58, 63, 77, 86, 90, 99, 103, 104, 105, 112, 119, 120, 121, 122, 124, 130, 206, 207, 271, 273, 310, 411, 417
Mearsheimer John Joseph 303
Mentzen Sławomir 131
Merkel Angela 361
Miedwiediew Dmitrij 326
Mieroszewski Juliusz 86
Milczanowski Andrzej 376–377
Milewski Jerzy 377
Miller Leszek 39, 79, 80, 87, 100, 108, 111, 116, 127, 131, 133, 134, 135, 172, 176, 189, 379, 412, 414–415
Miłosz Czesław 404
Mita De Luigi Ciriaco 222
Mitterrand François 385
Mniszchówna Maryna 322
Moczulski Leszek 182
Modzelewski Karol 38, 86, 192
Morawiecki Kornel 179
Morawiecki Mateusz 110, 116, 117, 159, 418
Mroziewicz Robert 292
Naimski Piotr 117
Nell-Breuning von Oswald 355, 357

Németh Zsolt 315
Niemcow Borys 219
Niesiołowski Stefan 5, 12, 71–82, 419
Nowak-Jeziorański Jan 303
Obama Barack 330
Occhetto Achille 174
Ojciec Święty, zob. Jan Paweł II
Okoński Zbigniew 287
Oleksy Józef 62, 67, 79, 173, 376, 378
Olszewski Jan 58, 106, 121, 179, 274, 276, 286
Onyszkiewicz Janusz 188, 273, 274
Orbán Victor 96, 250
Orłowski Witold 110
Osiatyński Jerzy 104, 115
Ostrowski Zdzisław 290
Palme Olof 326
Parys Jan 274
Pastusiak Longin 79
Pawlak Waldemar 62, 67, 116, 275, 287
Pawłowski Gleb 319
Petraeus David 299
Pieronek Tadeusz 197
Piłsudski Józef 71, 404
Piotr I Wielki 321
Pol Marek 105, 116
Polak Wojciech 95
Polko Roman 282
Poroszenko Piotr (Petro) 331
Powell Colin 294
Prodi Romano 7, 12, 221–226, 420
Putin Władimir 8, 9, 116, 208, 209, 222–224, 234, 247, 250, 256, 261–263, 265–269, 314, 316–317, 319–328, 331, 333–334, 336–339, 342, 345, 347, 349, 352, 356, 359, 361–363, 368, 385–386, 387–392
Pynzenyk Wiktor 360
Rajan Raghuram 252, 257
Rakowski Mieczysław F. 103, 135, 174
Rasmussen Anders Fogh 281, 394
Rau Johannes 246, 384, 398
Reagan Ronald 413
Religa Zbigniew 108
Rice Condoleezza 305
Ricks Thomas E. 298
Rijn van Rembrandt 223
Robertson George 279
Rokita Jan 183
Rosati Dariusz 62, 135
Rostowski Jacek (Jan Antony Vincent) 137
Rotfeld Adam Daniel 6, 8, 9, 12, 85–98, 303–308, 319–328, 420
Ruckoj Aleksandr 317
Rühe Volker 273
Rumsfeld Donald 381
Rydzyk Tadeusz 72, 73, 74, 75, 181
Ryś Grzegorz 95
Rywin Lew 88, 177
Sachs Jeffrey 314, 315

Sadr-as Muktada 296
Sánchez Pedro 243–244
Sanchez Ricardo 297
Sarkozy Nicolas 361
Schmidt Helmut 384
Schröder Gerhard 345, 361, 380, 384
Schüssel Wolfgang 69
Siemiątkowski Zbigniew 379
Sierakowska Izabela 79
Sikorski Radosław 388, 390
Sikorski Władysław 182
Siwicki Florian 273
Siwiec Marek 94, 292, 305, 377
Skubiszewski Krzysztof 62, 86, 91, 271
Smolar Aleksander 32
Smoleń Stanisław 295
Sobolewski Marian 291
Sodano Angelo 181
Solana Javier 7, 12, 97, 205–212, 335, 407, 411, 421
Sowa Jan 19, 36
Stalin Josif 321, 323, 326
Steinhoff Janusz 6, 12, 99–117, 125, 134, 199, 278, 422
Steinmeier Frank-Walter 245, 388
Stelmachowski Andrzej 86
Stoiber Edmund 380
Stützle Walther 92, 93
Suchocka Hanna 5, 12, 39, 45–54, 55, 62, 67, 108, 147, 290, 422
Surkow Władisław 319–320
Süssmuth Rita 7, 12, 213–220, 396, 423
Szeptycki Klemens 421
Szmajdziński Jerzy 92, 93, 275, 278, 279, 381
Szumski Henryk 292, 378
Szuszkiewicz Stanisłau 327
Ślisz Józef 122
Thatcher Margaret 109
Tischner Józef 109
Tołstoj Lew 223
Trump Donald 80, 243, 387
Tusk Donald 41, 68, 73, 82, 96, 107, 111, 114, 115, 127, 136, 137, 145, 159, 169, 173, 175, 177, 183, 390
Tymiński Stanisław (Stan) 59, 104, 123
Tymoszenko Julia 9, 12, 365–371, 423
Verheugen Günter 125, 126, 395
Volker Kurt 394
Wachowski Mieczysław 287
Wałęsa Lech 38, 50, 57, 58, 61, 77, 79, 102–103, 122, 167–169, 174, 190, 271, 274–275, 287, 290, 291, 309, 311, 373, 375, 376, 379
Waniek Danuta 288
Wernik Andrzej 110
Wiatr Jerzy J. 79
Wilecki Tadeusz 274, 286–288, 375,
Wojtyła Karol zob. Jan Paweł II
Woźniak Zbigniew 108
Xi Jinping 210

Zajączkowski Wojciech 323
Marian Zacharski 376, 378
Zalewski Zbigniew 292
Zandberg Adrian 72
Zawiślak Andrzej 105
Zełenski Wołodymyr 245, 364
Zemke Janusz 79
Zembala Marian 108
Życiński Józef 95
Żyrynowski Władimir 322–323

Tytuł
Polityka przełomu wieków. Rozmowy o Polsce i świecie

Redakcja
Jacek Kluczkowski

Współpraca redakcyjna
Ireneusz Bil, Stanisław Ćwik, Marek Siwiec, Władysław Sokołowski

Projekt okładki
Paulina Niebieszczańska

© Copyright by: Fundacja Aleksandra Kwaśniewskiego Amicus Europae

Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani magazynowana w sposób umożliwiający ponowne wykorzystywanie, ani też rozpowszechniana w jakiejkolwiek formie za pomocą środków elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, bez uprzedniej pisemnej zgody właściciela praw autorskich

Skład, korekta, noty biograficzne, indeks osób, opracowanie fotografii
Wydawnictwo Poznanie Władysław Sokołowski, Warszawa

Fotografie
Archiwum Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej (Maciej Chojnowski, Damazy Kwiatkowski, Alicja Niziołek, Eliza Radzikowska);
Agencja Wyborcza.pl (Piotr Janowski, Sławomir Kamiński, Robert Kowalewski, Damian Kramski, Krzysztof Miller, Wojciech Olkuśnik, Agnieszka Sadowska, Krzysztof Szatkowski, Piotr Ulamowski);
Album *Wspólna Polska. Pięć lat prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego*, Warszawa, 2000, Wydawca: ZAPOLEX-Media; Dziennik Zachodni/GDDKiA;
Piotr Droździk; Marek Szczepański, domeny publiczne

Druk i oprawa
PWP Interdruk

Wydawca
Fundacja Aleksandra Kwaśniewskiego Amicus Europae

ISBN 978–83–972470–1–7

Koordynator projektu
Vi-Press – Joanna Świerczyńska
Warszawa 2024

GEORGE W. BUSH

„Wspierałem rozszerzenie NATO, ponieważ miałem mocne poczucie, że zachęci to narody takie jak twój [polski] do umocnienia ich młodych demokracji. Z początku była to wizja polityczna, której towarzyszyła nadzieja, że wojskowy aspekt sojuszu nie będzie nigdy potrzebny."

WIKTOR JUSZCZENKO

„Powiedziałem kiedyś Putinowi, gdy nasza rozmowa zeszła na ten temat, że pomimo naszych skomplikowanych relacji z Polską na przestrzeni wieków, polskie i ukraińskie elity doszły do zrozumienia, że powinniśmy przeprosić za wydarzenia historyczne, uścisnąć sobie ręce i wspólnie pracować nad przyszłymi zadaniami. To odpowiada naszemu narodowemu interesowi."

BRONISŁAW KOMOROWSKI

„Świadomość bankructwa PRL była powszechna, więc było społeczne przyzwolenie na reformy. Potem, mimo strat wyborczych, kolejne rządy solidarnościowe miały potrzebę uwiarygodniania siebie, jako już nie rewolucjonistów, lecz reformatorów. Mimo doświadczeń, że to szkodzi politycznie, ministrowie Jerzego Buzka prawie do końca ścigali się, kto jeszcze zdąży przeprowadzić reformę – administracji, ochrony zdrowia, edukacji, wojska, samorządu..."

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

„Bylem przekonany, że różnice są czymś potrzebnym i ożywczym a dialog między politycznymi adwersarzami może prowadzić do rozumnych kompromisów oraz być źródłem nowych pomysłów i nowych idei. Zawsze byłem przeciwnikiem nadmiernej polaryzacji sceny politycznej. Uważałem, że sporom w debacie publicznej musi towarzyszyć określona umiejętność jej uczestników - muszą oni umieć słuchać i słyszeć siebie nawzajem."

„POLITYKA PRZEŁOMU WIEKÓW, ROZMOWY O POLSCE I ŚWIECIE" to zbiór wywiadów i esejów byłych czołowych polskich i zagranicznych polityków oraz ludzi nauki zaproszonych przez byłego prezydenta RP, Aleksandra Kwaśniewskiego do podzielenia się swoimi refleksjami na temat wyzwań i procesów towarzyszących Polsce i Europie u schyłku XX wieku i w pierwszych dwóch dekadach wieku XXI.

Najważniejsze z nich to - funkcjonowanie polskiej demokracji, dylematy integracji europejskiej, wyzwanie populizmu, europejskie bezpieczeństwo oraz zagrożenie dla wolności i ładu międzynarodowego płynące ze strony Rosji i innych autorytarnych reżimów na świecie.